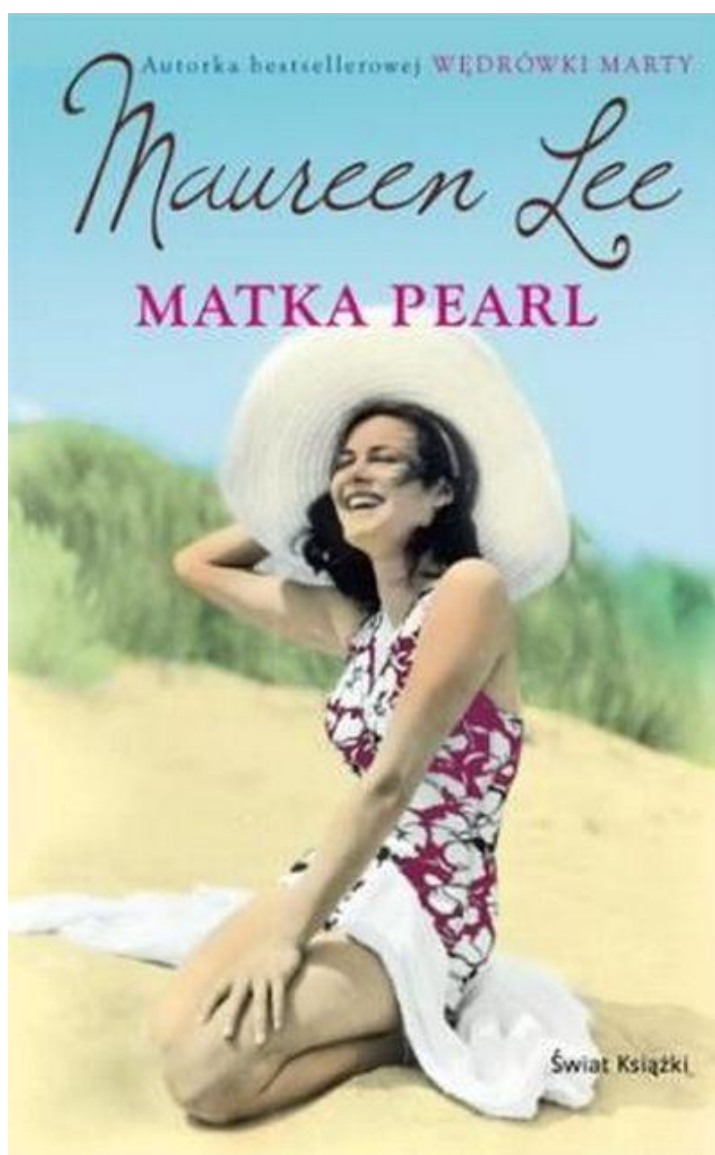




**Maureen Lee**

**Matka Pearl**

Z angielskiego przełożyła Ewa Morycińska-Dzius



Świat Książki

TLR

*Dla Richarda  
za to, że po prostu jest*

## Podziękowania

Fascynująca książka Normana *Longmate'a* *How We Lived There* (Jak wtedy żyliśmy) okazała się niezastąpioną pomocą przy pisaniu również tej powieści, natomiast skrupulatnie zgromadzone przez Phila Thompsona materiały do książki *The Cavern, The Best of Cellars* (Cavern, najlepsza z piwnic) stanowią podstawowe narzędzie dla wszystkich zainteresowanych najnowszą historią Liverpoolu.

TLR

# Rozdział 1

KWIECIEŃ 1971

Pearl

Hilda Dooley czytała głośno wiadomości z „Daily Mirror”.

— No proszę, widzę, że wypuszczają z więzienia tę kobietę z Liverpoolu — oznajmiła nagle.

Zapadła długa cisza.

— Jaką kobietę? — zainteresowała się Audrey Steele, kiedy już się wydawało, że nikt nie zamierza tego skomentować. Audrey była najstarszą i najpocziwszą z nauczycielek, za to Hildy właściwie nikt nie lubił.

— Tę Amy Patterson. Zamordowała męża. Wbiła biedakowi nóż w serce. To się stało w pięćdziesiątym roku. — Hilda z dezaprobatą pociągnęła nosem. — Zanim wyszła za męża, mieszkała w Bootle, niedaleko nas, na sąsiedniej ulicy.

— Naprawdę? — Tym razem kilka głów podniosło się znad stolików. — A gdzie dokładnie?

— Na Agate Street. To boczna uliczka od Marsh Lane. My mieszkaliśmy wtedy na Garnet Street... Zresztą nadal tam mieszkamy. — Hilda zacisnęła wargi, jakby ten fakt nie stanowił szczególnego powodu do dumy. — Była jakieś dziesięć lat starsza ode mnie. Widywałam ją czasem na mszy. Nie pamiętam jej panieńskiego nazwiska, ale jej mąż nazywał się Barney Patterson. Mieli córkę, mniej więcej pięcioletnią. Nie wiem, co się z nią później stało.

— A jaka ona była? To znaczy matka?

— Ładna — odrzekła ponuro Hilda. Akurat o niej nie można było powiedzieć tego samego. Zbliżająca się do czterdziestki panna Dooley miała coś z wyliniałej myszy ze swoimi wystającymi zębami i cienkimi włosami w nieokreślonym kolorze. Nie wyszła za męża i mieszkała razem ze swoją owdowiałą matką. — Po prostu śliczna. — Głos jej stwardniał. — Osobiście uważam, że powinni ją byli powiesić.

— To znaczy, że nasze państwo powinno było ją z kolei zamordować? Czy o to ci właśnie chodzi? — rzuciła ostro Louisa Sutton, która brała udział w kampanii na rzecz rozbrojenia nuklearnego i amnestii. Louisa zawsze walczyła o sprawę postępu.

Ścisnęłam w rękach kubek z kawą i wpatrzona w okno udawałam, że nie słucham, chociaż nie sposób było nie słyszeć przenikliwego głosu Hildy.

Barney Patterson nie został ugodzony nożem w serce tylko w żołądek. W tamtym czasie gazety się o tym rozpisywały.

Zastanawiałam się gorączkowo, jak zareagowałaby Hilda, gdyby wiedziała, że za ledwie parę metrów od niej, przy sąsiednim stoliku, siedzi córka Amy Patterson.

Miałam wtedy pięć lat i właściwie nie zwróciłam uwagi, że ludzie zaczęli nagle nazywać mnie panięskim nazwiskiem mojej matki, Curran, a nie Patterson, jak dawniej. A teraz moją matkę mieli wypuścić z więzienia! Na myśl o tym serce biło mi w piersi niczym młot pneumatyczny.

— Uważaj, Pearl. Jeśli będziesz tak dalej ścisnąć ten kubek, możesz go zgnieść! — zauważyła siedząca obok mnie Nan Winters. — Chwała Bogu, że to nie moja szyja!

Uśmiechnęłam się słabo, odstawiłam szybko kubek i próbowałam wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, na próżno... W głowie miałam mętlik. O tej porze — kwadrans przed dziewiątą rano — w normalny dzień wszyscy nauczyciele powinni już być w swoich klasach i czekać na dzwonek, żeby rozpocząć lekcje, a nie plotkować w najlepsze w pokoju nauczycielskim. Dziś jednak za bardzo padało, żeby dzieci mogły się bawić na boisku, dlatego tymi uczniami, którzy już przyszli do szkoły, zajmował się personel pomocniczy.

Lało zresztą już cały tydzień, a taka pogoda na wszystkich źle wpływała, zwłaszcza na dzieci. Robiły się podenerwowane i zamknięte w sobie.

Już za chwilę Początkowa i Podstawowa Rzymsko-Katolicka Szkoła St. Kentigern's wypełni się ponad dwustu pięćdziesięcioma dziećmi, które wprost kipią energią. Każde okno pokryje się mgiełką pary, podłogi będą wilgotne i śliskie. W butach będzie chłupotało, ze spódniczek będzie kapiała woda, a niektóre tornistry — w szczególności te z tanich materiałów — przemokną na wylot, niweczając całą pracę domową.

To wszystko było doprawdy przygnębiające. Nauczyciele bynajmniej nie kwapili się do wychodzenia z przytulnego pokoju nauczycielskiego, „dekując się” tam aż do ostatniej minuty. Dzisiaj jednak był piątek — i to bardzo szczególny piątek. Punktualnie o trzeciej po południu miały się zacząć ferie wielkanocne. Wyobraziłam sobie, że

pogoda w ciągu nocy gwałtownie się zmieni — nazajutrz niebo będzie błękitne, zaświeci słońce, a z ziemi zaczną wyskakiwać jeden po drugim narcyzy i żonkile. Ta myśl z pewnością znacznie poprawiłaby mi nastrój, gdyby nie bulwersująca wiadomość, przeczytana przed chwilą przez Hildę.

Obserwowałam dzieci, które biegły pędem od bramy do gmachu szkoły. Tylko te najgrzeczniejsze z nich, przede wszystkim dziewczynki, starały się omijać kałuże, które już od tygodnia z każdym dniem robiły się coraz większe. W szatniach, gdzie dzieci wieszały wilgotne okrycia i zmieniały kalosze na kapcie, musiało teraz panować prawdziwe piekło na ziemi. Westchnęłam ciężko. Do licha, powinnam teraz tam być i pomagać najmłodszym.

Przez bramę wchodził właśnie Gary Finnegan, trzymając za rękę swoją matkę. Zaczął uczęszczać do naszej szkoły dopiero w lutym. Miał na sobie jaskrawoczerwony skafander i czerwone boty. Inni chłopcy wyśmiewali się z niego, ponieważ matka Gary'ego, w przeciwieństwie do innych, mniej opiekuńczych rodzicielek, które żegnały się z synami przy bramie, wchodziła razem z nim do środka, w dodatku całowała go na pożegnanie, i to tuż przed drzwiami klasy!

W dalszym ciągu nie mogłam się przyzwyczaić, jak okrutne potrafią być dzieci — pięciolatki. Zaczęłam powoli zbierać swoje rzeczy. Dziś na pierwszej lekcji miało być czytanie.

Tymczasem między Hildą a 'Louisą toczył się zażarty spór na temat kary śmierci. Przywodziły na myśl dwa walczące ze sobą koguty. Żadna z nas nie miała zamiaru się do nich wtrącać. W pokoju była szóstka nauczycielek, ze mną włącznie. Same kobiety. Jedyne mężczyzna nauczyciel, Brian Blundy, jeszcze nie przyszedł — a może był w jakimś innym miejscu w szkole.

— Amy Patterson wychodzi na wolność — wściekała się Hilda. — Piszą, że ma czterdzieści dziewięć lat. Czyli — przed nią jeszcze kawał życia. Ma też gdzieś córkę. Tymczasem jej biedny mąż od prawie ćwierć wieku gryzie ziemię. To naprawdę nie jest w porządku.

— Ale spędziła dwadzieścia lat za kratkami — powiedziała spokojnie Louisa. Wiedziała, o czym mówi. Hilda robi po prostu za dużo hałasu. — Uważam, że zapłaciła już za swoją zbrodnię. W każdym razie w naszym kraju zniesiono karę śmierci w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Rząd musiał wreszcie zrozumieć, że to zwykłe barbarzyństwo.

Hilda wyglądała na zagniewaną. Usta jej drżały, jakby za wszelką cenę chciała znaleźć jakąś celną ripostę. W pokoju nauczycielskim zadzwonił telefon, podeszła do

niego szybkim krokiem i podniosła słuchawkę. To był dobry sposób na wycofanie się z dyskusji, w której przegrywała. Honorowy. Po kilku słowach odłożyła słuchawkę na widełki i zwróciła się do mnie.

— Pearl, panna Burns prosi cię do swojego gabinetu.

— Teraz?

— Teraz — mruknęła Hilda. Zabrała stertę książek i opuściła pokój. Inne nauczycielki też wyszły.

Podreptałam w stronę gabinetu dyrektorki, mieszczącego się na tyłach budynku i zapukałam.

— Proszę! — zawołała panna Burns.

Westchnęłam cicho, po czym weszłam do środka. Wiedziałam, dlaczego mnie wzywa.

— Dzień dobry, Pearl. Siadaj, kochanie. — Catherine Burns odłożyła pióro i wzięła do ręki paczkę marlboro. Wytrząsnęła jednego papierosa, włożyła go do ust i przypaliła srebrną zapalniczką. Zauważyłam, że ręce jej lekko drżą. Na biurku leżała otwarta gazeta, „Guardian”. — Pewnie się domyślasz, dlaczego chciałam się z tobą zobaczyć?

— Tak, z powodu mojej matki. Hilda Dooley mówiła o tym w pokoju nauczycielskim. Pisali na ten temat w „Daily Mirror”. Nie wiedziałam, że wychodzi z więzienia.

— Ani ja. Czy Charlie wie?

— Gdyby tak było, pewnie by mi o tym coś powiedział. Ciekawe, czy ona teraz z nami zamieszka? Mam wrażenie, że Marion i moja matka nie były ze sobą w najlepszych stosunkach.

— Nie sędzę, żeby się do was wprowadziła. — Panna Burns potrząsnęła głową. — To byłoby nie w porządku wobec Charliego, gdyby miał siostrę i żonę pod jednym dachem. Ale mój Boże, przecież Amy dobrze wie, że zawsze może zamieszkać ze mną. Twoja matka i ja byłyśmy przyjaciółkami od początku szkoły, od czasu, kiedy miałyśmy po pięć lat. — Zgasiła wypalonego do połowy papierosa i zapaliła nowego. — Palę jak komin — powiedziała przepraszająco. — Ta wiadomość wytrąciła mnie trochę z równowagi, chociaż sama nie wiem, dlaczego. Naprawdę się cieszę, że Amy już zwalniana. Wprawdzie się boję, że znów nie będę mogła spać, przypominając sobie wszystkie tamte okropności — morderstwo, proces, skazanie Amy na dożywocie...

— Hilda Dooley uważa, że powinni byli ją powiesić. Wiedziałaś, że Hilda mieszka na Garnet Street? Podobno знаła nawet moją matkę... Jeszcze przed jej zamążpójściem.

Panna Burns wyglądała na zaskoczoną.

— Nie, nic o tym nie wiedziałam. Moja rodzina też mieszkała bardzo blisko. — Zachichotała. — Miejmy nadzieję, że Hilda tego nie skojarzy. Burnsowie nie byli w tamtych czasach zbyt przykładną rodziną. A tak między nami, nasz dom to było niezłe piekielko... — Dziś nikt by w to nie uwierzył. Catherine Burns, w eleganckim granatowym kostiumie i prostej koszulowej bluzce, zapiętej pod samą szyję, z krótko obciętymi i skromnie ułożonymi włosami, których brąz przetykała już gdzieniegdzie siwizna, z miłą, nieumalowaną twarzą, sprawiała wrażenie nobliwej jejmości, chociaż nałogowe palenie papierosów kłóciło się co nieco z tym wizerunkiem. — Co o tym wszystkim myślisz, Pearl? — zapytała, patrząc mi prosto w oczy. — Ta wiadomość musi być dla ciebie pewnym szokiem.

— Nie mam pojęcia, co czuję — odparłam z całą szczerością. — Może później, kiedy się już do tego trochę przyzwyczaję. Teraz jestem tylko oszołomiona. Jakbym się nałykała tabletek przeciwbólowych.

Wiedziałam oczywiście, że któregoś dnia to nastąpi. Ludzie skazani na dożywocie bardzo rzadko siedzą w więzieniu aż do śmierci.

— Rozumiem cię, kochanie. — Panna Burns skinęła głową. Z jej papierosa spadł co najmniej centymetrowy słupek popiołu i wylądował na spódnicy; strzepnęła go z roztargnieniem. — Była bardzo przykładną więźniarką.

— Widzisz... nigdy jej nie odwiedzałam — powiedziałam z ociąganiem. — O tym, że jest w więzieniu, dowiedziałam się stosunkowo późno — dopiero kiedy miałam czternaście lat. Przedtem Charles i Marion mówili mi, że po śmierci mojego ojca wyjechała do Australii. Poza tym powiedzieli, że zginął w wypadku samochodowym.

Kiedy skończyłam dwanaście lat i odkryłam, że Australia znajduje się na tej samej planecie — dziewczynka z mojej klasy razem z całą rodziną właśnie wyjechała tam na stałe — domyśliłam się, że z moją matką musi się dzieć coś bardzo dziwnego, skoro nigdy nie przyjeżdżała do domu. Nawet na święta... Ale nie spytałam o to ani Charlesa, ani Marion. Może już wtedy podejrzewałam, że istnieje jakiś ważny powód ukrywania prawdy i lepiej, żebym go nie знаła.

— Pearl, posłuchaj. Amy... to znaczy twoja matka wyraźnie zaznaczyła, że nie chce, żebyś ją odwiedzała w więzieniu.



Za nic w świecie nie mogłam tego pojąć. Miały upłynąć jeszcze dwa lata, zanim Charles wreszcie postanowił wyjawić mi prawdę. Pokazał mi wtedy teczkę pełną wycinków prasowych dotyczących procesu sądowego. Teczka leżała do tej pory na półce pod schodami. Charles mi powiedział, że mogę ją sobie przeglądać, kiedy tylko będę chciała. W ciągu następnych lat przeczytałam ją od deski do deski — wiele razy. Nieodmiennie wszystko to mnie przerażało. Przecież czytałam o swoich własnych rodzicach!

Panna Burns zapaliła trzeciego papierosa.

— Muszę wreszcie skończyć z tym świństwem... — mruknęła pod nosem. — Lepiej już idź, Pearl. Uczniowie czekają. Ale zaglądam tu zawsze, jeśli będziesz miała ochotę z kimś o tym porozmawiać. A po szkole wpadaj do mnie do domu. Najlepiej wieczorem.

— Dziękuję, na pewno tak zrobię.

Wiedziałam jednak, że mówię to tylko z grzeczności.

Nigdy nie miałam do końca pewności, jakiego rodzaju jest nasza relacja. Była dyrektorką szkoły, w której uczyłam, równocześnie zaś najlepszą przyjaciółką mojej matki. Kiedy byłam jeszcze bardzo mała, Cathy Burns stała się praktycznie członkiem naszej rodziny. Huśtała mnie na kolanach, czytała mi bajki, uczyła grać w wojnę i inne gry karciane. W niedziele, kiedy moja matka przygotowywała obiad, ciocia Cathy zabierała mnie do Sefton Park, żebym zobaczyła prawdziwy tajemniczy ogród — mieszkałam wtedy w zupełnie innej części Liverpoolu. Natomiast teraz, kiedy rozmawiałyśmy w jej gabinecie, starałam się znaleźć jakieś pośrednie rozwiązanie. Z jakiegoś powodu nie chciałam sobie pozwolić na zbyt dużą zażyłość, z drugiej strony jednak czułabym się źle, gdyby nasze kontakty ograniczały się wyłącznie do płaszczyzny zawodowej. Zbyt wiele nas łączyło...

Później tego dnia, kiedy znajdowałam się w samym centrum chaosu dwugodzinnej lekcji robót ręcznych, do klasy weszła sekretarka panny Burns i wręczyła mi bez słowa zaklejoną kopertę.

Otworzyłam ją i przeczytałam:

*Telefonował Charlie i chciał z tobą rozmawiać. Wyjaśniłam mu, że już wiesz o Amy. Powiedział, że się z tobą zobaczy dziś wieczorem.*

Zawsze wracałam jako pierwsza do domu mojego wuja i ciotki w Aintree, na peryferiach Liverpoolu. Charles, brat mojej matki, pracował jako kreślarz w firmie *English Electric* na East Lancashire Road. Marion, jego żona, była w tej samej firmie sekretarką. Tam się właśnie poznali już ponad trzydzieści lat temu, kiedy oboje byli jeszcze nastolatkami. Nigdy nie mieli własnych dzieci.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam zaraz po przyjsciu do domu, było wyciągnięcie teczki spod schodów. Usiadłam na podłodze i przeczytałam wszystko od początku do końca. Były tam tuziny zdjęć mojej niebywale fotogenicznej matki i równie atrakcyjnego ojca, do którego, jak mówiono, byłam bardzo podobna. Ale kiedy się bliżej przyjrzałam fotografii ślubnej rodziców z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, mimo najszczerzych chęci jakoś nie mogłam dostrzec podobieństwa pomiędzy tym młodym ciemnowłosym człowiekiem a mną. Rodzice na zdjęciu uśmiechali się wesoło, jakby życie było jedną wielką zabawą.

W trzy miesiące po zrobieniu tej fotografii Barney Patterson wstąpił do wojska i został wysłany do Francji.

*Barney Patterson, lat trzydzieści dwa, który spędził pięć lat wojny bez mała w niemieckim obozie dla jeńców wojennych, został brutalnie zamordowany przez swoją dwudziestodwuletnią żonę...*

Tak pisał „Daily Sketch”.

Większość gazet podawała mniej więcej to samo. Niektóre określały nawet mojego ojca jako „bohatera wojennego”, inne utrzymywały, że został „w okrutny sposób uśmiercony”. Wszystkie zgodnym chórem powtarzały, jaka to straszna tragedia. Ten dzielny młody mężczyzna przeżył walki we Francji i obóz jeniecki tylko po to, żeby zginąć z rąk własnej żony. Były żądania kary śmierci przez powieszenie dla mojej matki. Wystosowano petycję w jej obronie — i drugą przeciwko niej. W rubrykach z listami od czytelników toczyła się zaciekle polemika między zwolennikami i przeciwnikami kary śmierci.

Oskarżona milczała uparcie, odmawiając wszelkich wyjaśnień, dlaczego wbiła nóż do chleba w brzuch męża. Jej przyjaciółka Catherine Burns zaświadczyła, że Barney Patterson systematycznie oskarżał swoją młodą żonę o romanse z innymi mężczyznami.

— Czy była pani kiedykolwiek obecna przy takim wydarzeniu? — pytał prokurator.

— Nie, ale Amy mi o tym niejednokrotnie wspominała — odparła panna Burns. — Kiedyś przyszła do mnie z ogromnym guzem na czole, a ja od razu wiedziałam, że to sprawka Barneya.

— Widziała pani, jak Barney zaatakował swoją żonę? — spytano jeszcze raz świadka.

— No, nie. Ale po prostu wiedziałam.

Sprawy przybrały, jak pisano, „niespodziewany obrót”, kiedy miejsce dla świadka zajęła matka ofiary i oznajmiła, że synowa miała długoletni romans z jej mężem, Leo. Oboje, oskarżona i Leo Patterson, „gorąco zaprzeczyli” tym zarzutom. Jednakże takie stwierdzenie padło, a domniemanie, że Amy Patterson mogła utrzymywać bliskie stosunki ze swoim teściem, podczas gdy jej młody mąż był daleko i walczył za ojczyznę, zdecydowanie odwróciło od niej sympatię całego sądu. Aż do tego momentu miałam wrażenie, że raczej jej sprzyjają.

Rozprawa zakończyła się ostatecznie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku na Wielkanoc — od tej chwili minęło prawie dwadzieścia lat. A teraz siedziałam na podłodze w domu wuja, czytając o tym wszystkim.

Amy Patterson skazano na dożywotnie więzienie. Zdaniem matki ofiary jej synowa „wykręciła się sianem”.

— Powinni ją powiesić — mówiła pani Patterson ze łzami w oczach, jak pisał „Daily Express”.

Było też zdjęcie Amy Patterson w „Evening Standard” z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Miała wtedy czterdzieści lat. Na zdjęciu widać było nijaką kobietę, ani ładną, ani brzydką, w szaroburym więziennym „mundurku”, który wyglądał jak wkładany przez głowę fartuch z długimi rękawami.

Schowałam wszystko z powrotem do teczki i odłożyłam na miejsce pod schodami. Nie wiem dlaczego, ale czytałam to tylko wtedy, kiedy wujostwa nie było w domu.

W kuchni zastałam przyklepioną do drzwi lodówki karteczkę od Marion z prośbą, żebym za kwadrans piąta włączyła piecyk: „*W środku jest zapiekanka z jagnięciny*”. Tymczasem na moim zegarku było już kwadrans po piątej. Marion będzie zmartwiona. Sama była niezwykle punktualna i lubiła, żeby wszystko było na czas. Żeby jej nie martwić, postanowiłam powiedzieć, że przyszedłam dziś trochę później, nie wspominając oczywiście, że czytałam wycinki o matce. „Dla dobra sprawy...”, usprawiedliwiałam się w duchu. Bardzo łatwo było zmartwić Marion.

Nakryłam do stołu i zagotowałam wodę na herbatę, po czym weszłam na górę i ściągnęłam sweter w kolorze butelkowej zieleni i beżową spódnicę, które nosiłam do szkoły. Włożyłam nowe spodnie „dzwony” i kremową bluzkę.

Śmiesznie się czułam, ponieważ te nieprawdopodobnie szerokie spodnie — ostatni krzyk mody — plątały mi się przy stopach, na wszelki wypadek jednak sprawdziłam efekt w lustrze i uznałam, że wyglądają doskonale. W ogóle dobrze się czułam w spodniach. Byłam wysoka i szczupła, niemal chuda, i odziedziczyłam po ojcu włosy — proste jak druty i dość gęste. Odziedziczyłam też jego piwne oczy, ale twarz miałam bardziej okrągłą, a rysy zupełnie inne, w każdym razie tak myślałam. Większość moich znajomych twierdziła, że jestem przystojna — nie śliczna, urocza czy piękna. Nigdy nie wiedziałam, czy mi pochlebiają, czy wręcz przeciwnie.

Później wybrałam się do kina z moją przyjaciółką Trish na film *Christian czarodziej* z Peterem Sellersem. Poszliśmy na to tylko dlatego, że jedną z ról w filmie grał Ringo Starr; jak wszystkie dziewczyny byłyśmy zafascynowane Beatlesami.

Nastawiłam longplaya z muzyką Simona i Garfunkela — dziś nie miałam nastroju na rock'n'rolla — i leżałam na łóżku z rękami pod głową, słuchając *Bridge Over Troubled Water*.

Trish miała już niedługo wyjechać na stałe z Liverpoolu. Jej narzeczony Ian wracał właśnie z Kuwejtu i wkrótce zaczynał pracę w Londynie. Za miesiąc planowali ślub, a zaraz potem Trish miała się przeprowadzić z mężem do Londynu. Będę sobie musiała znaleźć nową przyjaciółkę, co wcale nie jest łatwe, kiedy się ma dwadzieścia pięć lat. Zresztą nigdy nie byłam dobra w „znajdowaniu sobie” przyjaciółek. Wszystkie przyjaźnie, które wcześniej zawarłam, przyszły w naturalny sposób. Trish na przykład poznałam, kiedy miałyśmy po osiemnaście lat i chodziłyśmy razem na kurs prawa jazdy. Potem oblewałyśmy zdany egzamin w barze. Teraz Trish miała w najbliższych planach zamążpójście, a potem także powiększenie rodziny — podobnie jak reszta moich przyjaciółek.

A ja? Wprost przeciwnie. Nie miałam zamiaru wychodzić za mąż. Nic dziwnego. Pomyśleć tylko, co się stało z moją matką i ojcem! Ale czy rzeczywiście chciałam przez całe życie być samotna? Bez mężczyzny i dzieci u mojego boku? Tego też nie byłam pewna.

Pokój wypełniło nagle światło słoneczne, płosząc ponury nastrój, w jaki zawsze wpadałam, kiedy myślałam o przyszłości. Od razu zrobiło mi się cieplej na sercu.

Deszcz przestał wreszcie padać. Wstałam z łóżka i wyrzłam przez okno. Wilgotne liście i przesiąknięta wodą trawa lśniły w promieniach słońca tak jasno, że niemal

rozbolały mnie oczy. Czułam, jak ten widok mnie rozrzewnia. Już niedługo będzie wiosna, prawdziwa wiosna, a nie tylko data w kalendarzu, ustalająca początek tej cudownej pory roku — nawet wtedy, kiedy jeszcze nic nie wskazuje na jej rychłe nadejście. Otworzyłam okno i przysięgłabym, że poczułam zapach kwiatów, które jeszcze nie urosły, i delikatnych płatków kwiecica na drzewach, które jeszcze nie zakwitły.

Drzwi na dole się otworzyły i Charles zawołał:

— Jesteś tam, kochanie?

— Jestem!

Zbiegłam szybko na dół i ucałowałam wujka. Wyglądał na zmęczonego, chociaż właściwie zawsze sprawiał takie wrażenie: spokojnego mężczyzny o zmęczonej, ale przystojnej twarzy. Wkrótce włosy całkiem mu posiwieją, a ledwie widoczne bruzdy na policzkach będą z roku na rok coraz głębsze. Jeszcze raz go pocałowałam. Kochałam swojego wuja tak, jakby był moim ojcem.

Kiedy matka zniknęła, przeżyliśmy wiele ciężkich chwil, stawiając czoło wielu nieprzyjemnościom. Pani Patterson, moja babka ze strony ojca, upierała się, że ma prawo wychowywać dziecko swojego syna.

— Straciłam syna, a teraz mam jeszcze na dodatek stracić jedyną wnuczkę? — wykrzykiwała.

Siedziałam wtedy na schodach domu — tego, w którym mieszkał wujek — i słuchałam, wiedząc, o czym jest ta dyskusja. Byłam przerażona na myśl, że mogliby mnie odesłać do tej pięknej kobiety o pałających oczach i gwałtownym usposobieniu — osoby, której moja matka nienawidziła z całego serca, jak twierdziła Catherine Burns.

— I miała naprawdę ważki powód, Pearl — zapewniała mnie Cathy.

Zrozumiałam, że chodziło jej o to, co babcia Patterson powiedziała w sądzie.

Charles oświadczył wtedy uprzejmie, że pani Patterson będzie zawsze mile widziana w ich domu, że może odwiedzać swoją jedyną wnuczkę, kiedy tylko będzie chciała, ale na tym koniec. Matka Pearl prosiła, by jej córkę wychowywał on i jego żona, wyjaśnił z całym spokojem. Pani Patterson aż się zatrzęsła — groziła, że poda sprawę do sądu, na co Charles odpowiedział, że nie ma do tego żadnych podstaw. Zastrzygłam uszami. Miałam wtedy pięć lat i zastanawiałam się, o jakie „podstawy” mu chodziło.

Pamiętałam, że zawsze mówiłam do swojej matki „mamusiu”.

— Mamusiu, czy mogę się napić wody?

— Mamusiu, chcę malować.

Matka rozkładała na stole gazetę, szykowała dla mnie farby, papier i słoik z wodą do maczania pędzelka.

— A co będziesz malować, córeczko? — pytała.

— Ciebie, mamusiu. Będę malować ciebie.

Kiedy sobie przypomiinałam, jak bardzo kochałam wtedy swoją matkę, czułam, że łzy mi napływają do oczu.

Dziś rano Hilda Dooley powiedziała szczerą prawdę. Moja matka była po prostu śliczna. Miała maleńkie usteczka, przypominające pączek róży, błękitne oczy, idealny nosek i burzę jasnych włosów, które skręcały się w pierścionki. Niektórzy nazywali ją „pięknością z reklamy czekoladek”. Początkowo uważałam to za pochlebstwo, dopiero jednak gdy dorosłam, zrozumiałam, co mieli na myśli. W urodzie mojej matki nie było szlachetnej głębi. Ale i tak — pomimo iż nie miała nic a nic z Giocondy — kiedy wychodziłyśmy na ulicę, każdy się za nią oglądał. Zwłaszcza mężczyźni, którzy się odwracali i przypatrywali się z uśmiechem jej zgrabnym nogom. W tamtych czasach było dla mnie prawdziwą zagadką, dlaczego mężczyźni są tak zafrapowani nogami kobiet, skoro kobiece twarze są o niebo ładniejsze i bardziej interesujące.

Charles przytulał mnie przez chwilę. Wreszcie powiedział:

— Marion niedługo przyjdzie. W przerwie na lunch odebrała rzeczy z pralni chemicznej i właśnie je wyjmuje z samochodu. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Mnie za nic w świecie nie powierzyłaby takiego odpowiedzialnego zadania. Najwidoczniej taki stary niezgrabiasz jak ja tylko by je pogniótł. — Potrząsnął mną serdecznie. — Później porozmawiamy... — spojrzał na mnie spod oka — chyba wiesz, o czym.

Zjawiała się Marion z dwiema zimowymi sukienkami, przerzuconymi przez ramię. Była przystojną kobietą o arystokratycznych rysach i bujnych włosach czarnych jak skrzydła kruka. Farbowała je od czasu, kiedy zaczęła siwieć. Miała teraz pięćdziesiąt dwa lata, tyle samo co Charles. Rzadko się uśmiechała, a tego wieczoru wyglądała jak chmura gradowa, chociaż właściwie nie miała żadnego powodu do zdenerwowania. Ale taka już po prostu była. Wystarczało byle co, żeby jej popsuć humor.

— Włączyłaś zapiekankę na czas? — zapytała na wstępie.

— Przepraszam, ale musiałam dziś zostać w szkole trochę dłużej, więc przyszedłam odrobinę później niż zwykle — skłamałam. — Wiesz, to ostatni dzień semestru. Ale włączyłam piecyk kwadrans po piątej.

— No, cóż... — westchnęła — w takim razie trochę odpocznę i wypiję filiżankę herbaty, zanim siądziemy do stołu. Jazda do domu o tej porze to prawdziwy koszmar. Ruch na ulicach jest z każdym dniem coraz większy. Dawniej Charles i ja jeździliśmy do pracy na rowerach i to nam zajmowało mniej czasu niż teraz samochodem. Nie mam pojęcia, dlaczego w piątki jest najgorzej.

— Przypuszczam, że ludzie jadą wtedy do domów na weekend — spokojnie zauważył Charles.

Żona spojrzała na niego spode łba, ale wujek był do takich spojrzeń przyzwyczajony i tylko uśmiechnął się pod wąsem. Zresztą Marion wcale nie myślała o nim źle. Mimo swojej „chronicznie skwaszonej” miny była kobietą o gołęmbim sercu, a czasem nawet miewała napady prawdziwej czułości. Chociaż nie miałam dla niej aż tyle ciepłych uczuć, co dla Charlesa, naprawdę ją pokochałam przez wszystkie te lata spędzone w ich domu w Aintree.

— Herbata już gotowa? — spytała Marion.

— Prawie, w każdym razie woda się zagotowała. Usiądź na chwilkę, zaraz zrobię herbatę.

Kiedy weszłam z tacą do salonu, Charles i Marion rozmawiali o mojej matce.

Charles spojrzał na mnie znacząco.

— Ktoś w pracy wspomniał, że ją wypuścili. Oczywiście nie wiedzą, że jestem jej bratem. Zadzwoń do Catherine Burns i powiedz mi, że już wiesz.

— Jedna z nauczycielek przeczytała nam o tym dzisiaj w gazecie... w pokoju nauczycielskim.

— Przypuszczam, że to był dla ciebie okropny szok — ciepło rzekła Marion.

— O tak. Nadal mam zamęt w głowie. W żaden sposób nie mogę sobie wyobrazić, że będzie tu z nami — moja własna matka.

— Nie będzie chciała tu przyjść — rzuciła szybko Marion — a już na pewno z nami zamieszkać. Nigdy nie mogłyśmy się dogadać z twoją matką.

Charles wyglądał jak zbity pies.

— Ależ kochanie, przecież Amy nie ma dokąd pójść, a my jesteśmy jej rodziną.

— Bez przesady, jestem pewna, że coś sobie znajdzie — kwaśno odparła Marion.  
— Amy znajduje sobie przyjaciół na kiwnięcie palcem.

— Myślę, że nie tylko może, ale nawet powinna się u nas zatrzymać, zanim się odnajdzie w nowej sytuacji, Marion. — Charles skrzyżował ręce na piersiach i zacisnął wargi. — Pearl i ja jesteśmy jej jedynymi krewnymi w kraju. Jacky i Biddy mieszkają przecież w Kanadzie. Zapomniałaś o tym?

Jacky i Biddy były siostrami mojej matki. Pamiętałam tylko tyle, że obie miały jasne kręcone włosy i niebieskie oczy, podobnie jak matka, ale nie były takie ładne jak ona. Obie wyszły za mąż i założyły rodziny. Pisały regularnie do Charlesa, a na Boże Narodzenie przysyłały kartki z fotografiami kuzynów, których pewnie nigdy nie poznam.

—Wiesz, kiedy ją wypuścili? — spytałam.

Nie czytałam gazety. Może powinnam była. Może gdybym to zobaczyła czarno na białym, przekonałabym się, że to prawda. Teraz wcale nie byłam pewna, czy w to wierzę.

— Ja też kupiłem tę gazetę. Piszą tam tylko o tym, że „wkrótce” ją wypuszczą. Czyli nadal nic nie wiemy. To może być za parę dni, parę tygodni, a może nawet miesięcy — odparł Charles, wzruszając ramionami. — Jestem pewien, że kiedy to się już stanie, od razu do mnie napisze. Jeśli będzie trzeba, wezmę w pracy wolny dzień i przywiozę ją do domu.

Charles popatrzył na Marion, która nie odezwała się ani słowem, ale delikatna zmarszczka, którą zawsze miała na czole, teraz wyraźnie się pogłębiła.

\* \* \*

Po obiedzie spotkałam się przed kinem z Trish. Obejrzałyśmy Christiana czarodzieja, ale to nie miało sensu. I nie była to bynajmniej wina filmu. Po prostu nie mogłam się skupić. Kiedy po seansie poszłyśmy na kawę, Trish stwierdziła w pewnej chwili, że nawet jej nie słucham.

— Mam ważenie, że jesteś tu tylko ciałem. Pearl, czy coś jest nie w porządku?

— Nie...

Charles już dawno wymusił na mnie obietnicę, że nikomu, ale to nikomu nie będę opowiadać o swojej matce i jej dramatycznej historii, nawet najlepszej przyjaciółce.



— To nasza prywatna sprawa. Nikomu nic do tego — powiedział mi wtedy — i wolałbym, żeby tak zostało. Nie chcę być znany jako człowiek, którego siostra zamordowała własnego męża. A dla ciebie, moja droga Pearl, to byłoby jeszcze gorsze. Przecież to w końcu twoja matka. Niektórzy mogliby na ciebie patrzeć jak na dziwolągą.

Tak więc nikt nie znał mojego prawdziwego nazwiska i nikt nie domyślał się prawdy o mojej rodzinie. Właściwie nader rzadko ktoś mnie pytał, dlaczego mieszkam z wujostwem, a nie z rodzicami. W takim wypadku po prostu wzruszałam ramionami i odpowiadałam, że moi rodzice nie żyją.

\* \* \*

Kiedy wróciłam do domu, było kilka minut po dziesiątej. Charles i Marion siedzieli w salonie i oglądali Wiadomości. Charles podniósł wzrok i rzekł:

— Nic o tym nie mówili.

Kiwnęłam tylko głową i poszłam spać; nie chciało mi się nawet zrobić sobie kaka-o. Nagle zapragnęłam być sama. Któregoś dnia — może już jutro, a może dopiero za miesiąc — w każdym razie już bardzo niedługo, pierwszy raz od dwudziestu lat zobaczę moją matkę. Ale wcale tego nie chciałam. Naprawdę, naprawdę nie chciałam. Czy matka liczy na to, że ją ucałuję? Uściskam? Że zaleję się łzami szczęścia i powiem, że ją kocham i że bardzo za nią tęskniłam? Nie napisałam do niej ani jednego listu, przede wszystkim dlatego, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

Charles w odpowiednich terminach wysyłał kartki z podpisem „Od Charlesa, Marion i Pearl, z najgłębszą miłością”.

Marion zawsze to złościło.

— Jak możesz przysyłać tej kobiecie wyrazy mojej najgłębszej miłości? — zapytała pewnego razu.

— Myślę, że mogłabyś jednak zachować odrobinę sympatii dla kogoś, kto wycierpiał tyle, ile nasza Amy — odpowiedział jej wtedy Charles. — W końcu wychowujesz jej córkę.

— Chyba nie oczekiwała, że zabierze Pearl ze sobą do więzienia! — Marion podniosła szybko głowę, ale już nie protestowała, kiedy Charles włożył kartkę do koperty i nakleił znaczek.

Sami nie mogli mieć dzieci. Strata mojej matki była ich zyskiem.

Dwa tygodnie później, w dniu, kiedy wróciłam do szkoły po feriach wielkanocnych, Charles dostał list od mojej matki, w którym pisała, że już niebawem ma zostać zwolniona z więzienia i że odbierze ją przyjaciółka, u której zatrzyma się przez jakiś czas.

*Mam kilka spraw do załatwienia przez następne parę tygodni, napisała, ale jak tylko będę mogła, zaraz do was przyjadę.*

— Typowe! Cała Amy — parsknęła Marion, głośno pociągając nosem. — Mam tylko nadzieję, że tu nie przyjedzie i nie zacznie znowu nazywać cię „Charlie”. Chybabym tego nie zniosła...

TLR

## Rozdział 2

### WIELKANOC 1939

*Amy*

— Kocham Wielkanoc! Oczywiście kocham też Boże Narodzenie, ale wtedy wiesz, że masz jeszcze przed sobą najgorsze miesiące zimowe. Tymczasem na Wielkanoc już w perspektywie jest lato, przez tyle miesięcy! A po nim jesień. Naprawdę lubię jesień, ale to jednak jakby początek zimy, więc, jeśli ktoś mnie pyta, jakie dni w roku lubię najbardziej, odpowiadam zawsze, że Wielkanoc.

— O czym ty u licha mówisz? Niby kogo to wzrusza, że najbardziej lubisz Wielkanoc? Bo na pewno nie mnie. Jeżeli chcesz znać prawdę, guzik mnie obchodzi cała ta twoja gadanina. — Cathy wywróciła oczami i szeroko się uśmiechnęła.

Amy odpowiedziała takim samym uśmiechem.

— Po prostu sobie pomyślałam, że to cię zainteresuje i tyle. Wszystko przez tę pogodę. Rzuciła na mnie urok. To najpiękniejszy dzień, jaki pamiętam.

— Słońce wyjdzie może tylko na pięć minut... ale to oczywiście najpiękniejszy dzień, jaki pamiętasz!

— Kocham słońce — rzekła Amy drżącym z przejęcia głosem. — Gdyby nie to, że jestem katoliczką, zostałabym czcicielką słońca.

— A dokąd byś wtedy chodziła na mszę? — zapytała z przekąsem Cathy.

— Mmmm... sama nie wiem — przyznała po krótkim namyśle Amy. — No... i kto by wysłuchiwał naszej spowiedzi?

Cathy nie odpowiedziała.

Dziewczęta wybierały się do Southport. Elektrycznym pociągiem. Amy wolała wprawdzie pociągi z parowozami, które wypuszczają wielkie kłęby dymu, bo wyglądały ładniej — cóż, kiedy te elektryczne były o wiele czystsze. A ona miała na sobie najlepszą letnią sukienkę — żółtą, ze ślicznymi guziczkami przypominającymi małe dziecinne buzie — i biały zapinany sweterek. A na głowie biały beret, zrobiony na drutach przez mamę. Cathy była w podobnym berecie, tyle że czerwonym. Na ramiona narzuciła czerwony żakiet, własność jednej z jej siostr. Z jakiegoś powodu podejrze-

wała, że musiał być kupiony u pasera. Jej siostra Lily pojechała tego dnia do Blackpool, a Cathy miała nadzieję, że wróci do domu wcześniej niż ona — albo dużo później, kiedy Lily będzie już spać jak suseł.

Była niedziela — Niedziela Wielkanocna — i Amy czuła, że szczęście ją po prostu rozpiera. Zaraz po mszy złapały pociąg do Southport; chciały tylko przespacerować się po Lord Street, zajrzeć do lunaparku, kupić sobie na podwieczorek rybę z frytkami, a potem pójść do kina — jednak Amy i tak uważała, że to będzie wspaniały dzień.

Zima się skończyła. Za oknem widać było budzącą się wiosnę. Drzewa, pola i ogrody już zdradzały pierwsze oznaki tego, co wkrótce nadejdzie — maleńkie listeczki i pączki i mnóstwo maleńkich roślinek. Ludzie na polach i w ogrodach ścinali trawę, kopali ziemię, wrywali chwasty. Jakiś mężczyzna podlewał ogród długim węzem, co się niezmiernie spodobało Amy.

— Chciałabym, żebyśmy mieli ogród — powiedziała z błyskiem w oku — zamiast tego nudnego podwórka. Posadziłabym w nim róże. Właśnie tak. Miałabym róże przy samym wejściu do domu — przy obu wejściach — pięłyby się po ścianach, coraz wyżej i wyżej... i chciałabym też mieć królika w klatce... aha, i zółwia.

— Niewiele ci potrzeba do szczęścia — powiedziała Cathy z leciutką drwiną.

— Masz rację. Róże, królik i zółw to chyba wcale nie jest dużo. A dla mnie w sam raz. Pamiętasz? W zeszłym tygodniu chciałaś wyjść za mąż za Clarka Gable'a. No, to moje pragnienia są dużo bardziej osiągalne... czy jest takie słowo?

— Wolalabym, żebyś nie wspominała o Clarku Gable'u. — Oczy Cathy zaszczyły mgłą. — Zaraz mi się chce płakać.

— Oj, nie bądź taka sentymentalna! — prychnęła Amy. — On i tak jest dla ciebie o wiele za stary. Zresztą nie cierpię mężczyzn z wąsami.

Znała swoją przyjaciółkę i wiedziała, że Cathy może w tej chwili wybuchnąć śmiechem — lub płaczem. Ostatecznie wybrała to pierwsze.

— A co myślisz o kobietach z wąsami? — spytała.

— Też ich nie znoszę.

Popatrzyły na siebie i zaczęły chichotać.

Ich rozmowie przysłuchiwał się jakiś starszy pan, siedzący po przeciwnej stronie przedziału. Zresztą trudno było nie słuchać. Ich młodzieńcze głosy brzmiały donośnie, w dodatku obie mówiły z wielkim przejęciem.

— Jakie to musi być wspaniałe uczucie, być tak młodym... — westchnął, uśmiechając się melancholijnie.

— Och, rzeczywiście. Jest bosko! — potwierdziła z zapałem Amy. — Ale być starym, to znaczy starszym... też chyba jest przyjemnie — dodała z niezłomną wiarą siedemnastolatki, która uważa, że wie już wszystko o życiu. — Każdy wiek ma swoje dobre strony.

— Postaram się zapamiętać, jakie są te dobre strony — mruknął mężczyzna, mając na myśli nękające go bóle stawów, trudności z oddychaniem i fakt, że na lewe oko prawie nie widział.

Pociąg wjechał na stację w Southport i wszyscy pasażerowie wysiedli. Starszy pan szedł za dziewczętami, myśląc, jaki śliczny obrazek tworzą — w powiewnych sukienkach, z wdzięcznymi ruchami i pewnym siebie chodem. Miało się wrażenie, że cały ten cholerny świat do nich należy. Blondynka była zdecydowanie ładniejsza, naprawdę aż rwała oczy. Dosyć wysoka, z talią jak osa i błękitnymi oczmi. Po prostu чудо... Ale gdyby miał o czterdzieści lat mniej i mógł wybierać, bez namysłu zdecydowałby się na tę ciemnowłosą. Ta była pewniejsza. Z blondynką miałby tylko mnóstwo kłopotów. Chłopaki — jak to chłopaki — nie dawaliby jej chwili spokoju, niezależnie od tego, czy byłaby zameżna, czy nie, a on umierałby ze strachu, jak tylko ta ślicznotka zniknęłaby mu z oczu. Licho nie śpi... Mógł ich sobie z łatwością wyobrazić, wszystkich tych napalonych mężczyzn, rzucających jej lubieżne spojrzenia, rozbierających ją oczami, aż pozostawała tylko w stroju Ewy — nagusieńka, tak jak ją Pan Bóg stworzył... A on co? W tej chwili robił przecież to samo! Nie umiał sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz przeżywał coś takiego, ale na pewno bardzo dawno temu... Przez wszystkie te zdrożne, choć równocześnie bardzo przyjemne myśli, aż zabrakło mu tchu. Musiał przystanąć na chwilę — i wtedy znikła w tłumie...

\* \* \*

Amy i Cathy poszły na Lord Street. Elegancką ulicę wypełniały tłumy, zwłaszcza wycieczkowiczów. Mężczyźni byli ubrani w sportowe marynarki i koszule rozpięte pod szyją, a kobiety zastąpiły długie i ciężkie płaszcze barwnymi sweterkami, chociaż był dopiero początek kwietnia i w powietrzu czuło się jeszcze chłód. Ludzi skusiło słońce. Dzieci niosły wiaderka i łopatkę. Niektóre rodziny musiały już chyba wracać z plaży, bo na ich włosach i gołych nogach widać było ziarenka piasku. Wszyscy wyglądali na bardzo zadowolonych. Najwidoczniej, podobnie jak Amy, uważali, że to już koniec ponurych miesięcy i początek lata. Oczywiście, istniało niebezpieczeństwo wojny w Europie, gdzie jakiś szaleniec o nazwisku Hitler wykrzykiwał straszne rzeczy, ale na razie było to tylko zagrożenie; być może nic takiego się nie wydarzy.

Na widok kreacji na wystawach eleganckich sklepów Amy i Cathy wydawały głośne ochy i achy, szturchając się w bok, a mijający ich ludzie spoglądali na nie z rozprawieniem — albo ze złością. Na każdy z tych strojów zarówno jedna, jak i druga musiałyby wydać wiele swoich miesięcznych, a nawet rocznych zarobków. Amy zarabiała siedem i pół szylinga na tydzień w kantynie przy Dock Road, a Cathy

jednego szylinga więcej jako młodsza urzędniczka w biurach sieci sklepów Woolworth w mieście — była dobra w liczeniu. W szkole miała pierwszą lokatę z arytmetyki. Amy nie była najlepsza z żadnego przedmiotu.

— Spójrz tylko na tę sukienkę! — Amy aż jęknęła. Suknia była uszyta z białej krepy, z błyszczącymi cekinami dookoła dekoltu i na mankietach długich rękawów. Spódnica, długa i wąska, była tak opięta, że przypominała ogon syreny. — Dałabym sobie uciąć prawą rękę, żeby mieć w swojej szafie taką suknię — westchnęła.

— Wyglądałabyś w niej dość głupio tylko z jedną ręką. Poza tym ten uroczy kawałek materiału kosztuje piętnaście funtów i dziewięć

pół szylinga! — zapiszczała Cathy. — Kto przy zdrowych zmysłach zapłaciłby tyle za sukienkę?

— Ja bym zapłaciła.

— Akurat. I gdzie ty byś w niej chodziła, dziewczyno? Przecież ona ma ogon, na litość boską! Zabrudziłaby się w ciągu paru sekund.

— To nie żaden ogon tylko tren.

— Nie bądź taka zasadnicza. Ogon czy tren, jaka to różnica... Musiałabyś mieć lokaja, który by to za tobą nosił. — Cathy potrząsnęła głową, jakby chciała podkreślić kompletny brak zdrowego rozsądku u swojej przyjaciółki. — Jest strasznie niepraktyczna.

— No, dobrze. W takim razie jej nie kupię — roześmiała się Amy. — Ale coś muszę przecież kupić. Jak myślisz?

— Może herbatę? — podsunęła jej Cathy. — Weźmiemy jeden czajniczek dla nas obydwu.

— W porządziu. Wejdziemy do pierwszej z brzegu kawiarni, pod warunkiem że nie będzie zbyt wytworna.

— A jaki film dzisiaj obejrzymy? — spytała Cathy, kiedy już siedziały w kawiarce na piętrze i piły herbatę, nalewając ją sobie z białego czajnika. — Króla podziemi z Humphreym Bogartem czy Algierię z Charlesem Boyerem?

— Właściwie wszystko mi jedno. Może rzucimy monetą?

Cathy wyciągnęła z torebki pół pensa.

— Orzeł czy reszka? — Potrząsnęła monetą w garści. — Algieria — powiedziała.

Amy się skrzywiła.

— Właściwie wołałabym ten z Bogartem.

— Z tobą tak zawsze — zirytowała się wreszcie Cathy. — Kiedy wypada orzeł, ty chcesz reszkę — albo na odwrót. I nigdy nie odpuścisz, bez względu na wynik. To po co mówiłaś, żebyśmy losowały?

— Bo to mi pomaga podjąć decyzję.

— Nieprawda. To dlatego że zawsze wszystko komplikujesz.

— No dobrze, więc dlatego, że lubię wszystko komplikować. Przejdziemy się do lunaparku, kiedy już wypijemy herbatę?

— Pewnie! Chyba że znów chcesz najpierw losować.

\* \* \*

Najbardziej spektakularne w Amy były jej włosy — kremowożółta grzywa z całym mnóstwem drobnych loczków, kędziorków i fal. W jasnym słońcu tego dnia w Southport włosy te lśniły niczym szczerze złoto. Jej ciało miało doskonałe proporcje, oczy były błękitne, rzęsy ciemne, a noszek wprost idealnego kształtu. Dolna warga była odrobinę większa od górnej i dlatego, kiedy nic nie mówiła, wyglądała na nadąsaną. Ten drobny mankament był prawie niezauważalny, ponieważ Amy zwykle się uśmiechała, często nawet szeroko, co było szczególnie urzekające. Chociaż nie każdy był tym urzeczony. Niektórzy twierdzili, że dziewczynie o takiej urodzie nie można ufać albo że nie ma w swojej ślicznej główce ani krzty rozumu.

Jej przyjaciółka Cathy — jakby prawem kontrastu — wyglądała dość zwyczajnie, chociaż bardzo sympatycznie. Reprezentowała typ dziewczyny z sąsiedztwa, z którą każdy zdrowo myślący facet by się ożenił. Długie ciemne włosy podwijały się na końcach, ale siostra Cathy, Frances, wyprasowała je tego ranka i teraz na plecy spływała jej długa fala brązowego atlasu. Przez to miała na szyi oparzenie, które strasznie ją piekło. Prasowanie czyichś włosów jest dość ryzykownym zabiegiem, bo żelazko w

każdej chwili może się obsunąć. Cathy miała duże szare oczy, odrobinę za długi nos i zbyt szerokie usta. Była rozsądną i poważną dziewczyną, która tylko w towarzystwie Amy pozwalała sobie na frywolność.

Kiedy weszły do lunaparku, panował tam taki ścisk, że tylko z wielkim trudem można się było poruszać między stoiskami. Popatrzyły na siebie, wzięły głęboki oddech, po czym złapały się za ręce i wmieszały w tłum, który poniósł je dalej. Nie zwracały uwagi na rzucanie obręczami do celu ani na grę w kości, uważając to za zwykłe marnowanie czasu, a zwłaszcza pieniędzy, jako że nigdy nie wygrywały i nawet nie widziały, żeby ktokolwiek wygrywał. Popędziły prosto do „kolejki strachu”. Usiadły na samym przodzie i wrzeszczały wniebogłosy, kiedy pojawiały się duchy i szkielety, nie wspominając już o otwartej trumnie, w której siedział nieboszczyk, uchylający cylindra i zapraszający, żeby się do niego przyłączyły — chociaż żadna z nich oczywiście ani trochę się nie bała. Potem jeździły samochodem po huśtającym się torze — tę zabawę najbardziej lubiła Cathy. Chłopak, który przyjął od nich pieniądze, wsiadł do ich auta, i spoglądając z uśmiechem to na jedną, to na drugą, potrząsał nim jak wariat. Potem kupiły lody i poszły z nimi na diabelski młyn.

Cathy pierwszej zrobiło się niedobrze. Na dziś miała już dość szaleństw. Zaproponowała, żeby usiadły na molo i napiły się jeszcze herbaty. Była już pierwsza po południu. Robiło się coraz cieplej i wiał przyjemny wietrzyk. Dziewczęta zdjęły berety i zadarły głowy, rozkoszując się łagodną bryzą. Wiatr rozwiewał im spódnice i cesał długie włosy.

W późniejszych latach Cathy zastanawiała się często, jak potoczyłoby się życie Amy, gdyby wtedy nie poszły na molo. Na przykład, gdyby spóźniły się na pociąg — rzeczywiście mało brakowało, niemal w ostatniej chwili wskoczyły do wagonu! — i dotarły na miejsce dużo później. Albo gdyby nie poszły na herbatę na Lord Street tylko prosto do lunaparku, i znalazłyby się tam wcześniej. Gdyby nie spotkały wtedy braci Pattersonów, jej przyjaciółka nie musiałaby spędzić najpiękniejszych lat życia w więzieniu. Gdyby...

\* \* \*

Ani Cathy, ani Amy nie zwróciły uwagi na dwóch młodych mężczyzn, którzy oparli o balustradę molo, wpatrywali się w dal. Byli świetnie ubrani, we flanelowe spodnie, sportowe marynarki i słomkowe kapelusze. Jeden z nich był w ciemnozielonej marynarce, drugi w granatowej. Obie ozdobione złotymi guzikami. Spodnie mieli starannie wyprasowane, buty lśniące.



Byli to przystojni, zdrowo wyglądający chłopcy, bracia; obaj byli brunetami o piwnych oczach. Ten w zielonej marynarce był wyższy i szczuplejszy. Włosy też miał dłuższe, a spojrzenie bardziej zuchwałe. Prócz tego był bardziej pewny siebie niż brat — widać to było już na pierwszy rzut oka — poruszał się szybciej i bardziej zdecydowanie. Poza tym był młodszy.

— Chce mi się pić — powiedział w pewnej chwili, odwracając się. — Ciekawe, czy jest tu jakiś bar? — Omiótł wzrokiem moło. Nagle trącił brata łokciem i szepnął — O ty w życiu... Popatrz tylko na to!

Drugi chłopak również dostrzegł dwie młode dziewczyny. Siedziały na ławce i chichotały jak szalone.

— Zlituj się, Barney, nie podrywajmy teraz dziewczyn! — jęknął, wznosząc oczy do nieba. — Przecież nie po to tu przyjechaliśmy... Mieliliśmy spędzić ten dzień tylko we dwóch, zapomniałeś? Wiesz, że zawsze się gubię w takiej sytuacji... Czuję się skrępowany, jeżeli idziemy na obiad, a jeszcze bardziej, kiedy do kina. A to... to może się nawet skończyć tym, że je zabierzemy do domu. — Skrzywił się z niezadowoleniem. Przyjechali samochodem Barneya i jego brat dobrze wiedział, co mówi. Jeśli sprawy się potoczą według tradycyjnego scenariusza, on będzie musiał tkwić na tylnym siedzeniu z jakąś dziewczyną, której prawie nie znał, a już na pewno nie lubił.

— Ejże, Harry, nie bądź takim starym nudziarzem. Te dziewczyny są naprawdę niesamowite. W każdym razie blondynka! Prawdziwa bogini... — westchnął, chwytając się za serce. — A ty możesz sobie wziąć tę z ciemnymi włosami. Też wygląda całkiem nieźle. Spójrz tylko na ten biuścik. No chodźże, a nuż dzisiaj jest nasz szczęśliwy dzień?

— Może twój, Barney, ale na pewno nie mój — mruknął Harry, człapiąc za bratem w stronę ławki. Miał cichą nadzieję, że dziewczyny nie będą szczególnie „chętne” i każą się im odczepić. Nie wyglądały na dziwki, wprost przeciwnie, sprawiały wrażenie grzecznych pańienek.

Barney zdjął kapelusz i grzecznie się uklonił.

— Mój brat i ja zastanawialiśmy się właśnie, czy dałyby się panie namówić na lody — zagaił, zwracając się do blondynki.

— Nie, dziękujemy — oświadczyła szatynka, poprawiając demonstracyjnie paseczek u pantofelka. Blondynka nic nie powiedziała, tylko wpatrywała się w Barneya wielkimi błękitnymi oczami, w których malowało się oszołomienie.

Ku zaskoczeniu Harry'ego jego brat usiadł nagle na ławce obok blondynki.

— Witaj... — powiedział łamiącym się głosem. Jego twarz miała taki wyraz, jakiego Harry nigdy przedtem nie widział: coś na kształt głupkowatego uśmiechu, jakby w ciągu paru sekund postradał wszystkie zmysły.

— Witaj — odparła blondynka niemal szeptem. — Nazywam się Amy Curran.

— Jestem Barney Patterson. Miło mi cię poznać, Amy.

To było właśnie to.

Miłość od pierwszego wejrzenia.

\* \* \*

Przez resztę dnia Harry razem z tą drugą dziewczyną — miała na imię Cathy — wlekli się za Amy i Barneyem. W pewnym momencie tamci zniknęli bez słowa w kiosku wróżki.

— Myślę, że zapomnieli o naszym istnieniu — skonstatowała sucho Cathy, 'kiedy razem z Harrym czekali na ławce.

— Chyba rzeczywiście coś w tym jest... — Harry wcisnął dłonie w kieszenie i zabrzęczał monetami, zastanawiając się gorączkowo, co jeszcze mógłby powiedzieć.

— Najchętniej wróciłabym do domu, gdyby nie to, że nie powinnam zostawić Amy samej. Ostatecznie ona prawie nie zna twojego brata. Tak czy nie? — Zmarszczyła brwi. — Nie wiem, co w nią wstąpiło. Nigdy się tak nie zachowywała. Zresztą nigdy przedtem nie miała tak naprawdę chłopca... żadna z nas.

— Barney też zachowuje się dziś bardzo dziwnie — przyznał — Taaaak... naprawdę bardzo dziwnie. — No, oczywiście chodził już z dziewczynami, ale jeszcze nigdy mu tak nie odbiło. — Harry najwyraźniej się trochę rozluźnił. Bądź co bądź, on i Cathy jechali na tym samym wózku. — Słuchaj... a co byś powiedziała na jakiś zimny napój? Tu niedaleko jest kawiarnia ze stolikami na dworze, więc będziemy widzieli, kiedy nasze gołąbki wyfruną z tego kiosku.

— Wolałabym herbatę, jeżeli ci to nie robi różnicy. Szczerze mówiąc, jestem trochę roztrzęsiona. — Zaczęła pocierać nerwowo czubek nosa. — Gołąbki! To brzmi jakoś tak... sama nie wiem.

Harry wszedł do kawiarni i zapłacił za herbatę. Wiedziony jakimś impulsem, kupił też dwie maślane babeczki. Kelnerka skinęła głową i obiecała za chwilę wszystko przynieść.

Cathy uśmiechnęła się lekko, kiedy Harry wrócił do stolika. Pomyślał, że właściwie ją lubi. Nie była ani trochę głupia, ani kapryśna. Wolałby wprawdzie, żeby nie miała tego okropnego liverpoolskiego akcentu, ale tylko tyle.

— Jesteś z Southport? — zagadnęła.

— Nie, z Liverpoolu. A dokładnie z Calderstones.

— Fiu, fiu, bardzo wytworna dzielnica. My z Amy jesteśmy z Bootle. Macie jeszcze rodzeństwo?

— Nie, jesteśmy tylko we dwóch — Barney i ja. A ty?

— Ja? — Parsknęła śmiechem. — Mam pięciu braci i cztery siostry. Jestem druga od końca. Nasz Dugald jest najstarszy: w tym roku skończył już trzydzieści pięć lat.

— Dugald to dość niezwykle imię.

— Staroirlandzkie. To znaczy „ciemny nieznajomy”.

Z każdą minutą rozmawiało się im coraz lepiej, swobodniej. Harry spytał, czym zajmuje się Cathy; opowiedziała mu o swojej pracy u Woolwortha w dziale księgowości. Po czym zadała mu dokładnie to samo pytanie.

— Pracuję w fabryce ojca w Skelmersdale — odpowiedział. — Jestem zastępcą kierownika. Produkujemy instrumenty i sprzęt •medyczny.

Wyglądała na bardzo zainteresowaną.

— Czy Barney też tam pracuje?

Wyjaśnił, że Barney rok temu skończył uniwersytet. Studiował filologię klasyczną.

— Zaglądał wprawdzie kilka razy do fabryki — zwierzył się swojej nowej znajomej — ale planuje pójść do wojska, jeżeli... kiedy wojna się zacznie. — Westchnął ciężko. Powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że wojna jest nieunikniona.

Zjawiała się kelnerka z zamówieniem. Cathy podziękowała wylewnie Harry'emu, kiedy zobaczyła babeczki. Po prostu umierała z głodu.

— Dziś rano przystąpiłyśmy do komunii świętej, więc musiałyśmy pościć. Wyobraź sobie, że zjadłyśmy w pociągu tylko batonik czekoladowy. Jeden na dwie. Trochę mało, co? Oszczędzałyśmy apetyty na rybę z frytkami, ale teraz bardzo wątpię, czy Amy zechce cokolwiek zjeść. Ma co innego w głowie.

— Jesteście katoliczkami?

Po plecach Harry'ego przebiegł nagle zimny dreszcz, jak drobne igielki lodu, ścigające się w górę i w dół. A jeśli to, co jest między Barneyem i tą dziewczyną, to coś naprawdę poważnego? Jeśli wpadnie na pomysł, żeby ją zabrać do domu i zaprezentować rodzicom...

— Tak. — Cathy spojrzała na niego rozbawiona. — Masz coś przeciw temu?

— Nie — bąknął Harry. — Nie, oczywiście że nie — dodał szybko. Ale jego matka miałaby na pewno. Elizabeth Patterson była irlandzką protestantką i z całego serca nienawidziła katolików.

— Bo niektórzy ludzie po prostu mają.

Nerwowo przełknął ślinę.

— Być może, ale ja nie jestem jednym z nich.

— Nawet nie pomyślałabym, że jesteś. — Sięgnęła po babeczkę i zjadła ją z tak oczywistym zapalem, że bez namysłu zaproponował, by zjadła też drugą. On sam stracił nagle apetyt.

Barney i Amy wyszli wreszcie od wróżki. Trzymali się za ręce. Harry aż jęknął w duchu. Nigdy dotąd nie widział, żeby ludzie byli tak promiennie, tak z całego serca szczęśliwi jak w tej chwili jego brat i Amy. Zupełnie jakby ktoś zapalił im w środku jakieś tajemnicze światło — oboje po prostu jaśnieli. Nie tylko ich oczy — również skóra i włosy. Harry poczuł się nagle jakiś taki... — nie potrafił znaleźć właściwego słowa — niekompletny, był jedynie bladą imitacją własnego brata. Wiedział, że nigdy nie będzie tak jaśniał. Nie było w nim tego cudownego wewnętrznego światła. Barney był od niego dwa lata młodszy, miał dwadzieścia jeden lat, ale dziś Harry czuł się przy nim jak szczeniak.

— Harry i ja właśnie wypiliśmy herbatę i zjedliśmy babeczki — powiedziała Cathy, co nie do końca było zgodne z prawdą.

Harry poczuł się od razu trochę lepiej, jakby on i Cathy też tworzyli parę; w ten sposób jego brat i jej przyjaciółka nie byli jedynymi osobami, które się tu liczyły.

— Jestem głodna — oznajmiła Amy.

Na to Barney wszedł do kawiarni i kupił więcej herbaty i babeczek. Amy siedziała z rękami splecionymi na kolanach i spoglądała z rozmarzeniem na własne stopy, dopóki Barney nie wrócił.

Od tej chwili widzieli tylko siebie. Jakby zapomnieli o całym bożym świecie. Nawet w kinie — poszli całą czwórką na *Króla podziemi* z Humphreym Bogartem — siedzieli objęci ramionami, wpatrzeni w siebie, i ani przez chwilę — w ekran.

\* \* \*

Kiedy wróciły do Bootle, było już ciemno.

Cathy bynajmniej nie była zaskoczona, że bracia Pattersonowie mają samochód. Nie mogła ich sobie wyobrazić jadących pociągiem czy tramwajem, jak zwykli ludzie. Okazało się, że każdy z braci ma swój, ale przyjechali do Southport autem Barneya.

— Jaki to wóz? — spytała, sadowiac się na tylnym siedzeniu obok Harry'ego. — Pytam po prostu dlatego, że kiedy powiem, że jechałam samochodem, nasz Kev będzie chciał wiedzieć, jakim. — Kev miał bzika na punkcie samochodów.

— To morris osiem tourer, z podnoszonym dachem. Ja mam austina siedem, a papa bentleya. Sądzę jednak, że będziemy musieli się z nimi pożegnać w razie wojny, niestety... — rzekł Harry ze smutkiem. — Chodzą słuchy, że już wkrótce benzyna może być na kartki.

Amy i Barney na przednich siedzeniach nie odzywali się ani słowem; dopiero gdy dotarli do Bootle, Amy wytłumaczyła Barneyowi, jak dojechać na Agatę Street.

— Nic ci nie jest? — spytała Cathy, kiedy razem z Amy stały już przed domem Curranów i Barney odjechał. Pytanie było głupie, ale też Amy zachowywała się tego popołudnia co najmniej dziwnie.

— Nie, wszystko w porządku, dzięki... — odpowiedziała Amy.

Oparła się o parapet i powtórzyła „w porządku...”, ale jakimś dziwnym głosem, jakby myślała o czymś zupełnie innym. — A tobie?

— Wiesz? Harry to naprawdę fajny chłopak. Bardzo miło mi się z nim rozmawiało. — Cathy czuła przez skórę, że powinna podkreślić fakt, iż nie tylko Amy dobrze się bawiła, nawet jeśli jej znajomość była całkiem innej natury. Naprawdę polubiła Harry'ego, chociaż nie było w tym cienia romantyzmu. Kto wie, może gdyby się lepiej poznali... Kiedy wysiadała z samochodu, Harry uściskał jej dłoń ze słowami: „Jestem pewien, że się jeszcze kiedyś spotkamy”, a ona przytaknęła.

— Mogę wejść? — spytała przyjaciółkę, która w dalszym ciągu stała jak zaczarowana, nie ruszając się z miejsca. Zupełnie, jakby nagle zapomniała, gdzie są drzwi, albo nie miała pojęcia, co teraz ze sobą pocnie, skoro jej ukochany Barney odjechał.

Cathy zwykle po powrocie z miasta wypijała u Curranów filiżankę kakao razem z Amy, a czasem również z jej matką. W jej własnym domu od rana do wieczora panował nieopisany harmider; w każdym pokoju się kłócili albo bili, a matka rzucała najrozmaitszymi przedmiotami, które nawinęły się jej pod rękę. Nikt nie pił niczego przed snem, zresztą nigdy nie zostawało w spiżarni ani trochę mleka. Kiedy zamykano bary, do domu wracał jej ojciec, pijany jak bela.

— Myślę, że chyba się od razu położę — odparła Amy, trąc oczy, jakby była bardzo zmęczona.

— No, dobrze. Więc zajrzę do ciebie jutro koło południa.

— A... po co?

— Jak to, po co? — Cathy popatrzyła na nią ze zdumieniem. — Jutro jest Poniedziałek Wielkanocny, zapomniałaś? Mamy iść na zawody sportowe w English Electric z twoim Charliem i jego Marion. — Miały tam być stoiska, gry i konkursy. Cathy bardzo się na to cieszyła.

— Och, ja nie pójdę... — Amy potrząsnęła głową, jakby cała ta wyprana była kompletnie bez sensu i jakby od początku nie miała zamiaru tam pójść. — Barney zabiera mnie do New Brighton. Ale ty możesz przecież iść do English Electric... z naszym Charliem i Marion — powiedziała szybko, jakby dopiero w tej chwili do niej dotarło, jaką przykrość robi Cathy.

— To chyba nie jest najlepszy pomysł. Marion mnie nie lubi.

— Mnie też nie. I co z tego? Ona chyba w ogóle nikogo nie lubi, nawet naszej mamy, chociaż mama myśli, że Marion jest po prostu nieśmiała.

— Nie czułabym się dobrze sama, tylko z nią i Charliem.

Co miałyby tam robić, nawet gdyby z nimi pojechała? Wlec się za Marion i Charliem, tak jak dzisiaj za Amy i Barneyem? Gdyby jeszcze miała do towarzystwa Harry'ego.

— W porządku — mruknęła. — Znajdę sobie jakąś inną rozrywkę. Już moja w tym głowa...

Czuła się głęboko zraniona. Amy była jej najlepszą przyjaciółką od czasu, kiedy miały po pięć lat, a teraz tamta ją odrzuca jak starą, niepotrzebną zabawkę — tylko dlatego, że poznała jakiegoś przystojniaka. To chyba nie była prawdziwa Amy, ta dziewczyna, która tak niedbale, tak krzywdząco potraktowała ich przyjaźń. To jakaś

nowa Amy, której dotąd nie znała. Podczas tych kilku godzin spędzonych w Southport coś się z nią stało. Była jak zahipnotyzowana, jakby ten Barney ją zaczarował...

Kto wie, kiedy powróci znów dawna Amy?

Przyjaciółka weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Cathy została sama na pustej ulicy, zabudowanej małymi szeregowymi domkami, podobnymi do siebie jak dwie krople wody. W półmroku wydawały się gołe i pozbawione wyrazu z pozamykanymi na cztery spusty drzwiami — bez jednego oświetlonego okna. Nie było przy nich klombów z kwiatami, nawet kawałek trawnika. Z domów wychodziło się wprost na chodnik.

Cathy westchnęła ciężko. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się równie nie-szczęśliwa jak dziś.

\* \* \*

— Takie jest życie — mruknęła Moira Curran.

Nigdy nie sądziła, że nadejdzie dzień, w którym nie będzie miała nic innego do roboty poza siedzeniem w fotelu z powieścią w jednej ręce — zwykle jakimś łzawym romansem — i papierosem w drugiej, z uczuciem miłego podchmielenia. Spędziła wieczór na graniu w karty ze swoją najlepszą przyjaciółką Nellie Tyler i wypity kapkę za dużo porto z cytryną.

Zeszłego lata jej najmłodsza córka Biddy zaczęła pracować. Teraz, kiedy syn i trzy córki oddawali matce część zarobków, Moira nareszcie czuła, że jest jej łatwiej. Kiedy jej mąż Joe dziesięć lat temu zmarł na atak serca, zostawiając ją z piątką małych dzieci, życie Moiry zamieniło się w katorgę. Do tej pory zajmowała się domem i rodziną, teraz była zmuszona podjąć pracę zawodową, żeby starczyło i na chleb, i na opał, i na ubrania... Ale dzieci były dla niej wszystkim i dlatego była gotowa na wiele wyrzeczeń. Dlatego, zaciskając zęby, harowała jak wół od świtu do nocy.

Dochodziła już dziesiąta na zegarze stojącym na komodzie. Ten piękny stary czasomierz był prezentem ślubnym od rodziców Joego... cóż, oboje od dawna nie żyli.

W zeszłym roku o tej samej porze zbliżała się godzina zamknięcia baru Green Man na Marsh Lane, a ona niemal padała na twarz ze zmęczenia. Praca w barach jest wprawdzie ogromnie męcząca, ale za to godziny wygodne, jeśli się ma dzieci w wieku szkolnym. Charlie był już wtedy na tyle dorosły, żeby się opiekować siostrami podczas nieobecności matki. W godzinach rannych zarabiała parę dodatkowych szylingów, sprzątając bar przed jego otwarciem.

Teraz jednak Moira miała już stosunkowo łatwe zajęcie. Popołudniami pracowała jako kelnerka we Flowers Cafe na Stanley Road. Bywały dni, kiedy mogła wstać z łóżka bardzo późno, nawet o ósmej! Zakupy stały się dla niej prawdziwą przyjemnością w porównaniu z tym, jak dawniej kupowała, zawsze w okropnym pośpiechu. Czasami nawet przychodziła do Flowers z Nellie na poranną herbatę, gdzie dla odmiany to ją obsługiwano. Doprawdy, życie może być takie słodkie.

Kupowała teraz różne drobiazgi do domu. Na noworocznej wyprzedaży nabyła na przykład jasnobrązowy obrus z kordonką ozdobioną frędzlą z kuleczek. Trąciła lekko palcem jedną z nich i z dreszczykiem emocji patrzyła, jak się kołysze.

„Jakie to żalosne”, pomyślała z uśmiechem.

Cóż, po prostu przez tak bardzo długi czas nie mogła sobie pozwolić na takie luksusy jak nowy obrus. Gdyby miała trochę więcej energii, poszłaby do salonu i zerknęła na nowe poszewki na poduszki z brązowego aksamitu, które sama uszyła, i na suszoną żółtą trawę riau kominku; nie była pewna, czy ta trawa jest prawdziwa, ale co tam! Wszystkie te obrusy, poszewki i inne drobiazgi ogromnie ją cieszyły. Były zadośćuczynieniem po długich latach klepania biedy.

Właśnie pomyślała, że najstarsza córka powinna już o tej porze być w domu, kiedy drzwi frontowe nagle się otworzyły i weszła Amy. Moira nigdy przedtem nie widziała u niej takiego wyrazu twarzy. Trudno było go określić. Nieobecne spojrzenie, jakby senne... tak jakby właśnie śnił się jej jakiś piękny sen.

— Co się z tobą dzieje, kotku? — zapytała podejrzliwie. — Chyba nie jesteś pijana?

— Nie, mam. Jestem jeszcze za młoda, żeby chodzić do barów, prawda?

— Zwykle nikogo to nie powstrzymuje.

Na wszelki wypadek jednak nie drażyła tego tematu. Amy była dobrym dzieckiem i nigdy nie sprawiała jej najmniejszego kłopotu. W dodatku matka doskonale wiedziała, jakie wrażenie robi jej śliczna córka na płci męskiej. Nie umknęły jej zachwycone spojrzenia i pogwizdywania, które zawsze im towarzyszyły, kiedy razem z Amy wychodziła gdzieś na miasto. To się zaczęło już wtedy, kiedy Amy miała zaledwie trzynaście czy czternaście lat. Moira sama była w młodości ładną dziewczyną — i nawet teraz nie była brzydka mimo długich lat ciężkiej pracy — ale nigdy nie dorównywała urodą swojej córce. Wiedziała, że w tych okropnie niemoralnych czasach nietrudno o nieszczęście. Mógłby się jeszcze znaleźć jakiś drań, który dosypałby czegoś do drinka jej uroczej córeczce, żeby ją później wykorzystać.



Moira czytała chyba za dużo powieści — im pikantniejsze, tym chętniej — odkąd miała dużo wolnego czasu.

— Charlie w domu? — spytała Amy.

— Siedzą w salonie z Marion — westchnęła Moira. Nie była pewna, czy lubi narzeczoną syna.

— Kiedy wyjadą, możesz mu powiedzieć, że jutro nie idę do English Electric.

— A to dlaczego?

— Bo wybieram się gdzie indziej. — Amy podeszła do schodów. — Mamo, chyba pójdę już spać...

— Ale gdzie jest to „gdzie indziej”? No, mówże wreszcie... — syknęła Moira, stojąc na dole schodów; nie chciała obudzić Jacky ani Bidy, które już od dawna poszły do łóżek i pewnie teraz mocno spały.

— New Brighton. Ktoś przyjedzie po mnie samochodem około dziesiątej rano.

— Samochodem! A kto to jest ten... — zanim jednak zdążyła dokończyć, drzwi sypialni się zatrzasnęły.

Dlaczego Cathy nie przyszła dzisiaj na filiżankę kakao? Zawsze to przecież robiła... Moira nie wiedziała, co o tym sądzić. Może dziewczynki się pokłóciły? To by tłumaczyło ten dziwny wyraz twarzy Amy. Chociaż nie... Nie wyglądała na rozżaloną ani smutną.

Moira pomyślała, że powinna od razu pójść do Cathy i zapytać ją wprost, o co tutaj chodzi; tyle że jej matka, Elsie Burns, budziła w Moirze przerażenie. Burnsowie, z wyjątkiem Cathy, byli rodziną awanturników — ich dwóch chłopaków odsiadywało wyroki w więzieniu, a już matka była najgorsza ze wszystkich. Po prostu wariatka!

Zajrzała do pudełka z papierosami — został tylko jeden. I bardzo dobrze! W ciągu pół minuty przyrządziła sobie filiżankę kakao, zapaliła i pójdzie spać... Chociaż może lepiej spyta jeszcze Charliego i Marion, czy też by się czegoś nie napili. Słyszała ich głosy, kiedy pukała do drzwi salonu i otworzyła je z trzaskiem, na wypadek gdyby miała ich zaskoczyć.

— Macie ochotę na filiżankę kakao? — Nie wiadomo dlaczego mówiła szeptem.

— Nie, dzięki, mamo. — Głos Charliego brzmiał zupełnie normalnie. — Marion za minutkę idzie do domu.

— Dobranoc, Marion.

— Dobranoc, pani Curran.

Moira skrzywiła się z niesmakiem. W głosie Marion nie było ani odrobiny serdeczności. Może po prostu jest nieśmiała?

Tak czy owak, ta czarnowłosa dziewczyna, mieszkająca w katolickim hotelu przy Everton Valley, była jakaś dziwna. Wycisnąć z niej jakąkolwiek informację na temat jej pochodzenia było jeszcze trudniej, niż wyrwać ząb. Z tego, co mówił Charlie, wynikało, że urodziła się w Dundalk, na wschodnim wybrzeżu Irlandii, a potem jako czternastolatka wyjechała do Liverpoolu. Teraz miała dwadzieścia lat. W tym czasie udało się jej pozbyć niemal całkowicie irlandzkiego akcentu; poza tym nauczyła się stenografii i pisania na maszynie.

— Nie żyją — ucięła krótko jej przyszła synowa, kiedy Moira spytała ją o matkę i ojca. Moira już nawet nie chciała pytać, czy Marion ma rodzeństwo. Coś jej mówiło, że może po raz drugi narazić się na równie arogancką odpowiedź.

Próć tego — Moira była coraz bardziej wkurzona — chciałyby, żeby ta gburowata czarnula wreszcie doceniła, jaką partię robi, wychodząc za Charliego Currana. W całym Bootle nie było ani jednej młodej kobiety, która by natychmiast nie przyjęła jego oświadczeń. Był uczniem kreślarskim w English Electric — teraz miał już nawet własną deskę kreślarską — i był jedynym mężczyzną na ich ulicy, który chodził do pracy w garniturze.

A w dodatku, co robiło jeszcze większe wrażenie, Charlie kupował sobie własny dom! Znajdował się on w dzielnicy Aintree w pobliżu torów wyścigowych i właśnie kończono jego budowę, razem z chyba setką innych. Razem z Marion chodzili w każdą niedzielę zobaczyć, jak postępują prace budowlane. Moira chyba nigdy w życiu nie poznała nikogo, kto miałby swój własny dom!

— A co mi tam! Mam to wszystko w nosie... — Moira zakręciła się szybko w kuchni. Przygotowała sobie kakao, klapnęła w fotelu, zapaliła papierosa i wzięła książkę, którą czytała. Postanowiła pomyśleć o tym wszystkim jutro albo jeszcze następnego dnia. Teraz właściwie nic a nic jej to nie obchodziło. Zapomniała powiedzieć Charliemu, że Amy nie pójdzie z nim jutro na zawody, ale to też miała gdzieś...

\* \* \*

Kiedy Cathy weszła do domu, zastała siedzącą na schodach Lily, która najwyraźniej tylko czekała, aż siostra wróci do domu.

— Ty dziwko! — wrzasnęła Lily, rzucając się na nią z pięściami. — Od godziny zachodzę w głowę, gdzie się podział mój czerwony żakiet.

Cathy kompletnie zapomniała, że ma na sobie jej żakiet.

— Przepraszam, siostrzyczko... — zaczęła, ale Lily nie miała zamiaru słuchać żadnych wyjaśnień, które Cathy mogła wymyślić w ciągu pół minuty. Była w tym naprawdę dobra. Złapała ją za włosy i mocno pociągnęła. Cathy wrzasnęła przeraźliwie, na co do holu wkroczyła pani Burns, złapała skłócone siostry za włosy i stuknęła je głowami.

— Dorośnijcie nareszcie, wy... wy, para wariatek! — Trzepnęła Cathy po twarzy. — Masz! To za to, że zwędziłaś siostrze żakiet. — Lily uśmiechała się pogardliwie, ale nie trwało to długo. — A ty masz za to, że ciągnęłaś siostrę za kudły! — warknęła pani Burns i trzepnęła po twarzy drugą córkę.

Drzwi frontowe otworzyły się gwałtownie i wszedł pan Burns, chwiejąc się na nogach. Był świadkiem tego, co się działo na korytarzu, i niezwłocznie znów się ulotnił, zanim jego ślubna małżonka mogła go dopaść. Zadowolony, że tym razem mu się udało, obszedł dookoła dom i zasiadł w klozecie na podwórku. Siedział tam, aż odrobinę wytrzeźwiał, a nerwy mu się trochę uspokoiły.

— Jeeezu! — Lily popędziła na górę. — Nienawidzę tego cholernego domu!

Cathy poczłapała za nią z nieszczęśliwą miną, jedną ręką trzymała się za głowę, drugą za lewy policzek. Gdyby Amy nie okazała się taką podłą zdrajczynią i zaprosiła ją na filiżankę kakao... Lily byłaby już w łóżku, kiedy Cathy by wróciła, i zdążyłaby odwiesić czerwony żakiet do szafy. A jutro, gdyby Lily o niego zagadnęła, odpowiedziałyby jej po prostu: „Moim zdaniem ten twój głupi żakiet przez cały czas tu wisiał!”.

\* \* \*

W ciągu paru następnych tygodni Cathy prawie nie widywała Amy. Czowała się bez niej jakoś dziwnie, jak bez prawej ręki. Już od tylu lat wszystko robiły razem. W głębi duszy Cathy zawsze wiedziała, że nadejdzie dzień, gdy obie poznają jakiś miłych chłopców, za których będą chciały wyjść za mąż, wyobrażała sobie jednak, że to nastąpi mniej więcej w tym samym czasie — będą wychodzili we czwórkę na miasto, do kina albo na tańce, potem się pobiorą, będą mieć dzieci, a ich przyjaźń przetrwa wiele lat. Kto wie, może nawet do końca życia...

Nie posiadała się z radości, kiedy którejś niedzieli wpadła do niej Amy i zaproponowała, żeby poszły na mszę, a potem spędziły razem resztę dnia. Dawniej zawsze tak bywało w niedziele.

— Mogłybyśmy się przejść po Docky i pójść do miasta na herbatkę u Lyonsa — mówiła Amy. Był maj, robiło się coraz cieplej, a dni były teraz dłuższe.

„Widocznie stosunki z Barneyem trochę się ochłodziły...”, pomyślała Cathy. Myliła się jednak. Okazało się, że dzisiaj wypadają akurat urodziny ojca Barneya i tego dnia miało być u nich dużo gości.

— A dlaczego ciebie nie zaprosili? — spytała bez ogródek Cathy.

— Po prostu Barney nie chce na razie zapoznać mnie ze swoją mamą. Twierdzi, że jak nic wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała, że jej syn zamierza się ożenić z katoliczką.

— Chcecie się pobrać?!

Cathy nie mogła uwierzyć własnym uszom. Minęły zaledwie trzy tygodnie od dnia, kiedy pojechały z Amy do Southport, a tu takie kwiatki... Przecież do tej pory myślały o wszystkim, tylko nie o poważnych związkach z chłopcami.

A teraz Amy zachowuje się zupełnie inaczej... i mówi o małżeństwie!

— Tak, myślimy o tym całkiem poważnie. Ale proszę, nic nie mów mojej mamie. — Amy unikała wzroku przyjaciółki. — To jak, idziesz do kościoła, czy nie? — spytała.

— Za chwilę będę gotowa. Wezmę tylko kapelusz.

W drodze do kościoła St. James właściwie nie rozmawiały. Cathy zerkała spod oka na Amy, zastanawiała się gorączkowo nad czymś, co wydawało się jej co najmniej dziwaczne. Mogłaby się założyć, że Amy i Barney już ze sobą spali. Było coś takiego w jej przyjaciółce... Nie to, żeby wyglądała doroślej, a jednak zachowywała się inaczej. Jakby rzeczywiście przybyło jej lat.

Tamtego dnia w Southport przestała być dziewczynką, a stała się kobietą.

Po mszy poszły ulicą Docky do miasta, wypity u Lyonsa po lemoniadzie, po czym udało im się wspólnie uciuć tyle, że mogły kupić jeszcze dwa bilety w przednich rzędach kina Scala, gdzie obejrzały film Kapitan Blood z Errolem Flynnem i Olivią de Havilland. Film był stary, widziały go już wcześniej, ale wszystko było lepsze niż próba nawiązania rozmowy. Amy prawie cały czas sprawiała wrażenie nieobecnej i tylko

uśmiechała się tajemniczo. Kiedy Cathy coś do niej mówiła, odpowiadała wprawdzie, ale w taki sposób, jakby się budziła z cudownego snu na jawie. Cathy czuła przez skórę, że jej przeszkadza, dała więc spokój pytaniom.

Była zadowolona, kiedy tramwaj, którym jechały do domu okazał się tak zatłoczony, że nie mogły usiąść koło siebie. Tej nocy, zanim usnęła, strasznie chciało się jej płakać, ale płacz nie był dobrym pomysłem, ponieważ spała razem z Lily, a ta, zerwana ze snu, z miejsca poczęstowałaby ją kulakiem.

Wiedziała jednak, że nigdy już nie będzie mieć przyjaciółki takiej jak Amy, a teraz wyglądało na to, iż na zawsze ją utraciła.

\* \* \*

Kiedy kilka dni później Cathy wracała po pracy do domu, spostrzegła panią Curran, która stała na rogu Amethyst Street — i najwyraźniej na nią czekała.

Cathy bardzo lubiła mamę Amy. Była to szczupła kobieta o ładnej twarzy i zgrabnych nogach. I zawsze dobrze ubrana, nawet jeśli wszystkie jej rzeczy bez mała były używane. Dzisiaj też miała na sobie elegancką bladofioletową sukienkę z krótkimi rękawkami i plisowanym gorsecikiem. Przywitała się z Cathy, a następnie spytała, czy ta mogłaby po podwieczorku zajrzeć do nich na Agatę Street.

— Chciałabym z tobą pogadać, kotku. Na temat naszej Amy.

— Czy ona też tam będzie?

— Nie, kotku. Wybiera się do Princes Theatre w Birkenhead. Mówiła, że wróci dopiero późnym wieczorem.

Cathy była zadowolona, że wreszcie może się gdzieś wyrwać. Dwie z jej sióstr były już zameżne, a pozostałe dwie, Lily i Frances, chodziły ze swoimi chłopcami. Nie miały dla niej czasu. A od dnia, kiedy Amy poznała Barneya Pattersona, Cathy była skazana na te same miejsca i tych samych ludzi.

Kiedy zjadła podwieczorek, pobiegła zaraz do Curranów cała w skowronkach. Pani Curran przygotowała czajnik herbaty, ustawiła wszystko elegancko na tacy, między innymi fajansowy talerz pomalowany w różę z połamanymi herbatnikami. Niektóre z nich były z kremem czekoladowym, Cathy lubiła je najbardziej.

— Częstuj się, kotku — powiedziała z uśmiechem pani Curran, kiedy już usiadły w salonie, po czym zapaliła papierosa.

Wieczorny posiłek Cathy składał się dziś z kawałka suchego chleba, grubego jak cegła i zamoczonego w wodnistym sosie. Nadal była strasznie głodna, więc z wdzięcznością sięgnęła po herbatnik. A potem drugi i trzeci... Jej matka nie uznawała deserów.

— Chodzi mi o urodziny naszej Amy — zaczęła pani Curran. — Jak wiesz, pierwszego czerwca kończy osiemnaście lat. Zastanawiałam się nad urządzeniem małego przyjęcia.

— Czy rozmawiała pani już o tym z Amy?

— Nie, jeszcze nie. Ostatnio strasznie trudno ją przyprzeć do muru.

— A jeśli ona wcale nie chce tego przyjęcia... — dała jej pod rozwagę Cathy. Jakiś nie mogła sobie wyobrazić wysokiego, przystojnego Barneya Pattersona w małym domku Curranów, skoro był przyzwyczajony do wspaniałych, przestronnych salonów w Calder-stones.

Pani, Curran z głośnym stuknięciem odstawiła filiżankę na spodek.

— Och, Cathy, kotku! — zawołała. — Zaprosiłam cię tutaj, bo tak naprawdę chciałam porozmawiać o czymś więcej niż tylko o przyjęciu. A nie owijając w bawełnę, chodzi mi o tego chłopaka, z którym Amy spędza teraz tyle czasu. Jaki on jest? Nie chce go przyprowadzać do domu. Zawsze ją gdzieś zabiera, a potem odwozi do domu, ale nigdy nie wchodzi do środka. Zagroziłam, że jak mi się nie pokaże, to wyjdę przed dom i sama mu się przedstawię. I wiesz co? W ogóle przestał przychodzić. Najwidoczniej Amy mu powiedziała, żeby na nią czekał w jakimś innym miejscu. Taka z niej spryciara. Nie zdradziła mi nawet jego imienia ani jak zarabia na życie. Czy to katolik? Z jakiej rodziny? Gdzie mieszka?

Zaczęła płakać; ze schodów zbiegły właśnie Jacky i Biddy, wołając, że wychodzą.

— Dokąd? — krzyknęła za nimi pani Curran.

Dziewczynki wpadły do pokoju. Miały takie same włosy jak Amy,

błękitne oczy i nawet podobne rysy, ale było w nich coś nieokreślonego, co sprawiało, że nie można ich było uznać za takie słodkie ślicznotki jak ich starszą siostrę.

— Cześć, Cathy! — zawołały równocześnie. — Mamo, idziemy do Stanley Park z Phyllis McNamarą.

— A co tam będziecie robić? — dopytywała się matka.

Dziewczynki popatrzyły po sobie ze zdziwieniem.

— Jak to co? Po prostu rozmawiać, mamó — odparła Jacky po dłuższej chwili.

— Właśnie, mamó, będziemy po prostu rozmawiać — potwierdziła jej słowa Bid-  
dy.

— No, wobec tego dobrze. Idźcie, już idźcie, tylko nie wracajcie zbyt późno.

— Dlaczego muszą iść taki kawał drogi, aż do Stanley Park, tylko po to, żeby po-  
rozmawiać? — spytała pani Curran, kiedy drzwi frontowe trzasnęły. Cathy wzruszyła  
ramionami i stwierdziła, że nie ma pojęcia, a następnie, widząc zmartwioną minę ma-  
my swojej przyjaciółki, wyjaśniła, że ona i Amy też tak zawsze robiły, na co pani Cur-  
ran żałośnie pociągnęła nosem. — Chciałabym, żeby nasza Amy więcej ze mną roz-  
mawiała. Od pewnego czasu zrobiła się strasznie tajemnicza. Jacky i Biddy też to za-  
uważyły i jest im bardzo przykro. Z kolei Charlie okropnie się zdenerwował, ponieważ  
Amy zachowała się kiedyś niegrzecznie w stosunku do jego narzeczonej Marion.  
Wszystko się zaczęło od tej niedzieli, kiedy pojechaliście do Southport. Rozumiem, że  
właśnie wtedy poznała tego chłopaka. Kiedy wróciła do domu, była naprawdę w  
dziwnym nastroju. — Moira spojrzała żałośnie na Cathy. Oczy miała pełne łez.

— On się nazywa Barney Patterson — odparła powoli Cathy. Próbowała sobie  
przypomnieć po kolei wszystkie pytania, które zadała jej pani Curran. — Mieszka w  
Calderstones i ma brata o imieniu Harry. Ich ojciec musi być piekielnie bogaty, ma  
fabrykę instrumentów medycznych w Skelmersdale. Nie są katolikami — dodała. Jego  
mama dostałaby ataku szału, gdyby się dowiedziała, że jej syn ma zamiar się ożenić z  
katoliczką, przypomniała sobie słowa Amy. A Harry wtedy w Southport też wyglądał  
na trochę niezadowolonego, kiedy wspomniała, że były na mszy.

— Barney nigdzie teraz nie pracuje. W zeszłym roku skończył studia na uniwersy-  
tecie i chce wstąpić do wojska.

— Na uniwersytecie! — powtórzyła słabym głosem pani Curran. Była blada jak  
chusta. — Więc nasza Amy chodzi z chłopcem, który ma samochód i studiował na  
uniwersytecie? Mój Boże... Gdzie się poznali?

— Na molo w Southport.

Miała wielką ochotę opowiedzieć jeszcze pani Curran, jak na siebie patrzyli, jakby  
chcieli się zjeść oczami, ale właściwie to nie była jej sprawa. Zresztą nie była pewna,  
czy potrafiłaby to opisać. No, a już to, że Amy wspomniała o małżeństwie, zabrzmia-  
łoby jak jakaś nieprawdopodobna historia.

— Nic jej nie grozi z jego strony, jak myślisz? To znaczy, jaki jest ten chłopak?

— Właściwie sama nie wiem — wyznała szczerze Cathy. — Sprawiał wrażenie porządnego. Jego brat Harry jest naprawdę bardzo miły. Z Barneyem prawie nie rozmawiałam — podkreśliła. To prawda, jakoś nie miała okazji — był zanadto pochłonięty Amy.

— Jak myślisz, co z tego będzie, Cathy? — zapytała pani Curran drżącym głosem. — Miejmy nadzieję, że to nie potrwa za długo, co?

Przypatrywała się Cathy, jakby czekając na potwierdzenie, ale dziewczyna uśmiechnęła się tylko i odparła:

— Po prostu musimy poczekać.

\* \* \*

Cathy co parę dni wpadała do Curranów, bardziej dla pani Curran niż dla samej, siebie. Była zbyt wrażliwa i zbyt dumna, żeby sobie pozwolić na zamartwianie się w nieskończoność tylko dlatego, że przyjaciółka ją porzuciła. U Woofwortha pracowały tłumy dziewcząt, z którymi mogła chodzić do kina albo na tańce w Rialto czy też we Floral Hall w Southport. Szybko zawierała nowe przyjaźnie, obiecała jednak pani Curran, że na pewno przyjdzie na osiemnaste urodziny Amy. Na tę okoliczność kupiła już nawet prezent — pudełko ślicznych haftowanych chusteczek.

— Ma przyprowadzić Barneya. Nareszcie! — mówiła jednym tchem pani Curran podczas ostatniej wizyty Cathy. — Właściwie to nie będzie przyjęcie tylko skromny poczęstunek. Mają być nasz Charlie z Marion, Jacky i Biddy. No i oczywiście ty, kotku. Zrobię tylko parę kanapek i upiekę bułkę. Podam też butelkę sherry.

Cathy obiecała przyjść o wpół do siódmej.

Ten dzień miała zapamiętać na zawsze.

\* \* \*

Pierwszego czerwca pogoda była okropna. Niebo pokrywała szczelnie gęsta warstwa szarych chmur i mimo że nie padało, powietrze było przesiąknięte wilgocią, która kleiła się do twarzy jak mokra pajęczyna.

Tuż przed wpół do siódmej, kiedy Cathy była już w drodze na Agatę Street, wyjrzało słońce, jakby specjalnie na urodzinowe przyjęcie Amy.

„Szczęściara z tej Amy”, przemknęło przez głowę Cathy. „Wszystko jej sprzyja, nawet pogoda...”.



Kiedy skręciła za róg, dostrzegła samochód Barneya; stał zaparkowany przed domem Curranów. Cathy zastukała do drzwi, po chwili otworzyła jej Biddy. Przewróciła oczyma i powiedziała drżącym z przejęcia głosem:

— No, to teraz nasza Amy naprawdę dała nam popalić! Mówię ci, ale heca!

— Co się stało? — spytała Cathy, patrząc na nią z niepokojem.

— Ona i ten jej cały facet dziś wzięli ślub, masz pojęcie?! — wypaliła Biddy, szczerząc zęby w uśmiechu. — Mama jest wściekła, a nasz Charlie strasznie wkurzony. Ja tam jej piekielnie zazdroszczę. Chciałabym, żeby taki lalusz, co ma samochód, poprosił mnie o rękę.

— Masz jeszcze na to mnóstwo czasu, Biddy — zapewniła czternastolatkę Cathy.

Weszła do mieszkania, po czym skierowała się do salonu, gdzie zastała całą rodzinę oprócz Marion. Barney stał przed kominkiem. Sądząc po jego beztroskiej minie, czuł się tu tak swobodnie, jak we własnym domu, podczas gdy Amy i Charlie usiłowali pocieszyć tonącą we łzach panią Curran, która miała właśnie lekki atak hysterii.

— Jak mogłaś mi to zrobić? — szlochała. — Jak mogłaś? Moja własna córka bierze ślub i nawet nie zaprasza swojej matki!

— To był cichy ślub — wyjaśniała spokojnie Amy, patrząc to na Cathy, to na matkę. — Nikogo na nim nie było. Na świadków poprosiliśmy dwóch gości z innego ślubu. A potem poszliśmy do fotografa, który zrobił nam zdjęcie.

— Chyba dobrze wiedziałaś, jak bardzo tym zranisz swoją mamę — zauważyła chłodno Cathy.

— Nie znasz wszystkich okoliczności, Cathy — odparła takim samym tonem Amy.

Dopiero wtedy Cathy zauważyła, że jej przyjaciółka ma na sobie piękną suknię z białego jedwabiu, przypominającą tę, do której tak wzdychała przed wystawą sklepu w Southport.

Suknia nie miała wprawdzie trenu, ale wyglądała na równie kosztowną jak tamta. Amy upięła swoje wspaniałe włosy na czubku głowy w grecki kok, z którego na czoło, przy uszach i na białą, smukłą szyję wymykały się drobne kędziorki. Kapelusz — czy też raczej stroik Amy — składał się z dwóch białych jedwabnych róż i skrawka białej woalki.

Cathy jeszcze nigdy nie widziała, żeby jej przyjaciółka wyglądała tak pięknie.

A i Barney też nie stał zapewne na końcu kolejki, kiedy Pan Bóg rozdzielał ludziom urodę. Był przystojny niczym gwiazdor filmowy w swoim ciemnym garniturze i olśniewająco białej koszuli, z puklem brązowych włosów zwisającym na jedno oko. Uśmiechał się naprawdę uwodzicielsko, nie mogąc wprost oderwać oczu od swojej nowo poślubionej żony.

„Mój Boże, czy jakiś mężczyzna będzie kiedyś patrzeć na mnie w taki sposób?“, pomyślała Cathy, czując lekkie ukłucie zazdrości.

Charlie klepał matkę po plecach, a Amy lekko nią potrząsała.

— Mamo, proszę, błagam, nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Ja i Barney nawet nie myśleliśmy, że tak się tym wszystkim przejmiesz.

— Po prostu chciałam być na ślubie mojej własnej córki. Czy to takie dziwne? — westchnęła żałośnie pani Curran. — Ale nie w jednym z, tych okropnych urzędów stanu cywilnego, kochanie! Twój ślub powinien się odbyć w katolickim kościele, gdzie zawarłabyś małżeństwo przed Bogiem.

— Och, mamo, przecież to nie ma znaczenia.

— Dla mnie ma, kochanie! — zawołała matka, pałając świętym oburzeniem. — Czy mama Barneya wie, że się pobraliście?

— Jeszcze nie, pani Curran — odparł Barney.

Cathy nie była pewna, co się stało później. Tyle się przecież wydarzyło tego wieczoru... Pamiętała tylko, że Barney, jak magik, wydobyl nie wiadomo skąd butelkę szampana, pudło z szaleniem wytwornymi smukłymi kieliszkami oraz złoty medalion z takimż łańcuszkiem dla pani Curran. Potem zaczął całować wszystkich po kolei, włącznie z Cathy. Każdej z sióstr Amy dał po funcie, zapewniając sobie tym sposobem ich dozgonną przyjaźń, a Charliemu uściskał rękę. Był to serdeczny, na wskroś męski uścisk dłoni, połączony z objęciem drugą ręką ramienia Charliego. Matka Amy wciąż płakała, oglądając medalion, w którym, jak ją zapewniała Amy, pewnego dnia znajdą się zdjęcia jej i Barneya; teraz łzy pani Curran były łzami radości, nie smutku.

Barney oczarował wszystkich bez wyjątku.

A może Cathy tak się tylko wydawało... Całkiem zapomniała o Marion. Kiedy weszła do salonu, Marion siedziała przy stole, wpatrując się w przestrzeń.

— Napijesz się szampana? — zaproponowała jej Cathy. — Zostało jeszcze trochę.

— Nie, dziękuję.

Marion była młodą kobietą o ziemistej cerze, z kruczoczarnymi włosami, nienaturalnie wąskim nosem i gęstymi brwiami, które nadawały jej twarzy męski wygląd. Choć równocześnie było w niej coś intrygującego... Zaledwie dwudziestoletnia, wyglądała na kilka lat więcej. Była odrobinę snobką i nalegała, by mówić do Charliego „Charles”. Mieli się pobrać we wrześniu, chociaż nikt nie mógł pojąć, co on w niej widzi.

— Nie wiem, jak Amy mogła zrobić coś podobnego swojej matce — powiedziała Marion z goryczą. — Charles nieraz mi opowiadał, jak pani Curran harowała przez wszystkie te lata, żeby zapewnić przyszłość swoim dzieciom... i proszę, co dostaje w zamian od własnej córki! Ja musiałam pracować w rodzinnym interesie, już kiedy miałam pięć lat. Ale brylant przecina brylant, jak zwykła mawiać moja matka.

Cathy nigdy przedtem nie słyszała tego powiedzenia. Później ktoś jej wyjaśnił, co to znaczy — wet za wet.

TLR

## Rozdział 3

KWIECIEŃ 1971

*Pearl*

Panna Burns zapaliła kolejnego papierosa. W jej gabinecie cuchnęło jak w dworcowym barze. Popielniczka na biurku była już pełna niedopałków, a zbliżała się dopiero pora lunchu.

— Brylant przecina brylant. Słyszałaś kiedyś takie powiedzenie, Pearl?

— Marion je stale powtarza. To oznacza „odegrać się na kimś”. Odwet. Coś w tym rodzaju.

— Wet za wet — panna Burns uśmiechnęła się lekko. — Tak właśnie powiedziała tego dnia, kiedy twoja mama i tata się pobrali. Była jedyną osobą, na której twój ojciec nie zrobił piorunującego wrażenia. Właściwie można by jej pogratulować dalekowzroczności... — zamyśliła się na chwilę. — Już wkrótce wszyscy mu jedli z ręki, nawet ja. Myślałam, że go nie lubię, ale to nie byłoby w porządku. Przecież prawie go nie znałam. A ty, Pearl? Pamiętasz swojego tatę?

— Bardzo słabo — wyznałam. Był jakąś daleką postacią, budził we mnie nabożny podziw, a nawet lęk. Przerazało mnie, kiedy krzyczał na mamę, kiedy ją obrzucał wyzwiskami. Czasem opowiadał mi różne historie, wymyślając *ad hoc* scenariusz, tak iż żadne z nas nie wiedziało, jak skończy się bajka.

Od tygodnia, czyli od kiedy moja matka wyszła z więzienia i — zgodnie z tym, co podała prasa — gdzie się zaszyla, panna Burns wzywała mnie codziennie do swego gabinetu, gdzie wspólnie się zastanawialiśmy, gdzie też i z kim może teraz być. Połowę przerwy na lunch spędzała wpatrzona w przestrzeń, snując wspomnienia o swojej dawnej przyjaciółce.

— Dzwoniłam nawet kiedyś do Harry'ego. Na wypadek gdyby wiedział, gdzie ona jest, ale powiedział, że nie ma pojęcia — mówiła teraz. — To zadziwiające, pomimo tego, co się wydarzyło, nie żywił do Amy urazy, podobnie zresztą jak jego ojciec. Z kolei teściowa jej nie cierpiała. A i to mało powiedziane... — zmarszczyła czoło — Po rozprawie narobiła okropnego zamieszania, twierdząc, że powinni powiesić Amy.

Wredny babsztyl. Wysłała nawet petycję w tej sprawie do ministra spraw wewnętrznych.

Zgasiała papierosa i natychmiast zapaliła następnego. Zadałam sobie w duchu pytanie, czy jest w ciągu dnia taki moment, kiedy panna Burns nie ma papierosa w ustach — albo właśnie nie przypala kolejnego. Wydmuchnęła w powietrze kłęb dymu i popatrzyła nań z niesmakiem.

— Nie uwierzysz, Pearl, ale kiedy byłam młoda, zarzekałam się jak żaba wody, że nigdy nie będę palić. Problem w tym, że podczas wojny w armii palili dosłownie wszyscy.

Szukałam w myślach jakiegoś sposobu, żeby zmienić temat — z przeszłości na terazniejszość.

— Może ten ktoś, kto zabrał do siebie mamę, to jakaś osoba poznana w więzieniu — zasugerowałam.

— Tak właśnie przypuszczam, że to może być ta modelka, z którą Amy się tak zaprzyjaźniła: Nellie Jakaś-Tam.

Nie odpowiedziałam. Nigdy nie słyszałam o żadnej Nellie Jakijs-Tam.

Być może moje przedłużające się milczenie wreszcie dotarło do panny Burns — zrozumiała, jak serdecznie dość mam tego tematu. A może po prostu pomyślała, że jestem głodna.

— Zajmuję ci całą przerwę na lunch, prawda, kochanie? — powiedziała miękkim głosem. — Może wybrałybyśmy się któregoś wieczoru na kolację? Oczywiście ja cię zapraszam. Mogłybyśmy wtedy spokojnie porozmawiać.

— To byłoby bardzo miłe.

W każdym razie na pewno lepsze niż ciągłe telefony do pokoju nauczycielskiego, wzywające mnie do jej gabinetu. Hilda Dooley już zaczynała coś podejrzewać. Być może umierała z niepokoju i zazdrości, że ja, najmłodsza nauczycielka w szkole i ostatnia, która tu przyszła uczyć, mogłabym awansować.

\* \* \*

Tego wieczoru Charles zastanawiał się głośno, gdzie też może się podziewać moja matka. Marion w końcu się zdenerwowała.

— Można się było spodziewać, że Amy zrobi z tego wielki dramat. To całkiem w jej stylu — zżymała się, wznosząc oczy do nieba. — Mogę wprawdzie zrozumieć, że

chciała się gdzieś ukryć, ale przecież nie przed nami, na litość boską! No dobrze, nie przed tobą — zgodziła się, kiedy Charles spojrział na nią wymownie.

W dniu, kiedy Amy Patterson wypuszczono z więzienia Holloway, reporterzy czatowali na nią przy bramie — jak sępy na padlinę. Najwyraźniej wciąż była dla nich „tematem” na pierwszą, a przynajmniej drugą stronę. Teraz byli zainteresowani jej zniknięciem. W gazecie ukazały się zdjęcia Amy, odjeżdżającej spod więzienia białym rolls-roycem, który, jak się niebawem okazało, był wynajęty. Charles podskakiwał jak oparzony, za każdym razem, kiedy zadzwonił telefon albo rozległo się pukanie do drzwi. Umierał ze strachu, że wytropiła go któraś z gazet. Aintree leżało wprawdzie bardzo daleko od Bootle, było jednak częścią Liverpoolu.

— To z tobą, Pearl będą chcieli przede wszystkim rozmawiać — powiedział. — Z córką Amy. Ty będziesz dla nich prawdziwym odkryciem.

Przedłużająca się niepewność bardzo mnie przygnębiała. W sobotę zrobiłam to, co robiłam zawsze, kiedy miałam zły nastrój — poszłam do miasta na zakupy. Chciałam sobie kupić coś ładnego do ubrania. Przekonywałam samą siebie, że pilnie potrzebuję letniej garderoby, a konkretnie czegoś, co byłoby na tyle eleganckie, żeby móc się w tym pokazać na przyjęciu, jak też wystarczająco rozsądne, by to nosić do szkoły. Kiedy tak wędrowałam od stoiska do stoiska z damską garderobą w magazynach Lewisa i Owen Owen, żałowałam, że już kupiłam sobie strój na ślub Trish — teraz bowiem mogłabym nabyć właśnie coś takiego. Próbowałam nie myśleć o niczym innym poza strojami. Po jakimś czasie okazało się to nawet całkiem łatwe.

Kiedy już przymierzyłam cały asortyment sukienek, bluzek i spódnic, wybrałam ostatecznie w Owen Owen suknię z szarego woalu do pół łydki, z białym kołnierzem. Już po minucie od wejścia w jej posiadanie doszłam jednak do wniosku, że jak na szkołę jest zbyt strojna. Po krótkim namyśle kupiłam więc jeszcze ciemnoniebieską lnianą spódnicę i białą bluzkę z angielskim haftem.

Zabrałam to wszystko do restauracji na najwyższym piętrze i zamówiłam kawę.

Wieczorem wybierałam się na kolację z Marion i Charlesem. Świetnie — będę mogła im zaprezentować moją nową kreację. W myśli przeglądałam swoją kolekcję obuwia. Tak, ta suknia będzie idealnie pasować do białych sandałków na koturnie.

Kelnerka przyniosła mi kawę. Kiedy spojrzałam w jej nieprzeniknącą czerń, nagle straciłam humor. W jednej chwili dopadły mnie ponure myśli. Charles i Marion szli na tę kolację tylko ze względu na mnie. Była sobota. Trish pojechała do Londynu obejrzeć dom dla siebie i lana; wobec tego nie miałam absolutnie nic do roboty ani żadnych planów na sobotni wieczór. Charles i Marion po prostu się nade mną zlitowali.

Nalałam sobie śmietanki do kawy i właśnie ją mieszałam, kiedy usłyszałam jakiś dziecienny głosik.

— Dzień dobry pani!

To był Gary Finnegan, ten sam chłopczyk, którego matka całowała tuż pod drzwiami klasy wobec wszystkich dzieci, które się potem z niego wyśmiewały.

Był delikatnym dzieckiem o miłym usposobieniu. Nauczyciele nie powinni mieć ulubieńców, byłam tego w pełni świadoma. Cóż, kiedy nic na to nie mogłam poradzić, że lubię Gary'ego bardziej niż innych chłopców.

— Witaj, Gary. — Uśmiechnęłam się do niego. Patrzył na mnie swoimi zielonymi oczami, wielkimi jak spodki, jakby nie mógł uwierzyć, że nauczycielka też może mieć jakieś inne życie poza czterema ścianami klasy. — A gdzie twoja mama... albo tata? — spytałam.

— Tata jest tutaj. O, już idzie!

W tej samej chwili zbliżył się do nas mężczyzna o znękaney twarzy, dźwigając w obu rękach wielkie torby pełne zakupów. Mógł mieć niewiele ponad trzydziestkę, był wysoki i dobrze zbudowany, z prostymi jasnymi włosami i hardą, ale dobroduszną twarzą. Jak dzielny szeryf ze starych westernów. Miał na sobie lekki jasnoszary garnitur, a na skórze ślady opalenizny. Zastanowiło mnie, dlaczego jego piwne oczy patrzyły tak smutno.

— Chodź już, Gary. Nie przeszkadzaj pani — powiedział łagodnie. Jego twarz rozjaśnił nieco zmęczony uśmiech. — Proszę mu wybaczyć. Mój syn bywa czasem za- nadto przyjacielski.

— Ale tatusiu — pisnął Gary — to jest nasza pani ze szkoły.

— To prawda. Znamy się — wyjaśniłam.

— Och, dobrze, jeśli tak... — Jedna z toreb upadła na podłogę, tak że musiał się po nią schylić. — Właśnie kupowałem Gary'emu różne rzeczy do szkoły. Szorty i takie tam...

— Szorty? — spytałam, marszcząc czoło.

— Czy szorty są nie okay? — popatrzył na mnie stropiony. Wyglądał na zaniepokojonego.

— Nie, jeżeli się je nosi na gimnastyce. — Wskazałam mu puste krzesło. — Proszę, niech pan usiądzie, panie Finnegan. Aha... jestem Pearl Curran. Uczę pierwszoklasistów. Gary jest w mojej klasie.

— Rob Finnegan. Dzień dobry.

Kiedy podawaliśmy sobie ręce, upuścił resztę sprawunków. Pomogłam mu je ułożyć pod stolikiem, po czym przyciągnęłam krzesło dla Gary'ego, kiedy Rob Finnegan siadał. Zaraz podeszła kelnerka. Rob spojrział na mnie pytająco.

— Pozwoli pani, że zamówię? A może pani na kogoś czeka?

— Poza zamówieniem nie czekam na nic. — „A już z pewnością na nikogo”, uzaliam się nad sobą w duchu.

— Poproszę o kawę, białą... i koktajl mleczny, truskawkowy. Co chciałbyś zjeść, synku?

— Kiełbaski z frytkami, tatusiu, proszę.

— Cóż to za grzeczny i miły chłopiec — zauważyła z uśmiechem kelnerka. — Zaraz przyniosę, mój mały.

— A więc, co jest złego w szortach...? — wrócił do swojego pytania. — Czy mogę mówić do pani Pearl, czy panno Curran?

Przeciagnał palcem wokół szyi i rozluźnił węzeł krawata. Teraz wyglądał na trochę mniej zmęczonego.

— Proszę mnie nazywać Pearl. Szorty są trochę staroświeckie, chyba że się je nosi na gimnastyce. I tylko wtedy...

— Staroświeckie? Ależ ja nosiłem szorty aż do jedenastego roku życia, a chodziłem do naprawdę dobrej szkoły.

— Tak było kiedyś, a teraz jest po prostu inaczej. Cóż, moda się zmienia... Większość małych chłopców nosi długie spodnie, zazwyczaj dzinsy. W szortach Gary pasowałby do nich, jak nie przymierzając kwiatek do kozucha.

Nie chciałam sugerować, że powinien poprosić żonę, żeby na przyszłość zostawiała syna przed bramą szkolną.

— A co pani myśli o koszuli z krótkim rękawem i krawacie na lato?

Potrząsnęłam głową.



— Ta akurat szkoła nie ma żadnego oficjalnego mundurka. Panna Burns, nasza dyrektorka, woli, kiedy uczniowie ubierają się zwyczajnie. To znaczy — chłopcy w dżinsach, dziewczynki w prostych spódniczkach, a góra to czerwone koszulki albo bluzy. — Panna Burns nie chciała, żeby koszt ubrań przekraczał możliwości finansowe niektórych rodzin, które musiały odwiedzać wyprzedaże, żeby odpowiednio ubrać swoje dzieci. — Musiał pan przecież dostać pismo na ten temat, zanim Gary zaczął uczęszczać do naszej szkoły.

— Pewnie gdzieś je zgubiłem. W lutym byliśmy jak w gorączce, co, Gary?

— W prawdziwej gorączce — zgodził się Gary. — Wracaliśmy wtedy z Ugandy, prawda, tato?

— Z Ugandy? — zdziwiłam się.

— Pracowałem w policji — oznajmił — ale tak się pechowo złożyło, że tam był akurat zamach stanu i do władzy doszedł Idi Amin. W ambasadzie poradzili nam jak najprędzej się stamtąd wynosić. Ten człowiek jest naprawdę niebezpieczny.

— A teraz gdzie mieszkacie?

— W Seaforth, z moją siostrą, dopóki nie znajdziemy własnego domu. Siostra ma mieszkanie na Sandy Road. — Skrzywił się z niezadowoleniem. — Jest trochę ciasno, ale przez te kilka lat, kiedy byliśmy za granicą, ceny domów bardzo poszły w górę, a ja szukam czegoś, na co byłoby mnie stać. Nie mam na to zbyt wiele czasu, bo nocami pracuję na poczcie, a w dzień odsypiam. Kiedy się już urządzimy, spróbuję się dostać do policji brytyjskiej, chociaż ciągle się zastanawiam, czy nie byłoby rozsądniej znów wyjechać za granicę. Może do Australii albo do Kanady. Tam jest więcej możliwości.

— Tato, czy jakbyśmy pojechali do Australii, to mógłbym mieć misia koalę?

— Są pod ochroną, Gary — przypomniałam mu. — Nie możesz trzymać takiego zwierzątka w domu.

Chłopczyk wyglądał na zawiedzionego.

— W Ugandzie mieszkał z nami Jimmy, ale biedaczek musiałby przez sześć miesięcy męczyć się w schronisku w Anglii, więc go zostawiliśmy.

— Jimmy to pies?

— Nie, kot. — Gary zmarszczył z powagą czoło. — Jest w pręgi i ja udawałem, że to tygrys.

— Jimmy jest już bardzo stary — wtrącił Rob. — Odziedziczyliśmy go jakiś rok temu po rodzinie, która wracała do Anglii. Szczerze wątpię, czy wytrzymałby sześć miesięcy w schronisku. Trzymają je tam w klatkach, to okropne.

— Czy Jimmy mieszka teraz u takich miłych ludzi jak wy? — spytałam Gary'ego.

Poważnie kiwnął główką.

— Nawet u jeszcze miłszych. U dziewczynki, która ma na imię Petron... Tato, jak ona ma na imię?

— Petronella.

— Ma takie długie, złote włosy, prawie do samej ziemi.

— Chyba trochę przesadzasz, synu. Włosy Petronelli sięgają jej najwyżej do pasa.

Uśmiech zmienił wyraz twarzy Roba. Zaczynał się powoli odprężyć.

Byłam ciekawa, gdzie jest jego żona. To trochę niezwykle, żeby ojciec kupował swojemu dziecku ubrania.

— Może pan wymienić te ubrania, wie pan? — podpowiedziałam mu, widząc, że sam sobie nie poradzi.

— I nie będą mi robić żadnych trudności?

— Nie, jeżeli ma pan rachunki z kasy.

— Chyba gdzieś je mam... — Zaczął szperać po kieszeniach i wydobył stos pogniecionych papierków.

Zjawiała się kelnerka z zamówieniem. Rob spytał, czy nie napiłabym się jeszcze kawy. Zgodziłam się bez namysłu.

Rozglądałam się po zatłoczonej restauracji. Jeśli ktoś na nas teraz patrzyłby mógł nas wziąć za zwykłą rodzinę, która przyjechała do miasta na zakupy. Nie wiadomo dlaczego ta myśl sprawiła mi pewną przyjemność. Nikt nie wie, że nie jestem żoną tego mężczyzny ani matką jego dziecka.

Zauważyłam pod stołem płaską reklamówkę z napisem „WH Smith”.

— Jakie płyty pan kupił?

— Jimi Hendrix, Tremeloes, Pink Floydów *Piper at the Gales of Dawn*. — Podniósł reklamówkę i pokazał mi okładki.

— Po prostu je ubóstwiam. Wszystkie! — powiedziałam z za chwytem. — Mam ostatnią płytę Simona i Garfunkela: *Bridge Over Trouble Water*. Słucham jej bez przerwy. Oczywiście, po pracy...

— Zostałem trochę w tyle, jeśli idzie o moją kolekcję płyt w Ugandzie. — Odłożył torbę w bezpieczne miejsce. — Ale chcę pani powiedzieć, że pewnego wieczoru, w sześćdziesiątym pierwszym, byłem w ratuszu w Litherland i oglądałem tam czterech rozchełstanych chłopaków z włosami jak stóg siana, którzy grali muzykę, jakiej nigdy przedtem nie słyszałem. A potem się okazało, że to byli Beatlesi.

— Ja też tam byłem! — wykrzyknęłam. — Miałam wtedy piętnaście lat.

— A ja osiemnaście!

— Gdzie pan siedział?

— W pierwszym rzędzie. Dzięki znajomościom... — mrugnął do mnie porozumiewawczo. Byłem kolegą kolegi, który znał Ringo Starra.

— A ja z przyjaciółką na samym końcu. — Roześmiałam się głośno. — Nie miałyśmy niestety takich znajomości jak pan...

— No proszę, jeśli to nie jest zbieg okoliczności, to sam już nie wiem, co nim może być. — Spojrzał na mnie zdziwiony. — Oboje w tym samym miejscu, dziesięć lat temu!

Nagle zaczął wyglądać o wiele młodziej. Miał dopiero dwadzieścia osiem lat, a nie ponad trzydzieści, jak podejrzewałam z początku.

— Tatuś ciągle puszcza płyty. Słowo! — uroczyście zapewnił Gary. — Bess tylko jęczy i jęczy, bo tatuś zawsze używa jej adaptera. A ona lubi... — Zmarszczył czoło. — Jaką muzykę lubi ciocia Bess, tatusiu?

— Muzykę country i melodie z westernów, synku — wyjaśnił. — Odwrócił się do mnie i powiedział zbulwersowany, ścisząc mimowolnie głos. — Jej ulubioną piosenkarką jest Connie Francis!

— O Boże! — zawołałam ze współczuciem. — Jak można woleć westerny i country od rock'n'rolla?

— Takie cuda też się zdarzają — stwierdził Rob, kiwając z ubolewaniem głową.

— A jaką muzykę lubi twoja mama, Gary? — spytałam.

— Moja mama nie żyje, proszę pani — odparł po prostu. — Utonęła w Hiszpanii.

Przycisnęłam ręce do płonących policzków. Marzyłam, żeby podłoga się rozstąpiła i pochłonęła mnie razem z moimi nowymi fatalaszkami.

— Tak mi przykro, naprawdę. Nie myślałam... — bąknęłam skruszona — to znaczy myślałam, że ta pani, która przyprowadza Gary'ego do szkoły, to jego matka.

— Nie, to Bess, moja siostra. Proszę, oto pani kawa. — Wziął kawę z tacy od kelnerki i postawił przede mną. Upiłam łyk i sparzyłam się w język. — Widzę, że jest pani zakłopotana. Całkiem niepotrzebnie... — powiedział. — Skąd mogła pani o tym wiedzieć? To się wydarzyło trzy lata temu. Gary i ja rozmawiamy o jego mamie zupełnie otwarcie.

— Miała zielone oczy — dodał Gary. — Tak jak ja.

— Naprawdę? — powiedziałam łamiącym się głosem.

— I brązowe włosy. Kręcone, też tak jak moje — tylko że moje nie są brązowe. Moje są tego koloru, co włosy tatusia.

— Pewnie była bardzo ładna.

— Jeszcze jak! — oświadczył z zapalem malec. — Była piękna jak królewna z bajki. Mamy w domu jej fotografie, prawda tatusiu?

— Tak, Gary. — Poczochrał jasne kędziorki syna. Spojrzeli na siebie, jakby chcieli powiedzieć „rozumiemy się bez słów”. Czuło się między nimi serdeczną więź, która — wbrew pozorom — dość rzadko się zdarza między ojcem i synem.

— Muszę już iść. — Przełknęłam resztę kawy. Wciąż była zbyt gorąca i parzyła mnie w język.

Myślałam, żeby pójść z nimi do sklepów i wymienić ubrania. Naprawdę polubiłam Roba Finnegana — zresztą nie sposób go było nie lubić. Ucieszyło mnie też odkrycie, że mamy te same gusta muzyczne, i że oboje byliśmy na pierwszym koncercie Beatlesów. Ale to wszystko dlatego, że się pomyliłam. Byłam przekonana, że jest żonaty i w związku z tym nieosiągalny. Ja natomiast zdecydowanie unikałam samotnych, osiągalnych i atrakcyjnych mężczyzn, bojąc się, że mogę się w którymś zakochać i w końcu wyjść za niego, co uważałam za bardzo niebezpieczne.

Czyżby?

Nie wiedziałam. Nic już nie wiedziałam.

\* \* \*

— Dzwoniła Cathy Burns — powiedział Charles, kiedy wróciłam do domu. — Zaprosiłem ją na dzisiejszą kolację. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. A może będziesz się czuła niezręcznie, jedząc kolację z dyrektorką szkoły, twoją przełożoną?

— Ani trochę — zapewniłam go szybko.

— Marion nie jest zbyt zadowolona. Myśli, że Cathy będzie przez cały czas rozmawiać o twojej matce. No i że będzie do mnie mówiła „Charlie”. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Teraz już właściwie nie ma nikogo, kto by mnie nazywał „Charlie”. Trochę szkoda...

Też byłam zdania, że panna Burns prawie na pewno będzie chciała rozmawiać o mojej matce.

— Strasznie zależy jej na tym, żeby się dowiedzieć, gdzie ona jest.

— A kto tego nie chce? — stwierdził rzeczowo Charles. — Ciągle się spodziewam, że nam to wyjawi, kiedy sama będzie chciała. No, ale my tu gadu, gadu, a czas ucieka. Idę się wykapać. Właśnie skosiłem trawę, pierwszy raz w tym roku, i jestem wykończony. Marion poszła do fryzjera, będzie za jakieś pół godziny. — Marion zawsze, odkąd sięgałam pamięcią, chodziła do fryzjera w sobotnie popołudnia.

Charles poszedł na górę, a ja powędrowałam do ogrodu, żeby obejrzyć trawnik. Był soczyście zielony i pachniał tym cudownym zapachem, jaki ma tylko świeżo ścięta trawa. Wciągnęłam z lubością powietrze i uśmiechnęłam się do siebie. Cieszyłam się, że już niedługo wszystko tu będzie kwitło i rozkosznie pachniało.

To przede wszystkim Charles stworzył ten ogród. Gęste krzewy ligustru i zarośla ogórecznika wyrosły z pędów, a kwiaty z nasion. Ogród był jego dumą i radością.

Dom został kupiony w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, kiedy to bardzo rzadko się zdarzało, by ktoś z klasy pracującej miał własną posiadłość. Był to funkcjonalny bliźniak z czerwonej cegły, z trzema wygodnymi sypialniami, dwoma pokojami, w których można było przyjmować gości, pokojem śniadaniowym i garażem, który został dobudowany później.

Charles mówił, że to była prawdziwa okazja. „Ten domeczek kosztował mnie mniej niż czterocyfrową sumę”, chwalił się często — a teraz był wart co najmniej pięć albo sześć tysięcy funtów. On i Marion często zaglądali na stronę ogłoszeń o sprzedaży domów w „Liverpool Echo”, żeby sprawdzić, jakie są ceny, chociaż nie mieli bynajmniej zamiaru się przeprowadzać. Zdarzało się nawet, że chodzili oglądać różne posiadłości. Takie hobby. Umeblowanie domu było kosztowne — solidne drewno,

które miało im służyć przez całe życie. Za nic w świecie nie kupiliby niczego innego, choćby mody i style nieustannie się zmieniały. Akurat w tej kwestii byli zgodni.

\* \* \*

Marion wróciła do domu. Jej włosy były teraz intensywnie czarne i gładko ułożone. Chciała koniecznie obejrzeć rzeczy, które kupiłam. Zawsze urządziła z tego wielkie widowisko, podziwiając krój, macając materiał, komentując przy tym każdą część garderoby. Jej zdaniem wszystko wyglądało na szalenie drogie. Nie wiem, czy była tym naprawdę zainteresowana, czy tylko zachowywała się tak, jak jej zdaniem powinny zachowywać się matki. Nie interesowała jej biżuteria ani ubrania; sama miała tylko złotą obrączkę i parę maleńkich kolczyków z perłami, prezent ślubny od Charlesa. Zawsze je nosiła. W jej szafie wisiały dwa eleganckie kostiumy i kilka prostych sukien, spódnic i bluzek — wszystkie w ciemnych kolorach. Nigdy w życiu nie włożyła spodni i nie pozwalała Charlesowi kupować dżinsów. Zwykła mówić: „Na litość boską! Chyba nie wyszłam za mąż za kowboja”.

\* \* \*

Jedliśmy kolację w Lonely Bell, lokalu w Formby, niedaleko plaży. Chociaż przyszliśmy parę minut wcześniej, Catherine Burns już na nas czekała w restauracji na piętrze. Miała na sobie wieczorowe spodnium z ciemnogrnatowego aksamitu z białą koronkową bluzką. Usta pomalowała perłową pomadką. Wyglądała bardzo elegancko i zdecydowanie młodziej.

Marion omal nie jęknęła.

— No, nie...! — szepnęła. — Ona pali! Wiesz, Charles, że organicznie nie znoszę dymu z papierosów.

— To nie moja wina, że ona pali — odszepnął Charles.

— Nie powinieneś był jej zapraszać.

— Na śmierć zapomniałem, że ona pali.

Na szczęście panna Burns szybko zgasiła papierosa, kiedy nas zauważyła. Wstała i ucałowała Marion, a potem Charlesa.

— Och, chodź tutaj, Pearl. — Pocałowała mnie w policzek. — Jesteś córką mojej najlepszej przyjaciółki. I jedynej... — dodała z przejęciem. Jej oddech pachniał alkoholem.

— Nie powiem, żeby było się czym chwalić... Czy naprawdę uważasz, że to powód do dumy — mieć przyjaciółkę, która spędziła dwadzieścia lat w więzieniu? — stwierdziła sucho Marion, siadając. Jej zwyczaj mówienia prosto z mostu tego, co myślała, bywał czasem żenujący. — A jeszcze gorzej, jeśli ta przyjaciółka wychodzi z więzienia i natychmiast znika, jakby się zapadła pod ziemię. Najwidoczniej wcale się jej tak do ciebie nie spieszy...

— Przyjaźń, podobnie jak wielkoduszność, wybacza wiele grzechów — odparła z uśmiechem panna Burns. Robiła wrażenie raczej rozbawionej niż zirytowanej.

Marion już otwierała usta, żeby coś odpowiedzieć, najwyraźniej zmieniła jednak zdanie i gwałtownie je zamknęła. Domyśliłam się, że Charles ją kopnął pod stołem.

— Kiedy się ostatni raz widzieliśmy? — zastanawiała się głośno panna Burns.

— Już zapomniałaś? Kiedy Amy odesłano do Holloway — wyjaśnił Charles. — Wtedy oboje przyszliśmy ją odwiedzić. Dokładnie w tym samym czasie. Myślę, że to było jakieś trzy lata temu.

— Masz rację. A ciebie, Marion, ostatni raz widziałam na dwudziestych pierwszych urodzinach Pearl. Naprawdę, moi drodzy, powinniśmy się częściej widywać.

— Słusznie, słusznie — odparł Charles.

Zacisnął zęby. Tym razem to chyba Marion go kopnęła.

Miałam nadzieję, że tego wieczoru panna Burns i Marion nie zamierzają częstować się nawzajem uszczypliwościami, a Marion i Charles nie będą się bez przerwy kopali pod stołem; ale Charles zamówił butelkę czerwonego wina i butelkę białego, a następnie systematycznie, bez pytania napełniał im kieliszki. Kiedy kolacja dobiegła końca, obie panie rozplywały się w uprzejmościach.

## Rozdział 4

WRZESIEŃ 1939

*Amy*

Od czasu gdy obie zaczęły pracować, Amy i Cathy właściwie całe swoje kieszonkowe wydawały na kino. Zwykle siadały na samym przodzie, gdzie były najtańsze miejsca, które kosztowały zaledwie jednego pensa.

Wiedziały oczywiście, że nie wszystkie dziewczęta prowadzą takie życie jak one, nie mają podobnych zajęć ani nie mieszkają w takiej dzielnicy jak Bóotle. Amerykańskie filmy na przykład pokazywały im dziewczyny w ich wieku, będące gwiazdami wspaniałych przedstawień na Broadwayu, a jeśli nawet nie występowały na scenie, były aktorkami filmowymi, reporterkami gazet, modelkami lub w ostateczności żonami niesamowicie bogatych mężczyzn, z którymi mieszkwały w niesamowicie wytwornych rezydencjach.

W głębi duszy Amy wiedziała, że jej przyszłość będzie znacznie skromniejsza i nie zaoferuje jej podobnych możliwości. Mogła mieć co najwyżej nadzieję, że któregoś dnia wyjdzie za mąż za jakiegoś porządnego chłopaka, którego będzie kochać i zamieszka z nim w odrobinę lepszym domu niż ten, w którym się urodziła i wychowała. Oczywiście, w dalszych planach były też dzieci: Amy chciała mieć czworo, Cathy twierdziła, że jej wystarczy dwoje. Obie dziewczyny były całkiem zadowolone z takiej wizji przyszłości.

Od tego dnia jednak, kiedy Amy poznała na molo w Southport Barneya Pattersona, jej dotychczasowe życie diametralnie się zmieniło. To było jak najpiękniejsza baśń.

Takiego życia nigdy sobie nie wyobrażała — nawet w najśmielszych snach. Nie miała też pojęcia, że można być tak prawdziwie i całym sercem szczęśliwą, jak ona była z Barneyem. Ze można z nim sypiać i być razem niemal w każdej minucie każdego dnia.

Rzuciła pracę w kantynie, Barney zaś czekał z pójściem do wojska, aż zacznie się wojna — mogła to być piechota, marynarka czy lotnictwo — było mu wszystko jedno. Ponieważ miał dwadzieścia jeden lat, więc i tak wkrótce by go powołano, a wtedy nie musiałby zgłaszać się na ochotnika. Amy ciągle czekała, że na wycieracze przed drzwiami znajdzie taki list.



Tymczasem jednak ich czas należał tylko do nich i mogli z nim robić, co im się żywnie podobało. Amy modliła się rano, w południe i w nocy, żeby zdarzył się cud, który powstrzymałby wybuch wojny. Barney twierdził jednak, że jest już na to za późno.

— Sprawy zaszły za daleko — przekonywał żonę.

W domu pojawiły się maski przeciwgazowe. W korytarzu stanęła gaśnica; piwnice przystosowano naprędce do używania jej w charakterze schronu na wypadek nalotu; trzeba było kupić materiał do zaciemnienia i uszyć zasłony oraz zaopatrzyć się w taśmy do oklejania okien, co miało zabezpieczyć szyby przed wypadnięciem z ram, gdyby jakaś bomba upadła bardzo blisko.

Bomba! Amy wiedziała, że gdyby pozwoliła sobie na rozmyślania o podobnych okropnościach, z całą pewnością by zwariowała. Dlatego starała się oddalać od siebie wszystko, co się działo poza ich niewielkim mieszkankiem, do którego wprowadzili się razem z Barneyem.

Ich skromne lokum mieściło się na najwyższym piętrze czterokondygnacyjnego domu, z widokiem na Newsham Park. Był tutaj duży salon z oknami z obu stron, średniej wielkości sypialnia oraz niewielka, ale ustawna kuchnia i łazienka. Cudownie było nie musieć wychodzić na podwórze, żeby skorzystać ze wspólnej ubikacji, i mieć zgrabną kuchenkę z czterema gazowymi palnikami i piecykiem zamiast wielkiej kuchni węglowej, którą trzeba było bezustannie czyścić i polerować.

Rankami słońce zaglądało do sypialni i budziło zakochanych, świecąc im w oczy i grzejąc nagie ciała. Wieczorem zachodziło dokładnie naprzeciwko okna w salonie, mogli więc patrzeć na zmieniające się kolory nieba i obserwować, jak słońce powoli znika za pobliskimi domami. Sufity miały w paru miejscach tak ostry kąt nachylenia, że Barney czasami uderzał weń głową. Zanim jeszcze zdążył się zagoić ostatni siniak, już pojawiał się kolejny.

Na kominku stała ich ślubna fotografia w srebrnej ramce — tylko ich dwoje. Uśmiechali się do siebie. To był najszcześniejszy dzień w życiu Amy, chociaż wołałaby oczywiście, żeby mama tak się tym ślubem nie zmartwiła. Wprawdzie wszystko się dobrze skończyło i mama — chociaż z początku zła jak osa — nie zepsuła uroczystości. Nic nie mogło zepsuć takiego dnia jak tamten i Amy miała nadzieję, że wszyscy będą szczęśliwi z powodu jej ślubu, jak ona i Barney. Wyglądało na to, że straciła cały swój obiektywizm i teraz widziała wszystko tylko swoimi oczami. Cóż, miłość zaślepia...

Piętro niżej mieszkało młode jeszcze małżeństwo. Oboje mieli nie więcej niż trzydzieści lat; byli to Clive i Veronica Staffordowie; jeszcze niżej mieszkali pan i pani Porterowie, już bardzo starzy. Kapitan Kirkby-Greene, kawaler, którzy większość życia spędził w Królewskiej Marynarce, mieszkał na parterze. Wszyscy ci ludzie byli niesłychanie wytworni.

Clive i Veronica zaraz zaprosili Amy i Barneya do siebie na kolację.

— Sama nie wiem... Będziemy musieli w rewanżu ich zaprosić, a ja nie mam pojęcia o gotowaniu. O Boże, Boże — lamentowała Amy. — Jedyne, co umiem zrobić, to gulasz.

— To naprawdę nieważne, kochanie — pocieszał ją Barney. — Założę się, że twój gulasz jest o niebo lepszy niż wszystkie te frykasy, które nam zaserwuje Veronica.

Leżeli na kanapie, a on głaskał jej smukłą szyję.

— Jeśli chcesz, możemy im powiedzieć, że nasza kuchenka jest za mała, żeby w niej gotować, i zaprosimy ich do restauracji.

Dla Barneya pieniądze nie stanowiły problemu. Kiedy się przeprowadzili, uznał, że mieszkanie jest zbyt skromnie umeblowane, wyszedł zatem i kupił w sklepie George Henry Lee brązową, skórzaną kanapę. Dostarczono ją nazajutrz — razem z górą pościeli, stertami bielizny wszelkiego rodzaju, okrągłym czerwonym dywanem i radiem z gramofonem. Następnego dnia zjawił się mechanik, żeby założyć telefon.

Amy miała teraz dość sukien, żeby każdego dnia tygodnia wkładać inną.

Dziadkowie Barneya ze strony ojca już nie żyli, zapisując w testamencie obu swoim wnukom po okrągłej sumce. Amy kochałaby swojego męża równie mocno, gdyby nie miał pensa przy duszy, ale nie mogła zaprzeczyć, że jego zamożność dodawała tylko uroku jej nowemu, bajecznemu życiu, o jakim nigdy nawet nie śniła. Po wstąpieniu Barneya do wojska bank miał opłacać koszty wynajmu mieszkania aż do jego powrotu, a ponadto regularnie wypłacać pensję żonie. Zawsze kiedy Barney poruszał w rozmowie tę kwestię, nie chciała o tym mówić.

— Wcale nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Chyba tego nie zniosę. Najprawdopodobniej umrę — mówiła drżącym głosem. Woląca nie żyć, niż rozstać się ze swoim najdroższym Barneyem.

— Och, Amy!

Brał ją wtedy w ramiona, zanosił do sypialni, gdzie się namiętnie kochali, bez względu na porę dnia, nawet jeśli dopiero co wstali z łóżka. Kochanie się z nim było

niewiarygodne. Amy brakło po prostu słów, żeby to opisać. Zresztą, komu miała to opisywać? Chyba tylko Barneyowi... a on przecież i tak wiedział.

Potem leżeli zmęczeni na łóżku, objęci tak mocno ramionami, że prawie nie mogli oddychać. Barney wciąż powtarzał, jakie to niesamowite szczęście, że wtedy, w niedzielę wielkanocną, pojechał do Southport.

— Tylko pomyśl — mówił. — Gdybym tam nie pojechał, pewnie nigdy byśmy się nie spotkali!

I długo milczeli, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądałoby ich życie, gdyby się nigdy nie spotkali, ale to nie było przecież możliwe. Tamtej niedzieli musiał na nich spojrzeć jakiś anioł, a może nawet sam Pan Bóg? Oboje byli głęboko przekonani, że ich małżeństwo zostało zawarte w niebie i że inne pary na pewno nawet w połowie nie kochają się tak szaleńczo jak oni.

\* \* \*

Tamtego lata pogoda była wspaniała — a może tak się tylko wydawało Amy i Barneyowi, którzy żyli w swoim własnym, małym światku, w swojej baśniowej krainie. Kiedy akurat nie „konsumowali” swojego małżeństwa, spędzali całe dnie, jeżdżąc za miasto i wpadając do barów na drinka. Bywały dnie, kiedy Barney brał samochód i razem przejeżdżali tunelem pod rzeką Mersey do takich miejscowości jak New Brighton, Chester albo jeszcze dalej, do północnej Walii. Chodzili do kina i do teatru, większość posiłków jadali poza domem, chociaż Amy uwielbiała eksperymentować w kuchni. Potrafiła już zrobić całkiem niezły omlet, a Barney uwielbiał jej gulasz, zwłaszcza kiedy był suto polany brązowym sosem.

— Taki właśnie gulasz najbardziej lubił mój tata — opowiadała. — Mama strasznie się wtedy na niego wściekała. Mówiła, że w końcu zjada więcej sosu niż gulaszu.

— A co twój tata wtedy robił? — spytał. — To znaczy, gdzie pracował?

— Prowadził samochód dostawczy domu towarowego Hendersona. Wieźli akurat razem z kolegą zestaw wypoczynkowy: kanapę i dwa fotele do czyjegoś domu, kiedy tata dostał ataku serca. To było dziesięć lat temu. Do dziś za nim tęsknię. Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo... Tak, wszyscy za nim tęsknimy. Miał na imię Joseph, ale wszyscy mówili do niego Joe.

Uroniła parę łez. Często teraz płakała, i to nie tylko ze smutku. Przeciwnie, od chwili gdy poznała Barneya, płakała, ponieważ czuła się najszcześniejszą kobietą na świecie — właśnie tak jak teraz.

Niekiedy wychodzili z domu tylko na zakupy. Barney upierał się, żeby kupić jakiś prezent dla matki Amy, na przykład rękawiczki albo coś z biżuterii czy flakon perfum: Chanel No. 5, czy Shalimar Guerlaina. Dawniej Amy i jej matka skrapiały się co najwyżej Soir de Paris albo June, w porównaniu z tamtymi żenująco tanimi. Barney twierdził, że pani Curran jest naprawdę urocza — i tak odmienna od jego matki, jak noc od dnia.

\* \* \*

— Och, nie powinniście, moi kochani! — zawołała mama następnym razem, kiedy ją odwiedzili; otworzyła pudełko i znalazła w nim elegancko złożoną jedwabną apaszkę. Była delikatnie różowa — jak wnętrze muszli z nadrukowanym wzorem w białe lilie. Apaszkę wybrał Barney. Kupił też wielkie słoje słodyczy dla Jacky i Biddy, które za tym przepadały, i pudełko czekoladek dla Charliego i Marion, chociaż Marion — jak to ona — bynajmniej nie wyglądała na zadowoloną.

Amy uznała, że nie ma sensu się tym przejmować.

— Taka już jest, zwykła maruda i tyle. Nikt nie rozumie, co nasz Charlie w niej widzi.

Mama udrapowała sobie apaszkę wokół szyi.

— Jest prześliczna — powiedziała, rumieniąc się jak pensjonarka. — Zaraz pójde na górę, zmienię buty i nałożę trochę szminki. Jestem za trzy minuty!

Zabierali ją na przejażdżkę samochodem.

— Nie musisz się śpieszyć, kochana teściówko — mówił z uśmiechem Barney. Mama uwielbiała, kiedy ją tak nazywał. Na widok tego uśmiechu serce Amy zawsze aż podskakiwało z radości, bo wtedy jej mąż był jeszcze przystojniejszy.

Do tej pory nie poznała jeszcze matki Barneya.

— Kiedy ją wreszcie zobaczę? — spytała pewnego dnia. — Mam na myśli... czy ona w ogóle wie, że się pobraliśmy?

Fakt, że do tej pory nie została przedstawiona jego rodzicom, martwił ją i niepokoił zarazem.

— Wie, że się pobraliśmy, ale nigdy jej nie poznasz — odparł zdecydowanym tonem Barney. — Nigdy, nigdy, nigdy. Ona cię nienawidzi.

— Nienawidzi? Mnie? Ale... dlaczego? — Amy była bliska płaczu.

— Bo jesteś katoliczką, a ona z całej duszy nienawidzi katolików. Mówiłem ci o tym już wcześniej.

— Może mogłaby mnie polubić, gdybyśmy się poznały...

— Wolałbym nie ryzykować, kochanie.

— A co z twoim ojcem?

— Papa jest w porządku. Muszę tylko znaleźć jakiś sposób, żeby was ze sobą poznać. Wiesz, to uczciwy facet. Nie lubi robić niczego za plecami mamy, rozumiesz.

\* \* \*

Pewnego ranka, gdzieś pod koniec sierpnia, Barney uznał, że najwyższy czas, żeby spędzili miesiąc miodowy.

— W przeciwnym razie możemy go nigdy nie mieć. Wojna wisi na włosku i lada moment mogą mnie powołać do wojska — mówił. — Dokąd pojedziemy? Masz jakiś pomysł? Według mnie jest już za późno na wyjazd za granicę. Co byś powiedziała o kilku miłych dniach w Londynie? Pojechalibyśmy tam samochodem.

Amy, która myślała co najwyżej o wyjeździe do Blackpool albo Morecambe, uznała, że to cudowny pomysł.

— Ale nie zapominaj, że w sobotę jest ślub naszego Charliego z Marion.

— Pamiętam. Wobec tego kupimy im w Londynie prezent ślubny i wrócimy w piątek po południu. Dzisiaj jest wtorek, więc będziemy mieli całe dwa dni tylko dla siebie.

Widząc, że nic ich nie powstrzyma i nawet nie muszą nikomu mówić o swojej wyprawie, Amy starannie wybrała dwa komplety strojów na ten wyjazd: szmaragdową sukienkę z pelerynką i kołnierzykiem w stylu „Piotruś Pan” i kremowy kostium z grubego lnu z pasującą do niego jasnobrązową bluzką. Na podróż włożyła nową czarną plisowaną spódniczkę i białą dopasowaną bluzkę, potem pomogła Barneyowi spakować walizkę — i pojechali.

Jak na sierpień było dość chłodno, a na niebie pełno chmur; nie czarnych i ciężkich, zwiastujących deszcz, ale ślicznych pierzastych obłoczków, które wyglądały tak, jakby miały za chwilę się rozwiać i ustąpić miejsca słońcu.

Cudownie było tak jechać wąskimi i krętymi wiejskimi drogami przez hrabstwo Cheshire i mijać wysokie, dymiące kominy Stoke-on-Trent. Kiedy już minęli Birmingham, zatrzymali się w przydrożnym barze, żeby coś przekąsić. Amy uwielbiała

wszystko, co nieznanne — inne akcenty w mowie, obce zapachy, smaki, architekturę, i chociaż byli tylko o sto sześćdziesiąt kilometrów od Liverpoolu, wydawało się jej, że są na końcu świata.

Potem krajobraz znów się zmienił na bardziej wiejski — bądź co bądź byli na prowincji — aż do momentu, kiedy dotarli do przedmieść Londynu i w końcu jechali piękną, wysadzaną starymi drzewami aleją, która, jak jej powiedział Barney, nazywa się Park Road.

— Spójrz, po lewej mamy Hyde Park — objaśniał. — A teraz, kiedy skręcę w prawo, dojedziemy do małego hoteliku, w którym zawsze się zatrzymuje papa. Kiedyś tu mieszkaliśmy przez kilka dni, z nim i z Harrym. Jest mały i bardzo wygodny, nie tak jak tamte. — Mijali akurat pałac Dorchester.

Ich hotel nosił nazwę Priests. Z zewnątrz wyglądał całkiem zwyczajnie, a nawet niepozornie, ale w środku był szczytem luksusu, miał ściany obite kremowym atłasem i beżowe dywany, tak grube jak gęsta trawa.

Kiedy tylko wskazano im pokój, zaraz się tam udali. Amy rzuciła się na łóżko. Podskoczyła kilka razy do góry.

— Wspaniale! Jakie miękkie! Po prostu bajka... — zachwycała się jak mała dziewczynka.

Barney padł na łóżko obok niej.

— Rzeczywiście. — Objął ją ramionami. — Będziemy się kochać już teraz, moja słodka, czy wolisz się najpierw przespać, a miłość odłożymy na później?

— Na później — ziewnęła Amy. — Umieram ze zmęczenia. — Oboje zrzucili z nóg pantofle i zasnęli, trzymając się w ramionach.

Obudzili się po godzinie, oboje prawie równocześnie, i Barney natychmiast się zabrał do rozpinania guziczków białej bluzki Amy, podczas gdy ona robiła to samo z jego koszulą.

Już od samego początku ich miłość była cudowna, ale kochanie się w pokoju hotelowym w Londynie wydało się im jeszcze cudowniejsze. Na nieznanym łóżku, w nieznanym mieście było to o wiele bardziej podniecające, odważne — a nawet grzeszne.

Później Amy zebrała ich ubrania, beztriosko porzucane na podłodze, rozpakowała walizkę i poukładała wszystko w garderobie i pachnących lawendą szufladach — oprócz szczotek do włosów Barneya i przyborów toaletowych, które zostawiła na ko-

modzie. Weszła do łazienki — to, że ich apartament miał własną łazienkę, zrobiło na niej wielkie wrażenie — obmyła twarz w wielkiej białej umywalni, a następnie osuszyła delikatnie puszystym białym ręcznikiem. Obie te czynności w niewyjaśniony sposób sprawiły, że po prostu buchało z niej szczęście.

— Dokąd wybierzemy się wieczorem? — spytała Barneya, kiedy wyszła z łazienki.

— Do teatru Royal zobaczyć Ivora Novello w *The Dancing Years*\*<sup>1</sup> — odparł Barney. — Poprosiłem faceta z recepcji, żeby nam zarezerwował miejsca. Powiedział, że nie ma problemu. Tak samo jest zresztą we wszystkich teatrach. Tysiące ludzi wyjeżdża z Londynu. Przenoszą się tam, gdzie będą bardziej bezpieczni.

— To w Londynie jest niebezpiecznie?

Więc dlaczego, na miły Bóg, tu jechali, skoro nie jest bezpiecznie?

— Będzie, kiedy zacznie się wojna — głos Barneya zabrzmiał złowroźbnie. — To jedno z pierwszych miejsc do zbombardowania na czarnej liście Hitlera. Liverpool będzie drugi.

— Przestań! Słyszysz?! — Amy tupnęła nogą i rozpląkała się żałośnie. — Może jeszcze wszystko się dobrze skończy. Dlaczego ludzie są tacy przekonani, że wojna wybuchnie?

Barney podszedł i objął ją mocno.

— Bo każdy, z wyjątkiem ciebie, moja kochana dziewczynko, po prostu wie, że nie ma już odwrotu. To jest jak pociąg, który zjeżdża z góry pełną szybkością, a hamulce nie działają.

— Ale... może się zdarzy cud... — szlochała Amy.

— No jasne, cud mógłby się zdarzyć — przyznał, Amy wiedziała jednak, że mówi tak tylko dlatego, żeby ją pocieszyć i uspokoić. — Ale spróbujmy o tym nie myśleć przez następne parę dni — zaproponował łagodnie. — W końcu to nasz miesiąc miody!

\* \* \*

---

<sup>1</sup> *The Dancing Years* (Roztańczone lata) — musical Ivora Novello i Christophera Hassalla z 1939 roku, z Ivorem Novello w roli głównej.

W teatrze nawet połowa miejsc nie była zajęta. Zanim kurtyna poszła w górę i zgasły światła, Ivor Novello, niewiarygodnie przystojny główny aktor tego spektaklu, wyszedł na scenę i poprosił, żeby widzowie z tylnych rzędów i galerii przesiedli się do przodu. Wszyscy zaczęli bić brawo. Amy i Barney przesunęli się wzdłuż swojego rzędu, żeby zapełnić puste miejsca i pozwolić ludziom usiąść w ich rzędzie.

— Przypuszczam, że odtąd tak już będzie zawsze — stwierdziła pani w średnim wieku w długiej wieczorowej sukni z różowego atłasu usianej cekinami, kiedy Amy usiadła obok niej.

Zastanowiła się krótko, czy nie powinna była sobie też kupić wieczorowego stroju.

— Co pani ma na myśli? — spytała.

— Cóż, wszystko przestanie być normalne. Jeszcze niedawno my, z pierwszych rzędów bylibyśmy oburzeni, gdyby tym z galerii pozwolono usiąść razem z nami. W końcu nasze miejsca kosztują znacznie drożej, prawda? Ale teraz, kiedy wojna właściwie już się zaczęła, wszyscy i tak tkwimy w tym bagnie po same uszy. I biedni, i bogaci. Dlatego taka niesprawiedliwość wcale nam nie przeszkadza. Są gorsze rzeczy na tym świecie. Czy nie sądzi pani, że teraz, kiedy wszyscy siedzimy razem, atmosfera jest dużo bardziej sympatyczna?

Nareszcie przesiadki się skończyły, hałasy umilkły i teraz wszyscy czekali na podniesienie kurtyny.

— Chyba ma pani rację — przyznała Amy.

Atmosfera istotnie jakby się ociepliła, jednak Amy straciła nagle ochotę na obcowanie ze sztuką. A wszystko przez to, co ta kobieta mówiła o wojnie.

\* \* \*

Następnego dnia było jeszcze więcej zwiastunów nadchodzącej wojny — na przykład bateria artyleryjska ustawiona w Hyde Parku; ogłoszenia porozwieszane w wielkich magazynach, które informowały klientów, gdzie się mają schronić, jeżeli usłyszą syrenę zwiastującą nalot; co ważniejsze budynki obłożone workami z piaskiem i całym sporem ludzi na ulicach z maskami przeciwgazowymi w pudełkach noszonych na ramieniu. Chociaż nie sposób było przeoczyć, że ci nadgorliwcy — a może pesymiści — chcą zrobić na innych wrażenie. Jakaś dama okazała się nader pomysłowa — miała zrobiony na szydełku elegancki pokrowiec na swoją maskę ozdobiony kwiatkami.



Amy i Barney wędrowali przez Oxford Street. Wypili kawę u Sel-fridge'a. Potem Barney wezwał taksówkę, która zawiozła ich do Harrodsa, „najsłynniejszego sklepu w Anglii”, jak powiedział Barney, „i chyba też najdroższego”.

Amy omal nie zemdląca na widok cen ubrań. Nawet Barney, który był przecież niezwykle hojny, tym razem nie proponował swojej najdroższej, że coś jej zafunduje, za to nabył przepiękny komplet sztućców w pudle z czarnej skóry, wykładanym w środku purpurowym aksamitem — prezent ślubny dla Charliego i Marion.

— Nawet Marion nie będzie kręciła nosem i będzie musiała przyznać, że jest po prostu zachwycona — stwierdziła Amy. — Te sztućce na pewno rozpromienią jej smętne oblicze.

— A co ja mam zrobić, żeby rozpromienić twoją twarzyczkę, Amy? — szepnął jej Barney do ucha. Odszepnęła coś, na co tylko uśmiechnął się wymownie i odparł:

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, pani Patterson.

Po tych słowach skinął na taksówkę. Wrócili do hotelu i nie wyszli już prawie do podwieczorku.

\* \* \*

Następnego ranka, w czwartek, kiedy zeszli na śniadanie, w holu zebrali się mnóstwo gości. Wszyscy słuchali radia. Barney zaproponował, żeby przyłączyli się do innych i wysłuchali ostatnich wiadomości, Amy stwierdziła jednak, że polityka nic a nic jej nie obchodzi, w każdym razie nie teraz, kiedy jest w Londynie.

— Zamówię śniadanie — powiedziała. — Co byś chciał?

— Wszystko — odparł Barney — i powiedz, że tosty muszą być koniecznie dobrze przypieczone. — Miał wilczy apetyt.

Po paru minutach podano im imbryk herbaty, ale Barney jeszcze się nie pojawił przy stole.

Obok ich stolika siedziała jakaś starsza para — oboje koło sześćdziesiątki.

— Wiesz co, kochanie? — powiedziała w pewnej chwili kobieta. — Myślę, że powinniśmy już dziś wrócić do domu, wtedy będziemy mogli pomóc Sally wyszykować dzieci na wyjazd do ciotki Alice. Sama nie da rady zająć się całą piątką.

— Masz rację, Floro. Zaraz po śniadaniu spakujemy się raz, dwa, trzy i złapiemy pierwszy pociąg ze stacji Waterloo. Jutro może tu być prawdziwe piekło.

Wrócił Barney. Nie powiedział ani słowa, wyglądał jednak na bardzo przygnębionego. Amy naląła mu herbaty.

— Co ma się wydarzyć jutro? — spytała zaniepokojona. — Ten starszy pan przy sąsiednim stole właśnie powiedział, że może być piekło, ale chyba mówił o pociągach.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

Amy westchnęła.

— Tak...

Nie mogła już dłużej ignorować tego, że zbliża się wojna. Udawanie, że nic się nie dzieje, było zwykłym infantylizmem.

— Rząd wydał polecenie, żeby ewakuacja dzieci rozpoczęła się już dziś rano. — Barney rozwinął lnianą serwetkę i rozpostarł ją na kolanach. — W tej sytuacji chyba najlepiej będzie, jeżeli wyruszymy już teraz, nie czekając do wieczora. Na drogach może być straszny tłok. Krótki był ten nasz miesiąc miodowy, co, Amy? — rzekł skruszony. — Ale wiesz, co ci powiem? — Jego piwne oczy zaśniły. — Pewnego dnia pojedziemy do Londynu na cały tydzień. A może nawet do Paryża!

Będziemy jeszcze mieli najprawdziwszy miesiąc miodowy, zobaczysz.

\* \* \*

Na ten dzień zaplanowali zwiedzanie Londynu, Amy przestało to już jednak interesować.

— Możemy to zrobić innym razem. Jakoś mi się odechciało... Wolę pochodzić po sklepach, niż oglądać Buckingham Pałace czy Parlament — oznajmiła, kiedy wyszli z hotelu. — Chciałabym kupić prezenty dla mamy, dla Jacky i Bidy, i dla twojego Harry'ego... i oczywiście dla Cathy. — Uświadomiła sobie nagle, że już bardzo dawno nie widziała swojej przyjaciółki, z którą kiedyś spotykały się codziennie. — Kupię jej coś naprawdę ładnego.

Barney uwielbiał zakupy niemal tak samo jak ona, więc chętnie się zgodził. Powiedział, że chciałby sprawić sobie nowy garnitur na sobotni ślub.

— Najlepiej szary w białe prążki. Charlie nie wystąpi chyba w swoim codziennym ubraniu, jak myślisz?

— Na miłość boską, pewnie że nie! — roześmiała się Amy. — Też sobie kupił nowy garnitur. Gładki, ciemnogrnatowy.

— Najpierw pomyślmy o tobie... — Wziął ją pod ramię. — No i koniecznie musimy też kupić jakiś suvenir, pamiątkę z Londynu. Co powiesz na pierścionek zaręczynowy? Jakoś nigdy nie miałem okazji ci go wręczyć — uśmiechnął się przeproszająco. — Wybacz, że nasz miesiąc miodowy okazał się takim niewypałem.

— To nieprawda. Każda chwila z tobą była cudowna. — Poglądziła go po policzku. Jestem naprawdę szczęśliwa, że tu przyjechaliliśmy... i oczywiście byłabym wdzięczna za pierścionek zaręczynowy.

Zatrzymali się na Park Lane i wymienili długi, czuły pocałunek. Tworzyli iście gwiazdorską parę. Barney wysoki i elegancki w brązowym letnim garniturze, Amy śliczna jak obrazek w szmaragdowozielonej sukni. Przechodnie spoglądali na nich z sympatią i uśmiechali się, chociaż zdarzali się i tacy, którzy rzucali im krzywe spojrzenia, jakby chcieli powiedzieć: „Wojna za pasem, a ci się migdała w najlepsze! Wstyd i hańba!”. Jednak większość z nimi sympatyzowała. Kilka osób się nawet zastanowiło, czy już gdzieś nie widzieli tej pięknej pary. Może w jakimś hollywoodzkim filmie...

\* \* \*

Cztery godziny później jedli lunch w restauracji magazynu John Lewis's, na najwyższym piętrze. Amy oglądała z uśmiechem swój pierścionek. Był to pojedynczy brylant solitaire. Włożyła go na środkowy palec lewej ręki. Obracała dłonią w różne strony, podziwiając migotanie fasetek klejnotu. Wreszcie, wyraźnie usatysfakcjonowana, przeniosła uwagę na dopiero co kupione rzeczy — torebkę z wężowej skóry dla mamy, dwie torebki z aksamitnego zamszu dla sióstr Amy, w końcu prześliczną koronkową bluzkę w kolorze kości słoniowej dla Cathy, wystarczająco wytworną na Wieczór, ale też dostatecznie prostą, by ją nosić do pracy.

— A co dostanie od nas Harry? — spytała. Naprawdę lubiła swojego szwagra. Spotykali się w każdy niedzielny wieczór na kolacji.

Po dłuższej dyskusji postanowili sprawić mu ołówek automatyczny w małym, czarnym pudełeczku. Pod nakrętką w środku była gumka i paczuszka dodatkowych grafitów.

Amy nalegała, żeby wracali do hotelu i tam złożyli wszystkie swoje zakupy. I koniecznie czerwonym piętrowym autobusem.

— Jeszcze nigdy nie jechałam autobusem. W naszym mieście wszędzie jeździłam tramwajem.

Barney kupił egzemplarz „Evening Standard”, żeby mogli przejrzeć programy w kinach i zdecydować, co obejrzą dzisiaj wieczór — w ten ich ostatni wieczór w Londynie.

— Flotę już zmobilizowali, kolego — oznajmił sprzedawca gazet. Był to młody niziutki rudzielec, z twarzą usianą piegami. — Jeszcze tego nie ma w gazecie, ale ktoś dobrze poinformowany mi powiedział...

Amy bolały już nogi. Kiedy wreszcie dotarli do hotelu, postanowiła wziąć kąpiel, podczas gdy Barney pograżył się w lekturze gazety. Wsypała mały słoiczek soli do kąpieli, weszła do wanny — i natychmiast zasnęła.

Kiedy się obudziła, owinęła się ogromnym ręcznikiem kąpielowym, weszła do pokoju i znalazła Barneya śpiącego twardo na łóżku. Zdjął marynarkę i kamizelkę i rozluźnił kołnierzyk koszuli. Leżał na boku, zwinięty w kłębek jak niemowlę, z jedną ręką wyciągniętą na poduszce.

Amy położyła się obok niego. Splotła palce z jego palcami, ale to go nie zbudziło, westchnął tylko przez sen.

— Och, Barney... — szepnęła. Kochała go tak bardzo, że to aż bolało, naprawdę bolało — czuła ból w sercu. To było doprawdy coś niesamowitego, taki ból serca.

Otworzył jedno oko — drugie było ukryte w poduszce — sięgnął po jej ręcznik i leniwym ruchem ściągnął go z niej.

Kochali się, ale w ich pieszczotach nie było teraz ani śladu czułości tylko wściekła pasja i gorzki gniew z powodu tego, co się ma wydarzyć jutro, następnego dnia czy jeszcze dzień później.

Świąt miał stanąć na głowie nie tylko dla nich, ale dla wszystkich ludzi w ich kraju — i pewnie na całym świecie.

\* \* \*

— Nie mam ochoty iść do kina — powiedziała potem Amy, kiedy Barney zaczął jej czytać na głos tytuły wszystkich filmów po kolei wyświetlanych tego wieczoru w londyńskich kinach. Nie skusił jej nawet *Mister Smith jedzie do Waszyngtonu* z Jamesem Stewartem, jej ulubionym aktorem. — Nie będę się mogła skupić. Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli w spokoju porozmawiać.

— Możemy rozmawiać, spacerując — roześmiał się Barney.

Szli, trzymając się za ręce, przez Park Lane, aż dotarli do Piccadilly.

Na Piccadilly Circus oglądali kolorowe, zapalające się i gasnące na przemian światła, wreszcie usiedli na zatłoczonych stopniach pod posązką Erosa i śpiewali *Keep the Home Fires Burning* i *It's a Long Way to Tipperary*, wspólnie z zaimprovizowanym chórem. Autobusy, samochody i taksówki powoli okrężyły plac z głośnym trąbieniem klaksonów, jakby to w jakikolwiek sposób mogło im pomóc poruszać się szybciej.

Widać było sporo ludzi w mundurach; prawie wszyscy byli młodzi. Już bardzo niedługo i Barney założy mundur... Może nawet już w. przyszłym tygodniu? Przysiągł sobie, że jeśli po powrocie do domu nie zastaną jeszcze jego karty mobilizacyjnej, następnego dnia pójdzie do biura werbunkowego i zgłosi się na ochotnika.

Amy przywarła do ramienia męża. Nie czuła się ani trochę odważna. Chciało jej się tylko płakać.

\* \* \*

Następnego ranka, po wczesnym śniadaniu, Amy i Barney stali przed hotelem ze swoimi bagażami, czekając, aż służba hotelowa sprowadzi ich samochód.

— Jeszcze tu kiedyś wrócimy — obiecywał Barney, całując jej nosek, kiedy siadała obok niego w samochodzie.

Nie upłynęło więcej niż kilka minut, kiedy wiedzieli już na pewno, że powinni byli wyjechać dużo wcześniej. Na drodze było tyle aut, że prawie się nie poruszały. Dojazd do końca Park Lane, przy posuwaniu się do przodu w żółtym tempie — jeden metr — stop — jeden metr — stop, zajął im prawie pół godziny. Wyglądało na to, że każdy, kto tylko mógł, chciał za wszelką cenę wyjechać z Londynu, zanim wojna się oficjalnie rozpocznie. Samochody były po sam dach wyładowane bagażami. Dzieci w samochodzie jadącym przed nimi uklękły na tylnym siedzeniu i stroiły do nich szkaradne miny, ale Amy, która zwykle uwielbiała tak samo się wykrzywiać w odpowiedzi, teraz po prostu nie miała do tego serca.

Niemal trzy godziny zajęło im dotarcie na przedmieścia Londynu, gdzie ruch nie był wprawdzie aż tak koszmarny, mimo to jednak ulica była wciąż zakorkowana, ponieważ do samochodów osobowych dołączyły autokary pełne dzieci, które ewakuowano na wieś.

— Powinniśmy byli pojechać do domu wczoraj — powtórzył Barney już piąty czy szósty raz.

— Gdzie jesteśmy? — spytała Amy mniej więcej po godzinie.

— Nie mam bladego pojęcia — jęknął. Wyglądał na oszołomionego. — Chyba usunęli niektóre znaki drogowe.

Zaraz potem minęli jakąś stację kolejową i Amy poprosiła, żeby stanęli. Musiała udać się pilnie do toalety, czując, że pęcherz zaraz jej pęknie — tego ranka wypila za dużo herbaty. Bamey chyba też, ponieważ wyszedł ze stacji w tym samym czasie co ona.

— W pociągach jest jeszcze gorzej niż na drogach — oznajmił, kiedy znów ruszyli. — Jakiś facet mi o tym powiedział. Podobno ludzie jadą stłoczeni jak śledzie w beczce. My przynajmniej mamy gdzie siedzieć.

Godzinę później byli w okolicy Oksfordu. Barney zaproponował, żeby się zatrzymać — napiją się i coś zjedzą.

— Tu niedaleko jest jakiś bar. Powinien już być otwarty. Chyba...

\* \* \*

Amy skwapliwie przytaknęła. Ona też bardzo potrzebowała krótkiej przerwy w podróży. Zjechanie z zatłoczonej drogi i zaparkowanie przed barem Malted Loaf, który właśnie otwierano, było prawdziwą ulgą. Zabrali napoje i talerz kanapek z szynką do słonecznego ogródka, gdzie usiedli na ławce przy prostym drewnianym stole, najdalej jak można od ryczących na drodze pojazdów.

Byli jedynymi klientami. Gdzieś w pobliżu głośno brzęczała pszczoła, a przez krzaki głogu widać było mężczyznę, ścinającego trawę kosą. Sceneria była tak sielankowa, że wprost trudno było uwierzyć w panikę ogarniającą cały kraj.

Do ogródka weszła jeszcze jedna para. Mężczyzna pomachał do nich i ,za wołał:

— Słyszeliście? Hitler napadł na Polskę. Bombardują Warszawę.

Nie do wiary! Polska jest w stanie wojny z Niemcami.

\* \* \*

Do ruchu na drodze dołączyły pomalowane na kolor khaki wojskowe ciężarówki, niektóre pełne żołnierzy, co jeszcze zwiększyło chaos komunikacyjny. Bywało, że wszystkie pojazdy zatrzymywały się niespodziewanie i trwało całe wieki, zanim znów ruszyły, ponieważ jakiś samochód z przodu uległ wypadkowi, o co w tej sytuacji nie było trudno. Wzdłuż długiej kolejki samochodów osobowych, ciężarówek i autokarów pedałowali policjanci na rowerach, próbując zaprowadzić ład i porządek. Kierowali auta na poboczne drogi, wysadzone po obu stronach drzewami, tak wąskie, że mogły

się na nich minąć co najwyżej dwa pojazdy. W którymś miejscu gromada dzieci urządziła sobie piknik na skraju łąki, ponieważ spod maski ich autokaru zaczęły się wydobywać kłęby dymu. Było późne popołudnie i niektóre rodziny zjeżdżały na pola, gdzie rozstawiały namioty, najwyraźniej planując tu spędzić noc.

— Oto, czego nam brakuje — mruknął Barney — namiotu. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy jeszcze tej nocy dobrnęli do Liverpoolu. Jesteśmy dopiero w połowie drogi. Kiedy dojedziemy do Coventry, może powinniśmy poszukać jakiegoś hotelu i zatrzymać się w nim do rana.

— A co ze ślubem Charliego i Marion? — wykrzyknęła Amy.

— O psiakrew, całkiem o tym zapomniałem! — Rękawem koszuli otarł bladą, zmęczoną twarz i westchnął ciężko.

Amy bolały ramiona, które rozcierała raz po raz. Marzyła o ciepłej kąpieli i wygodnym hotelowym łóżku, ale przecież nie mogła nie zjawić się na ślubie swojego jedynego brata! Mama zamartwiłaby się na śmierć, a Marion nigdy by jej tego nie wybaczyła. Zaproponowała więc, żeby, kiedy już dojadą do Coventry, zatrzymali się w hotelu, ale tylko na parę godzin.

— Zjemy porządną kolację — mówiła wesoło, chociaż zbierało się jej na płacz — a potem trochę odpoczniemy. Kiedy się zrobi ciemno, na drogach na pewno nie będzie już takiego okropnego tłoku. Dojedziemy do domu w ciągu paru godzin. — Nie mogła się doczekać, kiedy już będą w swoim mieszkanku.

Usytuowana na obrzeżach Coventry restauracja, której specjalnością okazała się przepyszna ryba z frytkami, była urządzona prowizorycznie, natomiast jedzenie podawano tam znakomite: frytki miały chrupiącą skórkę i miękkie wnętrze, a ryba była biała jak śnieg i pocięta na plastry, z panierką tak lekką jak powietrze.

Spłukali to litrami gorącej herbaty z mlekiem.

Po obfitym posiłku Barney odzyskał animusz. Kiedy wyszli z restauracji, przespacerowali się trochę, żeby rozprostować nogi. Amy czuła, że kolana się pod nią uginają.

Tłok na drodze wyraźnie się zmniejszył, a teraz szybko zapadał zmrok. Było tak ciemno, że aż nienaturalnie, niemal upiornie. Amy zauważyła, że w żadnym domu nie świeci się światło, zgasły nawet uliczne latarnie.auta wlokły się ociężale jak na taśmie filmowej puszczanej w zwolnionym tempie, przednie reflektory były zakrywane czarnym papierem: pozostawiano tylko wąską szczelinę, przez którą przebijało się światło. Pokazała to Barneyowi, który złapał się za twarz i jęknął:

— Cholera jasna!

— Barney! — ofuknęła go, kręcąc głową. Nigdy przedtem nie słyszała, żeby kłął.

— Wybacz, kochanie, tak mi się jakoś wyrwało, ale po prostu zaczęło obowiązywać zaciemnienie. Zapomniałem, że to już od dziś. Powinienem być zrobić osłony na reflektory.

— To znaczy, że nie wolno włączać przednich świateł? W ogóle...?

Jakim cudem będą mogli zobaczyć, któredy jadą! Nawet teraz, na

drodze pełnej domów i sklepów, noc robiła się coraz czarniejsza i czarniejsza, i trudno było odróżnić zarysy budynków na ciemnym niebie. A kiedy wyjadą z miasta, to co wtedy? Jak nic wylądują w jakimś rowie!

— Znajdziemy jakiś hotel i tam przenocujemy. Innej rady nie ma — powiedziała stanowczo. — Jeżeli wyruszymy skoro świt, na pewno zdążymy na ślub. A jeśli nie, no cóż... będziemy mieć po prostu okropnego pecha.

\* \* \*

„Mój Boże. Z jakimi dziwnymi rodzinami wiążą się moje dzieci”, myślała Moira, kiedy już siedziała w taksówce.

Czuła się, jak — nie przymierzając — królowa Anglii. Pierwszy raz w życiu jechała taksówką.

Amy była mężatką od prawie trzech miesięcy i dotąd ani razu się nawet, nie zająknęła, że chciałaby ją zapoznać z matką i ojcem Barneya. Moira miała swój honor i nie zamierzała nalegać, w myśl zasady „jak nie, to nie”, uważała jednak, że byłoby miło, gdyby wszyscy żyli ze sobą w przyjaźni. Mogliby się gościć na Boże Narodzenie, a choćby nawet tylko wpadać na herbatkę i wspólnie obchodzić urodziny swoich dzieci. W głębi duszy miała nadzieję, że Amy nie wstydzi się swojej matki.

Dzisiaj był ślub Charliego — i to w taki piękny dzień, jasny, słoneczny, naprawdę ciepły. Poszła do kościoła Świętego Krzyża przy Scotland Road razem z Jacky i Biddy, spodziewając się, że spotka tam przynajmniej jakichś członków rodziny Marion. Jej rodzice nie żyli, ale na pewno miała rodzeństwo — albo krewnych. Niestety, jedyne gośćmi była rodzina Charliego i garstka osób, z którymi Marion pracowała w English Electric.

Moira bardzo chciała zaprosić na ślub swoje dwie siostry z Irlandii i krewnych Jogo, z którymi nadal się widywała. Jej przyjaciółka Nellie Tyler też pewnie z przy-



jemnością by przyszła, poza tym byłoby ładnie zaprosić Cathy Burns — tę naprawdę uroczą dziewczynę, którą Amy potraktowała tak brzydko. Moira wyobrażała sobie też, że Jacky i Biddy będą druhami, w długich sukienkach, z kwiatami we włosach — koszty się nie liczyły. Ale nikt nic takiego nie proponował ani nie zaproszono nikogo poza rodziną Charliego.

W kościele, kiedy się martwiła, czy jej błękitny kostium, kupiony na Paddy's Market nie wygląda jak ciuch z drugiej ręki, którym w istocie był, a niebieski kapelusz dobrze się prezentuje — odświeżyła go przecież metrem kremowej woalki — stopniowo docierało do niej, że Amy i Barneya jeszcze nie ma — i to z kolei ją martwiło, nie wspominając o wojnie, która spędzała jej sen z powiek już od miesięcy. Jej córka i uroczy zięć nie pokazywali się od paru dni, ale nie było w tym nic niezwykłego. Żyli miłością. Cała reszta nie miała znaczenia. Czy na pewno nie zapomnieli, że Charlie dziś się żeni?

Ten ślub zaczynał powoli być dla niej koszmarem.

Kiedy skończyło się uroczyste nabożeństwo, któryś z przyjaciół zrobił pół tuzina zdjęć, po czym wszyscy udali się do restauracji na Scottie Road, gdzie w pokoju na piętrze na weselników czekał zimny bufet. Moira zjadła kilka plasterków szynki z puszki, wypła łyk wina i oznajmiła nowożeńcom, że wychodzi.

— Strasznie się niepokoję o Amy — powiedziała, stojąc już w drzwiach. — Mogli mieć wypadek samochodowy czy coś w tym rodzaju. Mój Boże, tak się denerwuję. Wpadnę do ich mieszkania i zobaczę, czy wszystko w porządku.

Określenie „wpadnę” było raczej niezbyt trafne. Mieszkanie Barneya i Amy znajdowało się bowiem wiele kilometrów od restauracji, w zupełnie innej dzielnicy Liverpoolu.

Charlie uściskał jej rękę.

— Szczerze mówiąc, mam, ja też jestem trochę niespokojny. Wiem, że Amy bardzo się szykowała na nasz ślub. Ale tu na dole jest budka telefoniczna. Może po prostu zadzwonisz? Jeśli chcesz, ja to zrobię — zaproponował.

— Nie znam ich numeru, kochanie. — Moira była bliska płaczu. — Nasza Amy zapisała mi go na kartce, a potem zatknęła ją za zegarem na kominku. Mój Boże... Nie przyszło mi do głowy, żeby ją włożyć do torebki.

— Charles, bądź tak dobry i daj mamie pół korony, żeby wzięła taksówkę — powiedziała ciepło Marion; tak ciepło, że Moira zadała sobie w duchu pytanie, czy aby nie oceniła zbyt surowo tej dziewczyny, która w tej chwili była już jej synową.

Wysiadła z czarnej taksówki przed wspaniałym domem Amy przy Newsham Park. Była tu już wprawdzie kilka razy, nigdy jednak nie przychodziła bez uprzedzenia. Zadzwoiła cztery razy, żeby dać znać, że przyszła do lokatorów z ostatniego piętra.

Kapitan Kirkby-Greene, mieszkający na parterze, niemal natychmiast otworzył drzwi. Ukłonił się szarmancko.

— Dobry wieczór, pani Curran — przywitał się, całując ją w rękę. Zobaczyłem panią przez okno. Pomyślałem, że panią wpuszczę i w ten sposób oszczędzę pani córce schodzenia po schodach.

— Dziękuję, panie... kapitanie — wyjąkała Moira, zdumiona, że ją poznał. Do tychczas spotkali się tylko raz i to tylko na chwilę, kiedy Amy go jej przedstawiła.

Była już w połowie schodów, kiedy kapitan chrząknął. Odwróciła się szybko.

— Mam nadzieję, że nie obrazi się pani na mnie, pani Curran... — powiedział nieśmiało — ale wygląda dziś pani wyjątkowo czarująco.

— Oczywiście, że się nie obrażę, kapitanie. — Moira aż się zarumieniła z radości. Był niebrzydki jak na mężczyznę w jego wieku — dobra sześćdziesiątka, jak oceniła. Włosy miały piękny srebrny odcień i były gęste. Tylko jego niewątpliwie sztuczne zęby były za duże i nie bardzo pasowały do drobnych ust.

— Mamo, czy to ty? — Amy wyszła na podest schodów, dwa piętra wyżej.

— Tak, kochanie, właśnie przyszłam. — Pomachała kapitanowi na pożegnanie i dalej wchodziła na górę, czując na plecach jego wzrok, co zmobilizowało ją do zalotnego kręcenia biodrami.

— Och, mamo! Nie gniewaj się, proszę. Wiem, że opuściliśmy ślub Charliego! — zawołała Amy, kiedy Moira zamknęła już za sobą drzwi. — Tak strasznie mi przykro, naprawdę tak się cieszyłam na tę uroczystość! — Wyglądała tak, jakby ją ktoś przeciągnął za włosy po krzakach. Miała na sobie szlafrok, a jej drobne białe stopy były bose. — Nie uwierzysz, co wczoraj przeżyliśmy, próbując dotrzeć do domu z Londynu. W końcu, kiedy zaczęło się zaciemnienie, musieliśmy w ogóle zrezygnować z dalszej jazdy, więc zatrzymaliśmy się w jakimś hotelu. Właściwie w takim małym pensjonaciku, i ta kobieta dała nam się napić czegoś gorącego, zanim poszliśmy spać. Chcieliśmy jej zapłacić, ale powiedziała, że to wbrew przepisom. Przez całą noc nie zmrużyliśmy oka. — Jeszcze teraz mówiła trochę bełkotliwie, jakby z trudem wydobywała z siebie słowa. — Wyruszyliśmy, jak tylko się rozwidniło, ale wtedy biedny Barney poczuł się naprawdę niedobrze, więc musieliśmy się zatrzymać, a on zwy-

miotował przy drodze. Chyba się czymś zatruł. A może to z nerwów, sama już nie wiem...

— A gdzie teraz jest twój mąż, kochanie? — Moira objęła czule córkę, kiedy wchodziły do mieszkania.

— W łóżku, śpi. Chciałam nawet wezwać lekarza, ale mi nie pozwolił. — Amy przerwała, żeby odetchnąć, udręczona. — I... och, mamo, nigdy byś nie pomyślała... Kiedy nas nie było, przyszło jego wezwanie do wojska. To po prostu okropne. Będzie się musiał stawić jeszcze dziś. Powiedział, że zatelefonuje, jak tylko poczuje się lepiej.

— Mogę do niego zajrzeć?

Amy skinęła głową. Moira podeszła do drzwi sypialni i otworzyła je na oścież. Mogła dostrzec tylko czubek głowy Barneya. Cała reszta była zakopana w skotłowanej pościeli. Ale oddychał równo.

Cicho zamknęła drzwi.

— Biedaczek, pewnie jest po prostu zmęczony. Kiedy się obudzi, daj mu tylko dużo wody albo słabej herbaty. Możesz mu też dać bułkę z mlekiem, jeżeli będzie głodny. A teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu, kochanie, marzę o filiżance herbaty. Sama sobie zrobię, ty usiądź i odpocznij chwilkę.

Obecność matki musiała uspokoić Amy; usiadła na skórzanej kanapie naprzeciwko okna.

— Jaki piękny dzień — powiedziała, jakby dopiero teraz zauważyła, jak słońce oświetla łupkowe dachy domów za parkiem, które lśniły niczym tafle szkła. — A propos, jak się udał ślub? — spytała, kiedy Moira weszła z dwiema filiżankami herbaty.

— W porządku. Ślub jak ślub... — Moira wzruszyła ramionami. — Właściwie prawie nikogo nie było, w sumie najwyżej dwanaście osób. Charlie i twoje siostry naprawdę się niepokoiли, kiedy się nie pokazaliście. Marion nie zaprosiła nikogo ze swojej rodziny tylko znajomych z pracy. A jej sukienka też nie była zbyt efektowna — przypomniała sobie nagle. — Mówiąc bez ogródek, wyglądała tak, jakby była kupiona na wyprzedazy u Blacklera za funta bez jednego pensa. I wyobraź sobie, panna młoda nie miała w ręku bukietu tylko książeczkę do nabożeństwa. A co do przyjęcia, to też lepiej nie mówić. Żenada... — machnęła ręką. — Masz pojęcie? Szynka z puszki na weselu! I w dodatku nie jadą na żaden miesiąc miodowy, tylko się wprowadzają do nowego domu. — Było trochę za późno się obrazać, ale kto w końcu jej zabroni mieć własne zdanie na ten temat — po prostu dziadostwo! Pociągnęła nosem. — Nie przed-

stawiono mi żadnego krewnego — ani ze strony Marion, ani Barneya. Zaczynam powoli podejrzewać, że ty i Charlie wstydzicie się własnej matki.

Amy parsknęła głośno, co kolidowało odrobinę z jej nowym wizerunkiem „damy z towarzystwa”.

— Nie bądź niemądra, mamó. W przypadku Marion pewnie jest akurat na odwrót: to ona się wstydzi pokazać nam swoją rodzinę. W tym kostiumie, wyglądasz naprawdę elegancko. A co do matki Barneya, ja też jeszcze jej nie poznałam. I być może nigdy nie poznam. Jest irlandzką protestantką i nienawidzi katolików. No, to teraz już wiesz!

— Święty Boże w niebiesiech, Amy! — jęknęła Moira, żegnając się znakiem krzyża. — Do jakiej ty rodziny weszłaś?

— Poślubiłam Barneya, mamó, a nie jego rodzinę.

— Tak, może masz rację... — przyznała Moira. Od razu poczuła się trochę lepiej. Nie tylko po tym, co powiedziała przed chwilą Amy, ale też po tym, jak kapitan Kirby-Greene na nią patrzył. A chociaż dzisiejszy ślub był taki niereprezentacyjny, to dzięki Marion przyjechała tu przecież taksówką.

Poczuła się jeszcze lepiej, kiedy Amy pokazała jej kupione w Londynie prezenty i wręczyła matce" torebkę z wężowej skóry.

— To prawdziwy wąż? — Moira gładziła w zamyśleniu łuskowatą szaro-czarną skórę. Miała nadzieję, że to Bogu ducha winne stworzenie miało spokojną śmierć.

— Ależ, mamó. Zastanów się, proszę, przecież nie nazywaliby tego skórą węża, gdyby nie była z prawdziwego węża. — Amy zdobyła się na słaby uśmiech. — Kupiliśmy też torebki dla Jacky i Biddy i przepiękne pudło ze sztućcami dla Charliego i Marion.

Jaka szkoda, że nie mogłam wręczyć im tego wszystkiego przed ślubem!

— Nie przejmuj się, Amy, lepiej późno niż wcale. Zabiorę to wszystko z powrotem taksówką — powiedziała, klepiąc córkę po ramieniu. Za kurs zapłaciła tylko dziewięć pensów plus pens napiwku dla szofera, więc miała jeszcze dość pieniędzy, żeby wrócić taksówką do Bootle.

— W takim razie weź też tę bluzkę, którą kupiłam dla Cathy. — Amy pomachała w powietrzu piękną bluzką w kolorze kości słoniowej.

— Lepiej nie. Twojej przyjaciółce będzie na pewno bardzo miło, jeśli sama dasz jej ten prezent.

Od czasu gdy jej córka wyszła za Barneya Pattersona, zupełnie straciła rozum — i chyba całkiem zapomniała o istnieniu Cathy. Zresztą Barney też nie był lepszy. Moira nie wyobrażała sobie nic głupszego niż wypad do Londynu, kiedy oboje wiedzieli, że w każdej

chwili może wybuchnąć wojna.

\* \* \*

Pod wieczór Barney wstał z łóżka i powiedział, że czuje się trochę lepiej. Wykąpał się, ale nie chciał nic jeść ani pić. Nawet nie spojrzął na mleko i bułkę, udając, że się dławi. Twierdził, że to by mu jeszcze bardziej zaszkodziło.

— W każdym razie, zanim zrobię cokolwiek innego, muszę przede wszystkim wyjaśnić sprawę mojego wezwania — dodał.

— Nikogo tam nie będzie — zauważyła Amy. — Jest sobota wieczór. Zapomniałeś?

— Moja kochana dziewczynko, lada chwila wybuchnie wojna. Zapewniam cię, że ktoś odbierze mój telefon.

Trafił w dziesiątkę. Kiedy wykręcił numer, natychmiast ktoś odebrał. Amy wyszła do kuchni i próbowała nie słuchać, jak się umawia. Miał się zameldować gdzieś w pobliżu Chester, we wtorek o dziewiątej rano.

— To znaczy, że muszę wyjechać już w poniedziałek — powiedział, kiedy skończył rozmowę.

— Pojedziesz samochodem? — spytała, dziwiąc się w duchu, że jest w stanie zadać takie zwykłe i proste pytanie.

— Nie. Najlepiej będzie, jeśli pojedę pociągiem. Zostawię samochód na ulicy, tam, gdzie teraz stoi. Jeżeli będzie trzeba go uruchomić, Harry się tym zajmie, kochanie. Wszystko zależy od tego, jak długo potrwa ta przekłeta wojna. — Wziął ją w ramiona, twarz miał poważną. — Jak ja będę mógł żyć bez ciebie?

— Też chciałabym to wiedzieć — zaszlochała Amy — bo wtedy będę wiedziała, jak ja będę żyła bez ciebie!

Postanowili nie wychodzić na kolację, tylko wcześniej pójść spać.

\* \* \*

W niedzielę Amy poszła na mszę, pierwszy raz od dnia ślubu z Barneyem. Jej po-  
bożna matka pewnie dostałaby białej gorączki, gdyby wiedziała, że najstarsza córka od  
miesiący nie była na nabożeństwie! Tymczasem on pojechał do domu dać znać swojej  
rodzinie, że następnego dnia wyjeżdża.

— Mogą mnie odesłać z powrotem — mówił żonie, zanim wyruszył do Caldersto-  
nes. — Kto wie, może wcale mnie jeszcze nie potrzebują... Albo odpadnę na bada-  
niach lekarskich...

Oboje jednak wiedzieli, że będą go potrzebować, i to natychmiast, i że istnieje tyl-  
ko jedna szansa na milion, że nie przejdzie badań — taki młody i zdrowy mężczyzna  
jak on!

W kościele Amy modliła się o cud. Prosiła Boga, żeby nie dopuścił do tej przekłę-  
tej wojny — to nadal było przecież możliwe — ale kiedy wróciła do domu, kapitan  
Kirkby-Greene wyszedł ze swojego pokoju i oznajmił, że premier Neville Chamberla-  
inu właśnie przemawiał w radio i ogłosił wypowiedzenie wojny Niemcom.

— I mówił też o czasie — starszy pan nie posiadał się z oburzenia. — Powinniśmy  
byli już dawno coś zrobić z tym szaleńcem Hitlerem, a nie siedzieć i czekać z założo-  
nymi rękami. Jestem pewien, że solidne lanie z miejsca przywróciłoby mu zdrowy ro-  
zum. — Skłonił się ceremonialnie. — Mam nadzieję, że mi pani wybaczy mój okrop-  
ny francuski, pani Patterson.

— Ależ oczywiście, kapitanie — odparła grzecznie.

Pobiegła na górę, wpadła do mieszkania i załapała się łzami.

\* \* \*

Barney wrócił do domu bardzo poważny. Jego matka dostała spazmów na wieść o  
odjeździe młodszego syna.

— Ostatnio nie czuje się zbyt dobrze.

— Biedactwo! — rzekła Amy ze współczuciem. — Może trochę by jej ulżyło,  
gdybym się z nią zobaczyła?

— Nie, w żadnym razie. Twoja wizyta jeszcze tylko pogorszyłaby sprawę.

Kupił paczkę papierosów Senior Service, chociaż dotąd palił tylko okazjonalnie.  
Amy też próbowała, ale szybko dała sobie z tym spokój — nie cierpiała palenia. Na-  
wet zapach tytoniu ją drażnił. Barney natomiast palił jednego papierosa za drugim,  
kiedy pakowali razem jego walizkę, starając się nie zapomnieć o żadnej rzeczy, która

mogłaby mu się przydać, tak jakby, kiedy zamkną się za nim drzwi ich mieszkania, nigdy już nie miał okazji kupić sobie żyletek, chusteczki czy grzebienia.

Tej nocy się nie kochali, tylko przewracali niespokojnie na łóżku. Barney leżał na boku, a Amy przytuliła się do niego, czując, jak obejmuje ją w pasie. W pewnym momencie cofnął ramię, pocałował ją i wstał z łóżka. Amy obudziła się na chwilę, zapłakała krótko i natychmiast znów zasnęła.

Następnego ranka, kiedy się obudziła, nie było walizki ani Barneya.

Zostawił kartkę, na której napisał, że po prostu nie mógł znieść myśli o pożegnaniu.

*Za bardzo cię kocham, moja najdroższa. Dlatego uciekam jak tchórz. Jestem pewien, że zrozumiesz, że to dla nas obojga najlepsze.*

Miał rację. Teraz to najgorsze — rozstanie — było już za nimi. Została tylko z połową życia i nie miała innego wyjścia, jak się z tym pogodzić. Podobnie jak tysiące kobiet w tym kraju, których mężowie zostali powołani do wojska, by walczyć.

TLR

## Rozdział 5

KWIECIEŃ - MAJ 1971

*Pearl*

— Teraz, kiedy już zjedliśmy podwieczorek, chciałabym porozmawiać o odnowieniu korytarza, schodów i podestu — oznajmiła Marion w poniedziałek. — Więc, bardzo proszę, żebyście nie wstawali jeszcze od stołu.

— Dobrze, szanowna pani. — Charles mrugnął do mnie porozumiewawczo, po czym zwrócił się z powagą do żony, chociaż oczy mu się śmiały. — Czy mam stenografować? I czy mogę zasugerować, żeby panna Pearl poprowadziła nasze zebranie?

— To nie są żarty, Charles — skarciła go Marion. — Mieszkamy we troje w tym domu i zwykła przyzwoitość, a także zdrowy rozsądek wymagają, żebyśmy wspólnie zdecydowali, co trzeba zrobić, tak żebyśmy wszyscy byli zadowoleni. To się nazywa demokracja — zakończyła oficjalnym tonem.

Charles z trudem ukrywał rozbawienie.

Marion co najmniej raz w roku zwoływała taką „walną naradę”, żeby omówić zmiany w wystroju domu, które sama już dawno zaplanowała. Decyzja była już wprawdzie podjęta, niemniej zarówno Charlesowi, jak i mnie wolno było przedstawiać rozmaite sugestie do przedyskutowania, które następnie były z reguły odrzucane — rzecz jasna, bardzo grzecznie i taktownie, żebyśmy się broń Boże nie zorientowali, co naprawdę jest grane, i w końcu uznali, że wszystko przebiega na wskroś demokratycznie i po naszej myśli. W każdym razie tak bywało dawniej, teraz jednak oboje doskonale zdawali sobie sprawę z manipulacji Marion i całą procedurę traktowaliśmy jak dobrą zabawę.

Taka dyskusja z reguły miała miejsce, kiedy jeszcze siedzieliśmy przy stole, a nie w fotelach. Marion uważała zapewne, że to dodaje powagi całej sprawie. Dziś wieczorem po zjedzeniu kolacji wydobyła notes i ołówkę, a następnie oznajmiła, że oczekuje naszych sugestii.

— Brązowy i kremowy — rzucił natychmiast Charles. — Brązowy na dole, kremowy na górze. Z wąskim paskiem pośrodku.

— A w jakim kolorze ma być ten pasek? — Marion spojrzała na niego pytająco.

— Jak to, w jakim? Ciemny brąz z kremowym, kochanie.



— Mmm... — Marion notowała. — Taki zestaw kolorów nawet mi się podoba. A co byście powiedzieli na kremowy z odcieniem różu, a brązowy z odcieniem czerwieni?

— Nie! — krzyknęliśmy równocześnie.

Wyglądało na to, że sprawa zajmie mniej czasu niż zwykle.

— Zastanawiam się — mówiła Marion, pocierając dłonią podbródek — nad dwoma paskami. Taaaak... moim zdaniem to świetny pomysł... Jeden szeroki między dwoma kolorami, a drugi wąski pod samym sufitem? Co wy na to? Moglibyśmy je dać w kolorze kremowo-brązowym, jak zaproponował Charles.

— Albo różowo-kremowym i czerwono-brązowym. To by wyglądało jeszcze lepiej, kochanie.

Marion zmarszczyła czoło.

— Czy ty sobie ze mnie żartujesz, Charlesie Curran?

— Kochanie, jakżebym śmiał!

Zadzwonił telefon i Marion poszła odebrać.

— Ona dobrze wie, że z niej żartuję — powiedział Charles, nachylając się do mnie — i wie, że ja wiem, że ona wie, że z niej żartuję, ale oboje tylko się tak bawimy.

— Czy ja wam może przeszkadzam? — spytałam, co zaskoczyło nawet mnie samą, ale nagle mi przyszło do głowy, że moi wujostwo mieliby jeszcze lepszą zabawę, gdyby mieszkali w tym domu tylko we dwoje.

Charles aż podskoczył na krześle.

— Co to za niemądre pytanie, Pearl? Jasne, że w niczym nam nie przeszkadzasz. Wprost przeciwnie, jesteś naszym błogosławieństwem. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

— Ale... przecież chcieliście mieć własne dzieci?

— Pewnie, że chcieliśmy, tylko po prostu nie wyszło. Czasem tak bywa. Siła wyższa... — Charles wzruszył ramionami. — Ale nawet, gdybyśmy je mieli, to i tak chcielibyśmy mieć także i ciebie. — Uśmiechnął się do mnie z czułością. — Byłaś prawdziwą małą czarodziejką i nadal nią jesteś, chociaż już nie taką małą. Oboje cię pokochaliśmy jeszcze na długo przed wypadkiem. — Śmierć mojego ojca Charles zawsze

nazywał „wypadkiem”. Uścisnął mi rękę. — A dlaczego w ogóle przyszło ci to do głowy?

— Zastanawiałam się po prostu, czy nie nadużywam waszej gościnności — powiedziała cicho. — Mam już dwadzieścia pięć lat. W tym wieku kobiety są już na ogół zameżne. Ty i Marion czulibyście się beze mnie swobodniej. Tylko ty i ona...

— Ależ daj spokój, to po prostu śmieszne! — gorąco zapewnił Charles. — Większość ludzi wcale nie chce, żeby ich dzieci wyfruwały z rodzinnego gniazda, a może o tym nie wiedziałaś? Tak właśnie i my myślimy o tobie, jak o naszej własnej córce. Najbardziej ze wszystkiego chcielibyśmy, żebyś tu nadal mieszkała i opiekowała się nami na starość. Żebyś nam podawała lekarstwa i ocierała brody po jedzeniu.

Roześmiałam się głośno, czując w sercu wielką ulgę.

— Bez obaw. Przy moim tempie działania prawdopodobnie tak będzie.

— A jeśli tak podupadniemy na zdrowiu i tak zdziadziejemy, że nie będziemy już mogli sami się podetrzeć, będziesz nas musiała oddać do domu starców.

Weszła Marion.

— Dzwonił Harry Patterson. Zaprasza nas w środę na obiad. Chciał się dowiedzieć, czy wszyscy lubimy chińszczyznę. Powiedziałam, że tak. To ma być, zdaje się, ta nowa restauracja na Bold Street, czy odpowiada to wam? Mogę jeszcze oddzwonić, jeśli macie jakieś inne plany.

— Mnie osobiście pasuje — stwierdził Charles.

— I mnie.

Trish miała wyjść za mąż w następnym tygodniu. Kiedy już wyjedzie, raczej nie będę miała „innych planów”, co najwyżej wieczorne spotkania z rodzicami uczniów i rozmaite imprezy szkolne. Wspaniała perspektywa, nie ma co... Cóż, chyba naprawdę czas, żeby poważnie się zastanowić, co mam zrobić z resztą swojego życia, inaczej rzeczywiście skończę tak, jak to sobie sprytnie obmyślił Charles — opiekując się kochanym wujostwem na stare lata, chociaż nie powiem, żeby podobał mi się pomysł podcierania ich sędziwych pupć.

\* \* \*

Harry Patterson się nie ożenił. Często wyobrażałam sobie, jak poznaje jakąś dziewczynę podczas wojny, ona zaś ginie z rąk wroga — albo wychodzi za kogoś innego. Harry, podobnie jak jego brat, zaciągnął się do wojska i walczył we Francji. Byli

w różnych pułkach i Harry nigdy nie został oficerem, ale raz się spotkali, a właściwie minęli. Na drodze do Dunkierki. Harry kierował się wtedy w stronę łodzi, mających ewakuować brytyjskich żołnierzy do Anglii, natomiast mój ojciec wracał, żeby zatrzymać wroga z dala od zatoki, podczas gdy jego towarzysze, włącznie z bratem, będą odpływali na łodziach, które tu dotarły, by ich ratować.

— Myślałem wtedy, że już nigdy nie zobaczę twojego taty — opowiadał mi Harry, kiedy miałam czternaście lat i nagle doszłam do wniosku, że muszę koniecznie znaleźć odpowiedzi na setki dręczących mnie pytań.

— Ale go zobaczyłeś, prawda? — pytałam niepewnie, jakby Harry mógł odmienić bieg wydarzeń, mówiąc, że nie. Próbowałam sobie wyobrazić mojego młodzieńczego ojca, dzielnie torującego sobie drogę pomiędzy odjeżdżającymi żołnierzami. Jak się wtedy czuł? Czy był bardzo samotny?

Dopiero po wielu latach uderzyło mnie niespodziewanie, że przecież ojciec nie walczył sam, że musiał mieć wokół siebie innych żołnierzy.

— Oczywiście. Twój tatuś wrócił z wojny cały i zdrowy, chociaż dużo później niż ja, dopiero kiedy wojna się skończyła.

— A ty byłeś z nim, kiedy poznaliście moją mamę?

— Tak, Pearl, poznaliśmy twoją mamę na moło w Southport, ją i ciocię Cathy. Jeśli się nie mylę, nazywasz ją ciocią Cathy?

— Cioteczką Cathy.

Cathy, czyli panna Burns — teraz właściwie nie wiedziałam, jak ją nazywać — zawsze przychodziła do nas na moje urodziny, razem z babcią Curran, matką mojej mamy. Babcia była naprawdę kochana; poza tym należała do niewielu osób na świecie, które Marion szczerze lubiła. Moja druga babka przysyłała tylko kartkę i przekaz pieniężny. Marion nazywała ją „starą i złą wiedźmą”. Myślę, że była to jedyna kwestia, co do której moja mama i Marion miały identyczne zdanie.

Obie babcie zmarły w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, jedna kilka miesięcy po drugiej, zostawiając mnie z dziadkiem, którego widywałam zaledwie parę razy w roku — a także z dwoma wujkami i z ciotką. Dwóch innych ciotek, które ledwie, ledwie pamiętałam, nawet nie liczyłam. Jacky i Biddy wyjechały do Kanady, kiedy moja matka trafiła za kratki. Miały razem pięcioro dzieci — piątkę kuzynów, których nigdy w życiu nie widziałam. Chciałabym mieć więcej krewnych w moim wieku, ale miałam tylko takich, jakich mi zesłał Bóg. Całą resztę musiałam po prostu sobie wyperswadować, w myśl zasady mówiącej, że nie wszystko można mieć na tym świecie.

Kiedy weszliśmy do restauracji, wuj Harry już tam był.

Miał pięćdziesiąt cztery lata, piwne oczy, ciemne, przyprószone srebrem włosy i dystyngowany wygląd. Pracował w firmie produkującej instrumenty medyczne, która należała do jego ojca, Leo Pattersona.

— Witajcie.

Wydawał się uszczęśliwiony naszym widokiem. Ucałował najpierw mnie, potem Marion, a Charlesowi uścisnął rękę. Miał na sobie grafitowy garnitur, jasnoniebieską koszulę i granatowy krawat ze złotą szpilką. Marion mówiła, że jego krawaty są zawsze z czystego jedwabiu, a garnitury szyte na miarę, chociaż osobiście nie potrafiłam tego stwierdzić.

— Doskonale wyglądasz, staruszkę — ucieszył się.

— Mogę to samo powiedzieć o tobie, Harry — rzekł Charles dobrodusznie. Obaj bardzo się lubili. — Byłeś gdzieś na wakacjach?

— Dwa tygodnie w Maroku — odparł Harry. Twarz miał zbrązowiałą od słońca. — Papa planuje niebawem wyjazd do Paryża. Mówi, że potrzebny mu urlop, a nie zostawi firmy pod opieką jakiegoś urzędnika tylko mnie.

Ostatnie zdanie wypowiedział z dziecinną dumą.

— Leo i urlop? To do niego niepodobne. Ile ma teraz lat?

— Siedemdziesiąt pięć, ale jest w świetnej formie. Kiedy się żenił z moją matką, oboje byli prawie nastolatkami. Zastanawiam się, co też nasz senior zamierza robić w tym Paryżu. Ach te paryskie rewie... — rzekł rozbawiony i mrugnął porozumiewawczo. — A propos, czy są jakieś wieści od Amy?

— Ani słowa — odparł Charles. — Nie mamy pojęcia, gdzie się podziewa.

Rozpoczęła się dyskusja, gdzie też może być moja matka i kto ją odebrał z więzienia; ani Marion, ani ja nie brałyśmy udziału w tej rozmowie.

— Któregoś dnia zjawił się u mnie niespodziewanie jakiś reporter — powiedział Harry z ważną miną. Podejrzywałam, że musi mieć kompleks niższości wobec ojca i brata, kroczących z uśmiechem na ustach od sukcesu do sukcesu i przewyższających go bez mała we wszystkim (w każdym razie tak mi dawano do zrozumienia). — Zadeklarowałam mu swoją kompletną niewiedzę co do miejsca pobytu Amy, zresztą zgod-

nie z prawdą, i powiedziałem, że o ile wiem, wszyscy jej krewni mieszkają za granicą, ale nie mam pojęcia, gdzie.

Podszedł kelner z kartami dań; przez parę chwil panowała cisza, ponieważ każdy wybierał coś dla siebie. Nie miałam jakichś szczególnych życzeń, dlatego zamówiłam moje ulubione krewetki z ryżem w sosie curry. Inni tymczasem wyszukiwali co bardziej egzotyczne dania.

Po kwadransie stół ugiął się pod ciężarem pachnących przecudownie potraw. Na dodatek, oprócz mojego zamówienia musiałam próbować wszystkiego po trochu z każdego talerza, tak iż w końcu zaczęło mi się robić niedobrze. A oni dalej swoje — może jeszcze to, a może tamto... Skakali koło mnie, jakbym była dzieckiem, i w ogóle poświęcali mi zbyt dużo uwagi. Strasznie mnie to irytowało. Już się nie mogłam doczekać, kiedy wreszcie wrócimy do domu i znowu się poczuję dorosłą kobietą.

Zastanawiałam się w duchu, czy już do końca życia będę skazana na chodzenie do restauracji z „dinozaurami”...

\* \* \*

W czwartek razem z Trish poszliśmy sobie popatrzeć na Roberta Mitchuma w Córce Ryana. Film był stanowczo za długi i prawdę mówiąc, dość nudnawy, więc niespecjalnie się ubawiłyśmy. Następnego dnia Trish wyjeżdżała do Londynu, już na kolejny weekend. Była zdegustowana wysokimi cenami wynajmu mieszkań w stolicy.

— Toż to prawdziwe zdzierstwo. Wyobraź sobie tylko, nawet wynajęcie pokoju ze wspólną kuchnią i łazienką kosztuje piętnaście funtów tygodniowo! — narzekała. — Tym razem nie będę taka głupia i poszukam czegoś trochę dalej od centrum.

Siedziałyśmy w barze w Whitechapel i piłyśmy shandy<sup>2</sup>. Trish była nieduża, pulchna i miłuśka, z burzą jasnych włosów i zadartym noskiem. Patrzyła na mnie serdecznie.

— Do licha, Pearl, będę za tobą tęsknić jak cholera.

— A ja za tobą — zapewniłam ją w rewanżu.

Bo co na przykład będę teraz robiła w soboty? Muszę szybko coś wymyślić, nim Charles i Marion zorganizują kolejną kolację „seniorów”.

Trish popatrzyła na mnie ze smutkiem:

---

<sup>2</sup>\*Shandy — jasne piwo zmieszane z białą lemoniadą.

— Jest takie jedno miejsce... — westchnęła — do którego bym najbardziej chciała pójść, zanim wyjadę na zawsze z Liverpoolu. To Cavern. Był taki okres, kiedy tam dosłownie mieszkałam, ale ostatnio... No cóż, chyba się trochę zestarzałam. Od dawna tam nie zaglądałam. A teraz przed ślubem już nie będzie na to czasu.

— Po pierwsze, wcale nie wyjeżdżasz z Liverpoolu na zawsze — powiedziałam uspokajająco. — Poza tym w Cavern grają teraz inną muzykę. Bardziej heavy metal niż rock'n'rolla.

Trish się skrzywiła.

— Przeraza mnie, że tyle za sobą zostawiam. W porównaniu z Liverpoolem Londyn jest za wielki i za mało kameralny. Nie znoszę tych koszmarnych tłumów, w których można się łatwo zgubić.

— Niedługo się przyzwyczaisz.

Przecież właśnie tam mogę pójść w sobotę: do Cavern!

To było miejsce, gdzie nikt nie zwróci uwagi na to, że przysłam sama.

\* \* \*

W sobotę, o wpół do dziewiątej wieczorem, stałam przed klubem Cavern przy Matthew Street. W czarnych „dzwonach” i białym sweterku polo. O zespołach, które tam grały, nigdy nie słyszałam: były to Mushroom i Confucius. Teraz, kiedy już tam dotarłam, nagle opuściła mnie odwaga; jakoś się nie kwapiłam, żeby wejść do środka. Widziałam, jak pojedynczo wchodziło tam kilku mężczyzn, ale ani jedna kobieta. Wszyscy wyglądali na znacznie młodszych ode mnie, przeważnie na nastolatków.

Kontakty z obcymi zawsze były moją bolączką. Jeśli ktoś nieznajomy się do mnie odezwał, reagowałam co najmniej osobliwie.

Stałam jak słup soli, nie mogąc wydusić z siebie nawet pół słowa. Ale jeśli nikt mnie tutaj nie zagadnie, istniało ryzyko, że spędzę cały wieczór, milcząc jak mumia. Co nie było akurat szczególnie pociągające.

Pierwszy raz byłam w Cavern razem z gromadą dziewcząt z mojej szkoły. Miałyśmy wtedy po czternaście lat; pięć lat wcześniej poznałam Trish.

Nie, chyba tam nie wejdę... Raczej wrócę do domu.

Ale tego też nie mogłam zrobić — za mało czasu minęło od mojego wyjścia. Charles i Marion mieli oglądać telewizję, a ja powiedziałam, że wychodzę z jedną z na-

uczycielek. Z Hildą Dooley, skłamałam, kiedy Marion spytała mnie o nazwisko tej nauczycielki.

Kino. O właśnie. Może pójdę do kina?

Nieważne, na co ani czy stracę kawałek filmu. Chodziło o to, żeby gdzieś usiąść i odczekać, aż nadejdzie pora powrotu do domu. A kiedy już wrócę, po prostu powiem, że byłam w Cavern. Jeśli będzie trzeba, do końca życia wolę mówić w każdą sobotę, że chodzę do Cavern, niż żeby wujostwo zabierali mnie na kolacje. Tylko po to, by ich dwudziestopięcioletnia siostrzenica wreszcie wyszła gdzieś wieczorem, a nie tylko słuchała non stop płyt w swoim pokoju...

Obróciłam się na pięcie i w tej samej chwili zderzyłam się z mężczyzną w zamiszowej marynarce, koszuli w kratę i džinsach.

— Co za spotkanie! — zawołał ucieszony.

— Cześć — bąknęłam. To był Rob Finnegan, ojciec Gary'ego. — Co pan tu robi?

Głupie pytanie. Po cóż innego miałyby tutaj przychodzić, jak nie po to, żeby posłuchać Mushrooma i Confuciusa?

— Moja siostra, Bess, postanowiła spędzić ten wieczór w domu ze swoim chłopakiem. Mają się zająć Garym, więc pomyślałam sobie, że dla odmiany ja gdzieś wyjdę. W sobotę mam jedyny wolny wieczór, nie muszę pracować na poczcie. — Popatrzył z rozrzewnieniem na odrapany, sypiący się budynek. — Nie byłem tu od lat.

— Ani ja.

— Wchodzi pani?

— Nie. — Potrząsnęłam głową, jakby wejście do tego starego, pocziwego klubu było ostatnią rzeczą, o której myślałam. — Byłam z przyjaciółką w kinie i postanowiłam, że w drodze na parking przejdę się Mathew Street, zobaczę, jak tu teraz wygląda. Czasem bywam sentymentalna...

Miałam nadzieję, że nie spyta, na jakim filmie byłam.

— Dla mnie wygląda zupełnie tak samo jak dawniej.

— I dla mnie też...

Ulicą przebiegła gromada chłopaków, kopiających pustą puszkę. Weszli do klubu.

— Wyglądają jak dzieciaki — skonstatował Rob, uśmiechając się lekko. — Mój Boże, jak ten czas leci. Nagle poczułem się okropnie stary.

Zapadło krótkie milczenie. Zastanawiałam się gorączkowo, co powiedzieć. Ze muszę wracać do domu? Szkopuł w tym, że jakoś mi się nie chciało. Rob wcisnął ręce w kieszenie spodni i kołysał się na piętach.

— Jest dopiero wpół do dziewiątej. Czy miałyby pani ochotę na kawę?

Już chciałam odmówić, ale to pociągnęłoby za sobą kolejne kłamstwo, ponieważ naprawdę miałam ochotę pójść z nim na kawę. Właściwie nawet nie z nim, z Robem Finneganem, ale po prostu z kimś; nie chciałam być sama.

— Tak, bardzo chętnie — powiedziałam lekko. — Z przyjemnością napiję się kawy.

\* \* \*

— Nie mogłem się przyzwycząić do upałów w Ugandzie — opowiadał. — Wróciłbym już wcześniej, ale Gary naprawdę dobrze się tam czuł. Mieszkaliśmy w jednym z parterowych domów — było ich chyba ze dwadzieścia, wszystkie zajęte przez Brytyjczyków. Mieliliśmy wspólny basen i przedszkole, więc nie musiałem się martwić, kto się nim zajmie, kiedy byłem w pracy.

— A co przede wszystkim sprawiło, że zdecydował się pan tam pojechać? — spytałam.

— Po śmierci Jenny chciałem zmienić otoczenie i pomyślałem, że taki wyjazd też w jakiś sposób pomoże Gary'emu dać sobie radę w nowej sytuacji, bez matki. Miał dopiero dwa latka, ale strasznie za nią tęsknił. Problem w tym — dodał, wzruszając ramionami — że mamy niewiele krewnych. Rodzice Jenny nie żyją, podobnie jak mój ojciec. Matka wyszła ponownie za mąż, ale jakoś nigdy nie umiałem się dogadać z ojczymem.

— I Uganda rzeczywiście pomogła Gary'emu dojść do siebie?

— Tak, bardzo pomogła. Mnie zresztą też, pomimo upałów.

Odchyliłam się w tył na krzesło, żeby pozwolić kelnerce zabrać ze stolika pusty kubek, tak duży, że mieścił co najmniej ćwierć litra kawy. Rob zamówił kolejne dwa.

Kawiarnia w podziemiach znajdowała się zaledwie kilkaset metrów od klubu Cavern. Miała takie same chropowate ściany z cegły i pachniała stęchlizną; nazywała się Le Beats, co było anagramem słowa „beatles”.



Siedzieliśmy tam już prawie dwie godziny. Przyjemnie było rozmawiać z Robem. Mówiliśmy o muzyce i filmach, wspólnie wspominaliśmy Cavern sprzed lat, a potem opowiedział mi o swoim pobycie w Ugandzie.

— A jak Gary się czuje w szkole? — zapytał on z kolei.

— Jest trochę nieśmiały — przyznałam. — Chyba mu przeszkadza to, że przyszedł do szkoły dopiero na początku drugiego semestru, kiedy wszystkie dzieci już się poznały i pozawierały przyjaźnie.

— Kiedy go pytam, czy lubi szkołę, natychmiast robi się milczący. — Oczy mu się zamgliły. — Czy koledzy mu dokuczają?

— Nie w klasie. Obawiam się jednak, że nie bardzo wiem, co się dzieje na boisku... — wyjaśniłam, czując się jak winowajczyni. Na wszelki wypadek postanowiłam to sprawdzić już w poniedziałek. — Mam nadzieję, że się pan nie pogniewa, że o tym mówię — dodałam z wahaniem — ale czy mógłby pan poprosić swoją siostrę, żeby się z nim żegnała za bramą? Prowadzi go ze sobą aż pod drzwi klasy, całuje go na pożegnanie, a potem inni chłopcy mają go za maminsynka.

— Porozmawiam o tym z Bess — obiecał. — Chociaż osobiście nie widzę w tym nic złego.

— A kto go zabiera po szkole? — zapytałam.

— Ja, chyba że jestem zajęty, wtedy proszę o pomoc sąsiadkę.

— To musi być trudne tak wszystko zgrać — zauważyłam.

— Rzeczywiście, czasem strasznie trudne. — Przewrócił oczyma. — Nie sądzę, żeby Gary był asem sportu — zmienił nagle temat.

— Raczej nie...

— Nawet kiedy był malutki, Jenny mówiła, że ma dwie lewe nogi, o które stale się potykał. — Uśmiechnął się krzywo. — Nie lubię się chwalić, ale w szkole byłem mistrzem w piłce nożnej. W Ugandzie mianowali mnie nawet kapitanem policyjnej drużyny futbolowej. Brytyjczycy mieli ligę i nasz zespół zawsze był na samym szczycie listy. Dziękuję — zwrócił się do kelnerki, która przyniosła kawę.

— Chyba dziś nie zasnę — mruknęłam. — Tyle kawy!

Rob wsypał cukier do swojego kubka i zamieszał.

— Lubi pani pracę nauczycielki? — spytał, patrząc na mnie z uwagą.

— Bardzo! — wykrzyknęłam z zapałem. — Kocham dzieci, ale... — tu przerwałam.

— Ale co?

— Właściwie sama nie wiem. Myślę, że powinnam robić coś więcej, na przykład uczyć w jakimś kraju trzeciego świata. Czuję, że w ten sposób byłam bardziej spełniona.

„Ale czy naprawdę?”, zadałam sobie w duchu pytanie. Były takie kraje, gdzie brakowało nauczycieli i gdzie ich praca była wysoko ceniona. Czy czułabym się szczęśliwsza, gdybym uczyła ubogie dzieci w prowizorycznych klasach, a nawet na wolnym powietrzu?

— Poznałem w Ugandzie pewnego człowieka, który obiecał, że mi załatwi jakąś robotę w Kanadzie — rzekł Rob. — Ale nie miałbym nic przeciwko powrotowi do Afryki mimo tego piekielnego gorąca. Płacą tam o wiele lepiej niż tu, a poza tym nie trzeba się martwić o mieszkanie. Może jestem wyrachowany, ale najbardziej zależy mi na tym, żeby Gary jest szczęśliwy.

— Pomyślę o tym — rzekłam.

\* \* \*

Tej nocy śnił mi się ojciec. Często mi się śnił, kiedy się jednak budziłam, nigdy nie pamiętałam, jak wyglądał. Mogłam sobie wprawdzie przypomnieć jakieś elementy tego snu, ale nigdy jego twarz. Zawsze był odwrócony plecami albo stał za mną, albo był w innym pokoju... Jego niewyraźny głos dobiegał jakby z bardzo daleka.

Śniło mi się, że jestem w bungalowie przy Sefton Park, gdzie mieszkaliśmy, kiedy mojemu ojcu zdarzył się ten „wypadek”. Było późne popołudnie i chyba zima, bo za oknami było ciemno, chociaż jeszcze nikt się nie kładł spać.

Leżałam na brzuchu na podłodze w naszym salonie, przed wielkim piecem węglowym, i na dużej kartce papieru czarnym ołówkiem rysowałam jakąś twarz. Z kuchni słychać było, jak moi rodzice się kłócą, jak krzyczą na siebie. Nic z tego nie miało sensu. Chodziło o zrobienie czegoś z dachem. Ktoś kradł dachówki. Mama chciała, żeby tata je poprzywiązywał.

— Amy, co ty wygadujesz? Przecież dachówek nie da się przywiązać.

— Jutro kupię wstążkę. Wolisz różową czy niebieską?

Słuchałam ich przez parę sekund, po czym wróciłam do rysowania.

Ku mojemu zaskoczeniu na kartce papieru pojawiła się plama krwi. Kapnęła na usta twarzy, którą rysowałam. Podniosłam głowę, żeby zobaczyć, skąd kapie. Wydawało się, że znikąd, ale kiedy znów tam spojrzałam, na kartce była druga plama, większa od poprzedniej — spływała z oczu twarzy.

— A może wolałbyś żółtą wstążkę? — pytała mama.

— Już ci powiedziałem — dachówek się nie przywiązuje. Trzeba je przybijać gwoździami.

Na kartce było coraz więcej krwi. Usiadłam na piętach i patrzyłam z przestrawieniem na spadające znikąd czerwone plamy, aż cała kartka była przesiąknięta krwią. Zaczęłam krzyczeć.

— Czy to ty, Pearl? — zawołał mój ojciec.

— Boję się, tatusiu! — krzyczałam.

— Już do ciebie idę, moja kruszynko.

Ale nie przychodził. Słyszałam, jak biega po domu, otwiera wszystkie drzwi po kolei, wykrzykuje moje imię, ale do mojego pokoju nie wszedł. Z każdą upływającą minutą byłam coraz bardziej przerażona. Zrozumiałam, że ojciec nie może mnie znaleźć, ponieważ jesteśmy w dwóch różnych domach, co mnie jeszcze bardziej przeraziło, ponieważ słyszałam jego głos całkiem z bliska. W powietrzu rozległo się ledwie do słyszalne trzeszczenie, które sprawiło, że włosy stanęły mi dęba. Zadygotałam.

Kiedy się obudziłam, wciąż się trzęsłam ze strachu i czułam jakieś nienaturalne zimno. Sen pamiętałam zadziwiająco dokładnie, ze wszystkimi szczegółami. Mój Boże, całkiem zapomniałam, że ojciec mnie nazywał „kruszynką”. Zastanawiałam się, dlaczego.

Wtedy usłyszałam, że na dole leje się woda. To Marion albo Charles nastawiali pierwszy czajnik na poranną herbatę. Wstałam, rozsunałam zasłony i wydałam głębokie westchnienie ulgi.

Był ranek. Blade jeszcze światło słoneczne oświetlało dachy domów, niebo było wodniście szare. Ktoś już nawet wstał. Starszy mężczyzna, mieszkający parę domów dalej, kręcił się po oranżerii. Marion знаła jego żonę, która często mówiła, że mąż źle sypia.

Narzuciłam szlafrok i zeszłam na dół.

## Rozdział 6

PAŹDZIERNIK 1939

*Amy*

Po miesiącu pobytu w Surrey Barney dostał pięć dni urlopu. Przez większą część tych wolnych dni on i Amy prawie nie wychodzili z mieszkania. Po prostu siedzieli i rozmawiali, co będzie, kiedy wojna się skończy. Barney wolałby robić coś ciekawszego, niż tylko pracować u ojca. Sprawiał wrażenie przygnębionego i przyznał się żonie, że żałuje swojej nadgorliwości. Niepotrzebnie się tak pospieszył z tym pójściem na ochotnika.

— Tak strasznie za tobą tęsknię, Amy — mówił, patrząc na nią żałośnie. Nie cieszyło go nawet, że jego zwierzchnicy wysłali go na szkolenie oficerskie. — Tyle tylko, że mundur oficera jest wygodniejszy niż szeregowca, ale to wszystko — wzdychał.

Spytał, czy mogliby odwiedzić jej matkę. Poszli tam wieczorem i okazało się, że mama jest cała szczęśliwa — i to nie tylko z powodu ich nieoczekiwanej wizyty. Właśnie dostała pracę w fabryce, gdzie miała zarabiać astronomiczną sumę czterech funtów i dziesięciu szylingów tygodniowo. \*

— To praca na wielkiej maszynie, nazywa się tokarka — mówiła niepewnie. — W przyszłym tygodniu mam mieć rozmowę wstępną. To gdzieś niedaleko filharmonii.

Jacky i Biddy przestały na chwilę gapić się z uwielbieniem na szwagra, po czym oznajmiły zgodnym chórem, że chcą się zgłosić do kobiecej służby lotniczej WREN, ale Amy tylko wzruszyła ramionami i powiedziała, żeby się nie wygłupiały.

— Dopiero co wyszłyście z pieluch. Jesteście na to o wiele za smarkate.

\* \* \*

Amy już odwiedziła Charliego i Marion w ich nowym domu w Aintree, z nowoczesną kuchnią i pięknymi, obszernymi pokojami. Opisała je Barneyowi i zaczęli razem planować wystrój swojego własnego domu, w którym zamieszkają, kiedy ich życie będzie znowu normalne. Rysowali plany na papierze i robili listę kolorów ścian do każdego pokoju. Dyskutowali, jakie meble powinni kupić i jakie kwiaty posadzić w ogrodzie. Teraz pracowali już nad wykończeniem — starannie dobierali ozdoby, naczynia stołowe, sztuce, drzwi wejściowe...

— Chciałabym, żeby miały taką śliczną szybę witrażową — rozmarzyła się Amy.

— No, to będziesz miała ten swój witraż — łaskawie zgodził się Barney. — A nawet dwa, jeśli wolisz.

— Wystarczy jeden... i chciałabym, żeby je pokryć werniksem, nie malować... to znaczy drzwi oczywiście, nie szyby.

— Życzenie pani jest dla mnie rozkazem, madame. A gdzie on będzie, ten nasz dom? — spytał, patrząc na nią spod oka.

— Gdziekolwiek — odparła Amy po prostu. — Gdziekolwiek na świecie. Byle bym tylko mogła mieszkać w nim z tobą, cała reszta jest mi obojętna.

\* \* \*

Podobnie jak uprzednio, Barney odjechał w środku nocy, nie żegnając się z żoną.

Tym razem Amy tylko udawała, że śpi. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, wstała szybko i uklękła na podłodze przy oknie, oparta o parapet w salonie, gdzie zawsze oglądali razem zachód słońca. Ledwie słyszała jego kroki, kiedy schodził po schodach. A potem, w świetle księżyca, patrzyła na jego wysoką, samotną sylwetkę, przemykającą ulicą jak duch, aż wchłonęła go ciemność.

Po chwili usłyszała odgłos ruszającego samochodu. Czyżby zamówił taksówkę? — zastanowiła się. A może poprosił Harry'ego o podwiezienie?

Jakie to w końcu ma znaczenie? Jakie znaczenie ma cokolwiek? Teraz, kiedy odszedł...

\* \* \*

Amy już od tygodni kupowała codziennie „Liverpool Echo” i sprawdzała oferty pracy, kiedy się zorientowała, że jest w ciąży. Nie dostała miesiączki, co się jej czasem zdarzało, ale teraz sprawa była poważna — to była już druga spóźniona miesiączka. Usiadła z kalendarzem na kolanach i liczyła dni. Od ostatniego okresu minęło dziewięć tygodni i jeden dzień.

Jak się czuła na myśl, że będzie miała dziecko? Była zadowolona. Naprawdę zadowolona. Przypatrywała się sobie w dużym lustrze w garderobie. Brzuch miała wprawdzie płaski jak deska, ale cóż w tym dziwnego, skoro minęło dopiero nieco ponad dwa miesiące. Jeszcze trochę, a będzie wyglądać jak balon...

— Napiszę o tym Barneyowi — powiedziała głośno. — Tak, to dobry pomysł. — Wzięła blok papieru listowego, ale zanim zaczęła pisać, zmieniła zdanie. Nic mu nie powie, dopóki wszystko się nie potwierdzi.

Kobiety w Bootleg, dzielnicy mamy, chodziły zwykle do pani O'Dwyer z Coral Street ze swoimi „babskimi sprawami”, Amy była jednak przekonana, że Barney wolałby, żeby wybrała się do lekarza z prawdziwego zdarzenia. Kiedyś nawet powiedział, jak się nazywa ten doktor. Był przyjacielem jego rodziny; Amy nie mogła sobie jak na złość przypomnieć jego nazwiska. A to pech.

Odłożyła blok listowy i uklękła przy oknie, wpatrując się z napięciem w ulicę, co często robiła, odkąd Barney po raz drugi wyjechał. Nie chciała przegapić chwili, gdyby przypadkiem całkiem niespodziewanie i bez zapowiedzi zjawił się w domu.

Czy starczy jej zimnej krwi, żeby pójść jakby nigdy nic do domu teściów i spytać panią Pattersdh o nazwisko lekarza rodzinnego? W końcu ta kobieta jest jej teściową. A jej syn był ojcem dziecka, które prawie na pewno nosiła pod sercem Amy. On — a może ona — będzie jej pierwszym wnuczęciem. Z pewnością ta kobieta jej nie odpuści. Po usłyszeniu takiej nowiny! To dobra okazja pokazać, że Barney przesadzał, mówiąc o swojej matce. Amy rozumiała, że teściowa nie lubi katolików, w końcu miała do tego prawo; wielu znajomych Amy z kolei nie znosiło protestantów. Z pewnością jednak te głupie przesady się nie odnosiły do jej wnuków, członków jej własnej rodziny!

— Nie, dzisiaj tam nie pójde — oświadczyła Amy głośno. — Dam jej jeszcze sześć dni, a kiedy opóźnienie dojdzie do dziesięciu tygodni, wtedy się do niej wybiorę.

Postanowiła też poczekać z poinformowaniem o ciąży swojej własnej matki, aż będzie mieć całkowitą pewność, że spodziewa się dziecka. Mama na pewno bardzo się przejmie, a Amy nie chciała jej

rozczarować, gdyby koniec końców okazało się, że to fałszywy alarm.

\* \* \*

Sześć dni później leżała w kąpielni i rysowała palcem kółka na brzuchu. Dzisiaj nie wyglądał już tak płasko. Pośrodku był mały wzgórek, a Amy sobie wyobraziła, że tam wewnątrz leży zwinięty w kłębuszek maleńki, śliczny dzidzius...

Może ma nawet przytulone do ciała maleńkie rączki i używa ich jako poduszki albo ssie maciupęńki kciuk?

— Witaj, maluszk — szepnęła. Wyobraziła sobie, że dziecko też się do niej uśmiecha i szeptem jej odpowiada: „Cześć, mam!”.

Zaraz po kąpieli pójdzie się zobaczyć z panią Patterson.

Wyszła ostrożnie z wanny, wytarła się ręcznikiem, a następnie rozejrzała w garderobie za czymś ładnym do włożenia. W końcu wybrała błękitną suknię, w której Barney najbardziej ją lubił, oraz krótki żakiecik w kolorze złamanej bieli.

Barney woził ją kiedyś do Calderstones, pokazywał tę niebywale wytworną ulicę i dom, w którym mieszkała jego rodzina. Teraz jednak Amy nie miała pojęcia, jak tam dotrzeć. Wiedziała tylko, że na pewno nie dojedzie tam tramwajem. Nie pozostawało jej zatem nic innego, jak tylko pojechać taksówką, co było jedną z tych rzeczy, których Amy — podobnie, jak noszenia jedwabnych pończoch — nie mogła sobie kiedyś nawet wyobrazić. Zatelefonowała i zamówiła taksówkę za dziesięć minut. Czekaając, zrobiła sobie filiżankę mocnej

herbaty, żeby uspokoić nerwy.

\* \* \*

Niecałe pół godziny później Amy wysiadła z taksówki przed domem Pattersonów. Wyglądał tak, jakby miał sto lat z okładem, ale zaraz sobie przypomniała, jak Barney jej mówił, że ten dom zbudowano tuż przed Wielką Wojną, tyle że używano starych cegieł i belek z oryginalnego, zrujnowanego dworu z epoki Tudorów, znajdującego się w Chester. Człowiek, od którego Pattersonowie kupili dom, był przemysłowcem uhonorowanym tytułem rycerskim, który po sprzedaży posiadłości przeniósł się do Londynu.

Amy podeszła do wielkich drzwi frontowych — były podwójne, w kształcie łuku. Pociągnęła za sznur biegnący do wiszącego z boku dzwonka. Kiedy taksówka odjeżdżała, Amy przebiegło przez głowę, że może powinna była poprosić kierowcę, żeby na nią zaczekał, dopóki się nie upewni, czy ktoś jest w domu. Bądź co bądź nie zapowiadała przecież swojej wizyty.

Jakaś kobieta otworzyła jedną połowę drzwi. Była pulchna i miała pogodną twarz, a na sobie ciemnozielony kitel.

— Pani Patterson? — spytała Amy z nadzieją w głosie.

— Nie, kotku, pani jest na górze. Zaraz ją zawołam, dobrze? Kogo mam zapowiedzieć?

— Amy. Amy Patterson. Jestem jej synową.

Uśmiech zniknął w okamgnieniu z twarzy kobiety. Po chwili wahania, jakby nie była pewna, co ma zrobić, zaprosiła Amy do środka i poleciła, by zaczekała w holu. Sama poszła na górę, z jakiegoś powodu nie wołając swojej chlebobawczyni.

Za minutę już była z powrotem.

— Pani Patterson zejdzcie do pani za momencik.

Obrzuciła Amy spojrzeniem, które trudno było zinterpretować — ni to współczującym, ni to lekko kpiącym — i zniknęła na tyłach domu. Gdzieś rozległ się odgłos zamykanych drzwi, po czym nastąpiła cisza, trwająca irytująco długo, przerywana tylko głośnym tykaniem starego zegara w holu.

Amy poczuła nagle przeszywający ból w brzuchu, taki sam, który zawsze zwiastował pojawienie się lada chwila obfitej miesiączki. Przeszepowywała niepewnie z nogi na nogę. Oprócz tykającego zegara w holu był jeszcze mały stolik z telefonem i oszklona serwantka, pełna porcelanowych figurynek; nie było tutaj jednak niczego, na czym można by usiąść. A ona pilnie musiała to zrobić. W przeciwnym razie gotowa była jeszcze rymsnąć jak długa...

Rozległ się inny dźwięk, jakby ktoś stapał po skrzypiących schodach. Amy podniosła wzrok i zobaczyła kobietę, która stała u szczytu schodów i wpatrywała się w nią przenikliwie.

„Jak długo już tam stoi?“, zadała sobie w duchu pytanie.

Kobieta musiała się zorientować że Amy ją zobaczyła, ponieważ zaczęła powoli schodzić na dół, ściskając poręcz tak mocno, że aż zbieleły jej kostki palców. Amy odniosła wrażenie, że tej kobiecie wcale nie jest potrzebne trzymanie się poręczy, ale w ten sposób opanowuje wewnętrzne napięcie. A może wściekłość...

Już wiedziała, że nie powinna tu była przychodzić. Popełniła naprawdę straszny błąd.

Nie próbowała nawet myśleć, jak może wyglądać matka Barneya, nie spodziewała się jednak, że będzie taka młoda i piękna. Jej teściowa miała na sobie długi, zapinany z przodu szlafrok z czarnego aksamitu i czarne aksamitne klapki na wysokich obcasach z klamrami błyszczącymi jak brylanty. Jej przepyszne włosy — miedzianorude i bardzo długie — spadały na wąskie ramiona naturalnymi falami. Ze swoją doskonałą figurą i nieskazitelną cerą pani Patterson mogłaby być gwiazdą filmową, gdyby nie wyraz jej ciemnozielonych oczu. Kiedy się zbliżyła, Amy dostrzegła w tych oczach jakiś chorobliwy blask.



— Taaak? — wycedziła dama, kiedy zeszła ze schodów. W tym krótkim słowie udało się jej zawrzeć mnóstwo treści. Amy już nie miała żadnych wątpliwości, że w domu swojej teściowej nie jest mile widzianym gościem. Albo jeszcze gorzej!

Była jednak zdecydowana nie dać się zastraszyć.

— Jestem żoną Barneya — powiedziała, odrzucając hardo głowę. — Przyszłam pani powiedzieć, że spodziewam się dziecka. Nie zostanę długo. Widzę, że nie jestem tu mile widziana. Do widzenia.

Otworzyła drzwi i już miała wyjść, kiedy na jej ramieniu spoczęła pięknie wymankiurowana dłoń.

— Masz rację, nikt cię tu nie chce. Nigdy więcej nie pokazuj się w tym domu. Mój syn oszalał, żeniąc się z tobą. Jak w ogóle może być pewny, że dziecko jest jego? Na-  
iwny. Przecież może być każdego. — Chrapliwy głos z wyraźnym irlandzkim akcentem rozbrzmiał tuż przy uchu Amy. — Ty katolicka kurwo! — syknęła pani Patterson.

Amy wybiegła z tego przekłętego po stokroć domu. Ta kobieta naprawdę była wariatką.

Zataczając się jak pijana, Amy szła wysypaną żwirem ścieżką do wyjścia, przeklinając w duchu, że pozwoliła taksówce odjechać.

Droga do końca ulicy była długa; Amy modliła się w duchu, żeby jak najszybciej znaleźć tramwaj czy autobus, który ją odwiezie do domu. Ból w brzuchu był teraz silniejszy. Gdyby tylko była w Bootle, w miejscu, które знаła jak własną kieszeń, a nie na południu miasta, w całkiem obcej dzielnicy!

Dotarła wreszcie do ulicy o nazwie Menlove Avenue, po której jeździły tramwaje, i spytała jakąś kobietę, jak dojechać do Newsham Park.

— Tramwajem, kotku. Dojedziesz do Lodge Lane i tam poprosisz kogoś, żeby cię wsadził do tego, co jedzie na Sheil Road — powiedziała kobieta. — Nie pamiętam, który to numer. Czy ty się dobrze czujesz, dziecko? — dodała zaniepokojona. — Nie wyglądasz najlepiej.

— Po prostu muszę gdzieś usiąść i odpocząć.

Na domiar złego zaczynała marznąć. Jesienny dzień robił się naprawdę zimny. Jak tylko dotrze do domu, napije się gorącej herbaty i wskoczy pod kołdrę. W tej chwili nie pragnęła niczego innego.

Nadjechał tramwaj i Amy wsiadła.

Zbierało się jej na płacz. Tak bardzo potrzebowała teraz swojej mamy... Ale w tym tygodniu matka pracowała na popołudniowej zmianie w fabryce i Amy wiedziała, że nie będzie jej w domu do jedenastej w nocy. Albo jeszcze dłużej.

Ale jeszcze bardziej potrzebna jej była Cathy. Tak, tylko jej jednej mogła się zwierzyć z rzeczy, których nie potrafiłaby powiedzieć swojej matce. Mama w żadnym razie nie może się dowiedzieć o tym, jak potraktowała jej córkę pani Patterson, a z Cathy mogła nawet na ten temat pożartować, tak że wszystko skończyłoby się śmiechem.

Amy uświadomiła sobie naraz, że nie widziała swojej przyjaciółki od początku wojny. Gdzieś w jej mieszkaniu leżała kremowa bluzka z koronki, którą kupiła w Londynie i dotąd nie miała okazji wręczyć jej przyjaciółce.

Konduktor zawołał „Lodge Lane!”, Amy wysiadła i wskoczyła do innego tramwaju, który jechał na Sheil Road przez Newsham Park.

Kiedy już wróci do w domu, napije się herbaty i położy się do łóżka, a potem wypłacze cały swój żal z głową schowaną pod kołdrą, tak żeby jej nikt nie słyszał. Miała nadzieję, że Barney nigdy się nie dowie, że była u jego matki, ani tego, jak ta „dama z wyższych sfer” skandalicznie się zachowała. Z pewnością by nie powiedział „Kochanie, sama sobie na to zasłużyłaś”, ale mógłby tak pomyśleć.

Wreszcie otwierała drzwi do domu, modląc się, żeby tylko kapitan Kirkby-Greene nie wychynął broń Boże ze swojego mieszkania i nie chciał ucinać sobie z nią pogawędki. Na szczęście musiało go nie być w domu, tak więc Amy zdołała bez przeszkód dotrzeć do swojego mieszkania, chociaż szła na górę coraz wolniej i wolniej, a kiedy już była na ostatniej kondygnacji schodów, ciężko jej było nawet podnosić stopy.

W głębi duszy przeczuwała, że może się wydarzyć coś okropnego, ale starała się o tym nie myśleć.

Kiedy w końcu udało się jej dowlec na trzęsących się nogach do progu mieszkania, niemal padła na skórzaną kanapkę, oparła głowę na ramieniu i natychmiast zasnęła.

Śnił się jej rudy kot z zielonymi oczami, który ją drapał. Kot głośno syczał, a jego wijący się gniewnie ogon okręcał się wokół jej ciała. Puszysta łapka wystrzeliła do przodu i drapnęła ją w nogę, drąc pończochy i pozostawiając krwawe ślady. Potem wskoczył jej na kolana i zaczął drapać po rękach. Bolesne draśnięcia — pamiątka po jego ostrych pazurach — okropnie piekły i sączyła się z nich krew.

Rozwścieczony kocur próbował dosięgnąć jej twarzy i oczu, kiedy Amy obudziła się, złana zimnym potem.

Jednak to nie kot ją zbudził, ale ból w brzuchu, straszny, rozdzierający ból, skręcający po prostu wnętrzności. Krzyknęła i próbowała wstać, ale zamiast tego ześlizgnęła się z kanapy na podłogę, gdzie na szczęście zemdlała.

\* \* \*

— Amy, Amy!

Potrząsnęła głową. Ktoś klepał ją lekko po policzkach; nie bolało jej to, ale było denerwujące.

— Amy, otwórz oczy, no już, bądź grzeczną dziewczynką! — Kolejne klepnięcia, tym razem mocniejsze.

Amy otworzyła oczy i zobaczyła jakiegoś obcego mężczyznę, który się nad nią pochylał. Właśnie zabierał się do kolejnego klepnięcia. Leżała na łóżku, a on siedział przy niej.

— No, wreszcie przyszedłeś do siebie. Chwała Bogu — powiedział dobrodusznie. — Witamy wśród żywych!

— Kim pan jest? — zachrypiała. Był potężnie zbudowany, z rumianą twarzą, dobrymi oczami i białą jak śnieg czupryną.

Amy westchnęła cicho. Była raczej zaskoczona aniżeli wystraszona.

— Jestem doktor Sheard. Jak się czujesz, dziecinko?

— Chyba dobrze. — Ból zniknął, a ona czuła się dziwnie pusta w środku, jakby całe jej ciało przepuszczono przez wyżymaczkę.

— Obawiam się, że straciłaś dziecko — powiedział łagodnie. — Właśnie miałaś poronienie.

Łzy trysnęły jej z oczu i płynęły po policzkach tak szybko, że musiały chyba tylko czekać tuż pod powiekami, żeby się polać.

— To był chłopiec... czy dziewczynka?

W głębi duszy podejrzewała, że straci to dziecko.

— Było jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić, kochanie. — Delikatnie ścisnął jej ramię.

Próbowała się unieść do pozycji siedzącej, ale nie starczyło jej sił. Strasznie była słaba.

— Jak się pan tutaj dostał? To znaczy, skąd pan wiedział, że potrzebuję lekarza?

Pamiętała swój krzyk. Może ktoś z sąsiadów też go usłyszał i wezwał lekarza? A co się stało z dzieckiem? Uznała, że nawet nie chce tego wiedzieć.

— Leo cię znalazł — wyjaśnił doktor Sheard. — Zadzwoił do mnie, a ja natychmiast przyjechałem.

— Leo? — Nie znała nikogo o takim imieniu.

— Leo Patterson. Ojciec Barneya.

Czyżby tu przyszedł, żeby powtórzyć żądanie swojej żony? Chciał ją ostrzec, by jej noga nigdy więcej nie powstała w ich domu?

— Gdzie on teraz jest?

— W drugim pokoju. Robi coś do picia. — Doktor podniósł głowę i krzyknął: — Hej, stary! Czy ta herbata jest już gotowa?

— Zaraz, za minutkę.

W każdym razie pan Patterson miał miły głos w przeciwieństwie do swojej jędzowatej żony. Poza tym jego irlandzki akcent nie był tak wyraźny jak jej.

— Dla mnie nie szykuj, nie mogę dłużej zostać — mówił dalej lekarz. — Muszę wracać do domu, zjeść podwieczorek i przygotować się do wieczornej operacji. Ale, zanim pójdę, chciałbym, żebyś to zażyła. — powiedział, zwracając się do Amy. Pomógł jej usiąść i wziął dwie tabletki ze stolika przy łóżku. — Otwórz usta. — Kiedy to zrobiła, położył jej na języku dwie tabletki, po czym wręczył szklanekę wody. — Jak tam twój brzuszek?

— Zdrętwiały — odparła.

— Później może cię zacząć trochę boleć. Zostawiłem ci na wszelki wypadek jeszcze dwie tabletki na stole. Weź je przed snem.

— Dziękuję...

Wstał, podniósł zniszczoną torbę z czarnej skóry i skierował się do drzwi, przy których jeszcze się zatrzymał.

— Jutro powinnaś być już zdrowa jak ryba, ale gdyby coś było nie w porządku, dzwoń do mnie jak w dym. Tu masz moją wizytówkę. — Wrócił do pokoju i położył białą karteczkę przy tabletkach. — Bardzo mi przykro z powodu dziecka, kochanie,

ale jesteś młoda i zdrowa... I masz naprawdę mnóstwo czasu, żeby powiększyć rodzinę, kiedy Barney już wróci do domu. Do zobaczenia!

— Do widzenia, doktorze — wymamrotała.

— Już wychodzisz, Bob? — spytał sympatyczny głos.

„Jaki podobny do głosu Barneya”, pomyślała.

— Tak. Pacjentka będzie zdrowa, musi się tylko dobrze wyspać. Spróbuj ją zatrzymać w łóżku, jeżeli tylko ci się uda. Cześć, stary. Do zobaczenia.

Frontowe drzwi zamknęły się w tej samej chwili, kiedy otworzyły się drzwi do sypialni i wszedł Leo Patterson.

Przedtem się nie spodziewała, że matka Barneya będzie wyglądać tak młodo, a teraz nie mogła się nadziwić, widząc jego ojca. Cóż za uderzające podobieństwo! Leo był starszą wersją swojego najmłodszego syna. Ten sam wzrost, te same ciemnobrązowe włosy, może tylko trochę krócej obcięte... I te same piękne, piwne oczy. Rysy twarzy miał wprawdzie trochę twardsze — i drobne zmarszczki wokół oczu, ale to tylko wzbudziło u Amy szczególne uczucie — jakby minęło już ćwierć wieku i teraz oglądała swojego męża takim, jaki będzie w przyszłości.

— Witaj — powiedział z ciepłym uśmiechem. — Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Domyślasz się, dlaczego do tego doszło?

Ten uśmiech był dla niej prawdziwą ulgą. W każdym razie próbował być dla niej miły.

— Nie wiem — powiedziała słabym głosem.

Gniewnie zmarszczył brwi.

— Czy to wina Elizabeth? Zrobiła ci jakąś przykrość?

A więc matka Barneya miała na imię Elizabeth. Jedno z ulubionych imion Amy.

— Tak, sprawiła mi przykrość. Wielką przykrość. Każdy by się przejął, gdyby usłyszał to, co powiedziała. Ale zaczęło mnie boleć już wcześniej. Zanim się spotkałam z pańską żoną.

Z pewnością jednak by pomogło, gdyby ktoś jej pozwolił usiąść w tym przeklętym holu. I gdyby zaraz zawołano doktora. Tak, wtedy istniałaby szansa ocalenia dziecka.

— To dobrze... no nie, właściwie niedobrze. — Lekko się zarumienił. Rzeczywiście to nie było zbyt taktowne. — W każdym razie wiesz, co mam na myśli. Elizabeth

nigdy by sobie tego nie wybaczyła, gdyby wiedziała, że jest odpowiedzialna za stratę twojego dziecka, naszego pierwszego wnuka.

Amy nie wierzyła, że Elizabeth w ogóle by się tym przejęła.

— Czy ty się zdrowo odżywasz? — spojrzał na nią z niepokojem. Wyglądasz na strasznie wychudzoną.

Nie, nie odżywiała się zdrowo. Robiła to, co wtedy, kiedy Barney pierwszy raz pojechał na wojnę. Nic nie jadła poza kanapkami z dżemem, które zalewała litrami herbaty, leżąc w łóżku i słuchając muzyki.

— Jem naprawdę dobrze — skłamała.

Wątpliwe, żeby zbyt duża ilość kanapek z dżemem spowodowała poronienie. Jej oczy znów napełniły się łzami, tak szybko jak przedtem, kiedy był tutaj doktor. Straciła maleńką istotkę, która tak spokojnie spała w jej brzuchu.

— Proszę nie mówić Barneyowi o dziecku, dobrze? — poprosiła, pociągając nosem. — Chciałam mu sama powiedzieć, kiedy będę na pewno wiedziała. — Z trudem przełknęła ślinę, nie chcąc, żeby ojciec Barneya zobaczył, że płacze.

— Bez obaw, nic mu o tym nie powiem, Amy. Spójrz, zrobiłem herbatę. Nasypać ci cukru?

— Tak, bardzo proszę. Dwie łyżeczki. — Mogłaby się założyć, że ten mężczyzna nieczęsto robił komuś herbatę. Od tego miał służbę...

— Na twoim miejscu spróbowałbym się przyzwyczaić do herbaty bez cukru. Mówią, że już niedługo cukier będzie na kartki.

Zniknął za drzwiami. Dopiero wtedy Amy się zorientowała, że ma na sobie koszulę nocną. Kto ją rozebrał? Modliła się, żeby to był doktor Sheard, a nie Leo. Poza tym ktoś ją zaniósł do sypialni. Czy w salonie nadal panował bałagan? Krew na dywanie... O Boże, lepiej o tym nie myśleć. Zbyt żenujące, żeby go prosić o wyjaśnienie...

— Jak pan tu wszedł? — zapytała, kiedy już wrócił z dwiema filiżankami herbaty na tacy.

Jak ma się do niego zwracać? „Leo” czy „panie Patterson”...

— Zostawiłaś uchylone drzwi.

Postawił tacę na podłodze, podał jej jedną z filiżanek, a sam usiadł na małym haftowanym podnóżku przy toaletce, gdzie Barney często siadywał, kiedy patrzył, jak Amy się ubiera.

— Pani Aspell, nasza gospodyni, zatelefonowała do mnie do pracy, powiedziała, że do nas przysłała i powtórzyła mi, co ci powiedziała Elizabeth. Pomyślała, że powinienem o tym wiedzieć. I bardzo dobrze. Zaraz tu przybiegłem. Bałem się, że uznasz, że jestem taki sam jak Elizabeth. — Wzruszył ramionami i spojrzał na nią z uwagą. — Pewnie pomyślałaś, że jest wariatką... ale ona ma naprawdę ważki powód, żeby nienawidzić katolików. Miała piętnaście lat, kiedy samochód, który prowadziła jej matka, wyleciał w powietrze. To była bomba tych szaleńców fenianów<sup>\*3</sup>... Młodszy brat Elizabeth, Piers, siedział na tylnym siedzeniu. Oboje zginęli na miejscu. Zresztą przez omyłkę, jak się okazało później. Prawdziwym celem był ojciec Elizabeth, który należał do Królewskiej Irlandzkiej Policji Porządkowej.

— Jakie to wszystko jest potwornie smutne, jakie niesprawiedliwe — stwierdziła Amy — ale ona nie miała przecież powodu, żeby nienawidzić mnie. Co ja jej takiego zrobiłam, na miły Bóg? To nie ja wysadziłam ten samochód w powietrze. To po prostu zwykła głupota nienawidzić z tego powodu wszystkich katolików!

Zamrugnął oczami. Jej otwartość chyba go zaskoczyła.

— Jeżeli nie straciłaś w ten sposób matki i brata, nie wiesz, jak się można czuć w takiej sytuacji.

Amy nie była jednak w nastroju do prowadzenia eleganckiej konwersacji i dobierania słów. Tak czy owak swoją teściową, tę wstrętną jędzę, już skreśliła.

— Wiem jedno — nigdy, przenigdy nie odezwałabym się do nikogo tak, jak pańska żona się do mnie odezwała — oświadczyła, po czym szybko zmieniła temat. — Dziękuję za pomoc.

— Ależ... — zaczął odrobinę speszony — już dawno powinniśmy byli się poznać, nie sądzisz? Oczywiście wolałbym, żeby to się stało w innych okolicznościach. Wiele razy myślałem o tym, żeby tu przyjść i cię zobaczyć, ale... — umilkł na chwilę. — Cóż, mam nadzieję, że zrozumiesz, że to było dla mnie trochę trudne. Odkładałem tę wizytę z dnia na dzień.

Amy pomyślała, że najwidoczniej jego cudowna Elizabeth nie chciała się na to zgodzić.

---

<sup>3\*</sup> Fenianie — bractwo republikańskie, które w XIX wieku walczyło o niepodległość Irlandii.

— Czy powie pan żonie, że chciał poznać swoją synową i dlatego tu się zjawił? — spytała.

— Nie! — rzucił gwałtownie.

Już miała mu powiedzieć, żeby czym prędzej się wynosił albo mu wydrze serce własnymi rękami, ale ugryzła się w język. Nie było sensu go obrażać. W każdym razie nie wyglądał na człowieka, który by pozwalał kobietom na głupstwa — nawet własnej żonie. Prawdopodobnie uznał całą tę sytuację za wyjątkowo trudną i przykrą, dlatego nie chciał jej ranić ani wszczynać kłótni.

— Niedługo znów tu przyjdę — oświadczył stanowczo, wstając — ponieważ nie podoba mi się pomysł, żebyś mieszkała sama. Powiedz, co by było, gdybym tu dziś nie przyszedł? Co by się z tobą stało?

— To proste, musiałabym sobie sama poradzić i zadzwoniłabym po pogotowie. — Była oburzona, że traktuje ją jak głupiutkie, nieporadne dziewczątko, które potrzebuje opieki.

— Chciałbym się tobą zająć... — zaczął ostrożnie — dla dobra Barneya. Bądź co bądź, jesteś moją synową. Szkoda, że nie możesz się przeprowadzić do naszego domu.

Amy aż się zatrzęsała na samą myśl o mieszkaniu pod jednym dachem z Elizabeth Patterson.

— Tak, to byłoby bardzo miłe...

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Był tak niesłychanie podobny do Barneya, że serce jej na chwilę zamarło.

— Powiedziałaś to z sarkazmem czy przez grzeczność? — spytał.

— Przez grzeczność — odparła.

\* \* \*

Amy została sama. Nie mogła się pogodzić z tym, co się stało. Jeszcze dziś rano jej dziecko żyło, a teraz było już martwe. Nie miała nawet czasu się zastanowić nad jego imieniem ani nad tym, gdzie będzie mieszkała, kiedy dziecko już się urodzi, ponieważ jakoś nie mogła sobie wyobrazić, jak taszczy wózek z maluchem aż na czwarte piętro! \*

Osunęła się na łóżko. Poczowała się nagle strasznie zmęczona. Natychmiast zasnęła, ledwie przyłożyła głowę do poduszki. Kiedy się obudziła, było już rano i świeciło



słońce, a na drzewach w Newsham Park szebiotały ptaki. Zapomniała połknąć tabletki, które jej zostawił doktor Sheard.

Przypomniała sobie, jak wczoraj było zimno i zdała sobie nagle sprawę, że właściwie nie ma żadnego naprawdę ciepłego płaszcza; pobrali się z Barneyem w czerwcu i jak dotąd nie było potrzeby kupowania zimowej garderoby.

Postanowiła, że później pójdzie do miasta i zrobi zakupy, ale już teraz chciała przede wszystkim odwiedzić mamę w Bootle, chociaż nie miała najmniejszego zamiaru mówić jej o dziecku, wiedząc, że matka bardzo się zmartwi. Aha, i weźmie tę bluzkę dla Cathy i zostawi ją u pani Burns, razem z prośbą do Cathy, żeby ją koniecznie odwiedziła, kiedy tylko będzie miała czas.

Kina nadal były czynne; może pójdą razem na jakiś film, jak to dawniej bywało?

\* \* \*

Ku zdumieniu Amy, kiedy zapukała do drzwi domu pani Burns przy Amethyst Street, otworzyła jej Cathy.

— Witaj, Amy — powiedziała z uśmiechem. — Wejdz. Właśnie się kończyłam pakować.

— Pakować? — Amy zrobiła wielkie oczy. Tego się nie spodziewała.

Cathy wprowadziła ją do saloniku, gdzie na kominku płonął ogień, a na jego osłonie suszyły się pończochy i majtki, zaczepione na drucianej siatce. W pokoju cuchnęło jak diabli. Dziewczęta usiadły na fotelach po obu stronach kominka.

Cathy wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie.

— Zaciągnęłam się do Pomocniczej Służby Terytorialnej — ATS. Twoja mama nic ci nie mówiła? Myślałam, że przyszedł ci się ze mną pożegnać. Jutro z samego rana jadę do Yorkshire, do miejscowości Keighley.

— Obcięłaś włosy! — Amy była pod wrażeniem. Długie, proste włosy Cathy teraz kończyły się tuż za uszami. — Dobrze ci z grzywką — pochwaliła przyjaciółkę. — Powiększa ci oczy.

— Dzięki. — Cathy potrząsnęła ciemną czuprynką. — Nie podobają mi się te fryzury z wałkiem jak kiełbaska nad czołem, sterczącym spod żołnierskiej czapki. Strasznie są teraz modne. Napijemy się herbaty?

— Tak, chętnie. A co będziesz robiła w tym ATS? — zawołała Amy, kiedy Cathy zniknęła w kuchni.

— Mam być zwykłą urzędniczką, żadnego tam gania z karabinem, ale to i tak dużo ciekawsze zajęcie niż praca u Woolwortha. Mogą mnie nawet wysłać za granicę. Naprawdę bardzo bym tego chciała.

— Spodziewam się! — powiedziała Amy z zazdrością.

— A ty? Co robisz dla wojny? — Cathy stała w drzwiach kuchni, czekając, aż woda się zagotuje. — Chyba umrzesz z nudów, siedząc sama jak palec w tym pustym mieszkaniu... — spojrzała spod oka na przyjaciółkę. — Chociaż twoja mama mówi, że jest naprawdę ładne.

— Rozglądam się za czymś — powiedziała ogólnikowo Amy. — Pewnie, że chętnie zaciągnęłabym się do wojska, tak samo jak ty, tyle że wtedy nie mogłabym w ogóle widywać Barneya.

— Zawsze możesz pracować w fabryce, jak twoja mama — stwierdziła rzeczowo Cathy. — Ktoś w pracy mi mówił, że niedługo wszystkie samotne kobiety, a także bezdzietne mężatki będą musiały pracować, czy im się to podoba, czy nie. Na twoim miejscu, Amy, znalazłabym sobie jak najszybciej jakieś sensowne zajęcie, póki jeszcze możesz sama wybierać, inaczej gotowi cię jeszcze posłać w jakieś naprawdę koszmarnie miejsce.

Chyba jej słowa „bezdzietne mężatki” sprawiły, że Amy wybuchnęła płaczem.

Cathy spojrzała na nią przestraszona.

— Co ci jest, kochanie? — Uklękła przy niej, na co Amy rozszlochała się jeszcze bardziej.

— Straciłam dziecko... wczoraj — łkała. — Byłam w dziesiątym tygodniu ciąży. I poszłam się spotkać z matką Barneya... i była dla mnie taka okropna, taka nieludzka, że aż mnie ciarki przechodziły. Nazwała mnie... nazwała „katolicką kurwą”.

— Co takiego? — jęknęła Cathy, łapiąc się za głowę. — Jezusie Maryjo, Amy, do jakiej ty weszłaś rodziny? To przecież wariatka! A do tego chamka.

— Tak, tak, na pewno, ale tata Barneya jest naprawdę sympatyczny. Nie mogę pojąć, dlaczego się ożenił z taką wredną małpą! Taki wspaniały mężczyzna, taki niebywale przystojny. No i Harry też jest w porządku, ale o tym chyba już sama wiesz.

— Nie powinnaś ganiać po mieście, jeśli wczoraj miałaś poronienie! — skarciła ją Cathy. — Kiedy ci otwierałam, pomyślałam nawet, że wyglądasz trochę blade. I... naprawdę nie masz czegoś cieplejszego niż to?

Amy była ubrana w biały zakiet, pod którym miała sukienkę z trochę grubszego materiału.

— Nie mam zimowego płaszcza. Ale zamierzam go sobie kupić jeszcze dziś po południu. Poza tym czuję się całkiem dobrze, Cathy, z ręką na sercu — uśmiechnęła się do przyjaciółki. Prawdę powiedziawszy, wcale nie czuła się dobrze. Kolana wciąż miała jak z waty, szum w uszach i zbierało się jej na wymioty.

— A co z tym twoim ciemnozielonym płaszczem? — zapytała Cathy. — Według mnie jest naprawdę w porządku. Pamiętam, że kupiłaś go na Paddy's Market, a ja kupowałam sobie wtedy granatową spódniczkę. Kiedy cię w nim ostatni raz widziałam, był w doskonałym stanie.

— Nadal jest u mnie w domu... to znaczy u mojej mamy. — Zapomniała na moment, że dom przy Agatę Street już nie jest jej domem. — Kiedy się przeprowadzałam, zostawiłam tam większość swoich rzeczy — wyjaśniła. — Chyba masz rację, ten płaszcz na pewno mi wystarczy, zanim kupię sobie nowy. — Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że tak naprawdę nie ma dzisiaj ochoty na wędrowki po sklepach. Lepiej będzie przeleżeć to popołudnie w łóżku. — Zaraz idę do mamy, więc przy okazji go zabiorę. W tym tygodniu ma popołudniową zmianę. Chyba wybrała się z samego rana na zakupy, bo kiedy tam przyszłam, nie było jej w domu.

— A więc to jedyny powód, dla którego przyszłaś się ze mną zobaczyć? Dlatego że nie zastałaś w domu swojej mamy? — Cathy uśmiechnęła się ironicznie. — Po prostu chciałaś się gdzieś schronić przed zimnem, zanim mama wróci. Właściwie mogłam się tego spodziewać...

— Mama nigdy nie zamyka tylnych drzwi. Już zapomniałaś? — Amy nie wiedziała, czy się obrazić i z miejsca sobie pójść, czy wrzasnąć na przyjaciółkę. — Gdybym chciała, mogłabym spokojnie na nią poczekać w środku. Poza tym wcale nie wiedziałam, że cię zastanę w domu. Myślałam, że jesteś w pracy i chciałam to zostawić twojej mamie... dla ciebie.

— Zostawić? Co?

Amy wydobyła torbę od Selfridge'a, w której była bluzka.

— Kupiłam ją w Londynie, ale ciągle zapomniałam ci ją przynieść. Nie przypuszczam, żeby ci się to przydało teraz, kiedy będziesz w wojsku.

— Och, Amy, jest naprawdę cudowna! — Cathy przyłożyła do siebie bluzkę. — No pewnie, że ją zabiorę. Przecież nie muszę przez cały czas chodzić w mundurze. — Twarz jej się zaróżowiła, wyglądała tak, jakby miała się za chwilę rozplakać. — Prze-

praszam za to, co powiedziałam... że przyszłaś tylko dlatego, że twojej mamy nie było w domu.

— To ja cię powinnam przeprosić — szepnęła Amy. — Zachowałam się dużo, dużo gorzej. Tak po prostu cię opuściłam, kiedy poznałam Barneya. Ale wiesz... nie potrafiłam myśleć o nikim innym tylko o nim.

— I nadal jest tak samo?

— Tak, tyle tylko, że teraz go nie ma — mówiła Amy z tęsknotą w głosie. — Mogę o nim myśleć, ale nie mogę być razem z nim. Myślałam o znalezieniu czegoś, co by mi wypełniło czas, ale na razie potrafię tylko leżeć na łóżku i opychać się kanapkami z dżemem.

Cathy lekko ją uścisnęła: Amy już teraz wiedziała, że znów są przyjaciółkami.

— Założę się, że woda się wygotowała! — wykrzyknęła nagle Cathy. — Na śmierć zapomniałam o herbacie. Słuchaj, dziś wieczorem wszyscy idziemy się napić czegoś mocniejszego do baru Green Man na Marsh Lane, tam, gdzie pracowała kiedyś twoja mama. Będziemy się dobrze bawić i pić za moje powodzenie w wojsku. Może też byś do nas dołączyła, jeśli oczywiście siły ci na to pozwolą. Zmiana otoczenia bywa czasem zbawienna, jak to mówią.

— Przyjdę — obiecała Amy.

Po jakimś czasie wróciła na Agatę Street. Mama była już w domu — na stole w kuchni stały siatki z zakupami — i naprawdę się ucieszyła na jej widok, chociaż zwróciła uwagę, że Amy wygląda trochę mizernie. Dorzuciła węgla do ognia, żeby córka mogła usiąść przy piecu z wielkim kubkiem gorącego kakao. Cudowne było to uczucie, że ktoś się nią opiekuje.

Nie wspomniała ani słowem o poronieniu. Cathy też obiecała milczeć jak grób.

O pierwszej matka musiała wyjść do pracy, a Amy poszła na górę po swój, zielony płaszcz. Znalazła go w garderobie w dawnym pokoju Charliego, wyjęła z szafy i powiesiła na wieszaku za drzwiami. Rzeczywiście, wyglądał bardzo porządnie. Uśmiechnęła się zadowolona. Powinien jej wystarczyć do czasu, kiedy znajdzie w sobie dość energii, żeby pójść na miasto i kupić nowy.

Łóżko Charliego było starannie posłane. Amy nie mogła jednak oprzeć się pokusie, żeby się położyć i otulić puchową kołdrą. Całe popołudnie przedrzemała. Jej siostry po swoim powrocie z pracy okropnie się przerażyły, kiedy usłyszały jej kroki na schodach, ale już po chwili szalały z radości. Amy też się cieszyła z tego spotkania.

Zjadły razem gulasz, który mama zostawiła im w piecyku do podgrzania, a potem Amy dokładnie się umyła, założyła swój zielony płaszcz i powędrowała z powrotem do domu Cathy.

\* \* \*

Bar Green Man miał podłogę wysypaną trocinami i spluwaczkę w rogu sali. Jakiś mężczyzna w czapce założonej tył na przód i z papierosem przyklejonym do dolnej wargi grał na rozstrojonym pianinie.

Wszyscy śpiewali — najgłośniejszy, jak tylko mogli.

Amy uzmysłowiła sobie naraz, że w ostatnim czasie zapomniała o swoich korzeniach. Bootle — to było miejsce, w którym się urodziła i wychowała, miejsce, z którym czuła się naprawdę związana, nie tak jak z wielkim domem przy Newsham Park z mieszkającym na parterze emerytowanym kapitanem Królewskiej Marynarki. Wiedziała też jednak, że nadal będzie mieszkać w tym wielkim domu, tam bowiem spędziła najszcześniejsze dni swojego życia z Barneyem, dni, których nigdy nie zapomni, choćby miała żyć sto lat.

Tam właśnie powinna być, kiedy Barney wróci na dobre do domu.

## Rozdział 7

MAJ 1971

*Pearl*

— Uważam, że film był fantastyczny — mówiła z wypiekami na twarzy Hilda Doley, kiedy wychodziłyśmy z kina. — Nie miałabym nic przeciw temu, żeby go jeszcze raz kiedyś obejrzeć.

— Ja też nie — zgodziłam się z nią szybko.

— Na ogół nie lubię wyścigów samochodowych, ale ten był niesamowicie pasjonujący, jak sądzisz?

— Rzeczywiście. Napiałabyś się kawy?

Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam. W gruncie rzeczy wolałam pójść do domu, ponieważ Hilda działała mi na nerwy, ale wiedziałam, że tak się to skończy. Nigdy jej nie lubiłam, grzeczność wymagała jednak, żeby spędzić z nią ten wieczór, a nie gnać na łeb na szyję do domu zaraz po skończonym seansie. Obejrzałyśmy Francuskiego łącznika z Gene'em Hackmanem.

— Z rozkoszą — westchnęła Hilda. — Dokąd pójdziemy?

— Znam jedno takie miejsce.

Poprowadziłam ją do Le Beats, kawiarni w pobliżu klubu Cavern, dokąd ostatniej soboty zabrał mfiie Rob Finnegan.

Dziś też była sobota. Użaliłam się nad Hildą, która w piątek w pokoju nauczycielskim marudziła, jak bardzo chciałyby zobaczyć ten film. Nie mogłam tego słuchać.

— Ja też chętnie bym go obejrzała — powiedziałam nieoczekiwanie dla samej siebie.

— To może poszłybyśmy jutro? — spytała Hilda z nadzieją w głosie.

— Dobrze.

Wiedziałam, że będę żałować swojej pochopnej decyzji, ale chciałam z kimś wyjść na miasto, nawet jeśli to miała być kobieta. Koleżanka z pracy. Sama nie wiem, kogo bardziej było mi żal — siebie czy Hildy... Sobotnie wieczory mają w sobie coś, co sprawia, że czuję jakiś wewnętrzny przymus. Po prostu muszę się gdzieś wyrwać,

w głębokim przeświadczeniu, że „pokutowanie” w domu stawia mnie na pozycji nieudacznika. Szczerze mówiąc, byłam nieudacznikiem, ale próbowałam ukryć ten fakt, wychodząc wieczorem z kobietą, której po prostu nie cierpiałam.

— Bardzo tu miło — zauważyła Hilda, kiedy już siedziałyśmy w Le Beats, pod chropowatą ścianą z czerwonej cegły, w takim samym zaduchu, jaki zawsze się unosił w Cavern. — Takie miejsce to trochę jak Paryż. Pearl, byłaś kiedyś za granicą?

— Nie. A ty?

— Tylko raz, w Hiszpanii, z moją mamą. Jedna wielka katastrofa. Nie mogłam znieść tych okropnych upałów, przez cały czas uciekałam w cień, a mama zatrula się jakimś jedzeniem. Większość dnia spędzała w ubikacji. Fajne wakacje, co? — Ku mojemu zaskoczeniu Hilda zachichotała, demonstrując wielkie wilgotne zęby. — Trzeba się z tego śmiać, prawda? Bo inaczej można by tylko płakać... — Otarła oczy, jakby rzeczywiście zbierało się jej na płacz. — Ile miałaś lat, kiedy umarła twoja mama?

— Pięć — odparłam. — Niewiele pamiętam z tamtego czasu — dodałam szybko, w nadziei że to mnie uchroni przed dalszymi pytaniami.

„Pewnego dnia”, pomyślałam, „zaczę mówić ludziom prawdę”.

Nie wstydziłam się swojej matki, nic z tych rzeczy. Nie miałam zamiaru obwieszczać całemu światu, że jest morderczynią, ale na dalsze kłamstwa też nie byłam gotowa. Pamiętałam, jak Hilda jeszcze niedawno twierdziła, że moją matkę powinni byli powiesić.

W tej chwili nie zachowywała się tak hałaśliwie jak w szkole.

— Może pewnego dnia wybierzemy się razem za granicę? — zasugerowała nieśmiało.

— Może...

Uśmiechnęłam się niewyraźnie. Ten pomysł mnie przeraził.

Ale właściwie — czego się bałam? Czy to, że zobaczą mnie w towarzystwie kogoś tak żalosego jak Hilda, jest jeszcze jednym dowodem na moje nieudacznictwo, na niemożność znalezienia sobie przyjaciół w moim wieku, nie wspominając już o mężczyźnie? Ejże, czy naprawdę tak ci potrzeby do szczęścia jakiś facet? — upomniałam siebie samą. Przynajmniej tak nie myślałam.

— Nadal mieszkasz ze swoim wujem i ciotką, prawda? — spytała nagle. Kiwnęłam głową. Hilda ciągnęła: — Nigdy nie myślałaś o tym, żeby zamieszkać sama?

— Chyba nie. Wiesz, tak się składa, że całkiem dobrze mi się z nimi mieszka.

W głębi duszy miałam nadzieję, że Hilda nie wyrwie się z propozycją, żebyśmy zamieszkały razem!

— A ja wręcz przeciwnie. Z rozkoszą wyprowadziłabym się z domu, nawet dziś — powiedziała z tęsknotą w głosie. — Marzę o swoim własnym mieszkaniu, o wychodzeniu z domu, kiedy tylko zechcę, o robieniu sobie posiłków, o wszystkich takich tam rzeczach. Moja mama jest trochę... wymagająca. — Pociągnęła nosem. — No, właściwie bardzo wymagająca. Traktuje mnie jak swoją najlepszą koleżankę. Dzisiaj na mnie napadła, że zostawiam ją samą, co wcale nie znaczy, że też chciałaby obejrzeć *Francuskiego łącznika*. A gdzie tam... Lubi tylko komedie, najlepiej przedwojenne, bo wtedy może się pośmiać i przypomnieć sobie swoje młode lata.

— To przykre — powiedziałam szczerze. — Czy twoja mama jest bardzo stara?

— Ależ skąd, ma dopiero sześćdziesiąt lat i jest zdrowa jak rydz. — Hilda znów pociągnęła nosem.

— Jeśli twoja matka jest taka super, że może sobie sama dać radę, nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś się wyprowadzić — stwierdziłam, żeby ją zachęcić. I trochę podbuntować... Nagle wydało mi się ważne, żeby Hilda zaznała trochę szczęścia w życiu. — Jeżeli chcesz, pomogę ci znaleźć jakieś mieszkanie.

— Naprawdę zrobiłabyś to? — Hilda wyglądała na zachwyconą.

— No jasne. Mogę z tobą oglądać mieszkania, bo rozumiem, że szukałabyś dla siebie mieszkania, a nie domu? Chyba znajdziemy jakieś ogłoszenia w „Echu”. \*

— Też tak myślę. Czasem je czytam. Właściwie mogłabym bez problemu wynająć jakieś małe mieszkanie, a może nawet je kupić. Masz rację, trzeba działać! W poniedziałek przejrzę gazetę. Możesz sobie wyobrazić, że mama nie będzie zachwycona. Kiedy ostatni raz wspomniałam o wyprowadzeniu się z domu, po prostu wpadła w furję.

— Dobry wieczór — odezwał się nagle jakiś męski głos. — Tak czułem, że cię tu zastanę.

Podniosłam wzrok. Przy stoliku stał Rob Finnegan.

Tak bardzo się ucieszyłam na jego widok, że aż spłonęłam rumieńcem, a potem modliłam się w duszy, żeby nikt tego nie zauważył. Czy on naprawdę patrzył na mnie? „Czułem, że cię tu zastanę”...



— Proszę się do nas przysiąc — powiedziałam, a następnie zwróciłam się do Hildy: — Chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu?

— Nie — odparła sztywno, wyraźnie rozdrażniona. Może myślała, że przez cały czas czekam na Roba, a ona była tylko pretekstem.

Pospiesznie ich sobie przedstawiłam.

— Hildo, to jest Rob Finnegan — wskazałam na mojego nowego znajomego. — Jego synek, Gary, chodzi do mojej klasy. Spotkaliśmy się parę tygodni temu w Owen Owen, kiedy Rob kupował Gary'emu mundurek; a później jeszcze raz, przed tygodniem, w klubie Cavern.

Rob wyciągnął rękę.

— Hilda uczy trzecią klasę w szkole St. Kentigern — wyjaśniłam.

Kiedy podali sobie ręce, Hilda wyglądała na udobruchaną.

— Miło mi pana poznać — powiedziała z uśmiechem.

— Mnie również. — W odpowiedzi uśmiechnął się ciepło.

„Ten facet jest naprawdę sympatyczny”, pomyślałam. Dziś był w dzinsach i w grubym szarym swetrze, włożonym na granatową koszulę. Bez marynarki.

— Właśnie wracam z Cavern — oznajmił.

— Kto grał? — zapytałam.

— Kansas Hook i Perfumed Garden. No cóż, wprawdzie daleko im do Beatlesów, ale też są niezli. Napiją się panie jeszcze kawy? — spytał.

— Bardzo proszę — powiedziałam natychmiast.

Hilda potrząsnęła odmownie głową.

— Nie, ja już dziękuję. Muszę zaraz iść.

— Na pewno? — Rob popatrzył na zegarek. — Wieczór jeszcze młody, nawet nie ma dziesiątej. Ach, bardzo proszę! — powiedział i znowu się ciepło uśmiechnął. — Proszę napić się jeszcze kawy.

— No, dobrze. — Teraz Hilda się zaczerwieniła.

„Pewnie myśli, że nam przeszkadza”, przemknęło mi przez głowę.

Rob odszedł, żeby zamówić kawę. Kiedy był już tak daleko, że nie mógł nas słyszeć, Hilda syknęła:

— Bardzo miły. Ma żonę?

— Nie. Jest wdowcem.

— Podobasz mu się, to widać już na pierwszy rzut oka. Nie pozwól mu zwać.

Roześmiałam się cicho.

— Kiedy tak o nim mówisz, można by pomyśleć, że jest jakimś dzikim zwierzęciem, które wpadło w moje sidła. Prawie go nie znam. — dodałam z naciskiem. Nie wiedziałam, czy jestem zainteresowana Robem Finneganem, czy nie. To prawda, polubiłam tego mężczyznę, ale nie chciałam się angażować.

Wrócił i powiedział, że kelnerka przyniesie za chwilę kawę.

— Gdzie panie byliście? W kinie, a może w teatrze? — spytał.

Pozwoliłam Hildzie dojść do głosu. Jakby tylko na to czekała.

Zaraz zaczęła się zachwycać Francuskim łącznikiem, twierdząc, że to najlepszy film, jaki w życiu widziała. Rob przysłuchiwał się z uwagą, a potem zauważył, że w takim razie też musi się koniecznie na niego wybrać. Spytałam, gdzie jest Gary.

— Bess, moja siostra, została z nim w domu. Ma katar. Pomyślałem więc, że skorzystam z okazji i spędzę kolejny sobotni wieczór na mieście — wyjaśnił.

Siedzieliśmy jeszcze pół godziny, gawędząc — o wszystkim i o niczym. Głównie o filmach i nieruchomościach. Wreszcie Hilda powiedziała, że naprawdę musi już iść.

— I tak będę później, niż obiecałam. Mama znowu się będzie wściekać.

Rob poszedł z nami do naszych samochodów. Sama nie wiem dlaczego, ale trochę mnie to wkurzyło — może nawet bardziej niż trochę — kiedy się okazało, że mój samochód był pierwszym, do którego dotarliśmy. Zaparkowałam na St. John's Market, a Hilda znacznie dalej, aż na Mount Pleasant. To oznaczało, że zostawili mnie w samochodzie, a sami poszli razem dalej.

\* \* \*

Przypatrywałam się uważnie Gary'emu Finneganowi, kiedy dzieci wyszły się bawić na długiej przerwie na lunch. Po kilku minutach obserwacji skonstatowałam, że nikt mu wprawdzie nie dokucza, ale też nikt z nim nie rozmawia. Biedaczek plątał się po podwórzu samotnie. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt nie zapraszał go do

wspólnej zabawy. Sprawiał wrażenie przygnębitego i co rusz tęsknie popatrywał na innych chłopców, którzy grali w piłkę nożną albo po prostu stali grupkami, rozmawiając i popychając jeden drugiego.

Doszłam do wniosku, że to samo dzieje się na przerwach, chociaż nie byłam w stanie tego zaobserwować, zwykle bowiem siedziałam wtedy w klasie, przygotowując się do następnej lekcji; byłam jednak zaszokowana, kiedy w poniedziałek Gary wrócił po lunchu do klasy z rozciętą wargą, która lekko krwawiła. Byłam prawie pewna, że płakał.

Nic nie powiedziałam — aż do dzwonka na koniec lekcji. Wtedy go do siebie wezwałam.

— Gary Finnegan! Czy mógłbyś zostać na chwilę po lekcjach?

Kiedy tylko inne dzieci wyszły z klasy, usiadłam na krześle obok niego.

— Co ci się stało w wargę? — spytałam.

Unikał mojego wzroku.

— Nic takiego, proszę pani. — Pociągnął noskiem. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

— To dlaczego krwawisz? — spytałam łagodnie. Dotknęłam ostrożnie jego wargi papierową chusteczką.

— Nie wiem... — Spojrzał na mnie smutno. — Och, proszę pani! Tak strasznie bym chciał, żeby moja mama nie utonęła wtedy w Hiszpanii. — Spuścił głowę i zaczął płakać.

Pogłaskałam go po włosach.

— Ja też, kochanie.

Serce mi się wyrывało do tego słodkiego chłopczyka, który stracił matkę. Postanowiłam poprosić Joan Flynn, która rano opiekowała się dziećmi, żeby w przyszłości zwróciła na niego większą uwagę. Tak bardzo chciałam wziąć go na ręce, posadzić sobie na kolanach i wycalować, ale to byłoby wbrew zasadom. Nauczyciel nie powinien się zbytnio angażować w sprawy jednego z uczniów. Poza tym to byłoby naprawdę głupie. A nawet niebezpieczne. Gdyby reszta klasy zauważyła, że Gary jest moim ulubieńcem, ten miły dzieciak nie miałby chwili spokoju.

— Kto cię dzisiaj odbiera ze szkoły?

— Ta pani z góry — wyszeptał. — Mój tata pojechał do Manchesteru kupować dom.

— Naprawdę? — zmarszczyłam czoło. Kiedy się widzieliśmy w sobotę, Rob nie wspominał o szukaniu domu. — A jutro? Czy mógłbyś go poprosić, żeby przyszedł do szkoły? Chciałabym z nim porozmawiać.

— Tak, proszę pani — odparł z westchnieniem chłopiec.

Wstał i wyszedł powoli z klasy z opuszczonymi ramionami, jakby dźwigał na swoich dziecięcych barkach wszystkie troski tego świata.

Kiedy byłam w jego wieku, moją matkę sądzono za zabójstwo mego ojca.

Życie potrafi być dla niektórych okrutne, nawet dla pięcioletnich dzieci, które powinny się tylko uśmiechać, uśmiechać, uśmiechać...

\* \* \*

Zwolnienie mojej matki z więzienia, a potem jej zniknięcie zaowocowały tym, że drogi ludzi, którzy ją kiedyś znali, znów się skrzyżowały.

Zazwyczaj Charles i Marion widywali Catherine Burns najwyżej raz na kilka lat; to samo dotyczyło zresztą Harry'ego Pattersona, ale teraz cała czwórka spotkała się w sobotę na kolacji.

Zmywałam naczynia po podwieczorku i słyszałam, jak Marion tłumaczy podniesionym głosem Charlesowi, że nie powinien sam płacić rachunku w restauracji za wszystkich.

— Nie mam zamiaru się od tego wymigiwać — odparł Charles porywczo. — Ostatnio płacił Harry, nie pamiętasz?

— Tak, ale to on nas zaprosił, prawda? — upierała się swoim zwyczajem Marion. — Cóż więc dziwnego w tym, że zapłacił? To chyba oczywiste. Niby dlaczego mielibyśmy fundować kolejną kolację Cathy Burns?

— Chciała zapłacić, kiedy poszliśmy wieczorem do Formby — powiedział z naciśkiem Charles.

— Rzeczywiście, ale w końcu pozwoliła, żebyś ty za nią zapłacił. Bardzo sprytnie.

— Tylko dlatego, że nalegałem — parsknął Charles. Wydało mi się, że lada chwila straci cierpliwość, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko. — Doprawdy, Marion, nieczęsto się nam zdarza wychodzić gdzieś na kolację, a ja nie zamierzam bynajmniej

siedzieć przez cały wieczór i denerwować się, kto zapłaci rachunek. Można by pomyśleć, że jesteśmy bez grosza, czy coś takiego.

— Ale też nie jesteśmy bogać?.

— Ani nie biedni.

— Tak, ale... — Drzwi się zamknęły. Jedno z nich musiało się domyślić, że słyszę ich rozmowę.

Kusiło mnie, żeby przemknąć do korytarza i dowiedzieć się czegoś więcej, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Marion potrafiła dobrze kalkulować, zawsze bardziej myślała o pieniądzach niż Charles. Potrafiła być wręcz skąpa, podczas gdy on bywał niekiedy rozrzutny.

Nie była to jedyna znacząca różnica między nimi. Czasami się zastanawiałam, dlaczego się w ogóle pobrali.

Ja też byłam zaproszona na tę kolację, ale miałam już inne plany. Znacznie ciekawsze. W sobotę Trish wychodziła za mąż i zaproszono mnie na wesele.

\* \* \*

Stałam z tyłu w zatłoczonym kościele. Zaproszono pięćdziesięciu ośmiu gości i trochę mniej dzieciaków. Organista zaczął grać *Here Comes the Bride*, wszyscy wstaliśmy, a wtedy weszła Trish, wsparta na ramieniu ojca. Uśmiechnęłam się do niej, ale chyba mnie nie widziała; po prostu przepłynęła obok mojej ławki, piękna i bardzo zdenerwowana. Przy ołtarzu jej narzeczony łan, z którym widziałam się tylko dwa razy, drapał się w głowę, jakby się zastanawiał, co zrobił z obrączkami.

Chociaż mogłam dostrzec tylko ludzi stojących przede mną, zaświtało mi naraz w głowie, że poza młodą parą znam tu tylko rodziców Trish i jej młodszą siostrę Jane, która była już mężatką i miała dwoje dzieci. Co więcej, nie widać było żadnych samotnych młodych kobiet. Czasy się zmieniły.

Zaczęłam się czuć jak ryba wyjęta z wody.

Na tę okazję kupiłam sobie oczywiście nowy strój. Był to kostium w kolorze złamanej bieli z dopasowanym żakietem i sięgającą łydek, rozszerzaną spódnicą. Na głowie miałam toczek pasujący do kostiumu, do tego turkusową torebkę, pantofle i rękawiczki. Kiedy wychodziłam z domu, byłam z siebie raczej zadowolona, ale teraz mój elegancki komplet wydał mi się trochę przesadny.

Na przyjęciu weselnym wszyscy się dopytywali, kim jestem i który z panów jest moim mężem. „No, to twoim chłopcem” poprawiła się szybko jedna z owdowiałych ciotek Trish, kiedy jej powiedziałam, że nie mam męża. Chyba uznała za niewyobrażalne, że przyszedłam tutaj sama.

— Tylko mi nie mów, że nie masz męża, taka śliczna dziewczyna jak ty! — zauważył jeden z wujków Trish, udając zdumienie. Aż mną zatrzęsło. Poczułam się nagle jak dziwoląg, który doszedł do sędziwego wieku dwudziestu pięciu lat i nadal jest starą panną. Czy jeszcze ktoś tak mówi...

Ten dzień był dla mnie prawdziwą torturą. Zapraszali mnie do tańca mężczyźni, uśmiechający się z zażenowaniem do swoich żon, kiedy je mijali, prowadząc mnie na parkiet. Jakby robili coś, co wymagało z ich strony nie lada odwagi.

O piątej Trish i Ian wyjechali w podróż poślubną do Jersey. Trish szepnęła:

— Stań za mną, Pearl, tak żebyś złapała mój bukiet, kiedy go rzucę. Jak ci się uda, to znaczy, że w następnej kolejności ty zostaniesz panną młodą!

Stanęłam za nią, czemu nie, ale z całym rozmysłem nie złapałam bukietu. Wcale nie chciałam, żeby mi się udało.

Tak naprawdę nie wiedziałam, czego chcę. Wiedziałam natomiast, że na pewno nie chcę już dłużej być na tym weselu, ale było za wcześnie, żeby iść do domu, bo Charles i Marion na pewno nie wyjdą przed wpół do ósmej, a nie miałam też ochoty iść z nimi na tę kolację.

\* \* \*

Parę dni później, we wtorek zaraz po szkole poszłam z Hildą obejrzeć mieszkanie na sprzedaż na Norris Green. Mieściło się w wysokim budynku z własnym parkingiem. Tam miałyśmy się spotkać.

Przyjechałam pierwsza i siedziałam w samochodzie, czekając na Hildę. Od razu mi się ten budynek nie spodobał. Wielka betonowa bryła. Miał dziesięć kondygnacji i stał na skrzyżowaniu dwóch bardzo ruchliwych ulic. Był jakiś taki — bez duszy.

Hilda wjechała swoim szarym mini morrisem na parking, a następnie zatrzymała się obok mojego czerwonego volkswagena garbusa. Pomachała do mnie, krzywiąc się równocześnie. Domyśliłam się, skąd ta skawszona mina. Obok niej siedziała kobieta, która z całą pewnością była jej matką.

— Mama się uparła, że ze mną pojedzie — powiedziała przez zaciśnięte zęby, kiedy podeszłam. Starsza pani akurat wysiadała z drugiej strony auta.

— Mamo, to jest Pearl Currarf; uczy w naszej szkole.

Sześćdziesięcioletnia pani Dooley była dużo ładniejsza od swojej

córki. Miała całkiem ładne ciemne włosy bez śladu siwizny, dzięki czemu wyglądała o wiele młodziej. Ale wyraz jej twarzy, kiedy się witałyśmy, był raczej mało zachęcający. Jakby się najadła kwaśnych jabłek.

— Nie mam pojęcia, co wstąpiło w tę moją Hildę — mówiła opryskliwie. — Jaki to sens wydawać tyle forsy na zakup mieszkania, kiedy się ma duży i wygodny dom? Ona chyba naprawdę nie rozumie, w co się pakuje. — Obrzuciła córkę pogardliwym spojrzeniem. — Zobaczysz, niedługo wrócisz do mnie w podskokach, dziewczyno, kiedy się okaże, że musisz sobie sama słać łóżko, zmywać i sprzątać, a kiedy będziesz wracać do domu ze szkoły, na stole nie zobaczysz smacznego obiadku, o nie. Twoich ulubionych klopsików na przykład...

Hilda tylko wywróciła oczami i nic nie odpowiedziała.

— Mieszkanie jest na trzecim piętrze, ale pana Hanleya, właściciela, w tej chwili nie ma. Jakiś facet z pierwszego piętra ma nas oprowadzić.

W milczeniu weszłyśmy do budynku; matka była najwyraźniej poirytowana. Hilda zadzwoniła pod numer 2B, a jakiś głos męski głos wydobywający się spoza owalnej kratki spytał, czy to panna Dooley.

— Tak — potwierdziła Hilda.

— Zaraz zejść na dół i panią wpuszczę.

— Tu jest jak w tym cholernym Star Treku, za którym tak przepadasz... — zadrwiła pani Dooley.

— Wcale nie musisz tam wchodzić, mamo, jeśli sobie tego nie życzysz — odparła spokojnie Hilda. — Powinnaś była zostać w domu i oglądać swoją ukochaną Modę na sukces. Na pewno będziesz mi cały wieczór jęczeć, że opuściłaś jeden odcinek. Mój Boże, ciekawe, kto się teraz w kim zakocha, a może odkocha. Zresztą wszystko jedno, grunt, żeby coś się działo... Doprawdy fascynujący serial!

— Przyjechałam, żeby cię wesprzeć na duchu, moja panno — parsknęła matka. — Znam cię jak własną kieszeń i wiem, że jeśli się ciebie pozostawi samej sobie, będziesz na tyle głupia, że dasz się namówić na kupno mieszkania, którego wcale nie chcesz.

— Właśnie dlatego wzięłam ze sobą Pearl — Hilda powiedziała to z prawdziwą dumą.

Teraz z kolei pogardliwe spojrzenie seniorki spoczęło na mnie.

Drzwi otworzył nam mężczyzna po czterdziestce ubrany w garnitur. Miał gładkie ciemne włosy i błyszczące oczy.

— Dzień dobry. Nazywam się Clifford Thompson — przedstawił się, prezentując równiutkie białe zęby.

Podaliśmy sobie ręce, po czym skierowaliśmy się do windy. Zły humor pani Dooley znikł w okamgnieniu, za to zaczęła być po dziewczęcemu kokietyjna. A to dopiero metamorfoza!

Niedobrze mi się od tego robiło.

— Kiedy Hilda mówi, że jestem jej matką, czuję się jak staruszka — szczebiotała.

— Muszę przyznać, że ja też byłem zaskoczony — uprzejmie odparł mężczyzna. — Sądziłem, że są panie siostrami.

— Wszyscy tak myślą! — Pani Dooley poklepała się lekko po włosach i wyduła wargi, jakby go tu i teraz chciała pocałować, albo miała nadzieję, że on ją pocałuje. Zrobiło mi się jeszcze bardziej żal Hildy.

Winda się zatrzymała i wysiedliśmy. Clifford Thompson otworzył drzwi, które, jak wszystkie na tym piętrze, były pomalowane na ciemnobrązowy kolor. Zaprosił nas do środka.

Pierwszą rzeczą, jaka mi wpadła w oko, był widok z okna. Nuda, nuda, nuda... Wieżowce i zatłoczone jezdnie. Na wprost domu znajdowało się skrzyżowanie. Fatalna sprawa. Wycie motorów, odgłosy hamowania z piskiem opon i ryk klaksonów nieźle dawały po uszach.

Mimo nowoczesnej kuchni i łazienki mieszkanie sprawiało wrażenie więzienia, ze swoimi małymi kwadratowymi pokojami. Nie było w nim nic miłego ani choćby odrobinę niezwykłego. Artystyczna dusza by tu jak nic przepadła. Pomyślałam, że byłoby w sam raz dla jakiegoś samotnego mężczyzny — najlepiej pracoholika, który nie zawracałby sobie głowy wystrojem wewnątrz i przychodziłby tu tylko po to, żeby się wyspać. Chociaż w takim huku...

Hilda najwyraźniej była tego samego zdania.



— Chyba nie... — rzekła, ledwie zerknąwszy do sypialni. — Przepraszam, ale nie jestem zainteresowana. Czy przekaże pan to ode mnie z łaski swojej panu Hanleyowi?

— Oczywiście. Architekt się nie popisał, kiedy projektował te mieszkania. Zero wyobraźni — ze skrucą powiedział Clifford Thompson. — Ja też wolałbym rfiiesz-  
kać w miejscu, które miałyby choć trochę charakteru.

— Właśnie o to mi chodzi! — wykrzyknęła z entuzjazmem Hilda, kiwając głową. — Miejsca z charakterem.

— Jest takie mieszkanie... na najwyższym piętrze, z jedną sypialnią i z widokiem na rzekę, w dzielnicy Waterloo — powiedział mężczyzna. — Nie znam wprawdzie adresu, ale w każdej chwili mogę go dla pani zdobyć.

— Och, naprawdę? — Nieładna twarz Hildy rozpromieniła się w okamgnieniu. — Dam panu mój numer telefonu, proszę koniecznie do mnie zadzwonić.

\* \* \*

— To wszystko było tylko podstępem — oświadczyła niespodziewanie pani Dooley, kiedy już wyszliśmy.

— Co takiego, mamó? Czy mogłabyś mówić jaśniej?

— Ta gadka o mieszkaniu na Waterloo. Baję, baję... Założę się, że ono w ogóle nie istnieje. Zrobił to po to, żeby dostać nasz numer telefonu. Chyba naprawdę mu się spodobałam... — Oblizła wargi. — Zadzwoni i zaprosi mnie na randkę jeszcze w tym tygodniu. Zobaczycie!

Aż się skurczyłam. Na miłość boską, ta kobieta miała sześćdziesiąt lat!

\* \* \*

Okazało się, że mieszkanie na Waterloo jednak istnieje.

Po paru dniach Clifford Thompson rzeczywiście zadzwonił do Hildy i zaofiarował się, że ją tam zabierze. Hilda z miejsca zakochała się w tym mieszkanku. Nazajutrz opowiadała mi o pięknych sufitach, o staroświeckiej łazience i ślicznym wiktoriańskim kominku w salonie.

— Sypialnia mogłaby być wprawdzie trochę większa, ale w salonie jest miejsce na kanapę, gdybym chciała kogoś przenocować.

Twarz jej płonęła. Potem zaczęła mi dalej opowiadać. Same rewelacje. Clifford zaprosił ją do kawiarni, gdzie długo dyskutowali, czy powinna kupić to mieszkanie. A na koniec ją spytał, czy nie poszłaby z nim w sobotę do kina!

— Zgodziłaś się?

— No, tak... — odparła lekko oszołomiona, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się stało. — On ma dwoje nastoletnich dzieci i jest rozwiedziony. Jego żona miała romans z jakimś facetem, a potem się pobrali.

— Życzę ci szczęścia, Hildo — powiedziałam szczerze. Znałam ją teraz trochę lepiej i chociaż sama nie mogłam w to uwierzyć, doszłam w końcu do wniosku, że naprawdę ją lubię, zwłaszcza gdy poznałam tę jej koszmarną matkę.

Ale teraz znów będę musiała sobie poszukać jakiegoś towarzystwa na sobotnie wieczory.

TLR

## Rozdział 8

LISTOPAD-GRUDZIEŃ 1939

*Amy*

Po stracie dziecka Amy jeszcze przez dwie noce spała w domu swojej matki przy Agatę Street. Z radością zostałaby tam dłużej. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej brakowało matki i wesołego szczebiotu sióstr. A ściślej mówiąc, nie odczuwała tego braku, kiedy Barney był w domu.

To właśnie za nim tęskniła najbardziej.

Ale powrót do mieszkania przy Newsham Park już niebawem okazał się konieczny. Kapitan Kirby-Greene na pewno zachodzi w głowę, dlaczego Pattersonowie nie zabierają sprzed domu swojej butelki z mlekiem. Znając go, można się było spodziewać, że jeśli jej nieobecność będzie się przedłużać, zaniepokojony staruszek powiadomi policję o jej zniknięciu.

A co ważniejsze w domu mógł na nią czekać list od Barneya.

Kiedy wychodziła — w swoim starym zielonym płaszczu, który tak wspaniale ją ogrzewał w ten chłodny i wilgotny listopadowy dzień, mama ją zapewniała, że sypialnia Charliego jest zawsze do jej dyspozycji.

— Do widzenia, córeczko. I pamiętaj — czy to na jeden dzień, czy na tydzień, a nawet na stałe, w tym domu zawsze masz swoje miejsce do spania — powiedziała Moira do Amy.

— Dzięki, mamó. Za wszystko... — Czule objęła matkę.

Nic dziwnego, że Barney tak ją polubił. Moira różniła się od jego własnej matki jak dzień od nocy.

\* \* \*

Było już popołudnie, kiedy weszła do swojego mieszkania. Sprawiało wrażenie wyziębionego i opuszczonego, jakby jej tu nie było całe miesiące, a nie zaledwie parę dni. Zadygotała z zimna. Poza tym wydało się jej nagle jakieś gołe, bez żadnego świętego obrazka czy figurki, bez ani jednego bibelotu, ozdóbki, maskotki, którymi były zastawione wszystkie półki i parapety w przytulnym mieszkaniu mamy.

Jednym z powodów, dla którego to mieszkanie wydawało się takie puste, jak się zorientowała po chwili, była dziwnie „goła” posadzka. Kupiony przez Barneya czerwony dywan zniknął! Przez kilka minut zastanawiała się gorączkowo, gdzie też u licha mógł się podziać, wreszcie sobie przypomniała, że widziała go ostatni raz, kiedy wróciła do domu po tej nieszczęsnej wizycie u Pattersonów. Miała wrażenie, że upadła wtedy właśnie na ten dywan. Prawdopodobnie właśnie tam poroniła, a jej teść posłał dywan do czyszczenia — albo po prostu go wyrzucił.

Poza tym czuła jakiś nieznośny odór, który docierał z kuchni; weszła tam i znalazła garnek z zepsutym mlekiem i bochenek chleba pokryty zieloną pleśnią. Cuchnęło jak diabli. Szybko wylała mleko do zlewu, chleb zawinęła w gazetę i położyła na podeście przed drzwiami, żeby go przy pierwszej okazji wyrzucić do śmieci.

Mleko w jednej z butelek, zostawionych pod drzwiami, też zaczęło się już psuć. „Później zrobię z tym porządek...”, pomyślała Amy, nastawiając wodę na herbatę. Poza tym trzeba było przecież kupić coś do jedzenia.

Postanowiła sobie, że od tej chwili będzie się porządnie odżywiać i znajdzie jakąś pracę, najlepiej coś, co byłoby związane z wojną. Cały naród podjął wysiłek wojenny, każdy chciał wykonać swoją część roboty. Ona też. Kiedy Barney tu był, nie miała nic przeciwko tradycyjnemu podziałowi ról w małżeństwie i pozycji pani domu, ale kiedy go zabrakło, sam dom już jej nie wystarczał — zaczynała się nudzić.

Woda się zagotowała i w tym samym momencie rozległy się cztery krótkie dzwonki do drzwi. Amy zaparzyła herbatę i wyszła na korytarz, żeby wpuścić niespodziewanego gościa. Na dole było słychać jakieś głosy. To kapitan Kirby-Greene swoim zwyczajem ją ubiegł. Rozpoznała jego głos i głos Leo Pattersona, swojego teścia.

— Wprawdzie dopiero przyszedłem — mówił kapitan — ale zauważyłem, że mleko jest zabrane, więc pewnie pani Patterson w końcu wróciła do domu.

— Dobrze — odpowiedział Leo z werwą. — Dziękuję, że mnie pan wpuścił.

Kapitan nie zamierzał jednak tak szybko się z nim rozstać.

— Byłem właśnie w biurze rekrutacyjnym Marynarki Królewskiej — rzekł z dumą. — Pomyślałem, że już czas, bym zaproponował swoją pomoc w wykurzeniu tego parszywego kundla Hitlera. Powiedzieli mi, że oczywiście dadzą znać, kiedy będą potrzebowali kogoś z doświadczeniem jak ja.

— Mam nadzieję, że nie będzie pan musiał długo czekać.

Amy usłyszała w głosie teścia nutkę zniecierpliwienia. A co kapitan

miał na myśli, mówiąc, że pani Patterson w końcu wróciła do domu? Zabrzmiało to tak, jakby nie po raz pierwszy ktoś jej szukał. Ciekawe...

— Czy to pan, panie Patterson? — zawołała z góry. — Proszę wejść.

Wbiegł po schodach na górę jak dwudziestolatek, tak zwinnie jak jego syn. Miał na sobie codzienny garnitur i długi granatowy płaszcz, który z pewnością musiał kosztować majątek. W ręku niósł szary filcowy kapelusz opasany granatową wstążką.

— Myślałem, że coś sobie ustaliliśmy... Mów do mnie „Leo” — zauważył, pokonując ostatnie kilka stopni. Amy nie mogła sobie przypomnieć żadnych takich ustaleń. Już w mieszkaniu spytał:

— Czy ten kapitan zawsze się tak naprzykrza?

— Wcale nie uważam, żeby się naprzykrzał — zaproponowała Amy. — Zresztą Barney też tak nie myśli. — Oboje naprawdę lubili starego kapitana. — To po prostu samotny starszy pan, który nie ma z kim pogadać. Cóż to szkodzi, stanąć na parę minut i pogawędzić?

— Ba, ty i Barney nie mieliście nic innego do roboty — odparł Leo, wyraźnie zirytowany. — Ja mam na głowie za dużo ważnych spraw. Czas to pieniądz, moja droga.

— Wobec tego, co pan tutaj robi? Czy nie powinien pan być teraz w pracy i zająć się tymi swoimi ważnymi sprawami?

Spojrzał na nią zdumiony.

Amy też była zaskoczona swoją bezpośredniością. Gdyby rok temu poznała kogoś takiego jak Leo Patterson, byłaby tak onieśmielona, że nie potrafiłaby wydusić z siebie nawet słowa. Robiłaby wprawdzie, co mogła, żeby wyjść z twarzą z tej konfrontacji dwóch światów, ale chyba by się jej nie udało. Wtedy jeszcze nie... Miłość Barneya ogromnie podniosła jej poczucie własnej wartości, dodała pewności siebie.

Wtedy się roześmiał.

— Nie przebierasz w słowach, prawda?

— A pan?

— Ani myślę odpowiadać na to pytanie. — Rzucił jej druzgocące spojrzenie. — Jestem tu tylko dlatego, że się o ciebie martwię. Parę dni temu poroniłaś. Zostawiłem cię leżącą w łóżku, ponieważ byłaś za słaba, żeby wyjść z domu. Następnego dnia za telefonowałem, chciałem się dowiedzieć, jak się czujesz, ale nikt nie odbierał. Dzwoniłem raz po raz, ale nadal nie było odpowiedzi. — Zaczął spacerować po pokoju, co-

raz szybciej i szybciej, jakby to był jego sposób na pohamowanie gniewu. — Przyszędłem i oczywiście kapitan wpuścił mnie na górę. Zastanawiałem się, ile czasu jeszcze minie, zanim uznam, że muszę się włamać. A propos, jak się czujesz?

— Już następnego dnia po... — przerwała, jakby to słowo nie chciało jej przejść przez gardło — poczułam się dużo lepiej.

Nie przeszło jej nawet przez myśl, że Leo mógłby się o nią martwić. Może rzeczywiście powinna była zostawić kartkę na drzwiach, albo powiedzieć kapitanowi Kirby'emu-Greene'owi, dokąd idzie. Zresztą nie planowała tak długiej wizyty u matki.

Weszła do kuchni i naląła dwie filiżanki herbaty.

— Słodzi pan? — zawołała z kuchni.

— Nie, dziękuję — odparł lakonicznie.

Kiedy wróciła do salonu, postawiła herbatę na małym stoliczku, przy którym siedział Leo. Zdążył zdjąć płaszcz i powiesić go na wieszaku.

— Ja i pański syn jesteśmy małżeństwem od sześciu miesięcy — zaczęła mówić, powoli i z namysłem. — Przez cały ten czas pan nie zrobił absolutnie nic, żeby mnie poznać. Mogłam umrzeć we śnie albo zostać zamordowana we własnym łóżku, a pan nigdy by się o tym nie dowiedział. A teraz ni stąd, ni zowąd nie wolno mi zostać na kilka dni u własnej mamy, żeby pan nie robił z tego powodu strasznego zamętu. — Nie mówiła tego z gniewem. W gruncie rzeczy droczenie się z tym wytwornym mężczyzną sprawiało jej pewną przyjemność. — To, dokąd pójde i co zrobię, to doprawdy nie pański interes — zakończyła.

Leo zmarszczył brwi.

— To znaczy, że byłeś u swojej matki? — zapytał, jakby do tej chwili podejrzewał ją o jakieś zdróżne czyny.

— Tak.

— A czy nie pomyślałaś o tym, że nie wiem, gdzie mieszka twoja matka?

— Nie wie pan jeszcze wielu innych rzeczy na mój temat.

— Czy wobec tego, zanim sobie pójde, dasz mi adres matki?

— Oczywiście, czemu nie?

Oboje podnieśli do ust filiżanki z herbatą. Nagle zaczął się zachowywać zupełnie inaczej.

— Wybacz, że tak długo cię zaniedbywałem — powiedział z żalem w głosie. — Elizabeth i ja myśleliśmy, że Barney całkiem oszalał, żeniąc się z dziewczyną, którą ledwie znał. A kiedy nam zakomunikował, że pochodzisz z Bootle, martwiliśmy się, że nasza synowa jest niewiarygodnie... — Przerwał, szukając odpowiedniego słowa.

— Pospolita? — podpowiedziała mu szybko Amy. — Łatwa? Wulgarna?

Leo wydał wargi w uśmiechu.

— Być może... pospolita.

— Może i jestem pospolita, panie Patterson... Leo — powiedziała chłodno — ale nigdy, przez całe moje życie nie nazwałam nikogo kurwą. Zupełnie nie wiem, co do tego skłoniło pańską żonę.

— Amy, powiedziałem ci już, okropnie się martwiliśmy, że Barney popełnił kolo-salny błąd. Teraz, kiedy cię poznałem, wiem, że tak nie jest. Przeciwnie... — Uśmiechnął się do niej czarująco, dokładnie tak jak Barney. Amy poczuła, że gdyby zamknęła oczy, łatwo byłoby jej uwierzyć, że to Barney siedzi tu z nią przy stole. — W gruncie rzeczy, kiedy tak na ciebie patrzę — ciągnął dalej Leo — to tak sobie myślę, że jesteś prawdziwą małą damą, i cieszę się, że mój syn cię poślubił. A co do mojej żony... cóż, obawiam się, że jest chora. Może kiedyś będzie z nią lepiej; pozostaje mi tylko mieć nadzieję. I jeszcze raz cię za nią przepraszam, za to, jakich słów użyła w stosunku do ciebie. — Wyciągnął rękę na zgodę. — Czy możemy zapomnieć o przeszłości i zostać przyjaciółmi?

— Z przyjemnością. — Amy potrząsnęła energicznie jego wyciągniętą do uścisku dłońią. Początkowa nieufność, a nawet niechęć, ustąpiły miejsca sympatii. Teraz była przekonana, że się nawzajem rozumieją i że naprawdę może go uważać za swojego przyjaciela.

Został o wiele dłużej, niż się tego spodziewała. Na dworze zapadł już zmrok i na niebo wypłynął niewyraźny księżyc, a Leo wciąż siedział w jej mieszkanku. Opowiedziała mu o swojej mamie, o dziwnej nowej żonie swojego brata Charliego, o tym, jak bardzo jej siostry, Jacky i Bidy, chcą pracować dla wojska.

— Wyobraź sobie, tak się zawzięły, że wspominały już nawet o podaniu fałszywego wieku, żeby tylko pójść do wojska, gdzie już pracuje moja najlepsza koleżanka, Cathy. Tymczasem Bidy ma dopiero piętnaście lat!

— Podziwiam to — stwierdził.

Amy miała wielką ochotę go zapytać, dlaczego nie idzie załatwiać tych swoich szalenie ważnych spraw, które podobno ma na głowie, ale zaraz sobie przypomniała, że teraz są przyjaciółmi i najlepiej będzie trzymać buzię na kłódkę.

\* \* \*

Następnego dnia przyszedł list od Barneya.

Pisał, że może i cieszyłoby go szkolenie oficerskie, które właśnie odbywa, gdyby nie to, że tęskni za nią jak wariat. Dalej wymieniał szczegółowo wszystkie rzeczy, za którymi usycha z tęsknoty, tak iż Amy, czytając jego list, aż się zarumieniła po same korzonki włosów.

Kilka dni później wpadł do niej Harry Patterson. Oznajmił, że właśnie otrzymał kartę powołania do wojska i teraz jedzie do brata.

— Czy to nie byłoby wspaniale, gdybyś trafił w to samo miejsce, co Barney, kiedy będziesz się szkolił na oficera? — zauważyła Amy. Miała nadzieję, że tak się stanie; naprawdę lubiła Harry'ego.

Skrzywił się lekko.

— Bardzo wątpię, żeby uznali mnie za dobry materiał na oficera. Nie poszedłem na uniwersytet jak Barney, więc nie mam stopnia naukowego. Pewnie zostanę zwykłym szeregowcem jak większość mężczyzn. A w ogóle to moim zdaniem najlepiej jest być właśnie szeregowym. Gdyby mi nawet dawali jakąś belkę, mogą mnie w nos pocałować. Zaraz ją zedrę z naramiennika!

Wyglądał na rozżalonego.

Amy przyszło nagle na myśl, że podczas obu jej spotkań z Leo Pattersonem teści ani razu nie wspomniał o swoim najstarszym synu, natomiast o Barneyu miał zawsze bardzo dużo do powiedzenia i najwyraźniej był z niego nadzwyczaj dumny.

— Cathy też wstąpiła do wojska — powiedziała po chwili milczenia. — Wysłali ją do jakiegoś punktu w Yorkshire.

Od razu się ożywił.

— Chętnie bym ją znów zobaczył! — stwierdził z uśmiechem.

Amy i Barney zawsze pragnęli, żeby Cathy i Harry związali się ze sobą. A później, może nawet ślub... Tego dnia, kiedy cała czwórka spotkała się po raz pierwszy na mo-  
lo w Southport, wszystko wskazywało na to, że przypadli sobie do gustu. Żadne z nich



wprawdzie nie zrobiło ani kroku dalej, ale kto wie, może potrzebowali tylko delikatnej zachęty ze strony przyjaciół.

— Może zaprosimy też Cathy i Harry'ego? — proponowała często Amy, kiedy wybierała się z mężem na kolację albo na niedzielną przejażdżkę samochodem na wieś.

— Dlaczego nie? — odpowiadał mętnie Barney, żadne z nich jednak jakoś się nie kwapiło z zaproszeniem. Nic dziwnego. Woleli być sami, tylko ze sobą. Nawet najbliższa przyjaciółka Amy i brat Barneya byłiby tylko intruzami, wdzierającymi się w ten cudowny świat, w którym istnieli tylko oni dwoje.

Na pożegnanie ucałowała serdecznie Harry'ego i życzyła mu szczęścia. „Może będzie szczęśliwszy w wojsku niż jego brat...”, pomyślała z cichą nadzieją. „Bądź co bądź, nie ma kobiety, którą by kochał i za którą by tęsknił”.

\* \* \*

Kiedy następnym razem Amy wybrała się z wizytą do matki, osłupiała na wieść, że niedawno odwiedził ją Leo Patterson — i nawet zaproponował jej siostrą pracę w swojej fabryce w Skelmersdale!

— Nie miałam pojęcia, że zna nasz adres — opowiadała matka z wypiekami na twarzy. Wciąż nie mogła dojść do siebie, chociaż od wizyty Lea upłynęły już dwa dni. Rzecz jasna, była nim oczarowana, podobnie jak przedtem jego synem.

— W zeszłym tygodniu zapytał mnie o wasz adres. No, oczywiście mówiłam mu też, że Jacky i Biddy chętnie zmienią pracę na jakąś inną, związaną z wojną. Też chciały wykonać swoją część roboty. — Amy zmarszczyła czoło. — Chociaż praca w fabryce instrumentów medycznych chyba niewiele ma wspólnego z wojną...

— Ja też tak pomyślałam w pierwszej chwili, ale twój teść potrafił przekonać dziewczynki, że jest całkiem inaczej — powiedziała matka. — Podobno właśnie otrzymał zamówienie rządowe, a ponieważ znaczna część jego robotników poszła do wojska, potrzebował pilnie nowych ludzi. Teraz sobie myślę, że to jednak jest w pewnym sensie praca dla wojska. Jakoś się nie zmartwił, że dziewczynki są jeszcze takie młode, a one strasznie się tym wszystkim przejęły. I tak się cieszą, mój Boże... Jacky jest w sekcji pakowania, a Biddy w wysyłce pocztowej. A ty, kochanie? Zrobiłaś coś, żeby znaleźć jakieś zajęcie?

— Nie, jeszcze nic. — Amy wciąż się nie mogła zdecydować, co chciałyby robić. — Waham się pomiędzy pracą konduktorki tramwajowej a listonoszki — wyznała.

— Mmmm... — rzekła mama w zamyśleniu. — W tym pierwszym wypadku musiałybyś wcześniej być na nogach, a w drugim tyrać jak wół i milion razy dziennie ganiać po schodach — no, co prawda ty potrafisz wstać bladym świtem, mój skowroneczku. Na twoim miejscu zostałabym konduktorką.

— Pomyślę o tym.

Był już grudzień. Przesunięcie ostatecznej decyzji na okres po świętach i rozpoczęcie nowej pracy z nowym rokiem nie było chyba złym pomysłem. Co się odwlecze, to nie uciecze, jak mawia mama.

No, bo wyobraźmy sobie tylko, że Barney dostaje na Gwiazdkę parę dni urlopu i nie mogą go spędzić razem, bo ona pracuje!

Nie, jednak nie, zdecydowała koniec końców Amy. Postanowiła odłożyć sprawę swojej pracy aż do Nowego Roku.

\* \* \*

Pewnie by tak zrobiła, gdyby nie spotkanie z Charliem w następną sobotę. Chcieli pochodzić po sklepach, żeby kupić prezenty gwiazdkowe dla mamy i siostr. Najpierw spotkali się na herbacie u Lyonsa. Był to jeden z najzimniejszych dni, jakie pamiętała, dlatego włożyła nowe ciemnobrązowe palto z grubego aksamitu i wysokie boty ozdobione futrem.

— Coś mi się zdaje, że to ostatnia Gwiazdka, kiedy można jeszcze coś kupić. Niedługo sklepy będą świecić pustkami — ponuro stwierdził Charlie. — Im dłużej trwa ta cholerna wojna, tym trudniej o wszystko.

— Myślałam, że Marion nie toleruje brzydkich słów.

— Faktycznie. Ale Marion tu nie ma, prawda? Mogę sobie kłać, ile tylko mi się, do cholery, podoba.

— No tak, nie ma jej. — Amy chciała już dodać „z czego bardzo się cieszę”, ale ugryzła się w język. Doszła do wniosku, że lepiej nie drażnić Charliego. Bądź co bądź Marion była jego wybranką. Nikt go nie zmuszał do tego małżeństwa, nie ciągnął za krawat do ślubnego ołtarza. — A co miałaś na myśli — spytała — mówiąc, że im dłużej trwa wojna, tym będzie gorzej ze wszystkim?

— Chyba to logiczne, tak czy nie? — Spojrzał na nią jak na kompletną idiotkę. — Już teraz brakuje herbaty i cukru. Nie możemy liczyć na to, że marynarze będą dzień w dzień ryzykować życie tylko po to, żeby nasi kochani rodacy mogli się opijać herbatką. Nie słyszałaś o konwojach atakowanych przez niemieckie U-Booty? A już nie-

długo zaczną się ograniczenia towarów importowanych. — Charlie skrzyżował ręce na piersi i spoglądał jeszcze bardziej ponuro. — I nie tylko to, niestety. Fabryki przestają produkować wszystko, co nie jest związane z wojną. Dlatego Marion zażyczyła sobie na Gwiazdkę parasolkę, zanim będzie za późno. Jak myślisz, może mama też chciałaby dostać taki prezent gwiazdkowy? — spytał z nadzieją w głosie.

— Chyba nie. Ma już jedną, Barney jej kupił, jeszcze zanim wyjechał.

— Więc może jakąś ładną torebkę?

— Też pudło. Przywiozłam jej śliczną torebkę z Londynu. Zresztą kupiłam wtedy torebki również dla Jacky i Biddy.

Charlie westchnął, coraz bardziej zdenerwowany.

— Więc wymyśl coś z łaski swojej.

— Ranne pantofle. Już wiem! — zawołała Amy. — Ty jej dasz pantofle, a ja szlafrok. Kupimy je w tym samym sklepie, żeby się upewnić, że do siebie pasują. A co do Jacky i Biddy, to też coś wymyśliłam. Obie uwielbiają kosmetyki, wszystkie bez wyjątku. Możesz im sprezentować naprawdę ładne kosmetyczki na takie rzeczy, a ja się zatroszczę o zawartość — pomadki do ust, tusz do rzęs, puder, perfumy... — Zauważyła, że jej zwykle pogodny brat jest dziś jakiś nieswój. Właściwie nigdy dotąd nie widziała go w takim pozałowania godnym stanie. Był strasznie przybity. — Co ci jest, Charlie? — Ścisnęła palce jego ręki.

— Po prostu... Marion nie rozumie... — powiedział z ciężkim westchnieniem.

— Nie rozumie? Czego? — spytała Amy, kiedy nagle zamilkł.

— Ze nie mam ochoty być rezerwistą. Chcę się zaciągnąć do wojska, chcę zrobić coś dla kraju, a nie siedzieć za tym cholernym biurkiem przez następne diabli wiedzą, ile lat. Ludzie pomyślą, że jestem zwykłym tchórzem — albo inwalidą. Sam już nie wiem, co gorsze... — Charlie pracował w dziale zapalników w English Electric. Jego praca była ważna dla wojska i dlatego uznana za zajęcie dla rezerwy, co oznaczało, że jest zwolniony z obowiązku czynnej służby wojskowej. — Kiedy oznajmiłam Marion, że mam już dość bycia cywilem, wzięła to do siebie i teraz jest na mnie śmiertelnie obrażona. Uważa, że powinienem skakać ze szczęścia, że nie muszę opuszczać domu. A zwłaszcza jej... Co o tym wszystkim sądzisz, siostrzyczko? — spojrzął na nią z czułością. — A ty... bardzo się przejęłaś, kiedy twój Barney poszedł na wojnę?

— Jeszcze jak!

Nie była jednak ani trochę obrażona, że Barney chciał założyć mundur i do głowy jej nawet nie przyszło, żeby próbować mu to wyperswadować. Pomyślała, że Marion zachowała się samolubnie, a do tego okropnie głupio... Amy za bardzo jednak kochała brata, żeby mu to mówić.

Kupili dla mamy piękny pikowany szlafrok w kolorze nieba i pasujące do niego ranne pantofle w sklepie C & A, a w Owen Owen kosmetyki dla sióstr. Amy wybrała przy tej okazji śliczną emaliowaną broszkę, jako prezent od Charliego dla siebie, a on elegancką koszulę, którą z kolei ona mu kupiła.

Była bardzo zadowolona z tych zakupów, chociaż martwiła się, że Charlie wciąż wygląda jak zbity pies. Żeby mu poprawić nastrój, zaprosiła go na piwo i kanapkę z wołowiną do Fatted Calf na Tithebarn Street. Sama też wzięła kanapkę i kieliszek białego wina. Słuchała jego przepowiedni, że wkrótce wszystkie browary przejdą na produkcję amunicji i na następną Gwiazdkę piwo będzie już tylko miłym wspomnieniem. Dwaj siedzący nieopodal mężczyźni popatrzyli na niego z przestraszeniem w oczach — i stuknęli się kufkami.

— Och, Charlie, przestań się wygłupiać! — Trąciła go łokciem pod żebra.

Kiedy już wypili piwo i wino i zjedli kanapki, poszła z nim na Exchange Station, gdzie było najłatwiej o taksówkę. Zanosiło się na śnieg i zrobiło się jeszcze zimniej. Charlie uznał taksówkę za skandaliczną ekstrawagancję i nie wahał się powiedzieć tego głośno.

— Zrobiła się z ciebie taka snobka, że już się nie chcesz po- spolitować z hołotą w pociągach i autobusach. Czyżbyś zapomniała, że jesteś dziewczyną z ludu?

Amy spojrzała na niego spod oka, po czym wzruszyła ramionami i uroczo się uśmiechnęła.

Przy wejściu na stację jej uwagę przykuł wielki napis „Linie Kolejowe Londynu, Midland i Szkocji”.

Tekst poniżej informował, że firmie bardzo brakuje ludzi:

**POTRZEBUJEMY MOTORNICZYCH, PALACZY, KONDUKTORÓW, KASJERÓW, PRACOWNIKÓW BIUROWYCH, STRAŻNIKÓW, OBSŁUGI WAGONÓW RESTAURACYJNYCH, SPRZĄTACZY. OSOBY ZAINTERESOWANE SĄ PROSZONE O ZGŁOSZENIE SIĘ W BIURZE NACZELNIKA STACJI, OBOK PRZECHOWALNI BAGAŻU.**

W dole, mały literkami dopisano jeszcze:

Niektóre z tych funkcji są dostępne także dla kobiet.

— Chyba podobałoby mi się jeżdżenie każdego dnia wagonem restauracyjnym do Londynu i z powrotem — Amy uśmiechnęła się szeroko.

— No coś ty! Moim zdaniem to by było koszmarnie nudne; a poza tym jesteś kobietą, więc prawdopodobnie skończyłabyś jako sprzątaczką.

— Och, Charlie, kochanie! Nie bądź takim marudnym pesymistą! A poza tym, dlaczego akurat sprzątaczką! Może mam inne ambicje, co? — złała brata. — Na miejscu Marion nie posiadałabym się ze szczęścia, gdybyś poszedł do wojska i znikł mi z oczu z tymi twoimi wiecznymi humorami. Zrzedzisz jak stara baba.

Wszystko wskazywało jednak na to, że dziś już nic nie poprawi Charliemu nastroju.

— Cześć — burknął na pożegnanie, pozwolił siostrze pocałować się w policzek i ruszył do pociągu, mruczając pod nosem, co też Marion by pomyślała, gdyby odmaszerował z żołnierskim plecakiem.

Amy jeszcze raz przeczytała ogłoszenie. Robota sama jej wpadała w ręce. Gdyby się uparła przy innym zajęciu, musiałaby szukać odpowiednich adresów, wysyłać formularze, podczas gdy praca dla Linii Kolejowych L.M.S. wymagała tylko przejścia przez stację i zapukania do drzwi.

Gdyby nie wypita dopiero co szklaneczka wina, być może zabrakłoby jej odwagi. Albo gdyby Charlie z nią został, może by ją zniechęcił, ale Charlie już poszedł, wino było wypite i teraz pomysł pracy na kolei wydawał się Amy niezwykle pociągający.

\* \* \*

Śnieg nie przestawał padać od tego dnia, kiedy się spotkała z Charliem, żeby kupić prezenty pod choinkę.

Minął już przeszło tydzień, a śnieg coraz bardziej sypał. Amy powiedziała w L.M.S., że chciałaby przystąpić do pracy dopiero po świętach, wtedy jednak — ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu — z miejsca zakwestionowano jej patriotyzm, co sprawiło, że poczuła się tak podle, iż zgodziła się zacząć od razu.

— Nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, jeśli pani zacznie w przyszłym tygodniu — powiedziano jej bez ceregieli; nie rozmawiała z naczelnikiem stacji (był zbyt zajęty, żeby rozmawiać z kimś tak mało znaczącym jak ona) tylko z jakimś gburowatym typem z chudą twarzą okoloną gęstą czarną brodą i z szorstkimi manierami o nazwisku Osbert Edwards.

Było poniedziałkowe przedpołudnie, dochodziło wpół do dwunastej. Amy jechała pociągiem z panem Edwardsem — nie wiadomo, dokąd, ponieważ z niezrozumiałych dla niej powodów nie chciał jej tego zdradzić.

— Sama pani zobaczy, jak dojedziemy — powiedział tajemniczo, gładząc czarną brodę. Miał też gęste czarne włosy i nie nosił munduru tylko popielaty garnitur.

Nazwy stacji, na których zatrzymywał się pociąg, brzmiały znajomo — aż do momentu, kiedy dotarli do Fazakerley, miejsca, o którym nigdy dotąd nie słyszała, podobnie jak o następnej stacji, Kirkby. Prawie nikt tam nie wsiadał ani nie wysiadał. „Ten pociąg musi być chyba całkiem pusty”, pomyślała. Okolica była płaska jak powierzchnia tortu wygładzona nożem i sprawiała wrażenie opustoszałej, poza tym wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu. Niemal żadnego większego budynku, jak okiem sięgnąć, tylko od czasu do czasu jakiś mały domek. Im bardziej się oddalali od cywilizacji, tym żałośniej czuła się Amy.

— Na następnej stacji wysiadamy — wyjaśnił w pewnej chwili pan Edwards.

Włożył melonik i wciągnął pocerowane, czarne rękawiczki. „Wygląda jak przedsiębiorca pogrzebowy...”, przemknęło przez głowę Amy. Wyobraziła go sobie, jak kroczy przed karawanem z posępnym obliczem.

Pociąg zaczął zwalniać i po paru chwilach już stał na stacji Pond Wood, o której istnieniu nie miała pojęcia. Pan Edwards otworzył drzwi i wysiadł, ale nie wykonał żadnego gestu, żeby pomóc Amy zejść ze stopni.

— Dziękuję, bardzo pan uprzejmy — powiedziała nie bez złośliwości. Albo nie usłyszał, albo miał to po prostu w nosie, ponieważ w żaden sposób tego nie skomentował.

Motorniczy, z twarzą czarną od sadzy, pomachał im i zawołał „Do zobaczenia, Ossie!”, a pomocnik spytał:

— Mamy cię zabrać z powrotem, Os?

— To zależy, jak długo to potrwa, Cyril.

Pociąg odjechał, buchając parą, a dym mieszał się z padającym śniegiem, tak iż trudno było nawet odróżnić jedno od drugiego.

Co to miało znaczyć, „To zależy, jak długo to potrwa”, zastanawiała się Amy.

Na wąskim peronie, na którym teraz stali, mieściła się miniaturowa poczekalnia i dwa dziwaczne, obłe kształty, które okazały się ławkami. Ukryte pod stertami śniegu

przywodziły na myśl puchowe pierzynki. Śnieg na peronie wyglądał na udeptany, co oznaczało, że tego ranka byli tu już jacyś ludzie. Ślady stóp wiodły do wygiętego w łuk kamiennego mostku, a inna ścieżka prowadziła do zejścia z peronu po przeciwnej stronie.

Amy się spodziewała, że pan Edwards skieruje się na tę właśnie ścieżkę. Tymczasem poszedł tam, gdzie peron się kończył, i wtedy zobaczyła, że przez szyny też prowadzi wąskie przejście, oczyszczone ze śniegu, i że stamtąd właśnie idzie powoli w ich stronę starszy mężczyzna w czapce z daszkiem. Zniknął w budynku na drugim peronie, po przeciwnej stronie stacji, gdzie znajdowała się kasa biletowa, odrobinę większa poczekalnia, toalety dla pań i panów i jeszcze więcej pokrytych grubszą warstwą śniegu ławek.

Przedostali się przez tory i weszli do budynku z kasą, słabo oświetlonego żarówką. Na kominku palił się ogień, a starszy pan siedział teraz w zniszczonym fotelu. Podniósł się szybko na ich widok, zdjął czapkę, ukazując czaszkę tak różową i gładką jak pupa niemowlęcia, i powiedział z szacunkiem:

— Dzień dobry, sir Edwards. Czy to ta młoda dama, o której mi pan mówił? .

— Tak, Maxwell, to panna Patterson. Zaczyna dzisiaj.

Amy była zbyt zaskoczona, żeby przypominać temu człowiekowi, że jest mężatką. Co niby takiego dzisiaj zaczyna? I co tu na litość boską robi?!

— Najpierw jej pokażę, o co chodzi w tej robocie, i będę wdzięczny, gdyby nam pan zaparzył herbaty, jeśli oczywiście pan ma.

— Herbaty nie mam, za to mleka w bród. Mogę je zagrzać na tym przenośnym piecyku. I nawet dam wam trochę kakao, jeżeli chcecie, chociaż właściwie została mi już tylko odrobinka.

— Doskonale, Maxwell, wobec tego napiję się kakao. A dla pani, panno Patterson?

— Pani Patterson — poprawiła go z naciskiem w głosie — Tak, panie Maxwell, z przyjemnością napiłabym się kakao, jeśli jest pan tak dobry. Bardzo dziękuję.

Kiedy pan Maxwell przyrządzał kakao, Amy zrozumiała wreszcie, że zaangażowano ją do pracy na stacji Pond Wood. Dwadzieścia lat temu było to zajęcie pana Maxwella, który przeszedł na zasłużoną emeryturę, kiedy osiągnął sędziwy wiek sześćdziesięciu pięciu lat. Ale młody narybek poszedł do pracy w fabryce amunicji za trzykrotnie większą pensję i pan Maxwell wrócił na stare śmieci. Teraz osiemdziesię-

ciopięcioletni staruszek nie dawał już sobie rady. Poza tym zaniedbał swój ogródek, który bardzo kochał.

— Nie, żebym miał w nim wiele pracy, nic z tych rzeczy. Zwłaszcza przy obecnej pogodzie — mówił ze smutkiem. — Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tutaj takiego śniegu. A mam już swoje lata...

Pokazano Amy, jak się wydaje bilety, jak ma czytać rozkład jazdy, jak działa piec, jak trzeba używać telefonu — tak jakby tego nie wiedziała — kiedy ma gwizdać, żeby dać sygnał, że pociąg może już opuścić stację, i że koniecznie ma pilnować, żeby wszystkie drzwi w pociągu były dobrze zamknięte — tak jakby się spodziewali, że będzie gwizdać, kiedy drzwi są jeszcze otwarte; gdzie trzyma się formularze zamówień na takie rzeczy, jak książki zwrotów, bilety, pióra, ołówki i atrament; gdzie się trzyma miotły do zamiatania peronu, płyn Harpie do czyszczenia toalet, klucz do nakręcania stacyjnego zegara i drabinę, żeby do niego sięgnąć, węgiel, sejf, w którym się w nocy przechowuje pieniądze... i tak dalej, i tak dalej, aż jej się kręciło w głowie od tych wszystkich wiadomości, jakie jej przekazywano w łące ekspresowym tempie.

— W innych okolicznościach musiałaby pani przejść miesięczne — albo jeszcze dłuższe — przeszkolenie, ale od kiedy trwa wojna, o żadnych naukach nie ma mowy — powiedziano jej bez ogródek.

Pociąg, którym jechali, wrócił tymczasem na stację z docelowego Wigan. Pan Edwards wskoczył do wagonu, ale zanim odjechał, uściśnął jej dłoń i życzył szczęścia w „nowym zatrudnieniu”.

Był to najgorszy rodzaj zatrudnienia, jaki Amy sobie wyobrażała. Myślała, że zostanie konduktorką tramwajową albo listonoszką, że już wkrótce będzie twarzą znaną setkom ludzi i że zawrze mnóstwo nowych znajomości, a może nawet przyjaźni. A tutaj co? W tej dziurze na samym końcu świata pewnie nikogo nie pozna. W każdym razie nikogo interesującego. Zdążyła się zorientować, że w Pond Wood nie stawał bynajmniej każdy pociąg. Niektóre tylko przejeżdżały, a ona musiała się wtedy upewnić — kiedy taki pociąg miał za chwilę wjechać na stację — czy w pobliżu nie ma żadnego dziecka, które mogłoby jeszcze wpaść na pomysł, żeby się bawić się na torach albo rzucać z mostka kamieniami w motorniczego.

— Musisz przez cały czas zachowywać przytomność umysłu, dziewczyno — tłumaczył cierpliwie William, marszcząc z powagą czoło. (Powiedział, że woli, by mu mówiła „William”, a nie „panie Maxwell”). — Nie możesz na przykład zaczytać się w jakiejś książce, bo wtedy nie zauważysz, co się dzieje na zewnątrz. Raz czy dwa, kiedy



żona mnie zastępowała — czasem się trochę źle czułem — brała ze sobą druty i robiła szalik. Nie, to była chyba kamizelka...

— A pan, co pan robi, kiedy jest pan na służbie? — nieśmiało zapytała Amy.

— Ja? Nic szczególnego. Po prostu sobie siedzę i myślę o swoim ogrodzie. Kiedy odchodziłem na emeryturę, kupili mi zamiast zegarka na rękę — albo takiego ozdobnego zegara, co to niektórzy stawiają na kominku — małą szklarnię. Siedzę więc i myślę o tym wszystkim po kolei — jak tam się sprawują moje pomidor ki, moje kabaczki i czy moje róże wezmą pierwszą nagrodę w przyszłym roku na letnich targach.

— Rozumiem — przyznała Amy jeszcze bardziej nieśmiało.

Mimo iż starała się ze wszystkich sił, nie była w stanie nawet sobie wyobrazić przyszłego lata. Wieczorem, punktualnie o szóstej dwadzieścia miała zamykać kasę biletową i wsiadać do pociągu o osiemnastej dwadzieścia siedem z powrotem do Liverpoolu. Nie mogła być tam dłużej, ponieważ do następnego ranka żaden pociąg już się nie zatrzymywał w Pond Wood.

Nazajutrz miała tam przyjechać o siódmej piętnaście pociągiem z Liverpoolu i otworzyć kasę.

\* \* \*

William wyszedł zaraz po pierwszej po południu.

— Elspeth już czeka na mnie z obiadem, ale później jeszcze raz tu wpadnę, żeby zobaczyć, jak sobie pani radzi — powiedział, wkładając zniszczony płaszcz i wełnianą czapkę ze sfatygowanym pomponem. — I na koniec dobra rada starszego kolegi — proszę spojrzeć na rozkład jazdy i wynotować sobie pociągi z Lime Street Station w Liverpoolu do stacji Euston w Londynie. Co najmniej raz dziennie telefonuje tu pan Cookson z Red House i pyta właśnie o te pociągi. Swego czasu w każdy poniedziałek jechał z Exchange Station na Lime Street Station, a potem wracał w piątki po spędzeniu pięciu dni w Londynie, gdzie pracował w banku Oriental. Już od dawna nie pracuje, biedny starowina. Mózg mu już nie działa jak należy.

Amy powiedziała, że zaraz to sobie zanotuje.

— I jeszcze coś — ciągnął staruszek — panna Cookson to siostra pana Cooksona. Pojechała dzisiaj do Wigan, żeby się zobaczyć ze swoją przyjaciółką, panną Everett, bo tamta ostatnio źle się czuła. Poznały się podczas podróży statkiem w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku, kiedy były jeszcze młodzietkami dziewczętami. Wróci pewnie do domu o drugiej dwadzieścia siedem, bo nie lubi chodzić po

ciemku. Strasznie bojaźliwa. No i oczy już nie te... Bardzo miła osoba, ta panna Cookson, ale gdyby jej pozwolić, gadałaby z panią aż do samego wieczora, kiedy krowy wracają z pastwiska, więc proszę z łaski swojej nie wdawać się z nią w pogaduszki, ale w miarę możliwości grzecznie.

— Zawsze jestem grzeczna — zapewniła go Amy.

Wyszedł z biura i zamknął za sobą drzwi.

Po kilku sekundach wsunął głowę do okienka kasowego.

— Aha, jeszcze Susan Conway! To bardzo ważne. Zabrała swoje maluchy do Liverpoolu, żeby się zobaczyć z matką. Wróci pociągiem o trzeciej czterdzieści pięć, więc bardzo proszę jej pomóc wystawić wózek z wagonu, dobrze? Dziś rano najmłodsze dziecko trochę kaszlało, więc lepiej, żeby było jak najkrócej na dworze. Straszna zimnica. No i tym samym pociągiem przyjadą dzieciaki, Ronnie i Myra McCarthy'owie. Puszczają je wcześniej ze szkoły. Myra to bardzo miła i grzeczna dziewczynka, ale Ronnie to prawdziwy łobuziak, chociaż też miły. Proszę nie zapominać, że jest pani teraz naczelnikiem stacji i nie pozwalać mu na żadne głupstwa. I proszę nie zapomnieć, że ten o pierwszej czterdzieści pięć będzie tu za trzy kwadransy. Usłyszysz pani, że nadjeżdża, jeżeli będzie pani uważnie słuchała. Musi pani przejść na drugi peron: albo przez tory, albo po moście. Powiedziałbym, że w taką pogodę po moście będzie bezpieczniej. Gdyby się pani poślizgnęła na szynach, noga mogłaby pani uwięznąć albo coś w tym rodzaju — a pociąg nie da rady się zatrzymać, zanim ją pani wyciągnie. Mój Boże, jakie ma pani maleńkie nóżki... A gdyby jacyś pasażerowie próbowali przechodzić przez tory, proszę koniecznie im powiedzieć, że to wbrew przepisom i że za coś takiego mogą trafić za kratki.

\* \* \*

Kiedy William wreszcie sobie poszedł, Amy postanowiła sobie twardo, że jak tylko wróci do domu, pierwsze co zrobi, to spadnie z wielkim hukiem ze schodów. Kapitan Kirby-Greene rzecz jasna natychmiast wezwie pogotowie, zabiorą ją do szpitala, a następnego dnia poprosi jedną z pielęgniarek, żeby zatelefonowała do pana Edwardsa i poinformowała go uprzejmie, że Amy miała nieszczęśliwy wypadek i że musi zrezygnować z pracy dla linii kolejowych L.M.S.

Mój Boże, to chyba najnudniejsze zajęcie na świecie! Popołudnie ciągnącej się w nieskończoność, nieprzerwanej nudy — i niezaspokojonego głodu. Nie pomyślała, żeby zabrać coś do jedzenia, wychodząc z założenia, że albo ją tu nakarmią, albo będzie mogła coś sobie kupić. Kłopot w tym, że spodziewała się zupełnie czegoś innego. Są-

dziła, że ją zawiozą do jakiejś cywilizowanej miejscowości, a nie do zapadłej dziury, o której nigdy w życiu nie słyszała.

Nalała resztkę mleka do rondelka i zagrzała je na piecyku. Kakao już wypili, ale i samo mleko było lepsze niż nic.

Pociąg o pierwszej czterdzieści pięć, zbliżając się do stacji, zagwizdał przeciągle. Zdrętwiała z zimna Amy włożyła czapkę i kurtkę, wiszące na drzwiach. Powinna je mieć na sobie, kiedy pociąg wjedzie. Były na nią o wiele za duże.

Przeszła mostkiem i ledwo zdążyła dotrzeć na drugi peron, kiedy pociąg się zatrzymał. Wsiadła z niego jakaś kobieta w pięknym futrze, pasującym do niego futrzanym kapeluszu i miękkich skórzanych botkach, podała Amy swój bilet, skinęła lekko głową, po czym ruszyła w górę ścieżką. Motorniczy i palacz spojrzeli z uznaniem na Amy, a następnie spytali, jak ma na imię. Kierownik pociągu pomachał do niej i postawił na peronie drewniane pudło. Amy sprawdziła, czy wszystkie drzwi są zamknięte, dmuchnęła w gwizdek, podniosła rękę i pociąg odjechał, sapiąc ciężko.

Podniosła pudełko. Miało pokrywkę z drucianej siatki. Wewnątrz znajdowało się około dwudziestu puchatych kurcząt, które musiały się dopiero co wykluć. Popiskiwały cicho, tłocząc się w pudełku, zbyt małym, żeby im było wygodnie. Przyczepiona doń etykieta informowała, że przesyłka jest dla pana P. Altona. Amy wzięła pudełko pod pachę, jakby w ten sposób chciała ogrzać kurczątko, po czym chwiejnym krokiem przeszła przez tory i w końcu dotarła do poczekalni. Stała tam ta elegancka kobieta, która wysiadła z pociągu. Najwyraźniej czekała na kogoś, kto ją miał zabrać.

Amy upadła na kolana, nadal trzymając pudło w ramionach.

— Ach! — zawołała przestraszona, widząc, że kurczęta są obsypane śniegiem. Wyglądały teraz jak śniegowe kulki.

— O co chodzi? — spytała kobieta i podeszła bliżej. Twarz miała perfekcyjnie umalowaną, chociaż nawet najgrubsza warstwa pudru nie byłaby w stanie ukryć zmarszczek wokół podbródka i pod oczami.

— To te biedne kurczątko — ze łzami w głosie jęknęła Amy. — Są takie maleńkie i bezradne!

Kobieta wniosła ze sobą zapach Chanel No. 5, ulubionych perfum Amy. Spojrzała na pudło.

— Rzeczywiście — powiedziała głębokim głosem. — Przypominają nas, ludzi. My też jesteśmy tak samo bezradni. Czasami czuję się tak, jakby to mnie wrzucono do

takiego pudełka, tak dalece nic nie mogę przewidzieć w sprawie własnego losu. — Spojrzenie jej piwnych oczu było pełne rozpaczy. — Pani się tak czasem nie czuje? — wyszeptała, wbijając w Amy tragiczne spojrzenie.

— Właściwie... nie — powiedziała cicho Amy.

Podjechał samochód i kobieta bez słowa wyszła na zewnątrz.

— Do widzenia, kochanie — usłyszała Amy jej słowa. Drzwiczki się zatrzasnęły i samochód odjechał.

Zaniosła kurczęta do kasy i ułożyła w pobliżu ognia. Miała wielką ochotę wziąć je do ręki, jedno po drugim i trochę popieścić, ale zanim wstała, drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta w tym samym płaszczu i wełnianej czapce, w których William poszedł do domu. Niosła garnek z wypalanej gliny przykryty białą serwetką.

Miała czerwoną jak burak twarz, oczy ciemnoniebieskie jak chabry, a wystające spod czapki włosy wyglądały jak jasnożółta słoma. Zapach rozchodzący się z garnka był dziesięć razy piękniejszy niż Chanel No. 5.

— Przyniosłam trochę gulaszu, laleczko — wesoło rzuciła kobieta. — Willie mówił, że nie przyniosłaś sobie nic do jedzenia. W środku są kluseczki. Lubisz jęczmienne?

— Uwielbiam — westchnęła Amy, chociaż nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała.

— To dobrze, siadaj, laleczko. Masz tu łyżkę. Zjadaj szybko, bo wystygnie. Chyba się domyślasz, kto jestem, no właśnie, jestem Elspeth, żona Williego. Jak leci? — Nie robiła przerw na oddechy, a tym bardziej nie czekała na odpowiedź. — Widziałam, jak odjeżdżał ten pierwsza czterdzieści pięć, więc sobie na pewno z nim poradziłaś. Nie zapominaj, że zaraz będzie ten druga dwadzieścia siedem i że musisz uważać na pannę Cookson i pilnować się, żeby cię nie zagadała na śmierć. Willie ci pewnie powiedział, że potem przyjeżdża Susan Conway. Była w Liverpoolu odwiedzić swoją mamę. Biedactwo, od pięciu lat mieszka w Pond Wood, a jeszcze ciągle tęskni za domem. Jeździ do matki w każdy poniedziałek i piątek. Czy to pani Shawcross dopiero co odjechała samochodem? Byłam jeszcze za daleko, żeby zobaczyć.

— Nie wiem, kto to był. Miała piękne futro.

— W takim razie to na pewno była pani Shawcross. Futro z norek, tak, tak. Musiało ją kosztować majątek i co z tego... Straciła troje dzieci, biedactwo. Czwarty przeżył, ale zginął podczas Wielkiej Wojny. Mnóstwo pieniędzy, ale ani pół grosika szczęścia.

W poczekalni rozległ się jakiś hałas. Ktoś stukał energicznie do okienka.

— Prawdopodobnie przysłali mi kurczęta z Wigan — powiedział jakiś męski głos z akcentem z Lancashire — ale jakoś nigdzie ich nie widzę...

— Są u mnie, w ciepłe! — zawołała Amy.

Elsbeth otworzyła drzwi i wpuściła do środka sympatycznie wyglądającego młodego wysokiego mężczyznę — co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Miał na sobie zielony przeciwdeszczowy płaszcz, solidne wysokie buty i tweedowy kapelusz z małym rondkiem. Kiedy zobaczył Amy, zarumienił się lekko i zaczął nerwowo szurać nogami.

— Witaj, Peter — rzekła Elspeth.

Peter przełknął ślinę i dalej szurał nogami. Zerwał z głowy kapelusz, po czym zaczął go obracać w palcach.

— Położyłam kurczęta przy ogniu, żeby im było ciepło — powtórzyła Amy. — Zabierze je pan samochodem?

— Przyjechałem ciężarówką — bąknął.

— Świetnie, wobec tego musi je pan położyć w szoferce, inaczej zamarzną — mówiła z powagą. — Ma pan może koc, żeby je nakryć?

— Nie... ale chyba znajdą się jakieś worki — powiedział z zadowoleniem. Wyraźnie się starał sprawić jej przyjemność.

— Doskonale. Myślę, że worki wystarczą.

— Ten młody człowiek jest taki samotny. A krew nie woda, tak, tak... Chłopak okropnie potrzebuje żony — stwierdziła Elspeth, kiedy Peter już odjechał z kurczakami. — Ale ty chyba nie jesteś zainteresowana? Och, teraz sobie przypominam, wybacz... Willie mówił, że jesteś już mężatką.

— Mój mąż jest w wojsku — wyjaśniła Amy.

Popołudnie upłynęło nadspodziewanie szybko. Kiedy już Elspeth sobie poszła, wkrótce nadjechał pociąg druga dwadzieścia siedem z Wigan. Panna Cookson okazała się dokładnie tak gadatliwa, jak to opisał William. Być może kiedyś Amy by to przeszkadzało, ale dzisiaj każdy sposób na zabicie czasu był dobry. Zwłaszcza że staruszka była naprawdę urocza.

Pomogła Susan Conway pchać wózek z dwójką małych dzieci i niemowlęciem ścieżką w górę w stronę mostu. Zaczynało być niebezpiecznie ślisko.

— Czy mogłabym tu przyjść i porozmawiać z panią o Liverpoolu, kiedy będzie miała pani chwilkę? — pytała Susan. — Od czasu, kiedy wyszłam za Johna, strasznie mi brakuje kina i sal tańca. Bądź co bądź, wychowałam się w mieście...

— Ależ oczywiście. Proszę przyjść, kiedy tylko pani zechce — odparła Amy.

Myra McCarthy i jej brat-łotrzyk Ronnie musieli się spóźnić na pociąg, bo przyjechali dopiero tym o piątej czterdzieści pięć. Ronnie był chyba zbyt głodny i zmarznięty, żeby się źle zachowywać. Dzieciaki spojrzały na nową panią naczelnik i pobiegły ścieżką do domu.

Amy wróciła do kasy. To był koniec jej pierwszego dnia pracy. Odebrała już tylko telefon z pytaniem o terminy pociągów z Lime Street Station w Liverpoolu do Euston w Londynie (była pewna, że to dzwoni pan Cookson) i obsłużyła kobietę, kupującą bilet powrotny do Liverpoolu.

— Idę z przyjaciółką do teatru i zostanę tam na noc — powiedziała do Amy.

Amy schowała pieniądze do sejfów, zgasiła ogień, zamknęła drzwi i zaczęła na pociąg odjeżdżający o szóstej dwadzieścia siedem do Liverpoolu.

\* \* \*

Kapitan Kirby-Greene — jakże by inaczej! — natychmiast wyjrzał ze swojego mieszkania, kiedy tylko Amy weszła na schody.

— No, i jak było? — pytał.

Amy miała ochotę powiedzieć, że było okropnie — zimno, głodno nudno i w ogóle, że nienawidzi każdej minuty tego dnia. Zamiast tego, ku swemu zaskoczeniu, odparła z uśmiechem:

— W porządku. Jestem teraz naczelnikiem stacji.

Zrozumiała nagle, że właśnie to pomogło jej przetrwać dzień, że dzięki temu nie wsiadła do pierwszego pociągu do Liverpoolu i nie wróciła do domu. Była naczelnikiem stacji. „Naczelniczka” nie brzmiałoby tak dobrze. „Naczelnik” — o wiele lepiej. Postanowiła, że zaraz po kolacji napisze do Barneya długi list, w którym o wszystkim mu opowie.

## Rozdział 9

MAJ 1971

*Pearl*

— Kim była?! — zawołałam.

— Naczelnikiem stacji. — Charles się roześmiał. — Nie wiedziałaś? Myślałem, że ktoś ci o tym mówił.

— Nie. — I rzeczywiście. Nie miałam pojęcia, że moja matka była w czasie wojny naczelnikiem stacji. A to dopiero niespodzianka! Zawsze wyobrażałam sobie naczelników stacji jako poważnych panów w średnim wieku, czasem z bokobrodami i w okularach ze szkiełkami w kształcie półksiężyców, ale nigdy jako śliczną młodą kobietę z burzą jasnych włosów. — Ile wtedy miała lat? — spytałam, czując coś na kształt podziwu.

Był wieczór i razem z Charlesem wrywaliśmy chwasty w ogródku.

Chwasty były zmorą jego życia. Nienawidził ich z całego serca, chyba najbardziej ze wszystkiego w świecie. Klęczałam na trawie i wykopywałam te przekłete paskudztwa starą łyżką, kiedy nawet energiczne szarpnięcie nie wystarczyło, żeby je ruszyć z miejsca. Ponieważ była środa, Marion została dłużej w pracy, gdzie grała w badminton. Uprawiała ten sport od lat i nadal była w nim beznadziejna.

— Była taka młoda — odparł Charles. — Miała dopiero osiemnaście lat.

— Czy nie powinna była mówić o sobie, że jest naczelniczką stacji?

— Być może, ale wolała mówić, że jest naczelnikiem. Problem w tym — ciągnął dalej — że w końcu się dowiedzieliśmy, że niedawno poroniła. Tymczasem Amy zabrała się do tej nowej pracy całym sercem i duszą. Zaczęła w grudniu. Mój Boże, to była najokropniejsza zima, jaką ktokolwiek z nas kiedyś przeżył. Śnieg sypał bez przerwy, aż do marca. Amy codziennie rozpalala ogień na palenisku w kasie biletowej, odśnieżała perony, nakręcała zegar stacyjny... — Uśmiechnął się serdecznie. Pisywała wtedy długie, bardzo długie listy do twojego taty...

— Czy ktoś jeszcze je ma? — przerwałam mu w pół zdania. Mogły trafić do wuja Harry'ego albo do dziadka Pattersona. — Tak bardzo chciałabym je przeczytać!

— O ile wiem, chyba nie, kochanie.

— Czy pracowała tam przez całą wojnę?

— Nie, tylko jakieś dziewięć miesięcy. Zaprzyjaźniła się ze wszystkimi. Pond Wood to właściwie nawet nie była wieś, ot, raptem kilkadziesiąt domków, parę gospodarstw... Tamtego lata jej stacja wyglądała jak sielankowy obrazek, cała w kwiatkach. Przyjeżdżaliśmy tam często, żeby ją odwiedzać. Jeździliśmy pociągiem — ja, nasza mama, Jacky i Biddy, jakiś starszy pan — kapitan marynarki, który mieszkał w tym samym domu, co Amy... Marion pojechała tylko raz. — Zacisnął wargi i rzekł z odzieniem pogardy: — Chyba wiesz, że ona i twoja matka nigdy się nie lubiły. — Naprawdę mnie zaskoczył. Bardzo rzadko wyrażał się krytycznie o Marion. — Tam właśnie Jacky poznała swojego obecnego męża, Petera, na stacji Pond Wood. Wydaje mi się, że z początku próbował się zalecać do twojej mamy, ale wtedy była już przecież żoną twojego taty.

— Wiedziałam o tym poronieniu — powiedziałam, nie patrząc na niego. Były o nim wzmianki w gazetach, w sprawozdaniach z procesu.

— No tak. Ale wtedy nikomu o tym nie powiedziała. Do diabła! — zaklął. — Zakląłem się kdlcem. — Zaczął ssać palec.

— Powinieneś zakładać rękawice, tak jak ja.

— Tylko mięczaki pracują w ogrodzie w rękawiczkach. No, i kobiety... — puścił do mnie oko. — A wiesz, że twoja matka codziennie jeździła taksówką na stację Exchange, żeby zdążyć do pracy, a potem też taksówką wracała do domu? Podejrzewam, że na ten luksusowy w tamtych czasach środek lokomocji wydała dużo więcej, niż zarobiła na kolei. — Oczy mu się nagle zaszklily. — Och, Pearl, tak bardzo bym chciał, żebyś знаła wtedy swoją matkę. Była taka cudowna, taka pełna życia!

\* \* \*

Minęły już ponad trzy tygodnie od czasu, kiedy moja matka napisała do Charlesa, obiecując, że „wkrótce się odezwie”. Cathy Burns podejrzewała, że matka musi być w jakimś szpitalu, „że jej tam coś robią, czego nie chciała sobie zrobić w więzieniu”.

— Ale co to takiego? — zapytałam. Wykorzystywałam wolny czas — „okienko” — w czwartek po południu. Pierwsza klasa miała lekcję śpiewu w sali gimnastycznej i moja obecność nie była konieczna.

Minęła długa chwila, zanim Cathy powiedziała, że jedyne, co jej przychodzi na myśl, to operacja usunięcia macicy, ale zaraz dodała, że jej zdaniem byłoby głupotą czekać z tym aż do wyjścia.



— No, a ty, Pearl? Co byś ty zrobiła, gdybyś wyszła z więzienia po dwudziestu latach?

— Myślę, że przede wszystkim chciałabym się pozbyć więziennego odoru — odparłam po krótkim namyśle. — Przestać go wreszcie czuć. No, a potem kupowałabym sobie góry ciuchów i kosmetyków, chodziłabym do fryzjera. O, takie tam babskie sposoby na poprawę nastroju — zakończyłam raczej mało przekonująco, bo to zabrzmiało strasznie banalnie.

— No, ale to wszystko nie wymagałoby aż tak długiego czasu. W każdym razie nie trzech i pół tygodnia, nie sądzisz?

— Być może chciała gdzieś wyjechać na spóźnione wakacje... — dałam jej pod rozwagę.

Cathy Burns była dużo bardziej zaniepokojona nieobecnością mojej matki niż cała reszta „zainteresowanych”. Charles traktował to raczej na luzie i mówił:

— Znając Amy i życie, mogę się założyć, że pojawi się dopiero wtedy, kiedy będzie naprawdę chciała.

Harry był równie beztroski.

— Najważniejsze, że nic jej się nie stało. Gdyby wydarzyło się coś niedobrego, na pewno byśmy o tym wiedzieli.

— A jeśli pojechała się zobaczyć z Jacky i Biddy? — zastanawiała się moja dyrektorka. — Może jest w Kanadzie?

— Gdyby się tam wybierała, nie robiłaby z tego tajemnicy. Jestem o tym przekonana.

— Chyba masz rację. ,

Zauważyłam, że w popielniczce Cathy leżą tylko trzy niedopałki. Brawo! Nareszcie zaczęła mniej palić, mimo iż jej przyjaciółka gdzieś zniknęła. A może już się przyzwyczaiła do tej myśli?

\* \* \*

Następnego rana ku mojemu przerażeniu Gary Finnegan wszedł do klasy, kulejąc. Zobaczyłam krew na jego prawej skarpetce. Przywołałam go skinieniem ręki.

— Gary, co ci się stało?

— Potknąłem się, proszę pani.

Tak samo jak wtedy, kiedy go spytałam o rozciętą wargę, unikał mojego wzroku. Wyglądał jak kłębek nieszczęścia. Patrząc na jego osowiałą minę, uznałam, że muszę jak najszybciej coś z tym zrobić. Po prostu wiedziałam, że to nie był upadek. Prosiłam przedtem Joan Flynn, żeby na niego zwróciła uwagę na przerwach. Powiedziała, że dzieci go na ogół ignorują.

— Mam wrażenie, że jest bardzo samotny — mówiła — ale przecież nie możemy zmuszać dzieci, żeby się z nim bawiły. Z doświadczenia wiem, że to tylko pogorszy sytuację. Pewnego dnia go zaakceptują, miejmy nadzieję, że jeszcze przed końcem semestru. Do tego czasu będzie już jednym z nich.

Zsunęłam jego szarą skarpetkę. Kostka była spuchnięta i mocno krwawiła. Byłam przekonana, że ktoś go kopnął. Wyszłam z klasy i zawołałam jedną ze starszych dziewczynek, która właśnie szła korytarzem.

— Czy mogłabyś zaprowadzić tego chłopca do sekretariatu i poprosić panią Miller, żeby opatrzyła mu kostkę? Powiedz, żeby najpierw polała mu ranę środkiem odkażającym, a potem nałożyła plaster. Zresztą, ona już sama będzie wiedziała.

— Oczywiście, proszę pani — wyrecytowała dziewczynka.

Sarah Miller była w naszej sokole sekretarką i miała w swoim biurze apteczkę pierwszej pomocy.

Kazałam Gary'emu zaraz po tym wracać do klasy i zabrałam się do prowadzenia lekcji.

Mieliśmy rysunki. W klasie nie było już takich ławek, jakie pamiętałam z moich szkolnych lat tylko cztery stoły, pomalowane na różne kolory — czerwony, niebieski, żółty i zielony; przy każdym z nich siedziało siedmioro lub ośmioro dzieci. Każde dostawało duży arkusz papieru do rysowania, klej, kredę, kwadraciki wycięte z kolorowego kartonu, plastikowe nożyczki i inne potrzebne drobiazgi. Dzieci miały naklejać te kwadraciki na papier, tak żeby wykleić dom, a tło zamalować kredą.

— Wczoraj wieczorem zrobiłam coś takiego. Spójrzcie. — Pokazałam im wyklejony w ten sposób domek. Zawsze się musiałam hamować, żeby poskromić mój perfekcjonizm, akurat w tym przypadku całkiem niepedagogiczny, bo wtedy dzieci się zniechęcały. — Mój dom ma czerwony dach, ale wy możecie go zrobić w takim kolorze, w jakim chcecie. Możecie narysować drzewa albo bawiące się dzieci, a na niebie chmury czy słońce.

— Proszę pani, czy mogę narysować samochód przed domem, tak jak go parkuje mój tatuś?

— Możesz, Barry.

— A czy ja mogę narysować huśtawkę w ogrodzie? Bo my mamy prawdziwą huśtawkę. Tata ją zrobił...

— Oczywiście, że możesz, Heather.

„Małe popisywanie się”, pomyślałam rozbawiona.

Spacerowałam po klasie. Zawsze mnie zaskakiwało, kiedy widziałam, jak niektóre dzieci zabierają się do pracy szybko i sprawnie, używając kartoników jak cegiełek i przyklejając je do papieru, z drugiej strony zaś byłam zmartwiona nieporadnością innych uczniów. W zawołowany sposób dawałam tym słabszym rady, żeby nie poczuli się jeszcze gorzej, ale myślały, że te sugestie pochodzą od nich samych.

Na moim zegarku dochodziło wpół do dziesiątej. Gary już dawno powinien był wrócić do klasy.

Może Sarah Miller była czymś zajęta i kazała mu czekać? Nie mogłam się powstrzymać od spoglądania na zegarek. Po kilku minutach wyszłam na korytarz, zostawiając otwarte drzwi do klasy i pobiegłam do sekretariatu, który znajdował się tuż obok gabinetu panny Burns. Gary'ego tam jednak nie było.

— Widziałaś Gary'ego Finnegana? — spytałam zaniepokojona.

Sarah była uroczą babcią ze srebrnymi włosami. Wszyscy ją bardzo lubili.

— Tak, ale już jakiś czas temu. Odprowadziłam go do twojej klasy, ale tylko wskazałam mu drzwi i prosiłam, żeby sam wszedł. Akurat zadzwonił telefon i musiałam lecieć do sekretariatu. To znaczy, że nie wrócił na lekcję? — zdziwiła się. Musiała to wyczytać z mojej twarzy.

— Niestety, nie wrócił. Słuchaj, Sarah, czy mogłabyś sprawdzić toalety chłopców i wszystkie inne miejsca, jakie ci tylko przyjdą do głowy? Bardzo cię o to proszę. Ja muszę gnać do swojej klasy, zanim zaczną rozrabiać.

— Dobrze, zaraz to zrobię.

Wybiegła z sekretariatu, a ja popędziłam do klasy, w której — o dziwo! — było cicho jak makiem zasiał. Dziecięce główki pochylały się nad robotą. Wątpię, czy którekolwiek z nich w ogóle zauważyło, że wychodziłam.

\* \* \*

Wkrótce się okazało, że Gary Finnegan przepadł jak kamień w wodę. Przeszukano metr po metrze całą szkołę. Przejrzano nawet szafy, a także pokój nauczycielski, schowek pod sceną w sali zebrań, toalety dziewczynek i chłopców, pomieszczenie na bojler i schowek na węgiel, w którym latem trzymano przybory do sprzątanania.

Kiedy Sarah Miller mi o tym powiedziała, poprosiłam, żeby jak najszybciej poinformowała dyrektorkę. Cathy Burns bezzwłocznie przybyła do mojej klasy. Wszędzie panowała atmosfera zdenerwowania.

— Jak myślisz, gdzie on do diabła może być? — spytała zduszonym głosem. W jej piwnych oczach dostrzegłam strach.

Ja też się modliłam, żeby Gary'emu nie stało się nic złego.

— Spodziewam się, że poszedł do domu — odparłam. — Jeśli bardzo mu się spieszyło, powinien już tam być.

— Sarah dzwoniła do jego domu, ale linia była przez cały czas zajęta.

Chciało mi się płakać na samą myśl, że ten mały chłopczyk pobiegł sam do domu, w dodatku ze skaleczoną kostką. Musiał być naprawdę bardzo< nieszczęśliwy, skoro uciekł. Na pewno chciał po prostu przytulić się do taty, swojego jedyne przyjaciela, i nie pomyślał o konsekwencjach.

— On... nie czuł się dobrze w naszej szkole — westchnęłam. — Myślę, że dzieci się nad nim znęcały. — Poczułam się naprawdę winna. — Powinnam była od razu zareagować, kiedy to się zdarzyło pierwszy raz.

— Kiedy to było?

— W zeszłym tygodniu. Poprosiłam wtedy Joan Flynn, żeby go obserwowała na przerwach.

Powiedziałam też Gary'emu, że chcę rozmawiać z jego tatą, ale pewnie nie przekazał tego ojcu.

— Pearl, przestań się oskarżać — ciepło powiedziała Cathy. — Masz pod opieką trzydzieścioro dzieci. To duża grupa. Nie możesz się zajmować każdym z nich. Chyba że chcesz wylądować w wariatkowie.

— Nie, ale... — zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć. To nie był najlepszy moment, żeby wyjaśniać jej sytuację Gary'ego. Bardzo możliwe, że Rob Finnegan nie powiedział w szkole, że jego synek nie ma już matki.

Do klasy weszła Sarah Miller; przyniosła adres Gary'ego i Cathy powiedziała, że zaraz tam pojedzie.

— A może ja to zrobię? — Położyłam rękę na ramieniu Cathy.

— Proszę pani?!

— Tak, Heather? — Na śmierć zapomniałam o swojej klasie. Starłam się ze wszystkich sił nie okazywać zniecierpliwienia.

— A czy ja muszę rysować dym z komina? Z naszego komina nie leci dym, bo my mamy w naszym domu centralne ogrzewanie.

— Nie musisz rysować niczego, czego nie chcesz, Heather — mruknęłam. Byłam coraz bardziej zdenerwowana. Odwróciłam się do Cathy. — Czy mogłabym pojechać do domu Gary'ego? — spytałam jeszcze raz. — Tak się składa, że kilka razy rozmawiałam z jego ojcem, można więc uznać, że właściwie go znam.

— Jeśli chcesz, kochanie. Ja się zajmę klasą. Ach, widzę, że budujecie domy. — Uśmiechnęła się serdecznie do dzieci i zaczęła spacerować od stołu do stołu. Przy każdym zatrzymywała się na chwilę, podziwiając prace uczniów, udzielając rad i wskazówek. Była cudowną, natchnioną nauczycielką. — Pospiesz się, Pearl — poganiała mnie. — Gdyby go nie było w domu, daj mi znać, wtedy zadzwonię na policję.

\* \* \*

Na policję powinni byli zadzwonić ci, którzy widzieli, jak prowadzę samochód. Gnałam na łeb na szyję do domu Gary'ego na Sandy Lane.

Był to stary bliźniak z dwoma dzwonekami na tabliczce przy drzwiach. Panna E. Finnegan, przeczytałam nazwisko na dolnym dzwonku. Nacisnęłam dwa razy. Rob Finnegan otworzył mi prawie natychmiast. Trzymał Gary'ego na rękach. Biedny chłopczyk miał oczy czerwone i spuchnięte od płaczu. Kiedy mnie zobaczył, schował głowę na ramieniu ojca.

— Tak? — krótko spytał Rob. Patrzył na mnie wrogo.

— Wie pan, dlaczego tu jestem... — powiedziałam słabym głosem. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że można zemdleć z ulgi. Musiałam się przytrzymać drzwi. — Czy mogłabym od pana zatelefonować do panny Burns, naszej dyrektorki? Powiedzieć, że Gary jest w domu? Wszyscy się o niego strasznie martwiliśmy.

— Chyba trochę za późno — mruknął. Odsunął się, robiąc mi przejście. — Proszę, może pani skorzystać z telefonu. Jest we frontowym pokoju.

Ten pokój był niewątpliwie salonem. Stał tu niski kredens, a na nim telewizor; poza tym szafka na książki i mały stolik z trzema krzesłami oraz kanapa, jeszcze rozłożona i z kupką pościeli pośrodku. Przypomniałam sobie, że Rob pracuje w nocy. Musiał jeszcze spać, kiedy jego synek przybiegł do domu.

Na gzymsie kominka stał czerwony telefon; odwrócona do góry słuchawka leżała obok. To dlatego linia była stale zajęta. Nakręciłam drżącymi palcami numer szkoły. Sarah Miller natychmiast odebrała. Powiedziałam jej, że z Garym wszystko w porządku, że jest cały i zdrowy.

— Chwała Bogu! — westchnęła. Obiecałam, że wrócę najszybciej jak można, ale ona odparła: — Jestem pewna, że panna Burns życzyłaby sobie, żebyś została tak długo, jak będzie trzeba.

Pożegnałam się i odłożyłam słuchawkę na widełki. Rob układał właśnie Gary'ego w łóżku. Biedne dziecko mrużyło oczy ze zmęczenia. Wydarzenia tego ranka zupełnie go wykończyły.

Rob otulił go kocem, przyłożył palec do ust i dał znak, żebym podeszła do drzwi. Poczłapałam za nim korytarzem, a on wszedł do niewielkiej kuchni, w której panował niezły chlewik. Zatrzymałam się przy drzwiach.

— Przepraszam za ten bałagan — rzekł krótko. — Nie spodziewałem się gości. — Postawił czajnik na gazie. — Napije się pani herbaty? Proszę nie myśleć, że jestem taki gościnnie, po prostu sam mam ochotę na herbatę, a byłoby nieelegancko nie zaproponować jej też pani. Mówiąc otwarcie, wolałbym, żeby pani sobie poszła, ale chciałbym się dowiedzieć, co się stało. Dlaczego nikt nie dopilnował mojego syna? Kiedy przyszedł do domu, był w okropnym stanie. W jaki sposób udało mu się wyjść ze szkoły i przejść całą drogę do domu, nie zwracając niczyjej uwagi? Mój Boże, co za straszna znieczulica! Chyba nie muszę mówić, że już go nie pošlę do tej szkoły.

Było tak, jakby zatrzasnęła się między nami niewidzialna krata. Przecież tak się dobrze dogadywaliśmy, byliśmy prawie przyjaciółmi... a teraz stałam się jego wrogiem.

Wytłumaczyłam mu pokrótce, co się wydarzyło.

— Na dobrą sprawę nie można zarzucić pani Miller, że go zaniedbała. Zaprowadziła Gary'ego z powrotem pod drzwi klasy, tyle tylko, że go zostawiła na korytarzu. Musiała wracać do swoich obowiązków. Kiedy się zorientowałam, że Gary znikł, natychmiast zaczęliśmy przeszukiwać całą szkołę. Kiedy go nie znaleźliśmy, dzwonił tu, ale linia przez cały czas była zajęta.

— Odłożyłem słuchawkę, żeby mnie nie budziły jakieś telefony, kiedy chcę się porządnie wyspać po pracy. Zresztą zawsze tak robię. — Kiwnęłam tylko głową. Nie chciałam, żeby myślał, że mam do niego pretensję, że nie odebrał telefonu. — A co się stało z kostką Gary'ego? — spytał jeszcze.

— Myślę, że ktoś go kopnął. W zeszłym tygodniu miał rozkrwawioną wargę. Nie zauważył pan tego? — spojrzałam zdziwiona na Roba. — Kiedy go spytałam, jak to się stało, odpowiedział, że upadł.

— Powiedział mi to samo, to znaczy wtedy o skaleczonej wardze. O kostce jeszcze nie rozmawialiśmy. Z kolei jakiś czas temu miał na ramieniu wielkiego siniaka. Tłumaczył, że uderzył się o drzwi. Nie potrafi się przyznać, że to sprawka jakiegoś chuligana. Chryste Panie! — Oczy mu zapłonęły gniewem. — Co za straszne życie ma to dziecko! Najpierw umiera nagle jego matka, potem musimy wyjechać z Ugandy, którą bardzo kochał. Męczymy się w tej ciasnocie i zatruwamy życie mojej siostrze, bo póki co nie chcę wynajmować, nie chcę tracić pieniędzy, które mogą mi być w każdej chwili potrzebne na kupno domu. A teraz znęcają się nad nim w szkole jakieś łobuzy. Do diabła, ten dzieciak ma dopiero pięć lat! Ile jeszcze musi wycierpieć?!

W tym momencie miałam wizję.

To była wizja małej dziewczynki, stojącej w drzwiach, dokładnie tak, jak teraz stałam, ale ona zaciskała z całych sił swoje małe piąstki, a szeroko otwarte usta krzyczały — najgłośniej jak można. Też miała pięć lat, a krzyczała, bo nie mogła nic zrozumieć i była śmiertelnie przerażona. Nie mogła zrozumieć, dlaczego życie jest takie okrutne. Uczyli ją przecież o Bogu, ale w tej chwili, kiedy tak krzyczała, krzyczała i krzyczała, nie myślała o Nim; krzyczała, aż poczuła mdłości, aż zaczęło ją boleć gardło. Nikt nie był w stanie jej pocieszyć. Ludzie próbowali ją brać na ręce, ale odpychała ich ze złością. Były tylko dwie osoby na świecie, którym pozwoliłaby się zbliżyć do siebie — mama i tata. Ale jej tata był teraz martwy, a mama gdzieś sobie poszła.

— Co się pani stało?

Zapomniałam, gdzie się znajduję. Zamrugałam oczami — i znalazłam się z powrotem w jakimś obcym domu, z obcym mężczyzną, który patrzył na mnie z ciekawością. I z przestrawem.

— Nic — mruknełam.

Tym mężczyzną, jak sobie właśnie przypomniałam, był Rob Finnegan, a ta część domu, w której teraz staliśmy, należała do jego siostry, Bess. Z jakiegoś powodu za-

uważyłam, że Rob jest bosy, jasne włosy ma rozczochrane, a dżinsy i biały podkoszulek pogniecione. Już się nie wydawał rozgniewany.

— Pani krzyczała — powiedział.

— Naprawdę? — Potarłam policzki wierzchem dłoni. — Myślałam o czymś...

— To musiało być coś strasznego. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem na czyjeś twarzy takiego przerażenia, takiej strasznej rozpaczki.

W jego głosie brzmiało znużenie. Miał za dużo własnych zmartwień, żeby jeszcze do nich dodawać problemy neurotycznej nauczycielki swojego syna.

— Chyba już pójde — wymamrotałam. — Tak mi przykro z powodu Gary'ego, naprawdę... Jeśli zdecyduje się pan posłać go jutro do szkoły, obiecuję z ręką na sercu, że nie spuścimy go z oka.

I oczywiście postaram się jak najszybciej rozwiązać problem znęcania się nad pańskim synem.

— Nie odchodź.

Byłam już w połowie drogi do drzwi, kiedy chwycił mnie za ramię.

— Nie możesz teraz prowadzić, wyglądasz koszmarnie. Zostań, napij się herbaty. O, widzisz, woda się już zagotowała. Możemy ją wypić w ogródku, bo tutaj nawet nie ma gdzie usiąść, chyba że w sypialni Bess. No, chodź — nalegał, ciągnąc mnie za ramię, kiedy stanęłam, nie wiedząc, co robić.

Zaprowadził mnie do pięknego ogrodu, pełnego starych drzew i rozrośniętych krzewów. Ostra trawa musiała być niedawno skoszona. Żywopłot pokrywały gęsto białe jak śnieg kwiaty. Przed tylnym wejściem do domu stał szerniały ze starości stół, otoczony ławkami. Kiedy rano wychodziłam z domu, przywitała mnie piękna pogoda — i teraz też tak było. Czas płynął niepostrzeżenie, nawet nie wiedziałam, ile godzin już tu jestem. Drzewa rzucały na trawę długie cienie, podobne do koronki.

Podobało mi się tu dużo bardziej niż w ogrodzie Charlesa z jego czyściutkim trawnikiem otoczonym białymi kamyczkami, który wyglądał, jakby był wycięty nożem. Mój wujek regularnie wszystko przycinał, odchwaszczał i strzygł. Ogród był jego dziełem.

Ten natomiast wyglądał tak naturalnie, jakby stworzył go sam Bóg.

— Jeśli tu siądziemy, będę słyszał, gdyby Gary się obudził — mówił Rob. — Za minutkę wracam z herbatą. Tylko broń Boże nie uciekaj... — zażartował.



Dopilnował, żebym usiadła, po czym wszedł z powrotem do domu. Uprzednia wrogość w stosunku do mnie gdzieś zniknęła. Rob był teraz bardzo miły i cierpliwy.

Zgodnie z obietnicą po minucie już był z powrotem, z herbatą w pomarańczowych kubkach.

— Uznałem, że nie słodzisz, skoro nie słodziłaś kawy.

— Zgadza się. Twoja herbata wygląda na dobrą i mocną. — Wypiłam łyk. — Dziękuję.

— Co się z tobą działo przed chwilą? Wyglądałaś strasznie. Jakbyś zobaczyła ducha... — Spojrzał na mnie z niepokojem. — Mam nadzieję, że to nie przez moje humory. Nie powinienem był tak na ciebie napadać. To nie twoja wina, że Gary wrócił do domu; myślę, że w ogóle nikt tu nie zawinił. Po prostu coś mu wpadło do głowy i dlatego tak zrobił. Ale to jasne jak słońce, że czuje się tam nieszczęśliwy. Zazwyczaj to pogodny i bardzo dobry chłopiec.

— Tak, bardzo dobry — przytaknęłam. — Prawdziwy aniołek.

— Nigdy mi o sobie nie opowiadałaś — powiedział nagle. — No cóż, właściwie nie było też takiej okazji. Kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, wtedy w kawiarni, rozmawialiśmy tylko o mundurkach szkolnych, drugi raz — o klubie Cavern i o rock'n'rollu, a za trzecim razem byłaś z przyjaciółką, wracałyście z kina i gadaliśmy o filmach. Wspomniałaś tylko o jakimś Charlesie i o kobiecie — nie zapamiętałem jej imienia — z którymi mieszkasz. Myślałem, że to twoi rodzice, do których po prostu mówisz po imieniu. Dziś wiele osób tak robi. Widocznie taka moda...

— Charles i Marion to moje wujostwo. Ale słuchaj, po prostu to, że... — nie wiedziałam, jak to powiedzieć — to, że przed chwilą straciłam nad sobą kontrolę, wcale nie znaczy, że musisz coś robić w tej sprawie. Zresztą i tak niewiele byś pewnie pomógł. Naprawdę bardzo mi przykro. Masz i tak dosyć na głowie. — Zaczynałam być coraz bardziej zmieszana, jakbym z każdym słowem się przed nim obnażała — a w końcu stała przed nim nago.

— Gary i ja wiele razem przeszliśmy i na pewno damy sobie radę i z tym — odparł z przekonaniem. — Najgorsze, że kiedy ktoś go zaatakuje, mój syn za nic w świecie nie odda. Nie ma w sobie cienia agresji.

Z wnętrza domu dobiegło wołanie: „Tato!” i po chwili głośniejsze „Tato?”.

— Już idę, synku! — Rob skoczył na równe nogi, po czym zniknął w domu.

Wstałam i przeszłam się po ogrodzie. Nie był duży, ale dzięki drzewom i krzewom wyglądał jak mały park. Stałam pod liśćmi i patrzyłam przez nie na słońce, na to, jak światło się przez nie przesiewa, tracąc swoją ostrość. Odrzuciłam ramiona w tył, jakby zrzucając z nich ciężar, który czułam po tym przywołaniu wizji małej dziewczynki, mnie samej, kiedy miałam pięć lat, płaczącej z całego serca. W końcu Charles wziął mnie na ręce, mocno objął, a ja się do niego przytuliłam... Musiałam się wtedy przytulić do kogokolwiek.

Na trawie leżała biało-czarna piłka futbolowa. Kopnęłam ją lekko, uderzyła w pień drzewa. Wróciła. Kopnęłam znowu. Nadal kopałam, kiedy pojawił się Rob. Miał na nogach białe tenisówki.

— Wsadziłem Gary'ego do wanny — wyjaśnił. — Był cały gorący i aż się lepił. Teraz się bawi swoją plastikową kaczuszką. — Uśmiechnął się szeroko. — Właściwie to moja zabawka, ale czasem mu ją pożyczam. Pójdę do niego na chwilę. Można?

Kopnęłam piłkę w jego stronek. Przez chwilę wydawał się z nią tańczyć, podrzucając to jednym, to drugim kolaniem, głową, a potem znowu kolanami.

Wtedy właśnie zaświtał mi w głowie ten naprawdę cudowny pomysł...

# Rozdział 10

1939-1940

*Amy*

Z Pond Wood i innych stacji po drodze do Liverpoolu jeździło codziennie nie więcej niż kilkadziesiąt osób, a jeszcze mniej podróżowało w przeciwnym kierunku, do Wigan. Dzieci do szkoły w Upholland woził specjalny autobus, ale dla wszystkich innych mieszkańców tej maleńkiej miejsciny, którzy nie mieli samochodu, jedynym środkiem lokomocji był pociąg.

A ponieważ nawet szczęśliwi posiadacze czterech kółek nie mogli teraz jeździć swoimi autami z uwagi na żenująco skromne przydziały benzyny, liczba pasażerów pociągów rosła w szybkim tempie.

Rano Amy łapała pociąg, który o siódmej piętnaście odchodził ze stacji Exchange. Kiedy pół godziny później wysiadała w Pond Wood, na peronie numer dwa czekało już kilka osób, które tym samym pociągiem jechały do Wigan.

Pogoda była stabilna. Śnieg albo padał, albo zaraz miał zacząć padać, albo właśnie przestał. Ponieważ o tak wczesnej porze kasa nie była jeszcze otwarta, pasażerowie kupowali bilety już poprzedniego dnia bądź też płacili na ostatniej stacji. Niektórzy mieli bilety miesięczne.

O ósmej dwadzieścia siedem w poczekalni chronił się przed śnieżycą już niewielki tłumek oczekujących na pierwszym peronie na następny pociąg do Liverpoolu. Wśród nich był pan Clegg, makler giełdowy — zawsze w meloniku i ze składanym parasolem, pani Feathers, sekretarka Towarzystwa „Liverpool Yictoria Friendly”.

Resztę pasażerów stanowiły przede wszystkim młode dziewczyny i paru chłopców, pracujących w sklepach lub biurach w Liverpoolu. Byli tam też Ronnie i Myra McCarthy'owie, którzy wysiadali w Sandhills i łapali kolejny pociąg do Waterloo, gdzie uczęszczali do liceum; poza tym dwaj serdeczni przyjaciele, Berny Carter i Andrew Woods, którzy jechali tylko do następnej stacji, do Kirkby — pracowali w tamtejszej fabryce amunicji.

Przez całą resztę przedpołudnia pojawiali się jeszcze inni ludzie, głównie kobiety, niektóre z małymi dziećmi, jadące do sklepów w mieście, na targ w Wigan albo z wi-

zytą do krewnych. Amy rozdawała dzieciom cukierki i pomagała wstawiać wózki do wagonu.

W soboty pociągami jechali przede wszystkim mężczyźni — na mecze piłki nożnej albo rugby, a także młodzież — na tańce w Reece albo na poranki filmowe.

Ostatni pociąg z Liverpoolu, który stawał w Pond Wood, wyjeżdżał ze stacji Exchange o piątej piętnaście po południu. Można było też złapać dużo późniejszy pociąg do Kirkby, a potem przejść jeszcze pięć kilometrów piechotą, ale nawet ci, którzy lubili nocne wędrówki, teraz z nich rezygnowali w obawie przed nieuniknioną w nocy zamiecią śnieżną. Nic dziwnego, nikomu się nie uśmiechało brnięcie przez ogromne zaspę.

W okolicy nie było żadnego baru. Kiedy Amy wybierała się w drogę powrotną do Liverpoolu, większość mieszkańców już siedziała w domach i nie widać było ani jednego światełka. Pond Wood stawało się wtedy jakby miastem duchów, niesamowicie pięknym w świetle księżyca. Przez cały czas, kiedy tam pracowała, nigdy nie oddalała się od stacji, w obawie że może trzeba będzie odebrać jakiś ważny telefon. Tylko z rozmów z wiedziała, że domy w tej miejscowości są najróżniejszych wielkości: od malutkich, krytych strzechą chałupek, niezmiennych od czasu ich wybudowania w zeszłym stuleciu, przez skromniejsze domki, aż do dużych, wolno stojących rezydencji, otoczonych\*pięknymi ogrodami. Było też kilka odosobnionych gospodarstw rolnych.

Kiedy się wybierała do domu, zawsze zostawiała obie poczekalnie otwarte, ponieważ William Maxwell jej powiedział, że czasami korzystają z nich zakochane pary. Do tej pory nie znalazła wprawdzie żadnych dowodów czyjejś bytności, ale nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę pogodę, która nie zachęcała raczej do amorów. Nawet tych najbardziej napalonych.

W niedzielę stacja była zamknięta; był to jedyny wolny dzień Amy.

Leżała w łóżku tak długo, aż trzeba się było zbierać na ostatnią mszę. Potem szła na obiad na Agatę Street, skąd wcześniej wracała do domu, sprzątała swoje mieszkanie i robiła małą przepierkę. Tak wyglądało teraz jej życie, z wyjątkiem sobotnich wieczorów, kiedy teść zabierał ją czasem ze stacji Exchange i razem szli na kolację.

Czasem myślała, że życie Barneya jest tak samo nudne i bez sensu.

\* \* \*

Minęły trzy tygodnie. Amy pamiętała już nazwiska wszystkich pasażerów, a oni znali ją po imieniu. Kiedy robiło się zimniej, a śnieg gęściej sypał, zapraszała pasażerów

rów do pokoiku kasowego, gdzie mogli czekać na pociąg, grzejąc się przy piecu. Pierwszą rzeczą, jaką Amy robiła zaraz po przyjeździe na stację, było rozpalenie ognia. William jej opowiedział, że przed wojną w porze zimowej palono również w kominach znajdujących się w obydwu poczekalniach, ale teraz nie starczało na to opału. Amy odetchnęła z ulgą. Dawniej nigdy nie rozpałała ognia, więc rozniecanie jednego w zupełności jej wystarczało. Zawsze strasznie się z tym biedziła, chociaż z każdym dniem szło jej coraz lepiej. Ale trzy to byłoby już stanowczo za dużo!

Susan Conway, która wyszła za mąż za farmera i mieszkała w maleńkiej chatynce, co najmniej razy dziennie przychodziła z dzieckiem na stację, żeby porozmawiać z Amy. Całym sercem tęskniła za Liverpoolem i za niczym tak nie przepadała, jak za rozmowami o tym mieście. Wykrzykiwała co chwila: „No, czy to nie jest zbieg okoliczności? Niebywałe!”, kiedy się okazywało, że ona i Amy były kiedyś w tym samym kinie albo spacerowały po tej samej ulicy, jakby Liverpool był jakąś gigantyczną metropolią i jakby prawdopodobieństwo, że obie się znalazły w tym samym miejscu, wynosiło jeden do tysiąca.

\* \* \*

Barney nie przyjechał do domu na Gwiazdkę.

Dostał wprawdzie przepustkę na czterdzieści osiem godzin, ale dotarcie do Liverpoolu z Aldershot, gdzie teraz stacjonował, i powrót w ciągu dwóch dni, w dodatku przy tak pieskiej pogodzie, graniczył z cudem. Nie było sensu nawet o tym myśleć. Amy, równie dobrze jak wszyscy — a może jeszcze lepiej — wiedziała, na jakie trudności natrafiają pociągi — zasypane śniegiem tory, zablokowane tunele i zwrotnice, i tak okropnie pozamarzana sygnalizacja, że nie sposób jej było ruszyć z miejsca.

Niektóre trasy były w ogóle nieprzejezdne.

W Liverpoolu zasypany śniegiem sięgały tak wysoko, że całkiem zasłaniały okna na parterze i mieszkańcy, odsłaniając rano zasłony, mieli wrażenie, że są w eskimoskim igloo.

Pociągi Amy często się spóźniały (teraz myślała o pociągach, które przejeżdżały przez jej stację jako o „swoich”).

*W każdym razie — pisała w liście do Barneya — wydaje mi się, że trzeba będzie otworzyć stację w dniu Bożego Narodzenia, chociaż jakoś sobie nie wyobrażam, żeby ktoś się tam wtedy pokazał. Mogłabym zamknąć kasę trochę wcześniej niż zwykle, już o czwartej dwadzieścia siedem, a nie o szóstej dwadzieścia siedem jak codziennie, ale tylko tyle. Elspeth, żona Williama, obiecała*

*mi przynieść kawałek indyka. Nigdy dotąd nie jadłam świątecznego indyka i naprawdę już się nie mogę doczekać na ten rarytas.*

Nie przestawała myśleć o tym, że gdyby nie była naczelnikiem stacji, mogłaby pojechać do Surrey i spotkać się z Barneyem. Droga powrotna do Liverpoolu mogłaby potrwać nawet cały tydzień, ale jakie to w końcu miało znaczenie? Dla niego poszłaby na koniec świata...

Przysłał jej w prezencie mały złoty zegareczek z rozsuwanym zapięciem. Domyślała się, że musiał być horrendalnie drogi. „To zegarek koktajlowy”, napisał jej w liście. Amy stale go teraz nosiła, chociaż czasem się zastanawiała, czy nie powinna go zarezerwować wyłącznie na większe okazje. Ona kupiła Barneyowi parę skórzanych rękawiczek na futerku. Do każdego palca wsunęła zwiniętą w rulonik karteczkę z wyznaniem miłości. Zaczęła też robić mu szal na drutach — mama jej pokazała, co i jak. Była prawdziwą mistrzynią dziergania. Barney obiecał, że w Boże Narodzenie zatelefonuje, ale nie miała pojęcia, o której godzinie.

\* \* \*

Cathy napisała z Keighley w Yorkshire, opowiadając, jak cudownie tam spędza czas. Pracowała w biurze finansowym i uczyła się pisać na maszynie:

*Dziewczyny, z którymi kwateruję, są strasznie zabawne. Wiezorami chodzimy przeważnie do barów, z wyjątkiem sobót, bo wtedy w bazie są tańce. Zwożą tu autobusami żołnierzy i na każdą dziewczynę wypada po dziesięciu facetów, jest więc w czym wybierać. Ale najbardziej mi się podoba, że mam całe łóżko tylko dla siebie. Uczciwie ci mówię, Amy, to naprawdę cudowne móc spać samej...*

Harry już ukończył podstawowe szkolenie i teraz był w obozie wojskowym na peryferiach Leeds. Krążyły pogłoski, że po Bożym Narodzeniu jego kompania zostanie wysłana do Francji.

Amy patrzyła na wyblakłą mapę, która wisiała na ścianie w pokoju kasowym i odkryła, że Keighley i Leeds są położone bardzo blisko siebie. Odnosiła wrażenie, że Harry nie jest zbyt zachwycony wojskiem, dlatego — żeby poprawić humor temu miłemu chłopakowi — postanowiła mu napisać, gdzie stacjonuje Cathy. Jeśli zechce, będzie mógł ją odszukać.

W dzień Bożego Narodzenia przyjechała na stację Pond Wood podczas zamieci śnieżnej.

Przed drzwiami kasy czekała na nią cała sterta paczuszek!

Panna Feathers zrobiła dla niej na drutach uroczy pokrowiec na czajnik do herbaty, Benny Carter i Andrew Woods kupili jej pudełko czekoladek Cadbury, a Elsie Paddick, która co tydzień jeździła na tańce do Reece, sprezentowała jej buteleczkę perfum Soir de Paris. Wprawdzie Amy już od dawna nie używała tanich zapachów jak Soir de Paris, bo odkąd została panią Patterson, wybierała tylko te z najwyższej półki, więc po krótkim namyśle postanowiła dać je w podarunku jednej z sióstr, ale szybko zmieniła zdanie. To był naprawdę piękny, szczodry gest; jak mogłaby oddać komuś te perfumy? Z uśmiechem odkręciła flakonik i skropiła się obficie, zanim zabrała się do rozpalania ognia i nakręcania zegara.

Po jakimś czasie wzeszło słońce i przez krótką chwilę Pond Wood iskrzyło się pięknie w jego promieniach.

Pojawiły się kolejne prezenty. Pan Clegg, wyglądający osobliwie w czapce kominiarce zamiast melonika, przyniósł jej butelkę porto; Myra McCarthy poczęstowała ją kawałkiem świątecznego ciasta; wreszcie jakaś kobieta, której nie rozpoznała w pierwszej chwili, dała jej wielką pomarańczę.

— Pani zawsze częstuje moją wnuczkę cukierkami, kiedy matka ją zawozi do szpitala — powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. — Jestem pani bardzo wdzięczna.

Susan Conway, razem z mężem i dziećmi przyszli na stację, żeby złapać pociąg o dwunastej dwadzieścia siedem do Sandhills.

— Jedziemy na świąteczną kolację do mojej mamy — szepnęła jej Susan, kupując bilety. — Udało mi się namówić Johna, żebyśmy zostali na noc. Jestem taka przejęta!

John był ogorzałym trzydziestoletnim mężczyzną, który całkiem oniemiał na widok kobiety naczelnika stacji.

Amy sprzedała więcej biletów, niż początkowo przypuszczała. Wszyscy ci ludzie jechali z wizytą do swoich krewnych. O pierwszej przyszła Elspeth z obiadem — pieczony indyk i pieczone ziemniaki ze wszystkimi dodatkami. Prawdziwa świąteczna uczta!

— Tę brukselkę ugotowałam z samego rana — mówiła Elspeth. Siedziała w fotelu i opowiadała wszystkie miejscowe ploteczki, podczas gdy Amy zajadała ze smakiem przyniesione przez nią frykasy. — Gladys Pinter urodziła dziecko, ale Doris Sparrow nie. Wszyscy myśleli, że jest przy nadziei, a ona po prostu tylko utyla. Skończy się na tym, że zrobi się gruba jak beczka, jeśli nie przestanie się tak obżerać. Och, a Peterowi Al tonowi ktoś zwędził kurę. Peter uważa, że to jakiś cwaniaczek z Kirkby, który chciał ugotować jego kokoszkę na świąteczny obiad!

Kiedy tylko Amy skończyła jeść, Elspeth oznajmiła, że najwyższy czas wracać do Williego. Zabrała talerz i zniknęła, wesoło podśpiewując pod nosem.

„Jak też oni żyją?“, zastanawiała się Amy.

Nie mieli dzieci, nie słuchali radia, w ich chatce nie było ani gazu, ani elektryczności, a Elspeth chyba jeszcze nigdy nie jechała pociągiem. Dużo gotowała, natomiast William zajmował się ogrodem, tylko tyle o nich wiedziała. Czy czytają, grają w karty, śpiewają pobożne pieśni? Czy udzielają sfę w swojej parafii?

Na samą myśl o tym Amy ogarnęło przygnębienie.

\* \* \*

O trzeciej czterdzieści pięć przyjechał pociąg z Liverpoolu i Amy mogłaby przysiąc, że zanim jeszcze pociąg się zatrzymał, usłyszała znajome podekscytowane głosy. Nie zdziwiła się więc na widok wysiadających z ostatniego wagonu swoich siostrzynek, ale była bardzo wzruszona ich wizytą. Że też chciało się im jechać tak daleko, tylko po to, żeby się z nią zobaczyć w Boże Narodzenie! Były niemal identycznie ubrane: w kapelusze, rękawiczki i szaliki, robione na drutach w skomplikowany norweski wzór.

— Barney nam je przysłał na Gwiazdkę — szebiotła Bidy. — A dla mamy piękną emaliowaną puderniczkę i taką samą szminkę! Teraz mama, ile razy ktoś na nią spojrzy, zaraz pudruje sobie nos i podmalowuje usta.

— I zaprosiła na obiad takiego okropnego faceta z pracy — zawołała Jacky. — Nazywa się Billy Martin. Po prostu musiałyśmy się wyrwać z domu.

— On w ogóle nie przestaje gadać! — wykrzyknęła Bidy, chociaż kto jak kto, ale Amy dobrze wiedziała, że akurat w tym przypadku, jak mówi stare porzekadło: przyganiał kocioł garnkowi.

Jacky zachichotała.

— Częstował nas papier oskami!

— Zostaje na podwieczorek i w ogóle — oznajmiła Bidy. — Chyba jest strasznie napalony na mamę, ale cicho, sza...

— Jaki jest? — dopytywała się Amy. Wizyta sióstr była dla niej wielką radością. Większą mogliby jej sprawić jedynie mama i Barney.



— No, napalony! To znaczy, że chce jej zaproponować coś brzydkiego — wyjaśniała Bidy. — Mój Boże, Amy, czy nie sądzisz, że to miejsce jest strasznie przygnębiające? To przecież koniec świata.

— Chodźcie ze mną do pokoju kasowego na drugim peronie. Tam jest naprawdę uroczo i ciepłutko.

Za trzy kwadransy miały pociąg powrotny do Liverpoolu — o czwartej dwadzieścia siedem po południu, ale zostało jeszcze dość czasu na małe przyjęcie.

Amy otworzyła butelkę porto i czekoladki, po czym podzieliła ciasto na trzy kawałki. Sama prawie nic nie piła. Bądź co bądź, była na służbie, a obsługa stacji w stanie nawet lekkiego upojenia alkoholem dowodziłaby całkowitego braku odpowiedzialności.

Śpiewały właśnie *Jingle Bells* kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Amy otworzyła. W drzwiach stał Peter Alton. Był ubrany w czarny kapelusz z szerokim rondem, długi tweedowy płaszcz do kostek i kalosze.

— Przyniosłem trochę jajek. — Wręczył jej tekturowe pudełko. — Wesołych Świąt, Amy — wybąkał, przełykając głośno ślinę.

— Jajka! — zawołała Amy. Była wzruszona. Na kartki można było kupić jedno jajko na tydzień, tymczasem to pudełko było tak ciężkie, że w środku musiał być ich co najmniej tuzin! Dziękuję. Naprawdę bardzo, bardzo dziękuję! To moje siostry, Jacky i Bidy — przedstawiła mu dziewczęta, ściśnięte na jednym fotelu, z otwartymi ustami, ponieważ nagle wkroczenie Petera przerwało im w połowie śpiewanie kolędy. — To Peter Alton. Jest farmerem. Proszę wejść, Peter. Może szklaneczkę porto?

— Tak, z miłą chęcią. — Wydawał się bardzo zadowolony z zaproszenia. — W domu trochę nudno. Moja siostra i szwagier przywieźli slajdy ze swojej podróży do Grecji i teraz pokazują je bez końca.

— O tak, to musi być śmiertelnie nudne! — zawołała Jacky ze współczuciem. Wpatrywała się w Petera w taki sposób, jakby go chciała schrupać. — Proszę usiąść! — powiedziała, poklepując oparcie fotela.

Zadzwoił telefon; tak głośno i przenikliwie, że wszyscy aż podskoczyli. Amy modliła się w duchu, żeby to nie była wiadomość o opóźnieniu pociągu o czwartej dwadzieścia siedem; tymczasem dzwonił jej teść, mówiąc, że chciałby ją odebrać ze stacji Exchange i zaprosić na kolację.

— Co myślisz o hotelu Adelphi? Czy to ci odpowiada?

— Z pewnością, tylko... wiesz, Barney obiecał, że dzisiaj zatelefonuje, więc chciałabym być w domu.

Z tego samego powodu nie planowała dziś wizyty u matki. Zastanowiła się, co takiego pani Elizabeth Patterson robi w dniu Bożego Narodzenia, że jej mążzonek ma cały wieczór wolny i może ją zaprosić na kolację.

— Wobec tego przyniosę kolację do ciebie — oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Odłożyła słuchawkę.

Jacky i Peter mieli na twarzy wypieki. Sprawiali wrażenie rozpalonych do czerwoności jak płonący dom; Biddy była chyba trochę wkurzona. Amy usłyszała dochodzący z daleka przeciągły gwizd lokomotywy, oznaczający, że nadjeżdża pociąg.

Jacky właśnie mówiła do Petera:

— Czemu nie mógłbyś z nami pojechać? No, nie daj się prosić! Możesz przenoćować w łóżku naszego Charliego. Ożenił się we wrześniu i wyprowadził z domu — wyjaśniała pospiesznie.

Amy wzięła się za sprzątanie. Poprosiła, żeby dziewczęta włożyły płaszcze. Peter spytał, czy może skorzystać z telefonu. Osobie, która odebrała, powiedział, że wróci dopiero jutro i szybko odłożył słuchawkę, by uniknąć pytań, dokąd to się mianowicie wybiera.

— Chodźcie już!

Amy wyprowadziła gości na dwór i zamknęła drzwi na klucz. Po kilku minutach pociąg wjechał na stację. Kiedy się zatrzymywał, Amy usłyszała, że w kasie znowu dzwoni telefon, nie było już jednak czasu, żeby go odebrać. To mógł być ktoś, kto się chciał dowiedzieć, jakie plany ma Peter albo pan Cookson z pytaniem o następny pociąg do Londynu.

Mógł też to być Barney...

Ale gdyby to był on, na pewno zadzwoni dziś wieczorem do domu. Oby! Reszta jej w tym momencie nie obchodziła.

\* \* \*

Harry Patterson nie miał najmniejszej ochoty na bratanie się ze swoimi kolegami z wojska. I wcale nie dlatego, że był snobem, ale naprawdę miał z nimi bardzo mało wspólnego i nie wiedział, o czym mogliby rozmawiać — z wyjątkiem zdawkowych

uwag o okropnej pogodzie. W końcu przestali go zapraszać na drinka, ponieważ zawsze odmawiał, przekonany, że jego organizm tego nie wytrzyma. Zwłaszcza wątroba... Wyglądali na takich, co to potrafią urznąć się w trupa, a następnego dnia wstać z samego rana, jakby nigdy nic.

Jednak znalazł przyjaciela — i to dobrego.

Jack Wilkinson miał dwadzieścia pięć lat, dwa lata więcej niż Harry. Właściwie z nim też nie miał wiele wspólnego. W gruncie rzeczy Harry czuł się przy Jacku jak niedorajda i sierota boża. Za to Jack był facetem z charakterem — i samoukiem. Przestał chodzić do szkoły w wieku trzynastu lat, walczył po stronie socjalistów w wojnie domowej w Hiszpanii i czytał O powstawaniu gatunków Darwina, Kapitał Marksa, Mein Kampf Hitlera i mnóstwo innych ważnych książek. W każdym razie próbował...

Harry utrzymywał, że wprawdzie zaczynał czytać niektóre z tych dzieł, ale nigdy nie miał czasu, żeby je skończyć. Jego ulubionymi autorami byli Raymond Chandler i Dashiell Hammett, autorzy powieści kryminalnych.

Jack wyglądał jak worek kości. Twarz miał mizerną i pomarszczoną, sprawiał wrażenie dwa razy starszego, niż był w rzeczywistości, i trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek w życiu zjadł przyzwoity posiłek. Zaczynał już nawet łysieć.

Mimo to jednak kobiety uważały go za niezwykle atrakcyjnego, podczas gdy Harry, który miał na głowie gęstą brązową czuprynę i był na swój spokojny sposób przystojny, rzadko budził choćby słabe zainteresowanie u kobiet. W którymś momencie swojego życia zaczął podejrzewać, że dziewczyny woła po prostu „niegrzecznych chłopców”.

W dzień Bożego Narodzenia jedli razem lunch w mesie i rozmawiali o sytuacji na froncie. Harry uważał, że Hitler najpewniej się podda, kiedy do jego pustej mózgowicy wreszcie dotrze, co go czeka ze strony Brytyjczyków, ale Jack tylko się uśmiechał i twierdził, że to nonsens.

— Mieliśmy już przedsmak potęgi militarnej Niemców. Trzeba czegoś znacznie więcej niż to, co może obecnie zaproponować ten kraj, żeby załatwić takiego drania jak Hitler — mówił ponuro. — Chciałbyś się wybrać wieczorem na drinka, kolego?

— Cóż, prawdę mówiąc, Jack — odparł Harry, odrobinę zmieszany — wpisałem się już na listę chętnych na tańce do Keighley. Stacjonuje tam przyjaciółka mojej bratowej. Jest w A.T.S. Pomyślałem, że miło będzie się z nią spotkać.

— A wiesz, że to świetny pomysł! — zawołał Jack z entuzjazmem. — Mówią, że w tangu jestem diabłem wcielonym. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli z tobą pojedę?

— Pewnie, że nie!

Harry dotychczas myślał, że Jacka interesują tylko intelektualne rozrywki. W żaden sposób nie mógł go sobie wyobrazić na parkiecie, jak wywija z jakąś dziewczyną ogniste tango argentyńskie.

\* \* \*

Tańce odbywały się w mesie. Nie była zbyt duża, a kiedy przyjechali żołnierze z Leeds, zrobiło się tak tłoczno, że trudno było oddychać. Na ścianach wisiały zielone i czerwone łańcuchy z papieru, a w rogu sali stała choinka. Harry był już zmęczony sterczeniem na tyle nieszczelnej ciężarówce, w której trzęsło tak, że rzucało nim na wszystkie strony, jakby był workiem kartofli. Wydawało mu się, że ta podróż trwa już całe godziny.

Jack zaprosił do tańca szczupłą blondynkę w cywilu i z dramatycznym rozmachem prowadził ją na parkiet. Orkiestra grała *You, the Night and the Music*\*<sup>4</sup>.

Harry dwukrotnie obszedł salę w poszukiwaniu Cathy, ale nigdzie jej nie znalazł. Wyszedł z mesy na zewnątrz, zastanawiając się gorączkowo, którądy powinien pójść. W dalszym ciągu nie mógł się przyzwyczaić do zaciemnienia. W tych tłumach majających w ciemnościach sylwetek było po prostu coś niesamowitego. Przechodzili obok niego i tylko słychać było ich głosy i urywki rozmów.

Możliwe, że Cathy jeszcze pracowała w swoim biurze finansowym. Raczej mało prawdopodobnie, ale należało spróbować. Zwrócił się do jakiejś kolejnej anonimowej osoby, gdzie takie biuro się mieści.

— Druga na prawo i pierwsza na lewo — brzmiała wyczerpująca odpowiedź.

To wyglądało na łatwe, „druga na prawo i pierwsza na lewo”, ale mimo że w tej krótkiej wędrówce pomogły mu oczyszczone ścieżki i sterty śniegu po obu stronach byłego trawnika, Harry zmitrężył dobry kwadrans, nim znalazł wreszcie drewniany budynek, który służył jako biuro finansowe.

---

<sup>4\*</sup> Popularna piosenka z 1934 roku z musicalu *Revenge with Music*, stała się potem jazzowym standardem.

Podobnie jak wszystkie inne budynki w obozie, również ten był zaciemniony, jednak ze środka dobiegały głosy, śmiech i dźwięki muzyki. Po krótkich poszukiwaniach znalazł drzwi i głośno zastukał.

Drzwi się lekko uchyliły i jakiś męski głos rzekł:

— Wybacz, kolego, ale to prywatne przyjęcie.

Drzwi się zatrzasnęły. Harry podrapał się w głowę, a potem zaczął w nie walić jeszcze głośniej.

— Szukam Cathy Burns! — krzyknął.

W środku rozległ się szmer kroków i drzwi się znowu uchyliły.

— Harry! — syknął inny głos, tym razem damski. — Harry Patterson!

Z wnętrza wysunęła się jakaś ręka, po czym wciągnęła go do słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym — jak się zorientował po chwili — biurka zostały poodsuwane pod ściany, a po środku trzy pary tańczyły pod melodię *Whispering Grass*<sup>5</sup>, graną przez przenośny patefon, stojący na jednym z biurek. Czyjeś ramiona objęły go za szyję, ktoś go pocałował w policzek.

— Cudownie, że jesteś! — zawołała Cathy Burns.

Wyglądała teraz zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy ją spotkał na molo w Southport. Czy to naprawdę było zaledwie osiem miesięcy temu? Wyglądała teraz doroślej — o wiele doroślej. Czy to możliwe, żeby urosła? Wtedy mu się spodobała, aczkolwiek zrobiła na nim wrażenie dość niepozornej osóбки, ukrytej w cieniu swojej pięknej przyjaciółki; podobnie jak Harry, który całe życie przeżył w cieniu swego uroczego brata.

Teraz byli oboje szeregowcami w wojsku, a w pobliżu nie było ani Amy, ani Barneya.

— W sąsiednim pokoju są przekąski, chociaż pewnie już niewiele zostało — powiedziała Cathy. Miała na sobie śliczną kremową bluzkę i spódniczkę z tweedu. Harry też wolałby być teraz w cywilnym ubraniu i nawet trochę jej zazdrościł. — Tylko tyle, żeby zaspokoić pierwszy głód. — Wzięła go za rękę i zaprowadziła do drugiego pokoju, gdzie wręczyła mu papierowy talerzyk. Harry nałożył sobie kielbasę, kanapkę z

---

<sup>5</sup>\*Popularna piosenka z 1940 roku.

sardynką i kawałek ciasta z dżemem. — Może masz ochotę na wino? — spytała Cathy. — Udało nam się zdobyć kilka butelek, ale tylko czerwone.

— Fantastycznie... — mruknął Harry z pełnymi ustami. Właśnie pałaszował kanapkę z sardynką. I rzeczywiście, było tu naprawdę bardzo przyjemnie; zupełnie inne życie niż to, które wiódł po pójściu do wojska. Miał wrażenie, że ten wieczór będzie bardzo miły.

Cathy przedstawiła go zebranym — było tam około dwudziestu osób.

— To jest Harry! — zawołała. — Znamy się z Liverpoolu. Nie będę sobie zawracać głowy podawaniem mu waszych imion, bo i tak by ich nie spamiętał.

Kobiety były tu bardzo wyemancypowane, co skonstatował już po kilku minutach. Zapraszały mężczyzn do tańca, rozmawiały z nimi bez cienia kokieterii. Dyskutowały na temat wojny, swojej pracy i polityki. Nikt nie wspominał o fatalnej pogodzie. Harry przesiedział tam mniej więcej godzinę, kiedy wreszcie wyłączono patefon i jakiś młody chłopak o głosie bardzo podobnym do Binga Crosby'ego zaśpiewał *Two Sleepy People, We'll Meet Again i There's a Boy Coming Home on Leave*<sup>\*6</sup>.

Harry miał nigdy nie zapomnieć tego chłopaka.

Wyglądał najwyżej na szesnaście lat, ale w jego młodzieńczej twarzy i wspaniałym głosie było coś, co wyrażało całą okropność wojny i związane z nią emocje — poczucie straty, beznadziei, kiedy wszystko się toczy nie tak, i wielka radość, gdy sytuacja się poprawia — i znów budzi się nadzieja.

Do wpół do dwunastej w nocy, kiedy Harry musiał już wyjeżdżać, zdążył się zaprzyjaźnić ze wszystkimi, zwłaszcza z Cathy. Kilka razy tańczyli ze sobą. Obejmowała go rękami za szyję, kładła mu głowę na ramieniu, a on przytulał ją delikatnie do siebie.

— Nie chce mi się stąd wychodzić — szepnął.

— Ja też bym chciała, żebyś został — odszepnęła. — Może uda ci się znów do nas przyjechać któregoś dnia?

— Jeśli tylko będę mógł. — Nie miał pojęcia, czy transport do obozu odbywa się regularnie. Ale nawet gdyby tak nie było, zobaczy, może uda mu się kogoś namówić, żeby go tu podrzucił. — Lada chwila mogą nas wysłać do Francji.

---

<sup>6</sup>\*Wszystko to są piosenki z lat 1938, 1939, 1940 popularne w Anglii podczas wojny.

— Będzie mi ciebie brak. — Roześmiała się chrapliwie. — To tylko żart; przecież do tej pory spotkaliśmy się zaledwie jeden raz.

— Byłem głupi. Od tamtego dnia na molo powinienem był nie wypuszczać cię z rąk.

— Zawsze miałam taką nadzieję.

Harry sięgnął po płaszcz.

— Naprawdę muszę już iść.

Cathy poszła z nim aż do ciężarówki zaparkowanej przed mesą.

— Wesołych świąt! — powiedziała i pocałowała go w usta.

— I szczęśliwego Nowego Roku. — Oddał jej pocałunek. Byli stale popychani przez grupę żołnierzy, przeważnie w dość kiepskim stanie, ładujących się z trudem na ciężarówkę.

— Żegnaj, Harry. — Przez chwilę zatrzymała jego rękę w swoich dłoniach.

— Cześć, Cathy.

Harry żałował, że jest tak ciemno. W dzień mógłby ją zobaczyć w pełnej krasie. Gdyby tylko stacjonował nie tak daleko od niej... Gdyby nie było wojny...

Ba... „Gdyby babcia miała wąsy”, pomyślał ze smutkiem.

\* \* \*

Okazało się, że ciężarówka zabierała mężczyzn do Keighley na kolejną zabawę, w sylwestra, zapisał się więc; poza tym wysłał wiadomość do Cathy, żeby wiedziała, że tam będzie. Jack też zadeklarował natychmiast swoją gotowość.

Niestety w środę, na cztery dni przed sylwestrem, żołnierze otrzymali rozkaz, żeby pozbierać swoje manatki i przygotować się do wyjazdu. Następnego ranka byli już w drodze do Francji.

Tym sposobem w wieczór sylwestrowy Harry i Jack siedzieli w przytulnej francuskiej kawiarence, pośrodku jakiejś ziemi niczyjej, z dzbankiem wina na stole.

Kawiarnia była zapchana brytyjskimi żołnierzami. Ani jednej kobiety. Albo Francuzi starali się trzymać swoje żony, siostry i córki z dala od wojska, albo... może nawet nie było im wolno wchodzić do barów?

„Tak czy owak, to wcale niegłupi pomysł”, pomyślał odrobinę pruderyjnie Harry. On też nie chciałby widzieć żadnej ze swoich kuzynek w towarzystwie tej jazgoczącej hałastry. Żołnierze, zalani w sztok tanim winem, przypominali dzikie zwierzęta.

Zwierzył się Jackowi ze swoich myśli.

— Przesadzasz, chłopaki są w porządku — odparł Jack beztrąsko. — Wystarczy, żeby tylko ktoś zawołał: „Pijemy za króla i ojczyznę!”, a natychmiast zerwą się na równe nogi, trzeźwi jak świnie. Teraz są po prostu na luzie. — Spojrzał bystro na Harry'ego. — I ty powinienes się trochę wyluzować, chłopie. Jesteś sztywny jak kutas faceta z plemienia Gurkhów.

— To pewnie dlatego, że tak mnie wychowali — roześmiał się Harry, próbując z siebie żartować.

Jego przyjaciel miał chyba jednak rację. W pewnej chwili pijani żołnierze zaczęli śpiewać Marsylianę. Obsługa za barem stanęła na baczność, najwyraźniej oburzona tak prostackim wykonaniem ich hymnu narodowego.

Harry'ego ogarnęło nagle przygnębienie. Nigdy sobie nie pozwoli na takie „wyluzowane” zachowanie.

„W niczym nie jestem dobry”, pomyślał żałośnie.

Uczucie, jakie żywił do Cathy, było niczym w porównaniu z miłością jego brata do Amy. Cóż, mógłby być tylko połowicznym kochankiem. Dla dobra Cathy postanowił nie prowadzić z nią dalszej korespondencji, którą zaczął jeszcze w Anglii. Napisał do niej coś w rodzaju listu miłosnego. Tylko jeden list i to w bardzo umiarkowanym tonie, bez odrobiny spontaniczności. Musiał go cztery razy przepisywać, zanim uznał, że jest odpowiedni — no, powiedzmy, prawie odpowiedni.

Później, leżąc na posadzce kościoła, który wojsko zajęło na kwaterę dla niższych stopniem żołnierzy, wsłuchany w odgłosy kaszlu i przewracania się z boku na bok, w chrapanie, jęki i wszelkie inne odgłosy — czasem zupełnie nieeleganckie — jakie wydają śpiący mężczyźni, Harry pomyślał z przerażeniem, że te kilka godzin, które spędził w Keighley z Cathy Burns, mogłyby się stać największą

radością jego życia. Że już nigdy nie będzie taki szczęśliwy...

\* \* \*

Śnieg zaczął wreszcie topnieć, jak prorokowali wszyscy zmęczeni zimą. Trawa, która się spod niego ukazała, była soczyście zielona, a ziemia brązowa jak czekolada. Ulice wyglądały tak, jakby je ktoś przed chwilą solidnie wyszorował wodą z mydłem.



Przy peronach stacji Pond Wood pojawiły się przebiśniegi, a potem dzikie hiacyn-ty. William Maxwell przyniósł cebulki narcyzów i tulipanów, a następnie posadził je w drewnianych skrzynkach, które, jak ze zdziwieniem odkryła Amy, wisiały przyczepione do okien poczekalni, ale aż dotąd nie było ich widać spod grubej warstwy śniegu. Zupełnie jakby jakaś dobra wróżka wypowiedziała magiczne zaklęcie i zamieniła stację — a właściwie cały kraj — w zdumiewająco kolorowe miejsce, zaczarowaną wyspę, gdzie naprawdę warto byłoby żyć, gdyby nie wojna.

Widok budzącego się wszędzie życia przypomniawszy Amy o stracie dziecka. Gdyby nie poronienie, ich dziecko przysłoby niebawem na świat. Na pewno miałyby już kupione łóżeczko i różne inne rzeczy, których potrzebuje niemowlę... a mama zrobiłaby na drutach mnóstwo maleńkich ubranek. Pewnie już by się wyprowadziła z ich mieszka- nka na czwartym piętrze i przeniosła gdzieś indziej, w miejsce bardziej odpowiednie dla matki z dzieckiem, najlepiej do parterowego domku z ogródkiem — i nigdy nie dowiedziałyby się o istnieniu miasteczka Pond Wood ani o jego stacji.

Teraz jednak szorowała z zapalem obie poczekalnie, ustawiała słoje z kwiatami na gzymsach kominków i nie mówiła ani słowa nikomu, jak okropnie się czuje. Czowała się wręcz fatalnie od chwili, kiedy Barney zatelefonował pewnej nocy, gdy leżała w łóż- ku, nie mogąc zasnąć i powiedział, że go wysyłają do Francji.

— Nigdy nic nie wiadomo; może się tam zobaczę z Harrym — westchnął.

— Ale przecież tak dawno się już nie widzieliśmy! — parsknęła gniewnie Amy.

Siedziała w nocnej koszuli na wyściełanym stołeczku przy telefonie i z całych sił starała się powstrzymać łzy. Ostatni raz go widziała z okna. Ciemną postać, odchodzą- cą powoli w głąb ulicy zalanej księżycową poświatą; patrzyła za nim, aż zniknął w ciemnościach. Wystarczy sobie wyobrazić, że może już nigdy go nie zobaczy! Może wtedy się całowali ostatni, naprawdę ostatni raz?

— Wiem, kochanie — odpowiedział krótko.

— Uważaj na siebie, Barney...

W tej chwili pragnęła, żeby nie było na świecie takich urządzeń jak telefony. Było coś okropnego w tym, że mogła słyszeć jego głos, wiedząc przy tym, że jest od niej oddalony o setki kilometrów i że nie może go zobaczyć ani dotknąć. Mogła tylko so- bie przypominać, jak na nią patrzył swoimi piwnymi oczami, i czuć jego wargi na swoich.

Nie powiedzieli sobie nawet „do widzenia”, ponieważ połączenie niespodziewanie się przerwało. Na początku rozmowy ją ostrzegł, że ma przy sobie tylko trochę drob-

nych, mimo to jednak taki nagły koniec ją zaszokował. Nie chciała wierzyć, że już go nie usłyszy. Wołała kilka razy „Barney! Barney!”, ale to nie przywołało go z powrotem.

\* \* \*

W kwietniu Hitler dokonał inwazji na Norwęgii i Danię. Miesiąc później jego wojska maszerowały już przez Holandii i Belgię w kierunku Francji. W tym samym czasie premier Neville Chamberlain utracił wotum zaufania w swoim rządzie i jego miejsce zajął Winston Churchill.

Od czasu gdy Barney wyjechał, Amy nie zawracała sobie głowy czytaniem gazet, ale teraz codziennie kupowała „Daily Express” na stacji Exchange i czytała go w pociągu, w drodze do Pond Wood. O dziewiątej wieczorem, szykując się do snu, włączała radio i słuchała wiadomości. Dawniej interesowały ją wyłącznie audycje muzyczne.

Z przerażeniem wysłuchiwała relacji z triumfalnego marszu wojsk hitlerowskich przez Francję oraz pierwszego przemówienia Churchilla do narodu od chwili, kiedy został premierem:

*Narody Wielkiej Brytanii i Francji mają za zadanie uratować nie tylko Europę, ale całą ludzkość przed najwstrętniejszą i najbardziej przytłaczającą tyranią, jaka kiedykolwiek splamiła stronicę historii.*

Po tych słowach Amy pomyślała, że chyba zbliża się koniec świata.

A co będzie, jeżeli Niemcy wygrają wojnę? Przedtem taka myśl nawet nie powstała jej w głowie.

\* \* \*

W końcu maja niemiecka Blitzkrieg<sup>7</sup> zmusiła tysiące żołnierzy brytyjskich do porzucenia sprzętu i wycofania się do Dunkierki położonej na francuskim brzegu kanału La Manche, gdzie setki małych i większych łodzi oraz stateczków podpływały, żeby ich zabrać z powrotem do Anglii.

Akcja ratunkowa trwała już od wielu dni.

Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, Amy podskakiwała w górę. Czy to w pokoju kasowym na stacji, czy w domu; serce jej zamierało na myśl, że to Barney, który zaraz jej powie, że wrócił bezpiecznie do kraju i że za parę dni znowu się zobaczą.

---

<sup>7</sup>\*Blitzkrieg — wojna błyskawiczna.

I że będzie jej życzył wszystkiego najlepszego z okazji urodzin — już za parę dni Amy kończyła dziewiętnaście lat.

Pewnego ranka, kiedy wracała po odprawieniu pociągu o dziewiętej czterdzieści pięć do Wigan, zadzwonił telefon. Dzwonił Leo Patterson. Przez króciutki moment myślała, że to Barney. Mieli bardzo podobne głosy; jej mąż nie miał jednak irlandzkiego akcentu ojca.

— Harry wrócił — powiedział wesoło Leo. — Przed chwilą telefonował z Dover. Jest cały i zdrow.

Amy oświadczyła, że naprawdę bardzo się cieszy, co zresztą było zgodne z prawdą; nie mogła jednak powstrzymać się od myśli, że tysiąc razy wolałaby, żeby to jej mąż, a nie jego brat wrócił już do domu.

— Pewnie nie miał okazji spotkać Barneya... — powiedziała ostrożnie.

Na chwilę zapadła cisza.

— Przeciwnie. Wyobraź sobie, że go spotkał. — Z tego milczenia i ze sposobu, w jaki mówił, Amy wywnioskowała, że to nie będzie dobra wiadomość. — Spotkali się na drodze do Dunkierki. Harry właśnie szedł w stronę łodzi ratunkowych, ale Barney zmierzał w odwrotnym kierunku. Jego jednostka stacjonowała na tyłach, starając się powstrzymać Niemców przed dotarciem na wybrzeże... Co z tobą, Amy? Amy! — krzyknął przestraszony, kiedy się nie odzywała.

Nareszcie odzyskała głos.

— Dziękuję ci za telefon, Leo — powiedziała grzecznie. — Muszę już iść. Zdaje się, że ktoś chce kupić bilet.

Później była zadowolona, że otrzymała tę wiadomość, kiedy była w pracy. Po prostu musiała sobie ze wszystkim radzić, skoncentrować się na robocie, a nie tylko leżeć i gapić w sufit, jak zrobiłaby na pewno, gdyby była w swoim mieszkaniu. A tak, cóż... Musiała się zająć pociągami, sprzedawać bilety i odbierać inne, mniej ważne telefony.

\* \* \*

Kiedy Harry wrócił do domu, opowiedział Amy dokładnie, co się wydarzyło na drodze do Dunkierki.

Wyglądał na nieludzko zmęczonego i kulał — nie z powodu rany, ale dlatego, że jego stopy były pełne pęcherzy i otarć po wielokilometrowym marszu w za ciasnych butach i dziurawych jak sito skarpetach.

— Walczyłem razem z moim serdecznym przyjacielem, Jackiem Wilkinsonem — mówił znużonym głosem. — Jack skręcił sobie nogę w kostce i tylko z wielkim trudem mógł iść. Nagle rozległ się klakson, który się ciągle i ciągle powtarzał. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że ten ktoś stara się zwrócić moją uwagę, dopóki nie usłyszałem znajomego głosu: „Harry, Harry Patterson! Popatrz tutaj, ty durniu skończony!”. Dopiero wtedy się zorientowałem, że to Barney.

Amy aż krzyknęła. Samo wspomnienie jego imienia w jakiś sposób przybliżyło do niej męża.

— Prowadził ciężarówkę — opowiadał dalej Harry. — Oczywiście zaraz się zatrzymaliśmy, a potem nie mogliśmy się nagadać. Barney przewiózł właśnie grupkę rannych do Dunkierki, skąd mieli ich zabrać do kraju, a on wracał do swojej jednostki. Jack i ja mieliśmy jeszcze do przejścia parę ładnych kilometrów. Barney powiedział, że bardzo chciałby zawrócić i podwieźć nas tam, ale cóż — po prostu nie mógł tego zrobić. Musiał wracać do swojej jednostki, a i tak był już spóźniony. Służba nie drużba, wiadomo. Drogi były pełne uciekinierów — tłumaczył Harry, ciężko wzdychając. — Biedacy, większość z nich wszystko straciła. Jedyne, czego chcieli, to uciec przed Niemcami. Tak, że uścisnęliśmy sobie tylko ręce i każdy poszedł w swoją stronę — on na północ, ja na południe. Ale coś ci powiem, Amy. — rzekł głucho — Nigdy w życiu nie czułem się gorzej niż wtedy, patrząc, jak odjeżdża mój brat, żeby stanąć oko w oko z wrogiem, kiedy ja byłem już w drodze do domu!

Czy rzeczywiście Barney mógł umrzeć? Amy odmówiła już tyle pacierzy, że była święcie przekonana, że nigdy przenigdy go nie zabiją. Przerażała ją myśl, jak bardzo ciężko musi mu teraz być — w obcym kraju, gdzie w dodatku jest otoczony wrogimi żołnierzami.

Harry opowiadał dalej.

— Powiedziałem sobie, że gdyby nie Jack, gdyby nie to, że byłem mu tak bardzo potrzebny, bez namysłu wskoczyłbym do tej ciężarówki i pojechał z Barneyem. Ale to chyba kłamstwo. Tak naprawdę, Amy, jestem tchórzem. Gdybym to ja był w tej ciężarówce, myślę, że zostawiłbym ją na środku drogi i wrócił do domu. Zapewniam cię, że potrafiłbym wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę. Zwłaszcza że wszędzie panował okropny chaos, więc nikt by się nie dziwił.

— Gdybyś pojechał z Barneyem — dała mu pod rozwagę Amy — i gdybyście obaj nie wrócili do domu, twoja mama i tata przeżywaliby to wszystko dużo gorzej. Tak właśnie myślę.

— Nie sędzę — odparł Harry z goryczą. — Oboje uważali, że to raczej Barney powinien wrócić. Nigdy nie ukrywali, że wołają go ode mnie. I dobrze wiem, że ty też wolałabyś, żeby zamiast mnie siedział tu w tej chwili Barney. To zresztą całkiem zrozumiałe. Ale że własna matka i ojciec uważają to za cholernie oczywiste, jakoś nie podnosi mojego poczucia własnej wartości.

— Jestem pewna, że to nieprawda, Harry — powiedziała z przekonaniem Amy, chociaż w duchu przyznała mu rację.

To na pewno była prawda, niestety...

\* \* \*

Harry był w domu już od pięciu dni. Zaczynał się czerwiec, było pięknie i słonecznie, Amy postanowiła więc zaprosić go na stację w Pond Wood, żeby mu pokazać, jak żyje pani naczelnik, a potem zabrała na niedzielną kolację do mamy na Agatę Street, ponieważ nigdy dotąd nie odwiedził jej rodziny. Tego samego wieczoru poszła z Harrym do kina na Przygodę na Manhattanie z Joelem McCrea, a on w rewanżu zaprosił ją w poniedziałek na kolację w Southport. Mając na uwadze dobre samopoczucie Harry'ego, starała się często uśmiechać i pokazywać, że naprawdę cieszą ją te spotkania, chociaż bez przerwy myślała tylko o Barneyu.

Harry opowiedział o spotkaniu z Cathy w Boże Narodzenie, Amy zaś mu wspomniała, że Cathy napisała jej o tym w liście.

— Mój kolega Jack wraca do Leeds, jak tylko ta nieszczęsna kostka mu się wykuruje. — uśmiechnął się lekko na wspomnienie przyjaciela. Obiecał, że spotka się z Cathy i opowie jej o mnie.

\* \* \*

Następnego dnia Harry pojechał z samego rana tramwajem do bazy w Colchester, gdzie się dowiedział, że jego kolejnym celem ma być Afryka Północna.

— Francja lada chwila się podda — powiedział. — Następną bitwę stoczmy już na pustyni.

Amy nie spytała, co się stanie z Barneyem, jeśli Francja skapituluje.

Harry prawdopodobnie wiedział tyle samo co ona.

\* \* \*

Minęło zaledwie parę dni od wyjazdu Harry'ego, kiedy Amy usłyszała, że osiem tysięcy żołnierzy brytyjskich, razem ze znacznie większą grupą ich francuskich towa-

rzyszy broni, wzięto do niewoli po bitwie w miejscowości St. Valery-en-Caux. Pojmano nawet generała.

Minał cały miesiąc bez żadnej wiadomości. Amy była przekonana, że Barney nadal żyje, w przeciwnym razie otrzymałaby jeden z tych budzących grozę pomarańczowych telegramów z suchą informacją, że „zginął podczas działań wojennych”. Stawczo odrzucała jakiegokolwiek inne myśli na ten temat.

Skończył się lipiec i nastał sierpień. Wtedy Amy otrzymała pismo z Ministerstwa Wojny, w którym ją informowano, że jej mąż jest jeńcem wojennym. Pismo kończyło się słowami:

*O miejscu jego pobytu będzie pani powiadomiona, kiedy otrzymamy odpowiednie informacje od władz niemieckich za pośrednictwem Czerwonego Krzyża.*

Niektórzy ludzie twierdzili dawniej, że wojna potrwa co najwyżej sześć miesięcy, tymczasem od jej wybuchu minął już prawie rok, a na koniec bynajmniej się nie zanościło.

„Ile czasu jeszcze minie, zanim zobaczę znów mojego męża...”, zastanawiała się Amy. W każdym razie na pewno wojna nie będzie się ciągnąć jeszcze przez cały rok! Do diabła, to przecież niemożliwe. Amy bardzo się cieszyła, że Barney już nie walczy, ale rozpaczliwie za nim tęskniła.

\* \* \*

Pod koniec sierpnia w Pond Wood odbył się coroczny letni jarmark. Amy była wzruszona do łez, kiedy się okazało, że specjalnie ze względu na nią — panią naczelnik — wszystkie imprezy miały się odbywać na wielkim polu tuż przy stacji, a nie tam gdzie zwykle, w miejscu oddalonym od niej o dwa kilometry. Pan Clegg, prezes komitetu organizacyjnego oświadczył:

— Jesteś teraz jedną z nas, Amy. Jak moglibyśmy się bawić, wiedząc, że siedzisz tu sama jak palec, z dala od tej wspaniałej zabawy?

— Powinni byli już dawno wpaść na ten pomysł i organizować jarmark blisko stacji — stwierdziła Susan Conway, kiedy o tym usłyszała. — Moja mama zawsze chciała przyjść na to nasze święto, ale miała za daleko.

Mama Amy też się zaangażowała; przyrządziła dwa duże biszkopty z dżemem na stoisko z ciastem, jaja dostarczył Peter Alton, który był już oficjalnym chłopakiem Jacky ku wielkiemu żalowi Bidy. Kapitan Kirby-Greene przejrzał swoją garderobę i

ofiarował piękny aksamitny szlafrok na stoisko z używanymi ubraniami. On także wybierał się na tę imprezę — i już się do niej sposobił.

W dniu jarmarku — w sobotę — rano był pochmurny. Deski na budowę stoisk przywieziono wozem: pięknie wyszczotkowany kort był z tej okazji przystrojony różowymi kokardami.

Wkrótce stoiska już stały w równym rzędzie. Ustawiono też dwa namioty, jeden na przekąski, a drugi na wystawę kwiatów i jarzyn; wąskim strumyczkiem, a potem coraz szerszym strumieniem zaczęli napływać ludzie, których Amy w większości w ogóle nie знаła. Kilka starszych kobiet wyglądało tak, jakby trafiło tu wprost z dwiętnastego wieku. Miały na głowach białe bawełniane czepki i koronkowe szale na ramionach, a spódnice sięgały im do kostek. „Urocze starowinki”, pomyślała z rozrzewnieniem.

Wreszcie pokazało się słońce, jakby błogosławiąc całemu zamieszaniu. Ogrzewało ziemię i rozpuszczało galaretki w namiocie z przekąskami.

Pociągiem o dwunastej dwadzieścia siedem z Wigan przyjechało dość dużo ludzi, a jeszcze więcej tym o pierwszej czterdzieści pięć po południu z Liverpoolu, włącznie z mamą Amy, obiema siostrami i — ku jej wielkiemu zaskoczeniu — z Charliem i Marion. Pojawił się też kapitan Kirby-Greene, olśniewający w granatowej sportowej marynarce z błyszczącymi złotymi guzikami, w białej koszuli i krawacie w papuzie kolory. Przesadnym gestem podawał ramię matce Amy. Wyglądała na zmieszaną, ale pozwoliła się zaprowadzić na jarmark. Później wzięli udział w wyścigu w workach i nawet zajęli trzecie miejsce.

Teren stacji, zwykle tak spokojny między przyjazdami i odjazdami pociągów, dziś rozbrzmiewał mnóstwem głosów. Prócz stoisk były też występy dzieci, konkurs na najładniejsze męskie kolana, wybór najciekawszego kostiumu, nagroda dla największej kury, test posłuszeństwa psów, który odbył się przy wtórze głośnego ujadania i powarkiwań czworonożnych zawodników. Róże i marchewki Williama Maxwella wzięły pierwszą nagrodę, on też wyhodował największą dynię.

Amy miała dość czasu między przyjazdami pociągów, żeby wziąć udział w „toczeniu pieniążka”, w grze hoop-la, wreszcie w wyścigu z kokosem na metalowej obręczy, z tym że funkcję kokosów spełniały metalowe puszki. Jakimś cudem jej się udało i osiągnęła najlepszy wynik, za który otrzymała nagrodę — puszczkę kakako! Potem wrzuciła trzy jednopensówki do beczki pełnej wody, w nadziei że wylądują na monecie półkoronowej leżącej na dnie, tym razem jednak szczęście się od niej odwróciło — żaden pieniążek nie upadł nawet w pobliżu.

Pociągiem o drugiej dwadzieścia siedem przyjechała z Wigan orkiestra dęta w szafirowych mundurach, ozdobionych złotymi galonami. Zagrali Alexander's Ragtime Band, You are my Sunshine i inne patetyczne marsze, kończąc pieśnią We Saw the Sea z filmu z Fredem Astaire'em, jednym z pierwszych' jaki Amy w ogóle widziała. Były na nim z Cathy... Na wspomnienie tych beztrudnych dni, kiedy wojna była trudnym do wyobrażenia koszmarem, ogarnął ją nagle głęboki smutek. Poczuli się strasznie stara. Jakby miała sto lat...

Nawet dziś, w samym sercu tego sielankowego wiejskiego krajobrazu nie można było zapomnieć o wojennej rzeczywistości. Napisy na stoiskach informowały, że dochód ze sprzedaży jest przeznaczony na Fundusz Spitfire'ów miejscowości Pond Wood.

Dzień się kończył i zrobiło się chłodniej. Ludzie zaczęli powoli wracać do domów wonnymi, pełnymi kurzu ścieżkami albo wsiadać do pociągów, które miały ich zawieźć do rodzinnych miejscowości. Orkiestra dęta też wyjechała, notabene po wypiciu mnóstwa galonów herbaty.

Kiedy Amy wróciła do pokoju kasowego, zastała tam starszego pana w kapeluszu panama, studiującego rozkład jazdy na ścianie.

— Może mogłabym panu pomóc? — spytała.

— Po prostu sprawdzam, kiedy będzie następny pociąg do Londynu — wyjaśnił.

— Dwadzieścia siedem minut po szóstej. Musi się pan przesiąść na stacji Exchange na pociąg o siódmej trzydzieści z Lime Street do Euston — tłumaczyła cierpliwie Amy.

Często się przedtem zastanawiała, jak może wyglądać pan Cookson.

— Dziękuję, panienko — powiedział, grzecznie uchylił kapelusza i uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

Deski, z których wcześniej zbudowano prowizoryczne stoiska, teraz z powrotem poskładano i ułożono w stos na tyle wozu. Koń zarżał cicho, jakby rozumiał, że za chwilę pojedzie do domu.

Amy poszła poszukać pana Clegga, żeby mu podziękować za ten naprawdę cudowny dzień.

Cała rodzina Curranów doskonale się bawiła. Niemal każdy wygrał jakąś nagrodę, nawet Marion, którą zazwyczaj tak trudno było zadowolić, była niezwykle przejęta. Kupiła szlafrok kapitana i planowała go przerobić na płaszcz.



Pan Clegg serdecznie uściskał dłoń Amy i powiedział, że była prawdziwą ozdobą jarmarku.

— I pani piękne siostry oczywiście, i jeszcze piękniejsza matka! Zobaczymy się w poniedziałek rano, moja droga. Miejmy nadzieję, że ta śliczna pogoda utrzyma się do przyszłego tygodnia.

Śliczna pogoda rzeczywiście się utrzymała, Amy jednak nie zobaczyła się w poniedziałek rano z panem Cleggiem, ponieważ tego dnia stacja w Pond Wood już nie istniała.

Nigdy więcej nie spotkała już nikogo z tej miejscowości — z wyjątkiem Susan Conway, z którą się serdecznie zaprzyjaźniła.

\* \* \*

Bomby zaczęły spadać już w czerwcu. Zwykle wybuchały na polach i na obrzeżach miasta.

W lipcu naloty stały się coraz częstsze. Z nadejściem sierpnia pojawiły się pierwsze ofiary śmiertelne i rozpoczęły się naloty na główny cel nieprzyjaciela: na liverpolskie doki.

Kiedy powietrze przeszywało wycie syreny, mroząc krew w żyłach mieszkańcom, Amy zawsze zrywała się z łóżka. Robiła sobie herbatę i siedziała w ciemnościach, z zaciągniętymi zasłonami, patrząc na upiorny zielony blask w miejscach, w których padały bomby zapalające. Czuła się wtedy okropnie samotna, jakby była jedyną osobą na świecie. I strasznie pragnęła Barneya, ale nie miała nawet adresu, pod który mogłaby do niego napisać.

Kiedy odwoływano alarm i mogła wrócić do łóżka, czuła prawdziwą ulgę.

\* \* \*

W poniedziałek po jarmarku w Pond Wood Amy przyszła na stację Lime Street i aż otworzyła usta ze zdziwienia na widok nagryzmołonej kredą notatki, że pociąg do Wigan będzie dziś jeździł tylko do Kirkby.

— O co tu chodzi? — spytała Paddy'ego Faheya, który zbierał bilety.

Paddy był kolejnym pracownikiem L.M.S., który odszedł na emeryturę, a teraz wrócił, ponieważ kraj go potrzebował. Tego ranka wyglądał wyjątkowo poważnie. Na jego starej, chudej twarzy nie gościł dziś uśmiech, do którego się przyzwyczaiła.

— Ach, Amy, kochanie — powiedział — Ossie Edwards chce się z tobą widzieć.

— Dlaczego? — przerwała mu obcesowo.

— Zaraz ci powiem, kochanie, jeżeli pozwolisz mi dojść do słowa. W nocy z soboty na niedzielę na stację w Pond Wood spadła bomba. Tory są zniszczone, most uszkodzony, obie poczekalnie w ruinie, a pośrodku stacji ziele taki głęboki lej, że zmieściłby się nim dwupoziomowy autobus. Najlepiej idź i pogadaj z Ossiem, kochanie. Spodziewam się, że już ma dla ciebie nową robotę.

TLR

# Rozdział 11

MAJ 1971

*Pearl*

Garry Finnegan patrzył, jak jego ojciec z istic małpią zręcznością radzi sobie z piłką, jak ją przerzuca z głowy na kolano i z kolana z powrotem na głowę, a w dodatku to wszystko wydaje się takie łatwe!

Rob miał na sobie pasiasty, czarno-biały strój futbolowy; jego ruchy były wdzięczne, niemal baletowe. Na twarzy synka malował się pełen szacunku podziw. Zerkał raz po raz na swoich kolegów i koleżanki z pierwszej i drugiej klasy, którym tylko oczy latały — w górę, na dół, w prawo, w lewo... Już był ich idolem!

Dzieci siedziały na trawie w północnej części boiska, ja klęczałam parę metrów za nimi.

— Gary, czy to jest naprawdę twój tata? — usłyszałam w pewnej chwili głos Matthew Wattsa.

Matthew był zwalistym chłopakiem z drugiej klasy — i prawdziwym zabijaką. Gdyby go dobrze nie pilnować, mógłby nieźle nabroić. Już teraz miał zadatki na chuligana. A bić się potrafił jak zawodowiec — nikt mu nie podskoczył. Kiedy skończy szesnaście lat, będzie rządził całą dzielnicą, to pewne jak dwa razy dwa jest cztery.

— Tak. — Byłam wzruszona dumą, jaką Gary był w stanie zawrzeć w tym jednosylabowym słowie. — Był kapitanem drużyny, kiedy mieszkaliśmy w Ugandzie.

— A gdzie jest ta Uganda? — zapytała jedna z dziewczynek.

— W Afryce — wyjaśnił Gary.

— Naprawdę mieszkałeś w Afryce? — Matthew miał oczy wielkie jak spodki, najwyraźniej był pod wrażeniem. — Czy to nie jest gdzieś na drugim końcu świata?

— Prawie — odparł Gary po prostu.

— Ale on jest super, ten twój tata — westchnął z podziwem inny chłopiec.

Podeszła do nas Cathy Burns. Miała na sobie granatowy kostium, który widziałam już wiele razy, ale dziś wyglądała jakoś inaczej. Dopiero po dłuższej chwili się zorientowałam, że w jej włosach nie było ani śladu siwizny — musiała je ufarbować. Dzięki temu wyglądała dużo młodziej.

— Jest fantastycznie profesjonalny — powiedziała. — Miałaś naprawdę doskonały pomysł, Pearl, że go tu zaprosiłaś. Jak myślisz, czy zgodzi się przyjść jeszcze raz i zrobić taki sam pokaz dla starszych dzieci?

— Jestem pewna, że się zgodzi.

Byłam głęboko przekonana, że Rob zrobiłby wszystko, żeby tylko pomóc swojemu synowi w znalezieniu sobie miejsca w szkole. Poprosił dzieci, żeby zebrały się dookoła niego, a następnie podawał piłkę każdemu z nich. Były całkowicie zaabsorbowane zabawą.

— To naprawdę szalenie miły młody człowiek — powiedziała Cathy. — Co za straszne nieszczęście z tą jego żoną. Mówiłaś mi, że gdzie go poznałaś?

— W magazynie Owen Owen. Kupował akurat ubrania dla Gary'ego, ale wszystkie były nie takie jak trzeba. Wiesz, jak to jest — tata idzie na zakupy... — uśmiechnęłam się lekko. — zaproponowałam, żeby je zwrócił i kupił nowe. — Kiedy to sobie przypomniałam, zrobiło mi się ciepło na sercu. To naprawdę wzruszające, że Rob przejął niejako rolę swojej zmarłej żony.

Zastanowiłam się krótko, czy równie wzruszający byłby widok wdowy, kupującej części do samochodu.

— Kiedy już pokaz się skończy, zaproszę go do mojego gabinetu na filiżankę herbaty. Mam nadzieję, że się zgodzi. Ty też musisz przyjść, Pearl. Twoją klasą może się przez chwilę zająć Sarah.

— Oczywiście, przyjdę — odparłam.

— Dobrze. — Cathy uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo. — Czy to coś poważnego? No, to między wami... Po prostu mnie zatkało.

— Ależ między nami nic nie ma. Nawet nie można nas nazwać przyjaciółmi.

Nie była to do końca prawda.

— Jaka szkoda! — Mrugnęła do mnie w taki sposób, który mogłam określić tylko jako nieprzyzwoity. — Gdybym była dwadzieścia lat młodsza, a on dwadzieścia lat starszy, byłabym w siódmym niebie, gdyby chciał mnie poderwać...

Pamiętam, że kiedyś ktoś mówił — to mógł być tylko Charles albo Marion... a może wuj Harry — że Cathy Burns była znana z frywolności, kiedy służyła w wojsku.

— Była niezłą flirciarą — powiedział wtedy ten ktoś.

Teraz sobie przypominałam, że usłyszałam to z ust babci Curran, która mówiła o Cathy serdecznie i żartobliwie. Naprawdę bardzo się lubiły.

Pomyślałam nagle, jaka to wielka szkoda, że ta rozflirtowana Cathy Burns jest teraz szacowną panną Burns, dyrektorką szkoły St. Kentigern's. Czy pierwsza Cathy była szczęśliwsza niż ta druga? Ciekawe...

A może było właśnie na odwrót?

\* \* \*

Rob powiedział, że z przyjemnością przyjdzie jeszcze raz do naszej szkoły.

Siedzieliśmy w gabinecie Cathy Burns. Rob miał teraz na sobie dżinsy i biały podkoszulek.

Miał przyjść jeszcze dwukrotnie, tak żeby najstarsze klasy obejrzały specjalny pokaz, tylko dla nich.

— Pracuję w nocy, więc najbardziej odpowiadałyby mi wczesne godziny ranne, tak żebym potem mógł się jeszcze przespać parę godzin.

Ustaliliśmy, że przyjdzie w kolejne dwa poniedziałki o wpół do dziesiątej. Rob oświadczył, że pogoda nie ma znaczenia. Jeśli będzie padało, pokaz można zorganizować w sali gimnastycznej.

— Byłoby cudownie — powiedziała Cathy, nalewając herbatę. — Nie mamy instruktora ćwiczeń fizycznych ani zajęć sportowych. Po prostu każdy nauczyciel czy nauczycielka robi co może. Mamy tylko jednego nauczyciela mężczyznę, ale proszę sobie wyobrazić, że ten nasz rodzynek jest jeszcze mniej zainteresowany sportem niż nasze panie. Ciekawy przypadek, nie sądzi pan? Miło jest dla odmiany zaprosić fachowca.

— Cieszę się, że mogłem pomóc — uprzejmie rzekł Rob, podkreślając przy tym, że właściwie nie jest żadnym fachowcem.

Wzięłam ze stołu swoją filiżankę z herbatą i przypatrywałam mu się spod spuszczonej powiek, próbując sobie uzmysłwić, co do niego czuję.

Dzisiaj spotkaliśmy się piąty raz. Być może to niewiele, ale do diabła, muszę już chyba mieć o nim jakieś zdanie! Czułam, że jest mi w pewien sposób bliski, jakbym go znała od bardzo dawna i wiedziała, że to ktoś, na kim zawsze mogę polegać.

Lubiłam tego mężczyznę i naprawdę mu ufałam. Przyjemnie było przebywać w jego towarzystwie. Nawet ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, a Rob był taki na mnie wściekły, bo Gary wrócił ze szkoły sam i na dodatek z krwawiącą kostką, czułam przez skórę, że to nas nie poróżni — i rzeczywiście tak było. Tak jakbyśmy powoli dorastali jedno do drugiego, aż pewnego dnia już będziemy wiedzieć, że się znamy jak łyse konie.

Nie miałam jednak pojęcia, co się wtedy wydarzy.

Rob i Cathy rozmawiali o piłce nożnej.

— Mój ojciec — mówiła Cathy — grał jako rezerwowy w drużynie Everton i wielbił ziemię, po której stapał Dixie Dan. Zwykł się żegnać krzyżem za każdym razem, kiedy ktoś wymienił to nazwisko. Naprawdę, nie przesadzam!

— Dixie Dan — powiedział Rob z nabożnym podziwem — w jednym sezonie wbijał więcej goli niż jakikolwiek inny futbolista — około sześćdziesięciu! Niezły wynik, prawda? Żaden z piłkarzy — ani przedtem, ani potem nawet się nie zbliżył do tej liczby. To, wprawdzie Alan Ball też jest okay, w każdym razie stara się, jak może. Jest chyba najlepszym graczem Everton od czasów Dixiego.

Gawędzili o Pucharze Świata, który Anglia zdobyła pięć lat temu.

Nie miałam na ten temat nic do powiedzenia. Wychowałam się w domu, gdzie o sporcie mówiło się bardzo rzadko. Charles nie był ani zawodnikiem, ani kibicem. Marion — poza grą w badmintona — oglądała zawody tenisowe w Wimbledonie przez dwa tygodnie w roku, ale to wszystko. Wujostwo mi opowiadali, że kiedy się przenieśli do domu w Aintree, z okien na górnym piętrze śledzili Grand National<sup>8</sup>. A to dlatego że mogli oglądać zawody za darmo, a potem chwalić się w pracy.

Pamiętam, że właśnie w dniu finału rozgrywek piłkarskich o Puchar Świata spotkałam się z Trish: Anglia grała wtedy z Niemcami i centrum Liverpoolu było kompletnie wymarłe.

---

<sup>8</sup>\* Grand National — doroczna gonitwa konna przez płoty w Aintree pod Liverpoolem.

Kiedy wypiliśmy herbatę i temat futbolu się wyczerpał, Cathy poprosiła, żebym odprowadziła Roba do samochodu. Spodziewałam się, że Rob powie, iż nie ma takiej potrzeby, ale wbrew moim oczekiwaniom tego nie zrobił.

„Czy to mi powinno pochwlebiać?”, zastanowiłam się w duchu.

— Chyba poszło całkiem nieźle — powiedział, kiedy już wyszliśmy przed szkołę.

— Och tak, rzeczywiście — zapewniłam go szybko. — I jestem pewna, że to będzie miało bardzo pozytywny wpływ na sytuację Gary'ego.

Uniósł brwi.

— Tak myślisz?

— Oczywiście. Mogę się założyć, że całe mnóstwo dzieciaków ustawi się teraz do niego w kolejce. I nic dziwnego, każdy będzie się chciał kolegować z chłopcem, który ma takiego bombowego tatę.

Podeszliśmy do jego auta, starego popielatego morrisa minor, który musiał pamiętać lepsze czasy. Otworzył drzwiczki — skrzypnęły donośnie — i podniósł dach.

— Wiesz, kiedy w zeszłym tygodniu u nas byłaś — powiedział — i wyglądałaś na taką zrozpaczoną, taką nieszczęśliwą — do tego stopnia, że zapytałem, co ci się stało... nie powiedziałaś mi, bo Gary się obudził, a ty musiałaś wracać do szkoły. Czy mógłbym cię zabrać w sobotę na kolację, jeżeli mi się uda przekonać Bess, żeby została z Garym? Wtedy będziemy mogli porozmawiać w spokoju — dla odmiany tym razem o tobie, a nie o Garym, o mnie i o naszych problemach.

— Wy macie chyba więcej problemów niż ja — stwierdziłam. — Moje tkwią w przeszłości.

W tym samym momencie pomyślałam o swojej matce, która w każdej chwili mogła wrócić do domu po dwudziestu latach spędzonych w więzieniu za zabójstwo mojego ojca... i doszłam do wniosku, że niektóre z moich problemów nadal istnieją.

— U mnie wszystko w porządku — dodałam po namyśle, chociaż nie była to do końca prawda. Nigdy nie była i pewnie nigdy nie będzie.

— Czy wobec tego przyjmiesz moje zaproszenie na sobotę? Jeżeli Bess nie zostanie z Garym, postaram się wymyślić coś innego, ale wtedy musielibyśmy mieć do towarzystwa twojego ulubieńca — dodał przeproszającym tonem, puszczając do mnie oko.

— Taki wariant też mi pasuje.

Kiedy wróciłam do szkoły, Cathy czekała na mnie przy tylnych drzwiach.

— Zauważyłaś moje nowe włosy? — spytała.

A ja myślałam, że tu czeka, ponieważ chce mi powiedzieć coś na temat Roba.

— Tak, oczywiście, że zauważyłam. Byłaś u fryzjera i zrobiłaś sobie kolor. I bardzo dobrze. Cała siwizna zniknęła.

— Czy naprawdę aż tak to widać? Jak dotąd, nikt nie powiedział ani słowa. — Przeczesała palcami włosy, tak że się lekko wzburzyły. Wyglądała na zmartwioną.

— Pewnie uznali, że nie wypada. Bądź co bądź, jesteś dyrektorem szkoły. Nikt nie będzie robił uwag na temat twojego wyglądu. — Miałam nadzieję, że moja uwaga też nie była zanadto osobista, ale w końcu ja znałam ją przecież od kołyski. — Teraz twoje włosy wyglądają naprawdę bardzo ładnie — dodałam.

Rzeczywiście, były gładkie, brązowe i jedwabiste.

— Dziękuję. Myślałam o zrobieniu trwałej ondulacji. — Znowu zwichrzyła fryzurę. — Wiesz, jak to się robi?

— Nie. Nigdy nie robiłam ondulacji, Marion też nie.

Zachichotała.

— Twoja matka zrobiła mi ondulację w domu, kiedy wróciłam z wojny. Musiała to wszystko potem ściąć, bo efekt był, delikatnie mówiąc, żaloszny. Włosy miałam jak powykręcane na wszystkie strony druty. Wyglądałam koszmarnie. — Otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka. — Kiedy byłyśmy bardzo młode — ciągnęła gawędziarsko, idąc ze mną korytarzem — Amy i ja wspaniale się bawiłyśmy, robiąc sobie makijaż. Wygonili nas raz na zawsze z Woolwortha za to, że wypróbowałyśmy tam rozmaite szminki; to było jeszcze, zanim tam zaczęłam pracować. Pamiętam, kiedy byłyśmy w szkole, próbowałyśmy malować sobie rzęsy czarnym atramentem. Prawdziwy cud, że nie oślepiłyśmy. — Znowu zachichotała, ale tym razem śmiech zakończył się głębokim westchnieniem. — Och, Pearl, naprawdę chciałabym, żeby tamte czasy wróciły! Nie tylko te piękne wspólne lata z twoją mamą, ale też okres wojny. Myślę, że tylko wtedy naprawdę czułam, że żyję.

Komuś innemu, może trochę starszemu niż ja, pewnie zakreśliłaby się łza w oku. Ścisnęła jej rękę i wygłosił odpowiedni komentarz.



Ja próbowałam znaleźć jakąś błyskotliwą odpowiedź i w rezultacie bąknęłam tylko „Ojej!”. Widocznie byłam za młoda...

\* \* \*

Charles i Marion przestali żyć w zgodzie.

Przez te dwadzieścia lat, które z nimi przeżyłam, nigdy nie słyszałam między nimi większej kłótni. Marion zwykle wywoływała niewielkie utarczki słowne z tak błahych powodów jak ten, że Charles zapomniał na czas oddać książki do biblioteki i musiał zapłacić karę albo że zostawił niedokręcony kran czy wylał herbatę na blat kuchenny.

Ostatnio jednak to właśnie Charles nieustannie się irytował. „Ale co ja takiego zrobiłam?” — słyszałam teraz co i rusz skargi Marion. Szczerze mówiąc, wszystko to było raczej dziecinne i przypominało mi kłótnie moich małych podopiecznych ze szkoły. Możliwe, że się myliłam, myślałam niedorzecznie, że teraz dla odmiany Marion jest po stronie odpierającej ciosy.

Bezwstydnie podsłuchiwałam.

Zacząło się to już wówczas, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Moi rodzice bez końca ze sobą walczyli w naszym bungalowie przy Sefton Park. Mimo iż drzwi były zamknięte, słyszałam dokładnie każde ich słowo. Ojciec oskarżał matkę o sypianie z każdym bez mała mężczyzną w Liverpoolu, kiedy on był poza domem.

Wtedy jeszcze nie rozumiałam, co mogłoby być złego w spaniu z inną osobą, nawet gdyby to był mężczyzna.

— Ty kurwo! — wrzeszczał. — Bezwstydna, plugawa kurwo!

— Barney... — mówiła moja matka zmęczonym głosem. — Najdroższy...

— Nie nazywaj mnie najdroższym, ty kurwo!

Czasami te awantury kończyły się wybuchem płaczu ojca; wtedy mama go pocieszała.

— Powiedz mi, co cię dręczy, kochanie, proszę! Może uda mi się wszystko naprawić.

— Nie może ci się udać, po prostu nie może... — szlochał tata. — Nikt tego nie może naprawić.

Bywały noce, kiedy zasypiałam przy dźwiękach wrzasków ojca i łagodnych odpowiedzi mamy. Następnego ranka nigdy nie byłam pewna, czy to, co słyszałam, zdarzyło się naprawdę, czy tylko mi się to przyśniło.

W każdym razie tak się przyzwyczaiłam do słuchania rozmów dorosłych, że kiedy zaczęłam mieszkać z Charlesem i Marion, słuchałam, a mówiąc wprost — podsłuchiwałam dalej, przede wszystkim dlatego, że początkowo większość ich dyskusji dotyczyła właśnie mnie. Czy Marion powinna ograniczyć liczbę godzin pracy w English Electric, czy trzeba znaleźć kogoś, kto będzie mnie odbierał ze szkoły? Czy mogłaby to robić na przykład babcia Curran? „Oczywiście, że będzie mogła” mówił wtedy Charles. „Przecież uwielbia Pearl”. Co mają zrobić z babcią Patterson? „Amy sobie nie życzy, żeby ta kobieta kiedykolwiek się zbliżyła do jej córki”, powiedział dobitnie Charles; takie rozmowy powtarzały się wiele razy. Byłam ciekawa, dlaczego matka wyjechała, skoro moje dobro tak bardzo jej leży na sercu.

Ta szczególna kłótnia miała miejsce dwadzieścia lat później, kiedy Charles i Marion siedzieli w salonie, a ja w pokoju stołowym przygotowywałam sobie lekcje na jutro.

— Ale co ja takiego zrobiłam? — syknęła Marion już chyba szósty czy siódmy raz.

— Niczego nie zrobiłaś — odparł Charles.

Wyobraziłam go sobie, jak obojętnie wzrusza ramionami.

— To dlaczego jesteś dla mnie taki... taki zimny?

— Nie miałem pojęcia, że jestem zimny.

— No, ale jesteś i to właśnie nie jest w porządku, Charles. Nie masz prawa się tak zachowywać i w dodatku odmawiać mi wyjaśnień, dlaczego tak mnie traktujesz.

— Nie wyjaśniam, bo nie ma żadnych „dlaczego”.

— Och, przestań już się wygłupiać. Idę spać.

— Dobranoc — burknął Charles.

— Dobranoc! — Marion trzasnęła drzwiami.

\* \* \*

W sobotę wieczorem opowiedziałam Robowi o tej toczącej się między wujem i ciotką wojnie.

Poszliśmy do chińskiej restauracji na Bold Street. Byłam tam kiedyś z wujem Harrym. Jedzenie i wino były doskonałe, atmosfera bardzo przyjemna. Zamówiłam jak zwykle krewetki w sosie curry i ryż; Rob był najwyraźniej spragniony „kulinarnych przygód” — wybrał mini- porcyjki sześciu różnych potraw.

Gawędziliśmy o szkole; Cathy Burns go zafascynowała.

— Wygląda jak typowa dyrektorka szkoły, ale ma taki wyraz oczu... — Nie do końca, a ja na wszelki wypadek nie powiedziałam mu, że on też zrobił na Cathy piorunujące wrażenie.

Opowiedziałam mu za to, że od poniedziałku Gary grzeje się w promieniach chwały wspaniałego pokazu jego ojca, którego dzieciaki okrzyknęły mistrzem piłki nożnej.

— Już go zaprosili na dwa przyjęcia urodzinowe. Powiedział ci o tym?

— Tak... — westchnął. Wydawał się zaniepokojony. — I co ja mam teraz zrobić? Oczywiście, trzeba kupić prezenty, ale to akurat wiem. A dalej co? Czy mam posłać ciasto i coś jeszcze? — Skrzywił się lekko. — Chyba nie muszę tam być i pomagać w różnych grach? Może mam się znów popisywać...

Uspokoiliłam go, że prezent w zupełności wystarczy i że przynajmniej tam nie będzie musiał się udzielać. Spytałam, kiedy Gary ma urodziny: odparł, że szóstego stycznia.

— Ciekaw jestem, gdzie wtedy będziemy... — Wpatrywał się w swój talerz, jakby była na nim wyrysowana mapa jego przyszłości. — Waham się między powrotem do policji a... — umilkł na chwilę, po czym mówił dalej. — Praca w policji to dobre zajęcie, płacą przyzwoicie, ale dla samotnego ojca godziny są beznadziejne. W dalszym ciągu uśmiecha mi się wyjazd za granicę, ale jak dotąd, nie trafiło się nic, co by mi pasowało. Wciąż marzę o Kanadzie.

— Gary mi mówił, że oglądałeś dom w Manchesterze.

Zmarszczył czoło.

— Chyba musiałem całkiem upaść na głowę... — mruknął. — Zobaczyłem ogłoszenie o pracy, ale na miejscu okazało się, że płacą grosze. Zdrowy rozsądek radził natychmiast wsiąść do pociągu i rzeczywiście — wróciłem prosto do domu. Problem w tym, że naprawdę nie wiem, co zrobić z resztą życia — i z życiem Gary'ego.

Byliśmy już przy deserze. Powiedziałam, że więcej nic nie przełknę, wskazując wymownie na swój brzuch. Rob też oznajmił, że ma dosyć. Zamówił kawę, a kiedy ją przyniesiono, popatrzył na mnie wyczekująco.

Zgodnie z naszą wcześniejszą umową opowiedziałam mu historię swojego życia.

Kiedy skończyłam, wyglądał jak, nie przymierzając, zamieniona w słup soli żona Lota w męskim wydaniu. Minęła dobra chwila, zanim był w stanie coś z siebie wyduśić. Kiedy już mógł, wyznał, że właściwie sam nie wie, co powiedzieć.

— Krótko mówiąc — jestem w szoku. To na mnie spadło jak grom z jasnego nieba, jak by powiedziała moja matka.

— Przyniosłam nawet fotografię — uśmiechnęłam się lekko, po czym wyciągnęłam z torebki fotografię, jedną spośród wielu, które kryła teczka pod schodami. — To zdjęcie ślubne moich rodziców. Gazety drukowały je podczas rozprawy. — Wiedziałam, że prosto od ślubu poszli do fotografa. Stali sztywno, trzymając się za ręce, ale radosne uśmiechy na ich twarzach kompletnie przeczyły tej uroczystej postawie.

— Oho! — zawołał Rob. — Wyglądają na szczęśliwych.

— Pewnie! Moja matka była taka młodziutka. Miała wtedy zaledwie osiemnaście lat, a ojciec dwadzieścia jeden. Pobrali się w tajemnicy.

— Wyglądają jak para hollywoodzkich aktorów. Teraz rozumiem, po kim masz tę rasową twarz — jesteś kropka w kropkę podobna do swojego taty.

— Wszyscy tak mówią — westchnęłam. Jeśli o mnie chodzi, wolałabym być podobna do matki. Ona dopiero była śliczna... — Masz może fotografię Jenny?

Wyciągnął portfel i pokazał mi małą fotografię.

— Zrobiłem to zdjęcie w przEddień jej śmierci. Byliśmy na plaży pod Barceloną. Uznano, że to był skurcz mięśni.

Na fotografii widniała bardzo ładna, ciemnowłosa dziewczyna z włosami przewiązanymi złotą przepaską, w czerwonym staniku i białych szortach. Moje zdjęcie było czarno-białe, to kolorowe. Klęczała na piasku z dwuletnim Garym, który się o nią opierał. Przypomniałam sobie, jak mówił, że mama miała zielone oczy, ale na zdjęciu nie było tego widać. Kobieta uśmiechała się do obiektywu — zapewne do Roba, swojego męża — i wyglądała tak, jakby nie miała żadnych trosk.

— Ona też wygląda na szczęśliwą — stwierdziłam.

— Świat byłby koszmarem, gdybyśmy wiedzieli, co nas jeszcze czeka — westchnął Rob. — Na szczęście Jenny nie wiedziała, że niecałe dwadzieścia cztery godziny po zrobieniu tego zdjęcia już nie będzie żyła.

Moi kochający się do szaleństwa rodzice też nie wiedzieli, że w końcu nadejdzie dzień, kiedy jedno z nich zamorduje drugie.

Ten wieczór spędzony z Robem nie był szczególnie wesoły, ale nie był też nieprzyjemny. Chyba najlepiej można by go określić jako „oczyszczający”.

Pierwszy raz w życiu opowiedziałam komuś o tragedii moich rodziców i od razu lepiej się poczułam. Jakbym zrzuciła z ramion ogromny ciężar. Myślę, że powierzyłam tę tajemnicę osobie najbardziej godnej zaufania — i to mi bardzo pomogło.

Przyjechaliśmy do Liverpoolu, każde własnym samochodem, i umówiliśmy się, że zostawimy je na parkingu na St. John's Market, co prawda na różnych piętrach. Rob odprowadził mnie do mojego volkswagena. Tam uściśnął mi rękę i powiedział, że bardzo miło spędził czas. Nie byłam pewna, czy mam być zadowolona, czy nie, że mnie nie pocałował, ale wtedy — jakby czytał w moich myślach — przyciągnął mnie do siebie i pocałował w policzek. Dobrze i to. Nadal nie byłam pewna, co czuję.

Czy w ogóle coś czułam?

Powiedział, że jutro po południu zabiera Gary'ego do Southport, po czym spytał, czy nie chciałabym z nimi pojechać.

— Przypuszczam, że nie będziesz miała ochoty — dodał pospiesznie. — W końcu przez cały tydzień zajmujesz się cudzymi dziećmi. W weekendy na pewno chcesz od nich odpocząć, to zrozumiałe.

— Ale ja naprawdę lubię Gary'ego — zaprotestowałam. — Z przyjemnością jutro się z wami zobaczę.

— Świetnie. — Wyglądał na zadowolonego. — Czy mogę przyjechać po ciebie koło pierwszej? Planowałem wyjechać wcześniej, ale obiecałem Bess, że jutro po mszy pomogę jej w ogrodzie.

— Mam nadzieję, że nie będziesz ścinał drzew ani nic z tych rzeczy... — spojrzałam na niego pytająco. — To najładniejszy ogród, jaki kiedykolwiek widziałam. Słowo skauta.

— Nie, ale trzeba koniecznie powyrywać chwasty: sąsiedzi się skarżą, że zielsko przechodzi do nich przez płot.

— W takim razie widzimy się jutro po południu. I może ci dam swój adres? — Miałam w torebce list od Trish (okazało się, że nienawidzi Londynu i tęskni za Liverpoolem). Podałam Robowi kopertę.

— Do zobaczenia jutro — powiedział, biorąc kopertę.

\* \* \*

Ja też miałam po mszy coś do załatwienia. Zakup nowego mieszkania przez Hildę Dooley był już tylko kwestią czasu. Wszystko szło jak po maśle. Mieszkanie należało do starszej damy, pani Edmunds, która już zamieszkała z własną córką, a ponieważ Hilda nie miała do sprzedania żadnej posiadłości i jej zaproponowano hipotekę, nic nie stało na przeszkodzie, żeby finalizować całą sprawę.

Pani Edmunds już nawet wręczyła Hildzie klucz, a ta z kolei zaprosiła mnie na oględziny.

— Mogę tam wstawić takie meble, jakie tylko zechcę — opowiadała z przejęciem Hilda, oprowadzając mnie po swoim nowym lokum — więc powiedziałam, że chciałabym zostawić to, co jest. Bo naprawdę pasuje dużo bardziej niż te nowoczesne rzeczy. Wszystko jest właśnie takie, jak chciałam.

W mieszkaniu byli już Clifford Thompson i starsza pani Dooley. To „prawie, prawie posiadanie” własnego mieszkania i przyjaciela najwyraźniej służyło Hildzie. Każdy w szkole zdążył już zauważyć, jak dobrze teraz wygląda. Nawet jej rzadkie włosy jakoś zgęstniały, a nierówne zęby też nie wystawały już tak bardzo.

Pani Dooley była w obcisłej czarnej sukience i czarnych koronkowych rajstopach. Wyglądała w tym stroju jak stara owca przebrana za jagniątko.

Nie mogłam się wprost napatrzeć na Hildę i jej wybranka. Podziwiałam ich wspólną komitywę. Jestem pewna, że już ze sobą spali. Na sto procent. Była między nimi taka intymność, ich ręce tak często się stykały, tyle razy wymieniali krótkie, szybkie spojrzenia! Można było pomyśleć, że znają «ię od zawsze.

Mieszkanie okazało się rzeczywiście urocze, wiktoriańskie, jak zresztą cały dom. Zachwyił mnie piękny majolikowy kominek w salonie o dość niezwykłym kształcie — raczej stożkowatym aniżeli kwadratowym, a także staroświecka łazienka z łukowatym oknem. W gruncie rzeczy nie przepadam za staroświeckimi meblami — często są za duże i jakieś takie nieporęczne — ale to najwyższe piętro starego domu miało niski sufit i wąskie schody, tak że można tam było wstawić tylko takie meble, które opisałabym jako „klejnociki”.

Mała kuchnia wymagała kapitalnego remontu, ale Hilda postanowiła odłożyć go na później, kiedy już oszczędzi dość pieniędzy na wszystkie zmiany.

Najwyraźniej rozkoszowała się rolą gospodyni, a wkrótce również właścicielki posiadłości w jednym z najlepszych — i najbardziej prestiżowych miejsc w Liverpoolu. Z okna salonu widać było rzekę Mersey, migocącą w promieniach słońca niecały kilometr stąd.

Wkrótce zrozumiałam, dlaczego Hilda zaprosiła matkę. Nadrabiała wszystkie te lata, kiedy jej matka traktowała ją jak dziecko. Teraz ona była najważniejsza, ze swoim przystojnym „chłopakiem” i uroczym domem. Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby Hilda i Clifford oznajmili, że wkrótce się pobiorą. W jakiś przewrotny sposób było mi jednak żal pani Dooley. Wyglądała naprawdę żałośnie w swoim seksownym stroiku a la „dzidzia piernik” i ani razu nie otworzyła ust.

\* \* \*

Po powrocie do domu powiedziałam Charlesowi i Marion, że ktoś po mnie przyjedzie i zabierze do Southport.

— To jeden z ojców z naszej szkoły i jego synek — wyjaśniłam.

Charles uniósł brwi.

— A co z jego żoną?

— Nie żyje.

— Ile ten facet ma lat? Pewnie jest stary.

— Dwadzieścia osiem — odparłam z uśmiechem. — Tylko trzy lata starszy ode mnie. Czyli zostało mu jeszcze trochę do emerytury...

— Lubisz go?

— Myślisz, że jechałabym do Southport z kimś, kogo nie lubię?

— Myślę, że nie — przyznał Charles. — A czy mógłbym się trochę pokręcić przed domem, na przykład strzyc żywopłot, żeby go sobie dokładnie obejrzeć?

— Jeśli koniecznie chcesz...

Zatem, kiedy Rob i Gary przyjechali, Charles strzygł właśnie sekatorem żywopłot z ligustru, który, pielęgnowany regularnie od lat, nabrał już idealnego, falistego kształtu.

Często widywałam ludzi podziwiających żywopłot Charlesa i zastanawiałam się, czy niektórzy z nich nie przyjeżdżają tu specjalnie dla tego cacka. Kto wie, może żywopłot mojego poczciwego wuja stał się już atrakcją turystyczną.

Rob opuścił szybę, a Charles się pochylił i życzył mu dobrego dnia. Rob zawołał do mnie:

— Cześć!

Otworzyłam drzwi od strony pasażera. Hałasowały jeszcze bardziej niż te z drugiej strony. Zobaczyłam, że wiszą tylko na jednym zawiasie.

Nie wiem dlaczego, ale zachichotałam. Reszta moich znajomych miała takie świetne, porządne samochody!

Wycieczka była urocza. Graliśmy w piłkę nożną nad morzem, jeździliśmy na karuzeli, na diabelskim młynie, kolejką górską w wesołym miasteczku i spacerowaliśmy po molo.

To na tym molo moja matka i ojciec spotkali się po raz pierwszy. Byłam ciekawa, w którym miejscu dokładnie się to zdarzyło. Czy mama siedziała na ławce, a może stała, przechylona przez barierkę i patrzyła w dół, na wodę? Wyobrażałam ją sobie, jak spaceruje z Cathy, obie z lodami w dłoniach.

Podwieczorek zjedliśmy na Lord Street, a potem poszliśmy do kina na film Woody'ego Allena Bananowy czubek. Gary nie zrozumiał z tego ani słowa, ale śmiał się do rozpuku, a Rob i ja dzielnie mu sekundowaliśmy.

Znając trudną sytuację Roba, nalegałam, że sama zapłacę za kolację.

— To nie w porządku — poskarżył się Rob.

— Nie gadaj głupstw — ofuknęłam go w odpowiedzi. Wzięłam Gary'ego za rączkę i oboje weszliśmy do eleganckiej restauracji. Jego tacie nie pozostawało nic innego, jak tylko pójść za nami. — To bez sensu, a w dodatku okropnie staroświeckie, żebyś płacił za wszystko tylko dlatego, że jesteś mężczyzną — powiedziałam, kiedy już usiedliśmy. — Ja płacę grosze za swoje utrzymanie, więc większość tego, co zarabiam, mam dla siebie. Nigdy nie słyszałeś o ferm ip izmie?

— Słyszałem, ale nigdy nie spotkałem zdeklarowanej feministki... chyba że ty nią jesteś.

Przyznałam, że właściwie nie bardzo wiem, jak to jest w moim przypadku.

\* \* \*

Wracaliśmy do domu, kiedy już się ściemniło. Gary zasnął na tylnym siedzeniu. Czułam, jak nagie ramię Roba dotyka mnie za każdym razem, kiedy zmieniał biegi.



— To był naprawdę udany dzień — powiedział, a ja się z nim zgodziłam. — Może niedługo to powtórzymy? Co ty na to? — spojrzał na mnie pytająco.

Przyznałam, że to dobry pomysł, a wtedy on zaproponował następną sobotę.

— Moglibyśmy pójść do ogrodu zoologicznego w Chester. Gary będzie zachwycony.

Powiedziałam „okay”, nie przejmując się faktem, że jestem wolna w kolejne dwie soboty. A to oznaczało ni mniej, ni więcej, że moje życie towarzyskie przedstawia się raczej beznadziejnie.

— Nie zranię twoich uczuć, jeśli zaproponuję, żebyśmy tym razem pojechali moim samochodem? — spytałam.

Rob odparł, że czuje się wprawdzie dotknięty do żywego, ale skoro nie chcę, żeby mnie widziano w jego kupie złomu — co za kompromitacja! — w takim razie pojedziemy moim autem.

— Czy mogłabyś po mnie podjechać? A propos, jaki masz samochód?

— Volkswagena garbusa, czerwonego, ma dopiero dwa lata. — Kupowałam go na raty. To był pomysł Charlesa ze względu na kredyt bez odsetek czy coś w tym rodzaju.

— Ho, ho! — Rob był pod wrażeniem.

— Przecież ci mówiłam, że nie jestem biedna jak mysz kościelna! — zaśmiałam się trochę zbyt głośno.

— W Ugandzie jeździłem fabrycznie nowym džipem. A tego grata kupiłem za sto pięćdziesiąt funtów po prostu po to, żeby móc się poruszać, kiedy się tu urządziłem. — Poklepał kierownicę morrisa. — Ale i tak go lubię...

Staął przed domem w Aintree i znowu pocałował mnie w policzek.

— Tak jak powiedziałem, to był udany dzień — mruknął.

Weszłam do domu. Marion już spała, ale Charles czekał na mnie, żeby móc sobie trochę ponarzekać, jak się domyśliłam. To był dzień, kiedy się wydawało, że ich małżeństwo naprawdę się rozsypuje, być może na zawsze. Najwyraźniej wszystkiemu winien był samochód Roba.

## Rozdział 12

1940

### *Barney i Amy*

Barney miał już nigdy nie zapomnieć tego okropnego uczucia całkowitego osamotnienia i rozpacz, kiedy patrzył za kuśtykającym w stronę Dunkierki bratem i jego przyjacielem.

Z ciężkim westchnieniem zapuścił silnik ciężarówki. Gdyby tylko chciał, wymyśliłby całe mnóstwo powodów, dla których mógłby zawrócić i pojechać z tamtymi dwoma. Mógł na przykład powiedzieć, że źle zrozumiał wydane mu rozkazy; ciężarówka mogła się zepsuć po drodze; mógł mieć wypadek, stracić przytomność, a potem ocknąć się na łodzi płynącej do Anglii, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł.

Stracił już swojego kierowcę, którego kula trafiła w ramię, kiedy wysiadł, żeby rozprostować kości. Tak się pechowo złożyło, że właśnie wtedy ich konwój znalazł się pod ostrzałem. Szofera trzeba było zostawić w Dunkierce razem z innymi rannymi i teraz Barney musiał sam wracać do swojej jednostki.

Nie byłby ani trochę zdziwiony, gdyby jego jednostkę odesłano już z St. Valery-en-Caux, gdzie stacjonowała w tym czasie, kiedy Barneya wyznaczono do eskortowania tuzina ciężko rannych do Dunkierki. St. Valery-en-Caux znajdowało się sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża, a podczas nieobecności Barneya mogły zostać wydane najrozmaitsze rozkazy.

Co wtedy powinien zrobić?

To, że podróż trwała już całe wieki, strasznie go wkurzało. Droga była pełna uchodźców, wędrujących w przeciwnym kierunku — od dzieci po siwowłosych starców, uciekających jak najdalej przed ostrzałem niemieckiej artylerii. Barney mógł się posuwać tylko skrajem drogi, nie chcąc używać klaksonu i dodatkowo straszyć już i tak przerażonych i umęczonych ludzi.

Większość z nich jeszcze do niedawna wiodła normalne życie. Teraz dźwigali ze sobą to, co mieli najcenniejszego, dobytek upchnięty w walizkach i workach, prowadzili uczeplone matczyne spódnic albo ojcowskich marynarek małe dzieci, a naj-

mniejsze nieśli na rękach. Konie z trudem ciągnęły wozy wypełnione pasażerami. Wózki dziecięce były wyładowane po same brzegi paczkami, pościelą i ubraniami.

Kiedy się tak przedzierał naprzód, stając, to znowu ruszając z miejsca, przypominał sobie ich powrót z Londynu samochodem, z Amy. Wtedy przeklinał ten koszmarny tłok na drodze, obrzucał wszelkimi możliwymi w świecie inwektywami, ale w porównaniu z tym, co się tutaj działo, to było nic! Wtedy w każdym razie jechał do domu — no, i przy jego boku siedziała Amy.

Przypominał sobie swój powrót do mieszkania i to, jak się wtedy rozchorował. Amy pomagała mu położyć się do łóżka, ocierała czoło, podawała herbatę, w końcu położyła się obok niego i przypominała mu, jak bardzo go kocha.

Amy!

Barney skierował ciężarówkę na wąską wiejską drogę, która — o dziwo! — była pusta. Zahamował — i ramiona mu opadły. Zupełnie jakby się przeniósł z jednego, w miarę pokojowego świata w inny, okrutny i drapieżny, o zupełnie innych standardach, wedle których ludzkie życie nie ma żadnej wartości.

— Do cholery! — zawołał głośno.

Z kieszeni na piersi wydobyl wieczne pióro i mały notesik w czerwonej okładce. Jedna czwarta kartek była już zapisana jego drobnym, wyraźnym pismem. Był to dziennik. Pewnego pięknego dnia chciał go wysłać do Amy.

Wypisał datę z boku strony, a następnie:

*Odstawiłem dwunastu ciężko rannych żołnierzy do Dunkierki, skąd zabiorą ich do Anglii. Spotkałem Harry'ego i jego przyjaciela Jacka w drodze do kraju. Czuję smutek. Bardzo głodny.*

Przez chwilę obgryzał obsadkę pióra, po czym pisał dalej:

*Bardzo spragniony. Kocham cię bardziej niż wszystkie herbaty Chin, moja najdroższa Amy.*

Wiedział, że ostatni fragment był bez sensu, ale ona na pewno się domyśli, co miał na myśli.

To było głupie, jednak ten krótki postój sprawił, że poczuł się dziwnie oszołomiony, aż zakręciło mu się w głowie. Naprawdę był w tej chwili głodny jak wilk i strasznie chciało mu się pić. Nic dziwnego, wszystkie swoje zapasy oddał rannym żołnierzom. Co więcej, od wczorajszego ranka nie spał nawet pół minuty.

Na pocieszenie miał tylko paczkę papierosów Senior Service. Papieros nie mógł wprawdzie zaspokoić ani głodu, ani pragnienia, z pewnością jednak pozwoli mu uspokoić nerwy. Przynajmniej chwilowo...

Ale w szoferce ciężarówki było za gorąco. Wyszedł z wozu, rozejrzał się dookoła i usiadł na skraju drogi w cieniu jasnozielonych krzewów, okrytych białymi kwiatami. Miały orzeźwiający, świeży zapach i kiedy Barney się pod nimi wyciągnął, poczuł chłód. Było tu spokojnie; można było zapomnieć — albo udawać, że się zapomniało — gdzie się jest i co się dzieje w tej stronie świata.

Nie usłyszał nadlatującego samolotu. Pojawił się nagle, nie wiadomo skąd. Jak grom z jasnego nieba — dosłownie i w przenośni. Silnik zawył ogłuszająco, kiedy nurkował nad Barneyem, zaledwie cztery metry nad jego głową, zanim tamten mógł się poruszyć. Powietrze przeszła seria z karabinu maszynowego, po których rozległy się przeraźliwe krzyki, a wtedy samolot odleciał z rykiem po wykonaniu zadania.

Barney zaciągnął się ostatni raz i wyrzucił niedopałek.

Nigdy, choćby żył sto lat, nie zrozumie szwabskich pilotów, którzy z zimną krwią strzelali do bezbronnych uciekinierów.

Wdrapał się do szoferki. Plandeka była podziurawiona kulami w prostej linii, a jedna z kul przeszła dokładnie przez jego kurtkę, którą zostawił na siedzeniu kierowcy.

Gdyby nie wysiadł na papierosa, już by nie żył...

Przeraźliwe krzyki wciąż dźwięczały mu w uszach. Cała droga była pokryta kałużami krwi ludzi — martwych lub rannych.

To nie mogła być prawda. To nie była rzeczywistość. To mógł być tylko koszmarny sen, najstraszniejszy, jaki mu się kiedykolwiek przyśnił.

Siedział przez chwilę odrętwiały, po czym znów wyskoczył z ciężarówki i pobiegł na pomoc.

\* \* \*

Późnym popołudniem procesja uchodźców jakby przebrzmiała. Na drodze pozostało już tylko niewielu maruderów. Barney mógł teraz jechać szybciej, ale już po kilometry zauważył, że niebawem trzeba będzie nalać do ciężarówki benzyny. Jeżeli w ogóle zabraknie paliwa, byłby to dobry pretekst, żeby zostawić ją na poboczu i pójść pieszo do Dunkierki. Szkopuł w tym, że otrzymał rozkaz, żeby wrócić i dołączyć do swojej jednostki. Obojętne, czy tam dojedzie, czy dojdzie, doskoczy, czy doleci. Grunt, żeby się stawić.

Dotarł do skrzyżowania dróg, przy którym stały trzy czy cztery domy. Zahamował. Miejsce było opustoszałe, bez śladu życia, chociaż... Kto wie, może mógłby tutaj gdzieś się napić. Może jest tu gdzieś studnia albo hydrant? Gardło miał wyschnięte na wiór. W tej chwili dałby wszystko za szklanekę zimnej wody.

Jego zmęczone oczy spoczęły na parterowym budyneczku.

Zastanowił się krótko, czy to, co widzi, rzeczywiście istnieje, czy też jest mirażem, fatamorganą, tym, co często widzą ludzie na pustyni, kiedy pragnienie wywołuje u nich halucynacje.

Na oknie budyneczku wymalowano napis „Bar”, drzwi były szeroko otwarte, a na wysypanym żwirem podjeździe stała pompa benzynowa.

Barney zaparkował obok pompy i wysiadł z ciężarówki. Kiedy spróbował stanąć, nogi się pod nim ugięły, w końcu udało mu się jednak dowlec do otwartych drzwi; niemal się śmiał, ponieważ w tej chwili, sam nie wiedział dlaczego, przypomniał sobie Charlesa Laughtona w filmie Dzwonnik z Notre Dame. Już wewnątrz baru stanął prosto, opierając się na krzesło.

Żałosne to było miejsce, z czterema zaledwie stolikami, zdezelowanymi krzesłami i ławkami rozmaitego pochodzenia oraz starą drewnianą ladą służącą jako bar.

Krzyknął „Jest tu kto?”, nie doczekał się jednak odpowiedzi. Za barem dostrzegł nie tylko półki pełne butelek wina, ale też kapiący kran, który wydawał cudowne, bulgocące dźwięki, kiedy krople uderzały o dno głębokiego, ceramicznego zlewu.

Barneya nie obchodziło w tej chwili wino. Odkręcił kran, znalazł jakiś kubek i szybko nappełnił go wodą.

Jeszcze nigdy woda nie smakowała tak wspaniale. Pił jeden kubek za drugim, wreszcie wyszedł przed dom, żeby napęlnić bak benzyną. Kiedy to zrobił, odprowadził ciężarówkę na tył domu. Nie miał zamiaru opuszczać tego miejsca, dopóki nie ugasi pragnienia. Teraz zabrał się do szukania czegoś konkretnego na ząb.

Za barem znalazł pokój, w którym mieszkał dotąd zapewne właściciel tego miejsca. Pod oknem stała wąska prycza, poza tym był tu mały stolik, jedno krzesło i kredens, zajmujący niemal całą ścianę. Podłoga była wyłożona kamiennymi płytami, a ściany chropowate, z niemalowanego gipsu. Wszędzie było zaskakująco czysto.

Mimo że Barney był bardzo głodny, zatrzymał się na chwilę, by zerknąć na ponad pięćdziesiąt książek, ustawionych jedna przy drugiej na półkach kredensu: Balzac, Flaubert, Verlaine, dzieła Szekspira po francusku, cały Dickens — też po francusku;

trochę autorów rosyjskich. Co za człowiek mieszkał w tym przygnębiającym miejscu, prowadząc bar, a w czasie wolnym oddając się lekturze wielkich arcydzieł literatury?

W jednej z szuflad kredensu znalazł pajdę twardego jak kamień chleba, zuchelek sera, dwa jajka ugotowane na twardo i słoik marynowanych cebulek. Siadł na łóżku i wszystko to zjadł. Podczas posiłku dwa razy zasnął z ustami pełnymi jedzenia. Kiedy skończył, poklepał się po brzuchu i położył się na pryczy.

Ugasił pragnienie i zaspokoił głód. Teraz potrzebował tylko krótkiej drzemki: Amy powiedziałaaby, że trzeba mu „czterdziestu przymknąć oczu”. Potem będzie mógł jechać dalej.

\* \* \*

Obudził go hałas w barze. Nic dziwnego, ponieważ to był nie zwykły hałas, ale ogłuszający harmider — krzyki, śpiewy, tupot ciężkich butów i brzęk butelek.

Mówili po niemiecku.

Barney wszystko słyszał, ale rnie otworzył oczu. Serce waliło mu boleśnie w piersi, kiedy próbował sobie odtworzyć topografię tego pokoju. Gdzie są tylne drzwi? Czy zdoła przez nie uciec, zanim Niemcy go odkryją? Mógłby się gdzieś ukryć, aż ci żołnierze — ponieważ to mogli być tylko żołnierze — odejdą. Miał słabą nadzieję, że nie zauważą ciężarówki.

Powoli, ostrożnie uniósł powieki i ujrzał niemieckiego żołnierza, stojącego w drzwiach, z karabinem wycelowanym wprost w niego.

Barney otworzył oczy, powoli uniósł ręce nad głowę w geście poddania się i opuścił nogi na ziemię. Potem niespiesznie wstał, nie chcąc go wystraszyć jakimś nagłym ruchem, bo tamten mógłby wtedy strzelić. Ani on, ani żołnierz, który wyglądał najwyżej na osiemnaście lat, nie powiedzieli ani słowa. Barney słyszał wyraźnie bicie własnego serca. Chłopak ruchem karabinu wskazał mu drogę.

Barney posłusznie kiwnął głową i powłókł się w stronę drzwi z oczyma utkwionymi w karabin, jakby mógł wzrokiem powstrzymać go od wystrzału.

Żołnierz trącił go lufą w zębra i obaj weszli do baru, w którym siedziało teraz około tuzina nieprzyjacielskich żołnierzy. Zdjęli hełmy i kurtki, karabiny rzucili na stertę tuż przy drzwiach i, odrzucając głowy do tyłu, pili wino z butelek. Puste butelki stały na kontuarze i wały się po podłodze. Musieli już tu siedzieć od jakiegoś czasu; spał zbyt mocno, żeby ich usłyszeć.

Niemiec, który go pojmał, coś krzyknął. W tym samym momencie żołnierze prze-rwali picie, zobaczyli Barneya i zaczęli głośno rechotać. Jeden z nich wystąpił na-przód, złapał go z tyłu za kołnierz i rzucił twarzą na podłogę. Kiedy Barney spróbował się podnieść, czyjaś noga przycisnęła mu głowę do ziemi.

Leżał tak, myśląc o swoim pierwszym spotkaniu z Amy, o śmiechu Amy, o jej płacu, o tym, jak ją trzymał w ramionach, jak się kochali; cały czas przy tym czekał na kulę albo ostrze bagnetu, wchodzące w jego ciało i kończące jego krótkie życie. Już za chwilę, za minutę, za sekundę będzie tylko wspomnieniem dla swojej żony, rodziny i wszystkich, którzy go znali...

Jednak zamiast kuli czy bagnetu poczuł, że po jego ciele spływa jakaś gorąca ciecz, która moczyła mu nogi, barki, plecy, całe ciało. Stopa się usunęła i ciecz połała mu się na głowę.

Sikali na niego!

Smród uryny sprawił, że zachciało mu się wymiotować. Robili to, rycząc ze śmiechu. Jeden z nich — nie mógł dojrzeć jego twarzy — kopnął go w nogę, potem w biodro, tak iż Barney zaczął podejrzewać, że będą go tak kopać, aż w końcu skona, kiedy nagle jakiś chrapliwy głos coś wywrzeszczał. Barney nie mówił po niemiecku, ale zabrzmiało to jak rozkaz. Żołnierze przestali natychmiast sikać i kopać go i stanęli na baczność: ich buty tak okropnie waliły po kamieniach podłogi, że Barneyowi huczało w głowie.

Mijały sekundy. Barney nie podnosił wzroku. Usłyszał kroki. Zbliżyły się, po czym zatrzymały tuż przy jego uchu. Jakiś głos powiedział uprzejmie:

— Wstań.

Wstał. Mocz spływał mu po włosach. Próbował je otrzeć rękawem, ale całą koszulę miał przesiąkniętą. Ten, który mówił, był przystojnym mężczyzną koło czterdziestki, w szarym mundurze oficera i wyglansowanych czarnych butach z cholewami. Zdjął czapkę i trzymał ją pod pachą, odsłaniając włosy koloru dojrzałej kukurydzy. Oczy miał przenikliwie niebieskie, a wargi tak wąskie, że prawie niewidoczne.

— Pańskie nazwisko i numer? — spytał uprzejmie. Kiedy Barney udzielił tej informacji, został zapytany, dokąd się udawał.

— Nie jestem zobowiązany tego panu mówić — wymamrotał.

Zgodnie z konwencją genewską miał obowiązek podać tylko nazwisko i numer.

Oficer się uśmiechnął.

— Jeżeli wybiera się pan do St. Valery-en-Caux, to uprzedzam — pańska podróż nie ma sensu, poruczniku Patterson. Dzisiaj armia niemiecka wzięła do niewoli osiem tysięcy żołnierzy brytyjskich, z generałem i oficerami włącznie, nie mówiąc już o żołnierzach francuskich, których było trzykrotnie więcej.

Wywrzeszczał rozkaz w swoim własnym języku — żołnierze schwycili hełmy, kurtki i karabiny i przepychając się, wychodzili z baru. Wtedy oficer zawołał „Oskar!” i jakiś mężczyzna w średnim wieku, w drucianych okularkach na nosie wszedł i energicznie zasalutował. Spojrzał na Barneya oczyma bez wyrazu.

Oficer coś powiedział, Oskar skinął głową, ponownie zasalutował, szczerknął „Ja, mein Herr” i opuścił bar. Teraz zostali tam tylko Barney i oficer.

— Nazywam się Frederick Toller — powiedział Niemiec — Jestem pułkownikiem Siódmej Dywizji Pancernejszy naszej słynnej niemieckiej armii. Jeżeli pana interesuje, skąd tak dobrze znam angielski, już wyjaśniam. W latach dwudziestych otrzymałem tytuł doktora filozofii w dziedzinie antycznej greki na uniwersytecie w Cambridge. Kiedy wybuchła wojna, byłem profesorem historii na uniwersytecie w Lipsku i musiałem porzucić swój zawód, by walczyć za ojczyznę. Był pan na uniwersytecie, poruczniku?

— Zrobiłem dyplom z filologii klasycznej w Oksfordzie. — Barney nie widział powodu, by ukrywać ten nieistotny skądinąd fakt.

— Tak też myślałem. Zawsze to widać. Dobry dyplom idzie w parze z pewnym typem zachowania, nie sądzi pan?

Przeszedł za bar, wziął butelkę wina i obejrzał ją pod światło, sprawdzając, ile zostało. Wyraźnie zadowolony, wypłukał jeden z ceramicznych kufli, po czym nappełnił go do połowy.

— Czy pan też się napije, poruczniku? — spytał.

Barney potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję, ale chciałbym się pozbyć tego ubrania. Pańscy ludzie najwyraźniej nie mają pojęcia, jak należy traktować jeńców wojennych.

Powiedział to z ufnością, której jednak nie odczuwał. Po prostu uznał, że najwyższy czas, by podkreślić swoje prawa jeńca wobec tego wysokiego rangą oficera.

— Przepraszam za moich ludzi — odparł pułkownik Toller. Zabrzmiało to szczerze. — Powiem im, jak się mają na przyszłość zachowywać. Nie zapomniałem o pańskim ubraniu. Akurat jestem w drodze do Rouen i mam w samochodzie walizkę.



Oskar zaraz przyniesie panu czyste ubranie na zmianę i zadba o oczyszczenie tego, które ma pan na sobie.

Oskar zjawił się niemal w tym samym momencie i położył na krześle ubranie — białe spodnie, białą koszulę i bieliznę. Postawił na podłodze parę białych tenisówek i bez słowa wyszedł z baru.

Barney ściągnął koszulę i podkoszulek, włożył je do zlewu i odkręcił wodę. Czerwony notatnik był kompletnie zniszczony. Trzymał go chwilę w palcach, wreszcie rzucił na podłogę. Nie było tam żadnych tajemnic wojskowych. W każdym razie atrament i tak się rozplątał — i tekst zrobił się nieczytelny.

Barney opłukał włosy i obmył się do pasa. Na haczykach przy barze wisiały trzy szmatki, prawdopodobnie ściereczki do naczyń. Wziął jedną i wytarł się tym kawałkiem lnu — najlepiej jak się dało, po czym podsunął sobie krzesło z ubraniami, żeby były pod ręką.

Kiedy Barney ściągał spodnie i opłukiwał nogi pod kranem, pułkownik Toller spacerował po pokoju za barem. Barney wolałby stanąć pod prysznicem z kawałkiem mydła karbolowego i szorować się tak długo, aż będzie zupełnie pewien, że spłukał z siebie ostatnią kroplę szwabskiej uryny.

Pułkownik zawołał z pokoju:

— Ten, co tu mieszkał, to prawdziwy miłośnik książek! Co pan sądzi o Tołstoju, poruczniku Patterson?

— Jego powieści są stanowczo za długie! — odkrzyknął Barney. — W każdym razie tak uważałem, kiedy miałem siedemnaście lat. Może teraz nie byłbym już taki niecierpliwy.

— Jest pan bardzo uczciwym młodzieńcem. Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia dwa — odparł Barney. To była kolejna informacja, której nie uważał za szczególnie ważną; zresztą pułkownik opowiedział mu już bardzo dużo o sobie.

— Jest pan żonaty?

— Tak.

— Dzieci?

— Nie, jeszcze nie.

— Ja mam pięcioro: trzech chłopców i dwie dziewczynki. Moja żona jest Angielką. Ma na imię Helena i pochodzi z Brighton. Już się pan ubrał, poruczniku? Czy mogę wejść?

— Tak, ubrałem się — rzekł Barney.

Spodnie były za szerokie w pasie, a buty za małe, tylko koszula i bielizna pasowały od biedy. Było dużo lepiej, ale nadal czuł ten koszmarny odór.

Pułkownik wrócił do baru, paląc papierosa. Wciąż trzymał w ręku srebrną papierosnicę i poczęstował Barneya, który wziął z wdzięcznością papierosa, mruczając „dziękuję”, kiedy tamten przypalał mu go srebrną zapalniczką.

— Niech pan zostawi te brudne ubrania, Oskar je zabierze — oświadczył pułkownik. — A teraz, poruczniku Patterson, pan i ja pojedziemy razem służbowym samochodem do Rouen. Będziemy prowadzić kulturalną rozmowę, powiedzmy, o literaturze? — Uniósł pytająco wąskie brwi. — Liczę, że honor nie pozwoli panu na próbę ucieczki, chociaż drzwi po pańskiej stronie będą zamknięte, na wypadek gdyby się pan okazał fhniej honorowy, niż pan wygląda. Ja na pana miejscu z całą pewnością zachowałbym się na wskroś niehonorowo. — Uśmiechnął się leciutko. — Sprawdzę, gdzie zawieziono żołnierzy, którzy dzisiaj dostali się do niewoli, i postaram się, żeby pan do nich dołączył, ale dopiero wtedy, gdy pańskie ubrania będą wyprane i oczyszczone, a pan sam po dobrym posiłku. — Ukłonił się i gestem dłoni wskazał Barneyowi, żeby przed nim wyszedł z baru. — Proszę iść przodem, poruczniku. Sądzę, że w innych okolicznościach moglibyśmy zostać serdecznymi przyjaciółmi. Ale cóż, okoliczności są obecnie takie, a nie inne i oficjalnie jest pan jeńcem wojennym.

\* \* \*

W czasie wojny nie wolno było zmieniać zatrudnienia, chyba że się przechodziło na podobne stanowisko.

Amy nie chciała pracować dłużej w liniach kolejowych Londyn- -Midland-Szkocja. Jakoś sobie nie wyobrażała, że mogłaby robić coś, co byłoby równie przyjemne jak praca naczelnika stacji w Pond Wood. Linia kolejowa została znów uruchomiona, ale stację zamknięto na jakiś czas. Nie chciała sprzedawać biletów, odbierać telefonów ani stać za biurkiem w punkcie informacji. Nie była ani zbyt wysoka, ani silna na tyle, żeby zostać tragarzem, zresztą nie robiłaby tego nawet wówczas, gdyby miała metr osiemdziesiąt wzrostu i krzepę Samsona.

— Chcę sobie dać spokój z pociągami i robić coś zupełnie innego — powiedziała do teścia, który natychmiast zaproponował jej pracę w swojej fabryce w Skelmersdale. — Na stanowisku kierownika — obiecywał.

— Naprawdę brakuje ci ludzi, czy specjalnie dla mnie wymyśliłeś tę posadę?

Wiedziała, że nie chciał, żeby jego synowa pracowała jako zwykła robotnica. Nie podobała mu się jej praca w Pond Wood, ale Amy uparcie odmawiała jakichkolwiek dyskusji na ten temat. Gdyby nie trzymała ręki na pulsie, Leo przejąłby kontrolę nad całym jej życiem. Strasznie się irytował, kiedy jej nie zastawał, telefonując do jej mieszkania, albo składał jej niespodziewane wizyty. Powiedziała mu bez ogródek, że nie ma zamiaru być na każde jego zawołanie:

— Leo, zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Wychodzę, kiedy mam ochotę, i idę tam, gdzie mi się podoba.

Odrzuciła propozycję pracy w Skelmersdale, nie chcąc nawet w najmniejszym stopniu ponosić odpowiedzialności za jego interesy. Wtedy wystąpił z inną sugestią. Jego przyjaciel właśnie otwierał w piwnicy budynku na Water Street wojskowy klub dla piechoty, marynarki i lotnictwa — i szukał recepcjonistki.

— Opowiedziałem mu o tobie i jest naprawdę zainteresowany. Robota jest dziecinnie prosta, ale John dał jeden warunek — musisz być co wieczór elegancko ubrana. Masz mnóstwo czasu, żeby sobie kupić parę ładnych wieczorowych sukienek, zanim ubrania zaczną być na kartki.

Kiedy to mówił, w jego ciemnych oczach pojawiły się figlarne iskierki. Dobrze wiedział, że ją to zachęci.

Amy bardzo kusilo to stanowisko. Taką pracę na pewno by polubiła. Kupowanie ubrań było jej ukochanym zajęciem. Prawdziwą pasją, bez dwóch zdań.

Już miała się zgodzić, kiedy Leo powiedział, że klub będzie tylko dla oficerów. Niższe szarże nie będą tam miały wstępu.

— To znaczy, że Harry, twój własny syn, nie mógłby tam wejść! — oburzyła się i zaraz oświadczyła, że ani myśli pracować w takim miejscu. — To hańba. Szeregowi i kaprale są równie ważni na wojnie jak oficerowie.

— Nie wiedziałem, że jesteś socjalistką, Amy — zażartował teść.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, nie mając pojęcia, co oznacza to słowo.

— No, jestem — powiedziała, mając nadzieję, że nie robi z siebie idiotki.

W końcu Amy podjęła pracę w kantynie firmy samochodowej Mulholland Car Manufacturing Company w Speke. Ogłoszenie o tej pracy znalazła w „Echu”. Obecnie fabryka produkowała tylko samochody dla wojska.

Amy już kiedyś pracowała w kantynie, więc miała pewne doświadczenie. Pracowników zwożono ze wszystkich stron Liverpoolu autobusami. Jeden z nich stawał przy Sheil Road, bardzo blisko jej mieszkania. Miała pracować na zmiany — jeden tydzień od szóstej rano do drugiej po południu, drugi od drugiej do dziesiątej wieczór. Poranne zmiany zaczynały się w soboty, popołudniowe miały wolną sobotę.

Leo uznał, że Amy tylko się marnuje w tej pracy.

Spytała go wprost, co też w niej widzi takiego szczególnego.

— Przecież jestem najzwyklejszą osobą, jak każdy inny — stwierdziła, spuszcza-  
jąc skromnie oczy.

— Nieprawda, Amy — odparł całkiem serio, bez cienia drwiny. — Naprawdę jesteś wyjątkowa.

Te słowa ją zaniepokoiły. Próbowwała nie myśleć o rzeczy nie do pomyślenia, ale po tej jego deklaracji doszła do wniosku, że trzeba brać pod uwagę i taką ewentualność. Być może Leo Patterson jest nią naprawdę zainteresowany. Było nawet gorzej. Zamiast doznać szoku, czuła, że jej to schlebia. Niewątpliwie był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Siostry Amy uważały go za symbol męskiej urody, nawet Jacky, zakochana po same uszy w Peterze Altonie.

\* \* \*

Pierwszy dzień Amy w Mulholland wypadł na popołudniowej zmianie. Tak się złożyło, że z samego rana dostała pierwszy od wielu miesięcy list od Barneya.

Był jeńcem w obozie wojennym na południu Niemiec, a ściślej mówiąc, w Bawarii. List nie był długi. Obiecywał, że znów do niej napisze, kiedy tylko się trochę urządzi. Wtedy dokładnie jej opowie, co się wydarzyło przez te ostatnie parę miesięcy.

Amy miała już gruby pakiet listów, czekających na wysłanie przez Czerwony Krzyż, bo pisała niemal codziennie, a nie знаła miejsca, do którego mogłaby je wysłać.

Część listu Barneya była wykreślona. Leo jej powiedział, że to sprawka cenzora. Amy pozwoliła teściowi przeczytać większość listu Barneya, z wyjątkiem ostatniej strony, gdzie Barney pisał, jak bardzo ją kocha i tęskni.

— Widocznie cenzor musiał to uznać za „drażliwą” informację — wywnioskował Leo.

— Bezcelność! — parsknęła Amy. — Co za ohydne zajęcie, czytanie cudzych listów i wykreślanie ich fragmentów.

— Może niektórzy uważają to za interesujące.

— Ależ to po prostu zwykłe wścibstwo. To gorzej, niż być szpiegiem!

Zatem Amy — dzisiaj jednak o wiele szczęśliwsza — zaczęła tego dnia pracę w kantynie w Mulholland.

Cztery inne pracujące tam kobiety — Gladys, Em, Tossie i Joan, w wieku od dwudziestu pięciu do sześćdziesięciu lat, nie były specjalnie zachwycone widokiem ślicznej dziewczyny w eleganckiej sukience z czerwonego lnu i czarnych lakierkach na wysokich obcasach, która wyglądała tak, jakby nigdy w życiu nie miała się ciężkiej pracy.

Dwudziestopięcioletnia Em opowiadała jej potem:

— Wiesz, najpierw myślałyśmy, że z ciebie taka wytworna dziwka, co to się popisuje przed swoimi przyjaciółmi, że pracuje z hołotą.

— Zapomniałam się przebrać — wyznała Amy i roześmiała się dźwięcznie. Przypomniała sobie, że kiedy przyszła tam pierwszy raz, sześćdziesięcioletnia Gladys spytała ją obcesowo, czy aby nie pomyliła adresu...

— Sala koktajlowa jest na górze — burknęła i głośno pociągnęła nosem.

Ale opryskliwe — a czasem nawet grubiańskie — uwagi kobiet i ich pogardliwe spojrzenia sływały po Amy jak woda po kacze. Dostała list od Barneya i tylko to się liczyło!

— Dziś rano, pierwszy raz od nie wiem jak dawna, dostałam wiadomość od męża — tłumaczyła podniecona. — Napisał, że niedługo po Dunkierce wzięli go do niewoli, a ja od tamtego czasu tak rozpaczliwie czekałam na jakąś wiadomość! Och, co to za termos? W tej kantynie, gdzie przedtem pracowałam, mieliśmy gazowy, ale bez przerw nam wybuchał, i naprawdę był bardzo niebezpieczny. Za każdym razem, kiedy go

zapalałyśmy, czekałyśmy z drzeniem serca, aż zaraz wybuchnie. Czy ten jest elektryczny?

Już sam fakt, że mąż Amy był jeńcem wojennym, wystarczyłby, żeby te kobiety zapalały do niej sympatią, ale informacja, że już pracowała w kantynie i nie uważała się za lepszą od nich, sprawił, że pokochały ją jeszcze bardziej. Zanim dzień się skończył, wszystkie były już serdecznymi przyjaciółkami.

Kiedy Amy wracała do domu po dziesiątej wieczór, bolały ją wszystkie kości, mimo iż Joan, która wyglądała na kierowniczkę, przydzieliła jej siedzącą robotę — walcowanie kilometrów kruchego ciasta i wycinanie z niego kólek na wyborne ciasteczka z dżemem. Dowiedziała się, że mąż Joan jest w Marynarce handlowej i że mają wielki kłopot ze swoją piętnastoletnią córką, która chodzi z mężczyzną dwa razy od niej starszym.

Em, niezamężna, opiekowała się dwiema starymi ciotkami, a Tossie była trzydziestoparoletnią wdową, która dzięki wojnie dopiero zaczęła naprawdę żyć.

— Nigdy nie myślałam, że nadejdzie taki dzień, kiedy znowu pójdę na tańce — zwierzała się W czasie przerwy Amy. — Zarabiam teraz więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widziałam w życiu. Co tydzień chodzę do fryzjera. Gdyby mój mąż żył, na pewno by mnie zabił. Wyobrażasz to sobie? Nienawidził, kiedy widział, że mam dobry humor... taki już był, ten cholerny Ron.

Gladys była wiecznie naburmuszona i dostrzegała tylko ciemną stronę życia. Mimo to wszystkie lubiły tę niepoprawną pesymistkę. Żartowały z jej ponurej twarzy i ciętego języka.

Po powrocie do domu Amy położyła się w wannie. Czowała, jak ból powoli ustępuje, aż w końcu niemal zdrętwiała. Za to jutro będzie spać, ile dusza zapagnie... A może wstanie wcześniej i pójdzie na zakupy? Musi sobie sprawić parę pantofli na niskim obcasie. Czy to możliwe, żeby takie pantofle były naprawdę eleganckie? Trzeba to będzie sprawdzić...

Zagotowała mleko na kakao i jeszcze raz przeczytała list od Barneya. Wypiła kakao i położyła się do łóżka z listem. Przecież Barney go naprawdę dotykał! Przycisnęła kartki do ust.

— Barney! — wyszeptała. — Och, Barney!

\* \* \*

Amy pracowała teraz o wiele ciężej niż na stacji w Pond Wood, ale miała też więcej czasu wolnego. Już zapomniała, jak wygląda spokojne — a nie na wariata! — robienie zakupów, wyjście do kina albo do restauracji. Przez ten czas, kiedy pracowała na stacji w Pond Wood, umknęło jej mnóstwo cudownych filmów, jak Zwycięstwo nad mrokiem i Stara panna z Bette Davis; Ninoczka z Gretą Garbo; wreszcie najcudowniejszy film wszystkich czasów, Przemięło z wiatrem, w którym grali Clark Gable i Vivien Leigh oraz całe mnóstwo innych sławnych gwiazd. Teraz Amy biegła na wszystkie te filmy z Em, która miała kompletnego bzika na punkcie kina i znała ciekawostki z życia każdej wielkiej gwiazdy.

— Moja przyjaciółka Cathy kochała się jak wariatka w Clarku Gable'u — opowiadała Em, kiedy wychodziły z kina. — Muszę do niej napisać i spytać, czy widziała Przemięło z wiatrem. N pewno byłaby zachwycona tym wyciskaczem łez.

Cathy odpisała, że film obejrzała, ale już się nie durzy w Clarku Gable'u.

Byłam wtedy po prostu młoda i głupia — pisała, jakby teraz, mając dziewiętnaście lat, była już stara jak matka ziemia. — To prawda, że jest nieziemsko przystojny, chyba jednak wołę prawdziwych mężczyzn z krwi i kości niż tych na celuloidowej taśmie.

Naloty na miasto zdarzały się coraz częściej. Kapitan Kirby-Greene oraz państwo Porter, starsze małżeństwo z pierwszego piętra domu przy Newsham Park, zamienili obszerną piwnicę w schron godny króla Anglii. Jakby za machnięciem czarodziejskiej różdżki zjawiły się tam fotele, stolik do kawy, radio na baterie, które działało nawet wtedy, kiedy nie było elektryczności, piecyk kempingowy do przygotowywania gorących napojów, książki, których doborem zajmował się osobiście kapitan, zawsze polujący w antykwariatach na opowiadania o tematyce żeglarskiej. Były wśród nich dwie biografie Nelsona oraz szczegółowe opisy bitew morskich na przestrzeni wielu stuleci.

Państwo Porter schodzili teraz do piwnicy każdego wieczoru koło ósmej, nawet jeśli nie było słycać syreny. Pani Porter zawsze z robótką na drutach w koszyczku, pan Porter z plikiem gazet do czytania, wśród których były również tygodniki „tych przeklętych socjalistów”.

— Nie uważam, żeby mi zaszkodziło poznanie zapatrywań innych ludzi — mawiał niechętnie, broniąc swojego świętego prawa do kupowania tego „lewicowego chłamu”.

Kapitan, zawsze szukający partnera do rozmowy, wyczekiwał bynajmniej nie na alarmową syrenę, ale na stuknięcie drzwi od piwnicy i bezzwłocznie dołączał do państwa Porterów.

Clive i Veronica Staffordowie, mieszkający na drugim piętrze, byli oboje wysocy i kościści, z twarzami o nijakich rysach i bladoniebieskich, wodnistych oczach. Można by ich raczej wziąć za brata i siostrę, a podobieństwo podkreślał jeszcze fakt, że oboje nosili okulary bez oprawek. Niemal zawsze, kiedy się pojawiali, spierali się o coś, co, jak twierdził Clive, było z winy Veroniki: na przykład to, że zapomniał wziąć ze sobą chusteczki, idąc do pracy; że był zbyt chłodny — lub zbyt gorący — w łóżku zeszłej nocy; że w jego wiecznym piórze zabrakło atramentu; że w jednym z jego butów urwało się sznurowadło, a Veronica powinna była oczywiście zauważyć, że zaczynało się przecierać.

Yeropica broniła się dzielnie, wytykając mu, że but jest na jego nodze, a nie na jej; że to on używał tego pióra jako ostatni, więc jakim cudem akurat ona mogła śledzić losy jego atramentu? Poza tym powinien był zauważyć, że w kieszeni marynarki nie ma chusteczki; że już spała, kiedy on był w łóżku za gorący lub za zimny i wobec tego nic nie mogła na to poradzić.

— Ale powinnaś być bardziej uważna, Vee.

Clive lubił mieć zawsze ostatnie słowo w dyskusji.

— Postaram się na przyszłość — odpowiadała zwykle Veronica, albo mówiła coś w tym rodzaju, z nutą sarkazmu w głosie, którego jej mąż konsekwentnie nie rejestrował. Robiła też paskudne miny za jego plecami, kiedy się tylko odwrócił. Powiedziała kiedyś Amy, że ma nadzieję, iż Clive dostanie powołanie do wojska.

— Musi się nauczyć, że są na świecie ważniejsze rzeczy niż jego chustki do nosa i podarte sznurowadła — stwierdziła.

\* \* \*

Pani Curran i Amy pracowały na tych samych zmianach. Amy przychodziła czasem na Agatę Street prosto z Mulholland i spędzała popołudnie z matką. Czasem szły razem na zakupy na Strand Road w Bootle albo na South Road w dzielnicy Waterloo.

Zbliżał się już koniec października, kiedy Amy wróciła do swojego mieszkania i — po raz pierwszy w życiu — zastała tam czekającą na nią matkę. Oczywiście panią Curran natychmiast zaanektował kapitan Kirby-Greene i kiedy Amy weszła do domu, zastała mamę siedzącą w saloniku kapitana, popijającą mocną herbatę i zajadającą figowe herbatniki.

— Chyba zużył na tę herbatę cały swój przydział — szepnęła mama, kiedy razem z Amy wchodziły na górę, mimo oporów kapitana, który nie chciał jej puścić. — Ciekawe, skąd wziął te figowe herbatniki? Zawsze najbardziej lubiłam właśnie takie.



— Pewnie się domyślasz, co się stało — rzekła mama parę minut później, kiedy już piła filiżankę bardzo słabej herbaty, przygotowanej przez Amy, która nie miała niestety do niej żadnych herbatników. Kiedy Amy wyznała, że nie ma najmniejszego pojęcia, o co chodzi, matka ciągnęła dalej:

— Nasza Jacky i Peter chcą się pobrać. Kłopot w tym, że on nie jest katolikiem, chociaż naprawdę bardzo chciałby nim zostać. W każdym razie tak mówi... Jego mamie i tacie to całkiem obojętne. Już ich poznałam i wiesz, co ci powiem? Są naprawdę sympatyczni.

— Więc w czym problem?

— Młodzi chcą się pobrać już teraz, w tym problem — westchnęła mama. — Jacky ma dopiero siedemnaście lat i potrzebuje mojej zgody na ślub. Nie chce tego robić za moimi plecami, tak jak ty kiedyś. Przepraszam cię, kochanie, ale to przecież prawda — dodała, kiedy córka otworzyła usta, żeby głośno zaprotestować.

— Chyba tak — musiała się zgodzić Amy.

Ona poczekała przynajmniej do swoich osiemnastych urodzin, ale Jacky musiałyby na to jeszcze czekać cały rok.

— Nie ma żadnego „chyba”, Amy, ale nie mówmy już o tym, dobrze? Było, minęło... W tej chwili chodzi przede wszystkim o naszą Jacky. Petera już dawno wzięliby do wojska, gdyby nie to, że jego ojciec potrzebował pomocy w gospodarstwie, teraz natomiast, z powodu nalegań Petera, wziął do pomocy kogoś innego i Peter może pójść na wojnę. Takie buty. Nie wiem, naprawdę sama już nie wiem — mówiła z irytacją pani Curran. — Żadne z moich dzieci nie wzięło normalnego ślubu. Nasz Charlie ożenił się z tą cudaczną kobietą, która nie ma na świecie nawet pół krewniaka, ty wyszłaś za protestanta i w dodatku wzięłaś ślub w jednym z tych pogańskich urzędów stanu cywilnego, a teraz nasza Jacky — idąc za twoim przykładem — jeszcze gotowa jest zrobić to samo. Nie ma teraz czasu, żeby przygotować Petera do wiary katolickiej. Co ja mam u diabła począć z całym tym kramem, Amy? Za dużo tego na moją starą głowę, za dużo... Więc mam się zgodzić na to małżeństwo czy nie? — Odstawiła filiżankę i spodeczek na podłogę, po czym zapaliła papierosa. — Palę teraz jak głupia — westchnęła. — Powinnam z tym skończyć, a tymczasem palę coraz więcej. Kiedy ostatnio kupowałam paczkę papierosów, musiałam dosłownie padać na twarz przed Erniem McIlvannym, żeby mi ją sprzedał. — Ernie McIlvanny miał sklepik ze słodyczami i tytoniem na rogu Agatę Street i Marsh Lane. — Kiedy wojna się skończy, nawet się nie zbliżę do jego cholernego sklepu. Bóg mi świadkiem.

— Pozwól im się pobrać — doradziła Amy, patrząc na udręczoną twarz matki. — Gdyby Peter, co nie daj Boże, zginął, a oni nie mogliby się przedtem pobrać, nasza Jacky nigdy by ci tego nie wybaczyła. — To była niezawodna metoda, żeby jej matka mimo wszelkich zastrzeżeń wyraziła jednak zgodę. — Wyobraź sobie tylko, że Peter wyjedzie, a później się okaże, że Jacky jest w ciąży!

— Jezusie Maryjo! — Matka przeżegnała się pobożnie. — Nie, do tego w żadnym razie nie mogę dopuścić. Och, wobec tego, dobrze. Powiem tej zakochanej parce, żeby załatwiali wszystko tak, jak chcą — znów westchnęła.

Amy podejrzewała, że matka już dużo wcześniej pogodziła się z tym małżeństwem, a teraz chciała tylko, żeby Amy ją w tym utwierdziła.

\* \* \*

Tak więc w ostatnią sobotę tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Jacky Curran została panią Alton. W noc poprzedzającą Boże Narodzenie na Liverpool spadły tony bomb — zapalające, wybuchowe, miny... Czasem wydawało się, że całe miasto stoi w ogniu; płomienie sięgały nieba i zmieniały jego barwę na krwistoczerwoną. Zginęły setki ludzi, a wiele sławnych miejsc Liverpoolu znikło z powierzchni ziemi albo zamieniło się w ruinę.

Po tej strasznej masakrze mieszkańcy Agatę Street odetchnęli z ulgą i skoncentrowali się na podziwianiu panny młodej, Jacky Curran, która odchodziła z domu i brała ślub z czarującym młodzieńcem, który już zdążył zaciągnąć się do Marynarki Królewskiej. Jacky wyglądała naprawdę młodo i ślicznie w błękitnym tweedowym kostiumie i małym kapelusiku przyozdobionym piórkami. Wyjście za mąż w samym środku tej okropnej wojny, a może nawet założenie rodziny, dowodziły z jej strony nie lada odwagi. Jacky nie brała ślubu w kościele, co z pewnością zrobiłaby w normalnych okolicznościach. Ale okoliczności były nienormalne, a młodzi chcieli jak najprędzej się pobrać. Bóg nie miał zapewne nic przeciwko temu, że pobierali się przed obliczem urzędnika stanu cywilnego, nie zaś Jego.

Teraz wszystko trzeba było robić w pośpiechu. Każdy, kto kładł się wieczorem do łóżka, nie mógł mieć pewności, czy rano obudzi się żywy. Kiedy się wychodziło z domu, nie można było zakładać, że wieczorem ten dom będzie jeszcze stał na swoim miejscu. Teraz już nic nie było pewne. Jedyłą pewnością stanowiła teraźniejszość. Musiało się zatem żyć dniem dzisiejszym, bo jutro mogło nigdy nie

nadejść — w każdym razie nie dla ciebie...

\* \* \*

Cathy Burns przyjechała do domu dopiero na drugi dzień po ślubie Jacky. Miała nadzieję, że zdąży na czas, ale pociągi kursowały nieregularnie, więc — chcąc nie chcąc — musiała spędzić całą noc w damskiej poczekalni na stacji w Preston. Pojawiła się na Agatę Street w cywilu, bo mama szykowała jej mundur na drogę powrotną. Pani Burns była ogromnie dumna ze swojej najmłodszej córki, która awansowała do stopnia kaprała i nosiła teraz jedną belkę na ramieniu swojego munduru w kolorze khaki.

Pani Curran przygotowała miły podwieczorek z resztek z weselnego przyjęcia, postawiła także na stole puszkę szynki. Dom wydawał się pusty bez Jacky, która już wyjechała w podróż poślubną nad jeziora. Biedna Biddy czuła się taka samotna, że Amy aż serce ścisnęło się z żalu. Postanowiła ją zaprosić do kina razem z Cathy.

— Dzięki, siostrzyczko — westchnęła Biddy, żałośnie pociągając nosem.

Potem Amy i Cathy poszły do saloniku, żeby nadrobić zaległości w gadaniu. Często do siebie pisywały, ale widziały się ostatni raz wtedy, gdy Amy straciła dziecko.

— Wciąż o nim myślę — wyznała Amy ze smutkiem. — Moje maleństwo miałoby teraz dziewięć miesięcy. Za każdym razem, kiedy widzę takie niemowlę, chciałabym, żeby było moje.

— Masz jeszcze mnóstwo czasu na dziecko. Nawet całą gromadkę...

W oczach Cathy było tyle serdeczności, że Amy pomyślała, jaka z niej dobra przyjaciółka; zresztą zawsze taka była.

— A jak tam Jack? — spytała.

— Jest w Afryce Północnej razem z Harrym Pattersonem.

— Racja! Zapomniałam, że są przyjaciółmi.

— „Towarzyszami”. Tak ich nazywa Jack. Towarzysze broni. — Cathy uśmiechnęła się nieśmiało. — Jeszcze ci o tym nie mówiłam... Ja i Jack niedawno się zaręczyliśmy. Nie mam pierścionka, ale chcemy się pobrać, kiedy tylko Jack wróci do domu.

— Och, Cathy! Tak się cieszę! — zawołała Amy. — Ale dlaczego nie wzięliście ślubu, kiedy twój narzeczony był jeszcze w Anglii?

— Nie sądziliśmy, że tak wiele dla siebie znaczymy... dopiero kiedy wyjechał do Afryki — mówiła Cathy, rozmarzona. — Oświadczył mi się w liście.

— Przez jakiś czas myślałam, że wydasz się za mąż za Harry'ego Pattersona. Byłyśmy wtedy szwagierkami... Pamiętam, jak mówiłaś, że przyjeżdżał do ciebie na Boże Narodzenie i że się bardzo polubiliście.

— Tak było. — Cathy wyglądała na zdziwioną. — Zawsze lubiłam Harry'ego, już od tego dnia, kiedy się poznaliśmy na molo w Southport, a teraz lubię go jeszcze bardziej, po tym, kiedy przyjechał do mnie do Keighley. Przesłał mi potem list — mniej więcej miłosny — i nawet mu odpisałam, ale później ani razu się nie odezwał. Nie, żeby mnie to jakoś szczególnie obeszło — westchnęła radośnie. — Kocham Jacka, a nie Harry'ego.

Amy była ogromnie przejęta.

— Czy to nie byłoby cudowne, gdybyśmy obie w tym samym czasie urodziły dzieci? — Nagle posmutniała. — Co prawda ty masz o wiele większe szanse, żeby zobaczyć się z Jackiem, niż ja na to, że zobaczę Barneya. Zanim ta głupia wojna się skończy i Barney wróci do domu, mogą minąć całe lata.

— Nigdy nic nie wiadomo, Amy. Cuda się czasem zdarzają.

Amy uśmiechnęła się lekko.

— Czy mogłabym być druzną na twoim weselu? — spytała cicho, spuszczac wzrok.

— Będiesz najpiękniejszą mężatką w moim orszaku. — Cathy nie zrobiła żadnej aluzji, że Amy wyszła za Barneya, nie powiedziałszy o tym ani słowa nawet jej, swojej najlepszej przyjaciółce.

To już była przeszłość, a Cathy nie należała do osób pamiętliwych, które płaczą nad rozlanym mlekiem.

\* \* \*

Harry Patterson leżał w milczeniu, wyciągnięty jak struna na płóciennym łóżku. Leżał na stercie pościeli, a na sobie miał tylko bawełniane kalesony. Mimo to pocił się każdym porem skóry, tak że cały się lepiał, co było bardzo nieprzyjemne.

Źle znosił upały. Dowiedział się o tym, dopiero kiedy w sierpniu przyjechał do Afryki Północnej i doświadczył temperatur nieznanych na Wyspach Brytyjskich. Odkrył, że jest wrażliwy na słońce i, jeśli jest go za dużo — właśnie tak jak tutaj — doznaje bolesnych poparzeń, a na jego skórze pojawiają się brzydkie pęcherze. Na szczęście wojsko to zrozumiało. Przydzielono mu pracę, którą mógł wykonywać przez

większość czasu pod namiotem. To oznaczało w praktyce, że musiał obierać dzień w dzień całe góry ziemniaków, „pyrów”, jak je nazywali żołnierze — i zmywać sterty naczyń. Był ciekaw, co powiedziałby jego ojciec, gdyby o tym wiedział. Czy w ogóle by go to obchodziło, że jeden z jego synów musi wykonywać tak przyziemne, by nie rzec — ordynarne — prace?

Harry szczerze w to wątpił. Ojciec byłby na pewno zainteresowany, gdyby chodziło o Barneya, ale nie o niego!

Problem z takimi nocami jak ta, kiedy Harry nie mógł zasnąć i nawet oddychanie przychodziło mu z trudnością, polegał na tym, że nie potrafił się uwolnić od czarnych myśli. Najczarniejszą było ciągle wyrzucanie sobie, dlaczego u diabła powiedział Jackowi Wilkinsonowi, że nie jest zainteresowany Cathy Burns.

— To miła dziewczyna — powiedział wtedy. — Naprawdę ją lubię... ale to nic poważnego.

To się stało zaraz po Dunkierce.

Podczas gdy Harry dobrze się bawił w Essex, Jacka odesłano z powrotem do Leeds, żeby mu wyleczyli kostkę. Początkowo myślano, że jest złamana, już niebawem okazało się jednak, że to po prostu silne skręcenie. Jack pisał do Harry'ego:

*Pamiętasz tę dziewczynę, z którą się spotkałeś w Keighley na Gwiazdkę, Cathy Jakąś-Tam? Czy to, co było między Wami, to coś poważnego? Tylko mów szczerze i nie kręć. W sobotę znów będą tam tańce, ale póki co mogę tańczyć tylko na jednej nodze. Nie zamierzam jej uwodzić, pamiętam jednak, jak mówiłeś, że gadałeś z nią bez końca i że to wspaniałe spotkać dziewczynę, z którą można prowadzić ciekawe rozmowy...*

*Cathy i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi, tylko tyle — odpisał wtedy Harry. — Ma na nazwisko Burns i pracuje w dziale finansów. Jestem pewien, że się ucieszy, mogąc zawrzeć z Tobą bliższą znajomość.*

Jack już więcej nie pisał i Harry przeżył największy szok w życiu, kiedy przyjaciel pojawił się w jego jednostce, tym razem w Cyrenajce, już z wyleczoną kostką — i z wiadomością, że się zakochał w Cathy Burns.

— To naprawdę świetna dziewczyna — mówił, zacierając radośnie chude dłonie. Uszczypnął Harry'ego w ramię tak mocno, że tamten aż się skrzywił. — Dzięki, stary. To największa uprzejmość, jaką mi ktoś wyświadczył. Będę ci wdzięczny aż do śmierci.

W namiocie, który Harry dzielił z trzema innymi żołnierzami, zaczął wyginać i prostować palce u nóg. Na dokładkę do wszystkich swoich nieszczęść cierpiał na ustawiczne skurcze mięśni.

Po drugiej stronie spokojnie spał Jack. Parę tygodni temu oświadczył się Cathy listownie i został przyjęty. Nie miał wprawdzie pojęcia, kiedy znów się spotkają, ale gdy to nastąpi, zaraz się pobiorą, tak mówił.

Harry jęknął. Nawet to, że zaczęli w tej wojnie odnosić zwycięstwa, nie wystarczyło, żeby go uszczęśliwić. Brytyjczycy oraz ich sojusznicy zajęli Sidi Barrani, Sol-lum i Fort Capuzzo i wzięli do niewoli tysiące włoskich żołnierzy.

Było tak gorąco, że rozboleła go głowa i czuł skurcze w obu stopach, ale najbardziej bolało go serce, bo Jack i Cathy zakochali się w sobie. I to był jego — i tylko jego błąd. Dosłownie podał ją Jackowi na tacy.

Teraz mógł mieć pretensję wyłącznie do siebie.

TLR

## Rozdział 13

MAJ 1971

*Pearl*

Położyłam się wcześniej do łóżka, ponieważ nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Charles i Marion znów mają ochotę na małżeńską sprzeczkę. Nie próbowałam nawet zasnąć, było na to o wiele za wcześnie; siedziałam więc w łóżku i czytałam książkę.

Ledwie zdążyłam wyjść z pokoju, kiedy ciotka i wuj już zaczęli się zawzięcie kłócić.

Z pewnymi oporami zamknęłam drzwi swojej sypialni, ale i tak ich słyszałam. Prawdę mówiąc, naprawdę mnie to martwiło. Marion miała od zawsze dyktatorskie zapędy. Charles wiódł żywot panto- flarza, lecz — o dziwo! — wydawał się tym wcale nie przejmować. Pewnie dlatego że z natury był łagodny jak baranek. Z zasady starał się obracać w żart jej chorobliwe krytykanctwo i złe humory. Tymczasem teraz wszystko wskazywało na to, że nie ma zamiaru znosić dłużej tej tyranii. Zastanawiałam się, skąd ta nagła zmiana.

— Powiedz, dlaczego taki jesteś, Charles? — Marion musiała sobie zadawać to samo pytanie.

Śmiech Charlesa przypominał szczeknięcie.

— Masz na myśli, dlaczego mam już po dziurki w nosie twojego braku tolerancji, twojej małostkowości, twojej obsesji na punkcie tego, co pomyślą sąsiedzi i stu jeden innych rzeczy?

— Jakoś nigdy ci to przedtem nie przeszkadzało — przerwała Marion.

Aż zgrzytnęłam zębami na tę niefortunną uwagę.

Charles musiał być tego samego zdania co ja.

— Ha! — szczeknął ponownie. — To znaczy, że się ze mną zgadzasz! Wreszcie do ciebie dotarło, że jesteś nietolerancyjna, małostkowa i masz obsesję na punkcie sąsiadów, tak?

— Nie, nie, oczywiście, że nie... — Sprawiała wrażenie tak zmieszanej, że zrobiło mi się jej żal, chociaż zwykle, kiedy się kłócili, brałam stronę Charlesa. Staralam się

nigdy nie włączać w ich sprzeczki ani nie wyrażać swojego zdania, nawet gdy któreś z nich mnie o to prosiło.

Z mądrością, zdecydowanie przekraczającą dziecięcy wiek, już jako mała dziewczynka przysięgam sobie, że zawsze pozostanę bezstronna.

— Wybacz, Charles, że cię tak unieszczęśliwiam... — pokornie mówiła teraz Marion. Pierwszy raz w życiu usłyszałam, jak przeprasza w jakiejś poważnej sprawie.

— Mam na imię Charlie — powiedział ze złością wuj. — Wszyscy zawsze nazywali mnie „Charlie”, moja mama, tata, siostry i przyjaciele, aż zjawiałaś się ty i uznałaś, że od tej pory mam się nazywać „Charles”, bo to lepiej brzmi! Pamiętam, jak się irtowałaś na moją mamę, ile razy nazwała mnie „Charlie”.

— Zawsze lubiłam twoją matkę, Charles. Tylko że „Charlie” brzmi tak... pospolicie.

— Chyba Charlie Chaplin tak nie uważał. Och, moja stara, kochana mama — mówisz, że ją lubiłaś. Jestem doprawdy wzruszony. To dla mnie coś zupełnie nowego! I jeszcze jedno — sądzisz, że powinienem o niej mówić „matka”, a nie „mama”. Co ty u licha sobie myślisz? Że kim jesteś? Jej Królewską Mością? Lady Gnoj? Królową Saby?

Skrzywiłam się mimowolnie. To, co mówił, było zupełnie niepodobne do tego poczciwego Charlesa, którego dotychczas znałam. Nie byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że dusił w sobie to wszystko przez tyle lat.

— O, ile dobrze pamiętam, twoja mama i tata byli Cyganami, mieszkali w starym brudnym wozie i zarabiali na życie sprzedawaniem tandety po domach. A co ci o ciebie, to zdaje się, że pierwsze majtki włożyłaś, kiedy miałaś już co najmniej dwanaście lat.

— Charles! — jęknęła Marion.

Zapadła cisza. Przypuszczałam, że zrobiło mu się przykro. Powiedział w końcu, że ją przeprasza, ale nie zabrzmiało to szczerze.

— Nigdy nie próbowałem cię zmieniać, Marion, ale ty — nie wiedzieć czemu — uparłaś się, żeby koniecznie mnie zmienić. Osobiście sądzę, że nie byłem znów aż tak zły.

— Jesteś cudownym mężczyzną, Charles — powiedziała Marion zdławionym głosem, ale on najwyraźniej nie był w nastroju do przyjęcia nawet tak miłych słów.



— Jesteśmy małżeństwem od ponad trzydziestu lat, ale czy zdajesz sobie sprawę, że powiedziałaś do mnie coś takiego po raz pierwszy?

Znów zapadła cisza, dłuższa niż pierwsza. Wreszcie odezwała się Marion:

— Dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś mnie nienawidził?

— Nie nienawidzę cię. — Głos miał znużony, jakby uszedł z niego cały gniew. — Czasem jednak po prostu cię nie lubię. Nie podoba mi się, kiedy mówisz, że Amy nie będzie mile widziana w naszym domu. Amy jest moją siostrą i kocham ją! Przez dwadzieścia lat siedziała w więzieniu, a ty jesteś tak pozbawiona litości i zwykłej ludzkiej dobroci, że po prostu odmówiłaś jej wstępu do naszego domu.

Wyobrażałam go sobie, jak chodzi po pokoju z rękami w kieszeniach albo wymachując ramionami.

— A potem narzekałaś, że zapłaciłem za Cathy Burns w restauracji! Nie do wiary — za Cathy! Czy już zapomniałaś, jak stała murem przy Amy, kiedy Barney wrócił z wojny? — Rozległ się donośny huk, jakby Charles w coś kopnął. Najpewniej w komodę. — A już ostatnią kroplą, która przepełniła kielich gorzkości, było to, jak lamentowałaś nad samochodem przyjaciela Pearl. Uczciwie ci mówię, Marion, nigdy bym nie przypuszczał, żebyś nawet ty mogła być tak obrzydliwie małostkowa. To zardzewiałe pudło, gruchot — ale gównu tego faceta obchodzi, co sobie pomyślą twoi sąsiedzi! Pearl nam mówiła, w jakiej trudnej sytuacji jest ten miły chłopak, że szuka, gdzie się da, zajęcia i że jeżeli szybko czegoś nie znajdzie, z powrotem pojedzie za granicę. Ja tam uważam, że w takim wypadku kupno taniego wozu jest na wskroś rozsądnym posunięciem. A skoro się wstydzisz, że taki szmelc stoi przez pięć minut przed naszym domem, to się wyprowadź i zamieszkaj gdzie indziej. Tam, gdzie parkują same por-sche i ferrari!

Marion aż krzyknęła.

— Naprawdę tak myślisz, Charles?

— Tak, Marion. Tak właśnie myślę.

W tym momencie zadzwonił telefon. Przesunęłam się niżej, po czym przykryłam głowę poduszką. Nie chciałam dłużej tego słuchać. Kiedy po chwili wystawiłam głowę, z dołu nie dobiegały już żadne głosy. Zastanawiałam się, czy poszli spać razem, czy też jedno z nich będzie dziś spało w pokoju gościnnym.

Przez następne pół godziny przewracałam się z boku na bok. Kiedy już doszłam do wniosku, że nie zdołam zasnąć, zesłam cicho na dół po szklanę wody. Wracając, minęłam szafkę, gdzie leżały akta mojej matki.

W tym momencie — sama nie wiem, dlaczego — zapragnęłam zobaczyć zdjęcie ojca, tego cudownego mężczyzny, który potem zmienił się w potwora. Wzięłam teczkę z półki i już miałam wracać na górę, kiedy usłyszałam głos:

— Czy to ty, Pearl?

Weszłam do salonu. Charles siedział na kanapie. Światło nie było zapalone. Księżyc w pełni zaglądał przez rozsunięte zasłony i razem z ulicznymi latarniami oświetlał pokój na tyle, że wyraźnie widziałam sylwetkę Charlesa.

— Po co schodziłaś? — spytał.

— Chciało mi się pić i nie mogłam zasnąć — wyjaśniłam. — I jeszcze... pomyślałam sobie, że chciałabym zajrzeć do dokumentów mamy.

— Słyszałaś, o czym mówiliśmy?

— Trudno było nie słyszeć. Zamknęłam drzwi sypialni, ale i tak was słyszałam. W końcu przykryłam głowę poduszką.

Powinnam to była zrobić już na samym początku ich kłótni, a nie dopiero pod koniec.

— Przepraszam cię, kochanie. — Poklepał miejsce obok siebie. — Chodź, usiądź tu na minutkę.

Usiadłam na kanapie i przytuliłam się do niego.

— Przykro mi z powodu samochodu Roba.

Zdaniem Charlesa to była „kropla, która przepełniła kielich góry czy”. (Gdyby Rob nie podjechał po mnie swoim samochodem wtedy w niedzielę, tej ostatniej kłótni wujostwa mogłoby nawet nie być, chociaż przypuszczam, że wystarczyłoby im byle pretekst, żeby skoczyli sobie do oczu.

— Nie bądź niemądra — rzekł po prostu. — Samochód jak samochód. Marion jest chyba jedyną kobietą na świecie, która potrafi przyczepić się do takiego gówna.

Pierwszy raz w życiu usłyszałam takie słowo w ustach mojego wuja.

Wskazał na teczkę na moich kolanach.

— Często ją przeglądasz?

— Nie. Tylko teraz. Chciałam spojrzeć na zdjęcie ojca.

— Był wyjątkowo przystojnym młodzieńcem, ten twój tata. Jesteś do niego bardzo podobna.

Pociągnęłam nosem.

— Wolałabym nie być „przystojna”.

Charles się roześmiał.

— Nie jesteś przystojna, Pearl, tylko bardzo ładna, naprawdę. Masz rysy swojego taty, ale w kobiecym wydaniu. Rozumiesz to? — Przyznałam mu rację. Mówił dalej: — Ale nie wierz wszystkiemu, co tu wypisują. Dziennikarze lubią czasem pofantazjować. Twoja mama nigdy nie miała romansów, ani z Leo Pattersonem, ani z nikim innym. Była wspaniałą żoną. Większość kobiet nie zniosłoby obelg twojego taty — nawet przez jeden dzień, tymczasem ona była przy nim całe sześć lat.

— Pamiętam, jak ją przeklinał — powiedziałam. — Nazywał ją „kurwą”. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co to znaczy, zorientowałam się dopiero po wielu latach.

— Dobrze pamiętasz swojego ojca? — spytał Charles, patrząc na mnie z ciekawością.

Przejechał jakiś samochód i jego reflektory oświetliły ściany salonu.

Przyznałam się, że nie jestem pewna, czy niektóre rzeczy, które zapamiętałam, były rzeczywistością, czy może częścią snu.

— Kiedy umarł, powiedziano mi, że zginął w wypadku samochodowym, ale ja wiedziałam, że tego wieczoru był w domu, bo krzyczał, że chce zabić moją matkę, a nie słyszałam, żeby wychodził.

Poczułam, jak Charles obok mnie sztywnieje.

— Chryste Wszechmogący, Pearl! — powiedział wstrząśnięty. — Nie miałem pojęcia, że ty to wszystko zapamiętałaś. Nigdy przedtem mi o tym nie mówiłaś.

— Bo to tak... przychodzi i odchodzi. — Wzruszyłam ramionami. — W każdym razie wtedy, kiedy to się stało, chorowałam na ospę wietrzną i miałam straszną gorączkę, więc to nawet mógł być sen. Przyszła policja, a także babcia Curran. Owinęła mnie w koc i zabrała taksówką na Agatę Street. — Zadrżałam. To był straszny moment. — Chyba już potem nie widziałam więcej swojej matki.

— Tak, to wszystko jest cholernie smutne. — Charles zdjął mi z kolan teczkę matki. — Wolałbym, żebyś tego nie czytała... właśnie teraz. No, i chyba najwyższy czas zmienić temat rozmowy. — Odchrząknął. — Pomówmy o twoim młodym przyjacielu. Czy mogłabyś z nim wyjechać za granicę, gdyby tu, w kraju nie znalazł pracy?

— Ależ Charles, przecież ledwie go znam — bąknęłam, wbijając wzrok w podłogę.

— A może zaprosisz go na wycieczkę do Southport? We wtorek. Dzwonił dziś Leo Patterson i zaprosił nas na kolację, razem z Cathy i Harrym. Poznaj nas z tym Robem, byłoby naprawdę miło. Znając twojego dziadka, mógłby mu zaproponować jakąś sensowną pracę. Zdaje się, że jest najlepszym kolegą szefa policji w Lancashire.

— Dobrze, porozmawiam z nim o tym — obiecałam. — Wszystko zależy od tego, czy będzie mógł wziąć wolną noc na poczcie i poprosić siostrę, żeby się zajęła Garym. Jutro do niego zadzwonię.

Taka wspaniała okazja wymagała nowego stroju. Jutro, zaraz po szkole, pójdę sobie sprawić coś odpowiedniego na kolację w Southport z moim dziadkiem.

\* \* \*

Moja przyjaciółka Trish poznała dziadka Leo, kiedy miała około dwudziestu lat, a on dobiegał siedemdziesiątki, może już nawet ją przekroczył — i uznała go za niezwykle atrakcyjnego mężczyznę.

Nie dawało mi to spokoju.

— Ale... on jest naprawdę stary! — wykrzyknęłam.

— I co z tego? — Trish przewróciła oczami. — Mnie się podoba. Jest wyjątkowo seksowny.

Mój dziadek miał grzywę srebrnoszarych włosów, prostych, ale układających się miękko, raczej długich, jak na starszego pana — emeryta. Nie byłabym ani trochę zdziwiona, gdybym pewnego dnia zobaczyła w jego uchu kolczyk. Leo był bardzo szczupły, chodził wyprostowany jak świeca; miał wyraziste rysy i błyszczące, piwne oczy. Najwidoczniej mój ojciec, a potem ja odziedziczyliśmy po nim te piwne oczy, chociaż moje nie błyszczały tak często; nie wiem, jak było w przypadku mojego ojca. Pewnie lśniły jak dwie gwiazdy, kiedy spoglądał na moją matkę...

W następny wtorek spotkaliśmy się w hotelu Carlyle w Southport. Był staroświecki, miał podłogi wyściełane grubym czerwonym dywanem i mnóstwo złocień. Serwety na stolikach były tak śnieżnobiałe, że aż raziły oczy, a srebra pięknie lśniły. W rogu

sali kobieta w szmaragdowo-zielonej sukni grała na fortepianie *The Warsaw Concerto*<sup>9</sup>.

\* \* \*

Było w tym miejscu coś, co sprawiło, że nagle poczułam się tak, jakbym przeniosła się w czasy przedwojenne, a nawet w okres edwardiański. Staroświecki był nie tylko hotel, ale też jego klientela. Starsze panie o sztywno ułożonych siwych włosach, ze sznurami pereł na szyjach i panowie w wieczorowych strojach.

Dziadek, wuj Harry i Cathy już tam byli.

Rob przyjechał razem z nami samochodem Charlesa, zostawiając swój zardzewiały gruchot przed naszym domem (pomysł Charlesa, który najwyraźniej się nie przejmował, co też Marion o tym pomyśli. Być może była to nawet umyślna prowokacja...).

Dziadek podniósł się z krzesła i serdecznie mnie uściskał. Był w czarnych spodniach, czarnej sztruksowej marynarce i białej jedwabnej koszuli ze stójką, jaką nosili rosyjscy Kozacy.

Przedstawiłam go Robowi, któremu udało się na szczęście załatwić sobie wolny wieczór. Rozpierała mnie duma, że mam tak seksownego dziadka, który chodził bez laski, bez aparatu słuchowego, a nawet bez okularów. Wprawdzie studiując menu, mrużył oczy, ale tylko odrobinę. Był chyba najbardziej „hippisowski” na całej sali.

— Miło mi cię poznać, Rob — powiedział, z zapalem potrząsając jego ręką. — Pearl mi mówiła, że pracowałeś w Ugandzie. Muszę przyznać, że postąpiłeś bardzo rozsądnie, wyjeżdżając stamtąd przed zamachem stanu. Ten cały Idi Amin to kawał drań. Obmierzły typ... — Mimo iż prawie całe swoje życie spędził w Anglii, dziadek nadal mówił z irlandzkim akcentem. — Jeszcze nie znalazłeś innego zajęcia?

Rob wyjaśnił, że miałby pewien problem z Garym, gdyby zaczął pracować w policji.

— Bywa, że godziny pracy się przedłużają, czasem w ogóle nie sposób przewidzieć, kiedy człowiek wróci do domu. Cóż, taki los policjanta... — westchnął — a ja nie mam nikogo, kto mógłby się zająć moim synkiem. Ale nawet gdybym wyjechał za granicę, to szczerze wątpię, czy gdziekolwiek urzędę się tak dobrze, jak wtedy w Ugandzie.

---

<sup>9</sup>\* *The Warsaw Concerto* (Koncert Warszawski) — koncert fortepianowy z 1941 roku Richarda Addinsella, napisany do filmu *Suicide Squadron*, w którym główną postacią jest Polak, pianista, a zarazem pilot, biorący udział w bitwie o Anglię.

— Powinniście się pobrać z Pearl! — wypalił nagle mój dziadek, kiwając z powagą głową jak stary mędrzec.

Poczułam, jak krew napływa mi do twarzy. Rob też wyglądał na zmieszanego.

— Rozumiem, że moja wnuczka uczy w szkole twojego synka — ciągnął dalej mój niepoprawnie nietaktowny dziadek. — Moglibyście się tu urządzać nawet lepiej niż ty w Ugandzie. Domy w Liver- poolu — wbrew pozorom — wcale nie są takie drogie. Daj mi znać, gdybyś chciał coś kupić. Przyjaźnię się niemal ze wszystkimi agentami nieruchomości i mógłbym dla ciebie wyszukać jakąś okazję.

Cathy Burns mrugnęła do mnie przez stół.

— Ależ z ciebie stary hultaj, Leo — powiedziała obcesowo. — Właśnie doprowadziłeś do tego, że oboje, Pearl i Rob, skrecają się ze wstydu. Ładnie to tak?

— Naprawdę? — Dziadek zamrugał swoimi piwnymi oczami. — Po prostu mówiłem o czymś, co jest jasne jak słońce.

— W każdym razie — ciągnęła dalej Cathy — dlaczego Pearl miałaby rzucać pracę, żeby się opiekować Garym? Dlaczego na przykład nie może tego robić dla odmiany mężczyzna? A propos, właśnie sobie o czymś przypomniałam... — zwróciła się do Roba. — Gary wziął drugą nagrodę w konkursie artystycznym za swój obraz, przedstawiający drzewo. Wiesz, jaki to konkurs, Pearl. Organizuje go Crosby Herald dla wszystkich uczniów pierwszego roku w naszym okręgu. Akurat kiedy wychodziłam dziś po południu ze szkoły, zadzwoniono do mnie z tą wiadomością.

— To wspaniale! — Rob wyglądał na uszczęśliwionego. — Czy będę mógł mu o tym powiedzieć jutro rano?

— Jeżeli pan chce. Poinformuję o tym wszystkich w poniedziałek.

Nadszedł kelner, przyjął zamówienie na przystawki i na dania

główne, a chwilę później inny kelner przyniósł wino i zaczął nam napełniać kieliszki.

— Chciałbym wznieść toast — rzekł dziadek. — Nie musicie wstawać, ale chciałbym wypić za zdrowie matki naszej Pearl, która jest też siostrą Charlesa, przyjaciółką Cathy, szwagierką Harry'ego i moją synową. — Podniósł kieliszek. — Za Amy Patter- son!

— Za Amy Patterson! — Wszyscy razem podnieśliśmy kieliszki. Nie byłam pewna, czy tak mi się tylko zdawało, czy naprawdę dosłyszałam szept Marion: „...i kryminalistkę”.

— Jak było w Paryżu, Leo? — spytał Charles.

— Bardzo przyjemnie, bardzo wypoczynkowo — powiedział Leo. — Byłem tam dwa tygodnie i przez cały czas miałem piękną pogodę. Myślę, że chciałbym już przejść na emeryturę, wtedy mógłbym więcej podróżować. Tak naprawdę ostrzę sobie zęby na zwiedzanie Stanów. Marzę o tym, żeby przejechać je wzdłuż i wszerz jakimś starym pontakiem. Jak na amerykańskich filmach drogi...

W tym momencie oczy Harry'ego zalśniły nadzieją. Akurat on od dawna ostrzył sobie zęby na przejęcie firmy ojca.

— Właśnie o czymś sobie pomyślałam... — w głosie Cathy zabrzmiała jakaś figlarna nutka. — W przyszłym tygodniu są urodziny Amy. Zastanawiam się, czy właśnie tego dnia, w swoje urodziny, Amy nie wróci do domu.

— Czy to nie zbyt dramatyczny? — chłodno wtrąciła Marion. — Sugerujesz, że Amy się gdzieś ukrywa, a pierwszego czerwca wyskoczy nagle jak filip z konopi?

Cathy parsknęła śmiechem.

— Coś w tym rodzaju. Co o tym sądzisz, Charlie?

— Nic mnie nie zdziwi, jeśli idzie o Amy — przyznał.

Podano przystawki. Cathy opowiadała o najrozmaitszych cudownych i zaskakujących rzeczach, jakich dokonała moja matka; widziałam, że wszystko to wyraźnie psuło Marion humor. W dodatku Charles przytakiwał z uśmiechem każdemu jej słowu, co jeszcze bardziej irytowało jego połowicę.

Rob siedział obok mnie, bardzo spokojny.

— Nic ci nie jest? — szepnęłam.

— Nic, dobrze się czuję. Naprawdę... — potwierdził, widząc mój zaniepokojony wzrok. Zaczynałam się powoli zastanawiać, czy dobrze zrobiłam, zapraszając go tutaj. — Zawsze lubiłem rodzinne spędy, pod warunkiem że to nie była moja rodzina. Wyobrażam sobie wtedy, że jestem w teatrze. Darmowy spektakl, rozumiesz?

— Przykro mi...

Marion była tu jedyną osobą, która wszystko psuła, jak zwykle. Chociaż sugestia dziadka, że powinniśmy się pobrać, też była dość ryzykowna...

— Niech ci nie będzie przykro. Za taki spektakl w teatrze musiałbym słono zapłacić.

Nie wiedziałam, że Rob, poza bombowym kopaniem piłki, ma również poczucie humoru. „Chyba nie wiem o nim jeszcze bardzo wielu rzeczy...”, przemknęło mi przez głowę.

Cathy Burns naprawdę świetnie się bawiła. Na dzisiejszy wieczór założyła błękitną suknię z tafty z falbankami przy kołnierzu i mankietach. Jej krótkie włosy, zwykle przyplaszczone, dziś wyglądały na gęste i sprężyste, a małe kolczyki ślicznie migotały, kiedy poruszała głowę. Zastanawiałam się, czy to czasem nie prawdziwe brylanty. Pracownicy szkoły byliby zdumieni, widząc ją taką, jak teraz: wyglądała o dziesięć lat młodziej i była zupełnie niepodobna do wymuskanej, właściwie nudnej dyrektorki, którą codziennie oglądali.

Ja miałam na sobie pastelową, jedwabną suknię w kwiaty, sięgającą kostek, z głębokim, kwadratowym wycięciem, długimi „biskupimi” rękawami i wysoką talią. Kiedy ją wcześniej przymierzyłam, złęklam się, że przypomina krojem sukienkę ciążową, ale Marion mnie zapewniła, że wyglądam w niej po prostu szalowo.

Marion nie zadała sobie trudu przebrania się w coś bardziej eleganckiego. Zjawiła się w swojej biurowej szarej bluzce i ciemnoszarej spódnicy, w których przyszła do domu z pracy. Myślałam, że większość kobiet w jej sytuacji — to znaczy w nie najlepszych stosunkach z mężem — postarałaby się wyglądać dzisiaj wyjątkowo ładnie. Cóż, ciocia Marion nie była taka jak inne kobiety. Chyba nie potrafiła się zdobyć na słynną babską przebiegłość. Po prostu nie zależało jej na tym, żeby ładnie wyglądać i sprawić przyjemność swojemu mężowi, który na pewno by to docenił, tak jak nie potrafiła udawać, że pije zdrowie mojej matki, kiedy wcale tego nje chce. Na swój sposób Marion była godna podziwu. Strasznie chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o jej cygańskim rodowodzie i miałam nadzieję, że kiedyś uda mi się wziąć na spytki Charlesa.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że siedzący po mojej lewej stronie dziadek wpatruje się we mnie w zadumie. Uśmiechnęłam się lekko, a on uśmiechnął się do mnie.

— Bardzo jesteś podobna do ojca, Pearl — stwierdził.

— Czyżby? Może powinnam wobec tego być twoim wnukiem, a nie wnuczką?



— Nie, kochanie, to byłoby zbyt... — zastanowił się krótko — ...zbyt dziwne, mieć jeszcze jednego Barneya. — Wyraz twarzy dziadka zmienił się nagle. Był teraz nieskończenie smutny.

Pomyślałam, jakie to musiało być okropne, mieć syna, którego zamordowała własna żona, moja matka, a potem regularnie ją odwiedzać w więzieniu.

Podano dania główne oraz więcej wina. Nie byłam przyzwyczajona do picia alkoholu i już czułam, że odrobinę kręci mi się w głowie. Na szczęście nie musiałam się martwić o powrót do domu, w przeciwieństwie do Roba, który przyjechał swoim samochodem i dlatego w ogóle zrezygnował z mocniejszych trunków. Chciałam zasugerować Charlesowi, żeby odwiózł Roba z Seaforth do domu. Cathy oznajmiła, że przyjechała tu taksówką i może pić tyle, ile dusza zapagnie. Dała znak kelnerowi, by napełnił jej kieliszek.

Cathy siedziała po drugiej stronie dziadka Leo; obok niej Charles i Marion. Ponieważ ciotka milczała zawzięcie, biedny wuj Harry nie miał do kogo otworzyć ust. Po jego lewej stronie siedział Rob, którego za wszelką cenę starałam się rozruszać.

Właściwie byłam zadowolona, kiedy dziadek zajął mnie rozmową, a Rob i Harry wdali się w dyskusję na temat piłki nożnej. Obaj oglądali zwycięski mecz Anglików nad Niemcami w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym podczas Pucharu Świata i pamiętali każdą piłkę z tego meczu. Na zmianę komentowali mecz.

Byłoby naprawdę wesoło, gdyby nie Marion, która swoim zwyczajem znów wszystko psuła. W pewnym momencie dziadek powiedział głośno:

— A co u ciebie, Marion? Jak tam sobie żyjesz, moja droga?

— Och! — zająknęła się, próbując się zdobyć na uśmiech. Nikt by się nie ośmielił odpowiedzieć nieuprzejmie Leo Pattersonowi. — Myślę, że... dobrze.

— Nadal pracujesz w tym samym miejscu? Gdzie to jest... — zmarszczył czoło — Aha, w English Electric?

— Tak, Leo.

— Od jak dawna masz tę robotę?

— Trzydzieści trzy lata. — Marion oblizwała wargi. Nie wiedzieć czemu, wyglądała na zdenerwowaną. Przypuszczałam, że uznała słowa dziadka za rodzaj upomnienia za jej niestosowne zachowanie. — Zaczynałam jako maszynistka, w trzydziestym ósmym.

— A jak tam wasz uroczy ogród? — Leo stał się naraz podejrzanie wylewny. — Pamiętam kilka wizyt w waszym domu. Taaak... ogród naprawdę robił wrażenie. Prawdziwe dzieło sztuki.

— Racja... właściwie to Charles wszystko tam robi. Ja co najwyżej trochę sprzątam.

— A dokąd w tym roku wybieracie się na wakacje, moja droga?

— Jeszcze nic nie zarezerwowaliśmy, ale myślimy o wyjeździe na jedną z greckich wysp. Być może nawet na kilka. Chcieliśmy odbyć taki... rejs. Ja najbardziej chciałabym zobaczyć Kretę...

— A ja byłam w zeszłym roku na Rodos i mówię wam, było wprost cudownie — wtrąciła Cathy. — Ale nie jedźcie w samym środku lata, bo jeszcze się usmażycie z gorąca.

Ni stąd, ni zowąd, zanim Marion zdążyła się zorientować, wciągnięto ją w rozmowę o wakacjach, która już po chwili przerodziła się w ożywioną konwersację na temat kosztów hotelowych rozmów telefonicznych z zagranicą, a potem aparatów fotograficznych. I tak dalej, i tak dalej... Dziadek podtrzymywał rozmowę jak palacz dorzucający do pieca, i w ten sposób nie pozwalał Marion na powrót do onieśmielającego milczenia.

Już prawie kończyliśmy jedzenie, kiedy dziadek, szczerząc w uśmiechu zęby jak kot z Cheshire, zamówił wielką butlę szampana. Widziałam, że coś szykuje.

— Mam dla was niespodziankę — powiedział w końcu.

— Jaka, tato? — spytał Harry, ale dziadek tylko tajemniczo potrząsnął głową.

Do sali weszła jakaś kobieta. Zbliżała się do naszego stołu. Zatrzymała się w odległości paru kroków, wpatrzona w nasz stolik. Nie była młoda, ale bardzo ładna, z brązowymi włosami, które się lekko kręciły — i niewiarygodnie błękitnymi oczyma. Czarna suknia opinała jej zgrabną figurę jak rękawiczka.

Moje piwne oczy napotkały jej błękitne.

Uśmiechnęła się wzruszona i powiedziała:

— Witaj, kochanie.

\* \* \*

— Amy! Och, Amy! — krzyknęła Cathy i omal się nie przewróciła o krzesło, biegnąc do niej. — Coś ty do licha zrobiła ze swoimi włosami?

Dziadek nadal się szeroko uśmiechał, jakby był magikiem, któremu właśnie udało się wyciągnąć królika z kapelusza.

Charlesowi opadła szczeka.

— A niech mnie diabli — wykrztusił — jeśli to nie nasza Amy!

— Amy! — Harry tylko tyle zdołał powiedzieć, najwyraźniej był jednak zachwycony jej widokiem.

Nie mam pojęcia, jak zareagowała Marion. W tym momencie po prostu mnie to nie obchodziło.

Nie pamiętam, kiedy wstałam, ale musiałam to zrobić, bo już w następnej minucie rzuciłam się matce w ramiona i szlochałam, a ona głaskała mnie po plecach, mówiąc:

— Cicho, cicho, kochanie. Cicho, no, cicho...

Tylko jak przez mgłę zdawałam sobie sprawę, że w całej restauracji zapadło milczenie, z wyjątkiem gwaru przy naszym stole. Później się zorientowałam, że wszyscy przestali na chwilę jeść i patrzyli tylko na nas.

— No, cicho, cicho — powtarzała moja matka. — Nie płacz, kochanie. Jestem już w domu.

A ja myślałam tylko o jednym — że przecież mogłam ją odwiedzać, pisać do niej, wysyłać jej życzenia na urodziny i mówić jej, jak bardzo ją kocham... bo teraz, o dwadzieścia lat za późno, już wiedziałam, że ją kocham.

## Rozdział 14

1940

*Barney*

Podróż z Francji do Niemiec mogła być dużo gorsza. Oficerów trzymano razem, nieźle karmiono, a pociągi, które wiozły ich przez słoneczną Francję, nie były nawet specjalnie zatłoczone. Jedyne braki papierosów doskwierały — jednym ogromnie, innym wcale.

Z tego, co każdy zrozumiał, wieziono ich do Bawarii, do opuszczonego od kilku lat klasztoru, który teraz przerabiano naprędce na więzienie dla oficerów — jeńców wziętych do niewoli podczas działań wojennych. To chyba był powód, dla którego wzięli ich bez pośpiechu — i nawet zorganizowali im trzy noclegi w dobrze strzeżonych hotelach. Ich więzienie jeszcze nie było gotowe.

W Rouen pułkownik Toller przekazał Barneya niemieckim władzom. Młody jeńiec znalazł się pośród kolegów z pułku szkockiego Highland Rangers, wziętego do niewoli w St. Valery-en-Caux. Większa część Lancashire Rifles, pułku Barneya, zdołała uciec; do niewoli wzięto tylko garstkę Anglików. Żołnierzy załadowano na ciężarówki i wywieziono gdzieś, nie wiadomo gdzie. Oficerami byli Barney, kapitan William King — wysoki mężczyzna o bladej cerze i kruczoczarnych włosach oraz wspaniałych brwiach, który przypominał Barneyowi czarny charakter z filmów płaszcza i szpady — wreszcie porucznik Edward Fairfax, którego Barney znał jeszcze z Oksfordu i teraz znów spotkał w obozie w Surrey.

„Biedny stary Eddie”, jak go nazywali koledzy studenci w Oksfordzie, był rok starszy od Barneya i wyższy rangą. Niski i tusty, z jasnoniebieskimi oczami i przedzonymi już trochę włosami, wyglądał na pocziwca.

Był poza tym, jak by to określiła Amy „ciemny jak tabaka w rogu”. Jakim cudem zdołał się dostać na studia w Oksfordzie, było tajemnicą poliszynela. Zapewne tylko dzięki wpływom jego szacownego ojca, jak się wszyscy domyślali. Jednak potem cała odpowiedzialność za „ciąg dalszy” spoczęła na tłustych barkach Eddiego Fairfaksa. Dla honoru rodziny Fairfaksów powinien był za wszelką cenę stać się lepszy, mądrzejszy, bardziej wyedukowany, a w najgorszym razie równie dobry jak jego wielce po-

ważany ojciec. Na szczęście grubasek Eddie miał ujmujący charakter i cieszył się ogromną popularnością. Ojciec oczekiwał od niego zbyt wiele, koledzy dobrze to rozumieli i pomagali mu wręcz bezwstydnie ściągać. Ale nawet z tą pomocą Eddie z wielkim trudem zdołał obronić pracę licencjacką na trójkę.

Być może za karę za niespełnienie pokładanych w nim nadziei i obniżenie prestiżu rodzinnego Eddiego natychmiast posłano do Sandhurst na kurs oficerski.

Teraz, kiedy on i Barney znów się spotkali w drodze do Bawarii, Eddie natychmiast przyłgnął do młodszego kolegi. Barney zawsze lubił tego chłopaka, ale będąc jeńcem wojennym, jedynym członkiem Lancashire Rifles, którego wolałby nie spotkać, był właśnie grubasek Eddie.

To nie był już ten sam pogodny chłopiec z Oksfordu, ale marudne, niemal płaczliwe indywiduum. Żalił się, że jego ludzie go nie szanowali, że był obiektem kpin, a koledzy oficerowie też mieli o nim nie najlepsze zdanie.

Eddie przyczepił się do swojego dawnego kumpla jak rzep do psiego ogona i w każdym pociągu siadał obok niego. Barney marzył o tym, żeby posłać go do diabła, ale powstrzymywał go przed tym własny dobry charakter. Żał mu było tego biedaka i był na tyle wrażliwy, by

umieć sobie wyobrazić, jak to jest być takim jamfułą jak Eddie Fairfax.

\* \* \*

Przekroczyli granicę i wjechali do Niemiec — mniej więcej dziesiątego dnia po pojmaniu Barneya w barze przez pułkownika Tollera.

Ktoś im powiedział, że są już w Bawarii.

W sumie było ich pięćdziesięciu oficerów. Generał też został wzięty do niewoli, ale nikt nie znał jego losu. Oficerowie dokonali wyboru. Ich szefem został pułkownik Campbell, najstarszy wiekiem.

Barneya to oburzało. Nie uważał za słuszne, żeby, skoro byli teraz więźniami, mieli wybierać spośród siebie jakiegoś szefa. Kiedy się zatrzymali na nocleg w Reims, pułkownik Campbell zorganizował inspekcję.

— Gdzie jest wasza kurtka, Patterson? — spytał ostro, gdy Barney już podał swoje nazwisko i numer.

— Nie miałem na sobie kurtki, kiedy mnie wzięto do niewoli, sir.

— A wasza czapka?

— Czapki też nie miałem... sir.

Zarówno kurtka, jak i czapka zostały w szoferce ciężarówki za barem.

— Cóż... będziemy musieli się rozejrzeć za tymi rzeczami dla was.

— Dziękuję, sir.

Barney nie czuł ani krzty wdzięczności. Nie był w szczególnie dobrym humorze, co u niego było raczej niezwykłe. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim skończy się ta przeklęta wojna? Miał poważne wątpliwości, czy długo wytrzyma pobyt w więzieniu, tymczasem jednak wyglądało na to, że nic nie jest w stanie powstrzymać Hitlera, który już opanował większą część Europy.

W tym czasie perspektywa zwycięstwa aliantów wydawała się marzeniem ściętej głowy.

\* \* \*

Do więzienia dotarli po długiej jeździe ciężarówkami wyboistą, zniszczoną drogą przez las.

Był to niewątpliwie stary zamek, z murami i wieżami zbudowanymi z wielkich głazów i z solidnymi, drewnianymi wrotami. Nawet ściany wewnątrz były z kamienia. W wąziutkie okienka dopiero niedawno wprawiono szyby. Pokoiki były na ogół miniaturowe i z trudem mogły pomieścić dwóch ludzi; powiedziano jeńcom, że ostatnio był tutaj klasztor. Pokoje zakonników nazywano „celami”, co dobrze oddawało ich obecne przeznaczenie.

Na parterze znajdowała się wielka sala z wysokim sufitem. Zapewne odprawiano tu msze, kiedy budynek służył jako klasztor, a jeszcze wcześniej, gdy jeszcze był zamkiem, odbywały się wspaniałe uczty. Teraz, kiedy mieściło się tu więzienie, ta sala znów miała się stać jadalnią, ponieważ stało w niej mnóstwo drewnianych stołów z ławkami po obu stronach. Kiedy przybyli, przy jednym ze stołów zasiadło dwóch urzędników w niemieckich mundurach, którzy zapisywali nowo przybyłych i przydzielali im cele.

Po niemal półgodzinnym staniu w kolejce Barney otrzymał kawałek papieru z rozpisanyymi godzinami posiłków oraz innymi informacjami. Okazało się, że ma spać na drugim piętrze w celi numer dziesięć. W przeciwieństwie do innych jeńców nie miał żadnego bagażu, wbiegł zatem na górę po krętych kamiennych schodach. Zaskoczyło go zimno panujące w tym gmachu pomimo dość gorącego czerwcowego dnia; nie dostrzegł też żadnych urządzeń grzewczych.

„Jeśli tak tu jest w lecie”, pomyślał z niepokojem, „to jak będzie w zimie? Chyba nie dadzą nam zamarznąć...”.

W pokoju numer dziesięć stały piętrowa prycza, stolik, dwa twarde krzesła i szafka. Jakiś młody chłopak o twarzy usianej piegami i rudych włosach siedział na jednym z krzeseł. Kiedy wszedł Barney, chłopak zerwał się na równe nogi i podali sobie ręce.

— Cześć, witaj. Jestem James Griffith, podporucznik z pułku Highland Rangers. Wszyscy nazywają mnie Jay. Położyłem swoje rzeczy na dolnej pryczy, ale mogę spać na górze, jeżeli wolisz.

Ku zaskoczeniu Barneya Jay Griffith, mimo swojej przynależności do szkockiego pułku, mówił z wyraźnym akcentem z Lancashire. Barney się przedstawił, potem powiedział, że zdecydowanie woli górną pryczę, opisał okoliczności wzięcia go do niewoli i powód, dla którego nie miał ze sobą żadnych rzeczy.

— A to pech, słowo daję... — ubolewał Jay, kiedy Barney już skończył. Rozejrzał się po pustym pokoju z gołymi ścianami i małym, wąskim okienkiem. — Fajna nora, co? Ciekawe, ile czasu będziemy tu tkwić.

— Tak długo jak... byłe nie na zawsze — rzekł Barney. Roześmiali się obaj.

— W każdym razie i tak mamy szczęście, że żyjemy — stwierdził Jay. — W ostatnich hecach straciłem kuzyna. Był w tym samym wieku co ja.

— Chryste Panie! Strasznie mi przykro. Ja minąłem swojego brata, kiedy szedł do Dunkierki. Wciąż mam nadzieję, że dojechał do domu w jednym kawałku.

— Też mam taką nadzieję.

Barney podszedł do okna i wyrztał.

— Ależ stąd jest widok! — zawołał.

Czuł się tak, jakby się znalazł na najwyższym szczycie świata. Zamek stał na płaskowyżu, który kończył się jakieś dziesięć metrów od budynku, przy masywnym murze otaczającym cały ten ponury gmach. Stamtąd rozciągał się stromo w dół teren porośnięty puszcza jodłową, tak gęstą, że przypominała ciemnozielony dywan, który ciągnął się aż po horyzont.

Barney zauważył, że na murze ułożono dodatkowo zaporę z drutu kolczastego, do której dostało się mnóstwo ptaków, które nie potrafiły się stamtąd uwolnić. Ich małe szkieleciki zwisały z drutu jak miniaturowe strachy na wróble z poruszającymi się na wietrze piórkami.

— Ciekawe, czy jest w ogóle jakaś szansa, żeby stąd uciec? — zwrócił się do kolegi.

— W tej chwili raczej nie... Bo, sam tylko pomyśl. Nawet gdyby ci się udało wdrapać na mur, mógłbyś z łatwością zgubić się w tej germańskiej puszczy.

Wielu kolegów spacerowało dookoła zamku.

— Może też się przejdziemy? — zaproponował Barney. — Mam cichą nadzieję, że tam na zewnątrz nie będziemy się może czuli tak bardzo w więzieniu.

— Nie powiem nie. Dobrze mi robi haust świeżego powietrza.

Zeszli na dół po kręconych schodach na świeże powietrze, które

rzeczywiście pięknie pachniało. James powiedział, że to zapach sosny. Opowiedział Barneyowi, że poszedł do szkockiego pułku, żeby zrobić przyjemność swojej mamie, Szkotce.

Im dłużej ze sobą gawędzili, tym bardziej odkrywali, jak wiele rzeczy ich łączy. Jay też miał dyplom, ale studiował entomologię.

— To dział zoologii, nauka o owadach — wyjaśnił, kiedy Barney spojrział na niego, nie rozumiejąc. Obaj woleli futbol niż rugby, obaj byli żonaci zaledwie od roku, obaj mieli awersję do burzy i nie znosili wszelkiego rodzaju zieleniny.

— Zwłaszcza kapusty — zaśmiał się Barney.

Jay udał, że zbiera mu się na wymioty.

— Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby nas tu codziennie karmili kapustą. Co to właściwie znaczy „sauerkraut”<sup>10</sup>?

— Nie wiem, ale brzmi ohydnie i z pewnością kapuścianie.

Podeszli do małej grupki żołnierzy, siedzących na kamiennej ławce

i grających w karty. Chwilę im się przypatrywali. Okazało się, że ich więzienie ma już nawet przezwisko: „Pszczeli Ul”. Barney pomyślał rozbawiony, że nie ma nic przeciwko pobytowi w tym ulu, pod warunkiem oczywiście, że nie będzie trwać za długo. Poczł ogromną ulgę, bo wyglądało na to, że na dobre odczepił się od Eddiego, a zamiast tego poznał Jaya Griffitha, którego naprawdę polubił. Pokój, a właściwie celę miał dzielić z Eddiem jakiś inny nieszczęśnik.

---

<sup>10</sup> \*Kiszona kapusta — przyp. tłum.



Zbliżała się pora kolacji.

— Idziemy się myć? — spytał Jay, kiedy wrócili do budynku. — A może od takich subtelności jest dyspensa, skoro jesteśmy jeńcami wojennymi?

Barney uniósł jedną brew.

— Przebieramy się w smokingi?

— Mam nadzieję, że pokojówka porządnie wypolerowała srebra...

— Jeżeli jest coś, czego organicznie nie znoszę, to źle wypolerowane srebra!

Pędem wbiegli na górę i weszli do swojej celi. Przy oknie stał kapitan King i wyglądał na zewnątrz. Odwrócił się do nich szybko.

— Ach, Patterson — rzekł dobrodusznie — obawiam się, że mamy pewien problem, który tylko ty możesz rozwiązać.

Barney miał przeczucie, co to może być za problem. Poczłł nieprzyjemny skurcz w żołądku.

— To ten bęćwał Fairfax — ciągnął dalej kapitan. — Najwyraźniej nie może dzielić pokoju z nikim innym oprócz ciebie. Tam na dole omal się nie wściekł, zrobił okropną scenę, kiedy się okazało, że ma mieszkać z kimś innym. Moim skromnym zdaniem ten gnojek potrzebuje psychiatry albo dobrego kopa w swój gruby tyłek. W normalnych warunkach kazałbym mu się zamknąć i pogodzić z tym, co ma — to w końcu wojsko, a nie damskie usługi — ale te warunki nie są normalne, prawda? Przyśle go zaraz na górę, w porządku? A Griffiths może zejść tymczasem na dół do czter-nastki.

— Czy mam prawo wyboru, sir?

— No... nie, Patterson, nie masz. Staram się grzecznie prosić, a nie wydawać rozkazy, ale odpowiedź musi być pozytywna.

— W takim razie, sir, proszę go przysłać na górę — zrezygnowanym głosem rzekł Barney.

— Ten entuzjazm dobrze o tobie świadczy, Patterson.

Kapitan wyszedł, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Gówno! — zaklął Barney.

— Jaka szkoda! — Jay zaczął znów zbierać swoje rzeczy. — A kto to taki ten gość, Fairfax?

— Byliśmy razem w Oksfordzie. Nie powinien był nigdy pójść do wojska, jak babcię kocham. — Barney skrzywił się ze złością i kopnął szafkę. — Kłopot w tym, że trudno tej sieroty nie żałować.

— Cóż... jak mówi zawsze moja matka, „będziesz miał za to wolny fotel w niebie”. — Ścisnął Barneya za łokieć. — A mogło być tak pięknie... — Zachichotał. — Jak myślisz, jeśli pójde do czternastki i zrobię jeszcze większą scenę niż Fairfax, to może odeślą mnie tu z powrotem?

— Bardzo wątpię. — Potrząsnął serdecznie dłonią Jaya. — Cześć, Jay.

— Cześć, Barney.

\* \* \*

„To nie Fairfax potrzebuje psychiatry tylko ja...”, myślał Barney tej nocy, leżąc twarzą do poduszki na górnej pryczy i słuchając monotonnego posapywania swojego niechcianego towarzysza.

— Na pewno nic ci nie jest, Barney? — pytał Eddie z troską z dolnego poziomu. — Całą noc byłeś strasznie milczący.

— Jestem po prostu zmęczony. Jeżeli chcesz z kimś pogadać, idź na dół. — Jadalnia służyła też jako kasyno oficerskie. — Tam jest na pewno tłum kolegów.

— No wiesz. Nawet nie pomyślałbym, żeby cię tu zostawić samego, stary, jeśli coś ci doskwiera. W końcu jesteśmy kumplami, co nie?

— Nic mi nie doskwiera, ani trochę. Jestem po prostu zmęczony — śmiertelnie zmęczony, jeśli cię to interesuje.

— Jeżeli zejde na dół sam, nikt nie będzie ze mną gadał.

— To dlaczego nie wezmiesz kartki — dali nam przecież — i nie napiszesz długiego listu do domu? — warknął Barney.

Też miałby ochotę zejść do kasyna, ale na samą myśl o Fairfaksie, wlokącym się dwa kroki za nim po kręconych schodach, chciało mu się po prostu rzygać. Marzył o napisaniu długiego listu do Amy, ale tylko kiedy będzie sam, tak żeby mógł spokojnie przelać na papier to, co czuł.

— Nie mam teraz ochoty na pisanie listu — powiedział urażony Fairfax:

Barney nie odpowiedział.

\* \* \*

Pięć dni później przybył komendant obozu.

Nazywał się Frederick Hofacker i był w randze pułkownika. Wprawdzie nikt nie był naocznym świadkiem jego przyjazdu, ale nie można było nie słyszeć hałasu, jakiego narobiła kawalkada samochodów, która go przywiozła, ani stukotu butów na kamiennych podłogach i wyszczekiwanym rozkazów.

Przepisy, które dotychczas nie istniały, teraz weszły w życie.

Jeńcy mieli być na nogach o siódmej rano, a w łóżkach najpóźniej o dziesiątej wieczorem. Po tej godzinie nie wolno było rozmawiać. Ćwiczenia na dworze musiały trwać co najmniej dwie godziny dziennie. Musieli zmywać po sobie naczynia po każdym posiłku i sami ścielić łóżka. Spóźnieni na posiłek nie otrzymywali jedzenia, a każde nieposłuszeństwo było karane zamknięciem w piwnicy o chlebie i wodzie na trzy dni. Każdy złapany na próbie ucieczki miał być z miejsca rozstrzelany. To ostatnie słowo podkreślono dwa razy.

Poza tym zostali poinformowani, że w niedzielę w kasynie oficerskiej będzie odprawiana msza katolicka, a następnie pastor luterański odprawi nabożeństwo dla wszystkich jeńców innego wyznania.

— Brzmi całkiem niezłe — rzekł Barney, czytając kartkę z informacją.

— Ale dwie godziny ćwiczeń na dworze, Barney — jęknął żałośnie Eddie. — I to codziennie!

— Ciekaw jestem, jak się teraz wiedzie niższym rangą — zastanowił się Barney. — Założę się, że śpią biedaki w jakiejś zatłoczonej hali, a nie po dwóch w pokoju, i byłbym naprawdę zdziwiony, gdyby ich karmili tak dobrze jak nas.

Fairfax nawet go nie słuchał. Odkąd tu przyjechali, jedyną osobą, o którą się martwił, był on sam.

— Czy będziemy musieli iść do kościoła?

— Nic tu o tym nie piszą. Ja na pewno pójdę na mszę katolicką.

— Nie wiedziałem, że jesteś katolikiem, Barney!

— Nie jestem, ale moja żona tak. Będę to robił dla niej.

To było doskonale miejsce, żeby się modlić za Amy, w spokoju myśleć o niej, czuć się bliżej niej. Próbował sobie wyobrazić wyraz twarzy matki, gdyby się dowiedziała, że Barney chodzi na katolicką

mszę, ale mimo wielu prób okazało się to niemożliwe.

\* \* \*

Od przyjazdu pułkownika Hofackera do obozu upłynął już tydzień, kiedy pewnego ranka ukazał się żołnierzom, ćwiczącym na zewnątrz. Biegali, kuśtykali albo po prostu spacerowali, okrążając dziesięć razy „Pszczeli Ul”.

Barney pierwszy dotarł do mety, czyli do dwóch przewróconych kubłów, i to właśnie on dostrzegł najpierw wysokiego, nienagannie ubranego niemieckiego oficera, który spacerował niespiesznie — parę kroków w jedną stronę, parę w drugą, z jedną ręką założoną na plecy; w drugiej ścisnął laseczkę, wetkniętą pod ramię. Dwaj żołnierze uzbrojeni w karabiny wyglądali na jego straż przyboczną. Dzień był gorący i Barney podejrzewał, że komendantowi musi być strasznie duszno w dopasowanym szarym mundurze, zapiętym pod samą szyję, w bryczesach i do połysku wyglancowanych wysokich butach.

— Zawsze wygrywasz — zauważył Jay, kiedy chwilę później też przybiegł do mety.

— Jestem najsprawniejszy, to dlatego.

Barney biegł teraz w miejscu, wysoko podnosząc kolana i wymachując rękami, jakby się topił w wodzie. W innych okolicznościach uważałby taki bieg na świeżym, pachnącym sosnowym olejkiem powietrzu za radosne przeżycie. Miał na sobie podkoszulek koloru khaki, szorty i tenisówki, które zdobył dla niego kapitan Campbell. Wyposażono go też w zastępczą kurtkę, czapkę i płaszcz. Wszystko to było na niego o wiele za duże, ale i tak mógł sobie pogratulować, że nie jest za mały.

O nic nie pytał, podejrzewał jednak, że to ubranie zdjęto z jakiegoś zabitego żołnierza.

Podszedł kapitan MacDermott z pułku Highland Rangers, który właśnie skończył swoje rundy dookoła dziedzińca. Był najniższym jeńcem w „Ulu”, mniejszym nawet od Eddiego — miał tylko metr sześćdziesiąt dwa wzrostu. Odznaczał się zaraźliwym poczuciem humoru.

— Musimy ci sprawić nocniczek z wyrzeźbionym twoim nazwiskiem, Patterson. Słuchajcie, to jest chyba pułkownik Hofacker! Trochę fircykowaty, muszę przyznać. Prawdziwy Beau Brummell, arbiter elegantiarum.

Dał znak, żeby Clive Cousins, podporucznik, zwołał na apel młodszych oficerów. Cousins przed wojną uczył się prowadzenia aukcji i miał wyjątkowo tubalny głos. Wywrzeszczał rozkaz, żołnierze natychmiast ustawili się karnie w dwa szeregi i stanęli na baczność. Dopiero po chwili pojawił się zziębnięty Eddie Fairfax, z twarzą mokrą od potu.

— Chyba musiałem oblecieć ten przeklęty zamek jedenaście razy zamiast dziesięciu — wydyszał, stając na końcu przedniego szeregu.

Nikt mu nie uwierzył.

— Spocznij! — ryknął Cousins.

W tym momencie podszedł do nich komendant, po czym stanął przed MacDermottem, górując nad znacznie niższym od niego kapitanem. Obaj zaszalutowali, Niemiec stuknął obcasami i uniósł rękę w sztywnym, mechanicznym geście, jakby drżąc z napięcia.

— *Heil Hitler!* — szczechnął.

Rozległo się kilka chichotów.

W pierwszej chwili kapitan MacDermott wyglądał na skonsternowanego.

— Boże, zbaw króla — odparł cicho.

Młody niemiecki oficer wystąpił do przodu i lekko się uklonił. Miał kobiece ruchy i małe, zaciśnięte wargi.

— Będę tłumaczył pułkownikowi Hofackerowi — powiedział miękkim głosem, z ledwie dosłyszalnym niemieckim akcentem. — Pułkownik prosi, żeby polecił pan swoim ludziom stanąć znów na baczność, ponieważ chciałby przeprowadzić inspekcję.

— Baaaczność! — wrzasnął Cousins. Rozległo się jeszcze więcej stłumionych śmiechów.

Kapitan MacDermott zmarszczył brwi i dyskretnie potrząsnął głową. Dawał im znak, że nie powinni niepotrzebnie irytować wroga. Od tej chwili nikt się już nie śmiał.

Pułkownik Hofacker powoli przeszedł wzdłuż pierwszego szeregu żołnierzy, zatrzymując się na króciutki moment przed każdym z jeńców i wpatrując w niego, jakby chciał zapisać w pamięci jego twarz. Z bliska okazał się raczej mało atrakcyjnym osobnikiem, co najmniej pięćdziesięcioletnim, z brzydką dziobatą cerą i nienaturalnie płaskim, lekko skrzywionym nosem. Barney wyobraził sobie wielką pięść, ładującą kiedyś, dawno temu na tym szwabskim nosie i psującą na zawsze jego nieskazitelny aryjski kształt.

Mimo nieciekawej fizjonomii pułkownik najwyraźniej miał o sobie bardzo wysokie mniemanie. Amy powiedziała by „pierwszy uczeń w klasie”. Widać to było dokładnie po aroganckim wyrazie jego małych oczek i sposobie, w jaki kroczył z dumnie odrzuconymi w tył ramionami. Równocześnie jednak wyglądał jakoś niezdrowo. Białka jego oczu były podejrzanie żółte.

Barney, stojący w drugim szeregu, czuł niepokój, który natychmiast zamienił się w odrazę, kiedy ten mężczyzna zatrzymał się przed nim i stał tak o wiele dłużej niż tylko parę sekund, przewiercając go na wylot świdrującym spojrzeniem. Barney wbił wzrok w tył głowy kolegi stojącego przed nim i wyobrażał sobie, że pułkownik jest niewidzialny.

Hofacker zakończył inspekcję.

— *Danke schon* — powiedział do kapitana MacDermotta ze sztywnym ukłonem, po czym się oddalił, a za nim tłumacz i uzbrojeni strażnicy.

\* \* \*

Parę dni później Eddie Fairfax zachorował.

Zaczął się od gorączki i bólu głowy, który nie dawał mu zasnąć. Jęczał prawie przez całą noc — tak że Barney też nie mógł spać. Na drugi dzień z samego rana kapitan King zdołał znaleźć kilka aspiryn, które jednak choremu nie pomogły. Z każdą godziną Eddie czuł się coraz gorzej. Tracił przytomność, oddychał głośno i z trudem.

Ponieważ wśród jeńców nie było nikogo, kto miałby jakąkolwiek wiedzę medyczną — choćby w załączku — a izba chorych na parterze jeszcze nie była obsadzona, pułkownik Campbell udał się do komendanta, by poprosić o lekarza dla chorego.

Wrócił po kwadransie, nie posiadając się z wściekłości. Oświadczone mu, że pułkownik Hofacker jest zbyt zajęty, żeby go przyjąć.

— Rozmawiałem z tym facetem, który tłumaczy. Powiedział, że przekazał już tę wiadomość. Zwróciłem mu uwagę, że jeżeli nic nie zrobią, na jego cholernego ko-

mendanta pójdzie raport o nieprzestrzeganiu konwencji genewskiej w kwestii traktowania jeńców wojennych. — Pułkownik parsknął gniewnie. — A ten facet tylko na mnie patrzył nieobecny wzrokiem. Jakbym był powietrzem. Cwaniaczek, wiedział równie dobrze jak ja, że w tej chwili szanse mojego raportowania jakimkolwiek władzom o czymkolwiek, co się dzieje w tym cholernym miejscu, są mniejsze niż zero.

— Ten Hofacker od samego początku mi się nie podobał. Kanalia... — stwierdził kapitan King i splunął.

Rozmawiali przed drzwiami pokoju Barneya i Eddiego. Barney słuchał, tego z ciężkim sercem. Na swój sposób, którego nigdy nie mógł zrozumieć, lubił Eddiego — a może po prostu czuł się za niego w jakimś sensie odpowiedzialny. A w tej chwili Barney był jedynym człowiekiem, który mógł pomóc Eddiemu w przetrwaniu.

— Patterson! — zawołał pułkownik — lepiej znajdź sobie dziś jakieś inne miejsce do spania. Nie wiadomo, co Fairfax złapał, ale to może być zaraźliwe.

— Jeśli nawet tak jest, sir, to obawiam się, że już się prawdopodobnie zaraziłem. Jeśli pan pozwoli, zostanę. Fairfax może w nocy czegoś potrzebować.

— Dobry z ciebie chłopak, Patterson. Nalegam jednak, żebyś zszedł na kolację. Na czas twojej nieobecności zorganizuję tu kogoś, kto będzie miał oko na naszego pacjenta.

\* \* \*

To nie ustawiczne stękania i ciężki oddech Eddiego nie dawały Barneyowi spać tej nocy, ale jego milczenie. Leżał na łóżku jak nieboszczyk, nie ruszając się nawet o centymetr, i bardzo rzadko wydając jakiś dźwięk.

Barney raz po raz wychylał się ze swojej pryczy, żeby się upewnić, czy Eddie jeszcze żyje, i oddychał z ulgą na widok jego drgających powiek lub choćby tylko minimalnego poruszania się jego koca, co dowodziło, że chory nadal oddycha.

Po ostatniej kontroli, zadowolony, że Eddie nadal pozostaje w świecie żywych, Barney już się w ogóle nie kładł. Fosforyzujące wskazówki zegarka informowały, że jest kwadrans po drugiej. Cisza była taka, że niemal się ją czuło. Usiadł na łóżku, oparł głowę o ścianę i zastanawiał się nad swoim życiem.

Tęsknił za Amy tak bardzo, że to aż bolało. Wyobrażał ją sobie, jak teraz śpi w ich podwójnym łóżku w małym mieszkanku, gdzie spędzili razem zaledwie cztery miesiące, ale to był najważniejszy i najcudowniejszy rozdział jego życia. Zamknął oczy i do-

tykał jej włosów, policzków, okrągłości podbródka, jej lśniących ramion. Kiedy z powrotem naciągnął na siebie koc, widział jej nocną koszulkę okręconą wokół nóg...

— Przepraszam pana...

Barney był tak zaskoczony, że wydał cichy okrzyk.

— Tak? — zapytał, kiedy zobaczył, że do ich celi wszedł niemiecki tłumacz.

— Proszę mi wybaczyć, że pana przestraszyłem, ale niepokoiłem się, że jeśli zapukam, mogę zbudzić pańskiego przyjaciela — mówił mężczyzna przepaszająco swoim miękkim głosem.

— Czego pan chce?

Musiał hamować irytację, ponieważ mogli rozmawiać tylko szeptem.

— Komendant chciałby się z panem zobaczyć.

— Teraz? — Znowu popatrzył na zegarek. — Jest trzecia nad ranem!

— Teraz. Czy będzie pan uprzejmy pójść ze mną? — Mężczyzna dał znak, żeby Barney wstał.

Barney ani myślał go posłuchać.

— A w jakim celu, jeśli można spytać, komendant chce się ze mną widzieć?

— Sam o tym panu powie. Myślę, że ma to jakiś związek z pańskim przyjacielem.  
— Wzrok mężczyzny prześlizgnął się po Eddiem.

— Zgoda.

Dziwna to była prośba i o dziwnej porze, ale Barney już dłużej się nie wahał. Zsunął się z pryczy, szybko ubrał i podążył za tłumaczem, cicho zamykając za sobą drzwi celi.

Zeszli na dół do cichej jadalni, zwykle tak pełnej zgiełku, teraz jednak opustoszałej, a następnie poszli dalej długim korytarzem, którego Barney nigdy dotąd nie widział. Jego przewodnik otworzył jakieś drzwi.

Weszli do niewielkiego pokoju, w którym stały dwa biurka, a na nich maszyny do pisania i telefony. Zastukał w drzwi znajdujące się w rogu pokoju i, nie czekając na odpowiedź, gestem dłoni zaprosił Barneya do środka, po czym zamknął za nim drzwi.

Jakby się znalazł w zupełnie innym świecie!



Barney z niedowierzaniem mrugał oczami na widok bogatych gobelinów i starych olejnych obrazów w złotych ramach, pokrywających kamienne ściany; biurko, niski kredens, okrągły stolik i krzesła były utrzymane w czarno-złotej tonacji. Na podłodze leżało z pół tuzina wzorzystych dywanów — zapewne perskich. Na stole stała waza z kwiatami. Ich słodki zapach dominował w silnie nagrzanym pokoju. Na otwartym kominku płonęły polana.

Pośrodku pokoju komendant obozu pułkownik Hofacker ni to siedział, ni to leżał na kanapce obitej karmazynowym materiałem i palił papierosa w cygarniczce z kości słoniowej.

Miał na sobie czarny jedwabny szlafrok i taką samą piżamę. Jedną z odzianych w czarne pantofle stóp wspierała się na dywanie, druga na kanapie. Włosy miał gęste, czarne i dłuższe, niż to było przyjęte w wojsku.

Spojrzał na Barneya i uśmiechnął się lekko.

Barney nie odpowiedział uśmiechem. Było coś w tym mężczyźnie — nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa — coś... dekadencego! Tak, to było właśnie to. Poza tym sprawiał wrażenie bardzo chorego, jakby jego ciało toczył od wewnątrz jakiś robak.

— Czego pan sobie życzy? — spytał uprzejmie, pamiętając, że go hi ściągnięto z powodu Eddiego. Demonstracja nieprzyjaznych uczuć mogłaby mieć żaloszny finał dla jego chorego kolegi — i dla Barneya...

— Proszę usiąść, poruczniku.

— Wolałbym stać, dziękuję.

— Jak pan uważa.

Komendant wzruszył ramionami.

— Myślałem, że nie zna pan angielskiego.

— Kiedy ludzie myślą, że się nie rozumie tego, co mówią, można usłyszeć naprawdę interesujące rzeczy.

Przerwał, po czym ciągnął dalej:

— Jest pan bardzo pięknym młodzieńcem, poruczniku Patterson.

— Co takiego?

To była ostatnia rzecz, jaką Barney spodziewał się tu usłyszeć. Ku swemu przerażeniu poczuł, że się rumieni.

— Mam słabość do pięknych młodzieńców — jedwabistym głosem powiedział pułkownik. — Czy jest pan gotów mieć wzgląd na tę moją słabość, poruczniku?

— Boże Wszechmogący, nie! — wybełkotał Barney. Cofnął się parę kroków, żeby zwiększyć odległość między nimi.

— Choćby po to, żeby pomóc przyjacielowi?

Komendant znowu się uśmiechał. Włożył do ust papierosa i wydmuchnął chmurę dymu.

— Nie — zachłysnął się Barney. — Za nic w świecie.

— Jeśli pan zmieni zdanie, w ciągu pół godziny zjawi się tu lekarz, żeby zająć się porucznikiem Fairfaksem. — Sięgnął do popielniczki i strząsnął popiół z papierosa. — W pobliskiej miejscowości mamy naprawdę dobrego lekarza, wyślę po niego samochód...

— Mogę pana zapewnić, że nie zmienię zdania.

\* \* \*

Kiedy Barney wrócił do celi, Eddie jeszcze oddychał, ale jego oddech był teraz urywany i chrapliwy, na domiar złego głośno się krztusił.

„Czy to już charczenie agonalne?!”, pomyślał w popłochu Barney.

A co będzie, jeśli Eddie naprawdę umrze? Przecież mógł go uratować!

Nie był tak całkiem zielony. Wiedział co nieco o praktykach homoseksualnych. Sam nigdy w nich nie uczestniczył, ale dość często był ich świadkiem w Oksfordzie. Jedni faceci mieli to po prostu w naturze, inni traktowali jako rodzaj zabawy.

Eddie przestał chyba oddychać, tylko okropnie charczał. Barney ukląkł przy jego łóżku i sprawdził puls, ale go nie wyczuł. Po chwili Eddie znowu zaczął się krztusić.

— O Boże!

Czy życie jednego człowieka jest mniej warte niż chwilowe upokorzenie innego?

Nie!

Barney zbiegł pędem po schodach do kwatery komendanta. Kiedy otworzył drzwi niewielkiego pokoju, zastał tam tłumacza, który pisał coś przy biurku.

— Proszę powiedzieć pułkownikowi Hofackerowi, że zrobię to, czego ode mnie oczekuje, ale dopiero gdy lekarz zbada mojego przyjaciela — i tylko wtedy, jeśli lekarz okaże się na tyle skuteczny, że mój przyjaciel poczuje się lepiej. Komendant ma na to moje słowo.

— Idę mu powiedzieć. — Podniósł się zza biurka. Małe różowe usta wygięły się w uśmiechu. — Komendant spodziewał się, że pan wróci. Dlatego kazał mi tu czekać...

\* \* \*

Barney został na dole. Nie mógł ocalić Eddiego, jeśli ten w czasie jego nieobecności postanowił umrzeć.

Usiadł przy jednym z długich stołów w jadalni i marzył o papierosie. Po pewnym czasie, który wydał mu się wiekiem, usłyszał wyjeżdżający na dziedziniec samochód i warkot silnika, który stopniowo przebrzmiał, aż nastąpiła zupełna cisza. Znowu minął wiek — i samochód wrócił.

Pojawił się tłumacz i otworzył bramę, zanim kierowca zdążył pociągnąć za sznur dzwonka, który z pewnością zerwałby wszystkich ze snu. To tłumacz zaprowadził lekarza — krępego mężczyznę o czerwonej twarzy, szpakowatych włosach i bujnej brodzie — na górę do Eddiego. Po paru minutach był już z powrotem.

— Jeden z waszych oficerów, kapitan King, musiał słyszeć samochód — powiedział do Barneya — ponieważ przyszedł sprawdzić, co się dzieje. — Usiadł po przeciwnej stronie stołu. — Zdaje się, że on i lekarz mówią po francusku, więc mogą się porozumieć.

— Co powiedziałaś kapitanowi? — szybko spytał Barney.

— Ze stan porucznika Fairfaksa znacznie się pogorszył — wyjaśnił — i że nalegałeś na posłanie po lekarza, a komendant się zgodził.

— Dziękuję.

— Zapalisz? — Wydobył z kieszeni czarną lśniącą papierośnicę z inicjałami F.J. wygrawerowanymi w srebrze. — Nazywam się Franz Jaeger — powiedział. — Pracowałem w londyńskim biurze firmy Mercedes-Benz. Nasz salon się mieścił na Mayfair, bardzo blisko ambasady amerykańskiej, tuż za rogiem.

Barney z wdzięcznością przyjął papierosa; tłumacz mu go przypalił.

— Dzięki — mruknął Barney.

— Przykro mi z powodu tego wszystkiego — powiedział Franz Jaeger.

— Co masz na myśli? — Barney spojrział na niego pytająco.

Nagle zapragnął, żeby tłumacz już sobie poszedł i zostawił go samego.

Tamten rozłożył swoje drobne ręce w geście rozpaczki.

— Wojnę... zabitych po obu stronach... komendanta.

— To dlaczego wstąpiłeś do wojska?

— Ojciec mnie tak urządził — odparł tamten ponuro. — Wróciłem do Niemiec, bo moja matka niespodziewanie zachorowała. Miałem tam zostać tylko przez parę tygodni. Mama umarła, Fiihrer zajął Polskę, Wielka Brytania wypowiedziała wojnę, jednym słowem znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Gdybym miał jakiś wybór, z pewnością pozostałbym w Londynie, nawet gdyby to oznaczało internowanie mnie jako cudzoziemca na wyspie Man, razem z moimi przyjaciółmi, też cudzoziemcami. Wiem, że to bardzo atrakcyjne miejsce turystyczne, o wiele lepsze niż ten obóz jeniecki w Bawarii. Szczerze mówiąc, czuję się tutaj takim samym więźniem jak ty.

Barney nigdy nie był na wyspie Man, ale zgodził się w duchu, że i on wolałby teraz być tam niż w Bawarii.

— Kiedy ta idiotyczna wojna wreszcie się skończy — ciągnął Franz Jaeger — wrócę do Londynu. — Rzucił niedopałek na podłogę, wyciągnął następnego papierosa i podał go Barneyowi.

Barney pstryknął palcami swój niedopałek, który przeleciał przez cały pokój i wziął następnego papierosa.

Franz Jaeger już miał schować papierośnicę do kieszeni. Nagle wysypał jej zawartość na stół.

— Weź je sobie, proszę... Ja mogę zawsze dostać więcej.

— Dzięki. — Barney włożył papierosy do kieszonki na piersi swojej za dużej kurtki.

— On umiera... to znaczy komendant — powiedział Franz obojętnie. — Zżera go rak. Nie będzie ci zbyt długo zawracał głowy.

— Jasne — odparł Barney.

Pułkownik Hofacker raczej nie umrze przed jutrzejszą nocą, w dalszym ciągu jednak istniało prawdopodobieństwo, że Eddie Fairfax to zrobi, a wówczas Barney nie będzie musiał dotrzymać złożonej przez siebie obietnicy...

\* \* \*

Eddie nie umarł.

Okazało się, że ma zapalenie płuc i powinien siedzieć, nie zaś leżeć płasko na łóżku.

— W ten sposób płyn będzie ściekał w dół — powiedział dość enigmatycznie kapitan King. — Lekarz dał mu też jakieś lekarstwo. Nie znam nazwy, coś tu napisali po niemiecku.

— Już nawet wygląda trochę lepiej — zauważył Barney.

Eddie siedział na swojej pryczy, podparty pół tuzinem poduszek.

Spał mocno, ale na jego policzkach pojawił się lekki rumieniec; oddychał już normalnie.

Mijały dni. Lekarz codziennie odwiedzał chorego i Eddie rzeczywiście czuł się coraz lepiej. Po tygodniu już mówił i prawie wrócił mu apetyt, choć nadal był bardzo osłabiony i mógł zrobić zaledwie parę kroków.

Pułkownik Hofacker zadziwił wszystkich oprócz Barneya, posyłając pacjentowi na górę rozmaite przysmaczki: pierś kurczęcia, kotlety wieprzowe, ciastka marcepanowe — prawdziwe delicje, których więźniowie nigdy nawet nie oglądali.

— Najwyraźniej źle oceniliśmy tego gościa — zauważył kiedyś pułkownik Campbell.

Minał jeszcze jeden tydzień i nikt nie powiedziałby, patrząc na Eddiego Fairfaksa, że jeszcze niedawno był ciężko chory.

Barney leżał na swojej pryczy, nie będąc w stanie zmrużyć oka. Nie zdziwił się, kiedy w środku nocy złożył mu wizytę Franz Jaeger.

Pora była wręcz nieprzyzwoita i w całym „Pszczelim Ulu” panowała grobowa cisza.

— Komendant czeka na ciebie — szepnął.

Barney chwycił płaszcz, wsunął stopy w buty i zszedł na dół za Jaegerem. Kiedy już byli w sali jadalnej, Barney przysunął sobie krzesło i rzekł:

— Usiądźmy na chwilę.

W wielkiej sali panowało przenikliwie zimno. Ogrzewano ją słabo, a teraz i ten ogień wygasł. Ręce Barneya przypominały dwa kawałki lodu.

Tłumacz wyglądał na zdziwionego, usiadł jednak po przeciwnej stronie stołu.

— Nie mam najmniejszego zamiaru nawet się zbliżyć do komendanta, a tym bardziej robić za jego panienkę — powiedział stanowczo Barney. — Byłbym zadowolony, gdybyś mu to zakomunikował.

— Ale przecież obiecałeś... poruczniku. — Tamten zmarszczył czoło zaskoczony. — Dałeś słowo.

— Każdy by tak zrobił na moim miejscu — odparł Barney z brutalną szczerością. — Mój przyjaciel był umierający, a w takim skrajnym przypadku żadna prośba o pomoc nie byłaby nieuzasadniona. Porucznik Fairfax miał prawo do wizyty lekarza i pułkownik nie powinien niczego oczekiwać w zamian. Zwłaszcza tego...

— To prawda — zgodził się tłumacz — obawiam się jednak, że pułkownik nie jest człowiekiem kierującym się rozsądkiem. Ale podejrzewał, że mógłbyś nie dotrzymać obietnicy. Dlatego kazał mi cię poinformować, że jeżeli wpadniesz na taki pomysł, w bardzo bliskiej przyszłości jeden z twoich towarzyszy zostanie zastrzelony „podczas próby ucieczki”. To bardzo proste — strzelić do człowieka, który stoi gdzieś na zewnątrz, a potem przysięgać, że próbował przecinać druty.

— Nie robi czegoś takiego! — krzyknął Barney. Przerazenie ścisnęło mu gardło.

— Boję się, że jednak to zrobi... — W głosie tłumacza pobrzmiwało współczucie. — Nie obchodzi go w najmniejszym stopniu, co inni o tym pomyślą. Jak ci już wspominałem, jest umierający, a jego ostatnim pragnieniem na ziemi jesteś ty.

„Jakimi słowami kończy się *Opowieść o dwóch miastach*\*<sup>11</sup>?”, zastanawiał się w duchu Barney, kiedy parę minut później szedł w stronę pokoju komendanta.

*To o wiele, o wiele lepsza rzecz, którą robię, niż wszystko, co dotychczas zrobiłem...*

Coś w tym rodzaju.

---

<sup>11</sup>\* „Opowieść o dwóch miastach” — powieść historyczna Karola Dickensa, wydana po raz pierwszy w roku 1869; jej akcja rozgrywa się w latach 1775—1789 i opowiada o losach Francuza i Anglika na tle ówczesnego Paryża i Londynu.

Eddie Fairfax nigdy się nie dowie, co zrobił jego przyjaciel — dla niego.

\* \* \*

Pułkownik Hofacker zniknął na parę dni przed Bożym Narodzeniem. Krążyły plotki, że został przewieziony do szpitala. W dzień Nowego Roku ogłoszono wszystkim, że umarł.

— Nie macie pojęcia, jaki naprawdę był! — miał ochotę krzyknąć na cały głos Barney, kiedy słyszał, jak ludzie mówią, że z pułkownika był mimo wszystko porządny gość. Pod jego rządami w „Pszczelim Ulu” panowała dość swobodna atmosfera. Zasady, które wprowadził, były jasne i przejrzyste, a strażnicy prawie się nie wtrącali do więźniów. A przypomnijcie sobie tylko, ile zrobił dla Eddiego Fairfaksa, kiedy ten był chory!

Nowy komendant, major von Waldau, starał się nie rzucać w oczy. Raz w tygodniu wzywał do siebie pułkownika Campbella, najwyższego rangą oficera wśród jeńców, i wspólnie omawiali sprawy związane z więźniami oraz warunki, w jakich ich tu trzymano. Zaraz na początku nowego roku te warunki jeszcze się pogorszyły, kiedy przyjechało stu nowych jeńców. Teraz musieli już mieszkać po czterech w celi.

Stopniowo docierało do zatrzymanych, że zanim będą mogli wrócić do swoich domów i rodzin, upłynie jeszcze wiele, wiele czasu.

W rzeczy samej.

Okazało się, że musieli przesiedzieć w tym bawarskim obozie ponad cztery lata, zanim w końcu nadeszła upragniona wolność. Te lata były nudne i monotonne, ale do zniesienia, przede wszystkim dzięki sile ludzkiego ducha w walce z przeciwnościami losu.

Zorganizowano towarzystwo dramatyczne, bibliotekę, kluby takie i owakie... Wygłaszano wykłady, czytano poezję, odbywały się zawody sportowe, czytanie książek, naprawianie obuwia, cerowanie skarpet... Słowem, znajdowano milion różnych sposobów spędzania czasu, którego wszyscy tu mieli pod dostatkiem.

Ale Barney Patterson nigdy nie zapomniał tego, co zrobił, by ocalić życie Eddiemu Fairfaksowi.

To był dla niego wstrząs. Tak wielki, że zmienił drastycznie jego osobowość, a wspomnienie tamtej nocy miało go prześladować do końca życia.

# Rozdział 15

MAJ 1971

*Pearl*

Staralam się uzyskać zaproszenie Hildy do jej mieszkania w Waterloo. Jeszcze nie podpisała ostatecznej umowy, ale miała już klucze.

— Tak bardzo bym chciała jeszcze raz zerknąć na twoją łazienkę — powiedziałam, kiedy po całym dniu pracy zabierałyśmy swoje torebki z pokoju nauczycielskiego, następnego dnia po tym, jak moja matka pojawiła się niespodziewanie w hotelu Carlyle w Southport. — Ciotka planuje zmienić wystrój naszej łazienki, a pamiętam, jak bardzo podobały mi się kolory w twojej.

Nie miałam pojęcia, jakiego koloru była jej łazienka. Po prostu chciałam znaleźć jakiś pretekst, żeby nie wracać do domu, w którym teraz była moja matka, a choćby tylko opóźnić powrót o parę godzin.

A jeszcze niedawno nie lubiłam Hildy. Gdyby to od niej zależało, moją matkę powieszono by dwadzieścia lat temu. Teraz uważałam Hildę za swoją przyjaciółkę, chociaż nic nie wskazywało na to, by jej konserwatywne poglądy na karę śmierci w ciągu tych paru tygodni uległy jakiegokolwiek zmianie.

Wydawała się zaskoczona.

— Coś takiego! Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, z wyjątkiem mnie oczywiście, która lubi połączenie ciemnej i jasnej zieleni! Mama twierdzi, że kiedy się wprowadzę, powinnam koniecznie zmienić te kolory.

— Moim zdaniem dwie zielenie wspaniale ze sobą harmonizują — kłamałam jak z nut, dodając z oburzeniem: — To twoje mieszkanie, Hildo, a nie twojej matki, i od ciebie zależy, na jaki kolor pomalujesz swoją łazienkę.

— Wiem ciągle jej to powtarzam. Prawdę mówiąc, Pearl — rzekła Hilda takim tonem, jakby mi powierzała jakąś wielką tajemnicę — spotykam się dzisiaj z Cliffordem przy Odeonie o wpół do ósmej. Idziemy obejrzeć *Złoto dla zuchwałych* z Clintem Eastwoodem. Myślałam, że pójde do miasta prosto ze szkoły i zrobię po drodze małe zakupy — w ten sposób zejdę z oczu mamie. Koniecznie chciałyby się przenieść razem ze mną do mojego nowego mieszkania. Koniec świata!



— O, cholera, Hildo! — Byłam zbulwersowana. — Tam jest tylko jedna sypialnia!

— To samo jej powiedziałam, słowo w słowo, ale mama zaraz mi przypomniała, że istnieje coś takiego jak podwójne łóżko. Nie powiedziałam jej wprost, żeby się wypchała ze swoją propozycją, ale prawie. — Hilda uśmiechnęła się szeroko, co dawniej było u niej dość niezwykle, ale ostatnio zdarzało się coraz częściej. — Wiesz, co ci powiem? Przyjdź w poniedziałek zaraz po szkole, obejrzysz sobie łazienkę.

— Dzięki.

Zapomniałam, że jest piątek. Przypuszczałam, że w poniedziałek też będę chciała schodzić z oczu mojej matce, ale teraz musiałam za wszelką cenę znaleźć jakiś powód, żeby nie wracać do domu. Zastanawiałam się nawet nad samotnym spacerem do miasta, ale koniec końców uznałam to za grubą przesadę.

Cały dzień czułam się naprawdę dziwnie. Teraz była pora wracać do domu, a ja się czułam jeszcze dziwniej.

Wyszłyśmy z Hildą ze szkoły, po czym skierowałyśmy się na tyły budynku, gdzie pracownicy parkowali swoje samochody. Dzień był pochmurny, ale bardzo ciepły. Na boisku było jeszcze trochę dzieci, czekających, aż ktoś zabierze je do domu. A także grupa matek z wózkami, stojących przed szkolną bramą, gdzie urządziły sobie zaimprovizowane naprędce spotkanie towarzyskie. A może raczej grupę wsparcia...

Hilda jakoś się nie spieszyła, a ja dość dziecinnie się ociągałam, kiedy usłyszałam nagle za sobą jakiś głos.

— Cześć, witaj!

Podskoczyłam i upuściłam torebkę. Hilda odwróciła się pierwsza.

— O, cześć, Rob! — powiedziała wesoło.

Poczułam, że się czerwienię, Bóg jeden wie, dlaczego. Rob Finnegan szedł w naszą stronę, trzymając Gary'ego za rękę.

— Witam — wymamrotałam. To mamrotanie też było Bóg wie, dlaczego.

— No, to mnie już nie ma! — Hilda pomachała mi ręką i zniknęła.

— Zastanawiałem się, jak się czujesz. — Patrzył na mnie z uwagą. — Poprzedniego wieczoru byłaś naprawdę wytrącona z równowagi.

— I dalej jestem... — Głośno i zupełnie niepotrzebnie pociągnęłam nosem. Chyba zaczęłam brać przykład z Hildy... — Przykro mi z powodu tego, co się stało. Musiałeś się okropnie czuć.

— Wszystko, tylko nie okropnie! — Rob potrząsnął energicznie głową. — To był jeden z najbardziej interesujących wieczorów, jaki kiedykolwiek przeżyłem. Twoja matka jest naprawdę fantastyczna, jak zwykł mawiać mój ojciec — powiedział z uśmiechem — A twój dziadek to po prostu gwiazdor hollywoodzki. W porównaniu z twoją moją żenująco pospolita rodzinka odpada w przedbiegach... Mam dziadka w Irlandii, który nosi filcowe papucie zamiast butów, szelki w paski i pali obrzydliwą faję.

— Dziadzius jest naprawdę ekstra — wtrącił się Gary. — Paznokcie u nóg ma bardzo, ale to bardzo długie. Musi chodzić z nimi do takiego jednego pana, co je obcina. — Pociągnął ojca za rękę. — Jak się taki pan nazywa, tato?

— Chiropodysta.

— I ma narzeczoną — pochwalił się Gary.

— Chiropodysta czy twój dziadek? — spytałam.

Chłopczyk zachichotał.

— Nie, dziadek, głuptasku. Ona ma szklane oko i drewnianą nogę.

— Dziadek tylko żartował, kiedy ci to opowiadał, synku.

— Twój dziadek musi być bardzo zabawny, Gary.

Hm... Właściwie uczeń nie powinien nazywać swojej nauczycielki „głuptaskiem”, ale im lepiej poznawałam jego ojca, tym bardziej mały Gary był wobec mnie serdeczny. Kiedy się dowiedział, że zajął drugie miejsce w konkursie artystycznym, przez cały dzień był niezmiernie przejęty — i cieszył się jak chyba jeszcze nigdy.

Rob powiedział, że zabiera Gary'ego do fryzjera. Chciał, żeby go elegancko ostrzygł, tak by fotograf z „Crosby Herald” mógł go sfotografować, kiedy w poniedziałek przyjdzie do szkoły.

— A przy okazji i ja się trochę podstrzygę — dodał.

— Nie musisz.

Z tyłu i z boków miał dosyć długie włosy. W ciągu ostatniej dekady tłumy młodych mężczyzn, zainspirowanych Beatlesami i Rolling Stonesami oraz innymi zespołami muzycznymi, zapuszczały sobie włosy. I za nic w świecie nie daliby sobie ich

obciąć. Jakby to była sprawa życia i śmierci. Chociaż Rob lubił ich muzykę, nie naśladował bynajmniej ich stylu noszenia się. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłyby paradować z czupryną do ramion.

— Nie muszę? — Potarł tył głowy. — Mnie się wydają za długie. To dlatego że byłem policjantem. Przyzwyczailem się do fryzury na zapalke.

— Przepraszam. W gruncie rzeczy to nie moja sprawa — bąknęłam. Nie miałam prawa się wtrącać w takie rzeczy.

— Nie, jeśli uważasz, że taka długość jest okay, to nie będę ich skracał. Jak myślisz? — Przekręcił głowę, żebym mogła ją obejrzeć z tyłu.

— Na twoim miejscu zostawiłabym tak jak jest. — Poczułam nagle wielką chęć, żeby położyć mu rękę na karku i delikatnie pogłaskać. To mnie zaniepokoiło.

Gary przyglądał się nam takim wzrokiem, jakby był na meczu tenisowym. Oczy wędrowały mu z lewa na prawo i z prawa na lewo, w miarę jak oboje mówiliśmy. Miałam wrażenie, że to znacząca chwila dla jego ojca i dla mnie. Moja porada w sprawie długości włosów Roba i jego przyzwolenie sprowadzały nasz stosunek na zupełnie inną, bardziej osobistą płaszczyznę.

— Wobec tego nie będę sobie zawracał głowy fryzjerem — powiedział z uśmiechem Rob. — Ostrzyżemy tylko Gary'ego.

Wzrok chłopca powędrował ku mnie. Najwyraźniej czekał na moją odpowiedź.

— Doskonale.

Mecz był zakończony.

— Zbbaczmy się jutro koło jedenastej — powiedział wesoło Rob, kiedy wsiadałam do auta, a on z Garym odchodził. — Jedziemy do zoo w Chester — przypomniał mi w odpowiedzi na moje zdziwione spojrzenie.

— O kurczę, całkiem o tym zapomniałam.

— To zrozumiałe... — westchnął. — Ale nieważne. Mogę sam zabrać Gary'ego.

— Nie musisz! — zawołałam pospiesznie. — Pojadę z wami. Tak, tak, tak! Wolę pojechać z wami, niż siedzieć w domu.

Gary ciągnął ojca za nogę i Rob cofnął się jeszcze trochę.

— Jesteś pewna?

— Na sto procent!

\* \* \*

Charles wziął wolny dzień w pracy. Kiedy wróciłam ze szkoły, siedział z moją matką w ogrodzie na tyłach domu — na białych metalowych krzeselkach, przy białym metalowym stole.

Oboje pili wino, a rozmowa musiała być wesoła, bo śmiali się do rozpuku. Kiedy tak na nich patrzyłam przez okno kuchni, nagle się zorientowałam, że też się uśmiecham.

Charles wyglądał zadziwiająco młodzieńczo w workowatych ogrodniczych spodniach i rozpiętej koszuli. Nie pamiętam, kiedy go ostatnio widziałam tak szczęśliwym. Moja matka coś powiedziała i poklepała go po kolanie, po czym oboje znów wybuchnęli śmiechem.

Matka pięknie wyglądała w ciemnozielonej sukni z cienkiego jedwabistego materiału, trochę przezroczystego, tak iż widać było pod nią jej smukłe uda.

Wiedziałam, że jest śliczna. Wiedziałam to z fotografii z jej ślubu, ze zdjęć w gazetach z procesu i z opowiadań Charlesa i Cathy Burns. Wprawdzie było też inne zdjęcie, zrobione w więzieniu, na którym była już czterdziestoletnią kobietą, zupełnie niepodobną do Amy sprzed lat.

Spodziewałam się, że kiedy wyjdzie z więzienia, będzie stara, że będzie wyglądać na dużo więcej niż czterdzieści dziewięć lat, a nie na mniej — i to o wiele mniej! Wczoraj nam powiedziała, że spędziła trzy tygodnie na „farmie zdrowia i urody” w Suffolk, gdzie „dochodziła do siebie”.

— Dochodziłaś do siebie? Po czym? — kwaśno zapytała Marion. Nie byłaby sobą, gdyby tego nie skomentowała.

— Po wszystkich tych latach spędzonych w gościnie u Jej Królewskiej Mości — odpowiedziała z gardłowym śmiechem. — Świetnie mi to zrobiło — to znaczy oczywiście farma zdrowia.

Nigdy się też nie spodziewałam, że kobieta, która dopiero co wyszła z więzienia, może się śmiać tak serdecznie. Po pobycie na farmie matka pojechała jeszcze z dziadkiem na tydzień do Paryża na zakupy, gdzie kupowała elegancką garderobę i inne, jak mówiła, „drobiazgi”. Myślę, że tak nazywała biżuterię i torebki.

Cóż, nie miałam żadnej wątpliwości, że mnie też taka „kuracja” pomogłaby dojść do siebie. Nawet gdybym miała za sobą najgorsze przeżycia.

Matka wstała z krzesła i skierowała się w stronę domu. Popędziłam na górę i zamknęłam się w łazience. Bałam się z nią spotkać.

Od chwili, kiedy się dowiedziałam, że mają ją wkrótce zwolnić z więzienia, przygotowywałam się z grubsza na to spotkanie po latach, ale nawet mi się nie śniło, że wybuchnę płaczem i rzucę się jej w ramiona.

Teraz siedziałam na opuszczonej desce klozetowej i po raz kolejny przeżywałam na nowo swoje, co najmniej dziwne zachowanie tamtego dnia.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo za nią tęskniłam. Setki razy wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Siebie, trochę chłodną i stopniowo coraz cieplejszą — cóż, w końcu była moją matką!

Usłyszałam jej wołanie:

— Napijesz się jeszcze wina, Charlie?

Charles musiał powiedzieć, że tak, bo po chwili matka znów zawołała:

— Czerwonego czy białego? A macie jakieś chrupki?

Mogłam od razu jej powiedzieć, że nie mamy.

Marion nie zgadzała się na żadne „chrupki”. Twierdziła, że są bardzo niezdrowe, pełne soli i konserwantów — słowem, zwykła strata pieniędzy. Niektóre dzieci przynosiły do szkoły kanapki z chrupkami na lunch. Zawsze marzyłam, żeby spróbować czegoś takiego.

— O której moja dziewczynka wraca do domu?

Skrzywiłam się mimowolnie. Nigdy przedtem nikt mnie tak nie nazywał.

Usłyszałam, że matka wraca do ogrodu. Wyszłam z łazienki i pobiegłam do siebie. Wyrzesałam przez firankę i zobaczyłam matkę stawiającą dwie szklanki czerwonego wina na stole. Charles trochę upił ze swojej, powiedział coś i wszedł do domu. Wstrzymałam oddech, słysząc, jak biegnie na górę, co było niezwykle w jego przypadku. Zawsze wchodził na schody niespiesznie, krok za krokiem. Spodziewałam się, że pójdzie prosto do łazienki, nie wiedząc, że już wróciłam do domu. Tymczasem wszedł do mojej sypialni. Trudno mi było ocenić, czy jest zirytowany, czy też raczej rozbawiony, widząc mnie stojącą przy oknie ze skruszoną miną — ponieważ naprawdę czułam się winna.

— Chyba wiesz, że ona nie gryzie — powiedział. — Usłyszałem twój samochód, więc wiedziałem, że jesteś już w domu. Czy masz zamiar stać tu do wieczora?

— Jasne, że nie.

— Ona cię kocha. Zawsze cię kochała. Kiedy ją objęłaś zeszłego wieczoru, była naprawdę wzruszona. Bała się, że może nie będziesz chciała jej widzieć.

— Bo nie chcę jej widzieć. — Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. — Nie wiem, co wtedy we mnie wstąpiło. Musiałam za nią tęsknić, wcale o tym nie wiedząc, ale teraz czuję się strasznie głupio.

— To niemądre z twojej strony, Pearl. — Podszedł i pogładził mnie po policzku, a ja oparłam głowę na jego ramieniu. Otarłam się czołem o jego nieogoloną brodę. Naprawdę sobie dziś na wszystko pozwalał! — Zachowałeś się całkiem naturalnie. To było dobre, o wiele lepsze niż takie programowe trzymanie się przez cały czas w ryzach, jak to robi Marion.

— A gdzie jest Marion?

— W pracy. A gdzie miałyby być?

— Myślałam, że też wzięła sobie wolny dzień, jak ty.

Parsknął głośno. Chyba był lekko pijany.

— No, to źle myślałaś. Nie ma wielu rzeczy, które zmusiłyby Marion do zwolnienia się z pracy, a już powrót twojej matki do domu jest z pewnością na samym końcu tej listy.

Usiadłam na łóżku.

— Dlaczego ty i Marion tak się ostatnio kłócicie? To naprawdę przygnębiające.

Zamiast mi współczuć, Charles zrobił jedną z tych swoich szkaradnych min, którymi starał się mnie rozbawić, kiedy jako dziecko byłam smutna. Wtedy mnie zawsze rozśmieszały; teraz też nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

— Może tego nie zauważyłaś, ale mniej więcej co siedem lat twoja ciotka doprowadza mnie do szewskiej pasji. Na szczęście nie trwa to zbyt długo. Pearl, na litość boską, zamiast załamywać ręce i litować się nad swoim starym wujostwem, pomyśl rozsądnie. Wynik tej rozgrywki jest zawsze jeden do jednego, ponieważ całą resztę czasu to ja ją doprowadzam do białej gorączki. — Uniósł brwi. — Chyba mi nie powiesz, że na to też nie zwróciłaś uwagi?

— No tak, rzeczywiście trochę marudzi — przyznałam.

— Więcej niż trochę.

— Co tu się dzieje?

Moja matka niejako wpłynęła do pokoju, przypominając mi aktorkę, która pojawia się pierwszy raz na scenie i oczekuje burzy oklasków ze strony publiczności.

— Dlaczego zostawiono mnie samą?

— Wcale nie zostawiono cię samą, Amy — zapewnił ją szybko Charles. — Pearl dopiero co wróciła do domu. Miała się właśnie przebrać w coś wygodniejszego i zejść na dół.

Moja matka usiadła po drugiej stronie łóżka i oparła się o zagłówek, z wyciągniętymi przed siebie nogami.

— Na dworze robi się trochę chłodno. — Zachichotała. — To mi przypomina, Charlie, jak spałyśmy wszystkie trzy w jednym łóżku — ja, Jacky i Biddy, kiedy jeszcze byłyśmy małe. A ty przychodziłeś rano, kiedy jeszcze spałyśmy i skakałeś po nas jak wariat.

— A kto wkładał karaluchy do mojego łóżka? Kiedyś znalazłem aż sześć sztuk! Brr, ohydztwo. Musiałem wytrzeptywać całą pościel za oknem, zanim odważyłem się położyć. — Wstrząsnął się z obrzydzeniem. — Nie znoszę insektów. W kibelku na podwórku zawsze było ich pełno.

— To Biddy ci je włożyła. Ja za żadne skarby świata nie dotknęłabym karalucha. A ona zbierała je do pudełka od zapalek.

— Chwała Bogu, że wyjechała do Kanady. — Charles też rzucił się na łóżko, a następnie zastygł w pozycji półsiedzącej. — Ta dziewczyna naprawdę cudem uniknęła nieszczęścia.

Po pewnym czasie zaczęłam, podobnie jak mały Gary Finnegan, przenosić wzrok z mojej matki na wuja, kiedy tak wspominali swoją młodość i życie na Agate Street. W tamtych czasach nie doceniali w pełni ciężkiej pracy matki po tym, jak umarł ich ojciec, a ona harowała jak wół. O matce mówili „mama”.

— Strasznie się wtedy złościłem, kiedy musiałem się wami opiekować, podczas gdy mama pracowała w barze — opowiadał Charles. — Później bardzo się wstydzilem, że chciałem się wtedy bawić z kolegami, zamiast pilnować moich kochanych siostrzyczek.

— A ja używałam jej szminki i pudru, kiedy wychodziła z domu — wyznała ze skruchą moja matka. — Kiedy teraz o tym myślę, zbiera mi się na płacz. Przecież nie mogła sobie pozwolić biedulka na kupno wielu rzeczy.

Co i rusz używali w rozmowie typowych, liverpoolskich powiedzonek. Matka opowiadała o spacerach wzdłuż doków — domyśliłam się, że ma na myśli Dock Road.

Czas szybko nam płynął, tak że kiedy w drzwiach się pojawiła Marion, wszyscy byliśmy zaskoczeni. Aż zaniemówiła na widok naszej trójki, siedzącej w najlepszej komitywie na łóżku.

Jej dom był do bólu konwencjonalny. Ludzie siadywali tu na krzesłach ustawionych na dole, kiedy mieli ochotę porozmawiać.

— Witaj, kochanie. — Charles powiedział to z tak przesadną wylewnością, że było jasne, iż wcale tak nie myśli. — Jeszcze nie ma podwieczorku, a to dlatego, że później mają przyjść Leo i Harry i przynieść pizzę.

— Całkiem niepotrzebnie. Doskonale mogę sama przygotować jedzenie dla naszych gości, Charles — oświadczyła lodowato Marion. Wyglądała tak, jakby ostatnie pół godziny spędziła w zamrażarce. — Nikt nie musi niczego ze sobą przynosić. Co więcej, dobrze wiesz, że nie znoszę pizzy.

Nie miałam pojęcia, że dziadek i wuj Harry się do nas wybierają. Zeszłam z łóżka i mruknęłam, że zaraz zrobię herbatę. Byłam zadowolona, że będziemy mieć gości.

Nalewając wodę do czajnika, podśpiewywałam pod nosem Can't Buy Me Love.

— Ładna melodia — powiedziała matka, wchodząc do kuchni.

— Mogłaś słuchać muzyki w więzieniu? — Udało mi się w końcu przełamać lody i zadać to pytanie.

— Oglądałyśmy Top of the Pops\*<sup>12</sup>. Niektóre z kobiet tańczyły.

— Miałaś jakiś ulubiony zespół?

— Najbardziej lubiłam Bee Geesów i tego gościa z San Francisco z kwiatami we włosach.

— Scotta McKenziego.

---

<sup>12</sup> \*Tops of the Pops — cotygodniowa lista przebojów telewizji BBC w latach 1964-2006.



— Właśnie. — Jej różowe wargi wygięły się w podkówkę. — Przysięgałam sobie, że pewnego dnia ja też wetknę sobie kwiaty we włosy, ale teraz nie sądzę, żeby to nadal było w modzie.

— Dzieci kwiaty się skończyły, kiedy wybuchła wojna w Wietnamie, ale to nic. Kwiaty możesz zawsze nosić! Czemu nie?

— Jasne, że mogę. — Na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. — Nasz Charlie ma jeszcze jakieś róże w swoim ogrodzie?

— Tak, bardzo piękne, czerwone.

— W takim razie zerwę jedną, kiedy wyjdą z domu.

Byłam zadowolona, że rozmawiamy ze sobą tak swobodnie. Dotychczas sądziłam, że ludzie, którzy idą do więzienia, tracą całkowicie kontakt ze światem zewnętrznym. Głupie przesady...

Ja też lubiłam grupę Bee Gees i Scotta McKenziego. To znaczyło, że będziemy mogły rozmawiać o muzyce.

Usiadła oparta o zlew, z założonymi rękami.

— Wcześniej myślałam, że chyba byłoby najlepiej, gdybyś do mnie mówiła „Amy”. Nie teraz, nie — dodała pospiesznie — ale kiedyś, kiedy się już przyzwyczaisz do tego pomysłu.

Wydałam jakiś trudny do opisanie dźwięk. Za wszelką cenę chciałam wrócić do poprzedniego wątku — bardziej bezpiecznego. Powiedziałam więc:

— W swoim pokoju mam całe mnóstwo płyt i adapter. Możesz sobie grać, kiedy tylko będziesz chciała.

— Dzięki, chociaż nie przewiduję, żebyś tu została na dłużej. Biedna Marion jest taka zgnębiona, aż żal na nią patrzeć... Chce mieć swojego Charliego tylko dla siebie.

— Ale przecież Charlie... to znaczy Charles — poprawiłam się szybko — naprawdę się cieszę, że tu jesteś. — To było oczywiste.

— Mogłabym zamieszkać z Cathy, a on może do mnie wpadać, kiedy tylko zechce.

„Jeśli Charles będzie wpadać kiedy tylko zechce do domu Cathy Burns, Marion nie będzie go miała tylko dla siebie”, pomyślałam, ale nie chciałam tego poddawać pod dyskusję.

Dziadek i wuj Harry przyszli po godzinie, przynosząc pizzę i wino. Taka liczba gości w domu, a przy tym moje pierwsze w życiu „danie na wynos” były tak niezwykle, że czułam się po prostu dziecinnie podniecona. Wkrótce przyszła też Cathy Burns i siedliśmy wszyscy przy stole w jadalni, jedząc i śmiejąc się wesoło.

Marion zrobiła sobie kanapkę z serem, którą jadła ostentacyjnie, i co i rpsz zerkała na ścianę, łączącą obie części bliźniaka, jakby się obawiała, że sąsiedzi mogą nas słyszeć.

Moja matka — Amy — powiedziała, że dziś po południu dzwoniła do swoich sióstr w Kanadzie i obie bardzo się ucieszyły, słysząc jej głos.

— Najstarsza córka Bidy idzie we wrześniu na studia, a dziewczynka Jacky już je kończy. Chce zostać biologiem.

— Gdybyś zadzwoniła po szóstej, byłoby o wiele taniej.

Marion była raczej smutna aniżeli zirytowana na samą myśl o takim marnotrawstwie pieniędzy.

— Kiedy Amy skończyła rozmowę, spytała operatora, ile to kosztowało i oddała mi pieniądze — rzekł sarkastycznie Charles. — Nie jesteśmy chyba tacy ubodzy, kochanie.

Wszyscy wyglądali na zmieszanych, ale Marion tylko kiwnęła głową, nie kryjąc zadowolenia.

— Aaaa, to co innego...

Siedzieliśmy przy stole i gadaliśmy bez końca. Wprawdzie ja nie zabierałam głosu, tylko słuchałam, podczas gdy oni wspominali rozmaite dziwne i śmieszne rzeczy, które wydarzyły się podczas wojny, mimo iż wiedziałam, że wtedy zdarzały się też rzeczy ogromnie smutne.

Cathy opowiedziała nam, że jej matka wróciła pewnego ranka ze schronu i zastała obcego mężczyznę, śpiącego pod stołem w ich salonie.

— Wszedł tylnym wejściem, myśląc, że jest w swoim domu. Mama wygnała go miotłą, chociaż taka pomyłka podczas obowiązującego wtedy zaciemnienia właściwie nie powinna jej była zdziwić...

To zaciemnienie było powodem wszelkiego rodzaju pomyłek. Dziadek i babcia Patterson na przykład poszli kiedyś do teatru, ale w drodze do domu całkiem się pogubili.

— Musieliśmy wracać do domu różnymi tramwajami — opowiadał Leo.

— Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie w tramwaju, dziadku — powiedziałam. I rzeczywiście, był na to stanowczo zbyt wytworny.

— Wojna to walec, który wszystko wyrównuje, Pearl — westchnął. — Benzyna była na kartki, zarówno dla biedaka, jak i dla milionera.

— Nie do końca, można było dostać różne rzeczy na czarnym rynku — wtrąciła Amy. — Nasza mama kupiła tam radio, ale w ogóle go nie potrafiła włączyć. Czuła się taka winna, że je kupiła, że było jej naprawdę wszystko jedno, kiedy się okazało, że to radio jest w środku całkiem puste.

Wuj Harry powiedział, że w jego przypadku wojna nie była niczym innym, jak tylko cholerną tragedią („Wybaczcie ten język, moje drogie panie”), od początku do końca; nie czuł się dobrze ani przez jedną minutę.

— Na wojnie straciłem najlepszego przyjaciela.

— I ja też.

Cathy popatrzyła na niego wymownie, a Harry westchnął cicho i szybko spuścił wzrok. Byłam ciekawa, o co tutaj chodzi.

— My tutaj — mówił Charles — byliśmy tylko widzami. Codziennie szliśmy do pracy, a potem wracaliśmy do domu. Szczerze mówiąc, nie działo się nic ciekawego. Podczas naprawdę strasznych nalotów przychodziły do nas mama i siostry. Patrzyliśmy, jak niebo nad Liverpooliem robi się czerwone, jakby całe miasto stało w ogniu. Czuliśmy się tak, jakbyśmy byli w innym świecie.

— Razem z Elizabeth przesiedzieliśmy najgorsze noce w naszej fabryce w Skelmersdale — przypomniał sobie dziadek.

— A ty gdzie byłaś w czasie nalotów, Amy? — spytała Cathy Burns.

Przypomniałam sobie, że Cathy była w wojsku i większość wojny spędziła w Yorkshire.

— W piwnicy domu przy Newsham Park — odparła moja matka. — Nawet się tam nieźle bawiliśmy. Czy ktoś z was pamięta kapitana Kirby'ego-Greene'a? Mieszkał na parterze.

— Nie sposób go zapomnieć... Straszne z nim było utrapienie — mruknął dziadek.  
— Ilekroć tam przychodziłem, już w korytarzu łapał mnie za krawat.

— A ja go całkiem lubiłam — odezwała się nagle Marion, po raz pierwszy tego wieczoru. — Widziałam go tylko raz, wtedy na zabawie przy stacji Pond Wood. Wyglądał na mocno zainteresowanego twoją matką, Charles.

— To prawda. Miał kompletnego bzika na jej punkcie. Ona też go raczej lubiła, ale nie w ten sposób. — Charles uśmiechnął się żałośnie. — Myślę, że jedynym mężczyzną, którego mama naprawdę kochała, był nasz tata. Pamiętam również pewnego faceta, z którym mama pracowała. Chciał się nawet z nią żenić, ale stanowczo odmówiła.

— W każdym razie — mówiła dalej Amy — kapitan Kirby-Greene wybrał sam siebie na głównego organizatora zabaw podczas nalotów. Całe godziny spędzał w piwnicy, szykując się na chwilę, kiedy zabrzmie syrena alarmowa. Jeżeli nie było nalotu, czuł się naprawdę zawiedziony. W Wigilię, drugą w czasie wojny, naloty były naprawdę straszne. Co noc potężne bombardowania, które trwały do samego świtu. Pamiętam, jak śpiewaliśmy kolędę *Cicha noc*, a ja przez cały czas myślałam, czy Barney w obozie dla jeńców wojennych w Bawarii też to śpiewa...

# Rozdział 16

1941-1945

*Amy*

— *Cicha noc, święta noc...* — śpiewała Amy najgłośniejszym głosem jak mogła. — *...A u żłóbka Panna Święta...*

Nagle poczuła mrowienie w uszach. Im głośniejszym głosem śpiewała, tym skuteczniej się jej udawało zagłuszyć huk bomb, które wybuchały w całym Liverpoolu, bomb, z powodu których cały budynek drżał, a fundamenty jęczały. W każdej chwili mogli się spodziewać, że dom runie im na głowy i pogrzebie żywcem. Tak było każdej nocy w tym tygodniu. Nawet dzisiaj, w Wigilię, nie było od nich chwili odpoczynku.

— *...czuwa słodko uśmiechnięta nad Dzieciątka snem...* — wrzeszczała na całe gardło.

To była niemiecka kolęda. Amy się zastanawiała, czy Barney nie śpiewa jej właśnie teraz w dalekim obozie dla jeńców wojennych.

Tu, w piwnicy, wszyscy wkładali w ten śpiew całe swoje serce i duszę — Amy, Clive i Veronica Stafford, pan i pani Porter, i oczywiście, kapitan; zgodnie i z niemal bolesnym samozaparciem próbowali odsunąć od siebie rzeczywistość, szalejącą tam, na zewnątrz.

Przypomniała sobie, że kiedy ona, Charlie i jej siostry, czyli wszystkie dzieci w domu były jeszcze małe, śpiewały na całe gardło *While shepherds washed their socks at Wight*\*<sup>13</sup>, mama i tata strasznie się złościłi, zwłaszcza jeśli to było w kościele. Nieczęsto myślała o ojcu i teraz uśmiechnęła się do siebie na to wspomnienie.

To było już drugie Boże Narodzenie od czasu, kiedy się pobrali z Barneyem — i drugie, które spędzili osobno. Jak tam może być, w tym niemieckim obozie dla jeńców wojennych? Jego obóz nie był polem pełnym namiotów, jak to sobie zawsze wyobrażała. Mieścił się w prawdziwym zamku i było tam bardzo zimno. Barney pisał, że musi cały czas chodzić w płaszczu. Nie w swoim własnym płaszczu wojskowym, tym,

---

<sup>13</sup> \*Prawdziwe słowa tej kolędy brzmią *While shepherds watched their flocks at night* (Gdy pasterze strzegli nocą swoich trzód). W dziecięcej „przeróbce” ten tekst brzmiał: „Gdy pasterze prali nocą swoje skarpetki”.

który dostał, wyjeżdżając, bo przecież stracił prawie wszystkie swoje rzeczy we Francji. W płaszczu jakiegoś innego żołnierza. Barney znalazł w jego kieszeni chusteczkę z wyhaftowaną w jednym rogu literą „W”.

*Mógł należeć do jakiegoś Williama — pisał Barney — albo do Waltera czy do Wilfreda.*

Kapitan Kirby-Greene drewnianą linijką dyrygował śpiewającymi kolędy. Robił dziwaczne miny, krzywił nos i unosił brwi, jakby dyrygował prawdziwym chórem. Amy chciało się śmiać, ale trzymała się w karchach, żeby nie ranić jego uczuć.

*Nad Dzieciątka snem — śpiewali wszyscy — Na-ad Dzieciq-q-tka snem.*

Potem nastąpiła cisza, która, choć tak bardzo oczekiwana, trochę ich zaskoczyła; popatrywali jedno na drugie; nagle bomba upadła gdzieś bardzo blisko, druzgocąc ciszę i wyrywając krzyk z ich piersi. Dom się zachwiał; Amy przeżegnała się szybko.

Kapitan Kirby-Greene spoglądał wyniośle. Ech, wy cywile... Postanowił nie reagować na naloty, bez względu na to, jak będą straszne. Uważał się za szefa wszystkich mieszkańców. Kapitana okrętu, który w każdych okolicznościach powinien zachować spokój i powagę.

— Może przerwiemy na chwilę i coś przekąsimy? — zaproponował. — Już prawie północ.

— Świetny pomysł. — Pani Porter, która przygotowała talerz kanapek, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Jako że było Boże Narodzenie, podała też babeczki z nadzieniem bakaliowym.

— Nigdzie, w całym Liverpoolu nie było ciasta bakaliowego — tłumaczyła się. — To są po prostu rodzynki, zmieszane z dżemem z czarnych porzeczek, ale... — dodała z nutką triumfu w głosie — mamy też kanapki z jajkiem! Amy dostała je od krewnych swojego szwagra, którzy mieszkają na wsi.

— Ooch! Pyszności! — Clive Stafford oblizwał wargi. Był strasznym żarłokiem i potrafił zjeść dużo więcej, niż wynosił jego przydział, jeśli się go nie pilnowało. Veronica wykrzywiła się za jego plecami.

Kapitan patrzył na zegarek.

— Północ! — oznajmił. — Wesółych świąt dla wszystkich!

— Wesółych świąt.

Wszyscy się całowali. Clive Stafford ucałował Amy z odrobinę większym entuzjazmem, niż by wypadało.

Życie było takie dziwne. Amy nie miała nic wspólnego z Porterami, Staffordami czy kapitanem Kirbym-Greene'em. Lubiła ich, chociaż pochodzili z zupełnie innej sfery niż ona. Teraz jednak była tutaj, spędzała każdą chwilę z tą piątką obcych ludzi, w miejscu, gdzie w każdej sekundzie wszyscy mogli zginąć. Zanim wyda ostatnie tchnienie, zapewne pochylił się nad jedną z tych twarzy, nie zaś nad Barneyem — ani kimś z jej najbliższych.

Cóż za czarne myśli w pierwszych minutach cudownego święta Bożego Narodzenia!

\* \* \*

W Keighley, dokładnie o tej samej porze, Cathy Burns czuła się tak szczęśliwa, jak to tylko było możliwe w czasie wojny.

Tak samo jak w zeszłym roku, w biurze finansów odbywało się kameralne przyjęcie. Były kanapki, ktoś przyniósł bożonarodzeniowe ciasto, które wygrał na loterii fantowej. Prócz tego mieli dwanaście butelek piwa Guinness i mnóstwo wina.

Dla kobiet było tu o niebo lepiej, niż na tańcach w mesie, gdzie je bezwstydnie obmacywali młodszy i starsi żołnierze, którzy się zachowywali tak, jakby od lat nie widzieli kobiety. Dla mężczyzn oznaczało to w praktyce, że nie będą musieli walczyć o partnerkę do tańca. Co więcej, wszyscy pracowali blisko siebie i po prostu dobrze się czuli w swoim towarzystwie.

Reggie Short, właściciel patefonu, kupił z tej okazji kilka nowych płyt: *When You Wish Upon a Star* z Pinnochia; płytę Judy Garland, śpiewającą *Over the Rainbow* i krążek Franka Sinatry *East of the Sun and West of the Moon*.

Reggie poprosił Cathy do tańca.

Był wyjątkowo przystojnym facetem, z kędzierzawą blond czupryną i rysami greckiego boga. Kiedy wojna się zaczęła, był świeżo upieczonym dentystą, ale porzucił stomatologię na rzecz wojska. Ku swojemu najgłębszemu rozczarowaniu niestety, ponieważ tutaj też musiał plombować lub wrywać zęby, słowem — robić za dentystę. Armia nie zamierzała zmieniać wysoko wykwalifikowanego specjalisty w wojownika; jako dentysta miał dla wojska większą wartość. Gabinet Reggiego mieścił się tuż obok pokoju lekarskiego, który sąsiedował z biurem finansów.

Cathy i Reggie przespali się ze sobą, kiedy się pierwszy raz spotkali, czyli mniej więcej rok temu.

Cathy, pragnąc odrzucić ograniczenia, które wiązały ją w Liverpoolu, z chęcią poszła z Reggie'em do łóżka, kiedy tylko ją o to poprosił. Po kilku tygodniach zmieniła jednak zdanie. Reggie najwyraźniej traktował ich związek bardzo poważnie, a Cathy zdała sobie nagle sprawę, że nie powinna była tak po prostu pozbywać się cnoty na pierwsze skinienie jakiegoś osobnika płci męskiej — nawet bardzo przystojnego. Nawet jeżeli tej cnoty już nie było, Cathy postanowiła, że kiedy następnym razem pójdzie z mężczyzną do łóżka, będzie miała do tego dużo lepszy powód.

Przez pewien czas myślała, że tego lepszego powodu dostarczy jej Harry Patterson.

Zawsze go lubiła i domyślała się, że on ją także. Miała nawet więcej powodów, by tak sądzić w poprzednie Boże Narodzenie, kiedy się zjawił niespodziewanie w jej kwaterze. Czuli się ze sobą wyjątkowo dobrze, a on napisał do niej później uroczy list, który sprawił, że uznała, iż jej uczucia są odwzajemnione.

Tyle że potem już się nie odezwał. Była mniej rozczarowana, niż sobie przedtem wyobrażała.

A później, niedługo po Dunkierce, na scenie jej życia pojawił się Jack Wilkinson. Był strasznie chudy i bynajmniej nie przystojny, ale w jego ciemnoszarych oczach czaił się jakiś figlarny błysk, który Cathy uznała za szczególnie pociągający. Pewnie dlatego już po kilku minutach zapragnęła, żeby ją całował swoimi wąskimi, wykrzywionymi grymasem wargami.

— Mój stary kumpel Harry Patterson powiedział, że powinienem się z tobą skontaktować — oznajmił Jack, kiedy się poznali.

Był czerwiec. Cathy skończyła swoją codzienną robotę i siedziała w słońcu na trawie za swoim biurem. Jack miał akcent londyńskiego cockneya i naprawdę szelmowski uśmiech, za którego sprawą jej serce fiknęło koziołka.

— Przyjechałem ciężarówką z Leeds na tańce w mesie. Kłopot w tym, że nie mogę tańczyć, coś mi się zrobiło w kostkę, zobacz. — Przekuśtykał parę kroków, pokazując, jak bardzo cierpi, przy czym oboje dobrze wiedzieli, że tylko się zgrywa. — Harry mi powiedział, że się z tobą świetnie rozmawia. Strasznie mi brak inteligentnej konwersacji właśnie teraz ze śliczną dziewczyną.

Przegadali cały wieczór.



Mówili o życiu i śmierci, religii i polityce, o pogodzie, małżeństwie i wielu innych sprawach, których Cathy już nie zapamiętała, aż zrobiło się ciemno i ciężarówka musiała wracać do Leeds. Do tego czasu byli już w sobie zakochani.

Jack okazał się najbystrzejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała, chociaż zakończył edukację, mając zaledwie czternaście lat, podobnie zresztą jak ona. Nigdy nawet nie marzyła, że uczucie miłości może być tak intensywne, że kochana osoba pochłania całą twoją istotę, w każdej minucie, każdego dnia.

Odtąd widywali się tak często, jak tylko mogli. Jack pilnował jak cerber każdego transportu do Keighley i napraszał się swoim kolegom, żeby go podrzucili; dwa razy przyjechał na tylnym siodełku motocykla.

Cathy było trudniej wyrwać się z bazy, chociaż kilka razy udało jej się dostać do Leeds, gdzie zamówili pokój w hotelu, nie zadając sobie nawet trudu udawania, że są małżeństwem. To samo zrobili w Keighley. W żadnym z hoteli kierownictwo nie protestowało. I nic dziwnego. W końcu była wojna — i mieszczańska moralność razem z tyloma innymi rzeczami po prostu przestała obowiązywać. Po sześciu tygodniach kostka Jacka była już wyleczona i wysłano go do Egiptu, gdzie dołączył do Harry'ego Pattersona. Pisywali do siebie jak najczęściej. Listy Jacka były długie i pełne interesujących myśli, natomiast listy Cathy ładnie pisane i żartobliwe. Z dużym talentem odmalowywała zabawne wydarzenia w bazie.

Myślała o nim teraz, tańcząc z Reggie'em; marzyła, żeby stał się cud i Reggie zmienił się nagle w Jacka. Ale wiedziała, że to niemożliwe. Nie była taka jak jej przyjaciółka Amy. Nie uważała, że jej związek z Jackiem został zawarty w niebie ani że umarłaby, gdyby go straciła, ani że tęskniłaby za nim tysiąc razy bardziej, niż inne kobiety tęsknią za swoimi mężczyznami. Wiedziała tylko, że kocha go bardziej z całego serca i chce z nim spędzić resztę życia.

Zadzwonił telefon na biurku w sąsiednim pokoju. Ktoś odebrał.

— To do ciebie, Cathy — zawołał ten ktoś.

Jedyną osobą, która mogłaby do niej dzwonić w Wigilię, była Amy. Cathy wyswobodziła się z uścisku Reggiego, weszła do sąsiedniego pokoju i podniosła słuchawkę.

— Halo, kochanie — odezwał się najdroższy na całym wielkim świecie głos.

— Jack! — krzyknęła, a potem ciszej zapytała: — Och, Jack. Gdzie jesteś?

— W Egipcie. Jestem w takim brytyjskim pubie, tu jest telefon, do którego się wkłada monety. Zajęło mi całą noc to połączenie, mam przy sobie chyba ze sto funciaków drobnymi.

— Sto! — jęknęła.

Nie zauważyła, że pokój opustoszał, a ktoś cicho zamknął drzwi.

— No, może raczej pięć — przyznał. — Jak się masz? Pomyślałem, że pewnie jest dziś przyjęcie w twoim biurze.

— Mam się dobrze, a teraz jeszcze lepiej, kiedy z tobą rozmawiam. — Zniżyła głos do szeptu. — Ale, och, Jack, tak bym chciała, żebyś tu ze mną był!

— I ja też, kochanie. — Usłyszała, jak wkłada więcej pieniędzy do automatu, na drugim końcu linii, w Egipcie.

Musi tam być naprawdę gorąco. Wyrzała przez okno i zobaczyła szron pokrywający ziemię. Niebo było granatowe, a gwiazdy wydawały się bardzo bliskie i nienaturalnie jasne.

— Pewnie zimno tam u ciebie — powiedział.

— Rzeczywiście zimno. Chyba będzie padał śnieg.

— Kocham cię, Cath — szepnął.

Kolejne monety wpadły do automatu.

— Ja też cię kocham. Dlaczego właściwie rozmawiamy o pogodzie?

Wiedziała, że kiedy odłoży słuchawkę, pomyśli o mnóstwie rzeczy, które powinna była mu powiedzieć.

— Kocham cię i bardzo za tobą tęsknię, Cath... naprawdę bardzo cię pragnę. — Nastąpiła krótka pauza. — Właśnie teraz, w tej sekundzie pragnę cię bardziej niż wszystkiego, czego kiedykolwiek pragnąłem.

Zanim Cathy zdążyła odpowiedzieć, telefon zamilkł. Wpatrywała się w słuchawkę jak zaczarowana, pragnąc znów usłyszeć głos Jacka i wyobrażała sobie, że tam, w Egipcie on robi to samo. Powiedziała:

— Gdzie jesteś, Jack? — po prostu na wypadek gdyby tam dalej był, ale niestety...

Po pewnym czasie rozległo się pukanie do drzwi i Reggie wsunął głowę do pokoju.

— Skończyłaś? — Cathy bez słowa skinęła głową. — Jest Boże Narodzenie i właśnie pokroiliśmy świąteczne ciasto. Chcesz kawałek?

— Tak, poproszę. Już idę.

Naprawdę doczekała się dziś na ten swój mały cud. Udało się jej porozmawiać z Jackiem, a na świecie było przecież całe mnóstwo kobiet, których chłopcy i mężowie znajdowali się tysiące kilometrów od nich, tak daleko, że nie było żadnych szans, żeby zamienili z sobą choć słowo.

Poczuła się prawdziwą szczęściarą.

\* \* \*

Barney pisał list do Amy.

Siedział przy stole w swoim pokoju, otulony grubym płaszczem i kołdrą narzuconą na ramiona. Mimo że miał okryte prawie całe ciało, wciąż czuł przenikliwe zimno. W małych okienkach nie było zasłon, nie można więc było nie widzieć wirującego w powietrzu śniegu, który gęsto sypał już od wielu dni.

Ponieważ to był dzień Wigilii Bożego Narodzenia, jeńcom pozwolono zostać w pokojach do godziny pierwszej. Strażnicy dopiero co przerwali zabawę w bitwę na śnieżki mimo wyjącego wichru i temperatury, która na pewno spadła poniżej zera. Teraz słyszał już tylko jeńców, śpiewających kolędy w kasynie na dole, gdzie i on powinien teraz być, zamiast siedzieć samotnie w celi w taką noc.

Już napisał Amy, jak bardzo ją kocha, i podziękował za świąteczną paczkę, która nadeszła przez Czerwony Krzyż: czekoladki, herbatniki, powieści, notes z papierem i koperty oraz zestaw ołówków i temperówka zamiast butelki atramentu (bo mógłby się wylać i zniszczyć całą zawartość paczki), poza tym świąteczne kartki i małe prezenciki od wszystkich Curranów, a także od sąsiadów z domu przy Newsham Park. Amy zrobiła mu na drutach szalik. Owinął go sobie wokół szyi, pisząc ten list. W szaliku było mnóstwo pospuszczanych oczek i malutkich supelków, ale dzięki temu Barney kochał Amy jeszcze bardziej, wyobrażając sobie, jak siedzi z głową pochyloną nad drutami, przygryzając wargę, co zawsze robiła, kiedy chciała się nad czymś skupić.

*Nigdy byś się nie domyśliła, kochanie — pisał dalej — ale już nie muszę dzielić pokoju z Eddiem Fairfaksem. On myśli, że nie wiem, że to on załatwił, żeby, kiedy się już wyniósł, na jego miejsce wprowadził się ten polski oficer. Potem*

*dokooptowali jeszcze parę Francuzów i czuliśmy się, jak śledzie w beczce. Najwyraźniej Eddie miał mnie po dziurki w nosie, bo przez cały czas byłem w złym humorze i nie miałem ochoty wysłuchiwać jego głędzenia. Jedno i drugie jest prawdą, ale byłem w złym humorze przez to, co zrobiłem właśnie dla Eddiego! Nie jestem w stanie przestać o tym myśleć. Mam wrażenie, że każdy może to wyczytać z mojej twarzy, każdy wie, co zrobiłem, i nienawidzi mnie za to. A jeśli Franz Jaeger wszystko rozpowiedział? Wieści szybko się rozchodzą, zwłaszcza w takim miejscu jak to...*

Barney podniósł głowę znad listu.

— Ludzie to wiedzą! Tak, widzę to w ich oczach — powiedział głośno, zanim zapalił jednego z papierosów, którymi Franz Jaeger go obdarowywał, kiedy tylko mógł. To był porządny facet — nie wierzyć mu byłoby po prostu nieuczciwością. Wciągnął dym w płuca i poczuł, jak ciepło rozchodzi się po całym jego ciele.

Z dołu słyhać było śmiech; Barney przypomniał sobie, że teraz ma się odbyć koncert.

Najlepszy numer pokazywali dwaj goście, z których jeden udawał Gretę Garbo, a drugi Marlenę Dietrich. Śpiewali przy tym składankę piosenek, przeważnie śmiesznych, ale finałowa pieśń *Keep the Home Fires Burning* była naprawdę wzruszająca. Ten śmiech i fakt, że w nim nie uczestniczył, sprawiły, że Barney poczuł się strasznie samotny. Nie był przyzwyczajony do tego uczucia, zawsze cieszył się wielką popularnością. Teraz jednak obserwował wszystko jakby z zewnątrz.

Wrócił do listu do Amy.

*Całkiem lubię moich nowych współmieszkańców — napisał. — Ponieważ nie znam polskiego ani francuskiego, natomiast oni nie mówią po angielsku, nie mamy sobie nic do powiedzenia, a to mi właśnie bardzo odpowiada.*

Poza tym żaden z nich na szczęście nie palił, więc Barney nie musiał się z nimi dzielić papierosami.

Skończył list słowami, jak bardzo za nią tęskni i dodał jeszcze:

*Niektórzy ludzie tutaj, bardziej doświadczeni niż ja, twierdzą, że w 1942 roku będzie już koniec tej cholernejszej wojny. Mam nadzieję, że w okolicach następnego Bożego Narodzenia będziemy już razem.*

Barney nie zadał sobie trudu, by ten list podpisać.

Wyrwał kartki z notesu i przedarł je na pół. Potem zrobił to samo z połówkami i tak dalej i tak dalej, aż kawałki papieru robiły się coraz mniejsze. W końcu list stał się kupką konfetti, leżącą na stole.

Wtedy otworzył okno i wyrzucił swój list do Amy na mroźny wiatr. Patrzył, jak rozwiewa kawałeczki papieru, aż w końcu zniknęły mu z oczu.

Usiadł i zaczął kolejny list, o wiele krótszy niż ten pierwszy.

Jakże mógłby jej to wszystko opowiedzieć... Jak mógłby to opowiedzieć kiedykolwiek jakiegokolwiek żywej duszy na świecie!

\* \* \*

Naloty trwały nadal, powodując ogromne straty w ludziach i obracając miasto w gigantyczne rumowisko; wreszcie w początkach maja przeżyli gwałtowny, trwający cały tydzień atak, tak że wszyscy w Liverpoolu myśleli, że Hitler próbuje zmieść ich miasto z powierzchni ziemi.

Bomby padały godzina za godziną, noc po nocy. Rankiem ludzie wypelzali ze swoich domów, by odkryć ogromne leje w miejscach, gdzie przedtem były ulice, by się dowiedzieć, że stracili na zawsze przyjaciół, których kochali. Zniszczono kościoły, szkoły, teatry i charakterystyczne punkty miasta, nie wspominając o tysiącach domów mieszkalnych.

Amy razem z matką i siostrami poszły nocować do domu Charliego w Aintree, skąd całą tę potworną masakrę było dokładnie widać i słyszeć, ale rzadko spadała tam jakaś bomba. Państwo Porterowie przenieśli się do córki w Southport, a Staffordowie do siostry Veroniki, która mieszkała w Formby.

Kapitan Kirby-Greene był zapraszany przez wszystkich sąsiadów, tam, dokąd się udawali, na tak długo, jak będą trwały te straszne naloty, koniec końców postanowił jednak zostać w Newsham Park.

— Żeby się opiekować tym miejscem! — oświadczył mężnie.

Pewnego ranka znaleziono go w piwnicy. Skulonego na krześle dopadł w nocy śmiertelny atak serca.

Ale na twarzy miał błogi uśmiech, a w dłoni ścisnął drewnianą linijkę, jakby dyrygował niewidzialnym chórem.

\* \* \*

Nadeszło następne Boże Narodzenie, nic nie wskazywało jednak na to, że wojna ma się ku końcowi. Naloty wprawdzie ustały, lecz sytuacja na froncie wciąż była dramatyczna — i nic nie zapowiadało zmian na lepsze. Brytyjczyków zmuszono do odwrotu z Grecji, poza tym przegrywali w Afryce Północnej, gdzie dotychczas odnosili zwycięstwa. W Boże Narodzenie Hongkong wpadł w ręce Japończyków, a parę tygodni później także Singapur. Mimo wszystkich tych klęsk Brytyjczycy zyskali kolejnego sojusznika, kiedy flota amerykańska poniosła poważne straty w ataku Japończyków na Pearl Harbor i Niemcy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym.

Po paru tygodniach Jankesi zaczęli przybijać do angielskich wybrzeży, powodując drżenie wielu niewieścich serc.

Kilka miesięcy wcześniej Niemcy napadły na Rosję, co było największym błędem Hitlera, jego armia nie była bowiem przygotowana na srogą rosyjską zimą, a to oznaczało, że Fiihrer odwrócił na jakiś czas uwagę od Wielkiej Brytanii. Wydawało się, że kampania utknęła w martwym punkcie. Mijały miesiące, a żadna ze stron nie postępowała naprzód.

Na Wyspach Brytyjskich rok tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi przyniósł jeszcze większe zaostrzenia w racjonowaniu towarów — brakowało dosłownie wszystkiego. Dla Amy znacznie większym zmartwieniem było racjonowanie kuponów na ubrania aniżeli na artykuły żywnościowe. Nie przejmowała się specjalnie, czym napełnia sobie brzuch, za to bardzo tym, co ma na sobie.

\* \* \*

To stało się już rytuałem. Przynosiło im szczęście, jak twierdził Harry, przekonany, że nie przeżyje, jeśli przed bitwą nie wymieni uścisku dłoni z Jackiem.

Teraz trzymali się za ręce, żeby ich uścisk był jeszcze bardziej serdeczny.

Była czwarta nad ranem — cichym, upalnym rankiem w El Alamein, niedaleko Aleksandrii. Niebo było jeszcze ciemne, ale jarzyło się jakimś upiornym, fioletowym blaskiem, a piasek był drobnutki jak puder. Jeśli za ciężko się stąpnęło, stopy zapadały się w nim jak w grząskim mule. Nikt się nie odzywał; żołnierze szli naprzód nierównymi liniami, krok w krok za czołgami; piasek wyfruwał im spod stóp niczym dym, widzieli więc tylko tyły ukrytych do połowy czołgów.

Wróg był przed nimi, prawdopodobnie się wycofywał, chociaż od czasu do czasu przelatywała obok nich jakaś zabłąkana kula albo gdzieś w pobliżu rozrywał się pojedynczy pocisk.

Jack maszerował kilka metrów przed Harrym, trzymając luźno karabin, z uśmiechem na twarzy. Nie miał już skarpet, a buty były za duże na jego wychudzone stopy.

Nie potrafił niczego brać na serio. Naprawdę uważał, że świat zwariował, a najbardziej szaleni są ci, którzy tym światem rządzą. Mimo to jednak podporządkowywał się z ufnością temu szaleństwu i nigdy się nie skarżył.

Przez dwa lata ich znajomości Jack stał się dla Harry'ego bratem. Znacznie bardziej niż kiedykolwiek był nim Barney. Nie przynosiło to Barneyowi żadnej ujmy; po prostu bracia nigdy nie dzielili wspólnie niebezpieczeństw, nie podejmowali tego samego ryzyka. Jeżeli był na świecie ktoś, kogo Harry z radością widziałby jako męża Cathy Burns, to był nim właśnie Jack Wilkinson. Już się nawet zgodził, że będzie jego drużbą. Nieważne, kiedy to nastąpi.

Na horyzoncie pojawiła się czerwona linia — za chwilę wszędzie słońce. Harry miał nadzieję, że bitwa się zakończy, zanim zrobi się za gorąco. Choćby miał spędzić w Egipcie resztę życia, nigdy się nie przyzwyczai do tych morderczych upałów.

Czuł się trochę jak żołnierz armii duchów, kiedy tak brnęli bezszelestnie naprzód po piasku. Za jednym z czołgów upadł pocisk; drugi przed nim. Potem nastąpił kolejny wybuch, który z dużą siłą rzucił Harry'ego na ziemię. Leżał przez chwilę zdrtwiał z przerażenia, a kiedy uniósł głowę, zobaczył, że wokół niego leży na ziemi co najmniej pół tuzina kolegów. Oszołomiony wstał, z ulgą stwierdził, że nie jest ranny, chociaż solidnie nim potrząsnęło. Inni żołnierze też zdołali wstać i próbowali teraz złapać oddech, z wyjątkiem jednego, który leżał płasko na wznak, z dziurą w brzuchu wielkości piłki futbolowej, podczas gdy życie uchodziło z niego razem z krwią, która plamiła piasek na czerwono.

— Jack! — Harry ukląkł obok przyjaciela i potrząsał nim raz za razem, chociaż nie było żadnej szansy, żeby ten jeszcze żył. — Jack!

Usłyszał wołanie:

— Ruszaj naprzód, Patterson!

— Ale, sierzancie! To przecież Jack! — wrzasnął Harry. Czuł, jak łzy spływają mu strugami po policzkach.

— Wiem, kto to jest, Patterson. W tej chwili masz dołączyć do innych, no, rusz dupę! Lekarze obejrzą Wilkinsona. Są niedaleko za nami.

„To powinienem być ja”, myślał Harry z wściekłością, patrząc ostatni raz w życiu w martwe, piwne oczy przyjaciela, zanim przykrył mu twarz zniszczonym kapeluszem.

To powinienem być ja.

\* \* \*

Osiemnaście miesięcy później Harry Patterson był jednym z pierwszych żołnierzy biorących udział w szturmie na plażę Gold we Francji, będącym częścią desantu D-Day. Harry nigdy nie awansował, nie zdobył medalu ani nie był „chlubnie wymieniony w rozkazie dziennym”. Był po prostu przeciętnym żołnierzem, dzielnie walczył, nigdy się nie skarżył ani nie dyskutował i zawsze słuchał rozkazów, niezależnie od tego, za jak bezdennie głupie je uważał. Tacy ludzie jak on stanowili kręgosłup armii brytyjskiej. Bez nich wojna przeciwko Niemcom nigdy nie zostałaby wygrana.

Po D-Day ludność odetchnęła z ulgą, wyglądało bowiem na to, że konflikt wkrótce się skończy, choć w rzeczywistości do zakończenia wojny w Europie miało upłynąć jeszcze jedenaście miesięcy.

W tym czasie Amy przeprowadziła się z mieszkania przy Newsham Park do partelowego bungalowu przy Sefton Park, w starej części Liverpoolu z piękną wieżą zegarową. Bungalow stał na małej uliczce, bardzo blisko centrum dzielnicy, ale Amy czuła się tam jak na zapadłej wsi.

Wszystko to zaaranżował Leo Patterson.

— Barney powinien wrócić do lepszego domu niż tamto ciasne mieszkanko — starał się ją przekonywać.

Amy nie miała jednak tej pewności.

Jakoś sobie nie wyobrażała, żeby gdziekolwiek mogli być szczęśliwsi niż tam, w tym ciasnym mieszkanku, ale pozwoliła, żeby tym razem Leo nią pokierował. Bardzo możliwe, że wiedział lepiej. To Leo umeblował ich nowe mieszkanie, co nie było wcale łatwym zadaniem w czasie wojny, kiedy fabryki miały ważniejsze rzeczy do produkowania niż krzesła, stoły czy łóżka.

Roześmiał się głośno, kiedy Amy nazwała te meble „używanymi”.

— To antyki — wyjaśnił.

— Być może, ale przecież są używane — upierała się Amy.

— To biureczko na przykład kosztuje fortunę — powiedział.



Było to ładne, polakierowane na biało biurczko w kształcie fasolki, z elegancko wygiętymi przednimi nóżkami.

— Myślałam, że to toaletka — mówiła Amy. — Po co nam biurko?

— Możesz przy nim siedzieć i pisać listy.

— Zawsze piszę listy na kolanie.

Leo się uśmiechnął. Amy nie miała pojęcia, dlaczego niektóre z jej sformułowań tak go bawiły.

— No, dobrze, wobec tego teraz będziesz je pisała przy biurku. Och, a propos — rzucił jakby od niechcienia — Elizabeth zaprasza cię na obiad.

— Cooo? — parsknęła Amy. — Możesz ode mnie powiedzieć swojej Elizabeth, żeby się pocałowała w nos. Spotkałyśmy się raz i to w zupełności wystarczy.

— Ależ to było ponad pięć lat temu. — Skrzywił się jak uparty mały chłopiec. — A ja myślę, że kiedy Barney wróci do domu, trzeba będzie wreszcie zacząć żyć jak normalna rodzina, a nie chować głowę w piasek.

— To zależy od tego, czego zechce Barney, a nie ty, ani ja, ani Elizabeth — mruknęła. Chyba była bardzo pamiętliwa i nie potrafiła łatwo wybaczać — przynajmniej niektórym, ponieważ instynkt jej mówił, że nigdy więcej nie zamierza oglądać tej wrednej baby.

Zmieniła temat.

— Czy to nie cudowne, móc powiedzieć „kiedy Barney wróci do domu” i wiedzieć, że to już niedługo?

Zbliżało się Boże Narodzenie i tym razem ludzie już na pewno wiedzieli, że to będzie koniec wojny. Amy objęła się ramionami.

— Tak bardzo chciałabym go już zobaczyć, ale też trochę się boję. — Przygryzła wargę. — To już tak długo...

— Możliwe, że przez jakiś czas będziesz się czuła dość dziwnie.

— Ja... a może my?

— Właśnie. — Leo poklepał ją po ramieniu.

Łatwo było z nim rozmawiać.

— Dziękuję ci — powiedziała.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Za co?

— Za to, że przyszedłeś do mnie w tym dniu, kiedy straciłam dziecko, za to, że zdobyłeś dla nas ten dom i za wszystko inne, co od ciebie dostałam.

Był dla niej ogromną pomocą. Bez niego czułaby się rozpaczliwie samotna.

— Nie ma o czym mówić. — Twarz mu złagodniała. — Czy myślisz czasem o tym dziecku?

— Nie ma dnia, żebym o nim nie myślała. — Wargi Amy zadrżały. — Chciałabym wiedzieć, czy to był chłopiec, czy dziewczynka, wtedy mogłabym mu nadać imię i wtedy ono... byłoby bardziej rzeczywiste. Wyobraź sobie tylko, że Barney wróciłby do domu, w którym bawiłby się śliczny bobasek...

— Wyobraź sobie tylko — powtórzył za nią jak echo Leo. — Czy to nie byłoby wspaniałe?

\* \* \*

Cathy Burns miała już dwa paski na rękawach. Awansowała do stopnia kaprała. Pani Burns opowiadała o tym każdej napotkanej osobie.

— Zawsze wiedziałam, że w naszej Cathy jest coś szczególnego — powtarzała w kółko swojemu mężowi.

W marcu, kiedy alianci zbliżali się do Berlina i do końca wojny pozostawały już tylko tygodnie, w hotelu w centrum Londynu Cathy spotkała Reggie'ego Scotta.

Spędziła dwa lata w Ipswich, a ostatni rok w Portsmouth, podczas gdy Reggie przez całą wojnę pozostawał w Keighley.

Co kilka miesięcy jedli razem obiad w hotelu Bonnington w Holborn.

— Co będziesz robić, kiedy to wszystko się wreszcie skończy, Cath? — spytał Reggie, kiedy czekali na pierwsze danie. Wiedziała, jak bardzo żałował, że poinformował swoich wojskowych zwierzchników o swoich kwalifikacjach w\*zawodzie dentysty. Gdyby powiedział, że skończył się uczyć w wieku czternastu lat i że pracował w sklepie, przeżyłby wojnę w dużo bardziej interesujący sposób. W każdym razie jak prawdziwy żołnierz, a nie „wyrwiząb”.

— Pójdę do college'u i będę się szkoliła na nauczycielkę — odpowiedziała natychmiast Cathy. Takie szkolenie zorganizowano dla byłych żołnierzy, mężczyzn i kobiet. Chodziły słuchy, że egzamin Wstępny jest tylko czystą formalnością. — A ty?

— A jak myślisz? — Reggie się skrzywił. — Dalej będę dentystą. Myślę, że otworzę praktykę w jakiejś małej, uroczej miejscowości, ożenię się z fajną babką i będę miał sześcioro dzieci.

— Życzę szczęścia! — Cathy podniosła swój kieliszek z winem.

— I ja tobie. Poważnie, chciałabyś być nauczycielką? — Reggie popatrzył na nią błagalnie. — A czy nie dałabyś się namówić na małżeństwo z dentystą, który chce mieć sześcioro dzieci? Jeśli chcesz, zredukuję tę liczbę do dwojga.

Cathy wyobraziła sobie tę małą uroczą miejscowość, dzieci, wygodne życie... ale jakoś jej to nie kusilo.

— Mówię całkiem serio, Reg, chociaż to naprawdę wzruszające, że chciałbyś się ze mną ożenić. — Kochała go, ale nie dość, żeby... — Wiesz, dlaczego nie mogę tego zrobić.

— Chodzi o Jacka? — Cathy skinęła głową, on zaś ciągnął z powagą: — Nie możesz spędzić reszty życia, tęskniąc za nim, Cath.

— Wcale za nim nie tęsknię — odparła Cathy stanowczo. — On nie żyje i już się z tym pogodziłam. Tyle tylko, że nie mam ochoty wychodzić za mąż za nikogo, skoro nie mogę wyjść za niego.

— Ale... może jednak o tym pomyślisz?

Cathy obiecała, że pomyśli, wiedząc, że jej odpowiedź będzie zawsze taka sama.

\* \* \*

— Czy jest jeszcze lemoniada? — spytała Moira Curran, nie zwracając się właściwie do nikogo, kiedy weszła do domu na Agatę Street, a tuż za nią jej przyjaciółka Nellie Tyler.

— Nie mam pojęcia, mam — odparła Jacky, jej średnia córka.

— Chcesz, żebyśmy poszły i kupiły? — zaproponowała Bidy.

— Nie, kochanie, nie trzeba. Jeżeli naszej już nie ma, ktoś inny powinien się o nią postarać.

— Już nic nie ma, Moiro! — zawołała Nellie z kuchni.

— A może razem z Nellie wypijecie po szklaneczce sherry, mamó? — spytała Amy.

— Nie powiem nie, kochanie. A ty, Nellie?

Nellie uśmiechnęła się niewyraźnie, przestępując z nogi na nogę. Obie miały już nieźle w czubie.

— Ja też nie odmówię.

Na ulicy trwało przyjęcie z okazji zakończenia wojny, poza tym dziś, ósmego maja, było święto państwowe. W tym wolnym od pracy dniu wszystkie siostry siedziały przy stole w domu swojej matki, gawędząc o tym i owym. Już od dawna nie miały okazji spotkać się wszystkie razem. Jacky większość weekendów spędzała z rodziną Petera w Pond Wood, a narzeczony Bidy, Derek O'Rourke, praktykant strażacki, mieszkał za wodą, w Birkenhead. Planowali ślub w końcu czerwca.

— Chcielibyśmy mieć dziecko. Najszybciej, jak tylko się da — zwierzała się Jacky, kiedy mama i Nellie Tyler wyszły z domu, jeszcze bardziej pod humorem, niż gdy tu wchodziły. — Postaramy się o dzidziusia, kiedy wreszcie zdemobilizują Petera. Mamy już trochę wprawy — mrugnęła do sióstr. — Ponieważ Peter służył w marynarce, udawało im się widywać zaledwie raz na kilka miesięcy.

— Ja też o tym marzę... — westchnęła Amy. Mimo iż bardzo się starała, nie potrafiła sobie jakoś wyobrazić Barneya w domu. Mogła o tym mówić; słowa wychodziły z jej ust nawet całkiem łatwo, ale to, że Barney będzie w domu, to już była zupełnie inna sprawa.

Zapadło milczenie, przepelnione cichą radością. Fabryka w Mulholland nie produkowała już pojazdów wojskowych i Amy mogła się zwolnić z pracy. Chciała być w domu przez cały dzień, kiedy w końcu Barney wróci. Jak już mówiła Jacky, wojna się skończyła. Skończyły się naloty bombowe, nikt już nie będzie zatapiał statków ani zestrzeliwał samolotów; żołnierze już nie będą ginąć — ani mężczyźni, ani kobiety.

— To nieprawda — przypomniała jej Amy. — Wojna się skończyła tylko w Europie. Ale wojna z Japonią jeszcze nie jest wygrana.

— Rzeczywiście, zapomniałam — ponuro przyznała Jacky. Przez otwarte drzwi frontowe wpadły do domu fragmenty piosenki *When the lights go on again all over the world*, śpiewano. To był wspaniały dzień, słoneczny i ciepły; tak sławny jak ten niemal sześć lat temu, kiedy ogłoszono, że wojna wybuchła.

— Może chciałybyście napić się herbaty? — spytała Bidy.

— Ja z przyjemnością — rzekła Amy — ale czy mama ma dosyć herbaty? A jak z mlekiem?

— Wystarczy jednego i drugiego. Przyniosłam trochę herbaty, a nasza Jacky postarała się o mleko.

— To świeże mleko, prosto od krowy. Przywiozłam je dziś rano ze wsi.

Amy podrapała się nerwowo za uchem.

— Jakoś nigdy nie pamiętam, żeby też coś ze sobą przynieść.

— Zauważyłyśmy to. Prawda, Jacky? — rzekła Bidy z surową miną.

Jacky tylko się uśmiechnęła.

— To nieważne, siostrzyczko. Twoje gwiazdkowe prezenty były dużo więcej warte niż wszystkie nasze herbaty i mleka razem wzięte. Tę broszkę, którą mi dałaś w zeszłym roku, podziwiali wszyscy bez wyjątku, a za tą torbę, co mi przywiozłaś z Londynu już tyle lat temu, jeszcze dziś oglądają się na ulicy.

— Więc możesz bez żadnych skrupułów napić się z nami herbaty. Z mlekiem — zachichotała Bidy.

Amy się podniosła.

— W porządku, chętnie przygotuję wszystkim ten wspaniały napój, z którym przepadają Brytyjczycy, a wy sobie tutaj grzecznie siedźcie i czekajcie, aż wasza najstarsza siostra was obsłuży.

Była w kuchni, podśpiewując cicho *Yours till the stars lose their glory*, melodię, którą zaintonował właśnie tłum ludzi na ulicy, kiedy weszły obie siostry.

— Ktoś do ciebie — oznajmiła Jacky.

— Poprosiłyśmy go do saloniku, bo tam jest zaciszniej — dodała Bidy.

Otwierając drzwi do saloniku, Amy wciąż niezupełnie rozumiała, o co chodzi. Sądziła, że miały na myśli Leo; ale przecież obie siostry dobrze znały jej teścia i raczej nie zaprowadziłyby go do saloniku. „Więc kto to może być?“, zadawała sobie w duchu pytanie.

— Barney! — ni to jęknęła, ni krzyknęła.

Do tej pory, myśląc o tej nadzwyczajnej chwili, kiedy Barney wróci do domu, wyobrażała go sobie w mundurze, może nawet w tym płaszczu wojskowym, należącym do jakiegoś żołnierza, którego imię się zaczynało na „W”; tymczasem był w eleganckim ciemnoszarym garniturze, kremowej koszuli i brązowym krawacie. Wpatrywała się w tego nieznajomego, a Barney, blady i z podkrążonymi oczyma, wpatrywał się w swoją śliczną żonę, nie mogąc wprost od niej wzroku oderwać.

Podniósł ręce, jakby chciał ją uspokoić, a jego dłonie ledwie dotknęły jej talii, ale Amy to wystarczyło. Rzuciła mu się w ramiona.

— Och, Barney!

Przytuliła się do niego, szlochała z ustami na jego szyi, skrapiając łzami brązowy krawat i kołnierzyk koszuli. Jego ręce osunęły się niżej; przycisnął ją do siebie tak mocno, że z trudem oddychała. Potem też zaczął płakać.

Amy nie miała pojęcia, jak długo są już w saloniku, prawie nic nie mówiąc, przytuleni do siebie. Do domu wchodziłi jacyś ludzie, zabawa na ulicy coraz bardziej przypominała awanturę, śpiewy były coraz głośniejsze... Dwóch młodych mężczyzn się pobiło, przez dobre dziesięć minut ktoś bez przerwy walił w ścianę piłką, czyjeś stopy głośno stukały po chodniku. To bawiący się na ulicy tańczyli irlandzkiego „jiga”.

Oni zaś wciąż siedzieli w saloniku, Amy i Barney, i z trudem mogli uwierzyć, że wojna się skończyła, że nareszcie znowu mogą być ze sobą.

Teraz będą musieli poznać się nawzajem na nowo — i Amy czuła, że to będzie o wiele trudniejsze, niż było za pierwszym razem.

\* \* \*

Zbliżał się czerwiec. Pierwszego dnia miesiąca wypadały imieniny Amy — kończyła dwadzieścia cztery lata. Barney zaproponował, żeby uczcić to w jakiś niezwykle sposób.

— Nie potrafię myśleć o niczym niezwykle — rzekła Amy — chyba żebyśmy spędzili w Londynie nasz spóźniony miesiąc miodowy. — Obiecał ją zabrać tam, gdzie przedtem (i po raz ostatni) mieszkali, kiedy to ich słodką sielankę nagle przerwała wojna.

— Pojedziemy kiedyś do Londynu — obiecywał Barney — ale jeszcze nie teraz. Tata nadal mnie wprowadza w tajniki prowadzenia jego firmy. — Poszedł pracować u ojca, jakby zapomniał, że miał całkiem inne plany — a może zmienił nagle zdanie, bo

przecież do tej pory utrzymywał, że po wojnie chciałby robić coś naprawdę pasjonującego. — W tym tygodniu jestem na oddziale dmuchania szkła. Naprawdę fascynujący widok.

— Uczysz się wydmuchiwania szkła? — spytała Amy z nadzieją, że Barney nie uzna tego za głupie pytanie.

— Nie, po prostu patrzę, jak to się robi — odparł niecierpliwie, jakby jej pytanie było rzeczywiście głupie. — Dmuchanie szkła to piekielnie trudne rzemiosło. Trzeba się go uczyć całymi latami... Wiesz, co? Pojedźmy do Southport, na to moło, gdzie się poznaliśmy, w tę pamiętną niedzielę wielkanocną. Mam wrażenie, że to było całe wieki temu.

— Z przyjemnością.

Chciała robić wszystko, co by pomogło ułożyć na powrót ich dawne stosunki, sprawić, by Barney przestał być taki chłodny i odległy. Jedynie w łóżku, w ciemnościach i pod przykryciem, stawał się dawnym Barneyem. Ale tylko wówczas, kiedy się kochali.

Ani przed, ani po nie odzywał się do niej słowem, po prostu przygarniał, swoją żonę, a potem pozwalał jej odejść — i to wszystko bez jednego słowa.

Pałił teraz strasznie dużo i nigdy nie opowiadał o latach spędzonych w obozie jeńckim.

To Amy musiała zaczynać każdą rozmowę, w każdym razie aż do tej chwili, kiedy Barney wpadł na pomysł wyjazdu z okazji jej urodzin.

— Szkoda, że nie będzie z nami Harry'ego — rzekła. — Cathy akurat przyjechała do domu na kilka dni, więc byłoby naprawdę miło, gdybyśmy wybrali się tam w czwórkę. Moglibyśmy nawet pojechać pociągiem.

Zanim benzyna będzie znów dostępna i można będzie jeździć samochodem jak dawniej, miną pewnie miesiące albo i lata.

— Hmm... — mruknął Barney, najwyraźniej ten temat też go nie zainteresował.

Akurat tak się złożyło, że na parę dni przed urodzinami Amy Harry wrócił do Anglii pierwszy raz po desancie w Normandii i dostał pięć dni urlopu.

\* \* \*

Jak na czerwiec było bardzo zimno. Piasek na plaży w Southport rozwiewał chłodny wiatr, który przenikał aż do kości nielicznych śmiałków, którzy odważyli się wejść na molo.

Tym razem to Harry i Cathy byli tą parą, która szukała sposobu, żeby być tylko sam na sam i cieszyć się swoją bliskością, podczas gdy Amy i Barney wlekli się w tyle ze nimi, prawie się do siebie nie odzywając.

Cathy i Harry nie widzieli się od tamtego pamiętnego przyjęcia w biurze finansów w Keighley, w pierwsze wojenne Boże Narodzenie. Od tego czasu tyle się wydarzyło, przede wszystkim to, że Cathy poznała Jacka, który potem zginął w Egipcie, na oczach Harry'ego. Z pasją dzielili się teraz wspomnieniami o tym niezwykłym człowieku, który był jego najlepszym przyjacielem, a jej kochankiem i narzeczonym.

Amy wolałaby przyjechać tu tylko z Barneyem. Obecność tej drugiej pary w pewien sposób jeszcze bardziej podkreślała, jak źle się dzieje pomiędzy nią i mężem. Była nawet zadowolona, kiedy Barney chwycił ją za ramię i powiedział:

— Chodź, pójdziemy na koniec molo.

Widok był ponury: Morze Irlandzkie lśniło w oddali jak płynny ołów, a ciągnąca się pod molo plaża była mokra i nie zachęcała do spacerów. Wokoło nie było żywej duszy. Barney wciągnął powietrze głęboko w płuca i z zadowoleniem je wypuszczał. Bardzo powoli, z oczyma błędzącymi po horyzoncie.

— To mi się podoba — rzekł wreszcie. — Chciałbym tu mieszkać do końca życia. Szkoda, że zrezygnowałaś z naszego mieszkania, Amy — dodał, wydymając usta z niezadowoleniem.

Nie cierpiał bungalowu. Pokoje były za małe, a okna wiecznie zacienione z powodu gęstych krzewów otaczających dom, podczas gdy z okien ich dawnego mieszkania widok był wręcz nieograniczony — tylko morze dachów i nieskończony błękit nieba.

W ich nowym domu Barney czuł się tak, jakby nadal siedział w więzieniu.

— Więc poszukajmy czegoś innego — zaproponowała Amy.

Ona też nie była zachwycona bungalowem. Z prawdziwą przyjemnością przeprowadziłaby się do innego mieszkania, ale Barney wciąż się wahał.

— Cóż, ostatecznie to bez znaczenia — mówił naburmuszony. — Mam nadzieję, że to miejsce zacznie mi się w końcu podobać.



Kiedy tak stali na końcu molo w Southport, nieoczekiwanie położył jej rękę na ramieniu.

— Przepraszam, kochanie, ale tak bardzo marzyłem o powrocie do domu, a teraz, kiedy już tu jestem, po prostu nie mogę się przyzwyczaić. Nie mogę się przyzwyczaić do życia w czterech ścianach. Czuję, że chciałbym mieszkać gdzieś na świeżym powietrzu — na szczycie góry, z której mógłbym schodzić w każdą stronę i nikt by mnie nie zatrzymywał.

Amy pocałowała go w brodę. Zbyt dużo od niego oczekiwała. Przez długie pięć lat był przecież zamknięty w więzieniu. Być może minie jeszcze wiele czasu, zanim się przyzwyczai do wolności. Do tego momentu musi być cierpliwa.

— Czy chcecie nabawić się zapalenia płuc?

Cathy i Harry poszli za nimi na koniec molo. Oboje byli w cywilu. Mieli dość pokazywania się w mundurach, w których chodzili przez ostatnie sześć lat. Cathy swoją gładką fryzurkę przykryła chustką, a ręce trzymała w kieszeniach ciepłego tweedowego płaszcza z podniesionym kołnierzem.

— Szkoda, że nie wzięłam futra z nerek — zaśmiała się po swojemu. — Może byśmy poszli napić się czegoś gorącego?

Teraz na molo pojawiło się już trochę więcej ludzi. Sześciu chłopców ścigało się od ławki do ławki; dwaj panowie łowili ryby; jakaś podstarzała para w takich samych robionych na drutach zielonych swetrach karmiła mewy okruchami chleba.

Barney przejął dowództwo.

— Chodźmy na herbatę. Tam, gdzie byliśmy ostatnim razem, a potem pójdziemy przez Lord Street do restauracji i coś zjemy. Kto z was wie, jakie filmy wyświetlają w tym tygodniu?

— Podwójne ubezpieczenie z Barbarą Stanwyck i Fredem Mac Mur- rayem i Stracony weekend z Rayem Millandem — wymieniła natychmiast Cathy i dodała tytułem wyjaśnienia: — Wczoraj wieczorem sprawdziłam to w „Echu”.

Barney spojrzął po kolei na każde z nich.

— To co obejrzymy?

— Głosujmy! — zaproponował Harry.

— A jeśli każdy film otrzyma po dwa głosy? — zapytał Barney.

— Wtedy poprosimy Amy, żeby rzuciła monetą, a ona wybierze, który film odpadnie... — powiedziała z uśmiechem Cathy. — To taki jej zwyczaj — wyjaśniła na widok zdziwionych twarzy mężczyzn. — Przynajmniej dawniej był.

Amy przypomniawszy sobie, jak ostatni raz rzucała monetą w Southport w kawiarni na Lord Street, gdzie razem z Cathy piły herbatę. Nie pamiętała już tytułów filmów, tylko to, że w jednym grał Charles Boyer, a w drugim Humphrey Bogart. Losowała wtedy i wygrał Charles Boyer, ale Amy koniecznie chciała oglądać Bogarta, więc Cathy — chcąc nie chcąc — ustąpiła. Amy wtedy nawet nie marzyła o tym, że kiedy parę godzin później pójda na ten film, ona będzie już znała Barneya. To był dzień, który na zawsze odmienił jej życie.

Dzisiaj to życie nadał się zmieniało. Może oni wszyscy, cała czwórka, powinni się cofnąć o te sześć lat.

Amy zastanawiała się, jak wtedy potoczyłoby się ich życie.

TLR

# Rozdział 17

CZERWIEC 1971

*Pearl*

Już zapomniałam, jak bardzo nie lubię ogrodów zoologicznych. Gdy Rob zaproponował tę wspólną wyprawę, powinnam mu była powiedzieć, żeby pojechał sam z Garym.

Jest dla mnie coś po barbarzyńsku okrutnego w trzymaniu dzikich zwierząt w klatkach. Mój ojciec miał w tej sprawie dokładnie takie samo odczucie. Akurat to dokładnie zapamiętałam. Z całego serca nienawidził takich miejsc. Przypuszczam, że miało to ścisły związek z jego długim pobytom w obozie dla jeńców wojennych.

Ulżyło mi, kiedy Gary obejrzał już wszystkie zwierzęta. Rob go pytał, czy chciałby obejść ogród jeszcze raz, ale mały odmówił.

— Jestem głodny — oznajmił. — Mam ochotę na kielbasę z frytkami.

Pojechaliśmy do Chester — samochodem Roba — i kiedy byliśmy już na miejscu, wstąpiliśmy do małej knajpki, która robiła całkiem miłe wrażenie. Zamówiłam dorsza z frytkami. Dla mnie to była prawdziwa uczta, w dodatku pachnąca nie tylko rybą, ale też zakazanym owocem. Marion uważała, że mrożone dania są bardzo niezdrowe; nigdy nie robiła frytek, a „panierka” była w jej domu określeniem po prostu nieprzyzwoitym.

Czułam się dzisiaj jakby rozdarta na dwoje. Jedna połowa mojej istoty chciała być z Robem, druga ciągnęła do matki.

Od wczoraj moje uczucia uległy całkowitej zmianie. Nigdy nie sądziłam, że się tak dobrze z nią dogadam. I tak szybko. Już czułam się jej opiekunką i naprawdę bolała mnie myśl, że tyle lat przesiedziała w więzieniu. W klatce... Dziś były jej urodziny — kończyła pięćdziesiąt lat — uparła się jednak, że nie chce robić niepotrzebnego zamieszania.

— Mam w nosie okrągłe rocznice. Możemy urządzić małe przyjęcie, kiedy skończę pięćdziesiąt jeden, okay? Do tego czasu pewnie nabiorę na to ochoty.

Któregoś dnia, kiedy byliśmy w domu tylko we dwie, chciałam z nią pomówić o swoim ojcu.

Pamiętałam zazarte kłótnie, które prowadzili — z tym, że wściekał się tylko on. Jej głos zawsze był łagodny, pełen cierpliwości — i zawsze starała się go uspokajać. Bardzo rozsądnie, jakby się mogło z pozoru wydawać. Ale to tylko pogarszało sytuację.

Wrzeszczał: „Ty kurwo!”. Kiedyś powiedział: „Naprawdę mógłbym cię zamordować”. To mnie przeraziło. Chciałam go powstrzymać, ale nie wiedziałam jak.

Tak czy owak, moja matka pierwsza go zabiła.

— Grosik za twoje myśli! — zawołał Rob.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc.

— Przepraszam...?

— Powiedziałem „grosik za twoje myśli”. Już dwa razy pytałem, czy chcesz zjeść coś na deser.

— Nie, dziękuję, ale z przyjemnością napiłabym się gorącej herbaty. Wybacz — powiedziałam przepaszająco. — Byłam wiele mil stąd. — Zastanawiałam się, w jaki najprostszy sposób mogłabym być z Robem i z moją matką w tym samym czasie. — Czy nie zechcielibyście wpaść do mnie któregoś dnia, żeby twój synek poznał Amy? — Ostatecznie mogłam ją nazywać „Amy” teraz, kiedy tu jej nie było, bo tak wprost... obawiam się, że nie potrafiłabym. — Oczywiście, jeżeli uważasz, że to w porządku — dodałam szybko.

Nie każdy z chęcią godziłby się na to, by jego — czy jej — dziecko poznawało morderczynię, nieważne, jak bardzo piękną i czarującą.

— Świetna myśl — oświadczył Rob.

— Dokąd jedziemy? — spytał Gary.

— Spotkać się z mamą Pearl.

Chłopczyk popatrzył na mnie zaskoczony.

— To pani ma mamusię, proszę pani?

— Tak, Gary, mam.

Nie chciałam go onieśmielać i nie zareagowałam na to, że mówił do mnie „proszę pani”. Nie powinien przecież nazywać mnie „Pearl” w klasie.

— To wszyscy nauczyciele mają mamusie?

— Tak, na pewno mają — przytaknęłam.

Myślał nad tym chwilę, marszcząc czoło, po czym wzruszył ramionami, jakby uznał to za coś niebywale tajemniczego.

— I tatusiów też?

— I tatusiów też — uśmiechnęłam się do niego.

\* \* \*

Amy po prostu go oczarowała — dosłownie w ciągu paru minut.

Kiedy przyszliśmy, siedzieli z Charlesem w ogrodzie. Marion nie było — miała swój sobotni „seans” w salonie fryzjerskim.

— Mój Boże, aleś ty przystojny! — zawołała moja matka z podziwem. Poklepała siedzenie wolnego krzesła obok siebie. — Mam na imię Amy. Chciałbyś tu usiąść i opowiedzieć mi o sobie? Najlepiej wszystko...

Gary wyglądał na bardzo zadowolonego. Opowiedział o obrazku, który namalował i który zajął drugie miejsce w konkursie.

— Tam jest drzewo cytrynowe i pomarańczowe, a w korzeniach mieszkają króliki. Narysowałem też ich domek. Jak to się nazywa, tatusiu, taki domek królików?

— Norka, synku.

— Więc narysowałem ich norkę, z firanką w oknie. Ten pan z gazety powiedział, że to wskazuje na dużą... Co ten pan powiedział, tatusiu?

— Że masz dużą wyobraźnię.

— Ten pan powiedział, że mam dużą wyobraźnię. I dostanę nagrodę, wiesz, Amy? To będą przybory do malowania w drewnianym pudełku, a farby są w tubkach, nie w guziczkach.

— W tubkach, synku.

— To naprawdę fajne, wyciekać te tubki — mówił z powagą Gary. — Guziczków nie da się wyciskać. Czy chciałaby pani, żebym pani coś namalował, kiedy już dostanę te tubki?

— O tak, bardzo proszę. To będzie wspaniałe. A mógłbyś namalować też coś mojemu bratu? Ma na imię Charlie — to ten miły pan, który siedzi tu obok mnie.

Charles uśmiechnął się dobrodusznie.

— Tak, namaluję, Amy, ale tam będzie inne drzewo.

— Naprawdę — westchnęła Amy — muszę powiedzieć, że jesteś zachwycającym młodym mężczyzną. Chciałbyś ze mną wejść do środka, żebym ci mogła przyrządzić lody w wafelku?

— Tak, proszę.

Podreptał za nią do domu, a ja zastanawiałam się w duchu, dlaczego moja matka nie miała więcej dzieci, skoro najwyraźniej za nimi przepadała. Z wzajemnością...

Po półgodzinie wróciła do domu Marion — jej włosy były teraz krótkie, gładkie i czarne. Bałam się, czy nie będzie się gniewała za tych dodatkowych i niespodziewanych gości, a jeśli tak — byłam gotowa nawet się z nią pokłócić. I wcale nie miałabym z tego powodu wyrzutów sumienia. Nieczęsto przyprowadzałam kogoś do domu. Ale Marion była dziś słodka jak miód.

Przypomniałam sobie, że przed naszym domem stoi stary gruchot Roba, a przecież zaledwie wczoraj skarżyła się Charlesowi na ten „obciach”. Ale — o dziwo! — nie dała niczego po sobie poznać. Jeśli nawet go zauważyła, udawała, że nic a nic jej to nie obchodzi.

Jak na mój gust, trochę zanadto trzęsła się nad Garym, mały jednak był już zbyt rozkochany w mojej matce, żeby ktoś inny zrobił na nim wrażenie. Nie wiem, czy Amy go podniosła, czy też sam wgramolił się nieproszony jej na kolana, ale siedzieli teraz wspólnie na jednym ogrodowym krześle, a Gary zjadał swoje lody w waflu.

Przypuszczam, że w tym momencie nieuniknione było pojawienie się na horyzoncie Cathy Burns, które strasznie zirytowało Marion, a Gary'ego wprowadziło w niebotyczne zdumienie, wywracając o sto osiemdziesiąt stopni jego pojęcie o nauczycielach.

\* \* \*

Rob i Gary zostali na podwieczorek. Weszłam do domu i pomogłam Marion w przygotowywaniu kanapek i szybkiej sałatki. Marion mi powiedziała, że jutro, w niedzielę, moja matka przeprowadza się do domu Cathy Burns.

Żałowałam, że Marion nie jest inna; wtedy matka mogłaby zostać z nami na dłużej. Naprawdę będzie mi jej brakowało; kiedy o tym pomyślałam, wydało mi się to śmieszne. Prawie całe życie spędziłam bez niej i jakoś wcale mi to nie przeszkadzało, a teraz, kiedy była z nami dopiero parę dni, za nic w świecie nie chciałam, żeby odchodziła.

Po podwieczorku Rob i Gary pojechali do domu, Cathy Burns i moja matka wróciły do ogrodu z butelką wina, a Marion i Charles poszli do frontowego pokoju oglądać telewizję. Widziałam, że Charles ma wielką ochotę zostać w ogrodzie. Ja zostałam. Bądź co bądź, telewizję mogłam oglądać codziennie.

Tego wieczoru ich wojenne wspomnienia zmieniły się we wspólne śpiewanie. Sąsiedzi i ich goście na oszklonej werandzie przyłączyli się do nich z radością i wszyscy śpiewali teraz na całe gardło *When They Begin the Beguine*, *Goodnight Sweetheart* oraz inne piosenki, których nigdy wcześniej nie słyszałam. Przez żywopłot toczyły się dyskusje, jaką piosenkę teraz zaśpiewać. Może dlatego że właściwie wychowywała mnie Marion, poczułam się dziwnie zażenowana. Wyobraziłam sobie, że to wspólne śpiewanie będzie tak szło od ogrodu do ogrodu, aż w końcu cała przecznica się rozśpiewa.

Marion wysunęła głowę przez drzwi do ogrodu i zawołała mnie do telefonu.

— Co się tam dzieje w ogrodzie? — spytała.

Kiedy weszłam do środka, powiedziałam:

— Lepiej, żebyś nie wiedziała — i poradziłam jej wrócić do oglądania programu telewizyjnego. Program rzeczywiście musiał być interesujący, bo Marion tylko kiwnęła głową i rozsiadła się znów przed srebrnym ekranem.

Ku memu zaskoczeniu telefonowała Hilda Dooley. W dodatku płakała.

— Muszę z tobą koniecznie porozmawiać — szlochała.

— Gdzie ty jesteś, Hildo?

— W mieście. Dzwonię z budki przy stacji Lime Street.

— Możesz do mnie przyjechać? — spytałam szybko. Ja nie mogłam pojechać do niej. Z bardzo prostego powodu — wypłam już za dużo wina. — Wiesz, gdzie mieszkam, prawda?

— Tak, byłam już kiedyś u ciebie, po jakiejś rzeczy na szkolną aukcję<sup>^</sup> Pamiętam, że nie udało mi się ich upchnąć do twojego bagażnika.

— Racja. — Denerwujące w moim volkswagenie było to, że miał silnik z tyłu, a bagażnik z przodu, więc prawie nic się tam nie mieściło. Co najwyżej siatka z zakupami.

— Będę za dwadzieścia minut, najdalej za pół godziny.

Ciekawa byłam, o co chodzi, a potem pomyślałam, że to na pewno ma jakiś związek z jej Cliffordem.

Nastawiłam czajnik, żeby podać herbatę, kiedy przyjedzie Hilda, i wróciłam do ogrodu, gdzie wszyscy śpiewali *Roll Out the Barrel* — na mój gust okropną piosenkę. Uznałam, że tym razem się nie przyłączę.

\* \* \*

Kiedy Hilda przyjechała, zrobiłam herbatę i zaprosiłam ją do — jak to nazywała Marion — pokoju śniadaniowego, który był właściwie alkową ze stolikiem i wbudowanymi drewnianymi ławkami. Mieścił się pomiędzy kuchnią a korytarzem.

— Co się stało? — spytałam, kiedy już usiadłyśmy.

Hilda miała czerwone oczy, na jej upudrowanej twarzy widniały ślady łez.

— To... Clifford — wyjąkała.

— Co on takiego zrobił?

— Poprosił mnie o rękę — odrzekła ponuro Hilda.

Nic z tego nie rozumiałam.

— A... czy to coś złego?

Hilda pociągnęła nosem, po czym wytarła go wierzchem dłoni.

Pognałam do kuchni i przyniosłam pół tuzina papierowych chusteczek. Wyglądało na to, że ten wieczór będzie dla Hildy bardzo „mokry”.

— Wszystko dlatego, jak się okazało, że to mieszkanie, w którym mieszka Clifford, wcale do niego nie należy i on chce się przeprowadzić do mnie. — Znowu pociągnęła nosem, tym razem jednak bardziej ze złością niż żalnością. — Nic na to nie poradzę, ale po prostu myślę, że on chce się ze mną ożenić tylko po to, żeby mieć gdzie mieszkać i nawet nie płacić za wynajem!

— Sądziłam, że to mieszkanie na Norris Green jest jego własnością — powiedziałam, nie kryjąc zdziwienia.

— I ja tak samo, ale teraz już wiem, że tylko je wynajął. Nie podobało mu się tam. Pamiętasz, jak to mówił, kiedy pokazywał nam tamto mieszkanie na sprzedaż? Choć naprawdę sprawiał wrażenie, że jest właścicielem. Och, Pearl! — Znow zaczęła płakać. Wielkie jak grochy łzy spływały jej po policzkach, biegnąc śladami poprzed-



nich łez. — Myślałam, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe, że mu się spodobałam... a on jest w dodatku taki przystojny.

— Nie bądź niemądra — poklepałam ją lekko po ramieniu, chociaż też byłam zaskoczona. — Zgodziłaś się za niego wyjść?

— Tak — jęknęła rozdzierająco. — Czuję się jak skończona idiotka. Poprosił mnie o to przy obiedzie i kiedy powiedziałam „tak”, zaraz zaczęliśmy mówić o przyszłości. Ja zaproponowałam, żeby sprzedał swoje mieszkanie i część pieniędzy przeznaczył na modernizację kuchni w moim... A on... on dopiero wtedy się przyznał, że nie ma żadnego mieszkania, które mógłby sprzedać. Wyobrażasz sobie, jaką musiałam mieć minę?

W tym momencie do kuchni weszła Amy, podśpiewując *Yours Till The Stars Lose Their Glory*, a Hilda wyglądała tak, jakby miała się znowu rozplakać. Zerwała się na równe nogi i chciała wychodzić.

— Aha, tu jesteś, Pearl — rzekła moja matka. — Zastanawiałam się, gdzie się podziałaś. — Spojrzała na nas z czarującym uśmiechem. — Dobry wieczór — zwróciła się do Hildy. — Jestem Amy.

Wyglądała dziś naprawdę wspaniale w czerwonej sukni z prostą spódnicą, krótkimi rękawami i białą falbaneczką przy dekolcie. Na nogach miała białe sandały z rzemyczków, nie szerszych od sznurowadeł.

— Przedstawiam ci Hildę — powiedziałam. — Jest nauczycielką w naszej szkole St. Kentigern.

Byłam ciekawa, czy Hilda rozpozna kobietę, którą widywała na mszy wiele lat temu, mimo iż jej długie blond włosy były teraz krótkie i ciemne.

Było mi zresztą wszystko jedno, czy ją „zdemaskuje”, czy nie. Już nigdy więcej nikomu nie powiem, że moja matka nie żyje. Od tej chwili będę wszystkim mówiła prawdę i tylko prawdę.

Amy siadła przy stole obok mnie i trąciła mnie biodrem. Wzięła duże, czerwone ręce Hildy w swoje małe białe dłonie. Moja matka spędziła ostatnie dwadzieścia lat w więzieniu, ale to ręce Hildy wyglądały tak, jakby przez dwie dekady rozbijała kamienie w grupie więźniów, skutyh łańcuchami.

— Co ci jest, kochanie? — spytała Amy. — Najwyraźniej jest ci przykro z jakiegoś powodu.

Hilda milczała. Domyślałam się, że nie ma ochoty opowiadać tego wszystkiego jeszcze raz, wobec tego bez namysłu przejęłam inicjatywę i wyjaśniłam, co to za zmartwienie.

— A teraz czuje się nabita w butelkę — zakończyłam.

— Może jesteś, a może nie... — powiedziała Amy enigmatycznie. — Na twoim miejscu zakomunikowałabym Cliffordowi, że zmieniłam zdanie, że po prostu nie chcę za niego wychodzić, w każdym razie nie teraz. Jeśli naprawdę cię kocha, poczeka. A jeśli nie, zwinie żagle i *bye, bye, baby...*

— Rzecz w tym, Amy — wyszeptała Hilda — że ja wcale nie chcę, żeby związał żagle. To pierwszy mężczyzna, który chce się ze mną ożenić, i... i dlatego wołałabym go zatrzymać.

— Co byś wołała, Hildo? Być panią Clifford Jak-Mu-Tam, nie mając pewności, czy twój mąż cię rzeczywiście kocha, czy samotną, niezależną kobietą, z dobrą pracą i własnym mieszkaniem?

Przez kilka sekund Hilda wyglądała na zdezorientowaną. Potem kilka razy kiwnęła głową, wreszcie rzekła, trochę zawstydzona:

— Na pewno się zdziwisz, ale wolę być mężatką niż starą panną, niezależnie od tego, czy Clifford mnie kocha, czy nie. Poza tym zawsze chciałam mieć dzieci. Mam dopiero trzydzieści siedem lat, więc jeszcze jest czas.

Amy nie była ani trochę zdziwiona.

— Wobec tego, kiedy następnym razem spotkasz się z Cliffordem, powiedz mu otwarcie, że chcesz mieć dzieci. A w takim przypadku nie możecie przecież mieszkać w jednoosobowym mieszkanku! Musiałabyś kupić dom, a on powinien załatwić hipotekę. Sprawdź, co on o tym sądzi. — Ścisnęła dłonie Hildy. — Przyszłam tu po następną butelkę wina — powiedziała. — Cathy pomyśli, że pojechałam po nią do Hiszpanii.

— Bardzo miła. I jaka ładna... — powiedziała z uznaniem Hilda, kiedy moja matka zniknęła za drzwiami. — To twoja krewna?

— To moja matka — odparłam. — Nazywa się Amy Patterson i niedawno wyszła z więzienia.

\* \* \*

Była niedziela i Charles zawiózł rzeczy mojej matki do domu Cathy. Jej bagaż składał się z wielkiej, eleganckiej walizy, pełnej pięknych strojów, zakupionych w Paryżu. Matka jadła dziś lunch z wujem Harrym. Byłam z tego zadowolona.

— Może jest szansa, żeby się pobrali? — pytałam Charlesa. — To w końcu jej szwagier. Poznała go tego samego dnia, co mojego ojca.

— Nie ma takiej możliwości — odparł lekceważąco Charles. — Gdyby Harry starał się o kogokolwiek to tylko o Cathy.

— O Cathy! — krzyknęłam, nie posiadając się ze zdumienia.

— Coś tam między nimi było podczas wojny, a przynajmniej prawie że było. Nie wiem dokładnie, co, ale to się stało jeszcze wtedy, zanim poznała tego swojego ukochanego Jacka.

— Co to za Jack?

— Był narzeczonym Cathy; zginął pod El Alamein.

— Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłeś, podły zdrajco? — spytałam ze złością. Naprawdę byłam wkurzona. — To przecież fascynujące. Jak ten Jack wyglądał?

Charles wzruszył ramionami.

— Nie wiem, nigdy go nie poznałem; możesz spytać wujka Harry'ego, kiedy go następnym razem zobaczysz. Jack był jego najserdeczniejszym przyjacielem.

— Cholera! — mruknęłam.

Nie cierpiałam nie wiedzieć o takich rzeczach.

\* \* \*

Tego popołudnia Marion rzekła:

— Pearl, twoja matka zostawiła tu swój sweterek, ten niebieski. Mówiłaś, że wybierasz się dziś do Southport z Robem?

— Tak. Zabieram go z Garym spod ich domu o wpół do trzeciej. Chcesz, żebym po drodze podrzuciła ten sweterek do mieszkania Cathy? — Marion chciała zapewne jak najszybciej się go pozbyć, żeby moja matka nie miała pretekstu do odwiedzin.

— Gdybyś mogła...

Cathy mieszkała wprawdzie w Crosby i to mi wcale nie było po drodze, ale Gary z przyjemnością zobaczyłby się znów z Amy, jeśli

tylko moja matka wróci już z lunchu do domu.

\* \* \*

Cathy Burns mieszkała w małym, zadrzewionym zaułku, w jednym z niewielkich szeregowych domków, zbudowanych przed mniej więcej dwudziestu laty. Tak jak przypuszczałam, samochód Charlesa, ciemnozielony ford cortina, stał przed jednym z domków, pokrytych teraz ęzerwonymi liśćmi dzikiego wina, które latem wyglądało bardzo ładnie, ale zimą nieszczególnie, ponieważ winorośl gubiła liście i na ścianach pozostawały tylko wijące się, nagie pnącza.

— Mojej matki chyba jeszcze nie ma — powiedziałam do Roba — bo wtedy stałby tu też wóz wuja Harry'ego. Przecież nie wyrzuciłby jej ot tak, po prostu z samochodu i nie odjechał!

Wysiadłam z auta, obiecując, że zabawię najwyżej minutkę.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, kiedy szłam ścieżką w stronę domu, były zaściągnięte zasłony na parterze, co wydało mi się dość dziwne w taki ładny, słoneczny dzień. Nagle przyszło mi do głowy naprawdę przewrotne, wręcz straszne podejrzenie... tak że kiedy już byłam przy drzwiach, zastanawiałam się, czy powinnam zastukać.

Stałam na progu, tuląc do piersi niebieski sweterek i zastanawiałam się, co robić.

Przeszłam do tylnego wejścia — tam właśnie powinni być, w ogrodzie. Dlaczego mi to przedtem nie przyszło na myśl? Ale, gdyby tam byli, musieli się zachowywać wyjątkowo cicho. W ogrodzie nie było Charlesa ani Cathy, a kiedy popatrzyłam w okna kuchni i jadalni, okazało się, że tam również ich nie ma.

— Może poszli na spacer... — stwierdził później Rob, kiedy mu o tym powiedziałam. — Albo na drinka. — Roześmiał się. — Masz kosmate myśli, Pearl.

— Trudno, żebym ich nie miała, prawda?

— A co zrobiłaś ze swetrem?

— Zostawiłam go na schodkach przed tylnym wejściem.

Ale kiedy to robiłam, mogłam przysiąc, że usłyszałam dobiegający z wnętrza domu kobiecy śmiech.

\* \* \*

W poniedziałek byłam w domu zaledwie od pięciu minut, kiedy zadzwonił telefon. Sama nie wiem dlaczego, ale domyśliłam się, że to musi dzwonić moja matka.

— Co robisz dziś wieczorem? — zapytała. Telefonowała z budki.

— Nic szczególnego — odparłam. Musiałam tylko przygotować lekcje na jutro.

— Może wybrałabyś się do klubu Cavern? — W jej głosie brzmiała nutka podniecenia.

— Do Cavern? A dlaczego? Chcesz zobaczyć, jak tam jest?

Matka należała do tego rodzaju ludzi, którzy pasjami uwielbiają podobne przybytki. To naprawdę wstyd, że nie chodziła tam wtedy, kiedy Liverpool stał się najważniejszym miastem na świecie.

— Spotykam się tam dzisiaj z przyjaciółką. Nazywa się Susan Conway, jej syn gra dziś wieczorem. Jest gitarzystą.

— W takim razie pójdę z przyjemnością. — Byłam coraz bardziej zaciekawiona. — Jak się nazywa jego zespół?

— The Umbrella Men. Słyszałaś o nich?

Wiedziałam tylko, że już grali w Cavern.

— Tak, znam ich — odpowiedziałam.

Wyjaśniła mi, że telefonuje z magazynu George Henry Lee, ponieważ chce zrobić trochę zakupów, zanim się spotka z Susan Conway o szóstej na obiedzie. Obiecałam być w Cavern o ósmej i odwieźć ją potem do domu. Mruknęła coś na temat konieczności kupienia sobie auta i odwiesiła słuchawkę.

Nie pamiętałam, czy matka umie prowadzić, i zastanawiałam się, skąd weźmie pieniądze na samochód. Kiedy byłam mała, musieliśmy być chyba dość zamożni. Przypuszczam, że pieniądze leżały przez cały ten cały czas na koncie w banku i procentowały.

Ale nawet gdyby tak nie było, dziadek z pewnością nie pozwoliłby, żeby matce czegoś zabrakło.

\* \* \*

Marion z dezaprobatą pociągnęła nosem, kiedy wieczorem zeszłam na dół w nowych dzinsach i cygańskiej czarnej bluzce z bufiastymi rękawami. Włosy dla odmiany

ściągnęłam z tyłu i wmawiałam sobie, że wyglądam jak beatnik. Może było na to trochę za późno, ale moja przyjaciółka Trish zawsze powtarzała, że ubieram się zbyt konwencjonalnie. Przypomniałam sobie, że już od dawna nie miałam od niej wiadomości, i obiecałam sobie w duchu, że wkrótce do niej zadzwonię. Ciekawa byłam, jak też Londyn ją potraktował.

„Amy i jej przyjaciółka Susan mogłyby być matkami każdego z tutejszych bywalców...”, pomyślałam, wchodząc do Cavern.

Susan miała na sobie za szerokie spodnie z brązowej krempliny i beżowy nylonowy sweterek, który opinał jej obfite kształty, natomiast moja matka wybrała tym razem supermodną sukienkę „chłopkę” z kwiecistej bawełny. Okazało się, że poznały się z Susan w czasie wojny i odtąd stale były w kontakcie. Gitarzysta The Umbrella Men musiał być wtedy niemowlęciem przy piersi. Teraz miał trzydzieści jeden lat.

— Moja pozostała dwójka już dawno się ustatkowała, są po ślubie i mają własne dzieciaki, ale nasz Steven to całkiem inna para kaloszy... Miał więcej dziewczuch, niż w życiu zjadł obiadów; i na razie nie ma znaku, żeby się zamierzał ustatkować — parsknęła jego matka niby to gniewnie, ale po jej błyszczących oczach poznałam, że jest niezwykle dumna ze swojej najmłodszej latorośli.

Kiedy wyszła za męża, jak mi opowiedziała, zamieszkała z nim w małej miejscowości Pond Wood niedaleko Kirkby, ale po kilku latach przeniosła się z powrotem do Bootle do swojej matki, kiedy umarł jej mąż, a tata Stevena.

— To właśnie w Pond Wood poznałam twoją mamę — opowiadała. — Pracowała tam na stacji. Kiedy tylko przeczytałam w gazecie, co się stało z twoim ojcem, wiedziałam, że musiała mieć jakiś poważny powód. Twoja mama to dusza nie człowiek, nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Moja matka robiła wrażenie zażenowanej.

Jakiś głos z przeszłości zawołał we mnie nagle: „Ty kurwo!”. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek nadejdzie taki dzień, kiedy matka wreszcie mi opowie, co się dokładnie wydarzyło tej nocy, kiedy mój ojciec przeniósł się do świata umarłych.

W programie były występy trzech zespołów; The Umbrella Men" mieli grać jako drudzy. Pierwszy zespół zrobił na mnie piorunujące wrażenie, ale Susan i moja matka stale popatrywały na siebie i przewracały oczami, okazując wyraźnie, że są do chrzta.

W zespole The Umbrella Men grali dwaj gitarzyści, perkusista i pianista. Główny gitarzysta ustawił się tuż przy mikrofonie i rozglądał po publiczności, raz po raz

zdmuchując spadającą mu na oczy przydługą grzywkę, aż dostrzegł w końcu Susan i natychmiast jego twarz się rozpromieniła.

Susan stuknęła mnie pod żebro, po czym szepnęła:

— To on! To nasz Steven.

Spojrzenie Stevena powędrowało ku mnie — znowu się uśmiechnął. Poczułam, że robi mi się gorąco, jakbym doznała jakiegoś niezwykłego błogosławieństwa. Wpatrywałam się w niego jak głupia nastolatka, w nadziei na kolejny uśmiech, ale teraz był zajęty strojeniem gitary i podawaniem publiczności, czego się ma spodziewać w ciągu najbliższej godziny.

— Parę piosenek napisanych przez Pete'a, tego przy perkusji, i Alfa, naszego pianisty, kilka utworów Jerry'ego Lee Lewisa, a po nich jeszcze parę kawałków naszego własnego autorstwa : Jerry'ego i niżej podpisanego. — Rozległ się radosny okrzyk Susan. — Serdeczne dzięki, mamó. Jesteś the best! — Publiczność ryknęła śmiechem, a on ciągnął dalej: — Nie będzie przerw pomiędzy numerami, więc lepiej nie klaszczcie, dopiero kiedy skończymy, okay?

Czuł się na scenie jak ryba w wodzie, mówił swobodnie do mikrofonu, jak stary wyjadacz. Akcent miał raczej z Lancashire niż z Liverpoolu. Cofnął się o krok i zaczął grać. Przyglądałam mu się uważnie.

Nie był zbyt wysoki — mógł mieć najwyżej metr siedemdziesiąt pięć. Ubrany był w mocno sfatygowaną kurtkę z czarnej skóry, czarne dżinsy i taką koszulkę. W lewym uchu błyszczał mu złoty kolczyk, a złotawobrazowe włosy — chyba dawno ich nie cesał — opadały mu na ramiona. Był przystojny na chłopięcy sposób i wyglądał raczej na dwudziestolatka aniżeli na mężczyznę, który skończył już trzydzieści jeden lat. Mówiąc bez ogródek, nie był typem faceta, za którym poszłabym na koniec świata. Czy mi się podobał? W przeszłości zdecydowanie unikałam takich mężczyzn jak on. Ja byłam zbyt nieśmiała, oni natomiast zbyt otwarci, jak na mój gust.

Nie wiedziałam, co mam myśleć. Ktoś mi kiedyś opowiadał, że kiedy moja matka poznała ojca, była to miłość od pierwszego wejrzenia, że to się stało „ot, tak!”. Ten ktoś przy tym strzelał palcami, mówiąc: „Ot, tak!”.

To był wujek Harry! On przecież naprawdę przy tym był.

Miałam wtedy chyba szesnaście lat. To były jego urodziny i trochę za dużo wypił. Pamiętam, jaki był wtedy smutny. Aż żal było patrzeć. Choć w gruncie rzeczy — pijany czy trzeźwy, wujek Harry nigdy nie wyglądał na szczęśliwego.

Steven Conway śpiewał teraz o tym, jak to jest być zagubionym. Był sam i nie mógł znaleźć wyjścia z ciemności, szukał rozpaczliwie światła. Jego głos brzmiał miękko i bardzo smutno. Nagle publiczność zaczęła bić brawo, wydając głośnie okrzyki zachwytu. Prawie nic nie słyszałam. Susan klaskała z takim zapalem, że chyba ją rozboleły ręce.

The Umbrella Men zeszli ze sceny i nastąpiła przerwa. Wstałyśmy od stolika i powędrowałyśmy przez Mathew Street do Le Beats, kawiarni, do której Steven miał zaraz przyjść. Dziś, kiedy byliśmy w Cavern, zupełnie zapomniałam o Robie, chociaż od pewnego czasu rzadko przestawałam o nim myśleć.

Matka spytała, czy chłopcy z The Umbrella Men są w stanie utrzymać się z muzyki, czy też gdzieś pracują w ciągu dnia.

— Och, raz pracują, raz nie, to u nich takie jo-jo — odparła Susan. Chyba była z tego raczej zadowolona, jakby się jej podobało, że ma takiego niekonwencjonalnego syna. — Jeżeli im się coś trafi na drugim końcu kraju albo jakieś przesłuchanie, prawie zawsze blisko Londynu, to zaraz wszystko rzucają w diabły i jadą. Niektóre firmy się na to godzą, inne nie. Ale jeśli jeden czy dwóch pracuje, wtedy pomagają innym, aż tamci znajdą sobie jakieś zajęcie.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Steven Conway z gitarą na plecach. Obdarzył promiennym uśmiechem wszystkich gości po kolei, po czym usiadł na krześle tuż za mną, schylił głowę, tak że poczułam jego oddech na uchu i powiedział:

— Cześć.

— Witaj — bąknęłam. — To znaczy, cześć.

Jego matka nas usłyszała.

— To jest Pearl, dziewczynka Amy — wyjaśniła — Pracuje jako nauczycielka.

— Założę się, że mogłabyś mnie nauczyć paru rzeczy — zachichotał Steven.

Nerwowo przełknęłam ślinę.

— Wątpię...

Nie mogłam wymyślić ani jednej rzeczy, której mógłby się nauczyć; w każdym razie nie ode mnie.

Przy sąsiednim stole siedziała mocno umalowana dziewczyna z jasnymi włosami, w minispódniczce sięgającej ledwie do połowy ud. Na pewno była w jego typie. Dużo



bardziej niż ja w swoich dzinsach i z delikatnym makijażem. Mogłabym się założyć, że akurat ona nauczyłaby go z chęcią paru rzeczy.

Podobnie jak w Cavern, czas upływał niepostrzeżenie. Widziałam tylko twarz Stevena przy mojej. Zadawał mi pytania na temat mojej pracy i ulubionej muzyki, opowiadał o miejscach, w których był z The Umbrella Men — takich jak Australia i Kanada czy Niemcy — jak tam kiedyś prawie że podpisali kontrakt na nagranie, ale ten gość, który ich przesłuchiwał, następnego dnia wyleciał z pracy.

Moja matka i Susan gawędziły z ożywieniem, od czasu do czasu jednak podchwytywałam niespokojne spojrzenia matki, które rzucała mi ukradkiem. W każdym razie tak mi się wydawało.

Uczucie gorąca, które mnie przedtem ogarnęło, nadal się utrzymywało. Mój Boże, co się ze mną dzieje? Oddychałam szybciej niż zwykle i czułam bicie własnego serca. Chyba mogłabym tak siedzieć do końca życia, nie poruszając się i słuchając głosu Stevena. Ale to nie było możliwe, niestety... Życie musiało toczyć się dalej.

Wszyscy podnieśli się z miejsc — i ja za nimi. Na dworze moja matka i Susan poszły przodem. Steven zaprosił mnie na spotkanie. Zgodziłam się — właściwie bez namysłu. Grał w Cavern w porze lunchu w sobotę i potem drugi raz wieczorem. Powiedział, że moglibyśmy pomiędzy występami gdzieś wyskoczyć. Nie pytałam, dokąd.

Nie odprowadził mnie do mojego samochodu, aie oddalił się kowbojskim krokiem ze swoją matką, podczas gdy ja nalegałam, że odwiozę moją do domu.

— Czy Steven zaprosił cię na randkę? — spytała, kiedy wyjeżdżałyśmy z parkingu.

— Tak.

W głębi duszy podejrzewałam, że za chwilę usłyszę jakiś wykład albo matczyną dobrą radę, żebym była ostrożna, nic takiego jednak się nie stało.

Jechałyśmy przez Bootle, kiedy spytałam matkę, czy ma zamiar mieszkać do końca życia z ciocią Cathy.

— Na litość boską, nie! Kocham Cathy całym sercem, ale czasem doprowadza mnie do szału. Ta kobieta jest jak katarynka. W ogóle nie przestaje mówić. — Wyrzała przez okno i popatrzyła w słońce, które teraz zachodziło na letnim, błękitnym niebie. — Nie, Pearl. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie będę mieszkać ani co będę robić, kiedy już się przyzwyczaję do życia poza więzieniem.

— Czy to znaczy, że mogłabyś wyjechać z Liverpoolu? — Uznałam ten pomysł za raczej przykry.

— Szczerze ci mówię, że nie wiem, Pearl. Słuchaj — powiedziała, zwracając ku mnie twarz. — Teraz, kiedy jesteśmy tylko we dwie, może chciałabyś mi zadać jakieś pytania dotyczące twojego ojca?

— Nie... to znaczy chyba innym razem... — wyznałam szczerze. — Wolałabym o tym rozmawiać nie wtedy, kiedy prowadzę. Najlepiej w jakimś spokojnym miejscu. — Poza tym nie byłam jeszcze gotowa. Choćbym nie wiem jak się starała, nie byłam w stanie wymyślić żadnego pytania poza jednym: „Dlaczego mój ojciec nazywał cię kurwą?”. Charles twierdził, że nie miał do tego żadnego powodu, ale ja i tak chciałabym o to zapytać.

TLR

# Rozdział 18

1945-1951

*Amy*

W tym czasie, kiedy na świat przyszła Pearl, Barney wrócił już właściwie do normalności. Przyzwyczał się do mieszkania w bungalowu i wiele czasu spędzał na kopaniu w długim ogrodzie. Nigdy niczego nie sadił, tylko całymi godzinami przewracał grudy ziemi. Kiedy skończył, zaczynał na nowo przewracać tę samą ziemię.

Pearl od pierwszej chwili była dobrym dzieckiem. Amy kładła ją do łóżeczka, po czym sama siadała na białym wyściełanym krzeselku w dzieciennym pokoju i przyglądała się, jak jej śliczna córeczka zasypia, jak mruga oczkami, zanim na dobre je zamknie, jak jej długie rzęsy się uspokajają i tylko poruszają się leciutko na gładkich jak jedwab, kremowych policzkach.

Kiedy Barney wracał z pracy do domu, też siadał na białym krzeselku, podczas gdy Amy szykowała podwieczorek.

— Gotowe, kochanie — mówiła szeptem, wchodząc do pokoju, zadowolona, że może rzucić jeszcze raz spojrzenie na Pearl, zanim siądą razem z mężem do jedzenia.

Amy uważała, że Barney jest zachwycony podobieństwem jego córki do niego — dumnego ojca — ale trzyma to w tajemnicy. Spodziewał się, że ich dziecko będzie miało jasne włosy i niebieskie oczy, tak samo jak jego żona, tymczasem początkowo niebieskie oczy Pearl zmieniły się w końcu w jasnobrązowe, takie jak jego; miała też takie same ciemne i gładkie włosy. Na fotografii z czasów jego niemowlęstwa widniał uroczy bobas z odrobinę wystającą bródką i zadartym noskiem.

To Barney przypadkowo wybrał imię dla córeczki. Amy skwapliwie je podchwyciła, jak zresztą wszystko, co mogło mu sprawić przyjemność i stłumić głęboką gorycz i pesymizm, z jakim postrzegał świat, od kiedy wrócił z Niemiec. Amy modliła się każdego dnia o to, żeby ten ponury nastrój wreszcie go opuścił.

Imię „Pearl” nie widniało wprawdzie na liście męskich i kobiecych imion, którą Amy miała w głowie, ale kiedy Barney pojawił się na oddziale położniczym prywatnego szpitala w Princes Park i zobaczył swoją nowo narodzoną córeczkę, która miała skórę jasną i lśniącą, uśmiechnął się z czułością i powiedział, że przypomina mu perłę.

— Wobec tego tak ją nazwijmy: Pearl — zgodziła się szybko Amy.

Właściwie to imię bardzo się jej spodobało. Było niezwykle, ale nie aż tak niezwykle, żeby zwracało uwagę. Pewna kobieta w szpitalu, która też urodziła córkę, dała jej na imię Scarlett na cześć Scarlett O'Hary z filmu *Przeminęło z wiatrem*.

— Biedne dziecko — mówili ludzie. Każdy wie, skąd takie imię.

„Pearl” było po prostu doskonałym imieniem.

\* \* \*

Przez osiemnaście miesięcy od urodzenia Pearl życie toczyło się tak normalnie, jak to tylko było możliwe.

Amy i jej teściowa ogłosiły wreszcie zawieszenie broni. Ów rozejm spotkał się z wieloma oporami nie tylko ze strony Amy, ale i pani Patterson. Nigdy nie rozmawiały na ten temat. Amy zawsze bardzo się starała, żeby unikać przebywania sam na sam z teściową. Było to na wskroś uzasadniona taktyczna zagrywka — nieufna zarówno wobec niej, jak też samej siebie, nie miała pewności, czy zdołają utrzymać języki na wodzy. Leo, dobrze zorientowany w sytuacji, robił wszystko, żeby zapewnić spokojną atmosferę w rodzinie.

Nie było nic dziwnego w tym, że Elizabeth Patterson nie chciała uczestniczyć w chrzcie Pearl. Żądać od niej, żeby patrzyła, jak jej jedyna wnuczka otrzymuje chrzest z rąk katolickiego duchownego, to byłoby stanowczo zbyt wiele dla kobiety, która była do szpiku kości protestantką, omijającą szerokim łukiem, wszystko, co katolickie.

Chrzest był jednak wielką radością dla Moiry Curran, drugiej babki Pearl, bo dowodził, że życie po wojnie powraca nareszcie do normalności.

Moira była teraz sześć lat starsza, a troje z jej czworga dzieci miało już własne rodziny i domy. Biddy też wyszła a mąż, ale razem z mężem mieszkała z matką do czasu, aż znajdą sobie jakieś gniazdko.

Moira miała zatem zostać już niebawem sama w domu przy Agatę Street, na co była zresztą przygotowana.

Podczas wojny trzech rozmaici panowie proponowali jej małżeństwo. Wszystkim trzem dała kosza. I nic dziwnego. W swoim życiu kochała tylko jednego mężczyznę, który zmarł, kiedy ich dzieci były jeszcze małe. Teraz miała naprawdę dobrą pracę w salonie sprzedaży paliw na Stanley Road i chciała spędzić resztę życia z duchem człowieka, którego kochała — i z wnuczętami, które w końcu zaczęły przychodzić na świat.

\* \* \*

Barney pracował w firmie ojca w Skelmersdale, martwił się jednak, że Harry jest przez ojca odsuwany permanentnie na boczny tor.

— To po prostu skandal. Tata w niego nie wierzy. Traktuje go jak idiotę — powiedział pewnego wieczoru do Amy, trzęsąc się z oburzenia.

Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu Amy stwierdziła, że jest bodaj jedyną osobą, której Leo Patterson był gotów posłuchać.

— Jeżeli Barney to zauważył — perswadowała teściowi — to inni na pewno też. A to na pewno nie przysporzy Harry'emu popularności. Ludzie nie będą mu ufać.

— Chcę, żeby Harry i Barney zostali dyrektorami firmy — warknął — ale Harry nie wykazuje inicjatywy. Bardzo powoli chwyta, o co chodzi w tej branży.

— Harry — przerwała mu z gniewem Amy — był na wojnie od chwili, kiedy wybuchła, a zdemobilizowano go długo po jej zakończeniu. Był pod Dunkierką i brał udział w desancie D-Day. Walczył na pustyni, a poza tym przeszedł całą drogę przez Europę, aż Niemcy się poddali. Powinieneś być dumny ze swojego syna, zamiast na niego narzekać! Harry jest jak koń pociągowy. Po prostu niezmordowany. Robi to, co sobie postanawia. A jeśli nawet, jak twierdzisz, „powoli chwyta”, to naprawdę nie ma znaczenia, bo w końcu to robi.

Leo się roześmiał.

— Pani Patterson, jest pani typowym przykładem starej głowy na młodych barkach. Zapamiętam, co powiedziałaś, i obiecuję, że od dziś będę się odnosił z większym respektem do Harry'ego. Zadowolona?

Patrzyła na niego, niepewna, czy żartuje, czy nie.

— Naprawdę mam taką nadzieję — powiedziała z groźną miną, a Leo znowu się roześmiał.

\* \* \*

Wszystko powoli się układało, aż do tego wieczora, kiedy do Barneya przyszedł ten mężczyzna.

Do tej chwili ich życie toczyło się według niezmiennego schematu. Obiad z rodziną Barneya i podwieczorek z rodziną Amy co drugi weekend. Benzyna nadal była na kartki, ale kierowcy mieli zapewnioną podstawową ilość paliwa. Powoli wyprowadzano auta z garaży i ogródków, w których trzymano je podczas wojny, po czym trzeba je było naprawić, żeby dalej służyły właścicielom.

Barney jeździł teraz co kilka tygodni do Pond Wood, gdzie w małym gospodarstwie mieszkała Jacky z Peterem oraz ich nowo narodzonym synkiem; Barney zabierał ze sobą mamę Amy. Czasami wpadali zobaczyć się z Charliem i Marion w Aintree, chociaż Marion nigdy nie witała ich zbyt gorąco.

Kiedy ten człowiek przyszedł, był wrzesień, dziwny wczesno- jesienny dzień. Gęsta, trująca mgła spowiła żółtawym oparem Liverpool, a w powietrzu unosił się zapach spalenizny, jakby gdzieś niedaleko wybuchł pożar. Kiedy Amy otworzyła drzwi, słysząc ciche pukanie, była pora podwieczorku.

Mężczyzna był elegancko ubrany w płaszcz z wielbłądziej wełny, na głowie miał filcowy kapelusz w kolorze ciemnego orzecha. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat i był dość przystojny, chociaż niezbyt męski.

— Czy tutaj mieszka Barney Patterson? — spytał uprzejmie, zdejmując kapelusz. Miał cudzoziemski, ale ledwie wyczuwalny akcent.

Amy skinęła głową. Posadziła gościa w salonie, przepraszając, że nie jest tam zbyt ciepło, ale wytłumaczyła, że karmi swoje maleństwo w innym pokoju. Pearl miała skłonności do wyprawiania najrozmaitszych brewerii, kiedy karmiono ją łyżeczką, i ten wytworny gość mógłby z łatwością zostać ochlapany tartą marchewką albo jabłuszkami. A nie wyglądał na takiego, któremu by się to podobało.

Kiedy wróciła, Barney właśnie zabierał się do jej karmienia ze ścierką zatkniętą przezornie pod brodą. Udawał, że łyżka to samolot — a może osa — poruszając nią w powietrzu i bucząc miarowo, aż zawartość lądowała w buzi Pearl, która albo ją połykała... albo nie.

— Masz gościa — powiedziała Amy. — Czeka w saloniku.

— Jak się nazywa?

— Nie pytałam, przepraszam. Może teraz ja się nią zajmę, a ty pójdziesz do niego?

Wzięła łyżeczkę, ściągnęła z Barneya ścierkę i zajęła się podawaniem Pearl reszty podwieczorku, zupełnie nieświadoma tego, że w saloniku dzieje się coś, co na zawsze zmieni jej życie.

\* \* \*

Mężczyzna siedział na brzegu pokrytej lnianą kapą sofy, obok niego leżał kapelusz. Opierał się o gobelinowe poduszki, które były podarunkiem od matki Barneya na ostatnie Boże Narodzenie.

Kiedy Barney wszedł, gość zerwał się na równe nogi i podszedł do niego z wyciągniętą ręką, z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Cześć, kolego. Teraz, kiedy ta cholerna wojna już się skończyła, możemy się przywitać w bardziej cywilizowany sposób.

To był Franz Jaeger, tłumacz z zamku w Bawarii.

Barney zamrugał oczami, przekonany, że widzi coś, co może być tylko halucynacją. Ale nie — ten mężczyzna naprawdę tu był! Barney zamknął szybko drzwi, na wypadek gdyby Amy coś słyszała.

— Co tutaj robisz? — wychrypiał nieswoim głosem, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę.

— Pomyślałem, że mógłbym się z tobą zobaczyć. Taka towarzyska wizyta. — Wydawał się raczej zmartwiony, że Barney nie podaje mu ręki. — Chyba ci mówiłem, że przed wojną pracowałem w firmie Mercedes-Benz na Mayfair? — Popatrzył na Barneya, jakby czekając, że ten potwierdzi ów fakt. Na próżno. — Kiedy wojna się skończyła, wróciłem do Londynu, co prawda nie do tej samej pracy, ale i tak byłem szczęśliwy, że znów tu jestem.

— Mam to gdzieś. Spytałem cię, co tutaj robisz? — Barney dyszał z wściekłości.

— Przecież już mówiłem... pomyślałem, że chętnie się z tobą zobaczę. Właśnie jestem w drodze do Irlandii... z przyjaciółmi; akurat przejeżdżaliśmy przez Liverpool. Pamiętałem, że tu mieszkasz, i znalazłem twój adres w książce telefonicznej. — Zmarszczył brwi, najwyraźniej poczuł się urażony. — Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi. Podczas tych nieszczęsnych lat, które nas ze sobą złączyły, regularnie zaopatrywałem cię w papierosy. Już zapomniałeś? Nienawidziłem wojny tak samo jak ty.

Barney opadł na jeden z foteli, pokrytych błękitną lnianą tkaniną. Teraz chętnie by zapalił, ale ostatnio drastycznie ograniczył palenie i nie miał w domu ani jednego papierosa.

— Po tym, co się wydarzyło, jesteś ostatnim człowiekiem, którego chciałbym oglądać.

— Co takiego się wydarzyło? Masz na myśli tę... sprawę z komendantem? Ale... niby dlaczego miałyby cię to przygnębiać? Opowiadał mi przecież, że nie miałeś żadnych oporów. Wręcz przeciwnie, bardzo się podobno starałeś i naprawdę sprawiało ci to przyjemność...

Barney miał wrażenie, że z jego ciała odpływa cała krew.

— Ależ to... idiotyczne!

Zdawał sobie sprawę, że to zbyt słabe słowo, ale w tej chwili nie mógł wymyślić nic mocniejszego. „Oburzające” byłoby lepszym określeniem. Najchętniej cisnąłby mu w twarz jakieś szkaradne przekleństwo.

— Słuchaj — powiedział z całym spokojem jego gość. — Przed domem czeka na mnie taksówka. Moi koledzy są teraz w barze w hotelu Adelphi. Może pojechałbyś ze mną. Napijemy się razem czegoś mocniejszego...

— Czy ci twoi koledzy to homoseksualiści?

Oczy Franza Jaegera się zwięzły; popatrzył z zadumą na Barneya.

— Tak, w gruncie rzeczy tak — podobnie jak ja i ty, z tą różnicą, że ty nie chcesz się do tego przyznać. Właśnie dlatego mój widok tak cię przygnębił, nieprawdaż?

— Mam żonę i dziecko — warknął Barney. — W żaden sposób nie przypominam ani ciebie, ani twoich przyjaciół.

— Przecież można kochać i mężczyzn, i kobiety. Pułkownik Hofacker też miał żonę. — Gość podniósł się z kanapy. Wyglądał na rozżalonego. Chyba nie takiego przyjęcia oczekiwał. — Tak mi przykro. Nie przyszłoby mi nawet do głowy składać ci wizytę, gdybym wiedział, że tak to przyjmiesz. Naprawdę przepraszam i mam nadzieję, że znajdziesz szczęście w życiu... z żoną i dzieckiem. — Wziął kapelusz. — *Auf wiedersehen*, poruczniku. Zostawiam wizytówkę, na wypadek gdybyś kiedyś zechciał się do mnie odezwać. — Machnął ręką, kiedy Barney zrobił ruch, jakby chciał się podnieść. — Nie trzeba. Znajdę drogę do wyjścia.

Wyszedł z pokoju, a po kilku sekundach słychać było, jak zamyka za sobą frontowe drzwi.

Barney wziął do ręki małą, białą karteczkę, którą gość położył na półce nad kominkiem, i podarł ją z wściekłością na strzępy, po czym wrzucił je do paleniska, dopiero co troskliwie przygotowanego przez sprzątaczkę, panią MacKay, tak że wystarczyło tylko zapalić zapałkę na wypadek niespodziewanych gości.

Potem poszedł z powrotem do Amy i Pearl.

\* \* \*

Jeszcze najlepsze ze wszystkiego było milczenie, milczenie „humorzaste”, które ciągnęło się czasem całymi dniami, a nawet tygodniami.



Amy wtedy mówiła o wiele za dużo, byle tylko wypełnić te długie okresy ciszy, podczas których aż zbyt wyraźnie słyszała tykanie ściennego zegara, swój własny oddech i jakieś ciche popiskiwanie dobiegające z dworu, kiedy robiło się ciemno i ptaki układały się do snu.

Awantury też ciągnęły się tygodniami.

Nic, co Amy zrobiła czy powiedziała, nie było takie, jak trzeba. Jedzenie było za gorące albo za zimne, rozgotowane albo surowe, niedosmażone albo przypalone. Kiedy próbowała uspokajać męża, używała do tego nieodpowiednich słów.

Ulgą bywały wieczory, kiedy Barney jechał do miasta i zjadał samotnie kolację w jakiejś restauracji. Kiedy wracał do domu, zawsze starała się leżeć już w łóżku, a gdy kładł się obok, udawała, że śpi.

Prawie się już nie kochali, a nawet gdy to robili, panowało między nimi jakieś skrepowanie, jakby byli sobie obcy.

Wreszcie bywały chwile, kiedy Barney przeproszał, że traci cierpliwość, prosił, żeby wyrzuciła z pamięci, że powiedział jej to czy tamto. Twierdził, że nie wie, jaki diabeł w niego wstąpił. Było mu przykro, tak bardzo, bardzo przykro. Przysięgał, że już nigdy więcej... i pytał, czy Amy mu wybaczy.

Zawsze wybaczała, ale to nie powstrzymywało Barneya od dalszych zachowań w takim samym stylu i rytmie: milczenie, awantury, błaganie o wybaczenie. Palił coraz więcej. Dochodził do sześćdziesięciu papierosów na dzień.

Zdecydowanie odmówił pójścia do lekarza. Leo radził się swojego przyjaciela, doktora Shearda, który z kolei skonsultował się z psychiatrą. Tamten powiedział, że nie jest w stanie wydać jakiegokolwiek opinii bez porozmawiania z Barneyem. Można było tylko przypuszczać, że lata spędzone w obozie jenieckim w jakiś sposób wpłynęły na jego umysł, że jakoś go wypaczyły.

— Prócz tego podejrzewa, że Barney jest bardziej podatny na załamania psychiczne, niż myśleliśmy — relacjonował doktor Sheard.

— Nigdy bym w to nie uwierzył. — Leo potrząsał głową ze zdumieniem.

Amy nigdy dotąd nie zastanawiała się nad stanem psychicznym Barneya — ani nikogo innego. Dla niej Barney był zawsze człowiekiem bardzo silnym, odpornym na porażki — pod każdym względem, chociaż... Pamiętała czas wojny, kiedy wymykał się z domu bladym świtem, byle tylko nie musieć się z nią żegnać.

Czy to był dowód na jego skłonność do załamań psychicznych?

Z jednego ze swoich długich okresów milczenia otrząsnął się pewnego dnia, zarzucając Amy sypianie z innymi mężczyznami. Wtedy po raz pierwszy zasugerował coś takiego.

— Barney! — krzyknęła. — Co za okropne rzeczy opowiadasz!

— Ale to prawda, czy nie tak? — Oczy mu zapłonęły. — Jesteś kurwą.

— Jak śmiesz tak mówić? — Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Tak właśnie nazwała ją jego matka, kiedy spotkały się pierwszy raz. — Nigdy nie byłam ci niewierna — i nigdy nie będę.

Jakby się zastanawiał nad jej odpowiedzią; trwało to co najmniej pół minuty. Wiedziała, że próbuje znaleźć powód swojego oskarżenia.

— Nie wierzę, że nie sypiałaś z innymi, kiedy mnie tu nie było. Tyle lat... — rzekł wreszcie ponuro.

— Wierz sobie, w co chcesz, Barney, ale ja i tak wiem swoje. Nigdy tego nie zrobiłam. — Zwykle znosiła jego humory, ale tym razem naprawdę się rozgniewała. Stanowczo posunął się za daleko. — Jeżeli jeszcze raz powiesz coś podobnego, z miejsca zabieram Pearl i przenoszę się do mamy!

Natychmiast zaczął ją przeproszać.

— Przecież nie mógłbym żyć bez ciebie — jęczał. — Jeśli odejdziesz, umrę. Potrzebuję cię, kochana moja! Potrzebuję cię teraz o wiele bardziej, niż kiedykolwiek przedtem.

— Ależ oczywiście, że cię nie porzucę — zapewniła go szybko.

Wzięła go w ramiona. Czuła, jak Barney drży. Był chory, najwyraźniej bardzo chory, a ona przecież przysięgała być przy nim „w zdrowiu i w chorobie”. Za nic w świecie nie mogłaby się zdobyć na porzucenie swojego ukochanego Barneya.

Cathy Burns ukończyła kurs nauczycielski w Kirkby i teraz była już wykwalifikowanym pedagogiem. Kupiła samochód i wynajęła niewielkie mieszkanie na Upper Parliament Street. Pierwszą pracę dostała w szkole w Toxteth. Po pracy często zaglądała do Amy.

Amy jeszcze nigdy tak bardzo się nie cieszyła z tej przyjaźni. Na ogół udawało się jej wyrwać z domu na parę godzin, jednak zdarzały się dni, kiedy Pearl była zaziębiona albo ona sama nie czuła się najlepiej, albo padało... To była prawdziwa radość — zobaczyć się z Cathy po wszystkich tych godzinach spędzonych w domu tylko w towarzystwie dziecka. Oczywiście, im Pearl była większa, tym bardziej się robiła się mądrzejsza — i komunikatywna, ale Amy nie mogła przecież z nią rozmawiać o oskarżeniach, jakie rzucał jej w twarz Barney zeszłego wieczoru, ani mówić, że podejrzewa, iż ojciec spotyka się z inną kobietą.

— Jezusie Maryjo! — jęknęła Cathy, kiedy Amy zwierzyła się jej ze swoich trosk. — Ale dlaczego tak myślisz?

Wyglądała bardzo sztywnie w czarnym kostiumie, pod marynarką miała kremowy sweterek, a na głowie modną krótką fryzurkę.

Amy opowiedziała jej ze szczegółami, co Barney mówi i robi. To, że mogła się zwierzyć komuś, kto ją zrozumie, było dla niej wielką pomocą i wsparciem. Prócz Cathy jej powiernikiem był Leo, niektórych rzeczy nie mogła jednak powiedzieć mężczyźnie. Leo telefonował prawie codziennie, żeby się dowiedzieć, jak Amy się czuje; zawsze odnosiła wrażenie, że w razie potrzeby byłby na każde zawołanie, chociaż teraz widywała go dużo rzadziej niż wtedy, w czasie wojny.

— W tym tygodniu Barney trzy razy wrócił do domu po pracy dopiero o wpół do dziewiątej czy o dziewiątej, dokładnie nie pamiętam — opowiadała Amy przyjaciółce — tymczasem Leo twierdzi, że Barney wychodzi zawsze o wpół do szóstej. A kiedy wraca, pachnie tanimi perfumami.

— A co mówi? Że gdzie był?

— W barze, i że pił. Może to i prawda. Czuć od niego whisky... albo brandy. — Amy ze znużeniem wzruszyła ramionami. — Nie odróżniam ich.

W gruncie rzeczy nie wierzyła, że Barney spotyka się z inną. Ten zapach tanich perfum pochodził zapewne od kobiety, która siedziała w barze obok niego.

Już naprawdę nie wiedziała, co zrobić ani co mówić, byleby tylko powrócił dawny Barney.

\* \* \*

Pewnego ranka, w sobotę, wstał z łóżka zły jak osa. Amy, nakrywając w kuchni stół do śniadania, słyszała, jak trzaskał drzwiami szafy i z hukiem zamykał szuflady.

— Dzień dobry — powiedziała pogodnie, kiedy wszedł.

Nie odpowiedział. Po prostu wziął filiżankę z herbatą, którą przed nim postawiła. Po chwili odstawił filiżankę na spodek i nagle jakby zwiądnął w jej oczach. Głowa i barki mu opadły, ramiona i ręce wisiały bezwładnie — jakby był manekinem.

— Och, Barney, kochanie, co ci jest?

Delikatnie położyła mu rękę na karku. To był ciągle jej Barney, mężczyzna, w którym się zakochała od pierwszego wejrzenia na molo w Southport prawie dziesięć lat temu. Przypomniła sobie cudowne chwile, jakie spędzali w mieszkanku przy News-ham Park, i ich „miodowy miesiąc” w Londynie.

Jak to się stało, że tamta bajka mogła się zmienić w to piekło, które było teraz?

Pearl wbiegła do kuchni i zatrzymała się w pół kroku, zaskoczona widokiem ojca, który zwykle, kiedy ona jadła śniadanie, był już w pracy. Ostrożnie obeszła stół i schwyciła matkę za spódnicę. \*

Amy dotychczas nie знаła u niej takiego gestu. Barney nigdy nawet palcem nie tknął swojej małej córeczki, był dla niej dobry i czuły, tymczasem dziecko najwyraźniej się go bało.

Gwałtownie się wyprostował i strząsnął rękę Amy ze swojej szyi.

— Nic mi nie jest. Zostaw mnie w spokoju.

Zerwał się i wyszedł. Po paru minutach usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Nie mógł pójść do pracy. W soboty fabryka była zamknięta.

Amy nakarmiła córeczkę, zjadła śniadanie, zmyła szybko naczynia, po czym zadzwoniła po taksówkę. Pani MacKay, która pomagała jej przy cięższych pracach domowych, w weekendy miała wolne.

— Basta! Mam tego dość — oznajmiła Amy małej Pearl. — Robimy sobie wolny dzień!

\* \* \*

Niedawno w Paryżu Christian Dior po raz pierwszy pokazał modę w stylu new look. Modne panie zamiast prostego, szytego na wojskową modłę ubioru nosiły teraz długie do pół łydki, kloszowe spódnice na suto marszczonych, wzdymających się hal-kach, bardzo wąskie w talii.

Niestety, Amy ostatnio prawie nie wydawała pieniędzy na stroje. Trudno jej było samej chodzić na zakupy. Wprawdzie jej matka zawsze z radością zajmowała się swoją małą wnuczką, ale pracowała na pełny etat i miała wolne tylko w sobotnie po-

południa, a wtedy Barney też nie szedł do pracy i Amy uważała, że powinna być w domu.

Miała wprowadzić parę sukienek w stylu new look, ale to bynajmniej nie było do-  
syć!

Dzisiaj wyjątkowo się nie martwiła, że musi ciągnąć ze sobą Pearl do miasta. Jej córeczka też powinna dostać kilka nowych strojów; tymczasem Barney swoim zachowaniem zepsuł ten dzień, a to nie było w porządku.

Jak na dziecko, które jeszcze nie miało czterech lat, Pearl traktowała modę bardzo poważnie. Najwidoczniej miała to po swojej szykownej mamie... Koniecznie chciała przymierzać sukienki i płaszczyki, zanim je kupiono, i przyglądała się sobie w lustrze, obracając się w różne strony, by sprawdzić, czy ubranie dobrze wygląda pod każdym kątem.

— Czyż ona nie jest zabawna? — szepnęła sprzedawczyni w sklepie George Henry Lee's, kiedy obie z Amy patrzyły, jak dziewczynka mierzy zimową sukienkę w kolorze czekolady z koronkowym kołnierzykiem i mankietkami. Przyglądała się uważnie swojemu odbiciu w lustrze.

— Mamusiu, czy dostanę też nowe buciki?

— Jeśli chcesz, kochanie. Może kupimy kremowe? Będą pasować do koronki.

Pearl przyjrzała się swoim małym stopkom w lustrze.

— Kremowe będą bardzo ładne.

— Zaraz poszukamy w dziale obuwia. Kupić ci tę sukienkę?

— Tak, proszę. — Ostrożnie ściągnęła sukienkę przez głowę i stała teraz w białej jedwabnej haleczce i białych skarpetkach. Jej ciemnobrązowe włosy były związane w kitki białymi kokardami. — Lubię, jak mi kupujesz ubranka, mamusiu.

— I ja lubię ci je kupować, Pearl. — Uśmiechały się do siebie z pełnym zrozumieniem. Amy nigdy dotąd nie czuła tak serdecznej więzi ze swoją córeczką. Naprawdę były sobie bardzo bliskie. — Zawsze o tym pamiętaj, kochanie. Nowa sukienka to najlepsze lekarstwo dla kobiety, zwłaszcza jeśli ta kobieta jest nie w sosie i chce poprawić sobie humor.

— Święta prawda — potwierdziła sprzedawczyni. — Chociaż ja... no cóż, mogę sobie pozwolić co najwyżej na ceny z C & A, na pewno nie z George Henry Lee's.

\* \* \*

— Och, jakie to urocze — aż jęknęła Moira Curran, kiedy Amy pokazała jej jasno-kremowy kostium z tweedu z haftem w tym samym kolorze na kołnierzu żakietu i na brzegu kloszowej spódnicy.

— Kupiłam do tego bladoniebieską bluzkę — Amy przyłożyła bluzkę do piersi. — Jak myślisz, pasuje? — Była z grubego matowego jedwabiu, z błyszczącym kołnierzykiem i mankietami.

— Też jest cudowna — z podziwem rzekła Moira.

— No, to bardzo dobrze się składa, bo i tobie taką kupiłam, tyle że twoja jest różowa.

— Mogę ją dać babci? — wtrąciła się Pearl.

— Oczywiście, kochanie.

Amy wręczyła Pearl torbę z George Henry Lee's. Mała zsunęła się z krzesła i z powagą wręczyła prezent Moirze, która zaraz stwierdziła, że to najpiękniejsza bluzka, jaką miała kiedykolwiek w życiu.

— Kupiłam też nową sukienkę, a poza tym pantofle i torebkę. — Amy podniosła modną kreację w szaro-białą kratkę. Sukienka miała czarny pasek z lakierowanej skórki, idealnie pasujący do czółenek i torebki.

— Co cię naszło, kochanie? — spytała Moira.

— Jak to, co mnie naszło?

— To szaleństwo zakupów. Już dawno nie kupowałam nowych ubrań.

Amy pieczołowicie składała sukienkę, zanim schowała ją z powrotem do torby.

— Pewnie właśnie dlatego. Rzeczywiście, już dawno nie kupiłam sobie nic nowego.

— A dlaczego Barney z wami nie poszedł? Przecież zawsze chodził! Pamiętam, jak kiedyś mówił, że ogromnie się cieszy, pomagając ci wybierać nowe stroje.

— Barney gdzieś wyszedł — odparła Amy od niechcienia.

— Coś nie tak, kochanie?

Amy się odwróciła i spojrzała na matkę szeroko otwartymi oczyma.

— Bez obaw. Nic złego się nie dzieje, mamo.

— Nie poszłabyś ze mną do kuchni i nie pomogła mi zrobić herbaty? A Pearl będzie się tu dobrze bawić swoją nową książeczką do rysowania, prawda, słoneczko?

— Prawda, babciu. — Pearl była zajęta kolorowaniem truskawki czerwoną kredką.

— Przecież to jasne jak słońce, że coś jest nie tak — syknęła Moira, kiedy razem z córką znalazły się już w kuchni. — Coś jest nie tak i to już od bardzo dawna, mnie nie musisz mydlić oczu. Kiedy chowałaś te ubrania do torby, widziałam, jak ci się trzęsą ręce. No, mówże wreszcie! Poznałaś jakiegoś innego faceta? Czy to właśnie to?

— Nie, mam — odparła Amy z rozdrażnieniem. — Nie poznałam żadnego innego mężczyzny. Och, dobrze, powiem — zdecydowała. Nie było sensu zaprzeczać, że w jej małżeństwie źle się dzieje. — Pomiedzy Barneyem i mną nie jest już tak dobrze, jak było kiedyś, to tyle. Pobyt w tym obozie fatalnie na niego wpłynął. Myślę, że w końcu wszystko się unormuje. — Starła się, by zabrzmiało to przekonująco. — Takie sprawy zawsze się w końcu same rozwiązują.

— Mam nadzieję, kochanie. Już od dawna nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą, a Pearl sprawia wrażenie strasznie zmęczonej. Czy ona dobrze śpi?

— Też zauważyłam, że wygląda na zmęczoną, ale kiedy do niej zaglądam w nocy, zawsze śpi jak suseł.

Podeszła do drzwi kuchni i przyglądała się Pearl, która teraz gryzmoła na papierze zieloną kredką, kolorowała jabłko i wybrała sobie właśnie ten moment na przecieranie oczu piąstką i ziewanie.

Amy zawsze pilnie uważała, żeby drzwi do dziecinnego pokoju były dokładnie zamknięte, tak by Pearl nie mogła usłyszeć, jak jej ojciec obsypuje matkę wyzwiskami, oskarżając ją o wiarołomstwo i o inne haniebne występki, których rzekomo się dopuściła.

\* \* \*

U matki było tak miło i spokojnie! Amy naprawdę się cieszyła, że nie musi słuchać wywodów Barneya, kiedy znów jest w złym humorze, ani odczekiwać długich okresów jego milczenia, starając się myśleć o rzeczach, które powinna powiedzieć i zastanawiając się, czy nie będzie najlepiej, jeśli w ogóle nie będzie się odzywała.

Była dziesiąta. Pearl już mocno spała na górze w babcinym łóżku; przez całą ostatnią godzinę Amy próbowała zebrać siły, żeby podejść aż do Marsh Lane i zadzwonić po taksówkę. O tej porze Barney prawie na pewno będzie już w domu i bez wątplenia się domyśli, że Amy jest u matki. Powinna była mu zostawić kartkę, ale kiedy wycho-

dziła rano z domu, właściwie nie planowała pójść na Agatę Street; poza tym Barney nigdy się nie fatygował, żeby jej powiedzieć, że na przykład wróci późno do domu po pracy.

— Mogę zostać na noc? — spytała matkę. I tak będzie musiała zadzwonić do Barneya i powiedzieć, że dziś nie wróci do domu.

— Naturalnie, kochanie. Napijesz się kakao?

— Z przyjemnością. Dzięki, mamo.

Postanowiła, że zadzwoni do Barneya, kiedy już wypije w spokoju kakao.

Matka akurat wносиła tacę z filiżankami, kiedy rozległo się pukanie do drzwi, a ściśle mówiąc — nie było to pukanie tylko głośne walenie, jak młotem.

Moira postawiła tacę na stole i szybko poszła otworzyć.

— Cześć, teściówko! — beztrosko zawołał Barney. — Przyjechałem zabrać moją żonę i córeczkę. Rozumiem, że są tutaj?

— Tak, ale... nie spodziewaliśmy się ciebie, kochanie. — Głos matki lekko drżał. Być może i ona, podobnie jak Amy, czuła przez skórę, że jego beztroška nie jest prawdziwa. — Wejdz. Pearl już śpi na górze.

— Wobec tego zostawimy Pearl, odbiorę ją jutro. Ale chciałbym zabrać Amy, jeśli nie masz nic przeciwko temu, teściuniu.

— To nie ja mogłabym mieć coś przeciw temu, kochanie.

— Nie, Moiro, nie ty.

Barney wszedł do salonu. Płaszcz zwisał mu z ramion jak peleryna; wraz z nim wtargnęło do pokoju zimne powietrze. Za nim szła zaniepokojona Moira, pytając, czy nie napiłby się kakao.

— Nie, dziękuję — odparł niezwykle grzecznie. — Jesteś gotowa, Amy?

— Tak. — Zaczęła zbierać swoje zakupy, ale Barney zgarnął wszystko jednym ruchem, jak toból, i zaniósł do auta.

Zanim matka zdążyła wyjść przed dom i się pożegnać, samochód już odjechał z piśkiem opon.

\* \* \*



W drodze do domu nie zamienili ze sobą nawet jednego słowa. Amy wysiadła z auta, pozostawiając Barneyowi odprowadzenie go do garażu. Przeczuciwała, że wydarzy się coś strasznego, że jej zazdrosny mąż urządzi karczemną awanturę. Cieszyła się w duchu, że Pearl została u babci.

Nie była jednak przygotowana na to, co miało za chwilę nastąpić; na to, że Barney wpadnie jak burza do domu, stanie przed nią i krzyknie z szaleństwem w oczach:

„Żebyś mi się nigdy więcej nie ważyła tego zrobić!”, po czym uderzy ją w twarz z taką siłą, że ona upadnie na bok i uderzy głową w drewnianą poręcz fotela. Krzyknęła, a Barney padł przy niej na kolana i wybuchnął płaczem.

\* \* \*

Był przerażony, kiedy wrócił do domu i nie zastał żony. Myślał, że go porzuciła, a wiedział, że nie może bez niej żyć. Powiedział jej to już kiedyś. Bez żony i córki by oszalał.

Amy z pulsującą głową i lewym uchem tak piekącym i obolałym, że miała wrażenie, iż jest rozerwane na dwoje, zastanawiała się w panice, czy Barney istotnie nie oszalał. A może ona też oszalała, bo cokolwiek Barney zrobił, jak strasznie by się nie zachował, nic na tym świecie nie było w stanie zniszczyć jej miłości do niego. W każdym razie nie teraz, kiedy tak szlochał jak niemowlę w jej ramionach.

— Cccicho... szepnęła z czułością. — No, cicho...

\* \* \*

We wrześniu Pearl skończyła już cztery i pół roku i zaczęła chodzić do szkoły klasztornej w Brownlow Hill. Nosiła mundurek — malutki granatowy bezrękawnik, białą bluzkę z krawatem, zapinany sweterek i aksamitny kapelusz z pasiastą wstążką.

— Wyglądasz po prostu rozkosznie! — zawołała Amy, kiedy Pearl pierwszy raz szła do szkoły i tak się ubrała. Wprost idealna miniaturka uczennicy, bez dwóch zdań. Chociaż jak na swój wiek była bardzo wysoka i zaskakująco silna.

Amy chciało się płakać na samą myśl, że już nie będzie mogła oglądać swojej córeczki przez tyle godzin — aż do wpół do czwartej.

Ostatnio Amy zdała egzamin na prawo jazdy, zawiozła więc Pearl do Brownlow Hill swoim nowym morrisem minor.

Dzień był rześki i słoneczny, a liście na niektórych drzewach już się złociły. Kiedy wróciła do domu, wydało się jej, że kryzys został chyba zażegnany. To, że Pearl już

zaczęła szkołę, było początkiem nowej fazy w ich życiu. Barney zachowywał się ostatnio w miarę normalnie, Amy przez cały czas miała jednak wrażenie, że mąż głęboko się nad czymś zastanawia. Jako wieczna optymistka uważała, że odtąd wszystko będzie się dobrze układać. A kiedy już to nastąpi, z radością pomyśli o kolejnym dziecku. Rzadko się ze sobą kochali, ale być może i to się wkrótce zmieni na lepsze...

Tak było przez jakiś czas.

Pewnego dnia Pearl wróciła ze szkoły z gorączką i skarżyła się matce, że źle się czuje. Kiedy Amy położyła ją do łóżka, mała natychmiast zasnęła. Amy zatelefonowała do doktora Shearda, który obiecał przyjść za pół godziny. Kiedy Barney wrócił do domu, usiadł na łóżku córeczki i chłodził jej rozpaloną główkę zimnymi okładami. Amy siedziała z drugiej strony i czekała, aż przyjdzie lekarz. Pearl była dotąd zupełnie zdrowa — teraz po raz pierwszy poważnie zachorowała.

\* \* \*

— Ospa wietrzna! — oznajmił doktor Sheard po krótkich oględzinach małej pacjentki. — Wszędzie jej teraz pełno. Trzeba tylko od czasu do czasu delikatnie przykładac na krosty, kiedy się pojawią, roztwór kalaminy, dawać jej dużo do picia i trzymać w łóżku. Za parę dni poczuje się lepiej. Aha, i proszę jej włożyć rękawiczki. To bardzo ważne. Jeżeli zdrapie sobie krosty, zostaną jej blizny do końca życia.

Amy mu podziękowała i zaprosiła do łazienki, żeby umył sobie ręce.

— Jaki miły macie dom. Naprawdę przytulny — zauważył, rozglądając się dookoła, kiedy już był w korytarzu. — Nigdy tu przedtem nie byłem. Jedyne raz, kiedy panią widziałem poza szpitalem oczywiście, to było tamtego wieczoru... — westchnął — kiedy miała pani poronienie. Ale to było jeszcze w tamtym mieszkaniu na ostatnim piętrze...

— Co za poronienie? — spytał Barney, kiedy lekarz już wyszedł. — Znowu jakieś tajemnice...

Byli znowu w sypialni Pearl, siedząc po obu stronach jej łóżka. Amy miała nadzieję, że mąż nic nie słyszał. Nigdy mu nie opowiadała o poronieniu ani o tym, jak się wobec niej zachowała jego matka. Nie chciała mu sprawiać przykrości i niepokoić, kiedy jeszcze był na wojnie, a wydawało jej się bez sensu opowiadać o tym wszystkim wiele lat później, kiedy już wrócił do domu.

— To było w listopadzie, zaraz po twoim wyjeździe — odparła. — Byłam w dziesiątym tygodniu ciąży, ale straciłam to dziecko.

— Jak? Gdzie? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? — Wziął ją w krzyżowy ogień pytań, chciał znać każdy szczegół. — Czy doktor Sheard wiedział, że byłaś w ciąży?

— Nie. — Wyjaśniła mu, że poszła wtedy do jego matki. — Wiem, mówiłeś, że mnie nie polubi, ponieważ jestem katoliczką, ale sądziłam, że się ucieszy na wieść, że się spodziewam dziecka.

— I co powiedziała? — dopytywał się, nie spuszczać z niej oczu.

— Nie była szczególnie ucieszona moją wizytą. — Elizabeth Patterson nazwała ją wtedy „katolicką kurwą”, Amy uznała jednak, że gdyby mu o tym powiedziała, z pewnością nie poprawiłaby jego nastroju.

— A skąd wiedziałaś, że trzeba wezwać doktora Shearda? Nigdy go przecież nie poznałaś.

Nie podobał jej się ten dochodzeniowy sposób, w jaki zadawał pytania, jakby chciał ją przyłapać na jakimś kłamstwie. Poczula się tak, jakby zrobiła coś bardzo złego.

— To nie ja go wezwałam... Twój ojciec to zrobił. Jakaś kobieta z twojego domu... chyba gosposia zadzwoniła do niego i powiedziała, że byłam u twojej matki, wtedy twój ojciec przyszedł do naszego mieszkania. Całe szczęście, że to zrobił, bo właśnie wtedy straciłam dziecko.

Przez chwilę oboje milczeli, w końcu Barney spytał, wskazując głową Pearl:

— Będzie zdrowa?

— Będzie, na pewno. Ja też przeszłam ospę wietrzną, kiedy byłam mała, tak samo Jacky i Biddy.

Zerwał się tak nagle, że aż przestraszył Pearl, która zaczęła kaszleć i kręcić główką.

— Wychodzę tylko na chwilę. Zaraz wracam.

— Ale dokąd?

Nie odpowiedział, otworzył tylko drzwi frontowe i wybiegł z domu.

\* \* \*

Pearl obudziła się i chciała siusiu. Nie zgodziła się na nocnik, upierając się, że pójdzie sama. I rzeczywiście, chwając się, podreptała do łazienki, Amy poszła za nią.

— Kręci mi się w głowie — poskarżyła się mała.

W końcu znowu leżała ciepło opatulona w łóżku i zaraz zasnęła.

Amy zagotowała czajnik herbaty; przypomniawszy sobie, że cały wieczór nic nie jadła. Obrala ziemniaki i postawiła na ogniu. Zrobi kotlety z peklowanej wołowiny, kiedy Barney wróci do domu. Przed ich ślubem nigdy tego nie jadł, a teraz, polane brązowym sosem, były jego ulubioną potrawą.

Zastanawiała się, dokąd mógł pójść. W głębi duszy podejrzewała, że może do swojej matki. Modliła się, żeby tylko nie było awantury. Od czasu jej poronienia upłynęło już dziesięć lat — nie, jedenaste. Czy jest sens rozdrapywać teraz stare rany? Jej obecne stosunki z Elizabeth Patterson były bardzo, ale to bardzo kruche i byle co mogło je zburzyć.

\* \* \*

Barney wrócił dopiero po trzech godzinach. Było już prawie wpół do dziesiątej, a na dworze czarno jak smoła. Amy zaproponowała, żeby zjadł kotlety, ale odmówił. Zrobiła herbatę, ale nie chciał jej pić. Wzruszyła tylko ramionami. Wyciągnęła ze spiżarki masło i słoik dżemu truskawkowego, po czym ukroiła dwie kromki chleba. Uśmiechnęła się mimowolnie. To był doskonały pretekst, żeby zjadła swój ulubiony posiłek — chleb z dżemem — do herbaty, kiedy Barney rzekł nagle jakimś nieswoim, głuchym głosem:

— Mam ci coś do powiedzenia, Amy. Mogłabyś usiąść?

Z bijącym sercem szła za nim do salonu, gdzie za mosiężną kratą przed kominkiem płonął słaby ogień. Amy odsunęła kratę i już chciała dorzucić węgla do ognia, kiedy Barney powiedział tym samym głuchym głosem:

— Zostaw to na potem.

— Ale ogień wygaśnie — zaprotestowała.

— Powiedziałem, zostaw!

Miała ochotę dzielić go szuflą.

— Co się z tobą dzieje? — zapytała ostro, rzucając szuflę na palenisko wykładane kaflami, czego natychmiast pożałowała, bo szufla uderzyła w posadzkę z takim łoskotem, że mogła obudzić Pearl

To musiało mieć jakiś związek z jej poronieniem... i z jego matką. Co mu ta żmija mogła naopowiadać? Teraz, kiedy Pearl zachorowała, cierpliwość Amy była na wy-

kończeniu. Siadła na jednym z foteli. Skonstatowała, że właśnie na tym, o który się uderzyła, padając, kiedy Barney ją uderzył i przewrócił na podłogę.

— Byłem u matki — rzucił od niechcienia. — Powiedziała mi, że ty i mój ojciec w czasie wojny mieliście romans i że — być może — to trwa do dzisiaj.

Zerknął na nią ukradkiem. W przeszłości sam wymyślał oskarżenia, ale teraz nareszcie mógł jej zarzucić coś konkretnego; w każdym razie tak uważał, ponieważ wiadomość wyszła od jego matki. Ale czemu był z tego taki zadowolony?

Amy przymknęła oczy i nic nie odpowiedziała.

— Ona myśli, że mój ojciec się w tobie kocha.

Amy nadal milczała.

— Nie masz mi nic do powiedzenia? — spytał zimno.

— Nie mogę nic odpowiedzieć na takie wierutne brednie — odparła tym samym tonem, wstając. — Idę się napić herbaty. Nie mam najmniejszego zamiaru tu siedzieć i przez całą noc wysłuchiwać twoich obelg. Jesteś szalony i twoja matka też jest szalona.

Jak mogła pokochać mężczyznę, który się do niej tak odzywa? Jutro spakuje matki, zabierze Pearl i pojedzie na Agatę Street; zamieszkają z matką. Tym razem Barney posunął się za daleko.

Popchnął ją z powrotem na fotel.

— Czy to prawda?!

— Nie, Barney, to nieprawda. Nie miałam żadnego romansu z twoim ojcem. Dlaczego twoja matka tak długo czekała, żeby ci to wyjawić? Nie wiesz, to ja ci powiem. Ona po prostu szuka okazji, żeby nas poróżnić, Barney! — Próbowała się podnieść, ale nadal przyciskał ręką jej pierś do fotela. — To boli!

— Ile razy ze sobą spaliście, ty i mój ojciec? Dziesiątki razy? Setki razy? — szeptał z ustami przy jej uchu. — To on był ojcem tego dziecka? No, gadaj już!

Czyżby jego matka rzeczywiście coś takiego sugerowała?

— Nie mam zamiaru mówić nic na ten temat, Barney. To zbyt głupie i żalosne. — Odwróciła twarz, zdecydowana nie odpowiadać na dalsze idiotyczne pytania swojego męża.

Przesunął rękę na jej gardło i mocno przycisnął. Zakrztusiła się. Przerazona, zdołała go kopnąć w goleń. Oprócz tamtego jedyne go incydentu Barney nigdy nie stosował wobec niej przemocy fizycznej. Nacisk na jej gardło zelżał.

— Matka powiedziała, że bez przerwy przychodził do naszego mieszkania, że cię zabierał na obiady... Czy to prawda?

Usiadł na swoim fotelu, ale pochylił się do przodu, tak że ich kolana niemal się stykały.

— Przychodził tu, owszem, żeby sprawdzić, czy nic mi nie jest — zgodziła się. — Nigdy nie liczyłam, ile razy mnie odwiedził. Prawda, zapraszał mnie czasem na obiad. I co z tego? Przecież to nie znaczy, że miał ze mną romans!

Jak długo miał zamiar trzymać ją tutaj, uwięzioną w fotelu, bez możliwości wykonania najmniejszego ruchu?

Nie zasłoniła kotar w oknach i widziała, jak drzewa w ogrodzie na tyłach domu chwieją się, jak duchy, na tle ciemnego nieba. Musiał wiać silny wiatr. W sypialni łóżeczko Pearl zatrzeszczało — widocznie się obróciła. Zakaszła chrapliwie. Amy zadygotała z zimna. Ogień już ledwie się tlił. Za chwilę zgaśnie zupełnie.

Barney sięgnął w zamyśleniu za osłonę kominka i wydobył mosiężny pogrzebacz. Usiadł, trzymając go na kolanach. Powiedział powoli:

— Czytałem kiedyś w gazecie, że jakiś facet, były żołnierz, odkrył, że jego żona miała romans z sąsiadem, kiedy jego nie było w domu, bo walczył za ojczyznę. Zatlukł ją na śmierć, jak wściekłego psa, ale dostał tylko pięć lat. Sędzia uanał, że mąż został sprowokowany. Ciekaw jestem, co też by powiedział na żonę, która spała z własnym teściem?

— Nic, bo to nieprawda — odparła spokojnie.

Nie wierzyła, że Barney mógłby ją uderzyć pogrzebaczem. Zgrywał się tylko. Była to jednak obrzydliwa gra i Amy marzyła, żeby już przestał.

Patrzył na nią. W oczach miał łzy.

— Ty wiesz, kochanie, że naprawdę chciałbym cię zabić. Wtedy już nigdy więcej nie musiałbym z tobą spać.

— Barney, ależ ty wcale nie musisz ze mną spać! — westchnęła. Co za dziwna rozmowa. — Możemy mieć dwa łóżka, albo nawet zmienić pokój gościnny w sypialnię i jedno z nas może tam spać.

— To byłby niezły pomysł... Och Amy, kochanie, taki jestem zmęczony...

Głowa mu opadła na ramię i Amy w pierwszej chwili pomyślała, że zemdłał, ale on rzeczywiście zasnął. Pochyliła się do przodu i pogładziła go delikatnie po czole. Jej uczucia do niego oscylowały pomiędzy czymś zbliżonym do nienawiści a czystą, najprostszą miłością.

Amy się podniosła, wzięła pogrzebacz z jego kolan i włożyła do jednej z komód obok kominka. Sprawdziła, czy Pearl śpi — spała rzeczywiście, ale bardzo niespokojnie. Amy wyciągnęła pościel i poduszkę z bielizniarki i rzuciła na kanapę w gabinecie. Postanowiła, że dzisiaj będzie spać tutaj. Niech Barney śpi sam. Może jutro, kiedy przyjdzie do siebie, wyjaśni, dlaczego nie chce już więcej z nią spać.

W minutę była rozebrana, ale na razie usiadła na kanapie z głową opartą na dłoni i naciągnęła na siebie koc — było tu chłodniej niż w salonie. Czuła ulgę, że nie ma przy niej Barneya, serce waliło jej jak młotem.

Jutro już nie będzie tak pobłażliwa, taka pokorna. Stanie przed nim i będzie nalegać, żeby poszedł do psychiatry, a jeżeli odmówi, Amy mu zagrozi, że go porzuci. Tak, jak jest teraz, dłużej już być nie może. Musi zadzwonić do Leo i powiedzieć, co nagadała Barneyowi jego przecudowna Elizabeth.

\* \* \*

Leo Patterson gnał słabo oświetlonymi ulicami Liverpoolu. Nie mógł po prostu uwierzyć w to, co mu przed chwilą powiedziała Amy.

— Będę u was, jak tylko się da najszybciej — obiecał.

— Dokąd się wybierasz? — zagadnęła Elizabeth, kiedy brał kluczyki do auta i szedł w stronę wyjścia.

— Muszę się z kimś spotkać — odparł zdawkowo. Nie wiedział, że jego syn był tutaj wcześniej tego wieczoru.

— Ale jest wpół do jedenastej! — zaprotestowała. — Dopiero co przyszedłeś.

— To bardzo pilna sprawa.

— Czy chodzi o jedną z twoich kobiet? To do niej jedziesz — do kobiety?

Potrafiła w ułamku sekundy wpadać we wściekłość. Podeszła i położyła mu na ramionach swoje smukłe, białe dłonie. Paznokcie miały piękny kształt, teraz były pokryte błyszczącym białym lakierem. Przypominały ręce trupa.

Leo nic dotąd nie mówił Amy, ale stan umysłu Barneya był dokładnie taki sam jak jego matki. Śmierć jej własnej matki i brata w następstwie wybuchu bomby terrorysty sprawiła, że umysł Elisabeth uległ wypaczeniu. Taki sam zgubny wpływ miał na Barneya pobyt w obozie jenieckim.

— Powiedziałem ci, to pilne — odparł cierpliwie, zdejmując z ramion jej zaciśnięte ręce.

To prawda, miał inne kobiety — ba, dziesiątki kobiet. Ucieczka od Elisabeth od czasu do czasu w inne, bardziej miękkie, łagodniejsze ramiona była konieczna dla jego własnego zdrowia psychicznego.

Amy, żona jego syna, była właśnie taką kobietą, ale żadna siła nie zmusiłaby Leo do tknięcia jej nawet palcem, chociaż był w niej zakochany od dnia, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Należała do jego syna — i na tym koniec.

Podjechał pod ich dom. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Amy na niego czeka w otwartych drzwiach. Okalające dom drzewa trzeszczały gniewnie na wietrze. Ruszył ścieżką w jej stronę, a ona wyszła mu naprzeciw i wprowadziła go do środka.

— Leo! — powiedziała głębokim, wzburzonym głosem. — Wejdz.

Weszła przed nim do gabinetu.

Jego syn siedział na kanapie, z nożem do chleba sterczącym z brzucha. Czerwona plama na koszuli Barneya wydawała się wciąż powiększać, kiedy Leo na nią patrzył. Oczy Barneya były na wpół otwarte, a spojrzenie całkiem spokojne. Obie dłonie miał uniesione do góry, jakby trzymał w nich coś, kiedy umierał. Nie było sensu posyłać po lekarza czy karetkę — Barney był martwy.

— Chryste wszechmogący! — jęknął Leo. Zbierało mu się na płacz i równocześnie na wymioty. — Jak to się stało?

Amy potrząsnęła głową i szybko wyszła z pokoju. Twarz miała białą jak papier. Wyglądała w tej chwili co najmniej na czterdzieści lat.

Leo powlókł się za nią.

— Dlaczego go zabiłaś? — Podniósł głos. — Co on takiego zrobił, że go zabiłaś?

— To nie ja.

Zachwiała się, ale Leo zdołał ją pochwycić, zanim upadła.

— Zrobiła to Pearl.



— Zasnęłam na tej kanapie — opowiadała teściowi, kiedy już byli w kuchni i czekali na przyjazd policji. Koniak, którym ją napoił, sprawił, że kręciło jej się w głowie. Próbowwała ogarnąć umysłem wszystko, co się wydarzyło; nie, właściwie już to zrobiła. Teraz musiała się tylko z tym pogodzić, żyć z tym, wiedząc, że już nigdy więcej nie zobaczy Barneya.

— Pearl ma ospę wietrzną — mówiła zmienionym głosem, który zupełnie nie przypominał jej własnego. — Wezwałam doktora Shearda. Niepotrzebnie wspomniał o moim poronieniu, a tymczasem Barney nic o tym nie wiedział. Z jakiegoś powodu to go naprawdę wzburzyło. Wybiegł z domu, jakby go giez ukąsił. Chciał się zobaczyć ze swoją matką, a wtedy ona mu powiedziała, że my, to znaczy ty i ja, mieliśmy ze sobą romans już od początku wojny.

Leo zaklął szkaradnie, ale Amy chyba nawet tego nie słyszała.

— Ta kobieta jest naprawdę szalona — mruknął.

— Wrócił w okropnym stanie — ciągnęła Amy. — Groził, że mnie zabije. Kiedy zasnął, poszłam do gabinetu i usiadłam na kanapie. Tam było tak cicho, tak spokojnie, że ja też zasnęłam. Kiedy się obudziłam, Barney mną potrząsał. Znowu był zły. Zaczęłam krzyczeć. Po prostu nie mogłam tego dłużej znieść. Po chwili wbiegła Pearl... wdrapała się na kanapę pomiędzy nas. Krzyczała: „Zostaw mamusię w spokoju! Słyszysz, tatusiu? Nie waż się jej zabijać!”. W tym momencie Barney przestał mną potrząsać. — Amy wybuchnęła strasznym płaczem. — Nie jestem pewna, co się wtedy stało, tylko tyle, że Barney wyglądał na przerażonego i zaczął przytulać Pearl, przycisnął ją mocno do siebie. Chyba dzięki niej wreszcie zrozumiał, jak strasznie postępuje, jakim jest dla mnie katem. Z pewnością nie dostrzegł noża do chleba w jej ręczce... Nagle odchylił się do tyłu i zobaczyłam, że ten nóż tkwi w jego brzuchu. Musiała go stąd zabrać. — Amy położyła rękę na stole obok chleba, który przedtem kroїła, masła i dżemu z truskawek. — To był wypadek, niewątpliwy wypadek. Z pewnością nie zamierzała go zabić. Kochała swojego tatusia.

— A... co się potem stało, kochanie? — cicho spytał Leo.

— Pearl wybiegła z pokoju, płacząc. Nie widziała noża tkwiącego w brzuchu Barneya. Nie wiedziała, że go zabiła. Poszłam za nią. Na jej koszulce nocnej była krew, więc ją szybko przebrałam i położyłam z powrotem do łóżeczka. Teraz majaczy, biedactwo, a ja mam nadzieję i modlę się do Boga, żeby nie pamiętała tego, co się wydarzyło.

Amy wstała i wyszła z kuchni.

— Dokąd idziesz? — zawołał Leo.

— Wyciągnąć nóż z jego ciała, tak żeby zostały na nim moje odciski palców. Kiedy przyjedzie policja, powiem im, że to ja. Właśnie tak. Jakie życie czeka Pearl, jeśli wszyscy się dowiedzą, że zabiła własnego ojca? Nie chcę, żeby nawet zobaczyła policjanta, a tym bardziej, żeby ją przesłuchiwał. — Odrzuciła głowę w tył i spojrzała wyzywająco na Leo. — Moja córka nigdy nie może poznać prawdy. Nigdy!

Leo patrzył na nią przerażony.

— Ależ Amy! Co ty mówisz? To był wypadek! Nie możesz brać na siebie winy za coś, w czym tak naprawdę nie było niczyjej winy — odwołał się do jej rozsądku.

— Nie, Leo. Nie chcę, żeby Pearl dorastała z sercem splamionym tą straszną wiedzą. Wypadek czy nie, wiedziałaby, że to jej ręka trzymała nóż. Już postanowiłam.

\* \* \*

— Dręczył mnie — opowiadała policjantowi, młodemu posterunkowemu, który ani razu nie otworzył ust, i sierżantowi o nijakiej twarzy i ogromnej nadwadze, któremu tłuste palce drżały jak w febrze, kiedy robił notatki w małym czarnym notesie. Amy przypuszczała, że musi być pijany. — Mój mąż mi groził, że mnie zabije, więc to ja... ja zabiłam go pierwsza.

Przeżywała koszmar, zbyt okropny, żeby był prawdziwy. Powiedziała:

— Muszę zajrzeć do córeczki, sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Jpk tam? — spytał sierżant, kiedy wróciła.

— Ma ospę wietrzną.

Pearl spała głębokim snem, cafką rozluźnioną. Kochane dziecko. „Moja mała córeczka próbowała tylko chronić swoją mamę...”, pomyślała Amy z czułością, ale też podziwem. To nie było coś, czego można by się spodziewać po dziecku w jej wieku.

Wobec zaistniałych faktów trudno się było dziwić, że zabrano Amy na posterunek, zostawiając w domu w dalszym ciągu osłupiałego Leo, siedzącego z głową opartą na rękach. Sierżant nie mógł powiedzieć, kiedy jej będzie wolno wrócić do domu.

Wsiadając do policyjnego samochodu, Amy spojrzała na bungalow, jakby się z nim żegnała, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy.

Już nigdy go nie zobaczyła.

Zadziwiające, jak drastycznie może się zmienić czyjeś życie w ciągu zaledwie paru godzin.

\* \* \*

Moira Curran zauważyła, że salon i sypialnia Pearl miały ten sam komin i każde słowo, wypowiedziane w jednym pokoju, było doskonale słyszalne w drugim.

Moira przestała pracować i zamieszkała w bungalowie, żeby się opiekować Pearl od czasu, kiedy Amy siedziała w areszcie śledczym więzienia Strangeways w Manchesterze.

Sprzątała akurat w sypialni Pearl. Malutka była w salonie i zaczęła rozmawiać z którąś ze swoich lalek. Pytała laleczkę, kiedy jej mamusia wróci do domu. Jej dziecięcy głosik było słychać wyraźnie jak dzwoneczek. Moira, przerażona, spojrzała w końcu na komin, podejrzewając, że może jej wnuczka się w nim schowała.

Wieczorem opowiedziała o tym Leo Pattersonowi, który wpadał tam co wieczór, wracając ze Skelmersdale. Postanowili nie posyłać Pearl do szkoły aż do czasu, kiedy cała ta okropna sprawa się zakończy i szum wokół niej przycichnie. Potem miała pójść do innej szkoły, pod innym nazwiskiem.

Oczywiście wyobraźni Leo widział swoją wnuczkę, jak leży w łóżeczku i słucha, jak jej ojciec wymyśla matce, wreszcie któregoś wieczoru mówi, że chce ją zabić... Jakie myśli mogły się kłębić w głowie tej małej dziewczynki, kiedy słyszała takie straszne rzeczy? Na szczęście wszystko wskazywało na to, że nie zapamiętała niczego z tamtej tragicznej nocy.

Moira i Leo siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, zastanawiając się nad przerażającą rzeczywistością, która zniszczyła ich normalne, spokojne życie.

Oprócz Amy tylko oni dwoje znali prawdę o śmierci Barneya.

\* \* \*

Zaangażowano najlepszego prawnika z Londynu, Bruce'a Haywarda, jak również adwokata, sir Williama Iretona. Obaj uważali, że Amy zostanie skazana na pięć do siedmiu lat więzienia.

— Są świadkowie, którzy potwierdzają, że mąż przez wiele lat stosował wobec niej przemoc psychiczną, mimo to jednak ta dzielna kobieta i oddana żona nigdy nie miała zamiaru go porzucić i wykazywała iście świętą cierpliwość — mówił mocnym głosem Bruce Hayward. Często widywał Amy i oboje się serdecznie zaprzyjaźnili.

Rozprawa miała miejsce na Wielkanoc, przy błyskach fleszy i w atmosferze sensacji, w Sądzie Liverpoolskim w St. George's Hall. Zdjęcie ślubne przystojnego Barneya Pattersona, teraz już świętej pamięci, o którym czasem pisano jako o „bohaterze wojennym”, i jego ślicznej żony obiegało wszystkie gazety w kraju, a nawet kilka za granicą. Trudno było dociec, jakimi drogami podąży sympatia sądu.

— Myślę, że nasza strona ma przewagę — mówił Leo do Marion Curran.

Amy była doskonałą obrończynią samej siebie. Mówiła oczywistą prawdę, nie przesadzała, opisując, w jaki sposób Barney ją traktował — jego zarzuty, jego groźby, że ją zabije — niemniej zawsze starała się go wytłumaczyć. „Musiało mu się przydać coś naprawdę okropnego, kiedy był jeńcem wojennym — twierdziła. — Kiedy wrócił z wojny do domu, był zupełnie innym człowiekiem niż przedtem”.

Cathy Burns też pozostawiła dobre wrażenie, tak uczciwie i gorąco starała się bronić przyjaciółki.

Tak przedstawiała się sytuacja aż do dnia, kiedy miejsce dla świadka zajęła teściowa Amy.

\* \* \*

„Nieoczekiwany świadek”, jak ją określił prokurator.

Amy zastanawiała się gorączkowo, co u diabła ta kobieta ma do powiedzenia. Przez salę widziała, jak Leo marszczy brwi.

— Co pani sądzi o swojej synowej, pani Patterson? — spytał prawnik strony przeciwnej.

— Nienawidzę jej — odparła z całym spokojem Elizabeth Patterson. — Nienawidzę jej, ponieważ ona i mój mąż mieli ze sobą romans, odkąd tylko Barney wyjechał. — Jej zielone oczy były pełne łez. Trudno było wątpić w szczerść tej wypowiedzi. — Zabierał ją nieustannie na obiady do restauracji. Bez przerwy wysiadywał u niej w mieszkaniu.

Był słoneczny i jasny dzień wiosny. W promieniach słońca padających na zatłoczoną salę sądu tańczyły drobinki kurzu. Sędzia, który zwykle sprawiał wrażenie zapanego, teraz otworzył szeroko oczy i wbił spojrzenie zza okularów ze szklami w kształcie półksiężyców w atrakcyjną, rudowłosą kobietę w kosztownym futrze z lamparta i pasującym do niego kapeluszu. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale chyba w końcu zmienił zdanie.

Nastąpiła ewidentna zmiana w nastawieniu sądu do oskarżonej. Od tej chwili Amy była potępiona, mimo iż Leo złożył oficjalną przysięgę, że między nimi nie było żadnego romansu.

— Nie ma dymu bez ognia — twierdzili wszyscy, kiwając głowami.

Była mowa o karze śmierci. Oznaczało to, że jeśli Amy Patterson zostanie uznana za winną, będzie powieszona.

Jej teściowa była jedną z pierwszych zwolenniczek tej kary.

— Powiem! — oświadczyła Moira, rozmawiając z Leo. Nie chodziła na rozprawy, ponieważ zostawała w domu z Pearl. Zasłony w oknach były zawsze pozaciągane, a swoją wnuczkę zabierała na spacer tylko wtedy, gdy się ściemniło. — Powiem prawdę! Nie dopuszczę, żeby naszą Amy powiesili za coś, czego nie zrobiła. — Na samą myśl o tym, krew ścinała jej się w żyłach. — Ale... kto nam teraz uwierzy? — Było już za późno na mówienie prawdy. — Każdy będzie sądził, że wymyśliliśmy tę bajeczkę...

Leo się zgodził, choć z przerażeniem. Przecież to Amy z całym rozmysłem doprowadziła do tego, że na nożu znalazły się jej odciski palców.

Było już o wiele, wiele za późno na mówienie prawdy.

\* \* \*

Amy Patterson została skazana na dożywotnie więzienie za brutalne zamordowanie swojego męża.

Następnego dnia ta sensacyjna wiadomość ukazała się na pierwszych stronach wszystkich ważniejszych gazet. Leo przyniósł je do bungalowu, a Moira porozkładała na podłodze. Uroczą buzią jej córki widniała przed nią — pod każdym kątem. Były tam też zdjęcia jej innych córek: Jacky i Bidy codziennie przychodziły do sądu.

Charlie nie był tam ani razu, ale miał ku temu ważne powody.

\* \* \*

— Powiedz mi Amy, czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? — spytał Leo, kiedy pierwszy raz odwiedził ją w więzieniu Holloway w Londynie, gdzie ją teraz zamknęto. — Co tylko zechcesz — podkreślił. — Zrobię wszystko, co tylko będzie możliwe!

Była najsilniejszą i najodważniejszą osobą, jaką znał w życiu. Zawsze ją kochał, a teraz kochał ją nawet jeszcze bardziej. Płakała za Pearl, za matką i całą rodziną — ale

nigdy nie myślała o sobie. Powinien był hamować łyzy, ale jeśli Amy mogła płakać, on mógł także.

— Tak, jest coś takiego. — Jej twarz nie była już taka promienna, a oczy utraciły cały swój żar. Wargi były mocno zaciśnięte, z determinacją. — Chcę, żebyś dał Jacky i Biddy tyle pieniędzy z mojego konta, żeby mogły wyjechać i zamieszkać gdzieś w innym kraju. Może w Kanadzie albo w Australii; tak żeby mogły zacząć wszystko od początku, tam gdzie nikt nie będzie wiedział, że ich siostra jest morderczynią. Czy mam na to dość pieniędzy, Leo?

— Całe góry, kochanie — odparł.

Oplacał jej wydatki na prawników i wiedział, że na jej koncie jest jeszcze mnóstwo pieniędzy. To były pieniądze Barneya, a teraz — jej.

— Dobrze. Druga sprawa: Charlie i Marion zaopiekują się Pearl. Dlatego właśnie prosiłam Charliego, żeby nie przychodził do sądu. Dzięki temu te sępy z gazet nie dowiedziały się, gdzie mieszka. Są z Marion prawie dwanaście lat po ślubie i raczej nie będą już mieli własnego dziecka. Pearl stanie się ich jedynym dzieckiem i będą ją kochali jak własną córkę. Nigdy nie lubiłam Marion, ale na pewno będzie dobrą matką, o to jestem spokojna, a nasz Charlie świetnym tatusiem.

— Dopilnuję tego — obiecał Leo. — Myślę, że powinnaś to wszystko napisać — poproś Bruce'a Haywarda, ten już będzie wiedział najlepiej, co i jak. Och, i jeszcze jedno, Amy — dodał z przejęciem — chciałbym odegrać jakąś rolę w życiu Pearl. Jakiś się nie zanosz, żeby Harry chciał się żenić, więc to chyba będzie moja jedyna wnuczka.

— Oczywiście, że powinieneś mieć miejsce w jej życiu. Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej — oświadczyła energicznie Amy. — Nasz Charlie się tym zajmie. Ty i mama, Harry i Cathy będziecie jej rodziną. Aha, i powiedz Harry'emu prawdę, dobrze? Wolalabym, żeby nie myślał, że zabiłam jego brata. Charlie już wie, mama mu powiedziała, ale obiecał, że nie zdradzi się przed Marion — boję się, że kiedyś mogłoby się jej coś wymknąć przez nieuwagę w obecności Pearl.

— A co z Cathy?

— Im mniej ludzi będzie znać prawdę, tym lepiej. Cathy nigdy mnie nie potępi, w żadnym razie.

W tym momencie niemal straciła kontrolę nad własnym wzruszeniem.

— Czy... Pearl wie, że jej ojciec nie żyje?

— Tak, kochanie. Myśli, że zginął w wypadku samochodowym.

— I wie, że ja wyjechałam... na długo?

Leo przytaknął.

— Myśli, że jesteś w Australii.

— Dobrze. — Wydęła wargi z zadowoleniem. — Charlie jej powie, gdzie jestem naprawdę, i dlaczego, wtedy gdy uzna, że jest dość dorosła, żeby sobie dać radę z taką wiadomością. I powiedziałam mu jeszcze, żeby w żadnym razie mnie nie odwiedzała. Nie chcę, żeby moja córka widziała swoją matkę w więzieniu.

Po chwili już zniknęła w ciemnym wnętrzu tego ponurego gmachu, w którym miała spędzić resztę życia.

TLR

# Rozdział 19

CZERWIEC 1971

*Pearl*

Kiedy następnego dnia wróciłam ze szkoły, okazało się, że Marion przyszła dziś do domu wcześniej niż ja. A to dopiero niespodzianka!

Musiało wydarzyć się coś niezwykłego, że wyszła z pracy przed czasem. Marion była pracoholiczką. Nawet coroczne urlopy brała niechętnie, a kiedyś, gdy musiała zostać w domu, ponieważ zachorowała na wyjątkowo perfidną gripę, pan London, jej szef, dyktował jej co ważniejsze listy przez telefon. Mimo że miała gorączkę, trzydzieści osiem stopni z kreskami, pisała te listy na przenośnej maszynie, a potem przyjeżdżał po nie samochodem ktoś z biura.

— Co się stało? — spytałam, kiedy weszłam do domu i zastałam ją siedzącą w pokoju śniadaniowym nad wielkim czajnikiem herbaty. Miała na sobie nietwarzową bluzkę z szarej bawełny i ciemnobrązową spódnicę, która nie była ani dostatecznie krótka, ani dostatecznie długa, by wyglądać na modną.

— Nic. — Sprawiała wrażenie zaskoczonej tym, że ja jestem zaskoczona. — Po prostu wzięłam parę godzin wolnego, to wszystko.

Położyłam jej rękę na czole.

— Dlaczego to robisz? — zapytała.

— Chcę sprawdzić, czy nie masz gorączki.

— Czuję się świetnie. — Spodziewałam się, że strąci ze złością moją rękę, ale — o dziwo — była zadziwiająco łagodna. — Wychodzisz dziś wieczorem?

— Być może wpadnę później na chwilę do matki. Ma dziś na podwieczorku swoją przyjaciółkę Susan Conway. Poznały się jeszcze w czasie wojny, kiedy matka była naczelnikiem stacji.

Usta Marion wygięły się w półuśmiechu.

— Tylko Amy mogła awansować na naczelnika stacji, i to z takim sukcesem! Kiedy odchodziła, była zaprzyjaźniona ze wszystkimi w tej miejscowości, a odeszła tylko dlatego, że stacja została zbombardowana.

— Tak, Charles mi o tym opowiadał.



W komentarzu Marion usłyszałam coś na kształt podziwu. Jeszcze jedna niespodzianka...

— Charles też się później do niej wybiera. — Wyglądała na trochę zagubioną. — Powinnam była przewidzieć, że wszyscy zechcą być tam, gdzie jest Amy. Ludzie zawsze do niej lgnęli jak muchy do miodu. Teraz nawet wołałabym, żeby została u nas. Nigdy nie mówiłam, że chcę się jej pozbyć. Wiesz, to ona uznała po prostu, że tak jest. Wcale by mi nie przeszkadzało, gdyby została u nas trochę dłużej.

— Więc dlaczego nie poprosiłaś, żeby tu wróciła?

— To by wyglądało na trochę zbyt oczywiste, nieprawdaż? Znasz ludzi z sąsiedztwa? — Skinęłam głową, chociaż w gruncie rzeczy prawie ich nie znałam. — Przez całe lata właściwie ze sobą nie rozmawialiśmy, tymczasem w sobotę wieczorem twoja matka doprowadziła do tego, że wszyscy razem z nią śpiewali. W niedzielę ta kobieta mnie spytała, kto to był. Nie powiedziałam jej, kto to był naprawdę, wyjaśniłam tylko, że to moja szwagierka; a ona na to, jaka to musi być urocza osoba i kiedy znów nas odwiedzi.

Wzięłam z kredensu filiżankę i nalałam sobie herbaty.

— A może wieczorem poszłabyś do niej razem ze mną?

— Chyba nie, Pearl. Czuję się trochę głupio. — Skuliła ramiona i westchnęła. — Pewnie byś wołała, żeby to twoja matka cię wychowywała, a nie ja.

— No, teraz to już naprawdę przesadziłaś! — Spojrzałam na nią serdecznie. — Nawet gdybym tego chciała, co zresztą wcale nie jest prawdą, to przecież jej tu nie było, więc nie mogła mnie wychowywać, prawda?

— Masz rację. Wołałabym jednak, żebyś miała weselsze dzieciństwo. Mam na myśli to, że tak rzadko się śmiejemy. To znaczy Charles i ja. I sądzę, że on też śmiałby się o wiele częściej, gdyby nie ja. Chodzi mi o to — ciągnęła dalej z przejęciem — że w tym domu znacznie częściej słyhać śmiech od czasu, kiedy twoja matka wróciła, że teraz jest w nim więcej śmiechu i radości niż przez wszystkie te lata, od kiedy Charles i ja tu mieszkamy.

— Chyba jednak trochę przesadzasz, Marion — powiedziałam. Wzięłam czajnik z herbatą. Był już pusty, więc poszłam do kuchni i nastawiłam wodę. — Mówisz tak, jakby to miejsce przypominało kostnicę ciągnęłam, wróciwszy do pokoju. — Śmiejemy się, tyle że trochę bardziej rozważnie, to wszystko.

— No właśnie... a twoja matka wkłada w swój śmiech całą duszę i serce. Czy możesz sobie wyobrazić, Pearl, że wychodzisz z więzienia po dwudziestu latach i potrafisz śmiać się tak jak ona? Większość ludzi miałaby problem nawet z uśmiechaniem się.

— A właściwie skąd ten temat? — spytałam. — Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, jeśli powiem, że myślę, iż nie lubiłaś mojej matki?

— Rzeczywiście tak było. Och, gdzie ta cholerna herbata? — Zniknęła w kuchni w chwili, kiedy czajnik się wyłączył. Po chwili wróciła z dzbankiem pełnym herbaty. — Trochę ją wymieszałam, żebyśmy nie musiały długo czekać, aż naciągnie. — Nalałam mleka do obu filiżanek, a Marion dopełniła je herbatą. — A co do twojej matki — spojrzała na mnie spod oka — spodziewałam się, że będzie zahukana, blada, że będzie się bać własnego cienia... tymczasem nie zmieniła się ani odrobinę. I jeszcze jedno... nie powinnam była ci nigdy dać do zrozumienia, co myślę o twojej matce. To było naprawdę bardzo nieładnie z mojej strony, Pearl.

— Zawsze byłam tu szczęśliwa — zaprotestowałam. — Wierz mi...

— Ale mogłaś być o wiele szczęśliwsza — odparła żałośnie Marion.

— Wszyscy myślimy, że moglibyśmy być szczęśliwsi, kiedy spoglądamy wstecz na nasze życie. Tak sędzę.

Z prawdziwą przykrością patrzyłam na tę przygnębioną, targaną wyrzutami sumienia kobietę. W tej chwili dużo bardziej wolałabym widzieć cierpką, walącą prawdę prosto w oczy Marion, którą znałam od zawsze.

— Och, Pearl, zanim poznałam Charlesa, moje życie było naprawdę okropne... — Nie patrzyła na mnie, tylko zaczęła rysować palcem kółka na stole. — Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale moi rodzice byli Cyganami. Mieszkaliśmy w Irlandii i, jeśli mam być z tobą całkiem szczerą, nie mam nawet pojęcia, ile miałam... a właściwie chyba nadal mam, braci i sióstr. Kiedy dorastali, odchodzili z domu. Ja byłam najmłodsza. — Kółka na stole zmieniły się w ósemki, a paznokieć Marion zostawiał teraz ślady na obrusie. — Wiesz, jakie jest jedno z moich najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa? Stukałam do różnych drzwi i proponowałam ludziom kupno gałązek wrzosu. Mało kto je kupował, a to znaczyło, że tego wieczoru nie będzie kolacji, chyba że któreś z nas coś ukradnie. — Wyglądała dłonią obrus, żeby usunąć ślady. W dalszym ciągu nie patrzyła na mnie. — Nie chcę o tym więcej mówić, to już przeszłość. Kiedy skończyłam trzynaście lat, przyszła moja kolej, żeby odejść z domu. Przyjechałam do Liverpoolu, dostałam pracę, nauczyłam się stenografii i pisania na maszynie... pozbyłam się

tego okropnego akcentu. Miałam dziewiętnaście lat, kiedy poznałam Charlesa. Gdy się we mnie zakochał, uważałam się za najszczęśliwszą kobietę na świecie.

— Każda kobieta byłaby szczęśliwa, będąc żoną Charlesa — mruknęłam. Byłam trochę zakłopotana wyznaniem ciotki, chociaż naprawdę pomogły mi wreszcie ją zrozumieć.

— Jedyną łyżką dziegciu w tej beczce miodu była twoja matka — powiedziała Marion z westchnieniem. — Wydawało się, że okazje trafiają się jej bez żadnego wysiłku z jej strony. Nie obchodziło jej, jak bardzo rani własną matkę. Och, a ja dalej o tym samym! — Złożyła dłonie na kolanach. — Nie powiem już ani słowa więcej. W każdym razie to był powód, dla którego nigdy nie lubiłam twojej mamy: myślę, że prawidłowo można by to nazwać zazdrością.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Tego wieczoru nie poszłam do matki, ale zostałam w domu i długo rozmawiałam z Marion.

\* \* \*

W sobotę po południu w Cavern tylko jednym uchem słuchałam *The Umbrella Men*. Nie mogłam przestać myśleć o tym, że Rob i Gary świetnie się teraz bawią, oglądając film, na który wybrali się do Odeonu. Kino było zaledwie parę minut spacerkiem od Cavern.

\* \* \*

Parę dni temu Rob, odbierając synka ze szkoły, spytał, czy chciałabym iść z nimi do kina.

— To w mieście, film się nazywa *Bedknobs and Broomsticks*<sup>14</sup>. I ma doskonałe recenzje. Podobno jest tak samo dobry dla dorosłych, jak i dla dzieci — to znaczy tylko dla niektórych dorosłych... Takich, którzy czują się jak małolaty — dodał z uśmiechem. — Uwielbiam filmy dla dzieci, więc nie wiem, na ile lat mam się oceniać. Po kinie moglibyśmy wstąpić do jakiejś knajpki i coś zjeść, a potem wrócilibyśmy do mieszkania Bess i posłuchali płyt. Nie będzie jej dziś wieczorem, a wyobraź sobie, że w końcu upolowałam płytę długo-grającą zespołu Hollies I Cant Let Go i stary album Yardbirdsów, o którym dawniej marzyłem, ale nigdy nie udawało mi się go zdobyć. Przepraszam cię... to pewnie nie brzmi szczególnie zachęcająco, prawda? — Spojrzał na mnie spod oka. — Z przyjemnością zabrałbym cię na kolację do jakiegoś fanta-

---

<sup>14</sup> *Bedknobs and Broomsticks* (Gałki od łóżka i kije od miotły) — film-musical z 1971 roku produkcji Walta Disneya, łączący animację z akcją na żywo, zawiera wiele scen, które przeszły do historii kina.

stycznie luksusowego hotelu, ale teraz, kiedy mam Gary'ego, to niemożliwe. Może następnym razem, kiedy Bess będzie w domu, uda się nam pójść w takie miejsce.

Nie zadałam sobie trudu wytknięcia mu, że chyba nie mógłby sobie na to pozwolić. Pominąwszy to, uznałam jego zaproszenie za niezwykle pociągające, ale koniec końców odmówiłam — aczkolwiek z prawdziwą przykrością. Uwielbiałam Hollies.

— Tak mi przykro. Mam już inne plany — bąknęłam.

Nie powiedziałam mu, jakie. Czy mogłam — idąc za przykładem szczerzej do bólu Marion — walnąć prosto z mostu, że mam randkę z innym mężczyzną, ponieważ uważam, że tamten może być dla mnie ciekawszy? Rob i ja nie byliśmy w żaden sposób związani, ale przecież nie chciałam, żeby chodził na spotkania z inną kobietą!

Kiedy zobaczyłam, jak bardzo jest rozczarowany, poczułam się naprawdę okropnie.

\* \* \*

Nagle wszyscy zaczęli bić brawo jak szaleni zespołowi The Umbrella Men i prawie nic nie słyszałam. Przyszedł Steven i powiedział, że wszyscy idą do baru, więc wyszłam za nim na zewnątrz. Mżyło. Czekali tam trzej inni członkowie zespołu z trzema dziewczynami.

Steven powiedział tylko:

— To jest Pearl — na co wszyscy się uśmiechnęli i krzyknęli: Cześć, Pearl!

— Cześć. — Machnęłam ręką.

Poczułam się strasznie głupio.

W barze panował nieopisany tłok; nie było żadnych wolnych miejsc. Musieliśmy stać z drinkami w rękach. Ja zamówiłam piwo z lemoniadą.

Steven objął mnie ramieniem i głaskał po szyi. Poczułam dreszcz, a równocześnie strach. Uważałam, że trochę się zagalopował, a przy tym strasznie się bałam, że może wpadnie na pomysł, żeby się ze mną kochać już na tej naszej pierwszej randce. W końcu mamy rewolucję seksualną, więc czemu nie?

Kochałam się już raz z chłopakiem, w szóstej klasie. Oboje mieliśmy wtedy po siedemnaście lat. Teraz jednak byłam chyba najbardziej niedoświadczoną dziewczyną (bo już nie dziewicą) na świecie.

Traciłam grunt pod nogami.

Bar zamykali o trzeciej, więc wróciliśmy na Mathew Street, ciągnącą się za klubem Cavern, i wsiedliśmy do dużej białej furgonetki, która chyba już od dawna nie oglądała myjni. Perkusista i jego dziewczyna usiedli z przodu, a my, cała reszta, upchnęliśmy się z tyłu, gdzie nie było siedzeń; musieliśmy więc przycupnąć na podłodze. Zamknęliśmy drzwi, a wtedy w środku zrobiło się zupełnie ciemno. Kiedy furgonetka ruszyła z miejsca, dwie pozostałe pary natychmiast ułożyły się na podłodze i zaczęły się namiętnie całować. Bałam się, że Steven zechce robić to samo, ale był najwyraźniej zupełnie zadowolony, mogąc mnie tylko obejmować i gadać jak najęty.

Chciał wiedzieć, co myślę o ich zespole. Powiedziałam, że są „pierwsza klasa”.

— Pierwsza klasa! — powtórzył rozbawiony. — Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem takiego tekstu...

— Dokąd jedziemy? — spytałam, zmieniając szybko temat.

Prawie nie widziałam jego twarzy, a już na pewno kierunku, w którym jechała furgonetka.

— Jedziemy do Moll — odparł niejasno.

„U Moll” okazało się piwnicą starego domu przy Myrtle Street, pod sklepem, gdzie sprzedawano sprzęt kempingowy.

Było tam już około dziesięciu osób siedzących na fotelach, na wielkiej kanapie i na podłodze. Na ścianach wisiało pełno plakatów filmowych i teatralnych. Muzyka była tak głośna, że słyszałam ją już w furgonetce, zanim zatrzymaliśmy się przed domem. Grał zespół Moody Blues, który naprawdę lubię, ale nie kiedy jest tak blisko i tak daje czadu, że sala się trzęsie, a wibracje wędrują mi od pantofli przez nogi w górę, tak że w końcu czuję je w całym ciele.

Miałam wrażenie, że jestem wielkim elektrycznym świdrem.

Jakaś kobieta, mniej więcej pięćdziesięcioletnia, ubrana na czarno i z twarzą pokrytą grubą warstwą makijażu — pomimo ciemności zauważyłam, że ma sztuczne rzęsy — wrzasnęła:

— A więc ty jesteś ostatnią dziewczyną Stevena? — i zaraz spytała, czego się napiję. Domyśliłam się, że to Moll.

— Filizankę herbaty, proszę! — krzyknęłam.

— Miałam na myśli gorzałę, mała! — odwrzasnęła.

— Aha! To kieliszek białego wina.

— Kiedy mówię gorzałę, to masz do wyboru: guinnessa, lager albo ale.

— A woda jest?

— Gdzieś tam chyba jest, cała beczka. Znajdź sobie jakieś miejsce do siedzenia, zaraz ci przyniosę.

Siedziałam bardzo długo na samym brzeżku kanapy, nie odzywając się ani słowem do nikogo.

Zebrani podawali sobie z ręki do ręki skręcane ręcznie papierosy. Podejrzewałam, że w środku nie ma zwyczajnego tytoniu. Można się było tego spodziewać... Podali mi jednego skręta. Wzięłam go nieufnie, zbyt wystraszona, żeby się zaciągnąć i zaraz go oddałam następnej osobie.

Steven zniknął.

Moll przyniosła mi wodę. Z każdą minutą coraz częściej przyłapywałam się na myśli, jak głupio tracę tutaj czas i że tysiąc razy wołałabym być teraz w domu, robić coś pożytecznego, na przykład posprzątać swój pokój albo prasować.

Albo siedzieć teraz w Odeonie i oglądać Bedknobs and Broomsticks z Robem i Garym...

W tym momencie pojawił się Steven. Usiadł za mną na poręczu kanapy i objął dłońmi moje piersi.

Omiał nie spaliłam się ze wstydu. Jeszcze nikt nigdy tak publicznie mnie nie obmacywał.

— Piękna jesteś, wiesz o tym? — ryknął mi do ucha.

Pomimo hałasu dookoła mnie toczyło się kilka dyskusji. Tematyka była dość zróżnicowana. Czy Wielka Brytania powinna wziąć udział w wojnie w Wietnamie? Większość ludzi na kanapie była zdania, że absolutnie nie. Jakaś kobieta siedząca na podłodze pytała, czy ktoś widział ten nowy program w telewizji, Latający Cyrk Monty Pythona. Większość widziała, poza mną; wszyscy twierdzili, że jest „super”. Ale u nas w domu Marion nie pozwalała tego nastawiać, twierdząc, że jej się nie podoba. Koniec, kropka.

W przyszłym tygodniu poproszę ciotkę (która nadal była dziwnie przygaszona), żebyśmy to sobie obejrżeli. Może się uda...

Hałas działał najwyraźniej na moje uszy. I działo się z nimi coś bardzo dziwnego. Meble wydawały dziwne dźwięki, tak że miałam wrażenie, że się same ruszają.

Podeszła Moll z talerzem kanapek z pasztetem. Spytałam Stevena, kim ona jest.

— To mama Pete'a. — Puścił moją prawą pierś, żeby sobie wziąć kanapkę. — Lubi tu zapraszać ludzi. Zanim wyszła za ojca Pete'a, była na scenie. Fajna babka, nie sądzisz? Kiedy sklep na górze jest zamknięty, czasami mamy tu próby. Problem w tym, że akustyka jest do kitu.

\* \* \*

Po paru godzinach wróciliśmy w dziesięć czy dwanaście osób do Cavern, na wieczorny występ The Umbrella Men. Teraz lało już jak z cebra. Wszyscy wcisnęliśmy się do furgonetki. Jedni siedzieli drugim na głowach, co było diabelnie niebezpieczne, ale chyba nikt się tym nie przejmował.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam z tymi ludźmi kompletnie nic wspólnego.

Inaczej się ubieraliśmy, inaczej mówiliśmy, nawet pachnieliśmy inaczej. Nie było wśród nich ani jednej osoby w dżinsach wyprasowanych na kant pod parą, w elegancko wyczyszczonych sandałach i pachnącej *L'Aimant Coty'ego*. Nikt nie miał takiej grzecznej fryzurki jak ja, a moje oczy musiały wyglądać dziwnie nago bez eye-linera i kolorowych cieni.

Poczułam się bezbarwna i nieinteresująca.

Weszliśmy do Cavern i zespół zniknął na zapleczu. Dziewczyny rozmawiały między sobą, nie zwracając na mnie uwagi.

Kiedy wychodziliśmy od Moll, Steven powiedział do niej: „*See you later, alligator*”.

Zastanawiałam się, co będziemy dalej robić. Siedzieć w kole, słuchając ogłuszającej muzyki, wrzeszcząc do siebie i paląc skręty?

A potem...?

Miałam poważne podejrzenia co do tego, co będzie potem, i wcale a wcale mi się to nie podobało.

To popołudnie było dla mnie całkiem nowym doświadczeniem. Cieszyłam się wprawdzie, że „wzbogaciłam” swój życiorys, ale ten jeden raz najzupełniej mi wystarczył.

Nie byłam w typie Stevena ani on w moim. Mogłabym siedzieć całymi godzinami, patrząc tylko na księżyc albo na cudowny zachód słońca, ale spędzanie czasu w mieszkaniu Moll uważałam za zwykłą stratę czasu.

Steven śpiewał dziś jedną ze swoich kompozycji. Miał miły głos, naprawdę dobrze grał na gitarze i był niezwykle atrakcyjny, ale nie czułam się przy nim tak dobrze jak przy Robie Finneganie.

Wyszłam z Cavern.

Dochodziła dziewiąta, deszcz przestał padać i zrobił się piękny letni wieczór. Zachodzące słońce wisiało niczym ogromna płonąca kula na blednącym błękitnie nieba. Zabrałam samochód z parkingu przy St. John's i pojechałam do domu Cathy Burns. Strasznie chciałam zobaczyć matkę, chociaż bez żadnego szczególnego powodu. Ot tak, po prostu...

I zastanawiałam się, czy zdążę jeszcze pojechać do domu Roba — jego też strasznie chciałam zobaczyć.

\* \* \*

Przed domem Cathy parkowały już cztery auta — mercedes Leo, BMW Harry'ego, ford cortina Charlesa i — z trudem uwierzyłam własnym oczom — stary morris minor Roba.

„A cóż u licha robi tutaj ten samochód?“, zadałam sobie w duchu pytanie. Zaparkowałam i poszłam ścieżką w stronę domu. Już z daleka słyszałam głosy dobiegające z ogrodu. Widocznie matka po tylu latach spędzonych w więzieniu chciała być jak najwięcej na świeżym powietrzu.

Stałam chwilę przy furtce niezauważona i patrzyłam, jak kołysze w ramionach śpiącego Gary'ego, jak niemowlę, podczas gdy Cathy Burns, wuj Harry i Charles stoją ramię w ramię i zaśmiewają się z czegoś, a dziadek Leo i Rob siedzą razem na ławce i rozmawiają o czymś, co, sądząc z wyrazów ich twarzy, musiało być bardzo ważne. „Męska rozmowa“, uśmiechnęłam się mimowolnie. Nie widziałam Marion; widocznie została w domu w Aintree.

Rob pierwszy mnie dostrzegł. Przerwał rozmowę, wstał z krzesła i podszedł do mnie.

Z jego spojrzenia i wyrazu twarzy mogłam wnioskować, jak bardzo się cieszy na mój widok; zastanawiałam się, czy i ja wyglądam tak samo uszczęśliwioną.

Podeszłam parę kroków — i rzuciłam mu się w ramiona. To było najcieplejsze, najbardziej wygodne miejsce, w którym się kiedykolwiek znalazłam.

— Kocham cię — wyszeptał.



— I ja cię kocham — odszepnęłam.

— Dostałem pracę w Kanadzie. Pojedziesz ze mną? Ale przedtem weźmiemy ślub, rzecz jasna.

— Tak, pojedę z tobą... i weźmiemy ślub.

Spojrzałam ponad jego ramieniem i zobaczyłam, że moja matka patrzy na nas ze łzami w oczach. Mnie też zbierało się na płacz. Matka dopiero co wróciła do domu, a teraz ja miałam wkrótce wyjechać.

\* \* \*

Okazało się, że ostatniej niedzieli Gary powiedział mojej matce, jak bardzo marzy o stroju futbolowym klubu Everton, więc dzisiaj po południu poszła do miasta z Cathy i kupiła mu ten wymarzony strój. Po powrocie do domu Cathy odszukała w książce telefonicznej numer siostry Roba, matka zatelefonowała i zaprosiła obu panów na podwieczorek. Rob mi powiedział, że telefon zadzwonił akurat wtedy, kiedy wrócili do domu z kina.

— W każdym razie — wyjaśniła mi później matka — było mi naprawdę żal, to znaczy żal mi było Roba, że go porzuciłaś dla innego mężczyzny. A propos... Jak się bawiłaś ze Stevenem Conwayem?

— Było strasznie nudno — odparłam. — Czułam się jak ryba wyrzucona na brzeg...

— Z Robem będzie ci na pewno dobrze, kochanie. Jak rybie w wodzie! — Ścisnęła moją rękę. Po drugiej stronie ogrodu Rob pomagał Gary'emu zejść z drzewa. — Ze Stevenem nigdy nie miałabyś żadnej pewności. Ten luzaczek nie jest materiałem na męża, od razu to wiedziałem. Och, a poza tym nie zapominaj, że masz w Kanadzie dwie ciotki, Jacky i Bidy, i jeszcze dwóch wujków i pięcioro kuzynów, trzech chłopców i dwie dziewczyny. Obiecałam, że spędzę z nimi Boże Narodzenie. Wszyscy mieszkają w Kolumbii Brytyjskiej, właśnie tam, gdzie Rob dostał pracę.

Miał zostać szefem ochrony w fabryce produkującej aparaturę elektroniczną, którą właśnie otwierano na wyspie Vancouver. Propozycja przyszła od jego kanadyjskiego przyjaciela, który przedtem pracował z Robem w Ugandzie. Fabryka należała do jego ojca.

Teraz już wszyscy wiedzieli, że Rob i ja mamy się pobrać; wiedział o tym nawet Gary, który koniecznie chciał się upewnić, czy nadal będzie musiał do mnie mówić „proszę pani”.

Powiedziałam, że bardzo bym chciała, żeby nazywał mnie Pearl. Wiedziałam, że nigdy nie zastąpię mu matki. Moja matka poprosiła mnie o przysługę.

— Zadzwoń do Marion i powiedz jej, że wychodzisz za mąż za Roba. Nie byłoby ładnie, gdybyś ty albo Charlie się z tym wygadali dopiero po powrocie do domu. Biedactwo... nie może mnie znieść. Cóż, zdarza się nawet w najlepszej rodzinie. Zresztą ja też nigdy jej nie lubiłam, ale starałam się nie robić z tego ceregieli. Albo nie... Mam lepszy plan. Zaproś ją tutaj. Charlie właśnie pojechał kupić szampana, żeby uczcić tę uroczystą okazję; Marion powinna na niej być obecna.

— Jasne. — Odwróciłam się, żeby wyjść, nagle przypomniałam sobie jednak, że jest coś, co koniecznie muszę wiedzieć. — Czy Charles i Cathy mają ze sobą romans? — spytałam spokojnie, chociaż w środku aż mnie skręcało.

Matka oniemiała.

— Oczywiście, że nie! Co ci u licha przyszło do głowy? Opowiedziałam jej, jak zeszłej niedzieli odwoziłam tu niebieski sweter i że wszystkie okna były pozasłaniane.

— A Charles był tutaj, ponieważ jego auto stało przed domem. Nie zaprzeczaj!

— Więc to ty zostawiłaś mój niebieski sweter na schodach! A myśmy myślały, że Marion go podrzuciła. To było bardzo w jej stylu. — Roześmiała się głośno. — Nie, kochanie, Cathy i Charlie oglądali wtedy jakiś film fantastyczno-naukowy i na pewno nie usłyszeli, kiedy zapukałaś. Przecież wiesz, że Marion nie cierpi takich filmów, westernów zresztą też. I nie pozwala ich oglądać u siebie w domu. Zgroza! Ale nasz Charlie jest wyrozumiały aż do bólu i pozwala jej na wszystko, niemądry. Najwyższy czas, żeby zaczął stawiać na swoim.

\* \* \*

Zatelefonowałam do Marion. Powiedziała, że zaraz przyjdzie. Mówiła z wielkim przejęciem, słyszałam to w jej głosie, i chyba naprawdę się ucieszyła, że do niej dzwonię. Zjawiała się po dwudziestu minutach w nowej turkusowej sukience! Charles wrócił tymczasem z szampanem. Cathy nie miała wprawdzie kieliszków do szampana, ale nikomu to jakoś nie przeszkadzało.

Stanęliśmy wszyscy wkoło i dziadek Leo wznosił toast.

— Za Pearl i Roba. Niech im zawsze sprzyja szczęście i niech się nie lenią w sypialni, żeby obecny tu mały Gary miał całą gromadkę braci i siostr!

— Za Pearl i Roba!

Wzniesiono kieliszki, wypito szampana i wszyscy, nie mam pojęcia, dlaczego, zaczęli śpiewać *Auld Lang Syne*\*<sup>15</sup>.

— Chciałbym mieć trzech braciszków i trzy siostrzyczki — oznajmił Gary, gdy śpiewy już umilkły.

\* \* \*

Kiedy w poniedziałek przyszedłam do szkoły, podzieliłam się nowinami z Hildą. Obie podjechałyśmy w tym samym czasie i zaparkowałyśmy obok siebie.

— Moje serdeczne gratulacje! — zawołała ciepło. — Kiedy się odbędzie ta wielka uroczystość?

Naprawdę była zachwycona perspektywą przyjścia na mój ślub.

— Pod koniec lipca. Moja matka wybiera się dziś do kościoła, żeby sprawdzić, jakie terminy są jeszcze wolne. To nie będzie żaden uroczysty ślub z wielką pompą. Oczywiście jesteś zaproszona.

— Dziękuję. Twoja matka jest naprawdę uroczą — powiedziała szczerze Hilda. — Przepraszam za wszystko, co o niej kiedyś plotłam. Wiesz, to jest tak: tworzysz sobie w myślach obraz jakiegoś człowieka, a potem tak się z nim zaprzyjaźnisz, że za nic w świecie nie chcesz go wyrzucić z głowy. A jeśli chodzi o twoją matkę, to nie mogłam się bardziej mylić w ocenie. Przypuszczam, że nawet najbardziej sympatyczni ludzie mogą zrobić coś okropnego pod wpływem chwili, coś, czego później żałują.

— A co z Cliffordem? — zapytałam, szybko zmieniając temat.

— Clifford powiedział, że nie chce mieć więcej dzieci. Ma dwoje z pierwszego małżeństwa i uważa, że to mu wystarczy. — Kopnęła piłkę w stronę jej właściciela, chyba o wiele za mocno, niż było trzeba. — Myślę, że on naprawdę chce się ze mną ożenić tylko po to, żeby mieć dach nad głową.

— Tak mi przykro, Hildo — westchnęłam ciężko. Naprawdę zasługiwała na odrobinę szczęścia w życiu.

— Niech ci nie będzie przykro. Nadal chcę za niego wyjść — powiedziała nieoczekiwanie i dała mi lekkiego kuksańca. — Jestem prawie na pewno w ciąży! Czy to nie cudowne? Zanim się o tym dowie, będziemy już małżeństwem; a gdyby chciał

---

<sup>15</sup> *Auld Lang Syne* (co mniej więcej oznacza „Dawno, dawno temu”) — poemat szkockiego poety Roberta Burnsa z 1788 roku, śpiewany na melodię ludową w krajach angielskojęzycznych, zazwyczaj z okazji Nowego Roku.

wtedy odejść, to niech sobie odchodzi. Nie zamierzam się tym przejmować. Będę już zameżna, a wkrótce zostanę matką. Właśnie tego chciałam całe życie.

\* \* \*

Teraz, kiedy niebawem miały się odbyć dwa śluby, nikt nie był już zdziwony, kiedy się okazało, że zanosi się jeszcze na trzeci.

Cathy Burns poprosiła mnie w przerwie na lunch do swojego gabinetu i oznajmiła, że ona i wuj Harry mają zamiar się pobrać.

— Zawsze bardzo dobrze czuliśmy się ze sobą, już od dnia, kiedy się poznaliśmy na moło w Southport. Wtedy twoja mama poznała twojego tatę — powiedziała. Była cała w skowronkach i miała śliczne rumieńce. Nagle sobie wyobraziłam, że właśnie tak musiała wyglądać jako młoda kobieta podczas wojny. — To było trzydzieści dwa lata temu. Gdyby nie Harry, nigdy nie poznałabym Jacka, który na zawsze pozostanie największą miłością mojego życia.

— Naprawdę bardzo, bardzo się cieszę — uśmiechnęłam się szeroko. Oprócz mojego własnego ślubu to była najlepsza wiadomość, jaką ostatnio usłyszałam. — Cieszę się, że wuj Harry w końcu ci się oświadczył.

— To nie on się oświadczył, Pearl. Ja mu się oświadczyłam. — Roześmiała się głośno i z takim entuzjazmem, że chyba słyhać ją było w całej szkole. — Sądzę, że gdyby pozostawić mu tę decyzję, nigdy by się na to nie odważył. I wiesz co? Natychmiast się zgodził. W podróż poślubną popłyniemy dookoła świata. Tymczasem Leo odkłada przejście na emeryturę aż do naszego powrotu, a ja biorę roczny urlop. Och, Pearl, jestem taka szczęśliwa, że po prostu mnie roznosi! — Znów się roześmiała. — Czy to wypada, żeby dyrektorka szkoły tak mówiła, jak myślisz? Ale mam to w nosie!

\* \* \*

— Och, Charles, nie chcę stracić naszej małej dziewczynki... — popłakiwała Marion.

W jej głosie było tyle żalu, że i mnie zachciało się płakać.

Marion i Charles siedzieli w salonie i chyba nie wiedzieli, że jestem obok, w pokoju śniadaniowym, i słyszę każde ich słowo.

— Ależ wcale jej nie stracimy, słoneczko — uspokajał ją Charles. — Zawsze pozostanie naszą małą dziewczynką. Zresztą możemy przecież pojechać do Kanady i spotkać się z nią w Boże Narodzenie. Czy nasza Amy nie urządza tam w tym roku wielkiej rodzinnej imprezy?

— Ale Pearl już nie będzie tutaj, w tym domu, z nami. Nie będzie mi pokazywała swoich nowych strojów... — chlipnęła. — A kiedy będziemy wracać z pracy, nie będzie na nas czekała z wielkim czajnikiem gorącej herbaty. Po prostu nie będzie jej tutaj, Charles!

— Wiem, złotko, ale ja zawsze tu będę... dla ciebie, a ty dla mnie.

— Naprawdę, Charles? — pytała Marion płaczliwie.

— Przecież wiesz, złotko.

Weszłam do kuchni, nie chcąc już dłużej słuchać.

Cieszyłam się, że znów jest między nimi dobrze. Charles i Marion nigdy nie zdawali sobie sprawy, jakie cienkie ściany ma ich dom.

Chociaż w bungalowie, w którym mieszkałam z matką i ojcem, ściany musiały być jeszcze cieńsze. Pamiętam, że mogłam wyraźnie słyszeć wszystko, co mówili, kiedy leżałam w łóżku, nawet kiedy drzwi mojego pokoju były zamknięte. Pamiętam, że naciągałam kołdrę na głowę, mimo to jednak nie umknęło mi żadne słowo. Nawet teraz, tyle lat później, słyszę je nadal — w moich snach.

Zwłaszcza jeden sen często powraca i nie daje mi spokoju.

Jakiś głos mówi: „Naprawdę chciałbym cię zabić” i moja matka płacze. Jakaś mała dziewczynka — to nie może być nikt inny tylko ja — krzyczy: „Zostaw mamusię w spokoju...”. Zawsze chcę wtedy wstać z łóżka i ratować mamę, ale moje ciało jest zbyt ciężkie, żeby się poruszyć...

Tak się kończy ten mój sen.

Ciekawe, czy ma też inne zakończenie i czy ono też kiedyś mi się przyśni?

## Rozdział 20

1971-1972

Nellie Shadwick siedziała na tylnym siedzeniu zaparkowanego na poboczu drogi rolls-royce'a i waliła obcasami w podłogę.

— O co chodzi? — spytał kierowca, który był równocześnie jej bratem. — „S.O.S.”?

— Mam już dość tego czekania — poskarżyła się Nellie.

— Wszystko dlatego, że twój czas jest zbyt ważny, żeby go marnować dla innych ludzi. Tak właśnie myślisz, nieprawdaż?

— Czy to coś złego, Ducky?

„Ducky” nie było bynajmniej czułym zdrobnieniem, lecz imieniem, którym jej brat David był nazywany od niemowlęcia. Chociaż nikt nie miał pojęcia, dlaczego.

Ducky zastanawiał się przez parę minut, zanim powiedział, że właściwie to nic złego, tyle że to po prostu niemożliwe, żeby nigdy nie marnować czasu.

— Poza tym człowiek jest uzależniony od tylu innych rzeczy, które muszą być na czas — autobusy i pociągi, czy taksówki na przykład. No i bywa też, że jakiś gość nagle zachoruje albo urwie mu się sznurowadło, albo nie może znaleźć jakiejś tam rzeczy... są rozmaite wypadki... pogoda, czasem nawet spadnie meteoryt...

— Już dobrze, dobrze! — przerwała mu gniewnie Nellie. — Wyciągnęła przed siebie smukłe, długie nogi, opięte przezroczystymi, czarnymi pończochami z nylonu. — Czy one wyglądają na czterdzieści lat, jak myślisz, Ducky?

Ducky odwrócił głowę.

— Masz na myśli swoje nogi, swoje stopy czy pantofle, mała?

— Pewnie, że moje nogi!

Ducky potrząsnął kędzierzawą czupryną.

— Dla mnie to one wyglądają na pięćdziesiątkę z okładem.

Pochyliła się do przodu i lekko klepnęła go w głowę.

— Nie bądź taki cholernie bezczelny, Ducky Shadwick. Co byś zrobił bez swojej kochanej siostrzyczki?

— Pewnie bym już nie żył — uczciwie przyznał Ducky. — Albo by mnie przytknęli, albo żebrałbym na ulicy. Pewnie miałbym już wybite wszystkie zęby i całe ciało w siniakach. — Kiedy się tak zastanawiał, że przynajmniej jedna, a może i więcej tych rzeczy naprawdę by się wydarzyły, gdyby nie Nellie, dodał: — Prawdę mówiąc, Nell, twoje nogi wyglądają najwyżej na dwadzieścia jeden.

— Jesteś pewien?

— No jasne.

Nellie spojrzała na swój nieprzyzwoicie kosztowny zegarek — była za minutę dziewiąta.

Zapięła pod szyją czarny pikowany płaszcz i naciągnęła kaptur na głowę.

— Czy masz zamiar obrabować bank? — zainteresował się brat, obserwujący ją we wstecznym lusterku.

— Po prostu nie chcę, żeby mnie ktoś rozpoznał, i tyle. Dlatego wynajęłam samochód, żeby żaden gnojek nie mógł wytropić rejestracji mojej skromnej osoby. — Wpatrywała się z napięciem w drzwi ponurego budynku po drugiej stronie ulicy. Nie minęła minuta, kiedy drzwi się otworzyły i wyszła stamtąd jakaś drobna, nijako wyglądająca kobieta z walizką.

Nellie prawie wypadła z wozu.

— Nareszcie! Och, popatrz, jest tu, jest! — wołała, biegnąc w jej stronę.

Kiedy już podbiegła bliżej, widać było, że kobieta przed bramą jest wyższa, niż się początkowo wydawała, poza tym musiała być kiedyś bardzo piękna. Nellie pędziła do niej przez ulicę, stukając wysokimi obcasami, dzwoniąc biżuterią, machając rękami.

— Amy! — wołała. — Amy, dziewczyno! To ja, Nellie!

\* \* \*

Amy aż jęknęła, kiedy wyszła z więzienia Holloway i natychmiast wpadła w ramiona czegoś, co wyglądało jak żywy wiatrak, ubrany w czarny płaszcz z kapturem.

Nellie obcałowywała jej policzki, czoło, nos i powietrze dookoła jej głowy, jakby Amy miała nad nią aureolę.

— Och, Nell, jak się cieszę... — powiedziała.

Zachciało jej się nagle płakać. Była wolna! Mogła pójść w każdą stronę, w którą tylko zapragnie, wzdłuż drogi, przy której teraz stała. Gdyby miała skrzydła, mogłaby polecieć aż do nieba, które dzisiaj było pełne czarnych chmur, ale czy to miało jakieś znaczenie?

— Samochód czeka tutaj.

Tak jakby Amy mogła nie zauważyć tego wspaniałego lśniącego rolls-royce'a, który stał po przeciwnej stronie ulicy.

Kiedy Nellie ciągnęła ją w tamtą stronę, grupa młodych ludzi — było ich co najmniej dziesięciu — zaczęła biec w jej kierunku, wymachując notatnikami i aparatami fotograficznymi. Krzyczeli jeden przez drugiego, błagając o zdjęcie albo o wywiad. Kierowca samochodu Nellie wyskoczył z wozu i wepchnął obie panie i walizkę na tylne siedzenie.

Za chwilę limuzyna była już daleko.

Amy wyglądała przez tylną szybę i widziała, jak ci narwańcy pędzą do swoich samochodów, ale było już za późno. Błyskawicznie zniknęli im z oczu.

— To jest Ducky — powiedziała Nellie jednym tchem, machając w stronę pleców kierowcy. — Mój najmłodszy brat. Ducky, to moja przyjaciółka, Amy.

— Siemasz, Amy! — Ducky kiwnął jej głową w lusterko, w którym Amy się mogła przejrzeć. — Słyszałem o tobie cholernie dużo.

— Zamknij się, Ducky. — Nellie zasunęła szklaną przegrodę pomiędzy nimi i kierowcą. — Nie chcę, żeby słyszał, o czym mówimy. Nie zapomnij zapiąć pasa, dziewczyno.

Amy przyznała, że nigdy nie słyszała o żadnych pasach, a następnie poprosiła, żeby Nellie pokazała jej z łaski swojej, co ma robić.

— Dokąd jedziemy? — spytała.

— Do kraju Constable'a — odparła Nellie, zapinając jej pas. — Do Suffolk — dodała w odpowiedzi na zdziwioną minę Amy, która nic a nic z tego nie rozumiała. — W każdym razie tak piszą w reklamówce. To tam, gdzie jeden malarz, nazywał się Constable, namalował najwięcej swoich obrazów. „Farma zdrowia i urody” nazywa się Butterflies i mieści się w domu jakiegoś lorda czy kogoś takiego. Zamówiłam tam dla



ciebie trzy tygodnie; pod nazwiskiem Curran, nie Patterson, tak jak prosiłaś. Ja mogę zostać tylko tydzień. Ale dasz sobie świetnie radę beze mnie, co, mała?

— Na pewno. Powiedz mi, ile to kosztuje, dobrze, Nellie? Rozliczę się z tobą, kiedy już tam będziemy.

— Nie kosztuje cię ani jednego cholernego pensa, jasne? Nie, nie — zamachała rękami w odpowiedzi na protesty Amy, która twierdziła, że naprawdę musi za siebie zapłacić. — Gdybyś mnie nie chwyciła za tę moją cholerną szyję osiemnaście lat temu i nie powiedziała, że jeśli tylko tego bardzo chcę, będą ze mnie jeszcze ludzie, szłajałabym się teraz po ulicach, co nie, mała?

Nellie Shadwick już trzeci raz była „oddelegowana” do więzienia Holloway za zaczepianie klientów na ulicy, kiedy poznała Amy.

Ta natychmiast się zorientowała, że chociaż Nellie — która odziedziczyła po ojcu, pół-Jamajczyku i pół-Chińczyku, smagłą skórę, a ciemnorude włosy po matce Irlandce — nie była ani trochę piękna, miała jednak w sobie coś naprawdę niezwykłego i cudzoziemskiego, czego nikt dotąd nie zauważył. Ciężkie życie w niczym nie umniejszało jej nieustannie dobrego nastroju i poczucia humoru.

— Czy myślałaś kiedyś o tym, żeby zostać modelką, Nellie? — spytała Amy.

— Modelką? — zaskrzeczała Nellie. — Jakaś cholerną modelką? Nie, Amy, nigdy o tym nie myślałam.

— A powinnaś.

Przez sześć tygodni, na które ją skazano, w wolnych chwilach i pod kierunkiem Amy Nellie chodziła tam i z powrotem po więziennej bibliotece z egzemplarzem Finnegans Wake Jamesa Joyce'a na głowie, aż wreszcie udało się jej to robić z prawdziwą gracją.

Ami poradziła jej też, żeby tak okropnie nie skrzeczała i w miarę możliwości ograniczyła „rzucanie mięsem”. Nellie, jak wszystkie ulicznice, strasznie przeklinała.

— W ten sposób będziesz tylko wszystkich do siebie zrażać — ostrzegała. — Tam, po drugiej stronie muru, ludzie są po prostu inni niż tu...

Nellie opuściła więzienie Holloway, obiecując, że zrobi wszystko, żeby już więcej tu nie wrócić.

Amy postarała się, żeby Leo wysłał Nellie pięćdziesiąt funtów na porządne ubranie, fryzjera i kosmetyczkę — i proszę, proszę — Nellie została przyjęta przez pierw-

szą agencję modelek, do której poszła. Zmieniła imię na „Ellie” i z dnia na dzień stała się prawdziwą sensacją, modelką, która „wydostała się z ryszotki i teraz utrzymuje i siebie, i swoich trzech młodszych braci”, jak pisały o niej plotkarskie gazety. Przestała skrzeczeć i kłąć jak szewc, w każdym razie publicznie, zachowała jednak charakterystyczny londyński akcent „cock-ney” i była lubiana przez wszystkich. Pięć lat temu rzuciła pracę modelki i wyszła za mąż za młodego arystokratę, niezmiernie bogatego. Współczesna wersja bajki o Kopciuszku — na wskroś realna.

Przez cały czas często odwiedzała Amy.

Amy prosiła, żeby nigdy nie łączyć jej imienia z przyjaciółką.

— Dla dobra mojej rodziny wolę, żeby wszyscy o mnie zapomnieli — powtarzała zawsze. — Tak czy owak, powiązania ze mną na pewno ci się nie przysłużą.

Nellie w odpowiedzi skrzeczała, że gównu ją obchodzi, co sobie ktoś tam pomyśli.

— Dlaczego cię wypuścili? Właśnie teraz... — spytała w pewnej chwili.

— Myślę, że mieli mnie już po dziurki w nosie — odparła z uśmiechem Amy.

Kobiety skazane za morderstwo na dożywocie zwykle wypuszczano wcześniej, chociaż „jej zbrodnia” oraz towarzyszące jej okoliczności zostały uznane za bardziej nikczemne i odrażające niż w większości przypadków.

Była zbyt oszołomiona, żeby rozmawiać. Chciała tylko wyglądać przez okno i przyzwyczajać się do myśli, że naprawdę jest już poza więzieniem.

Rano zjadła swój ostatni posiłek za kratkami, spała tam ostatnią noc... i już nigdy nie będzie musiała nosić więziennych ubrań.

Nellie musiała się domyślić, co czuje Amy, a ponieważ była wrażliwą istotą, pokromiła swoje gadulstwo i co najmniej godzinę jechały w milczeniu; wreszcie Amy wyrzała przez okno i spytała:

— Gdzie teraz jesteśmy?

— W Essex, mała. Zaraz wjedziemy do Chelmsford. Aha, kupiłam ci trochę ubrań, tylko kilka drobiazgów na farmę zdrowia; lekkie rzeczy, jak dresy i sukienki z frotte, szorty... Aha, jeszcze trykot i kilka kostiumików.

— Jakich kostiumików?

— To takie eleganckie pidżamki z krótkimi szortami, których nie zakłada się się broń Boże do łóżka.

— To nadzwyczajne, co dla mnie robisz, Nellie. Dziękuję ci z całego serca.

Amy była tak wzruszona, że głos jej uwiązł w gardle. Cathy przysłała jej ubranie, które teraz miała na sobie — prostą czarną spódnicę, czarny żakiet i białą bluzkę z falbankami od Marksa i Spencera, poza tym trochę ładnej bielizny.

— Nie wiem, jak dałabym radę przejść przez to wszystko, gdyby nie przyjaciele — powiedziała do Nellie. — Obojętne, w jakim siedziałam więzieniu, nie było prawie weekendu, żeby mnie ktoś nie odwiedził: Leo, Cathy, nasz Charlie, Harry, ty! Mama odwiedzała mnie regularnie, aż do swojej śmierci. — Nagła śmierć mamy na skutek niewydolności serca była dla Amy bolesnym ciosem. — Mój adwokat też mnie często odwiedzał.

To dzięki wieloletnim, niestrudzonym staraniom Bruce'a Haywarda w jej sprawie zwolniono ją niespodziewanie z więzienia.

Znów zapadła cisza. Nellie wydawała się drzemać.

Amy skupiła uwagę na rozległych polach, które ciągnęły się po horyzont, i małych miścinach Essex, aż dotarli do znaku informującego, że są już w hrabstwie Suffolk. Był koniec wiosny i wszystko dookoła wyglądało, jak otulone koronkowym płaszczem zieleni. Niebo wciąż było pokryte ciężkimi, czarnymi chmurami.

Była wolna!

Nareszcie skończyły się te czarne dni. Już nigdy nie będzie musiała lawirować z największą ostrożnością po polu minowym, jakim było więzienne życie; unikać klik i być miłą dla wszystkich, nawet najbardziej brutalnych więźniarek, naprawdę przerażających kobiet, które były inne pod prysznicami zupełnie bez powodu, o ile Amy się dobrze orientowała. Po prostu musiały się na kimś wyżyć. Pewnego ranka, niedługo po swoim przybyciu do więzienia Holloway, była świadkiem napaści z nożem w rękę. Zaatakowana kobieta omal nie umarła.

— Niczego nie widziałam — zeznała później naczelnikowi więzienia, który natychmiast wszczął dochodzenie.

To było zwykłe tchórzostwo, ale za wszelką cenę chciała żyć, nawet jeśli nie było przed nią żadnej przyszłości.

Cieszyła się popularnością wśród więźniarek. Wiele z nich było ofiarami mężczyzn — swoich sutenerów, chłopaków, mężów, ojców — uważano ją więc za bohaterkę, która miała odwagę porzucić rolę ofiary i zabić męża — dręczyciela.

Żadna z nich nie wątpiła, że na to zasłużył.

Słońce dopiero wschodziło nad Butterflies, kiedy Amy się zbudziła. Wzięła prysznic, rozkoszując się miękkością białych ręczników i słodkim zapachem mydła.

Ponieważ nie miała pojęcia o programie przewidzianym na ten dzień, włożyła luźne białe spodnie z bawełny — w więzieniu czytała regularnie modowe czasopisma, dlatego wiedziała, że nie nazywa się ich już „dresami” — i pasującą do nich luźną g5rę bez rękawów, po czym stanęła przed lustrem i przyjrzała s ję swemu odbiciu. Miała zmęczoną twarz i wyglądała blado, jedr^ak dużo lepiej niż wczoraj. Zapewne dzięki solidnej dawce mocnego snu tej nocy jej policzki lekko się zaróżowiły. Postanowiła, że kiedy po trzech tygodniach opuści Butterflies, będzie wyglądać tak dobrze jak przed pójściem do więzienia... Poza tym, że miała teraz 0 dwadzieścia lat więcej.

Wyszła z pokoju i zeszła na dół.

Dom był stary i piękny, jasny i pełen przestrzeni, z białymi ścianami i lśniącymi posadzkami. Z kuchni dobiegał brzęk naczyń, ale w sali jadalnej na razie nie było żywej duszy.

Otworzyła oszklone drzwi prowadzące na Wybrukowany teren zastawiony ławkami i stołami i usiadła, nie przejmując się, że poranne powietrze jest wilgotne i chłodne.

Na wschodzie pojawił się pierwszy, nieśmiały promień słońca i szare dotąd niebo zaczęło się powoli rozjaśniać. Jakiś ptak już śpiewał w zaroślach, a krople rosy jak lzy lśniły na trawniku, który, sięgał aż do małego zagajnika, przypominając Amy krajobraz Pond Wood.

Po lewej stronie widziała senną miejscinę, w której jedyną oznaką życia była smuga dymu unoszącego się z komina na dachu krytym strzechą. Może to była ta miejscowość, w której podobno jest jakiś bar. Wczorajszego wieczoru Nellie koniecznie chciała się tam wybrać, ale Amy stwierdziła, że jeszcze nie jest gotowa na takie wycieczki.

— Potrzebuję czasu, Nellie. Muszę się po prostu przestawić na inne obroty — wyjaśniła przyjaciółce.

Nellie zaraz zaczęła ją przeproszać, tłumacząc, że jest taka cholernie gruboskórna, i obiecała na przyszłość postępować wyłącznie według sugestii Amy.

„Za dużo tego i za szybko...”, myślała Amy.

Wokół niej kręciło się zbyt wielu ludzi, okolica była zanadto rozległa, a ten dom zbyt wytworny. Zeszłą noc spędziła w łóżku z kremową atlasową pościelą, w pokoju z kremowym dywanem i koronkowymi firankami w oknach.

Kontrast pomiędzy tutejszym luksusem a całą więzienną był zbyt duży, żeby mogła sobie z tym od razu poradzić.

Na dziedzińcu pojawiła się jakaś kobieta w kwiecistym stroju z frotte. Czy to właśnie był ten „kostiumik”? Usiadła obok Amy i z miejsca przystąpiła do zadawania jej mnóstwa wnikliwych pytań. Amy była zmuszona do wymyślenia na poczekaniu wyimaginowanego scenariusza swojego życia. Po chwili weszło więcej gości, wśród nich Nellie.

Wyglądała zjawiskowo w śliwkowym trykocie i czarnych rajstopach. Wszyscy natychmiast ją rozpoznali i cała uwaga skupiła się teraz na niej, ku wielkiej uldze Amy.

Potem Nellie przyniosła Amy górę gazet.

— We wszystkich jest coś o tobie — oświadczyła. — Piszą, że się gdzieś ukryłaś. Chcesz przeczytać?

— Nie, dzięki.

Amy nigdy nie czytała tego, co o niej pisała prasa. Już wystarczająco okropne było słyszeć, co ludzie mówią, a co dopiero o tym czytać!

\* \* \*

W ciągu następnych tygodni ciało Amy masowano, ugniatano, oklepywano i naciągano. Nogi wydepilowano jej woskiem; paznokcie u rąk miała teraz pięknie wymankiuirowane i pomalowane lakierem „Płomienny róż”. Zaprowadzono ją do sauny, ale zaraz stamtąd wybiegła, umierając z przerażenia na samą myśl o zamknięciu w ciasnym, gorącym pomieszczeniu, z którego nie mogłaby się wydostać. Codziennie pływała w małym, krytym basenie, w którym woda lśniła turkusowo. Nauczyła się pływać jeszcze przed wojną, kiedy razem z Cathy chodziły na basen w Bootle. Ubrana w kolorowy trykot brała udział w ćwiczeniach przed śniadaniem, próbowała zajęć jogi, w nieustannie siąpiącym deszczu chodziła z Nellie na długie spacer, po których zwykle lądowały w wiejskim barze Cock & Buli, gdzie opychały się zapiekanką z wołowiny i cynaderek — i kilogramami frytek. Cóż, najzwyczajniej w świecie były głodne! Kuchnia w Butterflies oferowała głównie sałatki i gotowaną rybę.

W pierwszy piątek, kiedy wiele pań szykowało się do sobotniego wyjazdu — niebawem miał się rozpocząć następny turnus, Amy siadła przed lustrem w salonie fry-

zjerskim i ze zdumieniem stwierdziła, że wygląda teraz dużo lepiej. Z każdym dniem czuła, jak jej ciało reaguje na to cudowne rozpieszczanie. Jej cera nie była już szara, oczy odzyskały dawny blask. Zaczynała się znowu czuć kimś, kto należy do rasy ludzkiej. W salonie fryzjerskim czesano jej włosy po nawinięciu ich uprzednio na wielkie rolki. W więzieniu zapuściła je do połowy pleców i sama podcinała od czasu do czasu, nie zwracając uwagi na to, że zaczynają trochę siwieć.

Teraz jednak były modnie obcięte, ułożone i podfarbowane — wyglądały zupełnie jak nowe. Znowu falowały i pięknie się kręciły, znów błyszczały jak szczere złoto, chociaż ich kolor nie był już tak naturalny jak dawniej.

— Już prawie, prawie jestem sobą — powiedziała do swojego odbicia w lustrze. — W każdym razie na zewnątrz, bo tam w środku jeszcze niezupełnie...

\* \* \*

Przez kolejne dwa tygodnie, już bez Nellie, Amy spędzała czas na słodkim lenistwie. Śniadanie jadła w łóżku, wstawała późno, dużo czytała; spacerowała albo jeździła na rowerze po rozległym terenie uzdrowiska, zwykle samotnie.

Pogoda się poprawiła. Amy brała zabiegi kosmetyczne, trochę łagodnych masażów, uprawiała więcej ćwiczeń jogi. Leżała na podłodze z szeroko rozłożonymi rękami, a czyjś spokojny głos zachęcał ją do relaksu każdej części ciała przy równoczesnym wdychaniu zapachu płonących, pachnących świec.

Tego dnia, kiedy miała wyjechać, z samego rana znowu poszła się uczesać. Po południu miał przyjechać po nią Leo.

W piątek odebrała paszport, a już w poniedziałek mieli wylądować w Paryżu.

\* \* \*

Leo Patterson zawsze był czarującym i niezwykle przystojnym mężczyzną. Amy była tego świadoma już w dniu, kiedy się poznali, jak również zdawała sobie sprawę z faktu, że ona, żona jego syna, bardzo się teściowi podoba. Nigdy jednak nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby go zachęcać, robić mu jakieś nadzieje, a gdyby Leo złożył jej jakąś niestosowną propozycję, byłaby w najwyższym stopniu skonfundowana i nie chciałaby go więcej znać.

Teraz sprawy miały się zgoła inaczej. Barney nie żył; nie żyła też Elizabeth, która zmarła samotnie w domu w Calderstones, zbudowanym ze starych cegieł i starych bełek.

Leo odszedł od niej definitywnie po tym, kiedy podczas procesu w następstwie kłamliwego oświadczenia Elizabeth omal nie zapadł wyrok skazujący Amy na śmierć.

Ale uczucia Amy do Leo nie uległy zmianie.

W dalszym ciągu był dla niej ojcem Barneya i każdą z nim relację, inną niż przyjaźń, uważałyby za kazirodztwo. Mimo to jednak chciała wyglądać jak najlepiej — dla niego, chciała widzieć w jego oczach podziw i założyłyby się, że podobnie jak ona, większość kobiet też czułaby to samo.

\* \* \*

Siedziała w holu i czytała książkę, ubrana w czarną spódnicę i białą bluzkę, prezenty od Cathy, kiedy wszedł Leo.

Jak na mężczyznę po siedemdziesiątce wyglądał nadzwyczaj atrakcyjnie, ze swoją szczupłą twarzą i szpakowatymi włosami. Niewielu starszych mężczyzn mogłoby — czy powinno — nosić tak wąskie i dopasowane dżinsy, uzupełnione srebrnoszarym swetrem.

Podniósł dłoń i przesłał Amy całusa, po czym zatrzymał się, by porozmawiać z recepcjonistką.

— A więc... — odezwała się cichym głosem siedząca obok Amy kobieta — to jednak prawda.

Była mniej więcej w wieku Amy, szykownie ubrana i precyzyjnie umalowana, ale wszystkie te zabiegi nie zdołały przepłoszyć smutku z jej oczu. Przyjechała do Butterflies dopiero wczoraj. Miała na imię Audrey.

— Przepraszam...?

— Jednak to prawda, że miała pani romans ze swoim teściem.

Amy poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

— Nic podobnego — wyjąkała.

— Jeśli o mnie chodzi, wszystko mi jedno, czy coś tam było, czy nie. — Kobieta lekceważąco machnęła ręką. — Pamiętam, jak bardzo panią wtedy podziwiałam. Czytałam wszystko, co o pani pisały gazety, i oglądałam panią w kronikach w kinie.

— Podziwiała pani... mnie?

— Tak. Miała pani odwagę pozbyć się tego sukinsyna męża. Ja za bardzo się bałam. A szkoda. Nadal jesteśmy razem... po tylu latach.

Amy nie potrafiła wymyślić niczego, co mogłaby na to odpowiedzieć.

— Wygląda pani na zaskoczoną, pani Patterson... — ciągnęła dalej kobieta. — Widzi pani, znam pani nazwisko i wiem, że ma pani na imię Amy. I córeczkę Pearl. Jeśli pani nie chce, żeby ludzie panią poznawali, radzę coś zrobić z włosami. I to szybko... — pochyliła się do Amy. — To pierwsza rzecz, na którą zwróciłam uwagę.

— Dziękuję pani — odparła Amy sztywno.

Kobieta coś jeszcze mówiła, ale Amy już nie słuchała, ponieważ Leo podszedł i powiedział jej, że wygląda jak milion dolarów.

Wstała i uściskali się serdecznie.

— Nie będziesz się gniewać, jeśli jeszcze trochę na mnie zaczekasz? — spytała. — Po dwudziestu latach pół godziny nie robi ci chyba różnicy, prawda? — zażartowała. — Chcę zobaczyć, czy fryzjer mnie przyjmie.

Za nic w świecie nie chciała, żeby ludzie wytykali ją palcami w restauracji albo na ulicy. Mimo iż nie miała zamiaru ukrywać swojej tożsamości, nie zamierzała nią nikogo epatować.

\* \* \*

— Po południu chciałabym sobie kupić suknię — zwróciła się do Leo.

Siedzieli w kawiarni na Polach Elizejskich, przy stoliku na ulicy, pili kawę i obserwowali mijające ich samochody i niecierpliwych kierowców, bez przerwy trąbiących klaksonami. Był piękny majowy dzień, ani zimny, ani gorący i tudownie słoneczny. Leo przeglądał „Timesa”: miał na nosie śmieszne cienkie okulary, które stały się modne dzięki Johnowi Lennonowi.

To właśnie mniej więcej robili, odkąd przybyli do Paryża — pili kawę i spacerowali po zielonych bulwarach. Aha, no i zakupy!

— Już sobie coś upatrzyłaś? — zagadnął Leo.

— Tak, wczoraj przy placu Republiki.

— Niebieska czy zielona?

Bardzo się interesował wszystkim, co kupowała, dokładnie jak niegdyś Barney.

Chociaż byli w Paryżu, płaciła tu za swoje stroje i dodatki tylko odrobinę drożej, niż gdyby kupiła je w kraju. Ale wszystkie miały tę dodatkową porcję chic, a już szczególnie pantofle.



— Zielona... chyba.

Trudno jej było skupić na czymś uwagę. Do niedawna prawie wszystkie decyzje podejmował za nią ktoś inny, a każdy nadchodzący dzień czy tydzień był szczegółowo zaplanowany. Sama musiała decydować co najwyżej o tym, jaką książkę przeczyta, albo co napisze w następnym liście. Ciągle jeszcze budziła się z samego rana, myśląc, że nadal jest w więziennej celi.

Nigdy nie przeżyła większej radości, niż kiedy sobie zdała sprawę, że teraz jest wolna jak ptak.

— Umieram z chęci zobaczenia Pearl — wyznała. — Chciałabym zobaczyć, jak teraz wygląda naprawdę... bo fotografia to nie to samo.

W więzieniu prosiła, żeby jej dawać tylko jedną fotografię córki rocznie, co wystarczało, by pamiętała, że jej córka nie jest już pięcioletnim brzdącem, którego zostawiła w domu.

Leo pozwolił, by okulary zsunęły mu się na sam czubek nosa.

— Ta, którą zrobiliśmy, kiedy skończyła dwadzieścia cztery lata? — spojrzał na nią pytająco. — Jest naprawdę bardzo ładna.

— Racja. Wygląda na niej prześlicznie — z czułością zauważyła Amy. Miała już fotografie Pearl od pierwszej komunii, od bierzmowania, z dnia ukończenia studium nauczycielskiego... To Cathy nadzorowała studia i karierę zawodową Pearl od chwili, kiedy ta wyraziła chęć zostania nauczycielką.

W pewnej chwili przy stoliku naprzeciw nich usiadł chłopak z dziewczyną. Młodzi natychmiast się objęli i zaczęli całować. Przyszedł kelner i stał nad nimi z pobłażliwym uśmiechem na twarzy, czekając, aż skończą. Zamówili, spojrzeli sobie głęboko w oczy i wrócili do pocałunków. Jak to zakochani...

Patrząc na nich, Amy poczuła w sercu ukłucie zazdrości.

— Barney kiedyś proponował, żebyśmy, kiedy wojna się skończy, pojechali do Paryża na nasz miesiąc miodowy — wspomniała. Gdyby tu teraz była z Barneyem, dawnym Barneyem, też mogliby siedzieć na Polach Elizejskich i tak samo się całować. — Ale kiedy wrócił do domu z tego przekłętą obozu dla jeńców wojennych, nie miał już nigdy ochoty na miesiąc miodowy.

Ta ostatnia myśl przypominała jej o bungalowie, w którym ostatnio mieszkali. Pod wpływem impulsu spytała Leo, co się stało z tym domem.

— Był tylko wynajęty — poinformował ją Leo. — Nie mam pojęcia, kto w nim po was zamieszkał.

Zatem już wkrótce Amy będzie sobie musiała znaleźć jakieś mieszkanie. Po raz pierwszy w życiu będzie sama o sobie decydować. Wyszła na wolność, ale to dopiero preludium, resztę symfonii musi sama dopisać...

Za kilka dni stuknie jej pięćdziesiątka, a wtedy Amy — kobieta na półmetku — będzie musiała postanowić, co zrobi z resztą swojego życia.

\* \* \*

Leo wystąpił z pomysłem nieoczekiwanego pojawienia się Amy podczas przyjęcia, na którym będą Pattersonowie, Curranowie i Cathy Burns. Jego zdaniem to byłoby dla wszystkich naprawdę wielką niespodzianką.

— Czy to trochę nie zanadto teatralne? — spytała w pierwszej chwili. Nie zastanawiała się jednak zbyt długo. — Czy na pewno powinni być zaskoczeni? Czy nie można im po prostu powiedzieć, że tam będę?

— Nie, to nie byłoby to samo. Ach, pozwól, Amy! — kusił Leo. — Uwielbiam robić ludziom niespodzianki.

Aby mu sprawić przyjemność i z wdzięczności za to, że tak wspaniale się wobec niej zachowywał przez te wszystkie lata, zgodziła się w końcu.

W Galleries Lafayette zapłaciła za prostą dopasowaną suknię z czarnego weluru pięć razy drożej niż za swoje inne stroje. Suknia miała długie rękawy i golf, a cieniutki materiał przylegał jak druga skóra do jej szczupłego ciała.

Następnego dnia lecieli już z Paryża do domu.

Wakacje się skończyły.

\* \* \*

Czekała w damskiej toalecie hotelu Carlyle w Southport. To wszystko wyglądało strasznie dramatycznie. Za chwilę zacznie się spektakl: wyjdzie na zewnątrz, a kelner jej powie, kiedy pan Patterson zamówi szampana — i to będzie chwila, w której powinna podejść do ich stołu. Wiedziała, gdzie jest ten stół, ale widziała go tylko z daleka.

Zauważyła, że nos jej się błyszczy, więc szybko go upudrowała, poprawiła szminką usta i przyglądała krótko obcięte, brązowe włosy. Czy to naprawdę aż takie ważne, żeby przy pierwszym spotkaniu z córką wyglądała jak gwiazda filmowa?

„Dla mnie tak”, pomyślała, uśmiechając się lekko. „Zawsze mnie interesowało, jak wyglądam... może nawet za bardzo. Ale taka już jestem...”.

Podeszła do drzwi, uniosła rękę, żeby je otworzyć, i w tym momencie poczuła pragnienie, które wprost zaparło jej dech w piersiach. Zapragnęła — zapragnęła całym swoim sercem, całym ciałem, tak mocno, że aż boleśnie — żeby, gdy otworzy te drzwi, tak pięknie wystrojona, żeby był tam Barney, żeby na nią czekał — pięćdziesięciodwuletni Barney, przystojny jak zawsze, w swoim najlepszym garniturze.

— Ach, jesteś, kochanie — powiedziała, biorąc ją za rękę. — Napijesz się czegoś, zanim zamówimy kolację?

Ale to marzenie nie miało sensu.

Teraz drżała z emocji i serce waliło jej jak młot.

Wyszła z garderoby. Zbliżył się kelner.

— Jest pani gotowa, madame?

Amy skinęła głową i poszła za nim przez salę, tam gdzie miała być jej córka z jakimś młodym człowiekiem o imieniu Rob, którego Leo nie znał.

I oto tam była — ona, Pearl, tak bardzo podobna do Barneya, z taką samą gładką cerą i ciemnobrązowymi włosami. Twarz miała spokojną — czy naprawdę istnieją ludzie o spokojnych twarzach?

W tym momencie Pearl podniosła wzrok, pochwyciła jej spojrzenie i rzuciła się w ramiona Amy, a ona powtarzała:

— Cicho, cicho, kochanie. Cicho, no, cicho... Nie płacz, kochanie. Jestem już w domu.

\* \* \*

Po kilku dniach Amy jadła lunch w hotelu Adelphi z Harrym, podczas gdy Charlie przewoził jej rzeczy do domku Cathy, w którym miała przez jakiś czas zamieszkać.

Brat Barneya był zawsze doskonale ubrany. Dzisiaj, w jasnoszarym garniturze, białej koszuli i srebrnym krawacie wyglądał tak reprezentacyjnie, że można go było wziąć za zaprzyjaźnionego szefa banku albo za rodzinnego prawnika. Trudno byłoby go sobie wyobrazić jako żołnierza, który walczył mężnie przez całą wojnę, nie dbając o medale i zaszczyty.

Pierwszy raz siedzieli dziś sami, tylko we dwoje.

Harry stwierdził, że Amy wygląda fantastycznie.

— Spodziewałem się, że zobaczę jakąś biedulkę z sińcami pod oczyma, jak Susan Hayward w tym filmie *I Want to Live*. Widziałaś go?

— Jeżeli to ten, w którym ta biedulka siedzi w więzieniu, to nie, Harry. Nie widziałam go, bo przypadkiem wtedy sama siedziałam w więzieniu. Czy ona tam na końcu ginie w komorze gazowej?

— Tak — odparł ponuro. — Chyba właśnie palnąłem gafę?

— Tak, ale się tym nie przejmuj. Tym razem ci wybaczam. — powiedziała z lekkim uśmiechem.

— A co sądzisz o swojej córce? — zapytał.

— Jest urocza. I chyba w końcu uznała, że właściwie mnie lubi. Spodziewałam się chłodu, obojętności, a nawet nieuprzejmości, a tu coś takiego! Zachowała się bardzo miło, chociaż była trochę spięta. Ale to rozumiiałe.

— Zważywszy na okoliczności, byłoby chyba cholerną ironią losu, gdyby nie była dla ciebie miła — zauważył z brutalną szczerością Harry.

— Harry, kochanie — cierpliwie zwróciła mu uwagę Amy. — Pearl myśli, że to ja zamordowałam jej ojca.

— Ależ oczywiście... Ale też wie, że istniały okoliczności łagodzące.

— Okoliczności łagodzące czy nie, wbić komuś nóż w brzuch i zabić go na miejscu to okrutna zbrodnia, zwłaszcza gdy ofiarą jest ślubny mąż. — Podszedł kelner i zebrał talerze. Amy spojrzała na niego, dyskretnie, mając nadzieję, że nie dosłyszał jej ostatniej uwagi.

— Jak myślisz, czy Pearl kiedyś sobie przypomni, że to ona zrobiła?

Amy zadrżała.

— Modlę się, żeby to się nigdy nie stało. Jednak nawet gdyby tak było, mam nadzieję, że wtedy już będzie szczęśliwą żoną tego sympatycznego chłopaka, który ma takiego słodkiego synka.

Z jakiegoś dziwnego powodu Gary ze swoimi niewinnymi oczyma i słodkim charakterem wzruszał ją bardziej niż wszystko inne, co zastała po swoim powrocie.

Przez resztę posiłku Harry mówił o Cathy.

— Chciałbym ją częściej widywać — rzekł, znowu ponury.

— Dlaczego nie zaprosisz jej po prostu na randkę, kiedy się spotkacie następnym razem?

Harry wzdychał do Cathy od dnia, kiedy się poznali w Southport na molo, już tyle lat temu.

Smętnie pociągnął nosem.

— Nie zechce sobie zwracać głowy takim starym dziwakiem jak ja.

— Na litość boską, Harry! — zawołała Amy. — Masz dopiero pięćdziesiąt pięć lat. Jesteś mężczyzną w kwiecie wieku, a nie zgrzybiałym starcem!

— Właściwie mam pięćdziesiąt cztery — poprawił ją szybko.

— No i co z tego? Tym bardziej nie jesteś staruszkiem. — Miała ochotę walnąć go łyżką. — Kiedy wrócimy do domu Cathy, mógłbyś ją zaprosić.

— Może i mógłbym.

\* \* \*

Amy zbudziła się w połowie snu, którego nie mogła sobie przypomnieć, tyle tylko, że to był jeden z tych ponurych snów, po których człowiek zawsze beznadziejnie się czuje.

Był dopiero kwadrans po piątej. Leżała i cicho płakała, nie chcąc niepokoić Cathy, która i tak w końcu wstała, wzięła prysznic, po czym zastukała do pokoju Amy i cicho zawołała ją po imieniu.

Amy się nie odezwała.

Słyszała, jak Cathy przygotowuje herbatę i miała nadzieję, że nie wpadnie na pomysł, żeby jej przynieść śniadania do łóżka; Cathy chyba rzeczywiście postanowiła pozwolić przyjaciółce się wyspać. Włączyła radio — i wtedy Amy już sobie mogła płakać do woli, zanosić się nieopanowanym szlochem i beczeć w poduszkę.

Pomyślała, że świetnie dała sobie radę. To prawda, była z siebie bardzo dumna. Wczorajsza rozmowa z Harrym naprawdę zrobiła na niej samej wrażenie. Była uprzejma, na temat i odrobinę zabawna.

Ale to było wczoraj... a teraz jest już nowy dzień. Dziś czuła się naprawdę przybita, jak gdyby jej dalsze życie było pozbawione sensu.

To głupie, ale marzyła, żeby był tu teraz Gary; siedziałby w nogach jej łóżka, patrzył na nią tymi swoimi zielonymi oczyma i opowiadał o „tubelkach” farb i o kocie, którego miał w Ugandzie. Był w tym samym wieku, w jakim była Pearl, kiedy Amy poszła do więzienia, pewnie dlatego tak za nim tęskniła.

Chyba jest już za późno, żeby zostać nauczycielką?

Ten pomysł był tak absurdalny, że przestała płakać i roześmiała się histerycznie. Tak, to rzeczywiście czyste szaleństwo. Ktoś, kto siedział w więzieniu za morderstwo, miałby zostać nauczycielem? Paradne!

Wyglądało na to, że to już koniec płaczu — to znaczy na dziś.

Amy włożyła fioletowy szlafroczek, który jej kupiła Nellie — i zeszła na dół.

— Ach, jesteś wreszcie! — zawołała Cathy, najwyraźniej zachwycona jej widokiem. Czy można mieć lepszą przyjaciółkę?

— Dlaczego nie jesteś w szkole? — spytała Amy.

— Bo mamy sobotę, a później wybieramy się do miasta. Zapomniałaś? Chciałaś kupić dla Gary'ego kostium piłkarza Everton. Napijesz się herbaty?

— Tak, proszę. Kilka filiżanek. — Teraz naprawdę się już lepiej czuła. Nie tylko z powodu Cathy, ale i perspektywy pójścia na zakupy. Weszła za przyjaciółką do kuchni. — Myślę, że może sobie kupić jakąś torbę. Mam teraz tylko jedną. Trochę mało, nie sądzisz?

— Przyznam, że i ja powinnam sobie kupić nową. Ostatnią kupiłam chyba całe wieki temu.

— Ja funduję — obiecała Amy.

— Nie ma takiej potrzeby — zaprotestowała Cathy.

— Gdybym ci nawet kupiła wielki worek ze szczerego złota, i tak nie wypłaciłabym ci się za to, co dla mnie zrobiłaś, Cathy! — Głos Amy drżał ze wzruszenia.

— No, no, tylko mi się tu nie rozklejaj, dziewczyno! — Cathy wyglądała na zakłopotaną.

Amy zebrała się w sobie. Jeżeli nie będzie się pilnować, zaraz znów się rozbeczy.

\* \* \*

Kiedy były w mieście, prawie cały czas padało. Drogę od sklepu do sklepu przemierzały kłusem — od Lewisa do Owen Owens, a stamtąd do George Henry Lee's, gdzie zjadły lunch. Amy myślała bez przerwy o Pearl, która miała się dziś spotkać ze Stevenem Conwayem; strasznie się denerwowała, chociaż w głębi duszy miała nadzieję, że córka nie zrobi nic głupiego. Zwierzyła się ze swoich niepokojów Cathy, która ją zapewniła, że nie ma powodu do obaw, ponieważ Pearl ma głowę na karku.

— To rozsądna dziewczyna, więc przestań się już martwić.

— Kiedy nie mogę. Żeby tylko Rob się nie dowiedział, że poszła na randkę z innym facetem. Głupia sprawa. Powinnam była może z nią porozmawiać, zanim się spotka z tym Stevenem. Wiesz co, zadzwonię do Charliego.

— Proszę, proszę! — Cathy wybuchnęła śmiechem. — Jesteś w domu zaledwie od paru dni i już się w tobie obudziła kontrolująca rodzicielka!

— Oj, dobrze, już dobrze. W takim razie nie będę dzwonić. Moja dorosła córka wie, co robi.

\*\*\*

Nie była ani trochę zaskoczona, kiedy zaraz po podwieczorku pojawili się Leo z Harrym, jakby to robili co wieczór. Harry jednak w dalszym ciągu nie proponował Cathy randki.

— Co wy wszyscy właściwie robiliście, zanim wróciłam do domu? — spytała.

Leo odparł, że w soboty zwykle bywa w klubie Rotary.

— Z reguły jest tam zawsze jakaś uroczystość.

Harry powiedział, że zazwyczaj o tej porze stoi oparty o kontuar baru w klubie golfowym po całodzienną, wyczerpującą grze.

Amy uniosła brwi.

— W deszczowy dzień też?

— Zwłaszcza w deszczowy: prawdziwi golfiści nawet wołają, kiedy pada.

Cathy, zajęta nastawianiem płyty z Frankiem Sinatrą, oznajmiła, że gdyby tu nie było Amy, siedziałyby teraz w teatrze z przyjaciółmi.

— Nie masz pojęcia, ilu przyjaciół zaniedbałam od czasu, kiedy się znowu pojawiłaś na scenie, Amy.

— Zobaczysz, niedługo będziemy cię mieli po dziurki w nosie — ostrzegł ją z szerokim uśmiechem Leo. — Będiesz jeszcze błagała, żeby ktoś z nas raczył cię odwiedzić.

Amy przyznała, że najprawdopodobniej tak właśnie będzie.

\* \* \*

Później zaproponowała, żeby zaprosić telefonicznie Roba i Gary'ego. Już się nie mogła doczekać, żeby zobaczyć minę tego malca, kiedy mu wręczy koszulkę z nadrukiem „Everton”.

— Znasz ich numer telefonu? — zwróciła się do Cathy.

Cathy nie знаła, ale wiedziała, że Rob mieszka u siostry w Sea-

forth. Znalazły w książce telefonicznej panią E. Finnegan, zamieszkałą przy Sandy Lane, i zadzwoniły. Odebrał Rob, był zaskoczony, ale bardzo się ucieszył i przyrzekł, że niebawem przyjadą.

— A co będzie, jeżeli Pearl przyprowadzi tu Stevena Conwaya, a Rob nadał u nas będzie? — zaniepokoiła się nagle Cathy.

— O Boże! Nie pomyślałam o tym! Ale czekaj, czekaj... Steven gra dziś wieczorem w Cavern, więc na pewno nie zjawi się wcześniej niż po północy. Jeśli w ogóle... A do tego czasu Roba już na sto procent nie będzie.

\* \* \*

Gary miał wypieki na twarzy. Nadal przeżywał film Bedknobs and Broomsticks, który właśnie obejrzał. Amy uznała, że to musiało być fascynujące. Potem Gary razem z tatusiem zjedli podwieczorek w Wimpy.

— Jadłem beefburgera z sosem — oznajmił — i takie malutkie, cienkie fryteczki! I różowe lody!

— Wiesz, ja też marzyłabym o takim podwieczorku.

— Tatuś może cię tam zabrać w przyszłym tygodniu, jeżeli oczywiście będziesz chciała — wspaniałomyślnie powiedział chłopczyk. — Chyba jeszcze wtedy nie wyjedziemy do Kanady, co, tatusiu?

— Nie, synku. Zanim wyjedziemy, upłynie wiele tygodni. — Rob zwrócił się do obecnych, na twarzy miał jeszcze większe wypieki niż jego syn. — Dziś rano dostałem list — wyjaśniał z szerokim uśmiechem. — Od kolegi, z którym pracowałem w



Ugandzie. Jego ojciec przejął firmę elektroniczną na wyspie Vancouver i wyobraźcie sobie... chcą mnie zaangażować jako szefa ochrony. Mam zacząć w sierpniu.

Rozległy się chóralne gratulacje. Leo potrząsał serdecznie dłonią Roba i klepał go po ramieniu.

Amy była ciekawa, jakie miejsce w jego planach zajmuje Pearl. Czy Rob będzie chciał, żeby z nim pojechała? I czy ona zdecyduje się na ten wyjazd? Tak daleko... A może właśnie uznała, że Steven to dla niej idealny mężczyzna? A może nie chce się wiązać z żadnym z nich?

Wręczyła Gary'emu koszulkę klubu Everton. Małemu zaśniły oczy, spojrzał na swój wspaniały podarunek i wyrecytował z powagą:

— Bardzo ci dziękuję, Amy.

Pomogła mu ją założyć, wtedy zapytał, czy może sobie pograć w ogrodzie.

— Pada deszcz, kochanie — zwróciła mu uwagę.

— Nie, właśnie przed chwilą wyszło słońce.

— Masz rację! — Wzięła go za rączkę. — Wobec tego wyjdziemy, dobrze?

Ogródek Cathy był prawie cały wybrukowany, otaczał go wąski pas drzew i krzewów. Amy przyniosła z garażu płócienne krzeselko i patrzyła, jak Gary kopie niewidzialną piłkę i wbija mnóstwo goli do niewidzialnej bramki.

Ziemia pachniała świeżością, na kostkach bruku pojawiały się już suche miejsca, które z każdą minutą robiły się coraz większe. Płomiennie czerwone słońce schodziło coraz niżej, a na ciemniejącym błękitnie nieba nie było ani jednej chmurki. Świat robił się teraz zupełnie inny niż za dnia i chyba nikt nie cieszył się z tego bardziej niż ona ani nie odczuwał równie mocno zapachów i widoków, a przede wszystkim cudownego smaku wolności.

Rob i Leo też wyszli do ogrodu. Amy pokazała im, gdzie są krzeselka. Cathy włączyła muzykę — tym razem miejsce Franka Sinatry zajął Tony Bennett — po czym wyszła na dwór w towarzystwie Harry'ego. Amy była zdziwiona, kiedy zaczęli tańczyć. Cathy nie mogła przestać chichotać.

Pojawił się Charlie, trochę „zdetonowany”, widząc, jak dobrze się bawią bez niego.

— Przecież wiesz, że zawsze się cieszę, kiedy cię widzę, Charlie — przekonywała go Cathy. — Naprawdę nie musisz czekać na zaproszenie. A propos, gdzie Marion?

— Zajęta. — Charlie wzruszył ramionami.

Gary oświadczył, że jest zmęczony, więc Amy posadziła go sobie na kolanach i ukryła twarz w koszulce klubu Everton.

Naprawdę bardzo potrzebował matki.

Wówczas nagle — o wiele wcześniej, niż się Amy spodziewała — zjawiała się Pearl. Przyszła bocznym wejściem i stała przy furtce do ogrodu.

Amy wstrzymała oddech. Czuła, że za chwilę wydarzy się coś doniosłego — i rzeczywiście.

Rob wstał i podszedł do jej córki, a wtedy oczy Pearl zajaśniały, tak jakby tylko na to czekała. Padli sobie w ramiona. Rob coś jej szeptał do ucha, a ona mu coś w zamian odszepnęła.

Teraz Amy już była pewna, że wszystko będzie dobrze.

\* \* \*

Trzy śluby.

Pierwszy odbył się ślub Cathy. Panna młoda miała na sobie przepiękną sukienkę z niebieskiej koronki i kapelusz z szerokim rondem; Harry był w jasnobrązowym garniturze. Wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego, Cathy uważała bowiem, że teraz już raczej nie powinna brać ślubu w kościele. Pojawiły się jej cztery siostry i pięciu braci wraz z małżonkami i cała gromada ich dzieci — ogółem dwadzieścia czworo.

„Prawdziwy triumf feminizmu”, myślała z rozbawieniem Amy, żeby narzeczona oświadczała się narzeczonemu! Para natychmiast po ślubie wyruszyła w rejs dookoła świata. Miejsce Cathy w szkole na czas jej nieobecności zajęła zastępczyni dyrektorki.

Amy nie była pewna, czy ślub Hildy Dooley z Cliffordem Thompsonem był jeszcze większym triumfem feminizmu, czy też całkowitą klęską praw kobiet.

O ile się dobrze orientowała, Clifford żenił się z Hildą po to, żeby mieć gdzie mieszkać, a ona wychodziła za niego w celu stania się „panią”, a nie „panną”. Poza tym była w ciąży, o czym Clifford nie wiedział!

Pearl i Rob wzięli ślub w ostatnim tygodniu lipca.

Amy nigdy nie miała zapomnieć widoku swojej ślicznej córki, idącej wzdłuż nawy kościoła Świętego Różańca, wspartej na ramieniu Charliego — i Roba, który czekał przy ołtarzu, żeby pojąć ją za żonę.

To było zadośćuczynienie za wszystko, co się przedtem wydarzyło — za jej utratę wolności; za nędzę, w jakiej się urodziła; za hańbę, która na nią spadła; wreszcie za wstyd, jaki czuła z powodu zbrodni, której przecież nie popełniła.

Nowożeńcy nie pojechali w podróż poślubną, nie było na to czasu, ponieważ zaraz musieli lecieć do Kanady. Zamiast tego po przyjęciu weselnym młoda para i Gary wrócili do domku Cathy, w którym teraz mieszkała tylko Amy, by tam spędzić swoje ostatnie dni w Anglii.

A teraz na końcu uliczki już czekała taksówka — nadszedł czas ich wyjazdu. Leo, Charlie i Marion przyszli się pożegnać. Panowie podawali sobie ręce i obejmowali krótkim, męskim uściskiem. Gary przebiegał od jednego do drugiego, domagając się pocałunków, zwłaszcza od Amy, którą serdecznie pokochał. Pearl ścisnęła się z Marion, a potem z Charliem, który w końcu musiał wprowadzić swoją szlochającą szmatycznie żonę do domu.

Dlaczego sobie to robimy? — pytała Amy samą siebie. — Dlaczego nie jesteśmy zawsze razem, pod tym samym dachem, nigdy nie rozdzieleni?

Pearl zęgnęła się z dziadkiem.

— Bądź zdrowa, kochanie — szorstko burknął Leo, ocierając łzę.

— Mamo...

To słowo sprawiło, że Amy też natychmiast poczuła łzy w gardle, ale tym razem to Pearl płakała z całego serca.

— Och, mamo! Dopiero cię odzyskałam i już wyjeżdżam...

— Ależ kochanie, tylko mi się tutaj nie rozklejaj... — Amy przytuliła ją mocno do siebie i pogładziła po włosach. Zobaczymy się znowu na Boże Narodzenie. Wszyscy się znów spotkamy. Nie trzeba płakać.

— Bądź zdrowa, mamo.

— Bądź zdrowa, kochanie.

Rob pomógł swojej nowej żonie wsiąść do taksówki, w której już czekał promiennie uśmiechnięty Gary.

— Nie chciałam, żeby płakała — westchnęła Amy, patrząc za odjeżdżającą taksówką. — Nie chciałam, żeby płakała... nie tak bardzo...

2013-05-04 08:05:10

— Amy, moja kochana — uspokoił ją Leo — po tym, co zrobiłaś dla Pearl, mogłaby wylać dla ciebie ocean łez, a i tak nie byłoby dosyć.

TLR

# Epilog

STYCZEŃ 1972

*Pani da Silva*

To był naprawdę cudowny widok, nieprawdopodobnie piękny, tak że Amy aż się zakręciło w głowie. Tego już było za wiele.

Mogła stąd widzieć wielokilometrowe przestrzenie i nie miała nawet pojęcia, ile jest tych kilometrów, pewnie kilkaset. I nikogo jak okiem sięgnąć. Nieskończone obszary Pacyfiku, który stopniowo zmieniał się z jaśniejącego srebrem w krwistoczerwony, kiedy zaczęło się w nim odbijać gasnące słońce.

Amy pokręciła się na siedzeniu. Warkot silnika samolotu strasznie ją irytował, zarazem jednak miał w sobie coś hipnotycznego. Dopiero drugi raz leciała samolotem i była zaledwie o włos od paniki. Skoncentrowała uwagę na widoku, ale jego przejrzysty ogrom sprawiał, że serce jej dudniło, a w żołądku czuła mdłości.

Niebo przedstawiało teraz prawdziwą malarską paletę barw, ale krwawa czerwień przyćmiewała wszystkie inne kolory. Słońce topniało jak złocista galareta, jego kształt zmieniał się co sekundę. Amy chciała zamknąć oczy wobec tego powalającego widoku, który ją zachwycał — i budził lęk, wiedziała jednak, że już nigdy w życiu nie będzie oglądać czegoś równie pięknego. Wszystko to sprawiało, że poczuła się nagle taka malutka i nieznacząca, jakby była najmniejszym ziarenkiem piasku na bezkresnej plaży.

I wtedy nagle słońce znikło — jakby niecierpliwy Bóg uznał, że już najwyższy czas, żeby przestało się guzdrać, i pociągnął je za horyzont.

Amy aż krzyknęła, kiedy nagle na tę część świata, w której była, spadła noc. Tam gdzie przed chwilą było słońce, pozostała tylko srebrzysta poświata. Ale po chwili i ona zniknęła; było już tylko ciemne niebo i ciemna woda i nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek miało być inaczej.

Siedzący obok niej mężczyzna lekko trącił Amy łokciem.

— Ona pyta, czy czegoś się pani napije — wyjaśnił.

Mówił z kanadyjskim akcentem.

Ładniutka stewardesa czekała na zamówienie Amy.

— Proszę tylko o filiżankę herbaty.

Teraz Amy mogła nareszcie spokojnie przymknąć oczy.

Był styczeń. Wracała do domu z Kanady.

Ten cudowny zachód słońca stanowił finalny akcent ostatnich czterech wspaniałych tygodni. Pierwszy raz od dwudziestu lat spotkała się z siostrami, z ich mężami i rodzinami. Jacky po przyjeździe do Kanady urodziła jeszcze dwójkę dzieci, a Bidy jedno. Amy mieszkała przez tydzień u każdej z nich, po czym przeprowadziła się do hotelu, żeby być bliżej Pearl — która spodziewała się dziecka — no i bliżej Gary'ego, Roba i Leo. Ku zdumieniu wszystkich Charliemu udało się też namówić Marion na przyjazd. Cathy i Harry przerwali swoją podróż dookoła świata i przylecieli do Kanady wprost z Nowej Zelandii. Czy to nie cudowne!

Amy prawie uwierzyła, że warto było spędzić tyle lat w więzieniu w zamian za wszystkie te oszałamiające miesiące od chwili, kiedy wyszła na wolność, a których ukoronowaniem był ten niezapomniany pobyt w Vancouver.

Tyle chwil euforii po latach pustki... tyle miłości.

Domyślała się, że niemal na pewno jej mama przed śmiercią, albo przed wyjazdem dziewcząt do Kanady, powiedziała im prawdę o śmierci Barneya. Ich uczucie dla Amy zupełnie się nie zmieniło, było w nim jednak jeszcze coś, jakiś wyraz w ich oczach — zrozumienia, podziwu, większej miłości, niż zasługiwałyby, gdyby rzeczywiście była winna tak brutalnej zbrodni.

Sąsiad znowu lekko ją trącił.

— Jest już pani herbata.

Opuściła umieszczony przed nią mały blat, żeby stewardesa mogła postawić na nim tacę.

— Dziękuję. — Amy uśmiechnęła się do obojga, właściwie ich nie widząc.

Odwróciła się i patrzyła w okno, za którym było zbyt ciemno, żeby cokolwiek dojrzeć, ale nie chciała się odrywać od wspomnień minionych świąt.

O Boże!

Teraz znowu myślała o Barneyu.

Jeśli będzie o nim za długo myśleć, gotowa jeszcze wybuchnąć płaczem, a wtedy wszyscy w samolocie zaczną na nią się gapić. Nie chciała tego.

Chyba naprawdę już czas, żeby pozwoliła mu odejść. Żeby przestała wreszcie o nim myśleć, pragnąć, żeby tu był, zastanawiać się, jak by teraz wyglądał, wspominać jego uśmiech, wyobrażać sobie, co by powiedział...

Te myśli były tak namacalne, że powinna natychmiast przywołać inne, które byłyby lekarstwem na te o Barneyu.

Tydzień temu, w sylwestra przeżyła w sekrecie chwilę smutku.

Wyobrażała sobie, że wszyscy czują to samo co ona, że to ich spotkanie jest jedyne w życiu, że właściwie niemożliwe, żeby coś takiego się powtórzyło — żeby zebrali się wszyscy Curranowie i wszyscy Pattersonowie! Po raz drugi trudno byłoby zapewne zorganizować taki rodzinny zjazd. Marion musiałyby wziąć wolne dni w pracy, Pearl mogłaby nie móc przyjechać z powodu małego dziecka, Leo byłby już za stary, Harry musiałyby się zajmować firmą, a Cathy — szkołą...

Amy już postanowiła, że niedługo znowu tam poleci.

Ostatni tydzień spędziła z Pearl w jej przytulnym domku na wyspie Vancouver. Córka miała urodzić dziecko na wiosnę i Amy jej przyrzekła, że będzie wtedy przy niej.

Z kolei Jacky i Biddy były zdecydowane przyjechać do Liverpoolu i pobyć u siostry, kiedy już znajdzie sobie dom. Do tego czasu miała nadal mieszkać u Cathy.

To były naprawdę precudowne święta. Ale teraz już się skończyły i Amy nie była pewna, jak to zdoła znieść.

Sięgnęła po herbatę, ale ręka tak jej drżała, że gorący płyn wylał się na spodeczek. Szybko odstawiła filiżankę.

— Dobrze się pani czuje?

Sąsiad położył jej rękę na ramieniu.

Spojrzała na niego zdziwiona.

Był mężczyzną o surowym wyglądzie — ostrzyżony na jeża, ze szpakowatym zarostem i bardzo ciemnymi, szarymi oczyma. Mimo to jednak sprawiał takie wrażenie, jakby uważał życie za intrygującą przygodę.

— Tak. Och, ale dlaczego wszystko jest takie smutne? Dlaczego naprawdę cudowne rzeczy muszą się zdarzać dopiero na końcu?

Oczy miała pełne łez.

— Dlatego, żeby mogły się po nich wydarzyć rzeczy jeszcze bardziej cudowne — powiedział łagodnie.

Omal się nie roześmiała.

— Bardzo dowcipna odpowiedź!

— Zawsze mam na podreździu dowcipne odpowiedzi — na każdą okazję.

Patrzył jej prosto w oczy, jakby zmuszając, żeby spojrzała na niego — i tylko na niego.

— Nazywam się Frank da Silva. A ty?

TLR